

David
Morrell

NAGIE OSTRZE

The naked edge

Tłumaczył
Robert Ginalski

Dennisowi Martinowi, prawdziwemu wojownikowi, który nauczył mnie technik walki legendarnego W. E. Fairbairna, oraz Marcusowi Wynne'owi, który jest nie tylko autentycznym strzelcem wyborowym, lecz także świetnym autorem powieści sensacyjnych
Istnieje granica między życiem a śmiercią, między tym, kto przeżyje, a kto nie.

Granice tę - oddzielającą drapieżców od ich ofiar niczym ostra klinga - nazywamy nagim ostrzem.

I.

ZNAKI OSTRZEGAWCZE

1.

Snajper miał współnika. To było pewne jak dwa a dwa cztery. Żeby wykonać zadanie jak należy, a więc nie tylko trafić w cel, lecz również uciec, strzelec musiał mieć oczy dookoła głowy. Kiedy patrzył przez lunetkę ukochanego remingtona kaliber .308, absolutnie nic go nie mogło rozpraszać, należało się skupić wyłącznie na zadaniu - obiekcie o powierzchni raptem kilku centymetrów kwadratowych oddalonym o siedemset metrów - a to oznaczało, że potrzebował pomocnika do obserwacji otoczenia: czy nie istnieje ryzyko, że ktoś zajdzie ich z boku, czy chmura lada chwila nie przesłoni słońca, czy coś albo ktoś nie zamierza zastawić celu. Potrzebował współnika, na którym mógł polegać bez reszty, który odruchowo działał w ten sam sposób co on i myślał dokładnie tak samo. Większość małżeństw nie jest ze sobą aż tak blisko.

Dotarli tu pieszo z sąsiedniej doliny, wybierając najdłuższą trasę przez najtrudniejszy teren, żeby nikt ich nie zauważył. Zdjęcia lotnicze zestawione z mapami topograficznymi wskazały zbocza zapewniające najlepszą osłonę, a jednocześnie tak usytuowane, żeby cel zawsze był na linii strzału. Poruszając się ostrożnie skrajem zalesionych stoków, odrzucili dwa punkty obserwacyjne, wybrali trzeci, schowali się za kamieniami, otworzyli plecaki i zaczęli składać sprzęt.

2.

Znaki ostrzegawcze.

Cavanaugh wciąż żył wyłącznie dlatego, że w poprzedniej pracy nauczył się zwracać na nie uwagę. Strzelcy wyborowi przeważnie mają cechy charakterystyczne, na przykład noszą bejsbolówki, które zakrywają krótkie, obcięte na wojskową modłę włosy. Fryzura na jeża nie bierze się z przekonania, że tak powinien się nosić prawdziwy mężczyzna. Wynika z konieczności, bo snajper nigdy nie wie, dokąd zanieś go kolejne zadanie - może na pustynię, a może na bagna. Wbrew słynnej tyradzie z Lawrence'a z Arabii o czystości pustyni dla insektów piasek bywa nie gorszym siedliskiem niż bagna, a długie włosy stanowią wymarzone miejsce, żeby się w nich zagnieździć.

Na tej samej zasadzie strzelcy wyborowi nigdy nie noszą mokasynów, tylko

snurowane buty na grubych podeszwach, które mogą posłużyć jako broń i nie spadną podczas walki. Lubią przypinane do paska saszetki i luźne sportowe ubrania, pełne schowków, w których można ukryć broń. Ich pasy muszą być odpowiednio grube, żeby utrzymały ciężar pistoletów i zapasowych magazynków. Od zewnątrz kieszenie spodni mają nierzucającą się w oczy czarną metalową klamerkę połączoną z nożem sprężynowym, który łatwo można wyciągnąć i otworzyć jednym naciśnięciem kciuka na zatrzask z tyłu ostrza. Z upodobaniem noszą kamizelki typu safari, których liczne kieszenie idealnie nadają się do chowania broni. Z tego samego powodu lubią spodnie z dodatkowymi kieszeniami na zewnątrz, na wysokości kolan.

Ale takie przywiązanie do szczegółów samo w sobie stanowi znak ostrzegawczy.

Większość ludzi przechodzi przez życie, kompletnie nie zwracając uwagi na otoczenie, co Jeff Cooper - znany ekspert od broni palnej - nazwał „stanem białym”. Dla odmiany Cavanaugh żył w stanie wiecznej czujności zwanej „stanem żółtym”. Była to jego druga natura. Gdy wkraczał na nieznaną teren (na przykład wsiadał do samochodu albo wchodził do budynku), zawsze poświęcał chwilę na lustrację otoczenia pod kątem ewentualnego zagrożenia.

Był koneserem szczegółów, które do siebie nie pasują. Jeżeli coś odstawało od tego, czego należało oczekiwać, w jego głowie rozdzwaniał się wewnętrzny alarm. Ale swój swego zawsze pozna - w społeczeństwie o minimalnej świadomości ktoś żyjący w „stanie żółtym” jest zjawiskiem tak rzadkim, że sam również wyróżnia się z otoczenia.

W obecnej sytuacji dwaj mężczyźni spostrzegli Cavanaugha mniej więcej w tym samym czasie, gdy on rozszyfrował ich. Działo się to na ustronnej stacji benzynowej ze sklepem, oddalonej trzydzieści kilometrów od rancza Cavanaugha. W posiadłości stał dom z drewnianych bali, tak popularny w dolinie Jackson Hole w stanie Wyoming. Wyjeżdżając na północ z Jackson, gdzie miał coś do załatwienia (ludzie często mylili nazwę miasta z doliną), Cavanaugh zauważył, że wskaźnik paliwa leży poniżej środkowej kreski.

Mieszkając na takim odludziu, nigdy nie dopuszczał, żeby poziom benzyny spadł poniżej połowy baku, więc skręcił z autostrady 89 i szosą biegnącą wśród krzewów bylicy ruszył na stację. W jednej chwili zorientował się, że obserwuje go dwóch mężczyzn.

Stali po drugiej stronie stacji, przed sklepem. Pod trzydziestkę, ani wysocy, ani niscy, ani za chudzi, ani za grubi, mieli na głowach bejsbolówki. Do tego pionierki, bojówki, grube pasy, kamizelki safari i klamerki od noży przyłączone do kieszeni spodni. W biwakowym rajku Parku Narodowego Grand Teton, w tak cudowny, złocisty październikowy dzień, żaden z tych potencjalnie podejrzanych szczegółów nie stanowił niczego niezwykłego. Wszystko było

na swoim miejscu. Z wyjątkiem czujnego wyrazu ich oczu.

Nie wyglądali na napakowanych mięśniami, ale widać było, że są silni.

Zlustrowali Cavanaugha wzrokiem od stóp do głów: jego kowbojki, dzinsy, gruby pas i rozpiętą koszulę włożoną na niebieski T-shirt. Obejrzeni jego kieszenie spodni, szukając wybruszenia zdradzającego, że ma nóż (nie nosił go tam, finkę trzymał pod koszulą na lewym boku, obok zapasowego magazynka). Z prawej, też pod koszulą, miał pistolet SIG-Sauer P229 kaliber dziewięć milimetrów, który wybrał ze względu na niewielkie rozmiary pozwalające łatwo go przy sobie ukryć.

Mijając ich i wchodząc do sklepu, Cavanaugh nie patrzył im w oczy. Zapłacił za benzynę i wrócił do dystrybutora. Poruszał się z wystudiowaną obojętnością.

Włożył końcówkę węża do wlewu paliwa, nacisnął dźwignię i udawał, że wygrzewa się w promieniach jesiennego słońca. Obejrzał się przez ramię na zapierające dech w piersiach, jakże bliskie Tetony, których strzeliste szczyty wkrótce miały się pokryć śniegiem. W dawnych czasach unieruchomieni przez zimę, wyposzczeni traperzy na ich widok myśleli o kobiecych piersiach i stąd wzięła się nazwa tego pasma pochodząca od francuskiego słowa oznaczającego cycki. Kiedy Cavanaugh uznał, że już dostatecznie długo podziwia góry, zerknął w kierunku sklepu.

Dwaj mężczyźni stali teraz obok ciemnej furgonetki z otwartymi bocznymi drzwiami. Jeden z nich, nachylony, przekładał sprzęt do biwakowania. Drugi spojrzął na Cavanaugha i odwrócił wzrok.

To mogą być gliniarze na urlopie, pomyślał Cavanaugh.

I wtedy zobaczył kolejną parę oczu w „stanie żółtym”. Tym razem były to oczy młodego człowieka (pod trzydziestkę, pionierki, kamizelka safari, bojówki, gruby pas z saszetką, klamerka od noża, bejsbolówka), który obserwował go, stojąc obok ciemnego forda explorera. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, facet uciekł wzrokiem, podszedł do śmietnika i wyrzucił paperek po batoniku. Po lewej inny gość również odwrócił wzrok, sięgnął do lodówki wstawionej z tyłu SUV-a, wyciągnął napój orzeźwiający, otworzył puszkę, upił łyk i z powrotem zerknął na Cavanaugha.

Nie pokazując tego po sobie, Cavanaugh zauważył sześciu innych czujnych mężczyzn, którzy nadchodzili od strony domków naprzeciwko sklepu. Razem dziesięciu.

A może to punkt zborny ekipy ochroniarzy, pomyślał. Do Jackson Hole ściągają tłumy celebrytów, finansistów i polityków.

W dolinie swój dom miał były wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. Mogli to być ochroniarze sprawdzający trasę, którą będzie przejeżdżał ich ważny klient.

Albo odwrotnie, to ci faceci są pod opieką ochroniarzy?

Guzik mnie to obchodzi. Od pięciu miesięcy to już nie moja sprawa.

Mijały ich nadjeżdżające z obu stron nieliczne samochody. Cavanaugh zatankował do pełna. Wracając na autostradę 89 i jadąc dalej na północ upstrzoną krzakami bylicy doliną, zupełnie nie zwracał uwagi na Snake River po lewej, tylko zerkał w lusterko wsteczne.

Nikt go nie śledził.

3.

Nawet w Wyoming, gdzie królują terenówki i półciężarówki, forda taurusa spotyka się na tyle często, że nie rzuca się w oczy. Poruszanie się tak wszechobecnym modelem weszło Cavanaughowi w krew jeszcze w poprzednim życiu. Jeśli miał za zadanie kogoś ochraniać, taurus był wręcz niewidzialny, zwłaszcza w przypadku wyjątkowo bogatych klientów, których przeciwnicy nie wyobrażali ich sobie w pojeździe innym niż luksusowa limuzyna.

Poza tym, w przeciwieństwie do terenówek, taurusem nie kołysało, gdy musiał zawrócić o sto osiemdziesiąt stopni albo wykonać jakiś inny awaryjny manewr.

Samochód, którym jeździł jeszcze w czasach, gdy pracował dla Global Protective Services, był nieco dłuższy od wersji standardowej i wyposażony w potężny silnik używany przez ekipę wyścigową forda taurusa. Miał kuloodporne szyby. Pod tapicerką ukryto płytki ceramiczne o dużej masie właściwej, chroniące przed ostrzałem z karabinów pociskami o dużej prędkości początkowej. Gdyby kula przebiła pancierz zbiornika paliwa - co było mało prawdopodobne - gumowa wyściółka wewnątrz baku uszczelniała dziury, zapobiegając wyciekowi benzyny. Dodatkowe obciążenie wymagało wzmocnienia zawieszenia, dzięki czemu pojazd radził sobie na wertepach bocznych dróg w Wyoming. Opony również były wzmocnione, ale na wszelki wypadek Cavanaugh skorzystał z pomysłu Secret Service i na środku każdej obręczy kazał zainstalować pierścienie z mocnego plastiku, coś w rodzaju opony w oponie, żeby samochód miał się na czym poruszać, gdyby zewnętrzne gumy nie nadawały się do użytku. Dodatków było zresztą więcej, na przykład wyjątkowo silne lampy przeciwmgielne z tyłu, którymi mógł oślepić kierowcę ścigającego go pojazdu.

Dotarł do skrzyżowania o nazwie Moran Junction. Gdyby skręcił na zachód, szosa zaprowadziłaby go do Parku Narodowego Yellowstone na północy. Ale pojechał na wschód, obok trawiastych pól, na których pasły się łosie, aż wypadł na opustoszałą Buffalo Valley

Road. Po kilku dalszych zakrętach zniknął pośród sosen wydmowych obserwowany przez ukryte między nimi kamery.

Wystukał na pilocie odpowiedni kod i otworzyła się solidna żelazna brama.

- Pizza Hut - powiedział do krótkofalówki.

Po chwili usłyszał głos kobiety:

- Z podwójnym pepperoni?

- Mieli tylko z szynką.

- Pizza bez pepperoni to nie pizza.

Po tej wymianie zdań, która odwoływała alarm, Cavanaugh ruszył dalej, nacisnął przycisk pilota i zamknął bramę. Minął kolejną ukrytą wśród drzew kamerę monitoringu i wjechał w trawiasty kanion obramowany po bokach zadrzewionymi skarpami; w lusterku wstecznym zobaczył dalekie, majestatyczne pasmo górskie Teton.

4.

Obserwator usłyszał taurusa, zanim go jeszcze zobaczył. O tym, że nadjeżdża, zawiadomił go przez radio wartownik. Uważał, że jest przygotowany emocjonalnie, a jednak puls przyśpieszał mu tak, że w końcu poczuł, jak ciśnienie rozsadza żyły. Nie z powodu tego, do czego wkrótce miało dojść, tylko na skutek tego, co już się stało. Gdy wraz ze snajperem przykucnęli na grani, znienacka dopadło go bolesne wspomnienie dwóch chłopców brodzących w strumieniu pełnym złotych rybek. Potem naszło go kolejne, równie bolesne - starca walącego młotem w kowadło oraz iskier strzelających z kawałka rozżarzonego metalu.

Wyglądając zza kamieni i śledząc wzrokiem wyjeżdżający spomiędzy sosen samochód, snajper mruknął:

- Mogę go załatwić, jak tylko wysiądzie z bryczki.

- Czekaj na mój znak.

- Ale...

- Trzymamy się harmonogramu - upierał się obserwator.

- Na miejscu musi się zjawić wsparcie, żeby odciąć linię telefoniczną od domu.

Dzięki temu nikt nie zawiadomi policji. Inaczej nas tu zamkną, z doliny są tylko dwie drogi wylotowe.

- Ci, którzy przeżyją, mogą zadzwonić z telefonów komórkowych.

- Na tym zadupiu nie ma zasięgu.

- Jesteś pewny? - zapytał snajper.

- Jeździłem tędy i w ramach eksperymentu próbowałem się dodzwonić do restauracji w mieście. Nie uzyskałem połączenia. Potwierdziłem to później w firmie telekomunikacyjnej. Ściany kanionu uniemożliwiają transmisję w obu kierunkach.

Strzelec tęsknym spojrzeniem śledził samochód w drodze przez kanion.

- A kiedy będzie wsparcie?

Obserwator dotknął lewego ucha, poprawiając słuchawkę radioodbiornika.

- Mówią, że za dziesięć minut.

Patrząc na dno kanionu, skupił się na postaci za kierownicą. Nawet z tej odległości rozpoznawał potężne bary i szeroką klatkę piersiową, nie sposób było ich pomylić. Zdradzające inteligencję czoło i ostry zarys szczęki zawsze pociągały kobiety, chociaż podczas wykonywania zadania obiekt znakomicie zmieniał wygląd - tracił blask orzechowych oczu, garbił się w ramionach, stawał się prawie niewidzialny. Piaskowe włosy wciąż strzygł w zawodowo neutralny sposób.

To już prawie trzy lata, pomyślał obserwator. Ciekawe, stary kumplu, jak ci leci?

Ogarnęła go bolesna mieszanina gniewu i sympatii.

- Już jest trupem, tylko jeszcze o tym nie wie - rzekł snajper. - Dziesięć minut? Nie ma sprawy, tyle mogę poczekać. Lubię to uczucie.

- Jakie uczucie?

- Że jestem Bogiem.

5.

Jadąc przez pastwisko, Cavanaugh uśmiechnął się do sześciu koni pasących się przy potoku. Podbiegła do niego galopem jedna z klaczy, wyścigowa pięciolatka, nazywana od maści sierści Kasztanką. Kiedy się zrównała z jadącym samochodem, Cavanaugh opuścił szybę.

- Wiesz, co tu mam? - Ruchem głowy wskazał papierową torbę na sąsiednim siedzeniu.

Klacz galopowała obok niego, stukając kopytami.

Cavanaugh wyjął wielkie czerwone jabłko.

- Chcesz dostać teraz czy później?

Zarzuciła łbem w bok i kłapnęła zębami.

- Hej, gdzie twoje maniery? - Przerzucił jabłko nad jej łbem i patrzył, jak klacz skręca gwałtownie, szukając smakołyku w trawie.

Widząc, co się dzieje, pięć pozostałych koni, w tym jeden źrebak, ruszyło galopem w stronę Cavanaugha.

- Jak sprawiedliwość, to sprawiedliwość. - Wysypał jabłka z torby na trawę i pojechał dalej.

Za pastwiskiem stał dwupiętrowy domek z drewnianych bali, z szeroką przyjemną werandą. Pracując w tej okolicy przed dziesięciu laty (klient: felietonista i komentator polityczny, któremu prześladowca groził śmiercią), Cavanaugh usłyszał, że jest tu na sprzedaż ośrodek wczasowy na farmie.

Obejrzał go w czasie wolnym od pracy, a spokojna atmosfera kanionu wywarła na nim takie wrażenie, że bez namysłu - co mu się rzadko zdarzało - od ręki kupił posiadłość.

Kosztowała niemało. Na zaliczkę musiał wydać co do centa wszystkie oszczędności, które zgromadził, pracując jako ochroniarz, a także przyjęc dwa wyjątkowo niebezpieczne, za to znakomicie płatne zlecenia. Od tej pory większość dochodów wydawał na spłatę hipoteki. Ale nigdy nie żałował tej decyzji. Gdy nie pracował - czasami dlatego, że dochodził do siebie po odniesionych ranach - wracał na te magiczne czterdzieści hektarów, które miały równie magiczną nazwę: dom.

Podjeżdżając do domu, zobaczył Jamie; stała na werandzie, z przypiętą do pasa krótkofalówką. Z uśmiechem wyszła na słońce, którego promienie zalśniły w jej czarnych, zebranych w koński ogon włosach. Przy wzroście metr siedemdziesiąt osiem, w podkreślających figurę dżinsach i kowbojkach na wysokich obcasach wyglądała, jakby miała nogi po szyję. Twarz była klasycznie piękna - wąski podbródek i wysokie kości policzkowe - ale jego najbardziej pociągały te zielone oczy, w których malowała się mieszanka rozbawienia i inteligencji.

Zaparkował przed domem i wysiadł z samochodu.

- Przez to gadanie o Pizza Hut zgłodniałam - powiedziała Jamie. - Jak cię znam, nie przywiozłeś pizzy.

- E-e.

- Dupa błada.

- Mam coś lepszego.

- Kanapkę ze stekiem? - spytała.

- Jak ci się udaje zachować taką figurę, skoro ciągle myślisz o jedzeniu?

- Bo tylko o nim myślę. Koniom to dajesz się nazreć, ale mnie nigdy. No już, przyznaj się... Przywiozłeś Kentucky Fried Chicken, tak?

- Przykro mi, ale nie.

- Błada i zbita.

- Mam coś lepszego nawet od KFC. - Cavanaugh schylił się i wyjął z samochodu niewielkie pudełko z wyrytym na wieczku napisem: HECKLER & KOCH.

- Nooo! - rzuciła Jamie. - Masz rację. To rzeczywiście lepsze niż KFC. Ty to wiesz, jak trafić do serca kobiety. Uwielbiam dostawać od ciebie nową broń.

- To nie jest pierwszy lepszy pistolet.

- Nie trzymaj mnie w niepewności. Co w nim jest takiego niezwykłego?

- Nazywa się P dwa tysiące.

- O kurczę, to faktycznie niesamowite.

Stukot ich butów niósł się echem, gdy szli przez werandę do domu. W obszernym „wspólnym salonie”, jak go opisano w folderze agencji nieruchomości, znajdowały się szerokie schody, olbrzymi kominek z kamienia, wysłużone pianino, długi stół, przy którym w czasach ośrodka wypoczynkowego jadali pensjonariusze, a z sufitu zwisało kilka lamp w kształcie kół od furmanki.

- Pamiętasz pierwszą zasadę wyboru broni? - spytał Cavanaugh.

- Musi dobrze leżeć w ręku.

- Właśnie. Jeżeli rękojeść jest za duża, trzeba napinać dłoń, żeby dosięgnąć palcem spustu. A wtedy pistolet przekreca się w bok i nie trafiasz w cel.

Gdy dotarli do kuchni, Cavanaugh spojrział na rząd monitorów pod szafką.

Połączone z kamerami monitoringu ekrany ukazywały różne części posiadłości.

Zadowolony, że wszystko wygląda normalnie, odwrócił się do pani Patterson, która wałkowała ciasto na placek. Ta sześćdziesięcioletnia wdowa, której dzieci i wnuki mieszkały w Jackson, pracowała wcześniej w tutejszym ośrodku wypoczynkowym i zgodziła się zostać u Cavanaugha.

- Jaki placek pani szykuje? - zainteresowała się Jamie.

- Z dyni.

- To chyba odpuszczę sobie dzisiaj kolację i zjem tylko ciasto.

Cavanaugh pokręcił głową - apetyt Jamie nie przestawał go zadziwiać.

Otworzył szafkę, wyjął pudełko amunicji kaliber dziewięć milimetrów i torbę ze sprzętem, po czym ruszył do tylnych drzwi.

- Trochę teraz pohalaszujemy - zwrócił się do starszej kobiety.

Siwowłosa kucharka odłożyła wałek, wyciągnęła z fartucha chusteczkę higieniczną, przedarła ją na dwie części i zatkała sobie nimi uszy.

Siatkowe drzwi zamknęły się z trzaskiem, gdy Cavanaugh i Jamie ruszyli w kierunku strzelnicy obok stodoły. Czując, jak pali ich słońce, zatrzymali się przy zniszczonym drewnianym stole, twarzami do oddalonych o dwadzieścia pięć metrów metalowych tarczy, za którymi wznosiła się usypana skarpa. Każda tarcza przedstawiała sylwetkę człowieka, od pasa w górę.

Cavanaugh otworzył pudło, wyjął pistolet i pokazał Jamie, że nie ma w nim magazynka. Potem odciągnął zamek, demonstrując, że komora także jest pusta.

- Jest suchy?

- Suchy - przytaknęła.

Położył pistolet i torbę ze sprzętem na stole, po czym otworzył pudełko z amunicją. Z dowodzącą dużej praktyki wprawą on i Jamie załadowali po dziesięć naboju do trzech magazynków.

- Zawsze się dziwię, że nie łamiesz sobie przy tym paznokci - zauważył.

- Co tylko świadczy o tym, że w ogóle nie zwracasz na mnie uwagi. Odkąd się z tobą zadałam, rozstałam się z paznokciami. Opowiedz mi wreszcie o tym P dwa tysiące.

- Spodobałyby się nawet Królowie Śnieżce. - Pokazał Jamie trzy polimerowe paski z literkami „S”, „L” i „XL”. Pasek przyczepiony z tyłu rękojeści pistoletu nosił oznaczenie „M”.

- Chcesz mi powiedzieć, że można dobierać rozmiar chwytu do...

- Do wielkości dłoni. Wypróbuj.

Cavanaugh z uznaniem patrzył, jak - mimo że pistolet wciąż był „suchy” - Jamie odwraca lufę w kierunku strzelnicy, jakby broń była nabita.

- Niezbyt wygodny - orzekła. - Trochę za duży jak na moją dłoń.

- Wobec tego zmniejszymy chwyt. - Cavanaugh wyciągnął z torby ze sprzętem młotek i wybijak. Kilkoma uderzeniami usunął bolec i wymienił pasek na ten z oznaczeniem „S”.

- Spróbuj teraz.

- Leży idealnie - powiedziała Jamie.

Cavanaugh pasjonował się możliwościami regulacji chwytu, bo przy wzroście ponad metr osiemdziesiąt miał stosunkowo małe dłonie. Zanim przeszedł szkolenie do jednostki Delta Force, musiał używać standardowej w wojsku broni krótkiej - piętnaścizłowej beretty kaliber dziewięć milimetrów. Magazynek mieścił tak dużo naboju tylko dlatego, że

ułożone były w dwóch rzędach, a przez to rękojeść pistoletu była dla niego za duża. Poradził sobie z tym i trafiał do celu, ale jak ktoś, kto przez dłuższy czas musiał chodzić w ciasnych butach, obsesyjnie dbał teraz o rozmiar i wygodę.

- Panie przodem.

Jamie wsunęła magazynek do chwytu i przesunęła dźwignię z boku. Taka sama dźwignia znajdowała się z drugiej strony rękojeści, dzięki czemu pistolet (kolejna rzadkość) był przystosowany dla ludzi oburęcznych. Zamek wskoczył na miejsce, wprowadzając nabój do komory.

- Muszę się zrobić na bóstwo - powiedziała.

Włożyli okulary ochronne i słuchawki, a potem ruszyli do tarcz i zatrzymali się dziesięć metrów od nich, w typowej odległości do strzału. Większość pojedynków strzeleckich odbywa się na dystansie dwa razy krótszym.

Jamie uniosła pistolet, wyprostowała ramiona, oburącz ścisnęła rękojeść i ułożyła kciuki wzdłuż broni, żeby tym łatwiej naprowadzić lufę na cel.

Cavanaugh zwrócił uwagę na swobodę, z jaką unosiła ręce. Ani śladu dyskomfortu albo zeszywnienia po postrzale sprzed pięciu miesięcy.

Pociągnęła za spust.

6.

Obserwator, ukryty za drzewami na grani, ruchem głowy wskazał na tyły domu.

Ich obiekt oraz kobieta zniknęli za stodołą.

Ciekawe, że wolę go nazywać obiektem, zamiast po nazwisku. Nie postarzał się ani o dzień. Jest w formie. A do tego załapał się na cholernie ładną żonkę, pomyślał ze złością.

Ty sukinsynu!

Obserwator odpiął schowany w kieszeni nóż z rękojeścią z polerowanego hebanu i pstrykając kciukiem, zaczął otwierać i chować ostrze.

- Strzelają do tarczy - rzucił w odpowiedzi na wystrzały.

- Z broni krótkiej - zauważył snajper.

- Tak. Sądząc z odgłosów, kaliber dziewięć milimetrów. Tarcza musi być metalowa. Słyszysz, jak kule w nią wchodzą?

- Doskonały strzelec.

- No, on strzela doskonale, bez dwóch zdań - rzekł obserwator. - To dlatego kryjemy się tu na górze, a nie jesteśmy tam na dole.

- Dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście - odliczał snajper.

- Trzyście, czternaście, piętnaście.

- Wielki magazynek. Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście. Pojemny jak jasny gwint. Znasz pistolet, w którym mieści się tyle kul?

- Nie - odparł obserwator. - Po dziesiątym króciutka przerwa. Ledwo zauważalna. Wtedy zmienili magazynek.

- Cholernie szybka ta zmiana.

- Dwadzieścia dwa. Dwadzieścia trzy. Po dwudziestym znowu minimalna przerwa.

- No, superszybka zmiana magazynków - przytaknął snajper. - I dobrze, że mam mu wyłupić oko z odległości siedmiuset metrów, a nie stawać z nim do pojedynku jak rewolwerowiec.

Wśród echa wystrzałów odbijającego się w kanionie usłyszeli zbliżający się pomruk.

7.

Słuchawki wytłumiają dźwięki, ale ich nie eliminują. Cavanaugh nasłuchiwał rytmicznego grzmotu. Spojrzał uważnie na południowy skraj kanionu, zza którego wyleciał śmigłowiec; podobny do ważki kształt rósł w oczach, jego sylwetka odcinała się na tle kobaltu nieba.

Jamie opuściła pistolet i rzuciła okiem na zegarek.

- Przyleciał za wcześnie.

- Ano. - Cavanaugh zdjął słuchawki. - O pół godziny. A już miałem nadzieję, że w ogóle się nie zjawi.

- Wciąż nie wiesz, czego od ciebie chce?

- Powiedział tylko, że to ważne. Ale chyba się domyślam. Chce mi zaproponować robotę.

Gdy warkot się wzmógł, a śmigłowiec się zbliżył, Cavanaugh odczytał wymalowany na boku czerwony napis: Global Protective Services. Zalała go fala wspomnień... Klienci, których chronił, zwykle bogaci i potężni, chociaż trafiali się też szaraczkowie, jeśli udawało mu się przekonać GPS, że należy im pomóc; łączył ich jeden wspólny mianownik: to, że byli

ofiarami... Ochroniarze, z którymi pracował, zjednoczeni nienawiścią do drapieżców i tak oddani swej pracy, że byli gotowi poświęcić dla niej życie.

Jamie coś powiedziała, ale w narastającym łoskocie śmigłowca nie dosłyszał.

A może to przez te wspomnienia?

- Słucham? - rzucił.

- Pytałam, czy przyjmiesz tę pracę?

Pochłonięty własnymi myślami Cavanaugh sięgnął pod luźną dzinsową koszulę i wyjął nóż z pochwy przy pasie na lewym boku. Był to ząbkowany nóż wszechstronnego zastosowania, przydatny w pracy na ranchu - prezent od przyjaciela Gila Hibbena z okazji przyjęcia go do Galerii Sław Twórców Noży.

Wyważony w sam raz, żeby Cavanaugh mógł zrobić to, co zrobił. Uwalniając emocje wywołane wspomnieniami zmarłych przyjaciół, zamachnął się i cisnął nożem w słupek oddalony o cztery i pół metra, fachowo oceniwszy liczbę koziolków, jakie nóż będzie musiał wywinąć.

Ostrze utkwilo głęboko, wbite zarówno siłą rzutu, jak i jego emocji.

- Nie - odparł. - Nie wezmę tej roboty.

- Moim zdaniem powinieneś ją przyjąć.

Śmigłowiec był coraz bliżej, hałas wciąż się wzmaczał.

Nie zwracając uwagi na łoskot, Cavanaugh odwrócił się do Jamie.

- Pięć miesięcy temu omal nie zginęłaś. Do tej pory męczą mnie z tego powodu koszmary.

- Nie zmuszałeś mnie, żebym poszła z tobą. Sama dokonałam wyboru. Nie twoja wina, że zarobiłam kulkę.

- Nigdy więcej nie narażę cię na ryzyko.

- Ale wielu ludzi potrzebuje pomocy.

- Ktoś inny będzie musiał im ją zapewnić.

Śmigłowiec zawisł nad trawą w pół drogi między stodołą a domem.

- Nie bądźmy niegrzeczni i nie każmy mu czekać - powiedział Cavanaugh.

- Innymi słowy, zmieniasz temat.

Wzruszył ramionami. Schował nóż pod koszulę, ruszył za Jamie do zniszczonego stołu i schowali okulary oraz słuchawki do torby ze sprzętem.

Jamie wyrzuciła magazynek z pistoletu i złapała go w powietrzu.

Pełen podziwu Cavanaugh załadował go z powrotem, nie patrząc na śmigłowiec, który tymczasem wylądował. Ryk silnika zamilkł.

- To już jest niegrzeczne - zauważyła.
- Myślisz, że zrozumiał, że nie chce mi się z nim gadać?

8.

- Jest za wcześnie - rzekł snajper.
 - No. - Obserwator wciąż wysuwał i chował ostrze noża.
 - Sytuacja się skomplikowała. Mówiłem ci, że mogę go załatwić, jak tylko wysiądzie z samochodu. A teraz...
 - A teraz przyjdzie nam poczekać trochę dłużej. - Obserwator poprawił słuchawkę w uchu i wyteżył słuch. - Nasze wsparcie jeszcze nie dotarło na miejsce, żeby odciąć linię telefoniczną.
- Ze śmigłowca wysiadło dwóch mężczyzn.
- Robi się tłok - zauważył snajper.

9.

Mężczyzna, który pierwszy wysiadł ze śmigłowca, miał dopiero czterdzieści trzy lata, ale wieczna zaduma na twarzy przyprawiła go o zmarszczki w kącikach oczu i ust, przez co wydawał się starszy. Miał ciemne włosy uczesane równie starannie, jak nienagannie utrzymane były jego robione na zamówienie buty oraz szyty na miarę garnitur. Szerokie bary i dumnie wypięta pierś nadawały mu zgoła imponujący wygląd. Niósł skórzaną, wypolerowaną na wysoki błysk teczkę. Ten sam błysk odbijał się w jego szklach kontaktowych, które wzmacniały wyzierającą z oczu inteligencję. W jego uśmiechu trudno byłoby się doszukać ciepła, ale rekompensował to olśniewającą bielą koronek na zębach.

- William. - Cavanaugh wymienił z nim uścisk rąk.

Mężczyzna miał na nazwisko Faraday. Ten bezwzględny radca prawny nie tylko wygrywał w sądzie z klientami swoich przeciwników - on ich niszczył, co przysparzało mu kolejnych rzeszy wrogów. Swego czasu Cavanaugh uratował mu życie, kiedy upokorzony biznesmen wynajął kogoś, kto miał zabić Faradaya.

W ramach wdzięczności William zajął się obsługą prawną Global Protective Services,

a w zamian za to miał szybki dostęp do ochroniarzy światowej klasy.

- Pamiętasz Jamie? - zapytał Cavanaugh.

- Jasne. - William podał jej rękę. Poznali się, kiedy spisywał ich testamenty. - Doszła już pani do siebie po postrzale?

- Tak. Dzięki za pamięć.

Prawnik skinął głową, jakby czuł się niezręcznie, przejawiając ciepłe ludzkie uczucia, a tym bardziej zbierając za nie pochwały.

- Nie widzieliśmy się sto lat, Angelo. - Cavanaugh zwrócił się do pilota śmigłowca.

- Od czasu Puerto Vallarta i tego analityka giełdowego, którego ochranialiśmy - odparł krzepki mężczyzna. - Pamiętasz, jak się bał, że za każdym rogiem czyhają na niego wściekli inwestorzy?

- No, jeden rzeczywiście się na niego zasadził. - Cavanaugh serdecznie uściskał mu rękę. - Jak się mają te lamy, które hodowałeś?

- Ofermy jakieś. Nie rozmnożyły się.

- Jesteś pewien, że kupiłeś samca i samicę?

- A niby po czym miałem to poznać? Zamiast się ciupciać, nic tylko pluły. Prosto w oko. Jedna z nich napluła mi tutaj. - Środkowym palcem Angelo wskazał swoje oko.

Cavanaugh nie potrafił opanować śmiechu.

- A potem przeskoczyły przez ogrodzenie. Zanim je znalazłem, przejechała je ciężarówka z cementem. Gdybym miał rozum w głowie, nie próbowałbym ich rozmnożyć, tylko bym je zeżarł.

- Smaczne są?

- Nie mam pojęcia, w każdym razie teraz hoduję strusie. Te przynajmniej można zjeść. No i składają jaja wielkie jak piłka do kosza.

- Naprawdę?

- No, może lekko przesadziłem.

Cavanaugh znów się roześmiał.

- Brakowało mi ciebie, hombre.

Zaprowadził gości do domu. W kuchni znów spojrział na monitory, upewnił się, że wszystko wygląda jak zawsze, i przedstawił im panią Patterson, która nakładała łyżką papkę z dyni na ciasto.

- Napijecie się albo zjecie coś? - zapytał.

- Nie, dziękujemy - odpowiedział za nich obu William. - Musimy pogadać o interesach. A zaraz potem wracam do Denver.

- Co jest w Denver?

- Wietnamski biznesmen, który wpadł w kłopoty.

- Aha. - Znając niechęć prawnika do ujawniania szczegółów, Cavanaugh wiedział, że wietnamski biznesmen równie dobrze może być japońskim baseballistą. - Miałem nadzieję, że zatrzymacie się na jakiś czas. Zawsze jesteście tu mile widziani. Nigdy nie zapomnicie koloru zachodu słońca za Tetonami.

- Następnym razem.

10.

Gabinet wyglądał dokładnie tak samo jak w czasach, gdy mieścił się tu ośrodek wypoczynkowy. Ściana z boku starego biurka była cała obwieszona zdjęciami przedstawiającymi dzieci podczas łowienia ryb, pływania, konnej przejażdżki i w trakcie rozstawiania namiotów na łące obok domu. Inną ścianę zajmowały półki z przegródkami na korespondencję i wiadomości. Wszystko zachowało sprzed lat lekki zapach tytoniu do fajki.

Czasami Cavanaugha nachodziła ochota, żeby uprzątnąć cały ten majdan, a wtedy przypominał sobie dwóch mężczyzn pod trzydziestkę, którzy zjawili się przed dwoma laty. Obaj przyjechali samochodami kempingowymi. Mieli mięśnie piwne zamiast brzuchów, znudzone żony i bachory, które bez przerwy szturchały się nawzajem. Zapytali wtedy, czy mógłby pokazać ich rodzinom, jak wyglądało obozowisko dzieci. A na koniec oświadczyli, że spędzili tu najwspanialsze wakacje w życiu. Nie mogli wyjść z podziwu, że wszystko zachowało się w takim stanie, w jakim było dawno temu.

Najwspanialsze wakacje, jakie przeżyli. Świadomość tych ludzi, że ich życie wcale się nie polepszyło, napełniała Cavanaugha smutkiem.

William usiadł w fotelu z ciemnej skóry i otworzył teczkę, a Cavanaugh i Jamie obserwowali go, siedząc na drewnianych krzesłach naprzeciwko gościa.

- Przeleciałem taki szmat drogi, bo...

- Najlepiej, jeśli od razu ci powiem, że nie szukam roboty.

- Roboty? Myślisz, że fatygowałem się tu, żeby ci zaproponować pracę?

- A nie?

- „Praca” to z gruntu niewłaściwe słowo. - William był wyraźnie rozbawiony. - Ja proponuję ci wszystko.

- O czym ty gadasz?
- Cały ten majdan. Zdaje się, że tak się mówi w tych stronach.
- Bajdurzysz bez sensu.
- Dostałeś wszystko, przyjacielu.
- Wszystko, to znaczy co?
- Całą Global Protective Services.

Cavanaugh był pewien, że się przesłyszał. Nagle serce podeszło mu do gardła. Odetchnął głęboko.

- Duncan zapisał ci firmę w testamencie - wyjaśnił William.

Cavanaugha znów zalała fala wspomnień. Duncan - wysoki, żylasty wąsacz - był jego instruktorem w Delta Force. Po odejściu z wojska założył agencję ochrony o zasięgu międzynarodowym, która dzięki kwalifikacjom pracowników prosperowała znakomicie. Duncan zatrudniał bowiem wyłącznie członków elitarnych sił specjalnych, z których wielu wyszkolił osobiście. Gdy zginął w trakcie wykonywania zadania, Global Protective Services miała filie w Nowym Jorku, Londynie, Rzymie i Hongkongu, a kolejną planowano otworzyć w Tokio.

- W testamencie? - Cavanaugh zdusił nagły przyпіływ gniewu. - I mówisz mi o tym pięć miesięcy po jego śmierci?

- Miałem swoje powody.
- Jakie? Jezu, mogliśmy o tym pogadać na pogrzebie Duncana. Mogliśmy...
- Nie - przerwał mu William. - Nie mogliśmy.

Cavanaugh zauważył, że Jamie przygląda mu się z niepokojem.

- Wybacz - przeprosił Williama. - Nie chciałem, żeby wyszło na to, że mam do ciebie pretensje.

- Oczywiście, że nie. Zresztą przemawia przez ciebie ból. Masz do tego pełne prawo. Jednym z powodów, dla których informuję cię o tym dopiero teraz, były trudności z potwierdzeniem śmierci Duncana, a bez tego nie można było wystąpić o zatwierdzenie testamentu.

- Trudności z potwierdzeniem... - Nagle Cavanaugh zrozumiał. Kule tak zmasakrowały twarz Duncana, że nie dało się potwierdzić tożsamości na podstawie zębów, bo nic z nich nie zostało. A czego nie zdołały zniszczyć pociski, strawił ogień.

- Niech Bóg ma go w swojej opiece.
- Znalezione ślady zrośnięcia połamanych żeber i taki sam ślad na obojczyku.
- Obrażenia zawodowe. - Cavanaugh poczuł pełne współczucia ukłucie własnych

zrośniętych kości.

- Niestety, z braku świeżych zdjęć rentgenowskich tych partii jego ciała wciąż nie mogłem udowodnić, że to jego szczątki. W końcu wybrałem się do Pentagonu i poprosiłem o akta lekarskie Duncana. Nawet po śmierci wojsko chroniło go tak, jakby nadal był instruktorem Delta Force. Żeby wydali mi te dane, potrzeba było telefonu od naszego dawnego klienta, wysoko postawionego w obecnym rządzie. Obawiałem się, że te obrażenia powstały po tym, jak Duncan odszedł z wojska, bo wtedy zdjęcia rentgenowskie na nic by się nie zdały. A jednak widać było na nich złamane żebra i obojczyk. Mogłem więc wreszcie wystąpić do sądu.

- Powiedziałeś, że to „jeden z powodów”, dla których dowiaduję się o tym dopiero teraz.

- Drugi jest taki, że Duncan był lepszym ochroniarzem niż menedżerem. Nie zasięgając mojej rady, podejmował wiele decyzji inwestycyjnych, które postawiły pod znakiem zapytania dalsze funkcjonowanie Global Protective Services. Nie pozostawił prawie żadnych aktywów, które ktoś mógłby odziedziczyć. Na szczęście udało mi się rozwiązać te problemy. Ale kolejny powód, dla którego dopiero teraz przyjechałem do ciebie w tej sprawie...

- William podniósł kartkę - jest taki, że Duncan zapisał Global Protective Services niejakiemu Aaronowi Stoddardowi.

Jamie patrzyła z niepokojem, jak Cavanaugh prostuje się na krześle, a jego mięśnie twardnieją.

- Sęk w tym, że w GPS nie słyszano o takim człowieku. Nikt z rodziny Duncana już nie żył, więc nie można było liczyć na pomoc z tej strony.

- Mogłeś zapytać mnie - rzekł Cavanaugh.

- Jasno dałeś do zrozumienia, że nie życzysz sobie dalszych kontaktów z naszej strony. A zresztą co byś mi odpowiedział, gdybym jednak zwrócił się do ciebie z pytaniem, czy znasz Aarona Stoddarda? Potwierdziłbyś czy wolałbyś trwać w postanowieniu, że raz na zawsze zerwałeś z dawnym życiem?

Cavanaugh nie odpowiedział.

- Koniec końców Pentagon przystał na moją kolejną prośbę. Okazało się, że Aaron Stoddard również służył kiedyś w Delta Force. A nawet był jednym z uczniów Duncana. Z czasem Duncan zatrudnił go w Global Protective Services, tyle że ze względów bezpieczeństwa Aaron Stoddard posługiwał się już wtedy innym nazwiskiem. Twoim.

Cavanaugh oparł się na krześle, czując, jak wali mu serce.

Potrzebował dłuższej chwili, żeby się zdobyć na odpowiedź.

- Wtedy jeszcze żyła moja matka. Mój ojczym. I siostra przyrodnia. Moi przyjaciele. Kiedy zacząłem pracować w GPS, uświadomiłem sobie, że słabość systemu polega między innymi na tym, że celem może się stać nie tylko klient, ale i agent ochrony. Drapieżcy mogli się dostać do rodziny albo przyjaciół ochroniarza i w ten sposób zmusić go do zdrady klienta. Uznałem, że nie mogę narażać rodziny i przyjaciół na takie ryzyko. Musiałem zadbać o ich bezpieczeństwo tak samo jak o klienta, a najłatwiejszą metodą było przybranie fałszywego nazwiska i zmiana tożsamości, żeby moja przeszłość nie wyszła na jaw.

- No, to akurat ci się udało. Wierzyłem, że Cavanaugh to twoje prawdziwe nazwisko. Nigdy nie używałeś imienia, więc ze zdziwieniem zobaczyłem, że w aktach osobowych GPS figurujesz jako „James”.

- W pracy nigdy nie posługuję się imieniem.

- Otoczyłeś się aurą tajemniczości jako bezimienny ochroniarz, tylko z nazwiskiem. Zgadzasz się?

- Że Aaron Stoddard to ja? Owszem. - Spojrzał na Jamie, której już dawno temu zdradził swoją prawdziwą tożsamość. - Teraz, kiedy już nie jestem ochroniarzem, nie ma najmniejszego znaczenia, czy ktoś wie, kim jestem naprawdę. Moja matka nie żyje. Ojczym choruje na serce i pewnie też wkrótce umrze. Z krewnych, o których muszę się martwić, została mi tylko siostra przyrodnia. No i ty, oczywiście - zwrócił się do Jamie.

- Nigdy nie przestanę cię chronić.

- Chodziło mi o to, czy zgadzasz się przejąć na własność Global Protective Services, zgodnie z testamentem Duncana - sprecyzował prawnik.

- Williamie, czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś upierdliwy?

- Moja druga i trzecia żona. Ale starałem się nie brać tego do siebie.

- Naprawdę mi przykro, że się fatygowałeś taki kawał drogi.

- Nie przyjmujesz spadku?

- Złożyłem pewną obietnicę i zamierzam jej dotrzymać. Teraz się troszczę tylko i wyłącznie o Jamie.

- Duncan nie wyznaczył nikogo w zastępstwie. GPS nie jest spółką notowaną na giełdzie. Nie ma zarządu. Oprócz spadkobiercy Duncana nikt nie może podejmować żadnych decyzji. Jeżeli odmawiasz ostatecznie, to w końcu firmę trzeba będzie zlikwidować.

- Niestety, nic na to nie poradzę - oświadczył Cavanaugh.

- Może potrzebujesz kilku dni na przemyślenie wszelkich za i przeciw?

- Nie. - Cavanaugh był nieugięty.

- Czy możemy porozmawiać na osobności? - wtrąciła się Jamie.

Cavanaugh spojrzał na nią.

- Na zewnątrz - dorzuciła.

11.

Ukryty za kamieniami na grani obserwator patrzył na dom przez lornetkę zaopatrzoną w specjalne osłony, żeby słońce nie odbijało się od soczewek.

- Mogą siedzieć tam w środku godzinami - burknął snajper.

- Wsparcie dotarło już na miejsce. Kiedy się upewnisz, że obiekt jest w polu widzenia, dam im znać, żeby odcięli telefon. Najważniejsze jest zgranie w czasie. Jeżeli zrobimy to za wcześnie, a on zechce gdzieś zadzwonić, zacznie się zastanawiać, dlaczego telefon nie działa, i zorientuje się, że jest w pułapce.

- Wobec tego zawiadom ich, żeby byli gotowi. - Snajper spojrzał przez lornetkę.

- Obiekt wyszedł na werandę od tyłu.

12.

Gdy wyszli na zewnątrz, Jamie zamknęła za nimi siatkowe drzwi.

- Chcę, żebyś przejął Global Protective Services.

- Przecież obiecałem ci, że wycofuję się z branży.

- Zwalniam cię z tej obietnicy.

13.

- Beta, szykujcie się do odcięcia telefonu - polecił obserwator przez radio.

- Na twój sygnał - usłyszał odpowiedź.

- Bądźcie w pogotowiu. - Obserwator odwrócił się do współnika. - Możesz oddać strzał?

Strzelec leżał na brzuchu, lewą dłonią podtrzymując łożo broni i opierając lewe przedramię na plecaku. Prawą ręką ścisnął kolbę, palec miał na spuście.

Karabin powtarzalny Remington 700 był jednym z najbardziej precyzyjnych modeli snajperskich. Ta ulubiona broń wojsk amerykańskich oraz policyjnych antyterrorystów ze SWAT z absolutną celnością przenosiła pocisk kaliber .308 na odległość ośmiuset metrów. Celownik można było regulować z dokładnością do jednej minuty kątowej. Miękki mechanizm spustowy działał przy nacisku poniżej jednego kilograma. Potężna lunetka miała celownik holograficzny generujący czerwoną plamkę, która padała dokładnie na miejsce, gdzie trafi pocisk. Najnowszej generacji tłumik gwarantował, że snajper nie zdradzi swojej pozycji i nie ściągnie na siebie ognia przeciwnika.

Precyzyjny sprzęt to jednak tylko jeden z elementów składowych strzelania na dużą odległość. Wyszkolenie, doświadczenie, pewność ręki, umiejętność odlewania własnej amunicji oraz regulacji celownika w zależności od dystansu, temperatury, wysokości nad poziomem morza i wiatru, wyniesiona z treningu zdolność kontrolowania oddechu, temperatury ciała, ciśnienia krwi i szybkości bicia serca, wreszcie absolutna koncentracja na jednym ciągłym, pewnym pociągnięciu za spust - dopiero te cechy razem wzięte, choć to i tak nie wszystkie, tworzyły wielkiego strzelca.

- Pytałem, czy możesz oddać strzał? - A ponieważ obserwator nadal nie doczekał się odpowiedzi, spojrzął przez lornetkę i ze złością wciągnął powietrze, widząc, na czym polega problem. - Szlag by trafił, zasłania go ta kobieta.

14.

- Czasami nie słuchasz samego siebie - powiedziała Jamie.
- Dlatego, że nie lubię jednostronnych rozmów.
- Swoimi opowieściami o lamach i strusiach Angelo doprowadził cię do takiego śmiechu, że wyznałeś, że ci go brakuje.
- To była tylko figura retoryczna. Dość tej kłótni, nie wybraliśmy się na zakup mebli.
- Tobie naprawdę go brakuje. Tęsknisz za wszystkimi agentami, z którymi pracowałeś. Tęsknisz za Global Protective Services i...
- Skąd ta pewność? Nigdy nic na ten temat nie mówiłem.
- Czasami widzę ten nieobecny wyraz twoich oczu, jakbyś błędził myślami gdzie

indziej i robił coś w miejscach bardziej pasjonujących niż to tutaj.

- Nie.

- Kiedy ty naprawdę masz taki wyraz oczu. - Jamie wzięła się pod boki i stała zwrócona plecami do zalanego słońcem pastwiska i wschodniego zbocza kanionu porośniętego osikami.

- Przypomina mi tygrysy i lwy zamknięte w klatkach w zoo. W ich oczach maluje się to samo. Powstrzymywana frustracja. Zupełnie jakby wiedziały, że gdzieś tam istnieje lepsze życie, a jednocześnie zdawały sobie sprawę, że nic na to nie poradzą. Ale ty możesz to zmienić.

- Nie ma takiego miejsca, w którym wolałbym być, ani nikogo, z kim chciałbym żyć bardziej niż z tobą.

- Poświęciłeś dla mnie sporą część swojego życia - powiedziała Jamie.

- Ale zobacz, co dostałem w zamian. - Cavanaugh wskazał ręką płynący przez pastwisko strumień, w którym odbijały się promienie słońca, a konie zwieszały łby, żeby się z niego napić.

- Wciąż nosisz nóż i pistolet.

- Świat to niebezpieczna dzielnica.

- I wciąż jeździsz opancerzonym taurusem.

- Bo jest mocny i niezawodny. Ten nieobecny wyraz, który widzisz w moich oczach, to nie tęsknota, tylko nerwowa ulga, że już nie muszę żyć tak jak kiedyś. I zdumienie, że w ogóle tak mogłem.

- Nie rozumiem.

- Ryzykować życie dla ludzi, których nie znałem, a często nawet nie lubiłem. Mawiałem, że mam swoje profesjonalne zasady. Nie będę ochraniał pedofilów ani handlarzy narkotyków, nikogo, kto bez dwóch zdań jest potworem. Ale co z potworami, po których nie widać tego na pierwszy rzut oka? Ten analityk giełdowy, którego ochranialiśmy z Angelem. Trzymał sztambę z firmami, które miał oceniać. Chciwość była dla niego ważniejsza niż zaufanie, jakim obdarzyli go inwestorzy. Wielu ludzi powierzyło mu bezpieczeństwo swoich emerytur, a on nimi gardził. Nienawidziłem tego faceta. W pewnym sensie ucieszyłem się, kiedy doprowadzony do ruiny inwestor spróbował go zaatakować. Tak, Angelo i ja dopilnowaliśmy, żeby włos mu z głowy nie spadł, ale gość się wystraszył jak cholera, a ja się napawałem jego strachem. Tylko że tak nie można. Ochroniarz musi być całkowicie oddany klientowi. W razie konieczności musi być gotów za niego umrzeć.

Oczy Jamie zareagowały.

- Dopiero teraz, kiedy już jestem od tego z daleka, uświadamiam sobie, jak wielu klientów nie zasługiwało na to, żebym ryzykował dla nich życie - ciągnął Cavanaugh.

- Wyróżniało ich wyłącznie bogactwo albo władza, ewentualnie byli nieprzeciętnie atrakcyjni. Zatrzucało ich to, dzięki czemu byli jedyni w swoim rodzaju.

- Nie wszyscy - zaprotestowała Jamie. - Mówiłeś mi, że niektórzy klienci byli niesamowici. O kilku powiedziałeś, że to święci.

Na chwilę Cavanaugh zatęsknił za swoim dawnym życiem.

- Był taki jeden polityk, myślałem, że on może wszystko zmienić. Niestety, jego partia wybrała na kandydata kogoś, kto dobrze wyglądał w telewizji. Był też taki miliarder, który powiedział mi: „Przez całe życie wyciągałem pieniądze z systemu. Teraz je zwracam”. Miał fascynujące plany, jak spożytkować swój majątek na poprawę edukacji. Ale nagle zachorował na raka, umarł, a spadkobiercy zaczęli się handryczyć o schedę. Był też komik, który większość czasu poświęcał na koncerty dobroczynne w szpitalach dziecięcych.

- A jaki jest minus tej historii?

- Szczerze mówiąc, nie ma. On wciąż daje koncerty dobroczynne, zasilając fundusze szpitali dla dzieci.

- Kto chciałby skrzywdzić takiego człowieka?

- Kilku fanów miało na jego punkcie obsesję. Poza tym menedżer komika wpadł w szewską pasję, bo wyleciał na zbity pysk, kiedy wyszło na jaw, ile forsy podprowadził z funduszy szpitalnych. No i w Meksyku jacyś porywacze próbowali uprowadzić tego artystę dla dziesięciomilionowego okupu.

- Masz rację. Świat to niebezpieczna dzielnica. - Jamie wzięła głęboki oddech.

- Ale właśnie trafia ci się rzadka okazja, żeby wszystko naprawić. Możesz zostać odpowiednikiem tego miliardera, o którym wspomniałeś.

- Nie rozumiem.

- Może udałoby ci się zmienić sposób prowadzenia interesów przez Global Protective Services. Zabierać bogatym i dawać biednym. Wiesz, zaciśnij zęby i ochraniaj ludzi, których nie lubisz, żeby firmę było stać na zapewnianie ochrony tym, którzy na to zasługują.

Cavanaugh przyglądał jej się uważnie.

- To by oznaczało koniec tego wszystkiego. - Wskazał kanion. Próbował nie spoglądać na śmigłowiec i wszystko, co symbolizował.

- Możemy tu wrócić w każdej chwili.

- My?

- Chyba nie sądzisz, że puściłabym cię samego.

- A może to nie mnie nosi, tylko ciebie?
- Wierz mi, kochany, nie dlatego, że szukam innego faceta. Ale szczęście to chyba nie wszystko. Może człowiekowi potrzeba poczucia, że jest komuś przydatny.

15.

- Ona się wcale nie rusza. - Obserwator patrzył przez lornetkę na kobietę na werandzie zwróconą do niego plecami.

- Widzę jego głowę.

- Za nią? Guzik prawda. Ja widzę tylko jego ręce, wymachujące po jej bokach, kiedy gestykuje. Ale głowa? Nie da rady. Pod tym kątem zasłania ją dach werandy.

- Mówię ci, że widzę czubek jego głowy, ze dwa, trzy centymetry.

- Gwarantujesz, że strzał będzie śmiertelny?

- Nie.

- A może by tak na przestrzał? Przez nią?

- Pamiętasz zabójstwo Kennedy'ego? - zapytał snajper.

- Czy ty mnie masz za starca?

- Jedna kula odbijała się rykoszetem tam i nazad, w najbardziej nieprawdopodobny sposób. Zarobił i Kennedy, i gubernator Connally.

- Jasne, magiczna ślizgająca się kula... jeżeli w głupocie swojej ktoś jeszcze wierzy, że Oswald strzelał sam.

- Chcę przez to powiedzieć, że mogę jej strzelić w kark pod takim kątem, żeby pocisk przeszedł przez tkankę miękką na wylot i utkwiał mu w klatce piersiowej. Ale kula równie dobrze może trafić w górną część kręgosłupa, zmienić tor lotu, drasnąć zebro i wbić się w słupek, przy którym stoją.

- Czyli nie gwarantujesz, że strzał będzie śmiertelny?

- Nie, nawet gdyby pocisk przebił ją na wylot i trafił go w pierś.

- Ale wtedy by padł, a masz więcej nabojów w karabinie. Jak szybko możesz wprowadzić do komory nowy nabój?

- Dużo szybciej niż ten fiut Oswald. Czekaj. Ona się odsuwa. Mam czysty strzał. Będzie tak samo jak wtedy w Rzymie.

- Beta - rzucił obserwator do radia. - Odetnijcie telefon.

16.

W gabinecie William wystukał numer na swoim telefonie komórkowym, odczekał jakiś czas, ale nikt nie odebrał. Wstał zniecierpliwiony, wyszedł z pokoju, przemaszerował przez salon i zajrzał do kuchni.

Angelo przyglądał się, jak pani Patterson wyjmuje ciasto z pieca.

- Pachnie jak w Święto Dziękczynienia.

Zadzwoił telefon.

William, który nie lubił placka z dyni, rozejrzał się po sprzętach z nierdzewnej stali w skądinąd rustykalnej kuchni.

- Załatwiliście już, co mieliście do załatwienia? - spytała pani Patterson.

- Naradzają się. - William spojrział na ekrany monitoringu na blacie obok siebie.

Telefon zadzwonił po raz drugi.

Pani Patterson podeszła do aparatu wiszącego na ścianie obok lodówki i zdjęła słuchawkę.

- Halo? Witaj, Tino. Jak tam Brian, dalej przeziębiony? Bałam się, że może mu się pogorszyć i... Halo...? Tina?

- Jakiś problem? - zainteresował się Angelo.

- Coś przerwało połączenie.

- Czy ci ludzie mają prawo przebywać na terenie posiadłości? - zapytał ostro William.

- Jacy ludzie? - Angelo odwrócił się.

- Ci na ekranie telewizora.

17.

Cavanaugh wzdrygnął się, słysząc trzy strzały. Zza pleców. Z drugiej strony werandy. Z kuchni - tyle tylko zdążył pomyśleć, zanim zadziałał jego refleks.

Nawet najbardziej zaprawieni w boju agenci, przyzwyczajeni do tego, że wokół nich świstają kule, nie są w stanie opanować tego odruchu. Chwycił Jamie i rzucił się w bok, szukając jedynej możliwej osłony - ściany domu. W tej samej chwili poczuł, jak coś przeleciało tuż obok niego i wbiło się w podłogę werandy tak, że posypały się drzazgi.

Dwaj strzelcy. Jeden w kuchni. Jeden na grani.

Skulony, obejmując Jamie z całej siły, cofał się, aż wpadli przez siatkę zakrywającą okno jego gabinetu. Okno było podniesione. Czubkiem głowy musnął drewnianą framugę. Nie wypuszczając Jamie z objęć, runął na podłogę.

- Cavanaugh! - ryknął Angelo.

William i pani Patterson także go wołali. Usłyszał tupot kroków, jacyś ludzie biegli do gabinetu.

Ale jego obchodziła tylko Jamie.

- Nic ci się nie stało?!

Nie odpowiedziała.

- Jamie!

- Nic mi nie jest. Straciłam oddech.

Cavanaugh wytoczył się spodniej i szybko omiótł ją wzrokiem, szukając krwi.

- Co się dzieje? - zapytała.

Angelo i reszta towarzystwa wpadli do gabinetu.

- Cavanaugh?

Wyciągnął pistolet spod koszuli.

- Kuchnia? Kto strzelał w...

- Ja. Trzy razy w ścianę. - Angelo trzymał swój pistolet.

- Obcy na terenie. Telefon odcięty. Nie wiedziałem, jak inaczej cię ostrzec.

- Wschodni stok. Snajper - powiedział Cavanaugh.

- Nie słyszałem żadnych strzałów z tamtej strony.

- Na pewno używa tłumika. William, mam nadzieję, że potrafisz obchodzić się z bronią.

- Nie strzelałem nawet w najgorszych koszmarach sennych.

- No to czas się nauczyć.

18.

- Ty durny palancie! Tak żeś się przechwalał, a spudłowałeś! - warknął obserwator.

- Hej, to nie moja wina! Skąd miałem wiedzieć, że ktoś tam zacznie strzelać? Nie mogłem przewidzieć, że obiekt się...

- Dość tych tłumaczeń! Jak chcesz to naprawić?!
 - Zaczekam na okazję do drugiego strzału.
 - Myślisz, że jak gdyby nigdy nic wyjdzie na dwór i się wystawi, skoro już wie, że jest na celowniku? - dociął mu obserwator.
 - Może zwieje do samochodu. Albo do śmigłowca. Jasny gwint, przecież musi coś zrobić. Wie, że jest w pułapce. Nie ma jak wezwać pomocy. Prędeż czy później...
 - Ma zapas jedzenia. I wody. Może tam siedzieć całymi dniami. A my nie przygotowaliśmy się na jakieś pieprzone oblężenie.
 - Więc tobie też zdarzają się błędy, co?
 - Jesteś jednym z nich. Załatw to jak należy!
- Strzelec westchnął zniecierpliwiony, sięgnął do plecaka i wybrał pudełko amunicji. Odciągnął rygiel remingtona i wyrzucił z karabinu pozostałe dwa naboje. Potem załadował cztery pociski wyjęte z nowego pudełka. Każdy z nich miał czerwony czubek.
- Pociski smugowe?
 - Zapalające. Wziąłem je na wypadek, gdyby trzeba było strzelać w nocy. Z tego samego powodu mam też celownik na podczerwień. Jeśli spróbuje uciec, kiedy się ściemni, to go załatwię.
 - Ale ciemność zapadnie dopiero za cztery godziny!
 - Nieważne. - Strzelec wycelował w wielki biały zbiornik obok komórki, oddalony od domu o niecałe pięćdziesiąt metrów.
 - Wywabię obiekt z domu, wystarczy, że wpakuję taką kulkę w ten zbiornik propanu. Kurde, wybuch zrówna wszystko z ziemią.
 - Nie. Ani się waż! - Obserwator był przerażony.
 - Co jest grane?
 - Sąsiedzi w okolicznych dolinach są przyzwyczajeni do strzałów na tym terenie. Ale wybuch postawi na nogi całą policję i wszystkie służby ratunkowe stąd do Jackson.
 - Co racja, to racja. Dobra, mam inny sposób. - Strzelec wziął teraz na cel dom.
 - Zawiadom Betę, że za kwadrans obiekt wyjdzie na zewnątrz.

19.

Serce Cavanaugha łomotało, gdy pędził przez salon. Gwałtownie otworzył drzwi obok

rozklekotanego pianina. Wyciągnął karabin półautomatyczny AR-15 - cywilną wersję M-16. Wraz z mieszczącym trzydzieści nabojów magazynkiem podał go Angelowi.

- Pilnuj od frontu.

- Załatwione.

- Zaczekaj. Weź to. - Cavanaugh rzucił mu krótkofalówkę, którą ściągnął z półki.

Gdy Angelo pobiegł do okien frontowych, Cavanaugh wyciągnął następną AR-15.

- Ja stanę od wschodu, spróbuję namierzyć snajpera. Pani Patterson, proszę się schować do piwnicy.

- Nie. Niech mi pan powie, jak mogę pomóc.

- Nie mieszając się do tego.

- Nie będę się chowała. - Głos kobiety drżał ze strachu. - W szufladzie w kuchni jest rewolwer. Nauczył mnie pan, jak się nim posługiwać.

- Nie wolno się pani wychylać! - ryknął Cavanaugh, gdy pobiegła do kuchni. - Ani rozstawać się z krótkofalówką! Jamie?!

- Ja obstawię tył - powiedziała.

Z braku kolejnych AR-15 Cavanaugh dał jej rugera mini-14 - ulubiony przez ranczerów karabin półautomatyczny. Spojrzał jej głęboko w oczy, modląc się, żeby nie zginęła.

- Możesz na mnie liczyć - obiecała.

Dotknął jej dłoni.

- Wiem.

Gdy chwyciła pudełko amunicji i odbiegła, poczuł, że coś ściska mu gardło.

- William, idziesz ze mną. - Cavanaugh pociągnął prawnika z powrotem do gabinetu. - Ten budynek jest zbudowany z tak grubych bali, że kule ich nie przebijają, możemy się tym nie martwić. To dobra wiadomość.

- Mam rozumieć, że w większości domów kule potrafią przebić ściany? Rany boskie, a jaka jest zła wiadomość?

- Jedynym celem dla snajpera są okna. To na nich musi się skupić.

- Więc jak mamy wyjrzeć i sprawdzić, czy nas atakują?

- Stań z boku. Nie wysuwaj głowy w światło okna. Wyglądaj pod kątem. - Cavanaugh skierował te słowa do krótkofalówki. - Słyszała to pani? - zapytał panią Patterson.

- Tak. - Jej głos przebił się przez zakłócenia.

- Angelo, widzisz coś?

- Nada - dobiegło z krótkofalówki.

- Jamie?

- U mnie czysto.

- Pani Patterson?

- Nic.

- A ekrany monitoringu?

- Widzę tylko krzaki i drzewa.

- Może już po wszystkim. - Oddychając ciężko, William kucnął obok Cavanaugha pod ścianą gabinetu. - Ten snajper, który do ciebie strzelał. Skoro nie trafił, może już się wyniósł.

Cavanaugh przysunął się ostrożnie do nieuszkodzonego okna od wschodu, tego za biurkiem, i próbował dojrzeć, gdzie snajper mógł się ukryć na porośniętej osikami grani.

Gdy podkraśl się bliżej, siatka na oknie wybrzuszyła się do środka. Coś przeleciało przez pokój i uderzyło w skórzany fotel, na którym wcześniej siedział William. Rozżarzony przedmiot przebił oparcie fotela i utkwiał w ścianie. Pojawił się dym.

- Snajper wali pociskami zapalającymi! - wrzasnął Cavanaugh.

Odczołgał się, żeby nie można go było trafić przez okno, dotarł do szafy, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wyciągnął gaśnicę. Wycelował dyszę w płomień wijące się nad fotelem oraz przy ścianie i nacisnął dźwignię.

W kierunku ognia wytrysnęła gryząca chmura proszku i zdusiła pożar.

- Wciąż nic. - W krótkofalówce zatrzeszczał głos Angela.

- U mnie tak samo - rozległ się głos pani Patterson.

- Nikogo - zameldowała Jamie.

- Z całą pewnością używa pocisków zapalających! - powtórzył Cavanaugh. - Ale nie widzę, skąd padają!

Trzasnęło jak z bicza i kolejny pocisk przebił siatkę w oknie, tym razem rozbijając lampę. Pojawiło się więcej dymu. Cavanaugh znów nacisnął dźwignię gaśnicy i na płomień trysnęła kolejna chmura proszku.

William, któremu dym zaatakował gardło i płuca, zaniósł się kaszlem.

- Pani Patterson - powiedział Cavanaugh do krótkofalówki. - W kuchni jest gaśnica. Proszę ją mieć w pogotowiu.

Snajper na grani znów odsuwał rygiel karabinu, wprowadzając nowy nabój do komory.

- Sprytnie - pochwalił obserwator, patrząc przez lornetkę na mgłę spowijającą pokój na parterze.

- Dopiero się rozkręcam. Patrz, teraz okno na poddaszu z tej strony. - Snajper przesunął karabin i wycelował w szczyt budynku. Swobodnie, jak przystało na starego praktyka, pociągnął za spust i zamortyzował odrzut broni, a tłumik wydał odgłos przypominający uderzenie pięścią w poduszkę. Nie odrywając oka od potężnej lunetki celownika, zobaczył, jak w oknie na poddaszu wykwitła dziura. - Podawaj mi amunicję.

- Dalej zapalające? - upewnił się obserwator.

- A jakie? Nie lubiłeś się bawić zapalkami, kiedy byłeś dzieckiem?

- Nie, wystarczyło mi okaleczanie zwierząt.

- Okaleczanie...? Żartujesz, no nie?

- Oczywiście.

- Chłopie, czasami mnie martwisz. - Snajper wystrzelił kolejny nabój i szybko przeładował broń.

Niesamowicie płynną, szybką serią podziurawił pociskami zapalającymi wszystkie okna na pierwszym piętrze po wschodniej stronie domu.

21.

Gdy mgła proszku z gaśnicy opadła, Cavanaugh polecił:

- Skupił się na tym oknie. Nie mogę ryzykować i wystawiać głowy. Idziemy. - Pociągnął Williama do wyjścia.

Gdy weszli do salonu, zobaczył, jak Jamie kuca przy siatkowych drzwiach wychodzących na tył domu i obserwuje łąki i szczyt z boku od północy; gruba drewniana ściana chroniła ją przed kulami. Zwrócił uwagę, że teraz miała pistolet w kaburze na prawym biodrze.

- Konie czują, że coś się dzieje, nawet jeśli nie słyszą wystrzałów - powiedziała.

- Oby nie zrobił im nic złego. - Cavanaugh słyszał, jak rzą ze strachu. Nagle uświadomił sobie, że najlepszą taktyką dla strzelca jest właśnie zaatakowanie koni. Zranić je, ale nie zabić. Niech wyją z bólu. Niech Cavanaugh wpadnie w szal. Zmusić go, żeby zrobił

coś głupiego.

O, nie! Próbował ukierunkować przepływ adrenaliny, skłonić ciało, żeby robiło to, co konieczne, uwolnić się od wszelkich myśli i uczuć, które nie były bezpośrednio związane z tym, czy przeżyje.

- Chodź, William.

Minął długi stół i doszedł do schodów.

- Zjrzę na piętro, może stamtąd uda mi się go trafić - zwrócił się do Angela, który stał przy siatkowych drzwiach i obserwował sosny na południu.

- Wiemy, że snajper ma kumpli. William widział ich na ekranie - powiedział Angelo. - Dlaczego nic nie robią? Na co czekają?

Cavanaugh zatrzymał się na schodach. Z góry doleciał go cichy stukot i stłumione trzaski, jakby ktoś zgniatał gazetę.

- William, pędź z powrotem do gabinetu po gaśnicę.

- A jeśli on dalej strzela do tego pokoju?

- Już nie. I weź też gaśnicę z kuchni.

- Skąd wiesz, że nie będzie strzelał do gabinetu?

Cavanaugh usłyszał na górze kilka kolejnych stuków. Trzaski przybrały na sile.

U szczytu schodów pojawił się dym.

- Bo teraz wali w okna na piętrze! - Popędził na górę. - Dawaj gaśnicę! Sypialnie płoną!

Zlany potem, usłyszał, jak przerażone konie galopują przed domem. Parskały, oszalałe ze strachu. Gdy wbiegł na piętro, zobaczył, że z czterech sypialni po wschodniej stronie domu sączy się dym.

Ze schodów doleciały gorączkowe odgłosy - to William wpadł na podest, dźwigając dwie gaśnice.

- Bierz jedną sypialnię, ja drugą! - Cavanaugh odłożył karabin i chwycił gaśnicę.

Ze ściany na końcu korytarza po jego prawej ręce posypały się odłamki. Pocisk wleciał przez okno sypialni, przebił wewnętrzną ścianę na wylot - była normalnej konstrukcji, nie tak gruba jak zewnętrzne. Rozpryskując drzazgi i gips, śmignął korytarzem i utkwił w ścianie po przeciwnej stronie.

Następna kula przebiła bliższą ścianę.

- Jezu, trafi nas! - zawołał William.

- Kładź się! - polecił Cavanaugh.

Ledwo padli na podłogę, kolejna kula przebiła ścianę nad nimi, zasypując ich

okruchami gipsu i drzazgami.

- Coś mnie pali! - poskarżył się William.

Cavanaugh zobaczył na jego karku rozżarzony węgielek, a drugi we włosach; nad nimi tańczyły smużki dymu. Strząsnął je w tym samym momencie, gdy pocisk trafił w sypialnię po lewej i ze ściany posypał się gruz.

- Celuje wzdłuż tej strony budynku, raz z jednej, raz z drugiej - powiedział.

Buch! Ze ściany nad ich głowami wystrzeliła następna kula. Dym był coraz gęstszy.

W chwili gdy pocisk przebił ścianę po prawej, Cavanaugh zerwał się na nogi.

- Szybko, zanim zaczniesz strzelać w tę stronę!

William wskoczył do sypialni po lewej, a Cavanaugh wpadł do tej na wprost siebie. Krztusząc się od dymu, nacisnął dźwignię - z gaśnicy wydobył się syk i środek gaśniczy spowił płomienie. Trzymając otwarty zawór, patrzył, jak ogień przygasa. Usłyszał, że pocisk trafia w ostatnią sypialnię po prawej. Nadal rozpylał proszek, kiedy następny pocisk przeleciał przez sypialnię tuż obok niego.

- William, kładź się! - krzyknął w kierunku pokoju po lewej, zwolnił dźwignię gaśnicy i rzucił się na podłogę. Pocisk śmignął tuż nad jego głową.

- William!

- Leżę! Położyłem się! - dobiegła go odpowiedź w chwili, gdy pocisk zapalający wpadł do sypialni po lewej.

Cavanaugh czekał w napięciu, aż kolejne kule przeszyją ścianę budynku. Ale w tej regularnej serii coś się zacięło. Z jednej sekundy zrobiły się dwie, potem trzy.

Przerwa się przedłużała. Cztery. Pięć.

- Może skończyła mu się amunicja? - podsunął William.

- Albo liczy na to, że stracimy czujność.

Cavanaugh opryskał z gaśnicy ścianę i zaniósł się takim kaszlem, że musiał się odsunąć od dymu. Wytoczył się chwiejnie na korytarz i ze zdumieniem zobaczył, jak prawnik - rozczochrany, z umorusaną twarzą i w pomiętym garniturze - gasi pożar w sypialni po lewej.

- No i co się tak gapisz? - burknął William. - Nie wiedziałeś, że w piekle prawnicy czują się jak u siebie w domu?

Cavanaugh już miał się uśmiechnąć, lecz grymas zamarł mu na ustach, gdy spojrzał w górę i zobaczył sączący się z sufitu dym.

- No nie.

- Co jest? - William wycelował swoją gaśnicę.

- Poddasze się pali!

Podbiegł do włazu w suficie, sięgnął po zwisający z niego krótki sznurek i pociągnął. Ledwo rozłożyły się schody, odskoczył przed płomieniami, które uniemożliwiały wstęp na poddasze. Kaszłąc, wraz z Williamem rozpylił proszek gaśniczy. Gdy mgła rozwiała się na chwilę, zobaczył, że ogień przygasa. Drąc się na całe gardło, wszedł na schody, z wycelowaną gaśnicą w rękę. Płomienie mały.

Wdrapał się wyżej i przyskając z gaśnicy, usiłował nie zwracać uwagi na żar.

Nagle gaśnica przestała syczeć. Zaklął, wrzucił pusty pojemnik do ognia i odwrócił się do Williama.

- Dawaj swoją!

- Jest pusta!

- Nie! - Cavanaugh miał wrażenie, że lada chwila pęknie mu podrażnione przez dym gardło.

Płomienie przegrupowały się i zbliżyły z rykiem.

Sytuacja się odwróciła - teraz to William ciągnął jego.

Z poddasza buchał coraz większy żar; Cavanaugh ze złością zszedł o schodek niżej.

- Nie możemy tu zostać! - William pociągnął go mocniej.

Cavanaugh stanął na podeście i z rozpaczą spojrzął na ogień w sypialniach.

Wśród kłębow dymu William mruknął coś o „pięciu pozostałych gaśnicach”.

- Tyle nam nie wystarczy.

- To ci się przyda.

- Przyda mi się...?

- To. Odłożyłeś go.

Cavanaugh zamrugał piekącymi oczami i zobaczył, że William podaje mu karabin.

- A, tak - przyznał. - Na pewno mi się przyda.

22.

Wśród sosen od południowej strony mężczyzna w bejsbolówce patrzył przez lornetkę na dym i płomienie buchające z górnych okien domu.

- Smaży się, że aż miło, Alfa - powiedział do mikrofonu przyczepionego do kołnierzyka koszuli. - To już nie potrwa długo.

- Beta, czy twoja grupa zajęła pozycje? - zapytał obserwator.

- Z każdej strony.
- Wiedzą, że mają się trzymać w ukryciu?
- Tak jest. Nie ma sensu się zbliżać, skoro obiekt sam nam wyświadczy tę grzeczność i opuści kryjówkę. Ale w zamieszaniu może być kłopot z odróżnieniem go od pozostałych.
- Nawet nie próbujcie. Załatwcie wszystkich.
- Alfa, powtórz.
- Wszystkich. Zabijcie ich wszystkich - rozkazał obserwator.
Po drugiej stronie łąki, na wschodnim skraju dachu, drewniane dachówki gwałtownie zajęły się ogniem.

23.

Twarz Cavanaugha ociekała zmieszaniem z sadzą potem, kiedy pędził z Williamem po schodach na parter.

Angelo nadal stał przy drzwiach frontowych i wyglądał na zewnątrz.

- Ani widu, ani słyhu.

Cavanaugh odczepił od pasa krótkofalówkę.

- Jamie? Pani Patterson?

Odpowiedziały natychmiast. Ich głosy zakłócał elektroniczny szum, ale usłyszał, że u nich także nic nie widać.

- A ekrany monitoringu?

- Już nie działają - poinformowała pani Patterson.

- Co takiego? - Angelo pstryknął włącznik światła na ścianie. Bez rezultatu.

Pozbawiono ich elektryczności.

- Ogień za szybko się rozprzestrzenia - rzekł Cavanaugh. - Zaraz trzeba będzie się zbierać.

- Wystrzelają nas - zaprotestował William. - A piwnica? Możemy się w niej schować?

- Nie. Ogień pozbawi nas tlenu. Udusilibyśmy się. Albo budynek się zawali i nas przygniecie.

- Śmigłowiec?

- Za daleko - odparł Cavanaugh.

- Hej, ja przynajmniej robię, co mogę - poskarżył się William. - Nie podobają ci się

moje pomysły, to zaproponuj coś lepszego.

Jamie, pilnująca korytarza z drugiej strony, usłyszała strzępy ich rozmowy.

- Bliżej mamy do samochodu - dobiegł z krótkofalówki jej głos. - Jest opancerzony.

- A widzisz - rzekł William. - Co ty na to?

Schodami spłynął dym, z góry dobiegało trzaskanie ognia.

- Jeżeli zostaniemy tu jeszcze trochę, będziemy musieli zmoczyć głowy i ubrania i oddychać przez mokre ręczniki - ostrzegł Cavanaugh.

Słyszając to, pani Patterson odezwała się z kuchni przez krótkofalówkę:

- Bez prądu pompa ze studni nie działa. W kranach nie ma wody.

William jęknął.

Sześćdziesięcioletni niepewny głos pani Patterson wciąż dobiegał z krótkofalówki:

- Zbiorniki w toaletach. Zbiorniki w toaletach to nasz jedyny zapas wody.

- Gdzie są kible? - zapytał stanowczo William.

- Jeden obok kuchni - wyjaśnił Cavanaugh. - Drugi przy moim gabinecie. Angelo, teraz ja popilnuję od frontu. Idź z nim. A wracając, przynieś mi z szafy na broń kamizelkę kuloodporną.

Oparł się o frontową ścianę z drewnianych bali i zobaczył taurusa zaparkowanego przed domem. Samochód zwrócony był do niego bokiem od strony pasażera, nie kierowcy. Stał w odległości sześciu metrów. Gdyby tak pobiegł skulony...

Angelo wrócił z mokrym ręcznikiem na szyi. Woda kapła mu na ubranie.

- Masz kamizelkę. Domyślałam się, że chciałeś pancerną, a nie z kevlaru.

Cavanaugh zrozumiał, o co mu chodziło. Włókna kevlarowe miały na celu zatrzymanie kuli z pistoletu, ale wobec szybkostrzelnych karabinów były bezużyteczne - przed tymi chroniły tylko metalowe płyty prawdziwych kamizelek pancernych.

Wziął kamizelkę od Angela i z rozpaczą zważył ją w ręku. Ależ ciężka!

- Ugotujesz się, jeśli będziesz tak stał i dumał - rzekł Angelo.

- Że co?

Cavanaugh odwrócił się i stwierdził, że pochłonięty własnymi myślami nie zauważył, iż ogień pełźnie w dół schodów. Płomienie lizały sufit. Żar zbijał z nóg.

- Nie mamy czasu. Jamie! - rzucił do krótkofalówki. - Pani Patterson. Chodźcie do frontowego wyjścia. Wynosimy się. William, weź mój karabin.

- Nie chcę go. - Prawnik też miał na szyi mokry ręcznik; jego jeszcze niedawno pięknie skrojony garnitur był teraz przemoczony i w oplakany stanie.

- Na miłość boską, rób, co mówię. Muszę mieć wolne ręce. - Cavanaugh zapiął grubą

kamizelkę. - W komorze jest nabój. Musisz tylko wycelować i pociągnąć za spust. Ale nie postrzel kogoś z nas.

Wyszarpnął z kieszeni kluczyki do samochodu i nacisnął przycisk pilota otwierający drzwi. Kolejnym przyciskiem odpalił silnik.

Odetchnął głęboko. Gorące powietrze ostrzegło go, że nie można dłużej zwlekać. Na schody spadł kawał płonącego drewna.

Jazda! - krzyknął w duchu.

24.

Uginając się pod ciężką kamizelką, wyważył barkiem siatkowe drzwi, zeskoczył z werandy i natychmiast puścił się biegiem. Utkwił wzrok w drzwiach po stronie pasażera. Gdy sięgał do klamki, coś mu świsnęło koło ucha. A ledwo otworzył drzwi, trafiła w nie kula i jedynie dlatego nie przeszła na drugą stronę, że samochód był opancerzony.

Następna wyrznęła w jego kamizelkę, dokładnie między łopatkami, tak że poleciał do przodu. Jęknął, ale nie rozpraszał się, tylko wskoczył szczupakiem do wozu i położył się na siedzeniach, gdy grad kul zasypał otwarte drzwi. Odpryski sypnęły mu w oczy. Odwrócił głowę, wrzucił bieg wsteczny i nacisnął pedał gazu. Kamizelka ścisnęła mu pierś. Bolały go plecy.

Wzbijając tumany pyłu, samochód wyrwał do tyłu, oddalając się od domu. Kule z ostrym trzaskiem odbijały się od przodu, tyłu i z boku pojazdu po stronie kierowcy i waliły w szyby. Próbując nie zwracać na nie uwagi, Cavanaugh przestawił dźwignię biegów na jazdę do przodu, skręcił w kierunku domu i na pełnym gazie podjechał do werandy, niemal kosząc jej schodki. Zatrzymał się pod takim kątem, żeby tył samochodu znajdował się bliżej werandy niż przód, dając dodatkową osłonę, podobnie jak otwarte przednie drzwi po stronie pasażera.

Bez tchu, niezdarnie w uciskającej go kamizelce, sięgnął do tyłu, namacał klamkę i otworzył tylne drzwi od strony werandy.

- Wskakujcie! - ryknął.

Na widok płomieni wewnątrz budynku zdał sobie sprawę, że nie musiał ich popędzać. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, Jamie wybiegła z panią Patterson, a za nimi Angelo popychał Williama. Mokre ręczniki na ich głowach parowały.

Całą grupą popędzili przez werandę. Jamie wepchnęła panią Patterson na przednie

siedzenie, a Angelo wpakował Williama na tylne i wgramolił się za nim.

- Moja ręka! - wrzasnął. - Mierda!

Jamie usiadła z przodu obok pani Patterson i zatrzasnęła drzwi. Angelo zrobił to samo z tyłu.

- Mocno oberwałeś?! - zawołał Cavanaugh do Angela, ruszając na pełnym gazie. Musiał krzyczeć, bo odgłos kul bębniących w samochód brzmiał jak grad.

- Tylko draśnięcie! Mogę ruszać ręką! Hijo de puta, ale krwawi!

Jamie otworzyła schowek, wyciągnęła rolkę taśmy izolacyjnej i rzuciła ją Angelowi.

- Przyjaciel rewolwerowca. - Angelo podał Williamowi swój karabin, odpiął nóż od kieszeni spodni, kciukiem wysunął ostrze i odciął lewy rękaw koszuli.

Cavanaugh kątem oka dojrzał, jak Angelo owija taśmą ranę, a tymczasem taurus pędził przez łąkę zasypywany gradem kul.

- Zapnijcie się! - polecił, zmagając się ze swoim pasem.

Na kuloodpornych szybach wykwitły gwiazdki. Zbrojone szkło zatrzymuje kule, które padają daleko od siebie, ale może pęknąć, jeśli kilka pocisków trafi w to samo miejsce. Widząc, że gwiazdek przybywa, Cavanaugh się skrzywił.

Nagle zaniepokoiło go coś innego. Zacisnął dłonie na kierownicy, czując, jak prawa przednia opona zadrżała od uderzenia pocisku. Z dziurą od kuli opona mogła przejechać najwyżej osiem kilometrów, zanim całkiem sflaczeje. Ale powtarzające się uderzenia kul to już inna sprawa.

Przecież te opony są wzmocnione, wmawiał sobie. Nic im nie będzie, jest dobrze, wytrzymają.

Strzelcy ukryci wśród drzew nie mieli karabinów z tłumikami. Po lewej konie galopowały jak oszalałe, zgiełk kanonady był nie do zniesienia.

- Ktoś ich usłyszy i wezwie policję - powiedział William.

- Najbliźsi sąsiedzi mieszkają jakieś dwa kilometry stąd. Na okrągło słyszą, jak tu strzelamy. - Cavanaugh dodał gazu, wzbijając chmurę pyłu. - To prywatny kanion. Zbocza wygłuszają odgłosy. Nikt nie zwróci na to uwagi.

- Ale zobaczą dym i ściągną władze - upierał się William.

- Minie dużo czasu, zanim dym wzbije się ponad kanion. A jeszcze więcej, zanim dotrze pomoc.

- Nie mógłbyś choć raz w życiu mnie okłamać?

Konie dobiegły do drzew po lewej i w popłochu skręciły ostro.

Nawet się nie ważcie ich tknąć! - Cavanaugh ostrzegł w duchu strzelców między

drzewami.

Oszalałe ze strachu pędziły teraz wprost na taurusa. Na przedniej szybie pojawiły się kolejne rozpryski od kul. Cavanaugh wjechał między drzewa - przecinka powinna go wyprowadzić na szosę. Bał się tylko, żeby nie przejechać koni, które zamierzały przeciąć im drogę.

Trysnęła krew, siła zderzenia wyrzuciła konia w powietrze, a potem poturlał się po ziemi.

Wściekły Cavanaugh wyminął go poślizgiem i skierował taurusa w lukę między drzewami. Teraz już strzelcy po wschodniej i zachodniej stronie kanionu nie widzieli samochodu. Zagrożenie stanowili tylko ci w lesie od południa. Przednia lewa opona była jak z gąbki, tak samo zresztą jak prawa, ale przecinka miała zaledwie czterysta metrów długości.

Zaraz wyjedziemy na szosę, pomyślał z nadzieją. Pokonał gęsto zadrzewiony zakręt, nacisnął przycisk otwierający bramę, ale uświadomił sobie, że to na nic - odcięto im dopływ prądu.

Rozmyślania przerwał mu widok furgonetki zaparkowanej w poprzek przecinki.

Gęsty las po obu stronach nie pozwalał jej ominąć. Będzie musiał ją staranować, uderzając w jej najłżejsze miejsce - w zderzak za tylną osią. Masa opancerzonego taurusa wystarczy, żeby przesunąć furgonetkę i umożliwić przejazd. Nacisnął przycisk wyłączający poduszki powietrzne w taurusie i w tej samej chwili zauważył, jak niski prześwit ma furgonetka. Była wyładowana czymś wyjątkowo ciężkim.

Nie dam rady zepchnąć jej z drogi.

Zza furgonetki wyszedł jakiś facet, wypalił w przednią szybę taurusa i wnętrze samochodu zasypały odłamki szkła. Cavanaugh wcisnął hamulec w podłogę; zatrzymał wóz tak gwałtownie, że mimo pasów bezpieczeństwa pasażerowie polecili do przodu. Wrzucił bieg wsteczny i szybko zaczął się cofać.

Kula przebiła przednią szybę.

- Kłaść się!

Wciąż jadąc na biegu wstecznym, wziął zakręt i dotarł do miejsca, gdzie przecinka się rozszerzała. Zdjął nogę z gazu, jednocześnie przekręcając kierownicę o ćwierć obrotu. Taurus obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, ocierając się o pień drzewa. Teraz byli przodem do kierunku jazdy. Cavanaugh zmienił bieg i wcisnął gaz do dechy. Ziemia spod tylnych kół sypnęła na ścigającego ich strzelca, który celował do opon taurusa, ale w chmurze pyłu nie trafił.

Cavanaugh wiedział, że tylne opony wkrótce też będą przebite. Sflaczałe przednie i

tak już utrudniały mu kierowanie. Zawracanie w miejscu o sto osiemdziesiąt stopni też nie wyszło im na zdrowie. Gdy wyjechał z lasu na łąkę, poczuł, że przednie koła siadły na plastikowych pierścieniach, które zamontował na środku każdej obręczy. Pozbawiony osłony normalnych miękkich opon taurus podskakiwał i tańczył na wybojach.

- Zabijemy się! - zawołał William.

- Nic z tego! - Cavanaugh spojrział przez rozbitą szybę. Cały dom stał w ogniu.

Gęsty dym nie wzbijał się w górę, lekki wiatr pędził go nisko przy ziemi w kierunku samochodu.

- Podaj mi karabin, który ci dałem! - krzyknął do Williama, gdy się zbliżyli do ognia.

Sięgnął do tyłu, wziął broń i polecił Jamie:

- Zamień się miejscami z panią Patterson! Bądź gotowa w każdej chwili przejąć kierownicę!

Kierując się na lewo od płonącego domu, wjechał w dym - tak gęsty, że nic przed sobą nie widział.

Jamie przelazła nad panią Patterson i wcisnęła się obok niego.

- Angelo, patrz na zegarek! - ryknął Cavanaugh. - Powiedz Jamie, jak minie dziewięćdziesiąt sekund od teraz.

- Co mam robić? - zapytała.

- Jedź prosto, dopóki Angelo nie da ci znaku. A potem wróć tą samą drogą, aż na skraj dymu.

- Po co? Co ty chcesz...? - Nie rozumiała.

- Zatrzymaj się tuż przed dymem. Wyjdę z niego od twojej strony. Tylko uważaj i mnie nie zastrzel.

Gwałtownie wcisnął gaz. Solidne wewnętrzne opony głęboko zryły ziemię i samochód się zatrzymał. Cavanaugh nabrał jak najwięcej powietrza, otworzył drzwi i wskoczył w dym.

Usłyszał za sobą trzask drzwi; taurus ruszył i odjechał na pełnym gazie.

Cavanaugh pobiegł w stronę, w którą wiatr znosił dym. Wstrzymywał oddech, a mimo to odczuwał nieprzepartą ochotę, żeby się zanieść kaszlem. Piekły go oczy, miał podrażnione śluzówki nosa i gardła.

Dym się przerzedził, powietrze nieco się oczyściło i wreszcie coś przed sobą zobaczył. Wijący się w kanionie strumień odbijał promienie słońca.

Cavanaugh sturlał się nad brzeg, czując, jak pancerna kamizelka obija mu żebra. W wolnym od dymu łóżysku strumienia odetchnął głęboko - do jego płuc wpadło chłodne, świeże powietrze.

Pochylony ruszył szybko wzdłuż rzeczki. A kiedy zostawił dym daleko za sobą, podczołgał się na skraj skarpy. Ostrożnie wyjrzał na łąkę i zlustrował wzrokiem sosny i osiki. Jego głowa była niewidoczna na tle dymu za plecami, kiedy celował w kierunku drzew.

Przypomniawszy sobie agentów w „stanie żółtym”, których spotkał na stacji benzynowej, gdy zatrzymał się w drodze do domu.

Dlaczego? Przecież wypadłem z branży. Dlaczego nagle stałem się celem?

Wiedział tylko jedno - była to ta sama grupa, dziesięciu ludzi. Policzył ich, tankując samochód. Do tego snajper na wschodnim stoku i z pewnością jego obserwator. Dwunastu.

Za plecami Cavanaugha trzeszczał płonący dom, płomienie ryczały. Coś gruchnęło w środku, przetoczył się grzmot jak po wybuchu.

Dwunastu, powtórzył sobie w duchu.

No nic, przekonajmy się, czy zdołam wyrównać szanse.

Słyszając, jak taurus pędzi na północ kanionu, ocenił, że powinien już wyjechać z dymu. A więc ludzie po tej stronie doliny zaczną go ścigać.

Ale żeby go dogonić, będą musieli wybrać najkrótszą drogę po trawie przy drzewach.

No i są, pomyślał, zerkając na południe, na strzelców, którzy ukazali się w przecince. Wynurzyli się z lasu i pobiegli wzdłuż drzew w ślad za taurusem.

Spojrzał w celownik AR-15, pociągnął za spust i wywalił dziurę w szyi pierwszego z nich. Mężczyzna padł, jakby ktoś szarpnął za linę przywiązaną do jego kostek.

Cavanaugh przesunął lufę wzdłuż linii lasu, zobaczył kolejnego przeciwnika i odstrzelił mu pół głowy. Trzeci, który się wysforował, wyczuł, że coś jest nie tak, zatrzymał się i obejrzał. Nawet z tej odległości Cavanaugh wyraźnie widział jego przerażoną minę, gdy na widok martwych towarzyszy skoczył w stronę lasu pod osłonę drzew. Nie zdążył. Kula roztrzaskała mu tył czaszki.

Czwarty, biegnący jeszcze dalej, zorientował się, że stanowczo coś tu nie gra.

Skoczył w las w chwili, gdy Cavanaugh wziął go na cel i wypalił. Uciekający wpadł na konar drzewa, krew trysnęła na zielone szpilki. Uniósł ręce, jakby się poddawał. Padał, gdy po drugim strzale jego włosy oddzieliły się od głowy i bryznęło jeszcze więcej krwi.

Cavanaugh znów przesunął lufę karabinu, ale nie miał już do kogo strzelać.

Zorientowali się, co się dzieje, pomyślał. Pochowali się. Teraz będą...

Stoczył się nad brzeg strumienia na chwilę przed tym, nim kule wbiły się w ziemię tuż nad nim.

Czterech. Zdjąłem czterech. Czterech z dwunastu.

Usłyszał zmianę brzmienia silnika taurusa - to Jamie zawróciła i ruszyła z powrotem.

Cofając się wzdłuż strumienia, najpierw nabrał pełne płuca powietrza, a dopiero potem wdrapał się na skarpe i zanurzył w dym.

Z zamkniętymi oczami brnął w kierunku warkotu silnika. Miał wrażenie, że poparzył sobie nos i gardło.

Dźwięk silnika taurusa narastał.

Potykając się, ruszył szybciej.

Pośpiesz się, Jamie!

Nagle usłyszał, że zatrzymuje się przed nim samochód. Gdy otworzył oczy, natychmiast zaczęły łzawić. Schylił się, wychodząc z obłoków dymu. Zaniósł się kaszlem i zobaczył taurusa. Przez posiekaną kulami boczną szybę niezbyt dobrze widział Jamie, ale gdy otworzył tylne drzwi i wsiadł do środka, na jej napiętej twarzy natychmiast pojawiła się ulga. Od razu zobaczył dziurę w szybie po drugiej stronie. W samochodzie unosił się zapach krwi. Angelo, pochylony bezwładnie do przodu, ani drgnął.

William był zbryzgany krwią. Gapił się przed siebie kompletnie otepiały.

- Dwie szyby rozbite! - zawołała Jamie zgarbiona nisko nad kierownicą. - Pozostałe też już długo nie wytrzymają!

Cavanaugh rozpaczliwie próbował wymyślić, co robić dalej. Od południa przecinka przez las była zablokowana. Po stronie zachodniej większość zabójców nie żyła. Ale zostawali jeszcze ci od wschodu i od północy, a do tego snajper na wschodnim stoku.

- Cofnij. Odjedź dalej od dymu! - polecił Jamie.

Samochód ruszył natychmiast.

Gdy posypały się odłamki szkła z szyby, która nie chroniła już przed kulami, i wyraźnie ujrzeli przed sobą płonący dom, Cavanaugh pociągnął Williama w dół.

- Stój!

Zahamowała.

- Wysiadamy! - rzucił.

Zrobiła to bez wahania.

Wyciągnął Williama z tylnego siedzenia. Jamie i pani Patterson dołączyły do nich i zbiegli do łożyska strumienia.

- Zastrzeliłem czterech z tej strony - poinformował Jamie, wskazując na zachód.

- Myślę, że został tam już tylko jeden. Jeśli uda nam się dotrzeć do lasu, załatwimy go.

A wtedy będziemy w domu.

Gorzko pożałował, że użył tego zwrotu, gdy pomyślał o swoim płonącym domu.

- Ale zastrzelą nas, jeżeli się pokażemy i spróbujemy dobiec do drzew - odparła Jamie.

- Chyba że odwrócimy ich uwagę.

Za jego plecami posypało się szkło - roztrzaskała się kolejna szyba, która nie wytrzymała gradu kul.

- W jaki sposób?

- Daj mi broń. - William ocknął się z otępienia.

- Co takiego?

- Dawaj broń. Bydlaki. Skurwysyny. Dawaj broń. Podziurawię każdego tak, że go rodzona matka kurwiszon nie pozna.

- Tak trzymaj, Williamie. Miło, że jesteś z nami.

Cavanaugh wczołgał się na skarpę, zaryzykował i pokazał się jednemu - jak zakładał - zabójcy po zachodniej stronie kanionu. Nie patrzył na zachód, tylko kątem oka zerkał w kierunku płonącego domu. A właściwie na komórkę za budynkiem. Obok niej stał wielki biały zbiornik propanu. Tyle że mógł go zdetonować jedynie pocisk zapalający.

- Jamie.

- Co?

- Zatkaj uszy. I dopilnuj, żeby William i pani Patterson zrobili to samo.

Wycelował w palący się dom, w płomień na tylnej werandzie, a konkretnie w stojący na niej grill podłączony do małej butli propanu. Gdy ją przestrzelił, płomień spowodował, że butla eksplodowała, weranda uniosła się w górę, a strzępy dachu pofrunęły we wszystkie strony. Płonące kawałki drewna poszybowały łukiem w kierunku komórki.

Cavanaugh natychmiast wystrzelił w wielki biały zbiornik za domem. Sturlał się ze skarpy, zatykając uszy.

Ale nic się nie wydarzyło.

Źle wyliczyłem czas. Przebiłem tylko zbiornik. Gaz się wprawdzie ulatnia, ale jeżeli płomień go nie dosięgną...

Ziemia zadrżała. Nawet z zatkanymi uszami Cavanaugh był zaskoczony siłą wybuchu. Fala uderzeniowa szarpnęła nim i wgniotła w ziemię.

- Teraz! Biegiem do lasu! - ryknął, przekrzykując grzmot, który odbijał się potężnym echem od ścian kanionu.

Chwycił Williama i popchnął go wzdłuż strumienia. Jamie i pani Patterson pędziły obok niego pośród spadających dookoła kawałków dymiącego metalu i płonącego drewna.

- Szybciej! - wrzasnął, nie zważając na to, że coś gorącego spadło mu na rękę.

Wiedział, że w każdej chwili mogą go trafić. Ale z nieba spadało żelastwo i płonące drewno, więc dalej biegł, a kanionem wstrząsnęła następna eksplozja. Fala uderzeniowa była

tak silna, że przewróciła i jego, i Williama na brzuch.

- Jamie?! - Dzwoniło mu w uszach. - Pani Patterson?!

- Nic nam się nie stało! Co to było?

- Chyba śmigłowiec!

Pomógł Williamowi wstać i popchnął go, zmuszając do biegu. Dusił się w pancernej kamizelce. Znowu oberwał jakimś przedmiotem, tym razem w szyję, ale myślał tylko o majaczącym przed sobą lesie. W końcu dotarli do drzew.

Pociągnął Williama za sobą na leśne poszycie i czekał w napięciu, aż Jamie i pani Patterson przedrą się przez krzewy i znajdą się w lesie obok nich.

Dopiero wtedy kule z drugiej strony kanionu zaczęły siekać las.

Za późno, pomyślał Cavanaugh triumfalnie.

Strzelanina zaczęła zamierać, aż w końcu ustała.

- Wiedzą, że te wybuchy słyszeli wszyscy stąd do Jackson - powiedział. - Dym jest już nad kanionem. Policja i służby ratunkowe są już pewnie w drodze. Te dranie muszą się wynosić.

Odczekał trzydzieści sekund, uznał, że może bezpiecznie wyjrzeć zza drzew.

Zaparło mu dech. Rzeczywiście, eksplozja zbiornika propanu spowodowała wybuch śmigłowca. W rezultacie dom obrócił się w perzynę. Dookoła wszędzie wały się płonące kawałki drewna, od których zajmowała się trawa.

25.

- Ty durny fiucie! - wrzasnął obserwator. - Przysięgałeś, że dasz sobie radę!

- Skąd miałem wiedzieć, że obiekt się...

Obserwator spojrzał na snajpera z pogardą, wyciągnął pistolet i cztery razy strzelił mu w twarz. Potem wyjął nóż i odciął mu czubki palców.

- A ja wiedziałem, że tak się to skończy.

Nie działał pod wpływem chwili. Nie powodował nim gniew. Tak naprawdę wiedział, że ma zabić swojego towarzysza bez względu na to, czy atak się powiedzie, czy nie. Przed zadaniem snajper zachowywał się wzorowo, był pierwszorzędnym, doskonale przygotowanym zawodowcem, ale po wszystkim zaglądał do kieliszka i za dużo gadał. Jego okres przydatności się skończył.

Prawdę mówiąc, w całym tym zadaniu tylko ta egzekucja sprawiła obserwatorowi przyjemność.

- Przerwać misję! - krzyknął do krótkofalówki. - Odwrót. Odwrót. Odwrót.

II.

EWANGELIA WEDŁUG FAIRBAIRNA

1.

- Dźwięk ostatnich czterech strzałów był za niski jak na karabin - powiedziała Jamie zaskoczona.

Cavanaugh skinął głową.

- Zdaje się, że padły ze stoku, na którym ukrył się snajper. Ale jesteśmy za daleko, żeby ktoś mógł nas trafić stamtąd z pistoletu. To nie ma sensu.

Jamie rozejrzała się uważnie.

- Potrzebujemy lepszej osłony.

- Racja. Z tego co wiemy, po tej stronie kanionu jest jeszcze co najmniej jeden zabójca. Nie wstawajcie - przykazał Williamowi i pani Patterson. - Cofnijcie się.

W głębi lasu znaleźli otoczone drzewami zagłębienie. Schronili się tam.

- Pani Patterson, proszę spoglądać w tę stronę! - poleciła Jamie, patrząc, jak starsza kobieta wyciąga z fartucha mały damski rewolwer. - Niech pani celuje w kierunku drzew.

- William, ty patrz tam. - Cavanaugh wyjął pistolet z kabury i podał go prawnikowi. - Tylko nie celuj w nas. Nie pociągaj za spust, dopóki ci nie powiem.

Cavanaugh i Jamie położyli się na ziemi, wspólnie obstawili swoją kryjówkę z każdej strony.

- Jak już się z tego wykaraskam, wezmę lekcje strzelania. - William ochrypl z emocji.
- Lekcje karate. Oblecę wszystkie cholerne kursy, jakie tylko znajdę. Nigdy więcej nie będę się czuł tak bezbronny jak teraz.

- Chętnie sam cię wyszkolę - obiecał Cavanaugh, próbując rozproszyć strach prawnika. - Zwłaszcza na temat Fairbairna.

- Fairbairna? A co to za jeden?

- Na razie pierwsza lekcja. Przestań gadać. Musimy być cicho, inaczej nie usłyszymy, gdyby ktoś się do nas podkładał.

- Aha... - William zaczerwienił się ze wstydu.

Czekali, obserwując las. Konieczność chronienia ludzi pomogła Cavanaughowi przezwyciężyć wściekłość. Chciał dorwać w swoje łapy tego, kto zlecił atak, chciał walić jego głową o kamień, dopóki nie pęknie mu czaszka i...

Nie! Fantazjowanie o zemście jest tylko obciążeniem. Gniew nie pozwala myśleć racjonalnie.

Skup się na tym, żeby wszyscy wyszli z tego żywi.

Minęła minuta. Po eksplozji i strzałach, które oddał, wciąż dzwoniło mu w uszach. Próbował przefiltrować ten dźwięk, wsłuchać się w odgłosy poza nim i wylapać ewentualne hałasy w lesie.

Dziesięć minut. Piętnaście.

Spod jego pancernej kamizelki lał się pot. Plecy bolały go od siły uderzenia kuli, którą zatrzymał pancerz. Wycelował w drzewa i poczuł łomot serca.

Jest! W lesie trzasnęła gałąź. Cavanaugh skierował lufę w tamtą stronę. Kiedy trzasnęła następna gałąź, położył palec na spuście.

Odrpęził się, gdy z zarośli wysunął się łeb łosia, który włókł za sobą na porożu uschnięte gałązki.

Może wcale nie będzie tak źle, pomyślał. Gdyby podkładał się do nas ktoś z bronią, łos nie zawędrowałby w tym kierunku.

A potem pojawił się drugi łos i w Cavanaugha wstąpiła nadzieja.

Łosie jednocześnie rzuciły się do ucieczki - wierzgając zadnimi nogami, przedzierały się przez las.

Ktoś tam jest!

Cavanaugh znów dotknął spustu. Nagle jednak uświadomił sobie, co spłoszyło łosie. Nie zrobił tego człowiek podkradający się wśród drzew.

Hałas. Daleki, ale coraz głośniejszy. Piskliwe zawodzenie syren. Wreszcie nadjeżdżali policjanci i służby ratunkowe.

Jeszcze raz zlustrował las.

- Wygląda na to, że nam się uda - mruknął.

- Zniosę od ciebie najgorszy wycisk - powiedział William.

- Że co?

- Studiowałem prawo w Harvardzie. Nie ma nic bardziej brutalnego. Trzymam cię za słowo, obiecałeś mnie wyszkolić. A skoro już o tym mowa, kim jest ten Fairbairn, do licha?

- Powiem ci, jak już będzie po wszystkim. - Uciekając się do roli ochroniarza, Cavanaugh przeniósł Williama w przyszłość, odrywając go od bieżących lęków.

2.

Korzystając z osłony lasu, szli na południe skrajem dymiącej łąki.

- Myślisz, że snajper nadal może czatować na stoku? - William wciąż zerkał w tamtą stronę.

- Mógł zaryzykować i się przycziąć w nadziei, że słysząc nadciągającą pomoc, staniemy się nieostrożni. Dlatego lepiej nie wychodzić na otwarty teren.

Kiedy syreny umilkły, Cavanaugh odwrócił się w kierunku, z którego nie dochodziły żadne odgłosy. Spoza drzew widział rozrzucone po terenie, płonące kawałki drewna - wszystko, co zostało z jego domu. Żeby zdusić kolejny napad gniewu, skupił się na czymś, co ruszało się pośród dymu, i z ulgą zobaczył, że pięć koni przeżyło. Nerwowo obstały tego, który zginął. Czując ogarniające go mdłości, przesunął wzrok na poszatkowany kulami samochód, z popękkanymi albo roztrzaskanymi szybami. Myśląc o uwięzionym w środku Angelu, poczuł narastającą wściekłość.

Gdy tylko na ścieżce pojawił się patrolujący autostradę radiowóz - ciemna karoseria, biały dach, błyskający kogut - konie natychmiast się rozpiezły.

Cavanaugh zobaczył szok malujący się na twarzy kierowcy w cywilu, gdy ten ogarnął rozmiar zniszczeń.

Potem zjawił się wóz strażacki straży leśnej - jego pasażerowie też byli oszołomieni.

Udało im się przesunąć furgonetkę blokującą przecinkę, pomyślał Cavanaugh.

A może jeden z zabójców nią odjechał, przyszło mu nagle do głowy.

Podczas gdy Jamie obserwowała drzewa za nimi, poprowadził Williama i panią Patterson południowym skrajem lasu i dopiero wtedy wyszedł na przecinkę - drzewa wciąż osłaniały ich przed snajperem.

Niemal jednocześnie zza zakrętu wyjechał patrol drogówki; na ich widok kierowca wdusił hamulec.

- Odłóżcie broń - ostrzegła Jamie Williama i panią Patterson, a sama i Cavanaugh położyli swoją na ziemi.

- Pokażcie, że macie puste ręce - dodał Cavanaugh z naciskiem.

Policjant stanowy w randze kapitana wysiadł z wozu, trzymając palce na pistolecie w kaburze. Nagle przyjrzał się uważniej Cavanaughowi.

- Aaron?

Kupując posiadłość, Cavanaugh posłużył się prawdziwym nazwiskiem. Wróg znający go pod przybranym nazwiskiem, który spróbowałby go wytropić na podstawie książek wieczystych, niczego by nie znalazł.

- Miło cię widzieć, Garth.

Policjant był wyraźnie zaskoczony.

- Rany boskie, jesteś tak utyłany sadzą i ziemią, że cię nie poznałem.

- Mieliśmy tu mały kłopot.

- Właśnie słyszałem. Pierwszy funkcjonariusz, który tu dotarł, zawiadomił mnie przez radio, że twoja posiadłość wygląda jak strefa działań wojennych.

Jak przystało na kogoś, kto trenował podnoszenie ciężarów, Garth był potężnie zbudowany. Wysoki, miał wydatne kości policzkowe i ciemny wąs. Tak wiele czasu spędzał na dworze, że jego twarz miała fakturę wysuszonego na słońcu drewna, a ogorzałą cerę podkreślała zieleń munduru i policyjnej czapki. Jak każdy doświadczony policjant miał wiecznie czujne oczy, nawet gdy po zejściu ze służby czasami jadał kolację w Jackson z Cavanaughem i Jamie.

Teraz jego oczy były szczególnie czujne.

- Jamie, czy to na twoim ramieniu to krew?

- Owszem, ale nie moja.

Cavanaugh ze złością pomyślał o rozbryzgach krwi w taurusie, po tym jak zastrzelono Angela.

- Lillian... - Garth z troską spojrział na panią Patterson. - Cała się trzęsiesz. Usiądź lepiej w samochodzie.

Drżącą ręką odgarnęła z twarzy siwe włosy. Fartuch miała utyłany ziemią.

- Dzięki, Garth. To było długie popołudnie.

- Na zachodnim skraju łąki znajdziesz trupy czterech mężczyzn - poinformował Cavanaugh.

- Trupy? Jak zginęli?

- Od kuli.

- Kto pociągnął za spust?

Normalnie w tym momencie Cavanaugh poprosiłby o adwokata, żeby przypadkiem nie powiedzieć czegoś, co mogłoby zostać błędnie zrozumiane.

Ale teraz obok niego stał jeden z najlepszych prawników w kraju.

- Ja - odparł. - Piąte zwłoki znajdziesz w moim samochodzie, a raczej w tym, co z niego zostało. W tym przypadku za spust pociągnął jeden z tamtych.

Ben, świętej pamięci mąż pani Patterson, służył kiedyś w policji stanowej Wyoming i zginął w wymianie ognia z gangiem próbującym porwać ciężarówkę pełną farmaceutyków. Wdowę, znaną wszystkim policjantom w okręgu Teton jako Lillian, przesłuchano jako pierwszą, a potem odstawiono do poczekalni w koszarach drogówki, piętnaście kilometrów na południe od Jackson.

- Zadzwoń do twojego zięcia i powiedz mu, że jesteś już wolna - rzekł Garth. - Lada chwila przyjedzie i odwiezie cię do córki. Rodzina nie może się ciebie doczekać.

- Zaczekam z panią w korytarzu - zaproponowała Jamie.

Następnie do pokoju przesłuchań trafił William. Gdy wrócił po dwudziestu minutach, jego zadowolona mina świadczyła, że może i nie ma zielonego pojęcia o broni, za to wie, jak postępować ze stróżami prawa. Teraz, kiedy znów występował w roli prawnika, poszarpany i brudny garnitur w pewnym sensie przydawał mu godności.

Przyszła kolej na Jamie. Cavanaugh już dawno nauczył ją, żeby na pytania policji odpowiadała bezpośrednio, ale nigdy nie dostarczała informacji, o które nie pytają, i nigdy nie próbowała oszukiwać.

Jego przesłuchano na koniec. Ostre światło w pokoju padało na puste ściany, dwa krzesła i małe biurko. Skupianie się na drobiazgach pomagało mu utrzymać nerwy na wodzy.

- Napijesz się kawy? - Garth wskazał dzbanek i papierowe kubki na biurku.

Obok stał magnetofon.

- Przydałoby mi się trochę kofeiny - przyznał Cavanaugh, nalewając sobie pełen kubek. Zobaczył, że jego zegarek wskazuje wpół do jedenastej. Teraz, gdy już opadła adrenalina, czuł się, jakby była czwarta nad ranem.

- Gotowy? - zapytał Garth.

- W każdej chwili. - Dzinsy i koszula Cavanaugha śmierdziały dymem. Miał obolały kark i ramię. A także posiniaczone plecy w miejscu, gdzie kula trafiła w pancerz. Ale przynajmniej nogi i klatka piersiowa nie musiały już dźwigać ciężkiej kamizelki.

Garth uruchomił magnetofon.

- Mówi kapitan Garth Braddock. Przesłuchiwanym jest Aaron Stoddard. - Podał miejsce, godzinę i datę. - Opowiedz mi, co się tam wydarzyło.

Czekając, Cavanaugh miał okazję uporządkować swoje zeznanie. Dopiero kiedy skończył opowieść, pozwolił sobie okazać emocje.

- Jasny gwint, nie mam bladego pojęcia, o co tu chodzi.

- Znalezliśmy snajpera.

Cavanaugh pochylił się.

- I co, odpowiada na pytania?

- Trudno wydobyć odpowiedzi z nieboszczyka. Ktoś strzelił mu cztery razy w głowę.

Cavanaugh przetrwał to przez chwilę.

- To tłumaczy te cztery strzały z pistoletu, które słyszeliśmy - powiedział w końcu.

- Pociski rozpryskowe. Zmasakrowały go tak, że nawet najbliżsi by go nie rozpoznali.

Zęby ma posiekane w stopniu uniemożliwiającym porównanie z kartami dentystycznymi.

Pytanie, kto mu to zrobił?

Cavanaugh zastanowił się.

- Jedynym kandydatem jest ktoś z ekipy napastników. Ale to nie ma sensu. Miał jakiś dokument tożsamości?

- Nie.

- Wysłaliście jego odciski palców do FBI?

- Nie było jak. Miał ucięte czubki palców.

Tym razem Cavanaugh zastanawiał się jeszcze dłużej.

- Natomiast ci czterej, których zabiłeś... - podjął Garth.

- Których byłem zmuszony zabić.

- Ich odciski zidentyfikowali raz-dwa. Wszyscy dopiero co wyszli z więzienia.

W ciągu ostatnich sześciu tygodni.

- Sześciu tygodni?

- Nie wyobrażam sobie, jakim cudem się spiknęli. Odsiadali wyroki w różnych zakładach karnych. W Pensylwanii, Alabamie, Kolorado i Oregonie. - Garth pchnął po biurku jakąś kartkę. - Mówią ci coś te nazwiska?

Cavanaugh przeczytał je z nadzieją, ale w końcu zmuszony był zaprzeczyć.

Nagle uczeplił się pewnej myśli.

- Cztery różne więzienia? Widocznie znali się z czasów, zanim jeszcze wylądowali za kratkami.

- Akta więzienne temu przeczą. Nic nie świadczy o tym, że ich drogi kiedykolwiek się skrzyżowały. Łączyło ich tylko jedno. Napady z bronią w rękę. Strzelaniny w porachunkach gangów. Gwałty. To były naprawdę zakazane typy.

- Zanim się to zaczęło, chyba widziałem ich i resztę towarzystwa na stacji benzynowej przy Moose Junction - rzekł Cavanaugh. - Nie zachowywali się jak przestępcy z ulicy. Nie byli nakręceni, stremowani ani rozkojarzeni. Cechował ich spokój, opanowanie. Wyglądali na agentów.

- Ale ich akta więzienne świadczą, że jednak byli rzezimieszkami z ulicy. Więc jak ni stąd, ni zowąd, mogliby zostać... „agentami”? Tak ich nazwałeś? Rzadko słyszę to słowo. A ten twój samochód. Kiedy się bliżej przyjrzałem temu, co z niego zostało, zobaczyłem kuloodporne szyby, opancerzenie, opony w oponach... Wytlumacz mi jeszcze raz, czym ty się właściwie zajmowałeś?

- Pracowałem w ochronie.

- W tych stronach goryli...

Cavanaugh nie znosił tego słowa.

- ...wynajmują głównie gwiazdy sportu i estrady na wakacjach - ciągnął policjant. - W tak spokojnej okolicy robią to przede wszystkim na pokaz. Żebyśmy pamiętali, z jakimi ważniakami mamy do czynienia. Ale ty nie pasujesz do profilu zbirów, jakich zatrudniają celebryci.

- Ja jestem skromny facet.

- I najwyraźniej nie lubisz, jeśli ktoś cię nazywa „gorylem”.

Garth nie doczekał się odpowiedzi.

- Czy zatajasz przede mną coś, o czym powinienem wiedzieć? - spytał.

Cavanaugh zawahał się.

- Tak. Byłem tak zwanym opiekunem. Pracowałem dla Global Protective Services, firmy ochroniarskiej o zasięgu międzynarodowym. W branży występowałem pod fałszywym nazwiskiem „Cavanaugh”.

- Pod fałszywym nazwiskiem?

- Ratowałem życie ludzi, których pokazują w CNN i o których piszą na czołówkach „Washington Post” i „Wall Street Journal”. Tego rodzaju klienci muszą mieć do mnie absolutne zaufanie i pewność, że jeśli powierzą mi swoje sekrety, nikt później nie wpadnie na mój ślad i nie spróbuje wydusić ze mnie informacji na ich temat.

- Masz na myśli policję?

- Moi byli klienci postawią ci szlaban.

- Już tego próbowano.

- A do mnie stracą zaufanie raz na zawsze.

- Raz na zawsze? Miałem wrażenie, że przeszedłeś na emeryturę.

- Właśnie się skończyła.

- Dajesz mi w ten sposób do zrozumienia, że zamierzasz się zająć śledztwem na własną rękę?

- Jeżeli któryś z byłych klientów uznał, że skoro posiadałem pewne informacje, nie

można mnie pozostawić przy życiu, to mam sposoby, żeby się tego dowiedzieć.

- Nie pracujesz w służbach specjalnych. Pamiętaj o tym.

- Pamiętam.

- Ja nie żartuję. Nie chciałbym cię oglądać przed obliczem dwóch ław przysięgłych...

Cavanaugh - wycedził Garth, sprawdzając, jak to nazwisko brzmi w jego ustach.

- W założeniu chciałem oddzielić życie prywatne od zawodowego.

- Wychodzi na to, że ci się nie udało.

4.

Gdy Garth wyprowadzał Cavanaugha z pokoju przesłuchań, podszedł do niego policjant.

- Znaleźliście któregoś z nich? - spytał kapitan.

Podwładny spojrzał na niego, jakby chciał zaproponować, żeby pogadali w cztery oczy.

- W porządku, możesz mówić przy nim - uspokoił go Garth.

Jamie i William słuchali odpowiedzi policjanta.

- Po zabójcach ani śladu.

- Wyglądali jak turyści, którzy przyjechali tu na biwak - wtrącił się Cavanaugh.

- Czyli że w tych okolicach na dobrą sprawę są niewidzialni - skwitował Garth. - Ale jak, twoim zdaniem, tak szybko wynieśli się z okolicy?

- Kiedy wieźliście mnie tu z rancza, zauważyłem, że furgonetka blokująca przecinkę w lesie zniknęła. Czy usunął ją ktoś z waszej ekipy?

Policjant zaprzeczył ruchem głowy.

- Prawdopodobnie odjechała nią część zabójców. Tył był tak obciążony, że siadały opony, ale i tak mogli nią uciec. A reszta? Pewnie odjechali dwoma samochodami, kiedy tylko wyszli z lasu. Korzystając z krótkofalówek, spokojnie mogli skoordynować akcję tak, żeby się nie narażać, gdyby na widoku pojawiły się radiowozy albo służby ratunkowe. Poza tym nie wiedzieliście, z czym macie do czynienia, więc rozpoczęliście poszukiwania dopiero trzydzieści minut po eksplozji. To kupa czasu na ucieczkę. Wtedy już mogli być w Jackson.

Pojawił się drugi policjant.

- Na parkingu roi się od reporterów i ekip telewizyjnych.

- No pięknie! - burknął Garth.

- Nie wolno zakładać, że wszyscy z nich są prawdziwi - zauważył Cavanaugh. - Ta ekipa zabójców się nie rozplynie. Będą obserwowali budynek. I spróbują nas śledzić, kiedy stąd wyjdziemy.

- Zostańcie na noc tutaj.

- Najchętniej tak właśnie bym zrobił. Ale do rana problem nie zniknie. Wręcz przeciwnie, do tej pory zdążą się zorganizować. Nie, najlepiej się zmyć, kiedy najmniej będą się tego spodziewali. Czyli jak najszybciej.

- Ale jak? I dokąd pojedziecie? Macie się czym poruszać?

- Już nam coś zorganizowałam - powiedziała Jamie.

5.

Gdy otworzyły się drzwi koszar, na jasno oświetlonym parkingu ożywiły się dziesiątki reporterów. Na tle padającego z budynku światła pojawiła się sylwetka Gartha. Kapitan wyszedł na zewnątrz i ruszył do dziennikarzy. Pogoda się zmieniła, zrobiło się tak zimno, że z jego ust buchała para. Garth nie miał pojęcia, jakim cudem media tak szybko dowiedziały się o ataku. Poprzysiągł sobie, że jeśli to sprawka któregoś z jego ludzi, dowie się, kto to taki i przydzieli mu możliwie najgorsze obowiązki. W Jackson nie było stacji telewizyjnej ani dużej gazety, a zatem większość nadbiegających mężczyzn i kobiet przyjechała albo z Idaho Falls (szosą to dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów), albo z Casper, Laramie bądź Cheyenne (położonego znacznie dalej, więc reporterzy musieliby wynająć samolot, żeby tu dotrzeć tak szybko). Potem przyszło mu do głowy, że to napastnicy mogli zawiadomić media. Ściągnąć jak najwięcej dziennikarzy i kamer i w całym tym chaosie wmieszać się w tłum. Zabójcą mógł być każdy z rzekomych dziennikarzy, którzy zasypywali go właśnie pytaniami.

- Czy to prawda, że zastrzelono sześć osób?

- Na ranchu pięćdziesiąt kilometrów na północ od...

- Wybuch zniszczył...

- Snajper.

- Śmigłowiec...

- No dobra, spokój. - Garth machnął ręką, uciszając reporterów. - Nie przekrzykujcie się, bo nie słyszę waszych pytań. - Skierowane na niego oświetlenie telewizyjne raziło go w

oczy. - Mam dla was krótkie oświadczenie. Dzisiaj, o czwartej trzydzieści po południu...

Nagle frontowe drzwi koszar otworzyły się z trzaskiem. Garth odwrócił się i zobaczył policjanta, który pędził do niego z zatroskaną miną.

- Co się stało? - zapytał.

W błyskach fleszy aparatów fotograficznych policjant odciągnął Gartha na stronę i zaczął mu coś tłumaczyć nerwowym szeptem.

Kapitan odwrócił się do dziennikarzy.

- Musicie zaczekać... Nastąpił...

- Kapitanie! - wrzasnął od progu inny policjant.

Na odgrodzonym siatką parkingu za koszarami zawyła syrena. Zza budynku, błyskając kogutem na dachu, wyjechał radiowóz i minął reporterów. Za kierownicą widać było sylwetkę funkcjonariusza, gdy wóz wjechał na szosę, skręcił na północ, w kierunku Jackson, i zniknął za zakrętem w tej słabo zaludnionej części doliny. Po chwili wypadł za nim drugi radiowóz, również z włączonym kogutem i na sygnale.

Część dziennikarzy popędziła do swoich samochodów.

A może to wcale nie dziennikarze, pomyślał Garth.

Ci, którzy zostali, domagali się wyjaśnień, co się właściwie dzieje.

- Proszę nam powiedzieć, co zaszło dziś po południu!

- Czy te zdarzenia są ze sobą powiązane?

Obok nich śmignęła furgonetka policyjna na długich światłach i pojechała za trzema cywilnymi samochodami, które ruszyły w pościg za radiowozami.

6.

Mężczyzna, który zastrzelił snajpera, otwierał i zamykał nóż, obserwując szosę ze skarpy naprzeciw koszar policji. Wysoki, szczupły, miał czterdzieści lat, dziobatą twarz i muskularne przedramiona, które wyrobił sobie przez lata, waląc młotem w kowadło i wykuwając ostrza. Posługiwał się wieloma nazwiskami. Obecnie z powodu zamilowania do noży przedstawiał się jako Bowie, legendarny nożownik. Siedział w samochodzie i patrzył przez lornetkę noktowizyjną, niewrażliwą na ostry kontrast światła i ciemności na parkingu oddalonym o czterysta metrów. Nasłuchując wycia syren, uważnie przyglądał się kolejności pędzących pojazdów: pierwszy śmignął radiowóz, za nim drugi, dalej trzy samochody

cywilne i wreszcie furgonetka policyjna.

Sprytnie, cholernie sprytnie, pomyślał Bowie.

- To lipa - powiedział do radiotelefonu. - Obiekt jedzie w jednym z wozów policyjnych. Pytanie w którym.

- Ja obstawiam furgonetkę - odpowiedział mu głos z jednego z cywilnych samochodów.

- Albo wciąż jest w koszarach - rzekł Bowie. - Może te radiowozy to tylko zasłona dymna. Nie mamy ludzi, żeby śledzić każdy z nich.

- Czekaj! Przed nami. Jeden radiowóz zjeżdża na pobocze.

- Na miłość boską, nie zatrzymujcie się - rozkazał Bowie.

- Przecież musimy udawać prawdziwych dziennikarzy. Reporter by się zatrzymał.

- Właśnie o to im chodzi. Żebyście utknęli między radiowozem, który się zatrzymał, a furgonetką jadącą za wami. A tymczasem pierwszy wóz policyjny ucieknie. To w nim ukrył się obiekt, na pewno.

- W porządku - padła odpowiedź pięć sekund później. - Nie zatrzymałem się.

W lusterku wstecznym widzę pozostałe samochody, reporterów, którzy pojechali za nami... Oni hamują. Jasna cholera! Ten radiowóz przed nami... Zatrzymuje się!

- Przejedź obok niego!

- Obraca się bokiem! Blokuje szosę!

7.

Cavanaugh był niewidoczny, skulony na tylnym siedzeniu radiowozu. Czując, jak policjant fachowo stawia samochód w poprzek szosy, spiął się i przypomniał mu:

- Zostaw im miejsce, żeby mogli nas wyminąć!

Nie można było wykluczyć, że w ścigającym ich samochodzie naprawdę jechali dziennikarze. Reporterski nos mógł im podsunąć pomysł, żeby nie zwracali uwagi na radiowóz, który się zatrzymał, tylko dalej śledzili ten z przodu. Jeśli to rzeczywiście reporterzy, to teraz zatrzymają się i zażądadzą wyjaśnień, co się dzieje, w przeciwieństwie do ekipy, która dokonała ataku - ta chciałaby się stąd wynieść.

Cavanaugh i policjant wyskoczyli z radiowozu i schowali się za silnikiem - jedyną częścią nieopancerzonego pojazdu zdolną zatrzymać kulę. Ścigający ich samochód skorzystał

z luki pozostawionej przez kierowcę drogowki, skręcił na pobocze i w kłębach pyłu minął tylny zderzak wozu policyjnego. Gdy na pełnym gazie pędził dalej szosą, Cavanaugh wycelował silną latarkę na jego tablice rejestracyjne.

- Mam! - Wykrzyczał cyfry i litery policjantowi, a ten powtórzył je do przymocowanego do kołnierzyka mikrofonu.

Nadjechał drugi radiowóz i wyskoczyła Jamie, która kryła się na tylnym siedzeniu. Tymczasem kierowca Cavanaugha na sygnale rzucił się w pościg za uciekającym samochodem.

Po chwili zjawiała się furgonetka i wysiadł z niej William.

- Udało się - powiedziała Jamie do Cavanaugha.

- Jeszcze nie.

Gdy drugi radiowóz także puścił się w pogoń, Cavanaugh ruszył szosą w kierunku, z którego przyjechali, a za nim poszedł kierowca furgonetki, w towarzystwie Jamie oraz Williama. Skręcili w lewo w ciemną alejkę prowadzącą do żwirowni. Przesunął latarkę i zobaczył niewyraźną półciężarówkę zaparkowaną między zwałami ziemi. Gdyby doszło do strzelaniny, ludzie w środku nie znaleźliby się na linii ognia.

Mimo to zgodnie z instrukcjami ukryli się za silnikiem pojazdu.

- Pani Patterson? Kyle? - Cavanaugh opuścił latarkę niżej, żeby nie świecić nikomu w oczy, i ujrzał, jak zza półciężarówki wstają dwie osoby.

- Kolejne emocje - rzekła pani Patterson. - Nie wiem, jak mój mąż to znosił. - A jednak jej głos sugerował, że emocje te są całkiem przyjemne, że nareszcie zrozumiała, dlaczego jej mąż tak lubił służbę w policji.

Stojący obok mężczyzna - gruby brodac z włochatymi włosami - był zięciem pani Patterson i jednym z najlepszych treserów koni w dolinie.

- Dobrze mnie pokierowałaś, Jamie.

- Dzięki. - Gdy Kyle przyjechał po teściową, Jamie wyjaśniła mu, co należy zrobić. - U rodziny nie będzie pani bezpieczna - tłumaczyła starszej pani. - Ci, którzy nas zaatakowali, wiedzą, że wiele pani dla nas znaczy. Mogą spróbować panią porwać i wykorzystać jako atut przeciwko nam. Poza tym pani rodzina także nie będzie bezpieczna, jeśli ktoś z napastników wyśledzi, dokąd się pani wybrała.

- Czy Jamie powiedziała ci, że chcę cię prosić o przysługę? - zapytał Cavanaugh Kyle'a.

- Chcesz pożyczyć moją ciężarówkę. Nie ma sprawy. Byleby tylko Lillian była bezpieczna.

- Masz to jak w banku - obiecał Cavanaugh. - Już ten policjant dopilnuje, żeby nikt nie śledził furgonetki policyjnej, kiedy będzie cię odwoził do domu.

Kyle dał mu kluczyki do swojej półciężarówki.

- Dokąd zabieracie Lillian?

- Nie mogę ci powiedzieć, bo może do ciebie zajrzeć paru facetów z bronią i pytaniami.

- Niech tylko spróbują, a będą zwiewali przed kulami ze sztucera na jelenie. Nic bym im nie powiedział, żeby nie wiem co - oświadczył Kyle z naciskiem.

A gdyby tak przystawili lufę do głowy twojej córki? - pomyślał Cavanaugh.

W oddali niosło się echem wycie syren pościgu.

8.

- Gliny jak nic zawiadomiły przez radio tych z przodu! - zatrzeszczał głos w radiotelefonie. W tle zawodziły syreny. - Jesteśmy w Jackson! Ustawili bokiem dwa radiowozy, które blokują ulicę! Inne wciąż nas ścigają!

Człowiek, który przedstawiał się jako Bowie, ze smutkiem pokręcił głową. Ostatni miesiąc spędził w towarzystwie ekipy. Jadał razem z nimi, spał w tym samym pokoju i poznał wszystkie żalose, bolesne krzywdy, jakich nie szczędziło im życie. Zdaniem konserwatystów owe krzywdy służyły tym ludziom jedynie za pretekst mający usprawiedliwić niegodziwości, jakich się dopuszczali. I trudno odmówić racji takiemu stanowisku, pomyślał Bowie. Bo bez względu na doznane krzywdy każdy musi ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Musi nad sobą zapanować. Tam, gdzie nie ma dyscypliny, wkrada się chaos. Bowie nauczył się tego na własnej skórze.

- Zawracam! - usłyszał w słuchawce.

Potem dobiegł z niej pisk opon, a po chwili wrzask:

- Z tej strony też nas blokują!

Tak, należy wyeliminować chaos, pomyślał Bowie.

Melancholijnie sięgnął po leżący obok nadajnik. Wcisnął klawisz i zobaczył, że zapala się czerwona lampka. Nacisnął kolejny przycisk i pojawiło się zielone światełko.

W oddali nocną ciszę rozdarł potężny grzmot.

9.

Pędząc za samochodem, policjant z drogówki gapił się dalej, w kierunku błyskających kogutów radiowozów policji z Jackson, które blokowały główną ulicę tej małej miejsciny.

Prawie ich mamy, pomyślał. Nie wiem, kim są, ale to na pewno nie dziennikarze.

Nagle ścigany zawrócił przed nim o sto osiemdziesiąt stopni. Policjant równie gwałtownie wcisnął hamulec, na tyle, żeby nie wpaść w poślizg i nie zablokować kół. Radiowozem zarzuciło i zatarasowało lewą stronę niemal wyludnionej ulicy. Samochód za nim wykonał ten sam manewr i zastawił ulicę po prawej.

Policjant z drogówki wygramolił się z wozu, wyciągnął glocka .40, zajął pozycję za silnikiem i wycelował w pędzący ku niemu samochód. Jego kolega z drugiego wozu zrobił tak samo. Gdyby ścigany spróbował ich staranować, mogliby uskoczyć pod osłonę witryn sklepowych po obu stronach. A jeśli samochód się zatrzyma i jego pasażerowie postanowią ich ostrzelać, żeby utorować sobie drogę na wolność, wtedy policjanci z patrolu szybko wyprowadzą ich z błędu.

Zbliżający się samochód skręcił ostro w prawo, licząc na to, że się przecisnie między radiowozem a chodnikiem.

I w tym momencie eksplodował; fala uderzeniowa cisnęła policjanta do tyłu, rzuciła go na jezdnię. Błysk poraził mu oczy. Dzwonienie w uszach sprawiało nieznośny ból. Wirowało mu w głowie, czuł ucisk w klatce piersiowej, powietrze uciekało z płuc.

Wilgoć. Dlaczego mam wilgotną twarz? - pomyślał, skrobiąc się po policzku.

Krew. Rany boskie, ja krwawię.

Dookoła na ziemię sypały się kawałki metalu. Spadło na niego coś miękkiego i mokrego. Poprzez dzwonienie w uszach usłyszał czyjś krzyk. Nagle uświadomił sobie, że to on tak się drze.

10.

Podczas gdy półciężarówka z mozołem pięła się w górę zbocza, Cavanaugh usłyszał wybuch dochodzący od strony miasta. Jechali na światłach postojowych, żeby utrudnić zadanie wszystkim, którzy by chcieli ich śledzić.

Jamie siedziała za kierownicą, a pani Patterson i William obok niej. Z braku miejsca w sfoferce Cavanaugh jechał na nieosłoniętej pacye.

Nie tylko usłyszał wybuch, ale i poczuł. W nieprzeniknionej dali noc rozświetliła kula ognia, pokazując mu, że eksplozja nastąpiła od strony miasta.

Tylna szyba półciężarówki zjechała w dół.

- Rany boskie, co to było? - spytała Jamie przez szczelinę.

Cavanaugh przypomniał sobie słowa Gartha na widok ruiny jego domu:

„Wygląda jak strefa działań wojennych”.

- Zaczynam się tu czuć jak w Bośni.

Domyślał się, że Jamie myśli gorączkowo, gdy podskakiwali na głębokich koleinach.

- Nigdy mi nie powiedziałeś, że tam byłeś.

- O czymś takim nikt nie chce pamiętać. Można było liczyć tylko na jedno... że ledwo się uspokoi, od razu ktoś znów zacznie strzelać albo coś wysadzi.

Wyboje były coraz gorsze, wibracje pojazdu rzucały go po całej pacye. Od strony miasta doleciał odgłos syren. Wielu syren. Gdy las znów się przeredził, zobaczył odcinające się na tle płomieni podmiejskie wzgórza.

- Daleko jeszcze? - spytał zaniepokojony William.

- Pięć minut.

W oddali syreny nie przestawały wyć.

- Kto to jest Fairbairn? - dopytywał się William nerwowo.

Cavanaugh zlustrował wzrokiem zbocze, na które wjeżdżali.

Nie zauważył z tyłu reflektorów, nikt ich nie śledził.

- Fairbairn opracował podstawy tych nauk, które, jak się zaklinałeś, chcesz pobierać.

Odwrócił się na pacye, żeby zajrzeć do sfoferki. Słabe światelka na tablicy rozdzielczej wydobywały z ciemności przerażoną minę prawnika.

Chyba już pora na bajkę na dobranoc, pomyślał Cavanaugh.

- Fairbairn był policjantem z Szanghaju - powiedział przez opuszczoną tylną szybę. - Na początku dwudziestego wieku. Wtedy Szanghaj był najbardziej niebezpiecznym miastem na świecie.

William podniósł głowę i spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Na pewno chcesz o tym posłuchać? - upewnił się Cavanaugh.

- Inaczej bym przecież nie pytał, na miłość boską!

- Nawet jeśli on nie chce, to ja chętnie posłucham - oznajmiła pani Patterson.

- Pewnego wieczoru, kiedy Fairbairn patrolował szczególnie niebezpieczną dzielnicę,

któs go zaatakował. Ocknął się w szpitalu i poprzysiągł sobie, że już nigdy nie da się tak zaskoczyć, więc kiedy zobaczył ogłoszenie niejakiego profesora Okady, „mistrza dźiu-dźitsu i kręgarza”... uwielbiam tę część o kręgarstwie... postanowił zapisać się do niego na naukę. W końcu stał się mistrzem kilku wschodnich sztuk walki i przerobił te systemy na parę prostych, ale śmiertelnych ruchów, które każdy może opanować w ciągu kilku godzin.

- Kilku godzin? - zdziwił się William.

- Przemoc w Szanghaju dała Fairbairnowi mnóstwo okazji do wypróbowania swoich metod. To on stworzył pierwszą brygadę antyterrorystyczną. Poza tym wymyślił ruchomą strzelnicę w postaci domu: kilka pomieszczeń z różnymi przeszkodami i wyskakującymi sylwetkami bandytów celujących z broni palnej.

Czasami wyskakująca postać to kobieta z dzieckiem na rękach albo bandyta zasłaniający się zakładnikiem. Chodzi o to, że przedzierając się przez ten labirynt i spodziewając się zagrożenia za każdym rogiem, nie możesz strzelać do wszystkiego, co się rusza. Musisz podejmować błyskawiczne decyzje. Trzeba zachować spokój. Wszyscy, którzy choć raz przeszli przez taką strzelnicę... Fairbairn nazywał ją „domem tajemnic”, a brytyjska SAS „domem śmierci”... wiedzą, jak to stresuje i wykańcza.

W ciemności półciężarówka wyjechała na równy teren, chyba na łąkę.

- I? - dopytywał się William.

- W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku wybuchła druga wojna światowa, więc Fairbairn wrócił do Anglii i pracował w Ministerstwie Wojny. Szkolił brytyjskich komandosów w walce, jak ją nazywał, ryszotkowej. Później wyjechał do Ameryki i uczył agentów OSS, z której powstała CIA. Wraz z kolegą Erikiem Sykesem wymyślił sztylet Fairbairn-Sykes używany przez brytyjskich komandosów. Jego uczniowie szkolili potem następnych. Ci z kolei przekazywali ewangelię według Fairbairna dalej, tak długo, aż jego taktyka walki wręcz weszła do powszechnego użytku we wszystkich jednostkach, które naprawdę znają się na rzeczy. Metody Fairbairna są po pierwsze łatwe do opanowania, a po drugie nigdy się ich nie zapomina. W latach dziewięćdziesiątych CIA sprawdziła jego teorię na grupie agentów, którzy podczas drugiej wojny światowej działali na tyłach wroga. Ci osiemdziesięciolatkowie nie zapomnieli niczego z tego, czego nauczył ich Fairbairn. System był tak prosty i logiczny, że przypomnieli go sobie odruchowo, co dowodziło, że nie trzeba być młodym i silnym, żeby potrafić się bronić.

Półciężarówka zatrzymała się.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Jamie.

- Widzisz? - zwrócił się Cavanaugh do Williama. - Pięć minut szybko nam zeszło.

- Ostrożnie wysiadł i zlustrował wzrokiem ciemną sylwetkę domku. - Jamie, to klucz, który dostałem od Gartha. Wy się rozgoście w środku, a ja sprawdzę teren na zewnątrz.

- Chwileczkę - zaprotestował William. - Chcesz przerwać w tym miejscu?

A gdzie szczegóły systemu Fairbairna?

- Najpierw musimy popracować.

11.

Garth wysiadł z radiowozu w sam środek koszmaru. Przed nim, na East Broadway - jednej z kilku głównych ulic Jackson - w świetle płomieni, reflektorów oraz błyskających kogutów wozów służb ratowniczych widać było wraki pięciu samochodów. Eksplozja całkowicie rozerwała środkowy pojazd. Płonące odłamki obsypały i podpaliły cztery wozy policyjne, a w rezultacie paliwo w ich bakach. Teraz zostały z nich tylko dymiące metalowe szkielety. Ratownicy medyczni ładowali nieprzytomnych policjantów na nosze i wieźli do dwóch karettek. W powietrzu unosił się zapach spalonego ciała.

Chryste Panie! - pomyślał Garth, patrząc na błyskawicznie odjeżdżające karetki.

Jakiś ruch zwrócił jego uwagę - to szef policji w Jackson skończył pilną rozmowę ze strażakiem i ruszył w jego stronę. Jackson miało około ośmiu tysięcy dwustu stałych mieszkańców plus dziesięć tysięcy w sezonie narciarskim, a w ciągu lata przewijały się tu trzy miliony turystów. Tak olbrzymi napływ gości oznaczał, że miejscowe siły policyjne, służby ratunkowe oraz opieka medyczna musiały być na najwyższym poziomie, ale przecież na co dzień nie miały do czynienia z wybuchami i strzelaninami, zwłaszcza występującymi dwukrotnie w ciągu niecałych dwunastu godzin.

- Ostrzeżliście nas przez radio o pościgu - powiedział szef policji. - Mam nadzieję, że wiecie, co tu jest grane.

Garth z niesmakiem popatrzył na wybite witryny sklepów po obu stronach ulicy: Pendleton, Jackson Mercantile, Chico, lodziarnia Haagen-Dazs. Drewniane chodniki dymiły, podobnie jak niektóre topole na rynku. Jeden z czterech łuków z poroży łosi nad wejściem do małego parku przy rynku był rozerwany na strzępy. Tysiące kawałków szarobiałych rogów zalegały ulicę jak brudny śnieg.

- To ma związek z atakiem na ranczo Aarona Stoddarda.

- A tam o co chodziło?

- Bóg raczy wiedzieć. - Garth streścił mu pokrótce znane fakty, po czym zapytał: - Co oni mieli w tym samochodzie? Bombę? Co ją zdetonowało? Kule?

Szef policji wskazał tłum zgromadzony po drugiej stronie rynku - zszokowanych mieszkańców i turystów w pośpiesznie narzuconych ubraniach; niektórzy byli w szlafrokach.

- Wszystko widział facet wyprowadzający psa na spacer. Mówi, że słyszał od groma syren i pisk opon. Ale bez strzelaniny. Na pewno nikt nie strzelał. Kilku okolicznych mieszkańców, których obudziły syreny, też mówi, że nie słyszało strzałów.

- Wobec tego co zdetonowało ładunek wybuchowy? Czyżby ci z samochodu tak bardzo się obawiali przesłuchania, że sami wysadzili się w powietrze?

- Nie wyobrażam sobie, jak mogliby to zrobić - odparł szef policji.

- To znaczy?

- Nie mogli się dostać do ładunku, żeby go odpalić. Wybuch przełamał karoserię samochodu do góry. Na środku. Od spodu.

- Od spodu? - powtórzył zaskoczony Garth.

- Muszą to jeszcze potwierdzić technicy, ale na razie wygląda na to, że bombę zamontowano pod samochodem.

- A oni nic o niej nie wiedzieli?

- Na to wychodzi. Gdyby ta bomba należała do nich, trzymaliby ją w bagażniku albo na tylnym siedzeniu, żeby w razie potrzeby szybko móc się do niej dostać. A tak...

Garth rozumiał, co szef policji miał na myśli.

- Tak. Bombę podczepiono pod samochód wyłącznie po to, żeby ją ukryć przed pasażerami w środku.

12.

Człowiek, który przedstawiał się jako Bowie, pojechał na zachód wyboistą przełęczą Teton i opuścił stan Wyoming. Zmierzał do motelu w Idaho Falls oddalonego o dwie godziny jazdy, gdzie przed dwoma dniami wynajął pokój.

Przygotowawszy wszystko, co trzeba, wyjechał poprzedniego dnia o świcie i dotarł do Jackson Hole z wystarczającym zapasem czasu, żeby towarzyszyć snajperowi w wędrówce na ranczo. Pokojówka zapewne w południe sprzątnęła jego pokój i posłała łóżko. Nie zorientuje się, że dzisiejszej nocy nikt tam nie spał.

A zanim wróci jutro, Bowie zdąży się przespać kilka godzin, więc jej uwagi nie zwróci nic niezwykłego. Do tej pory zresztą on już się wymelduje, pojedzie na lotnisko w Idaho Falls i odleci swoim samolotem.

Jadąc w ciemności, udręczony natłokiem myśli, wrócił pamięcią do czasów sprzed wielu lat, kiedy on i Aaron bawili się w cieniu drzew w parku na końcu ulicy. Kilka przecznic dalej powstało nowe osiedle. Żeby okolica zyskała na atrakcyjności, właściciel zainwestował także w jezioro pełne złotych rybek. Nie wziął jednak pod uwagę tego, co może się stać w wyniku ulewnych deszczy.

Jezioro wylało strumieniem, który wił się przez park, niosąc ze sobą karasie.

Aaron i Bowie siedzieli nad jego brzegiem zauroczeni magią piętnastocentymetrowych rybek, których cętkowane złote łuski błyskały pod wodą.

- Moglibyśmy pójść do domu po wiaderka - zaproponował Aaron. - I złapać do każdego po dwie rybki.

- A co dalej?

- Spróbujemy przekonać rodziców, żeby nam kupili akwaria.

- Wątpię, żeby mój ojciec się na to zgodził. Złaby mnie pewnie za sam pomysł.

- Mój ojczym raczej też by na to nie poszedł - przyznał Aaron. - Ale i tak możemy skoczyć po wiaderka. Wyłapiemy ryby i zaniesiemy je z powrotem do jeziora.

- To nam zajmie cały dzień - zaprotestował Bowie, który wtedy nazywał się całkiem inaczej. - Poza tym co to da? Przyjdzie następny deszcz i te ryby znowu tu spłyną. - Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i otworzył. - Wiem, co zrobimy.

Aaron niespokojnie patrzył na błyszczące w słońcu ostrze.

Bowie zobaczył leżący na ziemi uschnięty konar i oczyścił go z gałązek. Już miał zaostrzyć jego koniec i namówić Aarona na rzucanie dzidą do ryb, lecz rzut oka na minę przyjaciela podpowiedział mu, że lepiej zaproponować coś innego.

- Skombinujmy jakąś linkę i agrałki. Będziemy łowić na wędkę. Jakbyśmy się rozbili śmigłowcem w dżungli.

- Fajnie. - W oczach Aarona pojawiły się wątpliwości. - Ale jeśli coś złapiemy, nie będę tego jadł. Złote rybki są za małe, a poza tym pewnie niesmaczne.

Ale chociaż wychodzili ze skóry, nie złapali ani jednej ryby przez całe to duszne lato, które spędzili przeważnie w cieniu gęstych drzew, udając ostatnich dwóch członków jednostki sił specjalnych, którzy ugrzęźli za liniami wroga. Nabrali takiej wprawy w ukrywaniu się, że przejeżdżające na rowerach dzieciaki i dorośli, którzy trzymając się za ręce, spacerowali ścieżkami, nie potrafili ich dostrzec, przykucniętych w krzakach.

Tak się złożyło, że później bardzo długo już nie padało. Strumień wyparował do tego stopnia, że głębokość wody wynosiła ledwo dziesięć centymetrów.

Większość ryb się udusiła. Tymczasem chłopcy znudzili się wędkowaniem i leżąc w krzakach, zaczytywali się czasopismami o nożach, które przynosił Bowie.

Czasami, kiedy jego ojciec upijał się jeszcze bardziej niż zwykle i wykrzykiwał, jakim to był rewelacyjnym futbolistą i oby syn nie okazał się gorszy, Bowie chodził do parku sam. Udało mu się nadzieć na patyk kilka pozostałych przy życiu ryb. Gdy potem otwierał rybce brzuchy, jego nóż był tak ostry, że wchodził w nie jak w masło. A zresztą co za różnica? Przecież te ryby i tak by zdechły.

13.

- Zanim doszedłem do wniosku, że ty i Aaron Stoddard to jedna i ta sama osoba, sporo się dowiedziałem o twoim alter ego - powiedział William, kiedy znaleźli się w domu. - Aaron Stoddard jest członkiem jednostki ratowniczej w Jackson Hole. Zgłosił się na ochotnika jako trener koszykówki w miejscowej szkole. Poza tym prowadzi dla dzieci szkolenie o obozach przetrwania.

- Byczy facet - skomentował Cavanaugh. Świadomość, że ktoś go sprawdzał, sprawiła, że poczuł się bezbronny. Skoro William zdołał go znaleźć, innym też się to uda. A właściwie to już im się udało.

Dom, w którym się znajdowali - myśliwska chata, wynajmowana przez Gartha od władz - miał połączony z kuchnią salon, sypialnię, studnię z ręczną pompą i wychodek na zewnątrz. Cavanaugh obszedł teren, a potem czekał w lesie i nasłuchiwał, zadowolony, że noc jest taka cicha.

Tymczasem Jamie opuściła i zamknęła na kluczyki wewnętrzne żaluzje.

Wchodząc do domu, Cavanaugh zobaczył, że przestawia lampę w kąt, żeby nie ułatwiała zadania zabójcy, który mógłby zajrzeć przez szpary w żaluzjach i w jej nikłym świetle wziąć kogoś na cel. Pani Patterson (niezmordowana, cudowna pani Patterson) podgrzała na kocherze zupę w puszkach, którą znalazła w kuchennej szafce.

- Twoje życzenie się spełni - oświadczył Cavanaugh po dłuższym milczeniu.

Stwierdzenie to, na pozór ni w pięć, ni w dziewięć, wprawiło Jamie w konsternację.

- Przyjmuję spadek, który zapisał mi Duncan. Przejmuję władzę w Global Protective

Services - wyjaśnił.

Zasyczał kocher. William i pani Patterson bacznie obserwowali Cavanaugha.

- Myślę, że jedyny sposób na złapanie sprawców to wystawić się na przynętę - ciągnął. - A skoro już mam być przynętą, najsensowniejsze, co mogę zrobić, to przejąć Global Protective Services. Dzięki temu będę miał dostęp do najlepszych fachowców w branży.

Kocher nie przestawał syczeć.

- Przez całe życie starałem się chronić ludzi - rzekł Cavanaugh. - Nawet służbę w Delta Force traktowałem jako pracę w ochronie. Przed terrorystami. Przed wszystkimi tchórzami i sadystami, którzy sądzą, że w imieniu Boga mogą zabijać, kogo im się żywnie podoba, bo sami się uważają za bogów. Ale teraz znalazłem się w całkiem nowej sytuacji. Po raz pierwszy to ja potrzebuję ochrony.

14.

Wenecja.

Z apartamentu hotelowego - w zaadaptowanym do tego celu dwunastowiecznym pałacu dożów - rozciągał się spektakularny widok na plac Świętego Marka. Na dole pomimo zimnych rozbryzgów fal przewalały się tłumy.

- Wyrób szkła - oświadczył potentat w branży internetowej.

- Wyrób szkła? - zdziwił się jego szef ochrony.

- Nikt, kto przyjeżdża do Wenecji, nie rezygnuje z wyprawy łodzią przez lagunę do Murano - oznajmiła żona potentata. - A już z pewnością nie ja. Murano to najśłynniejsze miasto szklarzy na świecie. Ich wyroby trafiają do muzeów.

Agent ochrony skinął głową.

- Proszę mi dać dwadzieścia cztery godziny na zapewnienie wam bezpieczeństwa.

- Za dwadzieścia cztery godziny będziemy w Madrycie - odparła żona potentata.

- W Madrycie? Tego miasta nie mieliśmy w planach.

- Podjęliśmy decyzję podczas śniadania. Tu, w Wenecji, jest za wilgotno.

Agent - były komandos brytyjskiej Strategic Air Service (SAS) - ponownie skinął głową.

- Tak, przez te wszystkie kanały. - Konkretnie sto pięćdziesiąt. Czteryście mostów.

Sto siedemnaście wysepek, których zakamarki stanowiły dla ochroniarzy prawdziwy

koszmar.

- A zatem tak wygląda plan. - Żona potentata rzuciła serwetkę na ledwo napoczętą miskę owoców. - Za dziesięć minut wypływamy do Murano.

Po takim stwierdzeniu niewiele zostało do powiedzenia. Agent o nazwisku Miller miał do dyspozycji pięciu ludzi; trzech z nich właśnie odpoczywali po nocnej zmianie. Skoro zmiana planów nastąpiła w ostatniej chwili, drapieżnik nie mógł o tym wiedzieć, więc wysyłanie kogoś, żeby sprawdził teren, nie miało sensu.

Miller pocieszał się tym, że przynajmniej nie musi się obawiać zagrożenia ze strony ukrytego w oddali snajpera. W przypadku bogatego biznesmena należało się raczej obawiać porwania dla okupu.

Dwadzieścia minut podskakiwania na falach podczas przeprawy przez lagunę przyprawiło potentata finansowego i jego żonę o lekkie nudności. Badając wzrokiem wzburzone wody w poszukiwaniu łodzi, które pędziłyby w ich stronę, Miller przyjrzał się wysepce San Michele, głównemu cmentarzowi Wenecji. Przy brzegu stało tam kilka łodzi pokrytych całunami i wieńcami. Przeczytał gdzieś, że z braku dostatecznej ilości łądu w okolicy Wenecji na cmentarz musiano zwozić ziemię, żeby mógł pomieścić kolejne trumny.

Przesunął wzrok na Murano, którego serce zajmowały dwa rzędy renesansowych budynków przedzielonych kanałem. Długie kamienne domy w odcieniu żółci i brązu przylegały do siebie, a niemal w każdym z nich mieściła się wytwórnia szkła.

Rany boskie, jeśli będziemy zwiedzali je wszystkie, zejdzcie nam tu cały dzień, pomyślał Miller.

Ale potentat i jego żona zawczasu zadzwonili tu i tam i wiedzieli dokładnie, dokąd zmierzają. Miller zostawił jednego ze swoich ludzi na miejscu i kazał pilnować, żeby nikt nie majstrował przy motorówce, a potem razem z drugim agentem ruszyli po bokach klientów; ani razu na nich nie spojrzeli, przez cały czas zerkali na wszystkie strony, wypatrując ewentualnego zagrożenia. Nie zwracając uwagi na turystów, potentat i jego żona przeszli na drugą stronę biegnącej wzdłuż kanału ulicy i weszli do budynku, w którym czekali na nich dwaj dobrze ubrani właściciele wytwórni.

Millerowi nie spodobał się ciemny korytarz, który miał przed sobą, ani dobiegający z drugiego końca hałas. Wszedł do olbrzymiego pomieszczenia, w którym stało kilka rozpalonych pieców z otwartymi drzwiczkami. Robotnicy w ognioodpornych kombinezonach i rękawicach wsuwali w płomień metalowe pręty i obracali je, zmiękczając wielkie kawałki szkła zawieszane na końcach. W precyzyjnie wyliczonej chwili jeden z robotników wyciągnął pręt i za pomocą różnych narzędzi zaczął obrabiać stopione szkło - ciął je, wyginał i nadawał

mu kształt, od czasu do czasu dmuchając przez rurkę, by szkło przyjęło postać kuli.

Pilnując korytarza, którym tu weszli, Miller usłyszał za plecami rozmowę - dwaj właściciele tłumaczyli po angielsku klientowi i jego żonie, jak czasochłonna jest ręczna obróbka szkła. Opowiadali, że wykonanie jednego doskonałego wazonu czasami zajmuje cały dzień, a znacznie dłużej trwa wymodelowanie szklanego pawia, którego rozłożony w wachlarz ogon jest równie wielobarwny jak ogon prawdziwego ptaka. Najbardziej wyszukane egzemplarze o wyjątkowo skomplikowanych kształtach i cieniowaniu wymagały wielowiekowego doświadczenia w tej branży. Techniki przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Miller wyprostował się, gdy korytarzem nadeszli mężczyzna i kobieta.

Sympatyczni, po trzydziestce, mieli na sobie szorty i sandały. On miał koszulę wpuszczoną w spodenki, jej bluzka również była schowana pod pasek. Nie było widać zarysu broni palnej ani noża. Nie mieli saszetek. Nic, czym należałoby się martwić. Mężczyzna miał zawieszony na szyi aparat fotograficzny. Skinął głową Millerowi, nieco zdziwiony, że ten nie przygląda się działalności przy piecach.

Miller odpowiedział tym samym gestem.

Za jego plecami dwaj właściciele opowiadali potentatowi i jego żonie, że niemal skończone wazony, które widzą na stole, muszą przejść jeszcze jedną obróbkę, zanim będą gotowe do pokazania na wystawie.

- Dwadzieścia sztuk. Jaka jest ich łączna wartość? - zainteresował się bogacz.

W odpowiedzi usłyszał bardzo długą liczbę wyrażoną w lirach.

Weszli kolejni turyści.

Miller przyjrzał im się uważnie. Nic groźnego.

- A w dolarach? - dociekał potentat.

Miller usłyszał stukanie w klawisze kalkulatora.

- Czteryście tysięcy.

- Zakładam, że można je odpowiednio zapakować i bezpiecznie wysłać drogą lotniczą - rzekł potentat finansowy.

- Oczywiście.

- Signore - rzucił jeden z właścicieli, prawdopodobnie zwracając się do któregoś z nowych turystów. - Tu nie wolno robić zdjęć.

Mężczyzna odpowiedział po francusku, że nie rozumie.

Właściciel przeszedł na francuski i powtórzył, że robienie zdjęć jest zabronione.

W pomieszczeniu panował coraz większy tłok.

- Nie, proszę tego nie dotykać - powiedział drugi właściciel po włosku.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Nie da się wyeliminować odruchowej reakcji na przestrach. Jest na stałe wpisana w ludzki układ nerwowy. Ugięcie kolan. Zgarbienie ramion.

Wyciągnięcie rąk na wysokość piersi z uniesionymi dłońmi. Te ruchy zapewniają instynktowną obronę przed atakiem. Reagując mimowolnie, jak automat, Miller przeniósł wzrok z korytarza na to, co działo się za jego plecami. Dwaj właściciele fabryki oraz jego klienci wybałuszali wzrok na niemal skończony wazon, który mężczyzna z aparatem fotograficznym strącił na podłogę. U ich stóp wały się odłamki kolorowego szkła.

- Tak mi przykro, najmocniej przepraszam - mamrotał facet po francusku.

Nagle Millerowi zakręciło się w głowie. Miał mokrą nogę. Spojrzał w dół i jęknął, widząc, że z prawej nogawki jego spodni leje się potok czerwieni, że stoi w szybko rozszerzającej się kałuży krwi.

Tętnica udowa, przeleciało mu przez głowę. Ktoś mi przeciął...

Cięcie dobrze naostrzonym nożem prawie nigdy nie powoduje bólu, chyba że zostało zadane ze znaczną siłą. Rozchylająca się skóra spowodowała tylko uczucie pieczenia. Miller okręcił się na pięcie i ujrzał kobietę, która weszła za całą grupą do fabryki. Szorty. Sandały. Szła ciemnym korytarzem do jasnego dziennego światła w wejściu; po drodze obejrzała się raz przez ramię.

Nagle Millerowi zrobiło się ciemno przed oczami. Macając ręką w poszukiwaniu czegoś, czego mógłby się przytrzymać, zatoczył się na żonę swojego klienta, która odskoczyła z przerażeniem. Ktoś wrzasnął, ale Miller tego nie usłyszał. Ryk rozpalonych pieców dochodził jak przez mgłę. Ich płomienie przygasły. Pomimo buchającego żaru Millerowi zrobiło się zimno. Wyciągnął rękę, potknął się, zawadził o stół i przewrócił go, z hukiem zrzucając pozostałość wazonu na podłogę.

Z głową leżącą bokiem na betonie, patrzył na kolorowe odłamki bezwartościowego już szkła, migoczące dookoła niego. Ich blask zgasł tak jak i jego wzrok. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, były szklane okruchy zalane krwią.

15.

Śmigłowiec wylądował na łące przed domkiem, w promieniach słońca odbijających

się od jego kuloodpornych szyb; podmuch bijący z wirników przygiął trawę do ziemi.

- A kiedy będę mogła wrócić i zobaczyć się z rodziną? - Warkot silników śmigłowca zmusił panią Patterson do podniesienia głosu.

- Kiedy upewnimy się, że nic już pani nie grozi - odpowiedziała jej Jamie.

- Czyli to tak, jakby powiedzieć: „Kiedy Aaron będzie bezpieczny?” - zauważyła pani Patterson, ruchem głowy wskazując Cavanaugha.

Jamie tak przywykła do jego przybranego nazwiska, że czuła się nieswojo, gdy ktoś nazywał go Aaronem.

- Chodzi o bezpieczeństwo zarówno pani, jak i pani rodziny - wyjaśniła. - Proszę mi wierzyć, będzie pani pod dobrą opieką.

- W Nowym Jorku?

- Tak. Na Manhattanie.

Pani Patterson przemyślała to sobie.

- Czy to tam jest Radio City Music Hall?

Jamie stłumiła uśmiech.

- Dziesięć przecnic od miejsca, gdzie pani zamieszka. Mamy kilku przystojnych młodych mężczyzn, którzy z chęcią dotrzymają pani towarzystwa.

Za jej plecami Cavanaugh tłumaczył Garthowi:

- William dzwonił do sędziego Canfielda. Załatwił nam zgodę na opuszczenie stanu do czasu powołania ławy przysięgłych.

- Ten to rzeczywiście potrafi załatwiać sprawy od ręki. - Sądząc z jego tonu, kapitan bynajmniej nie był zachwycony, że znaczne wpływy przekładają się na rezultaty. - Sprawdzamy wszystkie hotele i motele w okolicy. Interesują nas zwłaszcza domy w sąsiedztwie Moose Junction, gdzie widziałeś grupę, która dokonała ataku. Poza tym badamy linie lotnicze i miejscowe agencje wynajmu samochodów.

- A ten, który wyleciał w powietrze - jesteście pewni, że bomba była podłożona pod spodem?

- Potwierdzili to technicy zbierający ślady na miejscu zbrodni.

- O co tu chodzi, do cholery? - zapytał Cavanaugh, chociaż odpowiedź była oczywista.

- Ten, kto wynajął tych ludzi, bał się, co mogą zeznać, gdyby złapano ich i przesłuchano. To samo dotyczy snajpera.

Pilot śmigłowca machnął ręką, zapraszając wszystkich do środka.

- Dzięki za pomoc, Garth.

- Cieszę się, że wyszliście z tego cało.

Z wyjątkiem Angela, pomyślał Cavanaugh, czując, jak rozpiera go gniew. Już ja znajdę tego, kto to zrobił.

Śmigłowiec wzbił się w powietrze i nabierał wysokości, żeby nie wpaść na urwiska. Kierował się na wschód. A jednak kiedy wylatywali z doliny Teton, Cavanaugh zrobił coś, czego obiecał sobie nie robić - poprosił pilota, żeby najpierw obrał kurs na północ. Chciał rzucić okiem na swoje ranczo. Nad kanionem obejrzał rozrzucone po okolicy szczątki domu, spalone kawałki drewna, kratery po wybuchu zbiornika propanu i śmigłowca, zrównany z ziemią budynek, spaloną łąkę.

Porozumiał się wzrokiem z Jamie.

O tak, znajdę tego, kto to zrobił, pomyślał.

16.

Albuquerque w Nowym Meksyku.

Nowo zbudowane więzienie leżało na obrzeżach miasta. W tym stanie największe upały panują od połowy czerwca do połowy września - ale tego roku, w związku z suszą, przesunęły się na jesień. Nawet teraz, w środku października, temperatura w południe wynosiła dwadzieścia siedem stopni.

Bowie siedział wprawdzie w samochodzie z opuszczonymi szybami, ale z braku wiatru w środku panował jeszcze większy skwar niż na zewnątrz, więc pot ściekał mu z czoła, a mokra koszula kleiła się do oparcia siedzenia. Nauczył się jednak nie zważać na niewygodę, dlatego mógł skupić całą uwagę na szklanych drzwiach frontowych więzienia.

Piętnaście minut później wyszedł przez nie chudy jak tyczka Latynos. Włosy miał ostrzyżone tak krótko, że przeświecała skóra czaszki. Był w trampkach, dzinsach i białym T-shircie, którego krótkie rękawy odsłaniały gangsterskie symbole wytatuowane na ramionach. Bowie wiedział, że mężczyzna ten, Raoul Ramirez, ma dwadzieścia trzy lata. Należał do gangu zwanego Kindzały, ze wschodniej części miasta; Bowiemu podobała się ta nazwa, chociaż zastanawiał się, czy Latynos zdaje sobie sprawę, że kindzał oznacza nie tylko nóż. Tak czy owak, kindzał Raoula niewątpliwie wpędził go w kłopoty - mężczyzna odsiedział pięć lat za przetrzymywanie siłą i gwałcenie kobiety w pokoju motelowym. Poza tym był notowany i aresztowany za napady, kradzieże, ostrzelanie zamieszkanego budynku i spalenie samochodu należącego do członka konkurencyjnego gangu. Pomijając gwałt, inne

aresztowania kończyły się nadzorem kuratorskim.

Przeludnienie stanowego systemu więziennictwa spowodowało, że Raoul dostał zgodę na odsiadkę ostatnich miesięcy we względnym komforcie przestronnego nowego więzienia. Teraz drwiący uśmieszek na jego twarzy i mętne oczy socjopaty jeszcze bardziej rzucały się w oczy, gdy pod krawężnik zajechał samochód o niskim zawieszeniu.

Raoul wsiadł do środka. Wymieniono gangsterskie pozdrowienia. Samochód ruszył w drogę. Zachowując bezpieczny dystans, Bowie śledził go aż do skromnego parterowego domku rodziców Raoula, do którego podjeżdżali i pośpiesznie wchodzili krewni i przyjaciele. Na ulicy rozbrzmiewała muzyka i unosił się zapach kurczaka z rusztu. Bowie przyjął za pewnik, że świętując wyjście na wolność, Raoul nie odmówi sobie alkoholu. Około drugiej po południu, gdy już gorzałka wywarła należyty efekt i Raoul postanowił się zabawić, wyszedł z domu rodziców, wsiadł do nisko zawieszzonego samochodu i wraz z kumplami ruszył ulicą.

Zatrzymali się obok Bowiego, który przypuszczał, że sąsiedzi zawiadomili telefonicznie rodziców Raoula, że jakiś facet obserwuje ich dom. Szyba zjechała w dół, zagrziała dudniąca muzyka. Raoul łypnął spode łba.

- Chciałbym z tobą pogadać - rzekł Bowie.
- Odsiedziałem swoje. Więc odwal się, ty chingado gliniarzu.
- Nie jestem z policji.
- Byłem niewinny. Ta suka łąła jak najęta.
- Chcę ubić z tobą interes.

Raoul obrzucił go hiszpańskimi obelgami.

Bowie zaskoczył go, odpowiadając po hiszpańsku.

- Ja nie żartuję. Proponuję ci interes.

Raoul splunął na samochód Bowiego. Szyba podjechała w górę i wóz potoczył się dalej.

Bowie ruszył za nim. Raoul i jego kumple zajechali na stację benzynową Allsup, gdzie kupili cztery sześciopaki piwa Tecote, a potem dotarli do autostrady międzystanowej 40 i skręcili na zachód.

Bowie wciąż ich śledził, kiedy zjechali z zatłoczonej autostrady na północ, na pustą wąską szosę. Zwrócił uwagę na góry w oddali i na okoliczne kaktusy.

Asfaltowa nawierzchnia szosy przeszła w szutrową. Poza dwoma samochodami wspinającymi się na niskie wzgórze na drodze nie było nikogo. Trzymając się czterysta metrów z tyłu, poza chmurą pyłu wzbijaną przez pierwszy samochód, Bowie od czasu do czasu widział, jak pociągają piwo, i wiedział, że skoro wypuścili się na ubaw, to właśnie jego

upatrzeli sobie jako swoją ofiarę.

Samochód zniknął za grzbietem wzgórza. Kiedy Bowie również pokonał szczyt i zaczął zjeżdżać w dół, zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał: samochód blokujący drogę w miejscu, w którym nasyp zasłaniał go przed wzrokiem patrzących z oddali.

Raoul i jego trzech kumple stali oparci o maskę i popijając piwo, patrzyli, jak Bowie hamuje. Gdy wysiadł, uderzył go skwar, ale nie przejmował się tym, tylko wystrzył refleks i uchylił się przed puszką po piwie, którą cisnął w niego Latynos.

- Widzisz, co myślę o twojej propozycji ubicia interesu - rzekł Raoul.

Puszka zagrzechotała na kamieniach, ale Bowie nie rozpraszał się drobiazgami.

Raoul zmienił dzinsy, w których wyszedł z więzienia, na workowate, nisko opuszczone w biodrach spodnie z wielkimi kieszeniami, takie same, jakie nosili jego kumple.

Te portki nie zwisają im po przedział w dupie tylko dla szpanu, pomyślał Bowie. Są obciążone. Te typy mają przy sobie broń.

- Gliniarzom nie wolno mnie napastować. - Raoul był wyraźnie dumny, że zna takie słowo. - To sprzeczne z prawem.

Jego kumple uznali, że to przezabawne.

- Mówiłem ci, że nie jestem z policji - zapewnił go Bowie.

- Czyli to nie jest prowokacja policyjna. - Kolejne określenie, którym Latynos mógł się poszczycić. - Nie oskarżaj mnie o skopanie gliniarza.

- Albo poharatanie - dorzucił stojący obok Raoula chłopak, wyciągając nóż.

- A może powinienem ci wywalić czerwoną dziurę na czole? - Raoul wyciągnął z kieszeni spodni pistolet półautomatyczny, niewielką trzydziestkędwójkę.

- Nie miałbyś z tego żadnej frajdy - oświadczył Bowie.

- Nie?

- Słyszałeś kiedyś o Carrie Fisher?

- Co to za jedna?

- Aktorka. Jej matką jest Debbie Reynolds.

- A co to ma...

- Grała księżniczkę Leię w pierwszych trzech odcinkach Gwiezdných wojen.

- Człowieku, chyba cię kropnę, żebyś mnie nie zagadał na śmierć.

- Poza tym pisze powieści i scenariusze. Jej najlepszy tekst brzmi: „Kłopot z natychmiastową satysfakcją jest taki, że nie trwa zbyt długo”.

Raoul miał taką minę, jakby Bowie mówił po marsjańsku.

- Nie zastrzelisz mnie, bo to jest zbyt szybkie - ciągnął Bowie. - To nie ta sama frajda,

co przedłużanie gry wstępnej i poharatanie mnie albo skopanie na początek.

- Gry wstępnej? - powtórzył zaskoczony Raoul, jakby pojęcie to było mu z gruntu obce. - No, w sumie masz rację.

- Odstąpisz go mnie, Raoul? - zapytał jeden z gówniarzy. - Już ja go pokroję.

Raoul zastanowił się.

Prawdopodobnie zaczyna coś podejrzewać, pomyślał Bowie. Jeśli tak, to rzecz wygląda obiecująco. Chyba nie tracę czasu na darmo.

- Wszyscy się z nim zabawimy - oświadczył Raoul. Oderwali się od samochodu i rozstąpili. Jeden z nich dopił piwo i cisnął puszką. Inni poszli za jego przykładem.

Bowie bez trudu uchylił się przed puszkami.

- To co robimy, Raoul? - zapytał jakiś dzieciak. - Kopiemy?

- Czy tniemy? - Ten z nożem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Założymy się? - zapytał Bowie.

- Że połamiemy ci ręce i nogi? Masz to jak w banku.

Gdy podeszli bliżej, Bowie założył ręce na piersi i przyłożył prawą dłoń do policzka w absolutnie niegroźnym geście.

- No, no, patrzcie, jaki ten gość jest spokojny - rzucił któryś z dzieciaków.

- Do czasu, aż go skopiemy.

- Ja nie żartuję. Chcecie się założyć? - spytał Bowie. Zbliżyli się jeszcze bardziej.

Bowie wciąż trzymał lewą rękę na piersi, a prawą dotykał policzka.

- O co?

- O pieniądze, które mam w portfelu.

- I tak będą nasze - odparł Raoul, ściskając pistolet.

- A nie jesteście ciekawi, czego dotyczy zakład?

Byli już prawie obok niego.

- Tak? No więc co to za durny zakład? - zainteresował się Raoul.

- Że staniesz sześć metrów ode mnie, z bronią u boku.

- Tak? No i co?

- I że załatwię cię, zanim mnie zdążysz zastrzelić.

Latynos prychnął szyderczo.

- Takiego! Już to widzę.

- Uwierz mi.

Raoul znów parsknął i odwrócił się do kumpli.

W tym momencie Bowie mógł ich załatwić.

- A co powiem glinom, jak ci wpakuję kulkę w bebechy? - spytał Raoul.

- Że działałeś w obronie własnej.

- Czym tyś się ujarął? - rzucił jeden z chłopaków.

- Spluwa przeciwko gołym pięściom to nie żadna obrona własna.

- A jeśli mam coś, co policja uznałaby za zagrożenie?

- Na przykład co? - zapytał Raoul.

- Bo ja wiem? Może nóż.

- On jest loco - zadrwił chłopak z nożem. - Chce, żebym mu oddał mój...

- Czekaj. Przymknij się, bo nic nie kumam - przerwał mu Raoul. - Stanę dziewięć metrów od ciebie...

- Mówiłem o sześciu metrach.

- Dziewięć.

- To tyle, co bardzo długi pokój. - Bowie udawał, że protestuje.

- A ty zostaniesz tam z nożem.

- Tak.

- I zakładasz się o to, że nie zdążę cię zastrzelić, zanim mnie nie trafisz? Bowie skinął głową.

- A jeśli mnie zastrzelisz, to będzie w obronie własnej, skoro mam nóż. Powiesz gliniarzom, że cię śledziłem. Prześladowałem.

- Mówię wam, ten gość jest loco - rzekł chłopak z nożem.

- To jak, Raoul? Spędziłeś w pierdlu pięć lat. Leżąc podczas bezsennych nocy, nie marzyłeś o jakiejś akcji? Teraz masz okazję. I to całkiem legalną. Pierwszego dnia na powietrzu.

Latynos przyglądał mu się bacznie.

Słońce paliło coraz bardziej, a Bowie czekał.

- Dwanaście metrów - oświadczył Raoul.

- Chcesz zdobyć przewagę. Ja się zakładałem...

- O dwanaście metrów - uciął Raoul. Odwrócił się do kumpli. - Dobrze mówię, chłopaki? Dwanaście metrów.

- Jasne, Raoul. Tak mówił.

- W porządku, skoro tak ci zależy.

Rozbawiony Raoul zrobił czterdzieści kroków do tyłu. Dużych kroków.

- Ja mu mojego nie oddam - powiedział chłopak z nożem.

- Wobec tego skorzystam ze swojego. - Bowie wciąż trzymał lewą rękę na piersi, a

prawą na podbródku. Lewą dłonią sięgnął pod prawą pachę, w głąb krótkiego rękawa luźnej koszuli, i wyciągnął sprężynowy nóż długości piętnastu centymetrów, przymocowany taśmą klejącą do opaski antyalergiczej na piersi.

Ręcznej roboty nóż różnił się od tego z rękojeścią z polerowanego hebanu, którym lubił się bawić. Ten służył do pracy. Mechanizm wyrzucił ostrze jak po maśle, gdy Bowie nacisnął na koniec rękojeści. Klinga z anodyzowanej czerni, wykuta ze stali 440C, była tak ostra, że bez trudu przecinała włókna kamizelki z kevlaru. Rękojeść wykonano ze żłobionego, laminowanego i w zasadzie niezniszczalnego plastiku o nazwie Micarta. Wyżłobienia były o tyle istotne, że umożliwiały pewny chwyt, nawet gdyby Bowie miał palce śliskie od krwi.

- A to co za cholera?! - krzyknął chłopak.

Raoul uniósł pistolet.

- Bez nerw - rzekł Bowie. - Potrzebuję go do zakładu. Jeśli mnie zabijesz, musi to wyglądać tak, jakbyś się bronił.

- Jeśli? Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. - Raoul zmrużył oczy. - Zakładaliśmy się o piętnaście metrów, zgadza się? - Cofnął się o kolejne dziesięć kroków.

- Bez jaj! - rzucił Bowie. - Chyba chcesz, żeby to się odbyło uczciwie, co?

- Uczciwe jest piętnaście metrów.

- Ale musisz trzymać pistolet u boku. Nie możesz go unieść, zanim nie zaczniemy - przypomniał mu Bowie.

- Sie wie. - Latynos posłał mu drwiący uśmiezek z oddali. - U boku. - Opuścił pistolet.

Bowie opuścił nóż i spał się, nie pokazując tego po sobie.

- Kto będzie odliczał? - zapytał.

- Odliczał? Nikt nic nie mówił o...

Bowie skoczył w jego stronę, drąc się na całe gardło:

- Wypruję ci flaki, pojebańcu! Pierdolony pojebie!

W jednej chwili osiągnął maksymalną prędkość i szarżował na przeciwnika tak gwałtownie, z wykrzywioną z wściekłości twarzą, że Raoul się wzdrygnął i zamiast unieść broń, wycelować i pociągnąć za spust, zatoczył się do tyłu. Wytracony z równowagi całkiem ją stracił, gdy ugięły się pod nim kolana. Obronnym ruchem poderwał ręce do piersi. Ten odruchowy gest sprawił, że lufa pistoletu celowała w górę, a nie w przeciwnika, który nacierał na niego, wrzeszcząc:

- Zabiję zabiję zabiję!

Taki scenariusz to największy koszmar dla wszystkich, którzy w swojej pracy

posługują się bronią palną. Policjanci, agenci służb specjalnych, ochroniarze...

Każdy zawodowiec wie, że ktoś uzbrojony w nóż potrafi przebiec piętnaście metrów i zabić nas, zanim minie nasze zaskoczenie i zaczniemy się bronić.

Jedyną metodą na uniknięcie tego scenariusza jest położenie sukinsyna trupem w chwili, gdy wyciągnie nóż. Ale jeśli trafiło na policjanta, trzeba było potem usprawiedliwić swoje postępowanie przed komisją rewizyjną, a może nawet przed ławą przysięgłych. Było prawie pewne, że rodzina martwego gnojka zaleje się łzami i zacznie lamentować: „To nierówne szanse. Przecież nóż to nie pistolet. Policjant miał przewagę. Nie musiał strzelać”. A człowiek sobie myśli:

„Musiałem strzelać, do ciężkiej cholery. I gdybym miał to powtórzyć, załatwiłbym tego drania na cacy, dokładnie tak samo jak tym razem”. A to dlatego, że w obiegowej opinii człowiek uzbrojony w nóż przestaje biec, zbiera się do natarcia i dopiero potem dźga nożem, tracąc cenną sekundę albo dwie, a w tym czasie człowiek z pistoletem otrząsa się z zaskoczenia i zaczyna strzelać.

Tymczasem tak naprawdę nożownik nie zatrzymuje się, tylko naciera dalej, z rozbiegu wpada na faceta z bronią i z impetem ciska go na ścianę albo obala na ziemię, po czym skacze na niego i nóż wkracza do akcji.

Teraz też wyglądało to mniej więcej w ten sposób. Raoul jęknął, stojąc na ugiętych kolanach, z rękami wzniesionymi bezużytecznie w górę, a tymczasem Bowie w mgnieniu oka pokonał dzielący ich wcale nie tak olbrzymi dystans.

Wyrznął Latynosa barkiem z taką siłą, że całkiem pozbawił go tchu. Stopy Raoula oderwały się od ziemi. Jego ciało wygięło się w tył. Głowa z odrażającym chrzęstem walnęła o ziemię.

W tym momencie Bowie mógł jednym kolistym ruchem ręki w dół poderżnąć mu gardło. Ale wyrwał mu tylko broń, po czym z nożem i pistoletem okręcił się do jego kumpli, którzy wybałuszali na nich oczy.

- Chcecie się założyć? - zapytał.

- Jezu, człowieku, nie zabijaj mnie - rzucił błagalnie chłopak z nożem.

- Ani mi się śni. - Bowie schował pistolet za pasek. - Raoul, czy ty nas oglądasz? Chcę być pewny, że wszystko widzisz.

- Eee... że co? - wybełkotał Raoul.

- Patrzysz na nas, do ciężkiej cholery?!

- Eee, nooo, tak.

Bowie złożył nóż i przypiął go do kieszeni spodni.

- Ty tam - zwrócił się do chłopaka z nożem. - Pytałem cię, czy chcesz się założyć.

- Założyć?

- O to, że we trzech też nie dacie mi rady.

Trzej gówniarze dalej wybałuszali oczy.

Bowie znów przyjął absolutnie niegroźną postawę, kładąc lewą rękę na piersi, a prawą przyciskając do policzka.

- Na miłość boską, ruszże się! Zrób coś!

Chłopak zaryzykował i zaatakował go nożem. Bowie machnął prawą ręką w dół i odparował cios. Jednocześnie odwrócił lewą dłoń, zamachnął się i z całej siły walnął dzieciaka „z liścia”; siła ciosu była tak wielka, a jego dłoń pokryła tak znaczną część twarzy napastnika, że oczy chłopaka zapadły się w głąb czaszki.

Tym samym płynnym ruchem Bowie okręcił się, krawędzią grubej podeszwy buta kopnął drugiego dzieciaka z boku w nerw nogi, wyłączając ją czasowo z użytku, i gówniarz, wyjąc z bólu, padł na ziemię. Tymczasem nożownik osunął się na kolana. Bowie wyrzucił prawą rękę, celując w jego brodę i zmniejszając siłę ciosu na tyle, żeby nie złamać mu karku. Trzeciego kopnął w jądra, a kiedy chłopak odruchowo pochylił głowę, również przyłożył mu nasadę dłoni w podbródek. Obaj napastnicy stracili przytomność.

Został tylko ten ze sparaliżowaną nogą. Przeszywający ból był tak dotkliwy, że utrudniał mu sięgnięcie do kieszeni spodni. Wreszcie dzieciak wyciągnął gówniany rewolwer kaliber dwadzieścia dwa z krótką lufą, na co Bowie kopnął go w brodę, uważając, żeby złamać mu tylko szczękę, ale go nie zabić.

Raoul leżał na ziemi i usiłując złapać oddech, mrugał z niedowierzaniem.

- I jak ci się to podobało? - zapytał Bowie.

- Uhm.

- Chcesz dostać pracę?

- Uhm.

- Chciałbyś się nauczyć takich rzeczy? Zostać agentem? Zyskać przyjaciół i pogрузьć świat w bólu?

- Pracę? Jakiego rodzaju...

- Pracę dla mnie. - Bowie wyjął z kieszeni portfel. Stalowa klamra, którą wykonał własnoręcznie, miała z boku ukryty nóż, i to tak starannie, że nigdy nie miał problemów z przejściem przez kontrolę na bramce. - Dwa tysiące dolarów za samo zapisanie się.

- Dwa tysiące?!

- Dostaniesz pokój i wyżywienie, darmowe ubranie i sprzęt.

- Dwa tysiące?!
- Za samo przyjęcie oferty. Potem trzy tysiące miesięcznie. Nigdy tyle nie wyciągniesz, obrabiając sklepy monopolowe.
- Co mam zrobić?
- Udowodnić, że potrafisz się uczyć. A potem...
- Tak?
- Robić to, co ci każą.

17.

- Klaps? - zapytał William takim tonem, jakby Cavanaugh się z niego nabijał.

Cavanaugh poczuł lekki skurcz brzucha, gdy gulfstream G-200 z rykiem silników oddalał się od lotniska w Casper w Wyoming. Mogli odlecieć tym odrzutowcem z Jackson Hole, istniało jednak ryzyko, że jednostka szturmowa będzie obserwowała tamtejsze lotnisko. Polecieli więc śmigłowcem trzysta osiemdziesiąt kilometrów na wschód, do Casper, gdzie gulfstream miał wylądować i czekać na ich przybycie. Na bokach samolotu widniał napis GLOBAL PROTECTIVE SERVICES. W środku odrzutowca mieściły się fotele klubowe, stół konferencyjny, salonik dla dziesięciu osób, przestronna kuchnia, nowoczesna aparatura audio i wideo. Gulfstream miał międzykontynentalny zasięg, ciche silniki, stuprocentowo oczyszczone powietrze i mnóstwo naturalnego światła.

- Uważasz, że klaps to coś dla mięczaków? - spytał Cavanaugh.

- Bez wątplenia - przytaknął William.

Jamie wyszła z łazienki, gdzie przebrała się w białą bluzkę, granatowy zakiet i szare spodnie, które piloci przywieźli na polecenie Williama. Turkusowe kolczyki podkreślały ciemną zieleń jej oczu. Rozpuściła kok i czarne włosy opadały jej teraz na ramiona.

- Tak naprawdę to poważna sprawa - zapewniła Williama.

- Fairbairn chciał, żeby jego techniki walki wręcz były proste - podjął Cavanaugh. - Łatwe do opanowania. Łatwe do zapamiętania. W gruncie rzeczy składają się tylko z kilku ruchów. A co nie mniej ważne, system Fairbairna gwarantuje, że ten, kto wykonuje te ruchy, nie zrobi sobie krzywdy.

Pani Patterson przestała podziwiać wystrój gulfstreama i nastawiła uszu.

- Na przykład taki cios pięścią. - Jamie zacisnęła pięść i udała, że uderza w ścianę. -

Na pewno zaboli mojego przeciwnika, to nie ulega wątpliwości. Ale prawdopodobnie uszkodzę sobie przy tym rękę. Jeśli dalej będę biła w ten sposób, w najlepszym razie dłoń spuchnie, zacznie mi się trząść i stanie się bezużyteczna. A w najgorszym złamię sobie kości i ból mnie obezwładni. Nawet największy twardziel nic nie poradzi na taki szok.

Cavanaugh wpadł jej w słowo:

- Dlatego Fairbairn zadał sobie pytanie: „Którymi częściami ciała można zadawać ból, nie ryzykując kontuzji?”.

- Skoro mówimy o klapsach, zakładam, że jedną z nich jest wnętrze dłoni - rzekł William.

- Tak, ale mówiąc o klapsach, nie mamy na myśli delikatnego poklepywania - powiedział Cavanaugh. - Mówimy o biciu na odlew, z maksymalną siłą i szybkością. Popartym całym ciężarem ciała. Dłoń pokrywa dużą powierzchnię, prawie całą twarz. Nawet jeśli przeciwnik nie padnie, oszołomisz go na tyle, że po takim samym ciosie z drugiej strony zwalisz go z nóg.

- A te inne części ciała, którymi najlepiej się posługiwać według Fairbairna? - dociekał William.

- Stopy, jeżeli nosisz buty na grubej podeszwie. Nadeptując silnie, możesz połamać komuś palce stóp. Fairbairn zalecał wariant, w którym kopiesz przeciwnika kantem buta w piszczel, a dopiero potem nadeptujesz mu palce stopy.

- Au! - jęknął William.

- Kolano - odpowiedziała Jamie.

- W krocze? - zapytał William.

- Nie inaczej.

Pani Patterson wciąż słuchała.

- Łokcie - dorzucił Cavanaugh. - Możesz połamać nimi komuś zebra, nie robiąc sobie krzywdy.

- Jeśli uderzysz kogoś kantem dłoni w gardło, też nic złego ci się nie stanie - dodała Jamie.

William skrzywił się, wyobrażając sobie obrażenia przeciwnika.

Pani Patterson pochyliła się.

- Poza tym możesz wbić komuś nasadę dłoni w podbródek i wyłupić mu oczy palcami, jednocześnie szarpiąc jego głowę do tyłu i...

William czuł się coraz bardziej nieswojo.

- Dlaczego mąż mnie tego nie nauczył? - zapytała ostro pani Patterson. - W domu

wszędzie miał broń, a też nie nauczył mnie, jak się nią posługiwać. Był dobrym mężem, ale zawsze traktował mnie jak słabeusza.

- Teraz ma pani okazję nadrobić stracony czas. - Jamie skinęła ręką na Cavanaugha, żeby wstał. - Fairbairn zalecał stosowanie wielu kombinacji.

Położyła lewą rękę na piersi i uniosła prawą dłoń do policzka.

- Jestem bezbronna? - zapytała Williama i panią Patterson.

- Mniej więcej - przytaknął William, a pani Patterson kiwnęła głową.

- Właśnie tak powinien myśleć wasz przeciwnik. Chodzi o to, żeby wbić go w zbytnią pewność siebie, a potem wykorzystać element zaskoczenia, robiąc coś, czego się nie spodziewa.

Cavanaugh udał, że chce ją uderzyć w brzuch.

Prawa ręka Jamie opadła, parując cios. Lewa śmignęła z otwartą na płask dłoń, jakby chciała uderzyć Cavanaugha w twarz. Następnie Jamie zamarkowała kopnięcie w krocze, a kiedy zgiął się wpół, w zwolnionym tempie wyprowadziła cios nasadą dłoni w brodę, z palcami przy jego oczach, i odepchnęła jego głowę do tyłu.

- Ten klaps oszołomiłby go wystarczająco, żeby nie mógł się dalej bronić - podsumowała. - Fairbairn napisał książkę pod tytułem „Bądź twardy”. Załatwimy ci egzemplarz.

- Co przypomina mi, że i ja mam coś dla was - rzekł William.

Z zaciekawieniem patrzyli, jak wysuwa szufladę ze schowka, który wyglądał jak stolik.

Wyciągnął z niego teczkę.

- Kazaliście mi załatwić z centralą GPS, żeby dostarczyli do samolotu torbę ucieczkową, chociaż przyznaję się bez bicia, że nie mam zielonego pojęcia, co to takiego.

- To coś, czego potrzebujesz, kiedy się zmywasz - wyjaśnił Cavanaugh.

- Słucham?

- Zestaw awaryjny na wypadek, jeżeli przewidujesz, że będziesz musiał uciekać. Większość agentów ma gdzieś zamelinowane torby ucieczkowe.

Cavanaugh otworzył ją i pokazał noże, amunicję kaliber dziewięć milimetrów, zapasowy magazynek, łatwy do ukrycia pistolet SIG-Sauer P229, wytrychy, miniaturową latarkę, pokaźny plik banknotów dwudziestodolarowych, fałszywy dowód tożsamości, małe rolki taśmy izolacyjnej oraz rozmaite przedmioty na pozór niemające nic wspólnego z walką, jak agrafki i zaciski - wąskie, giętkie paski z plastiku używane do wiązania kabli albo toreb na śmieci.

- A to po co? - zainteresował się William.

- Do przypinania i wiązania różnych rzeczy.

Prawnika to nie rozbawiło.

- Jasne - burknął. - A taśma izolacyjna służy pewnie do łątania przeciekających rur.

- Albo żył.

- Pewnego dnia będziesz musiał mnie tego nauczyć.

- William odwrócił się do Jamie. - A to dla ciebie. - Podał jej futerał z czarnego plastiku wielkości laptopa z napisem SIGARMS.

- Miło, że o tym pomyśleli - powiedziała. - Wszyscy dają mi w prezencie broń.

- To też ci się przyda. - William wręczył jej kaburę.

- Nie - zaprotestował Cavanaugh.

Jamie spojrzała na niego.

- Jeśli nie będzie cię przy mnie, nic ci nie grozi - wyjaśnił.

- Chcesz powiedzieć...

- Zostaniesz z panią Patterson. Trzymaj się ode mnie z daleka.

- Ci, którzy nas zaatakowali, i tak mogą próbować mnie znaleźć, żeby dzięki temu dobrać się do ciebie - zauważyła.

- Będziesz pod dobrą ochroną.

- Widzisz tę obrączkę na moim palcu? - powiedziała Jamie. - Siedzę w tym dokładnie tak samo jak ty, skarbie. Nie ma mowy, żebym się ukrywała, kiedy ty będziesz się wystawiał na cel.

- To dla ciebie najbezpieczniejsze wyjście.

- Mam gdzieś, co jest dla mnie bezpieczne, a co nie. W odwrotnej sytuacji, gdybym to ja była celem, ty też byś się chował?

- Oczywiście, że nie. Ale to jest...

- Co innego? Niby w jakim sensie? Dlatego, że jestem kobietą, a ty mężczyzną?

- Wiesz, że ja nie myślę w ten sposób. Tyle że... jeżeli zrobimy to razem, a coś pójdzie nie tak... Nie mogę cię stracić, nie zniósłbym tego.

- A myślisz, że ja bym zniosła utratę ciebie? Nie znajdziesz lepszego, bardziej zmotywowanego ochroniarza niż ja.

- Wiem.

- Stale powtarzałeś, że jestem w tym dobra. To jak, razem?

Z nadmiaru uczuć Cavanaugh nie mógł wydobyć głosu.

- Tak. Razem.

III.

„LUBISZ GRY KOMPUTEROWE,
RAOUL?”

1.

Oaxaca w Meksyku.

Gwiazda filmowa zaskoczyła Dominica - była uprzejma, uległa, zupełnie inna niż chronieni przez niego do tej pory celebryci. Nazywała się Shana Lane.

Dwadzieścia jeden lat, zabójcza figura i pięć filmowych przebojów, z których jeden był na tyle dobry, że dostała nominację do Oscara. A potem znikła na całe długie, upalne lato. Policja, prywatni detektywi oraz media szukali jej wszędzie, aż tu nagle odnalazła się, zaćpana do nieprzytomności, na głównej uliczce jakiejś małej dziury w kanadyjskiej Nowej Szkocji, gdzie chwiejnym krokiem zmierzała - jak jej się zdawało - żeby kupić konia wyścigowego. Nikt, włącznie z nią samą, nie potrafił tego wyjaśnić. Policja prześledziła jej wcześniejsze poczynania i odkryła dom, w którym aktorka mieszkała ze swoim chłopakiem.

Chłopak był zaborczy, a poza tym uzależniony od heroiny. Kiedy już wysłuchali wykładu sędziego na temat bezsensu marnowania życia i talentu i zapłacili grzywnę, wrócili do Los Angeles. Jednak mimo że Shana postanowiła uporządkować swoje życie i zakończyć ich związek, chłopak uparcie wciąż chciał się z nią spotykać. W dowód miłości oraz determinacji podpalił jej bmw, udusił jej kota, a następnie zniknął i odczekał, aż policji znudzi się pilnowanie jego byłej dziewczyny.

W tym momencie wkroczył Dominic. Za kolosalne honorarium od wytwórni filmowej, która za wszelką cenę chciała chronić swoją inwestycję, Dominic i pięciu innych ochroniarzy polecili na plan filmowy Shany do Meksyku.

Pracując w dwuosobowych zespołach na jednej zmianie, dopilnowali, żeby chłopak więcej się nie pojawił. Poza tym postarali się również, żeby, zachęcona akcją filmu o przemytnikach narkotyków, Shana nie skusiła się i nie zasmakowała znów w prawdziwym towarze.

Ku zdumieniu Dominica Shana zachowywała się wzorowo, bez szemrania wykonywała polecenia, na plan stawiała się punktualnie, zawsze miała przygotowane swoje kwestie i ani razu nie narzekała na dwunastogodzinny dzień pracy oraz ściśle pilnowanie tego, co robi po pracy. Wolne miała tylko w niedziele, dlatego (w towarzystwie Dominica oraz drugiego ochroniarza) wypuszczała się wtedy do okolicznych miasteczek na zakup dywanów, ceramiki i rzeźb zwierząt albo zwiedzała barokową katedrę w Oaxaca ze sklepioną kopułą pełną olśniewających złotych ozdób.

Tym razem, w przedostatni wieczór zleconego zadania, Dominic i drugi ochroniarz

stali oddzielnie w cieniu po bokach restauracji na patio hotelu Victoria i obserwowali rozmaite drogi wejścia do środka, podczas gdy Shana jadła kolację z reżyserem. Na niższym poziomie aktorzy z ekipy pluskali się w basenie.

Ściemniało się szybko. Dominic i jego kolega po fachu odstawili Shanę do jej pokoju, jednego z wielu w długim niskim budynku obok restauracji. Przejściu dyskretnie oświetlonym łącznikiem towarzyszył przyjemny zapach otaczających go kwiatów. Podczas gdy jego partner obserwował wejścia do budynku, Dominic otworzył drzwi i wszedł do pokoju Shany, sprawdzając, czy nic tam jej nie grozi.

Dwaj ochroniarze odprężyli się dopiero wtedy, gdy usłyszeli, jak aktorka zamyka liczne zasuwki i zamki w drzwiach.

- Czekasz na jakieś następne zlecenie, jak już ją odstawimy do Stanów? - zapytał Dominic partnera.

- Nie. Zastanawiam się, czy nie wrócić tu z żoną. A jakie ty masz plany?

- Nowy Orlean. Mam wchodzić w skład ochrony konferencji Światowej Organizacji Handlu. Po spustoszeniu Nowego Orleanu przez huragan „Katrina” WTO postanowiła spotkać się właśnie tam, żeby okazać poparcie dla odbudowy miasta.

- Ostatnim razem, kiedy pracowałem dla Światowej Organizacji Handlu, demonstranci wywołali rozruchy i sparaliżowali całe miasto. Przez tydzień żyłem w stanie pomarańczowym. A potem przez bity tydzień spałem.

Wyciągnęli klucze i otworzyli swoje pokoje sąsiadujące z obu stron z pokojem Shany. Mogli się stamtąd dostać do niej w jednej chwili, gdyby nacisnęła przycisk uruchamiający alarm. Gdy otworzyli drzwi, każdy z nich na własnej skórze odczuł miejscowe przysłowie („Z ugryzienia tego węża żaden lekarz cię nie wyleczy”) - w ich kierunku ze świstem śmignęły maczety, ucinając im głowy.

2.

Czwartym co do wielkości lotniskiem w sąsiedztwie Nowego Jorku (po imienia Kennedy’ego, La Guardii i Newark International) było Teterboro - tak zwane lądowisko pomocnicze obsługujące loty czarterowe, samoloty firmowe i prywatne, co rozładowywało korki w większych portach lotniczych. Po dziewiętnastu kilometrach jazdy przez most Jerzego Waszyngtona Cavanaugh znalazłby się w biurze Global Protective Services w

centrum Manhattanu.

Jednak ponieważ zespół napastników mógł przewidzieć, że właśnie tam się wybiera, i wziąć Teterboro pod lupę, postanowił nie ryzykować i zamiast samochodu zdecydował się na śmigłowiec.

Na Manhattanie są trzy heliporty. Cavanaugh wybrał najbardziej oddalony od centrali GPS, uznając, że będzie najmniej narażony na inwigilację. Opancerzona furgonetka zawiozła go i pozostałych w niewielkim, jak to w środku nocy, ruchu na strzeżony parking pod budynkiem przy Madison Avenue, w którym całe czterdzieste piętro zajmowały biura GPS. Czekająca na przyjazd furgonetki ekipa zawiozła Cavanaugha i towarzyszącą mu trójkę windą na górę i przeprowadziła przez punkty kontroli na piętrze.

Z sali konferencyjnej rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na usłane światłami miasto. Szyby były tu kuloodporne, a mimo to natychmiast po wejściu całej grupy do pomieszczenia Cavanaugh nacisnął przycisk zasuwający kotary, tak grube, że nie było przez nie widać sylwetek ludzi. Zerknął na pluszowy dywan i obite dębową boazerią ściany. Każde miejsce siedzące przy długim stole konferencyjnym miało własny terminal komputerowy oraz centralkę telefoniczną; przez jedną z nich wezwał na górę trzech pracowników GPS, którym kazano zostać po godzinach pracy.

- Wygląda na to, że przejmowanie władzy wychodzi ci całkiem zgrabnie - zauważył William.

- Jak to załatwimy oficjalnie? Chyba masz dla mnie jakieś dokumenty do podpisania?

- Poleciałem asystentowi, żeby pojechał do mojego biura i je tu przywiózł - odparł William. - Wkrótce powinien się zjawić.

- Nie mogę się doczekać.

- Jeśli chce się pani przespać, znajdziemy jakiś pusty gabinet z kanapą - zwróciła się Jamie do pani Patterson.

- Dzięki, zdrzemnęłam się w samolocie. - Najwyraźniej starsza kobieta nie chciała niczego przegapić.

Ale Cavanaugh nie mógł na to pozwolić.

- Na tym etapie musi się pani z tego wyłączyć. Im mniej pani wie, tym lepiej dla pani.

Wydawała się załamana.

- Było fajnie, dopóki trwało. Proszę o tym myśleć w ten sposób - poradziła jej Jamie.

- Fajnie? Wciąż nie pojmuję dlaczego, choć byłam tak okropnie wystraszona, przeżyłam najbardziej ekscytujące wydarzenie w całym moim życiu.

- Winston Churchill powiedział kiedyś: „Nic tak nie cieszy jak chwila, gdy strzelają

do ciebie, a ty wychodzisz z tego cało” - wtrącił się Cavanaugh. - Chodzi tylko o to, żeby nie cieszyć się z tego powodu zbyt często. Williamie, kiedy Duncan umieścił mnie w testamencie?

- Miesiąc przed śmiercią. Dlaczego pytasz?

Do sali weszły trzy osoby.

Pierwszą był Hindus z pochodzenia, urodzony w Akron w stanie Ohio. Pod czterdziestkę. Krótkie, gęste czarne włosy. Krępej budowy ciała. Wyrazista kwadratowa twarz. Pewne ciemne oczy. Muskularne ręce. Nazywał się Ali Karim, w czasach służby w siłach specjalnych do jego szczególnych talentów należały języki obce, medycyna i materiały wybuchowe, a także umiejętność wtapiania się w środowisko Azjatów. Obecnie był szefem rekrutacji, szkolenia i nadzoru agentów ochrony GPS.

Drugą osobą była Chinka, nieco po trzydziestce. Kim Lee. Wychowana w Seattle. Lśniące, sięgające talii czarne włosy. Metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, szczupła, o delikatnych i atrakcyjnych rysach twarzy, wydawała się zbyt wątpa jak na pracownika agencji ochrony. Jednak wszyscy, którzy głupio zakładali, że jest bezbronna, szybko przekonywali się, że to instruktorka z czarnym pasem aikido oraz jeet kune do. Należała do nielicznych pracowników GPS, którzy nie wywodzili się z jednostek specjalnych, ale jej kompetencje nie wymagały wojskowego wyszkolenia. Duncan zatrudnił ją, ponieważ niegdyś była słynną hakerką i twórczynią wirusów, a takie talenty są bardzo cenne dla firmy, która zajmuje się ochroną nie tylko przed atakami fizycznymi, lecz również elektronicznymi. Cavanaugh zastanawiał się, jak Kim dogada się z Jamie, skoro Jamie także była ekspertem od komputerów.

Trzecią osobą był biały. Gerald Brockman. Tuż po czterdziestce. Przystojny, potężnie zbudowany Afrykaner, który kiedyś służył w RPA w jednostce Reconnaissance Commando, specjalizującej się w akcjach na tyłach wroga i w najbardziej wrogim środowisku. Jeden z testów, który przechodzili kandydaci, polegał na przeżyciu pięciu dni pośród lwów, słoni i pożarów afrykańskiego buszu, mając do jedzenia tylko puszkę skondensowanego mleka, połowę dziennej racji żywnościowej oraz dwanaście bułeczek, których większość - jak z czasem orientowali się skonsternowani adepci - instruktorzy namoczyli w benzynie. Poza tak elitarną przeszłością wojskową Brockman był wyjątkowo zdolnym administratorem i dlatego został tymczasowym dyrektorem naczelnym firmy.

Wszyscy troje stali i czekali. Agenci specjalni są wyszkoleni w ukrywaniu swoich uczuć. Mimo to widać było, że są zaskoczeni.

- Cavanaugh? - Brockman wlepił w niego wzrok.

Gdy William skontaktował się z Global Protective Services, zgodnie z instrukcjami

Cavanaugh powiedział Brockmanowi tylko tyle, że zjawi się z nowym właścicielem.

Brockman spojrział na Jamie i panią Patterson, wyeliminował je jako ewentualne kandydatki i powiedział:

- To ty jesteś nowym dyrektorem naczelnym?

- Ale... - Kim odwróciła się do prawnika. - Williamie, od pięciu miesięcy każesz mi szukać w naszych bazach komputerowych jakiegoś Aarona Stoddarda. Miałam wrażenie, że to jemu Duncan zapisał firmę.

- To prawda - przytaknął William. - Teraz, kiedy już mam zgodę mojego klienta, mogę wam wreszcie powiedzieć... Aaron Stoddard odziedziczył GPS.

- Aaron Stoddard to ja - rzekł Cavanaugh.

W sali zapadła cisza.

- Miałem taką teorię, że ochroniarz nie byłby bezpieczny, gdyby źli ludzie dowiedzieli się o jego życiu prywatnym - wyjaśnił. - Mogliby wyrzucić presję na jego rodzinę i przyjaciół, żeby się do niego dostać. Dlatego postanowiłem posługiwać się pseudonimem.

- Ale w jaki sposób ci źli mogliby zdobyć takie informacje? - spytał Ali. - Te akta są absolutnie bezpieczne, dostęp mam ja i Kim, nikt więcej.

- Mylisz się - odparł Cavanaugh. - Wczoraj ekipa zabójców zaatakowała mój dom.

- Co takiego?!

- Mój dom, na miłość boską! Akt notarialny opiewa na Aarona Stoddarda. Tam, gdzie mieszkam, wszyscy znają mnie tylko pod tym nazwiskiem. - Rozwścieczony Cavanaugh zmusił się, by opanować oddech. - A jednak tamci jakoś mnie znaleźli. Mogli to zrobić, wyłącznie szukając kogoś o tym nazwisku przez GPS.

- A kancelaria Williama? - podsunął Ali. - To on wszczął poszukiwania.

- Zapewniam, że poza waszą trójką nikogo nie poinformowałem o tym, jak ważne jest odszukanie niejakiego Aarona Stoddarda. - Prawniki odwróciło się do Cavanaugha. - Tajemnica zawodowa nie pozwalała mi się wdawać w szczegóły testamentu Duncana. Ale oni szybko skojarzyli jedno z drugim.

- Co ty sugerujesz, do cholery?! - zapytał ostro Brockman. - Że to my wysłaliśmy zabójców, żebyś nie odziedziczył firmy? Żebyśmy sami mogli przejąć nad nią kontrolę?

- Aż do tej pory nawet mi to nie przyszło do głowy - skłamał Cavanaugh.

- Głodne kawałki. - Doskonały, idiomatyczny amerykański Alego kontrastował z jego hinduskimi rysami. - Jakbyśmy mieli mało kłopotów, zjawia się facet, który kiedyś oświadczył nam, że postanowił wypisać się z branży, potem mu się odmieniło, a teraz wraca i zarzuca nam, że pracujemy dla drugiej strony.

- Przerwa - zarządził Cavanaugh.
- To naprawdę jakieś dyrdymały - upierał się Ali.
- Nie żartuję, czas na przerwę. Czy Duncan trzymał tu whisky?
- Zostałeś pijakiem? - spytała zdumiona Kim.

- Nie - zaprzeczył Cavanaugh. - Ale jeśli będziemy się okładać flaszkami po łbach dostatecznie długo, to w końcu może zaczniemy gadać do rzeczy. Duncan wierzył całej waszej trójce bez zastrzeżeń. Ja też wierzę wam absolutnie. Co nie zmienia faktu, że musimy wykryć, gdzie nastąpiło naruszenie zasad bezpieczeństwa, ani nie likwiduje moich kłopotów. Ktoś na mnie poluje, ktoś dysponujący kolosalnymi pieniędzmi i możliwościami. To, że pierwsza próba się nie powiodła, nie oznacza, że zagrożenie minęło. Muszę wierzyć, że nastąpi kolejny atak, większy i lepiej przygotowany.

Brockman przeciągnął ręką po łysej głowie. Ali powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Przepraszam - bąknęła Kim. - Chyba wszyscy odreagowujemy stres.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł ochroniarz z przesyłką.

- Dostarczył to asystent pana Faradaya.

Cavanaugh podał dużą pękatą kopertę Williamowi, który rozłożył jej zawartość na stole konferencyjnym.

- Gdzie mam złożyć autograf? - zapytał Cavanaugh.

- Nie przeczytasz najpierw? Jako twój prawnik gorąco zalecam, żebyś uważnie sprawdzał, co podpisujesz.

- Czy jest tam coś, z czym się nie zgadzasz?

- To elegancko proste. Przyjmujesz spadek. Przejmujesz kontrolę nad firmą wraz z wszelkimi jej aktywami, a także, podkreślam, jej zobowiązania.

- Wczoraj mówiłeś mi, że Duncan podjął jakieś wątpliwe decyzje inwestycyjne.

- Zbyt szybko rozwijał firmę. Londyn, Paryż, Rzym, Hongkong. Plany otwarcia nowej filii w Tokio. To fakt, że po jedenastym września popyt na pierwszorzędą ochronę wzrósł jak nigdy. Ale obecnie GPS ma dużo większe wydatki niż wpływy. A to grozi bankructwem.

- Bankructwem? - Ali ze zmartwieniem spojrział na Brockmana. - Nikt mi nigdy nie mówił, że...

Cavanaugh podpisał dokument.

- Potrzebny jest świadek. - William spojrział na Jamie. - Ale nie może nim być twoja żona.

- Żona? - Kim najwyraźniej osłupiała.

- A co mi tam, ja podpiszę! - rzuciła pani Patterson, szczęśliwa, że wciąż należy do

grupy. Złożyła podpis w miejscu, które wskazał jej William.

- Czyli że teraz firma jest moja? - spytał Cavanaugh prawnika.

- Co do ostatniego spinacza i dystrybutora z wodą.

- No to zaczynajmy. Gerald, odwołaj otwarcie filii w Tokio. Połącz biuro paryskie z rzymskim. Ali, zapewnij pani Patterson całodobową ochronę. Umieść ją w jakimś bezpiecznym miejscu.

- A do ochrony przydziel młodych przystojniaków - wtrąciła Jamie.

- William także potrzebuje bezpiecznej kryjówki - dodał Cavanaugh. - Tamci mogą się nimi posłużyć, żeby się dostać do mnie. Kim, sprawdź w komputerze wszystkie zlecenia, jakie dostałem. Niewykluczone, że atak miał mnie uciszyć, żebym się nie wygadał z czymś, czego się dowiedziałem w trakcie pracy. Najlepsi ochroniarze mają obstawiać Jamie i mnie. Wezwij Roba Millera, Dominica Benuto, Hansa Dietricha i...

Urwał na widok posmutniałych twarzy.

Nagle powiązał ze sobą dwa dziwne stwierdzenia Alego i Kim. Ali powiedział:

„Jakbyśmy mieli mało kłopotów”. A Kim: „Chyba wszyscy odreagowujemy stres”.

- Co się stało? - zapytał.

Kim wciągnęła powietrze.

- Z wyjątkiem Eddiego wszyscy zginęli. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

W pierwszej chwili Cavanaugh myślał, że się przesłyszał.

- Miller był w Wenecji, ochraniał jakiegoś przemysłowca i jego żonę - wyjaśnił Ali. - Dominic pilnował gwiazdy filmowej w Oaxaca. Pozostali też dostali zlecenia, które nie miały ze sobą żadnego związku. Wszyscy zginęli od ciosów jakimś ostrym narzędziem.

Cavanaugh pochylił się, przyciskając dłonie do stołu.

- Każde ostrze było pokryte trucizną o szybkim działaniu - dodała Kim.

Cavanaugh zaniemówił.

- Klienci przeżyli. - W głosie Brockmana wyczuwało się niepokój. - Nikt im nic nie zrobił. Nikt ich nie zaatakował.

- Nikt? Przecież to nie ma sensu - zaprotestował William.

- Przeciwnie - rzekł Cavanaugh. - Skoro nie zaatakowano klientów, to znaczy, że celem byli ochroniarze.

- Ale dlaczego ich po prostu nie zastrzelili?

- Dlatego, że w pchnięciu nożem jest coś upiornie intymnego - odparł Cavanaugh. - Ofiara często nie czuje skaleczenia i nie zdaje sobie sprawy, jak poważnie jest ranna. Jest taki

film na wideo, który wykorzystują instruktorzy nożowników. To taśma z monitoringu z kamery umieszczonej na suficie pewnego baru w Kalifornii. Widać na niej bandę białych twardzieli, którzy biją niskiego Latynosa. Skopali go jak się patrzy. Na koniec najgorszy z napastników rzucił skamlącego jak cholera Latynosa na stół bilardowy. Na filmie widać nieznaczny ruch w lewo, to Latynos próbował wyrwać rękę spod przeciwnika i sięgnąć do kieszeni dzinsów. Potem następuje seria szybkich ruchów. Obraz ręki jest rozmazany. Nagle oprych prostuje się, jakby miał już dość okładania Latynosa.

Odwraca się, z wypatroszonym brzuchem, ale jest w takim szoku, że nawet nie zdaje sobie sprawy, że dostał nożem. Wszyscy uciekają. A on, zdziwiony ich reakcją, podchodzi do baru. Siada. Latynos, cały we krwi, wstaje ze stołu bilardowego, chowa nóż do kieszeni, poprawia ubranie i wychodzi. Oprych przy barze zamawia drinka. Wciąż jest w takim szoku, że nie ma pojęcia, ile razy został dźgnięty. Siedzi jeszcze przez chwilę i kręci głową, jakby nie mógł w coś uwierzyć, po czym martwy spada na podłogę.

William był przerażony.

- Większość pracujących w branży ochroniarskiej tak docenia zagrożenie, jakie stwarzają noże, że zawsze nosi przy sobie co najmniej jeden, żeby mieć czym odstraszyć przeciwnika, gdyby doszło co do czego. Najlepiej mieć przy sobie kilka sztuk, to zwiększa szanse, że zdąży się któryś wyciągnąć. Zawieszane na łatwym do zerwania łańcuchu na szyi. - Cavanaugh rozpiął koszulę, pokazując krótki czarny nóż w nylonowej pochwie; wziął go z torby ucieczkowej dostarczonej na pokład gulfstreama. Sztylet ten nazywał się La Griffe, co po francusku oznacza „pazur”, bo taki był jego kształt.

- I tutaj. - Jamie odsunęła połą zakietu, pokazując Williamowi nóż wszechstronnego użytku przytwierdzony nad lewym biodrem; on także pochodził z torby ucieczkowej.

- I tu. - Cavanaugh odpiął klamrę i wyciągnął z kieszeni spodni taktyczny nóż składany o długości trzynastu centymetrów. Klamra łatwo pozwalała namacać i wydobyć ten sztylet. Haczyk z tyłu ostrza był zaczepiony o kieszeń tak, że opór przy wyciąganiu od razu powodował otwarcie się noża. - Mam za sobą lata praktyki z nożami. Jeden z najlepszych twórców noży nauczył mnie, jak je wykuwać. Ale na samą myśl, że byłbym zaatakowany nożem, cierpie mi skóra. Wierzcie mi, wielu ochroniarzy na wieść, że mają do czynienia z nożownikami, czuje się, jakby byli kompletnie bezbroni.

- Ale ciebie nie zaatakował nożownik - zwróciła mu uwagę Jamie. - Widzisz tu jakiś związek?

3.

Raoul nie miał pojęcia, dokąd go zabierają. Kiedy już zadzwonił z budki telefonicznej do rodziców i zawiadomił ich, że jedzie na północ, szukać pracy w Denver, nieznajomy zawiózł go na małe lotnisko Double Eagle, na zachód od Albuquerque, gdzie oddał samochód do wypożyczalni. W drodze do niewielkiego odrzutowca nie mijali żadnych punktów kontroli. Kilka minut później z rykiem silników wzbili się w kobaltowe niebo.

- Korzystam tylko z małych lotnisk - wyjaśnił nieznajomy, jakby Raoul rozumiał, o czym on mówi. - Nigdy nie wznoszę się nad pułap pięciu tysięcy metrów. Dzięki temu nie muszę składać planu lotu i nie włączam transpondera, więc nie jestem widoczny na radarze.

Raoul nie bardzo mógł się skoncentrować. Dotychczas nie leciał samolotem.

Zawrót głowy przyprawiał go o mdłości. Ale nie pokaże nieznajomemu, że się boi, co to, to nie. Dłonie miał mokre od potu, lecz trzymał je twardo na kolanach. Zmuszał się, żeby nie dygotać.

Cała tajemnica polega na tym, żeby nie patrzeć w dół, uznał. Zaczął się zastanawiać, czy ta historia nie ma aby czegoś wspólnego z chorym seksem, czy nieznajomy nie jest bestią z gatunku tych, od których Raoul musiał się opędzać w więzieniu. Ale facet nie robił żadnych podchodów w tym kierunku.

Prawdę mówiąc, kiedy już dał Raoulowi obiecane dwa tysiące dolarów, chciał gadać wyłącznie o walce.

- Nigdy nie chciałeś wstąpić do wojska? - zapytał nieznajomy.

- A po kiego? - Słuchawki, które Raoul od niego dostał, tłumili ryk silników odrzutowca.

- Nie kręciłaby cię robota, w której nosiłbyś pistolet i karabin szturmowy?

- A i owszem. Ale kto by chciał mieć do czynienia z resztą tego gówna i słuchać rozkazów?

- Jedno wiąże się z drugim. - Silne przedramiona nieznajomego robiły wrażenie.

Miał spaloną słońcem, wychudzoną twarz z bruzdami na obu policzkach i niezwykle intensywne spojrzenie piwnych oczu. - Nikt nie da ci spluwy, jeśli nie wyjaśni ci, kiedy i jak masz jej użyć.

- Ja już mam spluwę.

- Tę gównianą trzydziestkędwójkę? Nawet gdybyś mnie z niej trafił, i tak bym cię dopadł, wyrwał ci ją z ręki i wepchnął do gardła. Załatwimy ci broń z prawdziwego

zdarzenia. Strzelałeś kiedyś z MP-5?

- Z czego?

- To pistolet maszynowy. Wiesz, jaka jest różnica między pistoletem maszynowym a prawdziwym karabinem maszynowym?

Raoul nie wiedział nawet, że w ogóle jest jakaś różnica.

- Pistolet maszynowy działa na amunicję do pistoletu. Dziewięć milimetrów. Karabin maszynowy strzela nabojami do karabinów. Na przykład kaliber dwieście dwadzieścia trzy. Takimi ładuje się M-16. Wredne jak cholera. Po trafieniu w cel kula koziołkuje i rozrywa go na strzępy. Strzelałeś kiedyś z pistoletu maszynowego?

Raoul zawahał się w obawie, że wyznając prawdę, straci twarz.

- Nie.

- Nadrobimy te braki. Nic nie daje takiej frajdy jak strzelanie z MP-5 nastawionego na pełny automat... Z tej broni w ciągu dwóch sekund wylatuje trzydzieści kul. Raoul, pewnie nie kochałeś się z najpiękniejszą kobietą pod słońcem. Pewnie nie jechałeś najszybszym samochodem. I nie próbowałeś najwspanialszej whisky. Ale mówię ci, kiedy wystrzelisz na pełnym auto trzydzieści naboju z MP-5, będziesz mógł śmiało mówić, że strzelałeś z najlepszego pistoletu maszynowego na świecie. Ale jeśli chcesz dostać taką szansę i kolejne pieniądze, tak jak ci obiecałem, musisz słuchać niektórych rozkazów. Jak w każdej innej robocie, no nie?

- Zdaję sobie sprawę, że nikt nie da mi forsy za nic - odparł Raoul. - Ale pytałeś, czy chciałem wstąpić do wojska. Nie ma mowy, żebym miał stawiać piętrowe łóżka, sypiać na czymś takim i srać tak, jak to pokazują na filmach.

- Na filmach, Raoul? Lubisz filmy?

- A kto nie lubi?

- A kiedy siedziałeś w więzieniu, też je oglądałeś?

- W telewizji.

- Zdaje się, że miałeś tam milutko.

- Sam spróbuj. Przekonasz się, jakie to milutkie.

- Ja też swoje odsiedziałem, możesz mi wierzyć. Tyle że tam nie dawali nam oglądać telewizji. Wbijali mi za to rozpalone do czerwoności igły pod paznokcie i przykładali elektrody do jaj.

Raoul zauważył blizny na czubkach palców nieznajomego.

- Kiedy nie będziesz się zabawiał takimi rzeczami jak nauka strzelania z MP-5, czeka cię całkiem inna frajda... oglądanie całej masy filmów - obiecał nieznajomy. - To dopiero

robota jak się patrzy, co? Brać trzy tysiączki na miesiąc za oglądanie filmów?

- Jakich filmów?

- Sensacyjnych. Myślę, że zaczniemy od *Złodzieja*. Reżyserem był Michael Mann, a główną rolę grał James Caan. Widziałeś go?

Raoul nie miał pojęcia, kim są Michael Mann i James Caan.

- To pewnie jakaś starość. Ja nie oglądam staroci.

- Gwarantuję, że tym będziesz zachwycony. Pod koniec Caan wchodzi do domu i kosi całą zgraję gangsterów, tylko z pistoletu. To jeden z pierwszych filmów, w których strzelanina wyglądała tak jak w prawdziwym życiu. Mann zatrudnia niesamowitych konsultantów technicznych. Sposób, w jaki Caan trzyma pistolet. Jego poczucie równowagi. Ta praca nóg. Nie z tej ziemi. Mam mnóstwo podobnych filmów. *Ronin*, *Dowód życia*, *Zawód: szpieg*, *Rekrut*.

Najważniejsze jest to, Raoul, żebyś nie zwracał uwagi na akcję, tylko skupiał się na konkretnych scenach, na tym, co robi dana postać i w jaki sposób zachowują się aktorzy, bo do tych filmów też wzięli fantastycznych konsultantów technicznych i pomijając kilka wpadek, dokładnie pokazują rzemiosło.

- Rzemiosło?

- Sposób, w jaki działają agenci... zawodowcy. Jak spędzisz ze mną trochę czasu, załapiesz nowe słownictwo. Rzecz jasna, obejrzysz *Helikopter w ogniu*. I serial telewizyjny *Jednostka*, ten o Delta Force. No i *Policję*. Kurt Russell gra tam skorumpowanego gliniarza. Ron Shelton, reżyser, zatrudnił naprawdę dobrego konsultanta. Wszystko, co dotyczy broni, jest wzięte z życia. W pewnym momencie Kurt mówi taką kwestię: „Jestem rewolwerowcem. Urodziłem się w rodzinie rewolwerowców”. To nowość. Wcześniej nie widziałem filmu, w którym ktoś taki jak policyjny detektyw, żyjący z posługiwania się bronią, sam siebie nazywa rewolwerowcem. Oczywiście w prawdziwym życiu mówią tak o sobie, ale nieoficjalnie.

Rewolwerowiec. Podoba ci się brzmienie tego słowa, Raoul?

- Jak wzięte ze starego westernu.

- Western. Dobry pomysł, Raoul. Dopilnuję, żebyś obejrzał *Dziką bandę*.

Słońce mieli za plecami. Bezkres górskiego krajobrazu przeszedł w równiny, brązowe i zielone. Szybko zapadł zmierzch i wkrótce lecieli w ciemności. Raoul próbował opanować zawroty głowy, patrząc na lekki blask kontrolki w kokpicie samolotu.

- Zaimponowałeś mi - odezwał się nieznajomy.

- O czym ty mówisz?

- Boisz się latać.

- Kto tak twierdzi?
- Ale nie pokazujesz tego po sobie.
- Kto twierdzi, że boję się latać?!
- Nie ja.

Raoul nadal gapił się przed siebie, zaskoczony tym, jak wiele jest świateł na ziemi. Lśniące miasteczka. Skąpane w feerii świateł wielkie miasta. Autostrady w blasku reflektorów. Pasemka absolutnej czerni należały do rzadkości. Raoul nie zdawał sobie sprawy, ilu ludzi żyje w tym kraju ani że noc potrafi być tak jasna. Gdy dotarli nad pograżony w ciemności teren, nieznajomy skierował odrzutowiec w sam środek czerni.

Natychmiast rozbłysły dwa rzędy świateł. Kiedy nieznajomy obniżał lot, sterując w ich kierunku, Raoulowi żołądek podszedł do gardła. Z trudem powstrzymał się, żeby nie puścić pawia. Ale nie ma mowy, żeby zdradził się przed tamtym, co naprawdę czuje.

W trakcie lądowania nagle odniósł wrażenie, że po obu stronach świateł rosną wysokie drzewa. Światła były coraz większe, aż w końcu samolotem wstrząsnęło, gdy koła zetknęły się z ziemią. Nieznajomy skręcił w prawo, w kierunku innych świateł padających z budynku z blachy falistej, z otwartymi wielkimi wrotami.

Światła na lądowisku zgasły prawie natychmiast, ale Raoul zdążył się jeszcze obejrzyć i zobaczyć biegnących ludzi zakrywających czymś pas startowy.

Siatką.

Naciągali na pas siatkę maskującą. Pilot zgasił silniki samolotu. Zapadła upragniona cisza, lecz w uszach Raoula wciąż dudnił warkot.

Gdy nieznajomy otworzył właz wyjściowy, Latynosa spowiła wilgoć. Na twarz wystąpił mu pot, wysiadając z samolotu, obawiał się, że koszula przyklei mu się do pleców. Duszące powietrze przytłaczało.

Gdzież ja jestem, do kurwy nędzy?!

Miał jednak zbyt wiele spraw do przemyślenia. Na nieznajomego i na niego czekali trzech mężczyźni. Mieli na sobie buty turystyczne na grubej podeszwie, spodnie z niezliczonymi kieszeniami, wypuszczone luźne koszule i bejsbolówki zakrywające - sądząc po małych baczkach - krótko obcięte włosy. Jednym był biały. Drugim czarny. A trzecim Latynos, dzięki czemu Raoul nie czuł się już tak samotny. Dopiero po chwili zauważył, że chociaż wziął ich za mężczyzn, to dwaj byli młodszy od niego, a miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. A jednak ich postawa świadczyła o tym, że niewątpliwie są to już mężczyźni.

- Wszystko zgodnie z planem? - zapytał nieznajomy.
- Tak jest, panie Bowie.

Nieznamy miał teraz przynajmniej nazwisko.

- To jest pan Ramirez - powiedział Bowie, wskazując Raoula.

Pomimo niepokoju Raoul poczuł dumę, że przedstawiono go w tak oficjalny sposób. „Pan”. Dotychczas nikt tak o nim nie mówił.

- Jest bystry - oświadczył Bowie.

Tak również nikt nigdy nie określił Raoula.

- Będzie doskonałym uzupełnieniem naszej grupy. - Bowie odwrócił się do niego. - Prawda, panie Ramirez?

- Tak. - A potem wydarzyło się coś zgoła niezwykłego. Raoul, bez namysłu, odruchowo wypalił: - Tak jest, proszę pana.

- Widzicie? - zwrócił się Bowie do trzech mężczyzn. - Nadaje się idealnie. Zajmijcie się nim. Ubranie, sprzęt, coś do jedzenia. Pokażcie mu, gdzie będzie spał. Panie Ramirez, jak pan widzi po składzie naszej grupy, to nie jest operacja białych. Jeśli kwestie rasowe stanowią dla pana problem, musi się pan z tym uporać raz-dwa. My tu wierzymy w jednego prawdziwego boga, a imię jego to Dyscyplina.

Raoul wzdrygnął się, gdy niespodziewanie wybuchła strzelanina. W mgnieniu oka skulił głowę, ugiął kolana i podniósł ręce w obronnym geście.

- Dobry refleks - pochwalił Angol.

Strzały dobiegały zza budynku.

- Zapowiada się obiecująco - przytaknął Latynos.

Strzelanina nie ustawała - równomierny terkot broni. Z gulgą w żołądku Raoul gapił się za samolot, na tył budynku. Nie miał pojęcia, na ile gruba jest blacha falista, z której był zbudowany, i tylko dlatego nie padł plackiem na beton, że nikt z całej grupy najwyraźniej się nie przejmował.

- Ćwiczenia nocne - wyjaśnił mu Bowie. - Wkrótce też będziesz brał w nich udział.

W oddali coś wybuchło. I znów nikt nie zareagował.

- A w chwilach wolnych od ćwiczeń nauczysz się spać bez względu na hałas - ciągnął Bowie. - Sen jest przyjacielem agenta. Zmęczenie to jeden z rzeszy jego wrogów. Zawsze korzystaj z każdej szansy na sen i jedzenie, chociaż tutaj nie będziesz miał wiele czasu na wypoczynek. Czy lubisz gry komputerowe, Raoul?

- Eee, gry komputerowe? - Słyszając tak dziwaczne pytanie, Raoul skrzywił się i obejrzał nerwowo w kierunku, z którego dochodziły strzały.

- Gry komputerowe, proszę pana!

- Proszę pana. Kiedyś grywałem. Ale w pudle ich nie mieli.

- Teraz to się zmieni. W czasie wolnym od zajęć i oglądania filmów tutaj możesz grać sobie do woli. Mamy najnowsze wersje. *Soldier of Fortune. Mortal Kombat. Doom.* Tę sprzedaje armia Stanów Zjednoczonych i zachęca żołnierzy, żeby w nią grali. *Medal of Honor. Brothers in Arms. Men of Valor. Full Spectrum Warrior. America's Army.* Mamy wszystkie gry komputerowe z gatunku FPS, jakie trafiły na rynek. Wyostrz swój refleks. Zabaw się.

4.

- Nie sądzisz, że powinieneś się przespać? - zwróciła się Jamie do Cavanaugha, stojąc w ciemnym progu sypialni.

Duncan, który czasami pracował dwadzieścia cztery godziny na dobę, obok gabinetu urządził sobie mieszkanie. Jego życie osobiste tak się splatało z zawodowym, że Cavanaugh zachodził w głowę, jakie życiowe zmiany czekają jego i Jamie po przejęciu kontroli nad firmą.

Usiadł przy biurku Duncana, nad grubym plikiem wydruków z komputera.

- Wątpię, żeby udało mi się zasnąć. - Zmęczonymi oczami śledził palec wędrujący w dół listy przygotowanej przez Kim: jego poprzednich zleceń.

Przygłębiła go liczba i rozmiary operacji, jakimi zajmował się jako ochroniarz.

Politycy, szefowie spółek, gwiazdy filmu i sportu, potentaci na rynku nieruchomości i tak dalej. Klientów miał setki, ale zaledwie kilku z nich wyróżniało się czymś specjalnym, pomijając pieniądze, władzę i sławę. Jego jednak interesowała wyłącznie praca. Jak to podkreślał Duncan: „Nie do nas należy ocena klientów, chyba że to moralne potwory. Liczy się tylko to, że są czyjąś ofiarą, a dla nas drapieżnik zawsze jest wrogiem”.

- Zostaw tę listę, rano będziesz miał na nią świeże spojrzenie - poradziła mu Jamie.

- A jeśli tymczasem ktoś zginie, bo nie zrobiłem tego, co do mnie należy? Jestem przekonany, że wskazówka, dlaczego próbowano nas zabić i dlaczego zlikwidowano tych innych agentów, kryje się w moich dawnych zleceniach. A może atak był zemstą za to, że udaremniłem zabicie albo porwanie kogoś? Nie wiem, gdzie jeszcze mógłbym szukać.

- Nic nie wskórasz, jeśli nie będziesz w stanie myśleć jasno.

- Obywałem się bez snu o wiele dłużej niż teraz.

- Podobno od tego wpada się w psychozy.

Cavanaugh nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- Ty to zawsze znajdziesz dla człowieka dobre słowo.

- Ja nie żartuję. - Jamie pomasowała mu barki. - Rano ujrzysz tę listę w nowym świetle.

Przemyślał to sobie i westchnął.

- Te wszystkie zlecenia... Kiedy to już się skończy...

- Chcesz, żebym zastanawiała się nad przyszłością, zamiast martwić się o to, co mamy teraz?

- Ja sam przenoszę się w przeszłość, żeby oderwać się od teraźniejszości. I tego, co będzie, jak już się to skończy. - Odłożył papiery. - Masz rację. Prześpijmy się.

Objął Jamie i poprowadził w stronę sypialni.

Zadzwonił telefon.

Cavanaugh się zatrzymał.

Po kolejnym dzwonku odwrócił się.

- Nie odbieraj! - rzuciła Jamie.

Spojrzał na biurko. To nie jest biurko Duncana, pomyślał. Już nie. Teraz należy do mnie.

- Cokolwiek to jest, może poczekać do rana - naciskała.

- Nie - odparł.

Ale kiedy doszedł do aparatu, telefon przestał dzwonić.

- Skoro ktoś się rozłączył, to widać nie miał nic ważnego - rzekła Jamie.

Cavanaugh wskazał zapaloną diodę na nowoczesnej centralce.

- Odebrał ktoś inny. Może po ustalonej liczbie dzwonekó telefon przełącza się na inny numer.

Patrzył na wciąż świecąca diodę na centralce. Obok każdej diody widniało nazwisko. Ta przypisana była do Brockmana.

- Gdyby to była pomyłka, już by się rozłączył. Coś tu nie gra, lepiej to sprawdzę.

- Dlaczego sądzisz, że coś jest nie tak?

Wyszli na korytarz.

Odniosł wrażenie, że się unosi, że jego i Jamie coś wyrzuca w powietrze, że uderza w ścianę korytarza i pada na podłogę. Jego zmysły zareagowały natychmiast. Ryk za plecami. Dochodzący z gabinetu. Nie, zza gabinetu.

Z sypialni. Pałący błysk. Fala wstrząsowa wyduszająca powietrze z jego płuc.

Jęcząc, podturlał się do Jamie; na jego głowę spadały kawałki gipsu i drewna.

Pomimo dzwonienia w uszach zdawało mu się, że słyszy jęki Jamie. A potem usłyszał, że zakłęła. Gniew dodał jej energii i zaczęła otrzępywać się z gruzu.

Poczuł zapach dymu. Gramoląc się na czworakach, zajrzał przez otwór po drzwiach do czegoś, gdzie jeszcze przed chwilą mieścił się jego gabinet. Ściana oddzielająca część biurową od sypialni legła w gruzach. Lamy zostały zniszczone, ale migotliwe płomienie pozwoliły mu zajrzeć do rozbebeszonej sypialni. Przez poszarpany otwór wiał październikowy wiatr, podsycając płomienie.

Uruchomił się alarm. Spryskiwacze na suficie zalały wodą sypialnię i gabinet.

Ktoś odciągnął go na bok - Ali. Ktoś inny zrobił to samo z Jamie. Cavanaugh poniewczasie uświadomił sobie, że to Kim. Brockman z gaśnicą w ręku wpadł do rumowiska, tryskając pianą na płomienie, które oparły się wodzie ze spryskiwaczy.

Nagle Cavanaugh znalazł się z dala od dymu i pyłu. Ali położył go w sali konferencyjnej i zapalił światło. Obok wierciła się Jamie, z jej nosa ciekła krew.

Cavanaugh uświadomił sobie, że on również krwawi z nosa.

Zamglonym wzrokiem spojrzał na kotary zasłaniające okna sali konferencyjnej.

- Zabierz nas stąd. - Miał wrażenie, że jego głos dobiega z bardzo daleka.

- Co takiego? - zapytał Ali, jak gdyby Cavanaugh bredził.

Możliwe zresztą, że Cavanaugh rzeczywiście gadał bzdury.

Wskazał na okna.

- Zabierz nas z tego pomieszczenia. - Bolało go gardło, miał zdrętwiałe usta, ale starał się mówić wyraźnie i stanowczo.

- Szyba z tamtego okna - wymamrotał.

- Co z nią?

- Jej odłamki zasypały sypialnię. Źródło wybuchu było na zewnątrz. To musiała być...

- Rakiet - odpowiedziała Kim.

Ręczne wyrzutnie rakiet mają zaledwie trzy czwarte metra długości. O tak późnej porze, kiedy centrum Manhattanu jest niemal wyludnione, łatwo można wystrzelić raketę z chodnika po drugiej stronie ulicy.

- Szybko. - Ali pomógł wyciągnąć Cavanaugha i Jamie z sali konferencyjnej do holu.

Ale nie zatrzymali się tam. Nagle dołączył do nich Brockman. Rzucił gaśnicę i pomógł Alemu otworzyć drzwi prowadzące do rzędu wind.

Rozległ się dzwonek. Drzwi windy się rozsunęły.

Brockman, Kim i Ali wyciągnęli broń.

5.

Mężczyzna, który wyszedł z windy, miał na sobie czarne spodnie i czarną skórzaną kurtkę. Wybałuszył oczy na wycelowane pistolety, przestał żuć gumę i podniósł rękę.

- O kurde! - rzucił.

Pistolety opadły powoli.

To był Eddie Macintosh, jeden z ochroniarzy wezwanych przez Cavanaugha.

Popatrzył na krew płynącą z nosa swojego nowego szefa.

- Mów, co mam robić.

- Masz samochód?

- Na podziemnym parkingu.

Od strony wybitego okna po drugiej stronie korytarza usłyszeli coraz bliższe zawodzenie syren.

Jamie usiadła.

- Zabierz nas stąd.

- Do szpitala?

- Nie. Tam bylibyśmy wystawieni na odstrzał.

- A na posterunku policji też bylibyśmy bezbronni.

- Cavanaugh zmusił się, by wstać. - Nie wolno nam zakładać, że każdy policjant i strażak, który tu się zjawi, będzie prawdziwy.

Wycie syren zza rozbitego okna było już bardzo bliskie.

Cavanaugh zachwiał się i pomógł wstać Jamie.

- Skąd wiedzieli, żeby mierzyć w naszą sypialnię?

- Może zobaczyli, że zapalają się światła? - podsunął Brockman.

- Nie. Tam światła były zgaszone - podkreśliła Jamie. - W jakiej sprawie był ten telefon?

- Zabito następnego agenta - odparł Brockman poważnym tonem.

- Że co?

- Jacka Gantry'ego. Był w Vancouver, ochraniał prezenterkę telewizyjną przed prześladowcą. Odstawił ją do domu. Załatwili go, kiedy wracał do samochodu. Postrzał z kuszy. Niektóre kusze wałał równie mocno jak pistolet. I nie wydają dźwięku.

- Z kuszy? - Skołowany Cavanaugh odniósł wrażenie, że podłoga zawirowała. - Kim, masz kopię wydruku, który mi dałaś?

Pogrzebała w kieszeni żakietu i podała mu kartę pamięci.

- Zawiadomcie policję, że skontaktujemy się, kiedy już będziemy bezpieczni! - polecił Cavanaugh.

Nie ufając windzie, skinął ręką na Jamie i Eddiego, żeby poszli za nim do schodów przeciwpożarowych.

6.

Na schodach było zimno. Cavanaugh próbował sobie wmawiać, że to dlatego się trzęsie. Szurając nogami, zeszli w trójkę z czterdziestego piętra na trzydzieste.

Tam Cavanaugh zaskoczył Jamie i Eddiego, otwierając drzwi.

- Mówiłeś, że wychodzimy z budynku - powiedział zdumiony Eddie.

- Tamci nie muszą o tym wiedzieć.

Cavanaugh zerknął za drzwi i upewnił się, że słabo oświetlony korytarz jest pusty.

Kiedy weszli do środka, pokazał Jamie trzy palce.

- Ile widzisz?

Podąła odpowiedź.

- Wyraźnie?

- Tak.

- Boli cię głowa?

- Tak. - Otarła krew z nosa.

- Musimy poczekać i sprawdzić, czy nie masz wstrząśnienia mózgu.

- Po czym to poznamy?

- Jeśli zwymiotujesz albo poczujesz się senna.

- Senna? O tej porze? A to dobre. - Jamie odwróciła się do ochroniarza. - Nie przedstawiono nas sobie. Jamie Travers.

- Eddie Macintosh. Też jesteś agentką? Pewnie nowa. Wcześniej cię tu nie widziałem.

- To moja żona - wyjaśnił Cavanaugh.

- A jednak cuda się zdarzają.

- I owszem, jest agentką - dodał Cavanaugh.

- Ciebie też tu nie widziałem. Słyszałem, że odszedłeś z branży.

- Próbowałem. Ale wróciłem.

7.

Cavanaugh zaprowadził ich do drzwi z napisem: WILLIAM FARADAY KANCELARIA PRAWNA. Postawił kołnierz kurtki, sięgnął do szczeliny w materiale i wyciągnął zestaw wytrychów, które zabrał z torby ucieczkowej dostarczonej do gulfstreama.

Wsunął jeden wytrych do zamka i spróbował zwolnić zapadki, a drugim usiłował przekręcić mechanizm.

Zajęło mu to trzydzieści sekund. Za długo, pomyślał. Powinno mi się udać w piętnaście. Być może wciąż był skołowany po wybuchu. Ale równie możliwe, że opuścił się jako włamywacz w ciągu tych kilku miesięcy, odkąd przestał zajmować się ochroną.

To sprawiło, że zaniepokoił się o inne umiejętności, które mógł stracić w tym czasie.

Otworzył drzwi i usłyszał pisk alarmu przeciwwłamaniowego. Jeśli w ciągu trzydziestu sekund nie wprowadzi właściwego kodu, alarm zacznie wyć. Nie zapalając świateł, przeszedł do kontrolki w poczekalni i wstukał kod, który ustalili z Williamem, gdy instalowano system.

Pisk ucichł.

Jamie zamknęła za nimi drzwi i zarygłowała.

- Faraday - zaskrzeczał jakiś głos. - Cymbał.

Jamie i Eddie wyciągnęli broń.

W nikłym świetle lampki nocnej ujrzeli papugę w klatce.

- Faraday. Cymbał - powtórzyło ptaszysko.

- A to co za cholera? - mruknął Eddie.

- Papuga, którą konkurent Williama przysłał mu po tym, jak przegrał z nim w sądzie - wyjaśnił Cavanaugh. - William podziękował rywalowi i obiecał trzymać ptaka w swojej recepcji.

- William tak zareagował? - zdumiała się Jamie.

- Poza tym przysiągł, że będzie wyścielał podłogę klatki zdjęciami adwokata, który mu przysłał ten prezent. Klientów bawi widok twarzy tego gościa, zafajdanej przez papugę.

- To już bardziej w stylu Williama.

- Faraday. Cymbał - zaskrzeczała papuga.

Cavanaugh podszedł szybko do biurka recepcjonistki i włączył komputer.

W blasku padającym z monitora wetknął kartę pamięci Kim i uruchomił drukarkę.

Gdy urządzenie przystąpiło do pracy, zapytał Eddiego:

- Masz broń?

- Oczywiście.

- Mógłbyś popilnować drzwi wejściowych? A my się obmyjemy z krwi.

Eddie odchylił połą skórzanej kurtki i wyciągnął berettę kaliber dziewięć milimetrów. Miał wielkie dłonie, więc bez trudu obejmował magazynek z piętnastoma nabojami ułożonymi w podwójnym rzędzie. Włożył do ust kolejną gumę do żucia.

- Ten, kto sforsuje te drzwi, nie dożyje szansy przedarcia się przez następne.

8.

- Głowa wciąż boli?

Cavanaugh zwilżonym papierowym ręcznikiem otarł twarz Jamie z krwi.

W łazience nie było okien, mogli więc bezpiecznie zapalić światło. Blask raził go w oczy.

- Coraz mniej. A ty jak się czujesz? - Starła krew z jego twarzy.

- Wstrząśnięty.

- Nie widać tego po tobie. - Jej głos odbił się echem od wyłożonych kafelkami ścian i podłogi.

- Ty też nieźle się maskujesz. Na pewno nie kręci ci się w głowie? - Ostre światło wciąż go raziło.

- Pytasz mnie o to, czy nie zemdleję z powodu wstrząśnienia mózgu? Nie. Skąd to wiem? Bo umieram z głodu i marzę o pizzy z pieczarkami i pepperoni.

- No to raczej przeżyjesz - powiedział.

- Przynajmniej chwilowo.

- Właśnie - przytaknął, chociaż słowo uwięzło mu w gardle. - Chwilowo.

Kiedy prowadził ją do drzwi wychodzących na korytarz, zawahała się. Musiała podzielić się z nim tym, co ją gnębiło.

- Skąd wiedzieli, że należy celować w sypialnię? Nie włączyłam światła. Nie mogli wiedzieć, że właśnie tam idziemy.

- Może to przez ten telefon - odparł Cavanaugh.

- Nie odebrałeś. Nie mogli wiedzieć, że byliśmy w gabinecie.

- Ale potem rozmowa przełączyła się automatycznie do Brockmana - przypomniał jej.

- Myślisz, że to on im powiedział, gdzie jesteśmy?
- Nie mam pojęcia. Brockman twierdzi, że dzwoniło w sprawie zabitego agenta.
- Potrzebujemy billingów, żeby sprawdzić, skąd ten ktoś dzwonił.
- Owszem, a zanim wymyślimy, jak je zdobyć, jest jeszcze jedna sprawa, która nie daje mi spokoju.

Jamie zmrużyła oczy w ostrym świetle.

- Duncan wybrał Brockmana na swojego szefa sztabu - rzekł Cavanaugh. - Logiczny wybór. Brockman jest pierwszorzędnym administratorem, a poza tym sprawdził się jako agent.

- I co z tego?

- Dlaczego Duncan nie zapisał firmy jemu?

- Bo czuł się związany z tobą.

- Ale wiedział, że nie znoszę pracy przy biurku. Byliśmy bardzo zżyci, to prawda, ale Duncan widywał Brockmana na okrągło i musiał się z nim dogadywać, skoro wciąż trzymał go jako szefa sztabu.

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz - przyznała się Jamie.

- Według Williama Duncan postanowił uczynić mnie swoim spadkobiercą miesiąc przed tym, jak został zabity. A jeżeli zostawił mi GPS, bo zaczął podejrzewać, że w firmie dzieje się coś złego?

- Tak myślisz? Powiedziałaś Brockmanowi, Kim i Alemu, że ufasz im bezgranicznie.

- Kłamałem.

- Innymi słowy, niczego nie jesteśmy pewni.

- Ja jestem pewny jednego. Ciebie.

9.

Cavanaugh siedział w kącie gabinetu Williama. Z dala od zasłoniętych okien.

Na podłodze. Obok niego stała lampa na biurko, z abażurem przekreślonym tak, żeby jej nikłego światła nie można było dostrzec z budynku po drugiej stronie ulicy. Oczy szczypały go, gdy czytał wydruk - szczegóły jego zleceń dla Global Protective Service.

Mimo zamkniętych okien usłyszał ciche odgłosy zamieszania. Z ulicy. Syreny.

Dudnienie, prawdopodobnie wozów strażackich. Trzask zamykanych drzwi pojazdów.

Głosy. Wyobrażał sobie, co się dzieje z drugiej strony budynku, dziesięć pięter wyżej, w tym, co zostało z biura GPS. Policjanci i strażacy przesłuchają Brockmana, Kim i Alego na temat wybuchu. Niewątpliwie miny przedstawicieli władz zrzedną jeszcze bardziej, gdy się dowiedzą, ilu agentów GPS zamordowano w ostatnim czasie. Ekipy popędzą do budynków naprzeciwko, szukając miejsca, gdzie ulokowali się napastnicy, i licząc na to, że znajdą tych, którzy spowodowali eksplozję.

Skupił się na wydruku. Tak wiele zleceń. Całe setki. Spiętrzyły się i zlały w jego pamięci tak, że nazwiska wielu klientów nic mu już nie mówiły. Jak to możliwe, żeby poświęcić się ochronie klienta do tego stopnia, by w razie potrzeby oddać za niego życie, a jednocześnie nie zachować choćby mętnego wyobrażenia o tym, jak ten ktoś wyglądał?

Czytał o luminarzach władzy, o bogatych i sławnych, ale również o szarych ludziach żyjących w straszliwym zagrożeniu, bezbronnych, zaszczutych. Tych ostatnich jego zdaniem GPS przyjmowała stanowczo zbyt mało. Ofiar nie stać było na usługi firmy, chyba że zwróciły jakoś na siebie uwagę, a wtedy pracowano dla nich pro bono. Ale Cavanaugh obiecał sobie, że jeśli wyjdzie cało z tej historii, zmieni ten stan rzeczy. Będzie zabierał bogatym i dawał biednym.

Nagle uświadomił sobie, że znów przenosi się w przyszłość, żeby oderwać się od teraźniejszości. Dość tego, powiedział sobie.

Jeśli chciał przeżyć, musiał się skupić na tym, co dzieje się tu i teraz, to jednak oznaczało konieczność skoncentrowania się na przeszłości, tymczasem bez względu na to, jak bardzo się starał, lektura relacji z dawnych zleceń nijak nie odświeżyła mu pamięci i nie podsunęła pomysłu, co takiego mógł zobaczyć albo usłyszeć, żeby stać się zagrożeniem dla byłego klienta. Jego klienci zawsze starannie strzegli swoich tajemnic. A jeśli chodzi o teorię zemsty, zapobiegł tak wielu zabójstwom i porwaniom, że nie sposób było wyłowić jednej takiej sprawy, w której przeciwnik za wszelką cenę chciałby wyrównać rachunki.

Mimo to jedno zlecenie nie dawało mu spokoju, ciągle chodziło mu po głowie, że ma jakiś związek ze sposobem, w jaki zabito agentów GPS, że ma coś wspólnego z nożami.

Nagle do gabinetu wszedł Eddie.

- Ktoś próbuje sforsować frontowe drzwi.

Gdy Cavanaugh wpadł do ciemnej recepcji, zobaczył, że Jamie kuca za biurkiem i celuje z pistoletu w drzwi. Obok niego Eddie także wyciągnął broń i wycelował. Cavanaugh zauważył lekki cień na pasku światła przebijającego pod drzwiami. Usłyszał zgrzyt metalu - ktoś próbował otworzyć zamek.

Spiął się, przypomniawszy sobie, że nie uruchomił ponownie alarmu. Gdy intruz otworzył drzwi i nie usłyszy ostrzegawczego pisku, od razu zorientuje się, że ktoś wyłączył alarm.

Cavanaugh wyobraził sobie, że zanim włamywacz przekreśli klamkę, najpierw wyciągnie wytrychy z zamka i je schowa. Przebiegł więc po dywanie recepcji i zresetował alarm. Wrócił za biurko w chwili, gdy rozległ się inny zgrzyt metalu - dźwięk obracającej się klamki. W ciemności Jamie i Eddie czekali z wycelowaną bronią.

Drzwi uchylily się o kilka centymetrów. Z korytarza wpadł promień światła.

Zabrzmiał ostrzegawczy pisk. Cavanaugh wyciągnął pistolet. Światło przesłonił jakiś cień.

Ciekawe, ilu ich tam jest? - zastanawiał się Cavanaugh. Drzwi są zbyt solidne, nie zastrzelą nas przez nie, my ich zresztą też nie. Oni się muszą pokazać.

- Faraday. Cymbał - zaskrzeczała papuga.

Alarm wciąż popiskiwał. Jeszcze piętnaście sekund i zawyje, wzywając ochronę budynku. Intruzi (założenie, że jest tylko jeden, byłoby głupotą) musieli podjąć decyzję - przyjąć, że dźwięk alarmu świadczy o tym, że nikt nie wszedł do kancelarii, albo zaryzykować, wskoczyć do środka i zacząć strzelać w chwili, gdy zawyje alarm, ze świadomością, że muszą zakończyć strzelaninę, zanim policja, która jest już w budynku, dotrze na to piętro.

Nie, istnieje jeszcze trzecia możliwość, uświadomił sobie Cavanaugh. Może ich plan zakładał wrzucenie do środka granatów błyskowo-hukowych, które na chwilę oślepią i ogłuszą wszystkich w kancelarii. Potem bez trudu mogliby wpaść do środka i załatwić ich, unikając długotrwałej strzelaniny i zyskując czas przed przybyciem policji.

Nie mając czasu na osłonięcie oczu i uszu, Cavanaugh mocniej ścisnął pistolet.

Skrzywił się, gdy przez szparę w drzwiach do środka wpadł jakiś przedmiot i poturlał się po dywanie.

Tylko jeden przedmiot. Gdyby intruzi używali granatów błyskowo-hukowych, wrzuciliby ich kilka.

Drzwi się zatrzasnęły, z korytarza dobiegł tupot ludzi biegnących po marmurowej podłodze.

- Cofnąć się! - krzyknął Cavanaugh w chwili, gdy zawył alarm.

Wywłókł Jamie z za biurka. Eddie wycofał się wraz z nimi.

Przedmiot zdetonował. Ale bez błysku i huk. Wybuchł z cichym trzaskiem, ledwo słyszalnym poprzez zawodzenie alarmu. Mimo mroku Cavanaugh zobaczył wzbijającą się chmurę.

- Do tyłu! Do tyłu! Do tyłu! - powtarzał, wlokąc Jamie i omal nie potykając się o Eddiego. - Do gabinetu Williama.

Wpadli w korytarz obok recepcji. Oglądając się przez ramię, Cavanaugh zobaczył, że chmura zasnuwa ciemne meble. Rozszerzała się szybko, przy wtórze syku uwalnianego ciśnienia.

- Faraday - zaskrzeczała papuga. Nie zdążyła jednak dodać: „Cymbał”, bo padła na dno klatki, trzepocząc skrzydłami.

Jamie i Eddie wbiegli do gabinetu Williama. Cavanaugh wpadł tam za nimi i zatrzasnął drzwi.

- Gaz trujący! - krzyknął, chociaż jego głos utonął w jazgocie alarmu, i przypomniał sobie, pod jak wielkim ciśnieniem były opary. - Nie możemy tu zostać! Przesączy się pod drzwiami!

Okręcił się na pięcie i stanął twarzą do ściany półek z imponującą kolekcją ksiąg prawniczych. Zrzucił pierwszą książkę po prawej na środkowej półce, pstryknął dźwignię i pociągnął fragment półek zamocowany na rolkach.

Wysunęły się gładko, odsłaniając prowadzące w dół kręte metalowe schody.

Jamie i Eddie obserwowali go zaskoczeni.

- William wpadł w taką paranoję na temat bezpieczeństwa, że kazał zbudować awaryjne wyjście ze swojego gabinetu. - Cavanaugh włączył oświetlenie na schodach i ruchem ręki ponaglił Jamie oraz Eddiego, żeby ruszali jak najszybciej.

Już miał iść za nimi, lecz stanął jak wryty i obejrzał się na zamknięte drzwi gabinetu. Spod nich sączyła się szara mgiełka.

Nie potrafił zdusić instynktu ochroniarza. Skoczył do biurka i złapał słuchawkę telefonu.

- Co ty wyrabiasz?! - zawołał Eddie ze schodów.

Ochrona budynku, myślał Cavanaugh. Policja. Wybuchy postawiły ich w stan najwyższej gotowości. Alarm sprowadzi ich do tej kancelarii. Wyważą drzwi.

Zachłysną się gazem i umrą.

Centralka telefoniczna Williama miała przycisk alarmowy łączący bezpośrednio ze

stanowiskiem ochrony budynku w holu.

- Tak? - odezwał się ktoś udręczonym głosem.

Przyciskając mocno słuchawkę do ucha i zakrywając drugie ucho dłonią, Cavanaugh słyszał w tle syreny i gorączkowe głosy.

- Na trzydziestym piętrze wyje alarm!

- Wiemy! Ekipa już jedzie na górę!

Cavanaugh znów zerknął na szparę pod zamkniętymi drzwiami. Sączyło się przez nią coraz więcej szarej mgły.

- Nie wchodźcie do kancelarii! Tam jest gaz trujący!

Rzucił słuchawkę i wybiegł przez otwór w ścianie. Metalowe schody rozbrzmiały echem przesuwanych półek. Odczekał, aż usłyszy trzask zaskakującego zamka, i dopiero wtedy zbiegł krętymi schodami. Echo powtarzało dudnienie jego kroków.

Jamie i Eddie czekali na niego na dole.

Ślepy zaułek.

- Jak się stąd...

- Właz po prawej!

Eddie szarpnął go i pociągnął.

Fragment ściany przesunął się w jego stronę. W oświetleniu schodów ukazała się komórka dozorca.

Zamknęli ścianę, otworzyli drzwi komórki i wyjrzeni na zewnątrz, sprawdzając korytarz.

Gdy wyszli, jarzeniówki na suficie wydawały się niezwykle jasne w porównaniu z mrocznym światłem na schodach.

- Policja przeszuka cały budynek - powiedziała Jamie.

- I służby ratunkowe - dodał Cavanaugh. - Zakładając, że to prawdziwi ratownicy.

Uchylił drzwi na klatkę schodową. Z dołu doleciały kroki i głosy ludzi idących na górę.

- Tędy nie przejdziemy.

11.

Zawsze przydzielają mi najgorsze zadania, pomyślał strażak. Nazywał się Ben

Gutowski. Mozolnie włącząc po schodach w pełnym strażackim rynsztunku, czuł, jak pot wsiąka w jego ubranie. Bolały go nogi.

Wolałbyś jechać windą? - zapytał sam siebie. A jeśli to kolejny taki atak jak na World Trade Center? Jeśli odpalą następne bomby, rakiety czy cokolwiek spowodowało tę eksplozję? Założmy, że budynek się zawali. Chciałbyś być wtedy w jakiejś pieprzonej windzie? A to ostrzeżenie o gazie trującym. Chciałbyś utknąć w windzie z takim draństwem? Może jednak kapitan wyświadczył ci przysługę.

Oddychając ciężko, Ben dotarł do następnych drzwi na klatkę schodową.

Dwudzieste dziewiąte piętro. Pod nim kolejni strażacy w pełnym rynsztunku włązili na górę, sprawdzając pozostałe piętra. Przycisnął dłoń do drzwi, żeby przekonać się, czy są gorące. To samo zrobił z klamką. Normalna temperatura.

Włożył na twarz maskę tlenową, odetchnął i otworzył drzwi. Jeżeli nie natknie się na ogień, a jego próbnik powietrza nie wykryje żadnego gazu, zdejmie maskę i powlecze się korytarzem, sprawdzając, czy nikomu tam nic nie grozi.

Huk! Łoskot! Szczęk!

Elvis Presley śpiewał *Blue Hawaii*.

Zaskoczony Ben omal nie upuścił toporka. Przed nim dozorca wyjął z wiadra mokry mop i zaczął zmywać podłogę przy dźwiękach muzyki dolatującej z uchylonych drzwi komórki.

- Co pan tu robisz? - zapytał ostro Ben.

12.

Elvis nucił, a Cavanaugh oderwał się od zmywania podłogi i podniósł głowę.

Szary kombinezon dozorca zakrywał jego zakrwawione ubranie, a poza tym wyglądał w nim na steranego życiem faceta, który zbyt wiele lat przepracował na nocnej zmianie. Małe radyjko stanowiło coś w rodzaju premii.

- A jak pan sądzisz? - burknął Cavanaugh ze złością. Strażak wyglądał autentycznie, ale po wydarzeniach tego wieczoru zakładanie czegoś z góry byłoby szczytem głupoty. - Skądże się pan tu wziął? - Nagle omal nie wypuścił mopa z ręki. - Chwila, czy tu się pali?

- Nie słyszał pan wybuchu?

- Wybuchu?

- Na czterdziestym piętrze.
- Że co?
- I gaz trujący - dodał wyczerpany strażak.
- Trujący... Jezu, nie mów pan, że to terroryści!
- Nie wiemy, o co tu chodzi. Musi pan stąd uciekać.
- Nie musisz mnie namawiać, kolego.
- Jest jeszcze ktoś na tym piętrze?
- Nie ma nikogo.
- Na pewno?
- Od godziny latam ze szmatą po całym korytarzu. Nie ma tu żywego ducha.

Rozległ się dzwonek, po drugiej stronie korytarza otworzyły się drzwi windy i wypadł z niej policjant.

- Piętro czyste! - ryknął strażak, żeby przekrzyczeć muzykę. - Ja zabieram stąd dozorcę.

- Byle migiem! Nie wiadomo, co jeszcze może się zdarzyć!

Policjant cofnął się do windy i zamknął drzwi.

- Słyszał pan - rzekł strażak. - Jazda!

- Już stąd spadam - odparł Cavanaugh.

Pobiegł ze strażakiem do drzwi prowadzących na schody.

- Zara, zapomniałem marynarki - rzucił.

- Pośpiesz się pan! - Strażak odwrócił się. - Schodzi ewakuant! - ryknął w dół schodów, skąd dolatywały coraz bliższe kroki i głosy.

- Idę tuż za panem! - wrzasnął Cavanaugh. - Sprawdźcie inne piętra. Gaz trujący? Niech Bóg ma w opiece wszystkich, którzy zostali w tym budynku.

Sapiąc ciężko, strażak wszedł piętro wyżej. W tej samej chwili Cavanaugh otworzył na oścież drzwi komórki. Tam, między pudłami środków czyszczących, czekali Jamie i Eddie. W komórce znaleźli tylko jeszcze jeden zapasowy kombinezon. Włożył go Eddie, bo na Jamie był za duży.

Chwyliła pudło i przycisnęła do piersi, jakby zawierało coś bardzo ważnego.

Z mopem w rękę, jakby ze strachu nie zdawał sobie sprawy, że wciąż go trzyma, Cavanaugh wyprowadził ich w ostre światło na klatce schodowej. Nad nimi strażacy z trzaskiem otworzyli drzwi trzydziestego piętra. Poniżej inni strażacy wchodzili na górę i otwierali kolejne drzwi.

Cavanaugh, Jamie i Eddie pobiegli w dół.

- Jeden z waszych kazał nam się stąd wynosić - poinformował pierwszego strażaka, którego spotkał cztery piętra niżej. - Panie, co tu się dzieje?

- Róbcie, co wam kazał. - Strażak sapał z wysiłku po wspinacze z ciężkim sprzętem.
- Opuśćcie budynek. Schodzą ewakuanci! - ryknął do swojej ekipy na niższych piętrach.

Gdy Cavanaugh, Jamie i Eddie pośpiesznie schodzili schodami, tupot ich kroków mieszał się z odgłosem kroków ekipy ratunkowej.

- Ewakuanci! - wrzasnął kolejny strażak do kolegów poniżej. - Jesteście ranni? - zwrócił się do Cavanaugha.

- Nie, tylko wystraszeni.

- Nic dziwnego - rzekł strażak. Włożył maskę tlenową, spiął się i otworzył drzwi.

Pobiegli na dół. Mijając zasapanych ratowników, dotarli na piąte piętro, czwarte...

Kilka sekund po tym, jak minęli drzwi holu, otworzyły się z trzaskiem. Strażak wypadł na schody i krzyknął do radiotelefonu:

- Potwierdzam! Gaz trujący! Trzydzieste piętro! Wyprowadzić ludzi z budynku!

Skupiony na górnych piętrach nie zauważył trójki na schodach poniżej.

13.

Napis informował: PARKING. POZIOM DRUGI. Cavanaugh uchylił drzwi i wyteżył słuch. Panowała cisza, więc otworzył drzwi szerzej i uważnie przyjrzał się kilku samochodom. Jeśli zachodziła konieczność ewakuacji budynku, ratownicy rutynowo zaczynali od samego dołu i posuwali się w górę. W rezultacie zakładali, że raz sprawdzonego terenu nie trzeba odwiedzać ponownie.

Wyszedł na parking. W padającym z sufitu świetle wszystko miało chorobliwie żółty kolor.

- Tam. - Eddie wskazał trzy szarobure taurusy używane przez Global Protective Services.

Samochód Eddiego również nie rzucał się w oczy.

- Przekonajmy się, czy nie wybuchnie.

Przykucnęli za najdalszym samochodem i zatkali rękami uszy - z wyjątkiem Eddiego, który mógł osłonić tylko jedno ucho, bo drugą ręką nacisnął przycisk pilota uruchamiający zapłon. Gdy silnik zaskoczył, Eddie odpreżył się.

- No, przynajmniej o to nie musimy się martwić.

- Ale i tak mogli podłożyć bombę - powiedziała Jamie.

Eddie przyznał jej rację.

- Pewnie widzieli, jak tu wjeżdżam. Mieli kupę czasu, żeby ukryć coś gdzie indziej, a nie podłączać do silnika.

Ostrożnie podeszli do samochodu. Wyziewy z rury wydechowej drażniły im nosy, więc Eddie nacisnął inny przycisk pilota i zgasił silnik.

W przytłaczającej ciszy Cavanaugh sięgnął pod połę sportowej marynarki, za kieszeń z zapasowym magazynkiem, i wyciągnął małą latarkę - kolejny sprzęt z torby uciezkowej. Jak na tak małe rozmiary - długości i szerokości palca wskazującego - rzucała zaskakująco silne światło.

Jamie też wyjęła swoją latarkę.

Uklękli i skierowali je za koła i resztę podwozia. Potem Cavanaugh przeszedł na jedną stronę samochodu, a Jamie na drugą. Oświetlił przez szybę wnętrze pojazdu z tyłu, a Jamie zrobiła to samo po swojej stronie. Należało się skupiać na małych powierzchniach i przesuwac od jednego małego kawałka do drugiego w ustalonym porządku. Cavanaugh z trudem trzymał latarkę prosto, skoro wiedział, że w każdej chwili przez drzwi na parking mogą wypaść ludzie, którzy z pewnością nie należeli do ekipy ratowników.

Zaglądając przez szyby, szukali czegoś, co byłoby nie na swoim miejscu.

Najprawdopodobniej jednak bomby nie dałoby się tak łatwo zauważyć.

Czasami jej obecność zdradzał tylko niewielki cień.

Tablica rozdzielcza. Kolumna kierownicy. Hamulec. Pedał gazu.

Przede wszystkim szukali jakiegoś drutu. Z chwilą otwarcia drzwi drut pociągnąłby za ukryty zapalnik i samochód wyleciałby w powietrze. Cienki drucik mógł być pokryty matową izolacją trudną do wykrycia.

Cavanaughowi zaschło w ustach.

- Widzisz coś?

- Nie - odparła Jamie.

- Czas zagrać. - Miał na myśli grę w kamień, papier i nożyczki. On i Eddie zacisnęli pięści i potrząsnęli nimi trzy razy. Gdy skończyli, mieli do wyboru trzy możliwości: nie rozwierać pięści (kamień), pokazać otwartą dłoń (papier) albo wyciągnąć pierwsze dwa palce (nożyczki).

Nożyczki Cavanaugha przecięły papier Eddiego.

- No dobra - zwrócił się do Eddiego i Jamie. - Schowajcie się za ostatnim

samochodem, a ja otworzę drzwi.

- Nie zagrałeś jeszcze ze mną - zauważyła Jamie.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Zgoda - powiedział.

Unieśli zaciśnięte pięści i potrząsnęli nimi trzy razy.

Papier Jamie zakrył kamień Cavanaugh.

- Nie chcę, żebyś to robiła - zaprotestował.

- Mnie też się to nie uśmiecha. Ale wchodzę w skład zespołu, więc muszę ryzykować życie tak samo jak inni.

- Nie ma co, twarda jesteś - powiedział Eddie.

Dopiero teraz Cavanaugh zrozumiał, co znaczy wyrażenie, że „serce podchodzi do gardła”.

- Zrób to powoli - poradził. - Cały czas wypatruj drutu.

Szalejący puls przyprawiał go o mdłości, kiedy kucał z Eddiem za najdalszym samochodem. Otworzył usta i zatkał dłońmi uszy, żeby zminimalizować efekt eksplozji. Ale nawet z zakrytymi uszami był pewien, że słyszy, jak Jamie otwiera drzwi.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

I nagle Jamie stała przed nim, wystraszona, ale dumna.

- No dobra - powiedział, wypuszczając powietrze z płuc. - Kolej na mnie. Sprawdzę wnętrze.

Gdy Jamie i Eddie kucali za ostatnim samochodem, poświecił małą latarką i ostrożnie wsunął się do pojazdu, zaglądając pod deskę rozdzielczą. Zajrzał też pod siedzenia.

Nie zauważył nic podejrzanego.

Gdy dołączyli do niego Jamie i Eddie, sięgnął do marynarki i wyjął kolejny przedmiot z torby ucieczkowej: plastikowy zacisk.

Nie czekając na instrukcje, Eddie otworzył zamek bagażnika taurusa, przytrzymując klapę tak, żeby uchyliła się tylko o włos. Jamie poświeciła latarką, a Cavanaugh wsunął zacisk w szczelinę między klapą bagażnika a karoserią i przesunął go wzdłuż całej szerokości wozu.

Szukał naprężonego drutu. Wróg łatwo mógł sforsować zamek bagażnika, włożyć do środka bombę, przyczepić drut do zapalnika, zamknąć klapę tak, żeby zostało miejsce jedynie na dłoń, przymocować drut do klapy od środka i zamknąć bagażnik.

Elastyczny plastikowy zacisk był na tyle giętki, że po zetknięciu z drutem zgiąłby się, nie naciskając drutu. Twarz Cavanaugha spływała potem. Jego dłoń nie drżała, chociaż miała

na to ochotę. Pięć minut później skinął głową na Eddiego, który uniósł klapę nieco wyżej, a Cavanaugh i Jamie oświetlili wnętrze bagażnika.

W końcu całkiem podnieśli klapę. Przetrzęsęli różną broń i kamizelkę kuloodporną, ale nie znaleźli niczego, co by przypominało bombę.

Specjaliści od ochrony mieli obsesję na punkcie uwięzienia ich w bagażnikach własnych samochodów. Po otrzymaniu nowego wozu agent najpierw sprawdzał bagażnik i przerabiał zatrzask w ten sposób, żeby łatwo można go było otworzyć od środka. Na wszelki wypadek za tapicerką chowali też broń i sprzęt do ucieczki, a także wiercili dziury, w które wtykali rurki prowadzące do kabiny pojazdu. Najlepsi agenci mieli również schowany zapas czegoś innego.

Eddie zaprezentował to teraz z uśmiechem, odrywając wyściółkę z prawej strony bagażnika.

Cavanaugh uśmiechnął się szeroko na widok plastikowej butelki wody i torebki wysokoenergetycznych batonów.

- Boże, uwielbiam pracować z prawdziwym zawodowcem - powiedział.

Napili się po kolei. Jeszcze nigdy woda nie smakowała im tak wspaniale.

Cavanaugh otarł usta i z apetytem ugryzł energetyczny baton o smaku karmelowym, jednocześnie nie spuszczać oka z drzwi parkingu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta nad ranem.

- Musimy jeszcze sprawdzić silnik i podwozie.

Dwadzieścia minut później każda część samochodu była już dokładnie zbadana.

- Czysty - orzekł Eddie.

- Ale nie możemy jeszcze wyjechać - powiedziała Jamie. - Policja i ekipy ratunkowe na pewno by nas zobaczyły i zatrzymały. Pewnie by nas gdzieś zabrali na przesłuchanie.

Cavanaugh skinął głową.

- Musimy zakładać, że tamci obserwują budynek. Mogliby nas śledzić.

- Mnie nie jest łatwo przyczepić ogon - rzekł Eddie. - Ale masz rację, lepiej się nie wychylajmy i odpocznijmy.

Po kolejnej rundzie gry w kamień, papier i nożyczki Eddie dostał obszerną tylną kanapę, Jamie przypadła przednia, a Cavanaugh, który nie znosił zamkniętych przestrzeni, musiał się zadowolić bagażnikiem.

Bagażnik był przy samej ścianie parkingu. Cavanaugh przesunął broń na bok, włożył do środka, położył swój pistolet obok siebie, znalazł sznurek i przeciągnął go przez zaczep klapy, opuszczając ją tak, by zostawić piętnastocentymetrową szparę. Koniec sznura wetknął pod

siebie, żeby klapa nie zmieniła położenia.

W razie potrzeby mógł go puścić i szybko ją podnieść.

Jamie odeszła kawałek i oceniła sytuację okiem kogoś, kto właśnie wszedł na parking.

- Wszystko wygląda naturalnie. Bagażnik wychodzi na ścianę, więc nie widać, że jest otwarty.

Tymczasem Eddie wyciągnął się już na tylnym siedzeniu. Drzwi po obu stronach były zamknięte, więc Jamie mogłaby go zauważyć tylko wtedy, gdyby stanęła obok i zajrzała do środka wozu. Odwróciła się do bagażnika i popatrzyła przez szparę.

- Śpij słodko, kochany.

IV.

ZASADA PIĘCIU MISJI

1.

Cavanaugh obudził się gwałtownie; śniło mu się, że chowają go żywcem.

Wiedział, że po tym, jak w koszmarze sypano ziemię na jego trumnę, o dalszym śnie nie ma mowy.

Spróbował więc wyobrazić sobie Jackson Hole przed świtem, rześkie jesienne powietrze i łosie na pastwisku.

Przerwały mu jakieś dźwięki. Otworzył oczy i chwycił pistolet, słuchając trzasku drzwi. Słyszał silniki samochodów, kroki, głosy. Nie wyczuwał jednak gorączkowego pośpiechu. Policja i ekipy ratunkowe widocznie zakończyły swoją pracę, uznały, że zagrożenie zostało zażegnane, i w końcu zezwoliły na ponowne otwarcie budynku. Kiedy nadjechało więcej samochodów, pociągnął za sznurek, niemal całkiem zamykając klapę bagażnika.

W ciemnościach spojrzął na zegarek i czekał, aż jego oczy wypatrzą lekko fosforyzujące wskazówki. Wskazywały osiem minut po pierwszej.

- Czas na lunch, kochany - rozległ się głos Jamie, gdzieś w pobliżu bagażnika.

- Czy ty nie myślisz o niczym innym, tylko o jedzeniu?

- Owszem, o łazience - odparła. - Ale w restauracjach mają łazienki, więc połączymy jedno z drugim. Swoją drogą, właśnie udaję, że otwieram bagażnik.

Puścił sznurek, a ona podniosła klapę.

Jej zielone oczy omiotły ciasną przestrzeń.

- Przypomina mi to mój pierwszy pokój w akademiku w Wellesley. Oczywiście pomijając broń. Nikt nie patrzy. Częściowo cię zasłaniam. Wylaż.

Cavanaugh opuścił zeszywniałe nogi na beton.

Eddie, wyraźnie wypoczęty, włożył do ust gumę do żucia. Na podziemny parking zjeżdżało coraz więcej samochodów. Roilo się od ludzi i dźwięków.

Mężczyźni i kobiety w biznesowych strojach zmierzali w kierunku wind.

Cavanaugh słyszał strzępy rozmów ludzi zaniepokojonych pogłoskami o wydarzeniach z ubiegłej nocy.

- Gotowi do drogi? - Eddie pozbył się już kombinezonu dozorczy. Pomimo szczeciny na brodzie w czystej skórzanej kurtce i w golfie prezentował się najlepiej z całej trójki.

Jamie zapięła żakiet, zakrywając plamy krwi na białej bluzce. Cavanaugh uznał, że kombinezon, który miał na sobie, będzie się mniej rzucał w oczy niż poszarpane ciuchy pod

spodem.

- Jedziemy.

Wsiedli do taurusa - Eddie za kierownicę, Cavanaugh obok niego, a Jamie z tyłu. Wprawdzie starannie sprawdzili samochód w poszukiwaniu bomby i nic nie znaleźli, a jednak Cavanaugh spał się, gdy Eddie przekręcał kluczyk w stacyjce. Ale rozległ się tylko równy pomruk silnika.

Ruszyli podjazdem prowadzącym w górę do wyjazdu z budynku; na bramce pokazał ochroniarzowi legitymację GPS. Szlaban powędrował w górę.

Wyjechali w rozgardiasz Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy.

- W takim ruchu trudno będzie nas śledzić. - Eddie przeciął hałaśliwą Madison Avenue i dalej jechał Pięćdziesiątą Trzecią.

- Chyba że podłożyli lokalizator z nadajnikiem, na tyle mały, że nie zauważyliśmy go podczas sprawdzania samochodu - rzekł Cavanaugh.

- To by było niemiłe. - Eddie spojrzął w lusterko wsteczne.

- Dokąd?

- Wywieź nas z wyspy - polecił Cavanaugh. Włączył radio.

Billy Joel śpiewał piosenkę *A New York State of Mind*. Cavanaugh przełączył ultranowoczesne radio na szeroki zakres fal UKF; modyfikację tę wymyśliła firma Global Protective Services. - Jamie, opowiedz nam fascynującą historię swojego życia.

Zawahała się, zbierając myśli, i zaczęła monolog:

- Naprawdę jest fascynująca. Najpierw się urodziłam, potem nauczyłam się raczkować, jeszcze później nauczyli mnie siadać na nocniku...

Wciąż przeglądał zakres fal ultrakrótkich radia. Większość lokalizatorów z nadajnikiem pracuje w paśmie UKF, tak jak i wiele urządzeń podsłuchowych - nastawia się je na częstotliwości, z których nie korzystają lokalne stacje radiowe ani policja czy straż pożarna. Chcąc się przekonać, czy w samochodzie nie podłożono tego typu bipera albo pluskwy, musiał sprawdzić cały zakres UKF i nasłuchiwać, czy z radia nie popłynie głos Jamie bądź pisk lokalizatora.

- A potem poszłam do gimnazjum, zaczęłam się umawiać na randki z chłopakami, a później, w liceum, to już poszłam na całego.

- To możesz sobie darować - rzekł Cavanaugh.

- Jeszcze później poszłam do Wellesley i wtedy umawiałam się z mężczyznami.

- To również możesz sobie darować.

- A potem poznałam ciebie, moje życie się popaprało i...

Doszedł do końca zakresu fal UKF, ale nie usłyszał z radia głosu Jamie.

- Wygląda na to, że możemy mówić bez obaw.

Nie dodał, że jeżeli tamci użyli nadajnika radiowego pracującego na rzadko używanych falach i wysyłającego informacje w postaci sekwencji mikroimpulsów, to nie można było go wykryć w żaden prosty sposób.

Eddie trzymał ręce na kierownicy w pozycji „za dziesięć drugą”, z lekko rozsuniętymi palcami, tak jak szkolą zawodowych kierowców.

- Co powiesz na tunel Lincoln? - spytał.

- Świetnie - zgodził się Cavanaugh. - A potem skręć na południe w Dziewięćdziesiątą Piątą.

- Do?

- Waszyngtonu.

Eddie minął aleje Piątą i Szóstą, a potem zmienił uchwyt na kierownicy i skręcił na południe w Siódmą. Trafili na zieloną falę. Więcej pasm ruchu w jednym kierunku zwiększyło szybkość jazdy.

- Po co jedziemy do... Jasny gwint!

- Co się stało? - zaniepokoiła się Jamie.

- Coś... - Eddie zdjął prawą rękę z kierownicy i przyjrzał jej się. - Ukłucie.

- Co takiego?

- Coś mnie ukłuło.

Jechali równo z szybko mknącymi obok samochodami.

- Pszczoła? - Cavanaugh rozejrzał się. - Komar czy coś takiego? O tej porze roku wprawdzie już ich...

- Nie - zaprzeczył Eddie ochryłym głosem. - Kierownica. Coś na... - Wskazał „godzinę drugą” na kierownicy. - Jezu. - Oddychał z wysiłkiem.

- Hej. - Jamie dotknęła jego ramienia. - Nic ci nie jest?

- Nie czuję... Masz może... - Eddie zadrżał. - Chusteczkę?

Cavanaugh zmarszczył czoło.

- W marynarce. - Wyciągnął ją.

- Owiń... sobie rękę - wystękał Eddie.

- Po co?

- Chwyć... - Eddie coraz bardziej dygotał. - Kierownicę... u dołu...

Nagle jego głowa poleciała do tyłu i osunął się na siedzeniu.

2.

Kiedy Cavanaugh uczył się defensywnej i ofensywnej techniki jazdy, ćwiczone między innymi sytuację, w której siedzi się z przodu samochodu, partner prowadzi, a wystrzelona z wielką prędkością początkową kula rozbija przednią szybę i trafia go w głowę. Nie można wtedy dopuścić, żeby samochód zjechał z drogi i wpadł na mur albo drzewo. Nie można się zatrzymać.

Sprawą nadrzędną jest jak najszybsze opuszczenie strefy ostrzału. Należy więc zrobić to, co teraz właśnie zrobił Cavanaugh.

Zdając sobie sprawę, że z obu stron pędzą inne samochody, odpiął pas i przysunął się do Eddiego. Owiniętymi chusteczką palcami złapał kierownicę u dołu, z dala od miejsca, w którym trzymał ją Eddie, z dala od tego, co go ukłuło. Jednocześnie przesunął lewą nogę i nacisnął hamulec, bo inne pojazdy zwolniły i zatrzymały się na czerwonym świetle.

Widząc przed sobą po lewej wóz policyjny, rzucił szybko:

- Jamie, nachyl się! Podtrzymaj Eddiego! Przekręć mu głowę, jakby patrzył przed siebie! Niech wygląda tak, jakby to on prowadził!

Złany potem oparł prawą rękę Eddiego na kierownicy. Kiedy zbliżyli się do radiowozu, polecił Jamie:

- Usiądź prosto!

Próbował odsunąć się od Eddiego na normalną odległość, ale tak, by wciąż dosięgać nogą hamulca. Pośród stojących samochodów zatrzymał się obok wozu policyjnego, wrzucił luz i korzystając z tego, że mógł puścić hamulec, skoro silnik pracował na jałowym biegu, odsunął się dalej od kierowcy. Patrzył przed siebie takim wzrokiem, jakby to był najnudniejszy dzień w jego życiu. Kątem oka niewyraźnie widział, że jeden z policjantów zerka na taurusa. Miał wrażenie, że zanim funkcjonariusz przestał się gapić na Eddiego i Cavanaugha, minęła cała wieczność.

Światła zmieniły się na zielone. Samochody ruszyły. Zdawało się, że radiowóz zastygł w miejscu, a policjant przyglądał się badawczo Eddiemu. W końcu furgonetka przed wozem policyjnym przejechała przez skrzyżowanie, a policjanci ruszyli za nią.

Pracując nad uspokojeniem oddechu, Cavanaugh przysunął się do Eddiego, chwycił kierownicę u dołu, wrzucił bieg i nacisnął lewą stopą pedał gazu, dostosowując prędkość do innych pojazdów.

- Jamie, nachyl się z powrotem. Przysuń głowę do Eddiego, jakbyś coś do niego

mówiła. Połóż mu rękę na ramieniu. Pilnuj, żeby się nie osunął.

Jadąc środkowym z kilku pasów ruchu, zobaczył lukę po prawej i zjechał na sąsiedni pas, byle dalej od radiowozu. Jakiś taksówkarz zatrąbił klaksonem.

3.

Jamie miała wrażenie, że koziółkuje po równi pochyłej. Odkąd poznała Cavanaugha i wyszła za niego za mąż (a przecież - jak się okazało - nie знаła nawet jego prawdziwego nazwiska), w jej życiu nic już nie było normalne.

Pościgi. Strzelaniny. Przed pięcioma miesiącami sama zarobiła kulkę. Nie rozumiała, jak udało jej się dostosować do tego niebezpiecznego, postawionego na głowie świata, w którym prawie nic nie było takie, jak się wydawało. Cavanaugh rzucił kiedyś żartem, że w poprzednim życiu na pewno pracowała jako agentka ochrony. Nachylenie się do Eddiego, trzymanie go za ramię, żeby siedział prosto, podpieranie jego głowy swoją, żeby nie opadła mu na bok, i udawanie, że do niego mówi - wszystko to w jakiś chory sposób wydawało się naturalne. Bezwład coraz chłodniejszego ciała mówił jej, że Eddie nie żyje. Jeszcze jedno nowe doświadczenie, pomyślała. Dotykane trupa.

Mówienie do niego.

Ja chyba oszalałam!

- Co go zabiło? - Starła się, żeby miotające nią uczucia nie znalazły odzwierciedlenia w jej głosie.

Twarz Cavanaugha zdradzała napięcie, prowadzenie taurusa w chaotycznym ruchu wymagało koncentracji. Z przodu zobaczył światła stopu furgonetki, gdy na skrzyżowaniu zapaliło się czerwone. Wysunął nogę, nacisnął pedał i wyhamował w ostatniej chwili, omal nie zderzając się z furgonetką.

- Powiedział, że coś go ukłuło.

- Igła na kierownicy? Kolejne ostre narzędzie? Pokryte jakąś trucizną?

- Musimy znaleźć miejsce i zaparkować.

- W centrum Manhattanu? Życzę szczęścia.

- Wygląda na to, że nas opuściło.

Światła zmieniły się na zielone. Furgonetka ruszyła. Cavanaugh przesunął wyciągniętą nogę z hamulca na pedał gazu.

- Nie jestem pewny, czy dam radę skręcić za róg tak, żeby nie potrącić innego samochodu. Musimy się trzymać Siódmej Alei.

Mając po bokach limuzynę i furgonetkę dostawczą, jechali dalej na południe.

Z lewej zajęła im drogę taksówka wpychająca się na ich pas. Cavanaugh zdążył wyciągnąć nogę i wyhamować w ostatniej chwili przed zderzeniem.

Głowa Eddiego opadała w prawo, więc Jamie mocniej chwyciła go za kark i przytrzymała. Jego ciało było coraz chłodniejsze.

- Prowadzenie samochodu z miejsca obok kierowcy. To chyba kolejna rzecz, której mnie musisz nauczyć.

- Kiedy to wszystko się skończy.

- Jasne. Kiedy to wszystko się skończy. - Urocze widoki na przyszłość.

Wciąż jechali na południe Siódmą Aleją, trzymając się na środku tej wielopasmowej ulicy. Jamie miała wrażenie, że uciekają furmanką, nad którą Cavanaugh próbuje zapanować. Przy Trzydziestej Czwartej stanęli na światłach.

Potem znów ruszyli w jazgocie trąbiących zewsząd klaksonów. Jeszcze pięć czerwonych świateł i zostawili za sobą Zachodnią Czternastą - prostokątna siatka ulic w centrum ustąpiła bezładnej płataninie dróg w Greenwich Village.

Ruch zmalął. Cavanaugh ostrożnie skręcił w lewo ku Sheridan Square i stanął na zakazie zatrzymywania się przed przypominającymi dzidy metalowymi prętami ogrodzenia maleńkiego parku Christophera. Nie widząc żadnego policjanta, wyskoczył z samochodu, przebiegł na drugą stronę taurusa, przepchnął Eddiego na sąsiednie siedzenie i usiadł za kierownicą. Tymczasem Jamie wysiadła z tyłu i przypięła zwłoki pasem. Szybko wróciła do tyłu i oparła głowę Eddiego o drzwi, jak gdyby spał.

Cavanaugh odjechał z zakazu zatrzymywania się. Prowadzenie samochodu wciąż sprawiało mu kłopot, bo musiał trzymać kierownicę u dołu, dłonią owiniętą chusteczką, i uważać na ewentualne szpikulce. Skręcił w następną przecznicę, a potem w kolejną, wrócił na Siódmą Aleję i dalej jechał na południe.

- Do tunelu Hollanda? - spytała Jamie.

- Tak. Hoboken. Centrum handlowe.

Oprócz świeżych ubrań zaopatrzyli się w lupę i mocną pincetę. Jamie zaniósł torby z zakupami w najdalszy kąt parkingu galerii handlowej, gdzie Cavanaugh zostawił samochód. Chcąc ukryć plamy krwi na bluzce, włożyła skórzaną kurtkę Eddiego. Na wszelki wypadek kupiła dwie lupy i kiedy przebrali się na tylnym siedzeniu w dzinsy i swetry, pochylili się nad kierownicą. Uważając, żeby jej nie dotknąć, mozolnie badali ją kawałek po kawałku przez lupy.

- Widzę coś błyszczącego - oznajmiła Jamie przy trzecich oględzinach kierownicy. -
Tutaj.

- Ostrożnie. - Cavanaugh spojrział przez lupę. - Tak, też widzę.

Sięgnął po pincetę, złapał nią coś z tyłu kierownicy i wyciągnął.

W przedwieczornym słońcu wpadającym przez przednią szybę błysnęła igła.

Jamie wzdrygnęła się.

- Wygląda na to, że ucięto jeden koniec - rzekł Cavanaugh.

- Po tym, jak ją wepchnięto pod wyściółkę kierownicy, żeby nie wystawała z żadnej strony.

- Ukryli ją tak, żeby ukłuła kierowcę dopiero wtedy, kiedy będzie musiał mocniej ścisnąć kierownicę - powiedziała Jamie.

- A Eddie musiał to zrobić, skręcając w Siódmą Aleję.

- Sprawdzajmy dalej, może jest ich więcej.

Ale dwadzieścia minut dalszych poszukiwań nie przyniosło rezultatów. Wrzucili więc igłę do plastikowej torebki.

5.

- Global Protective Services - odezwała się recepcjonistka.

Cavanaugh stał obok taurusa na pustym skraju parkingu galerii handlowej i dzwonił ze swojej komórki. W tle słyszał takie odgłosy, jak gdyby robotnicy oczyszczali pobojowisko po wybuchu w biurze GPS.

- Proszę z panem Brockmanem.

- Niestety, jest nieosiągalny.

- Wobec tego proszę mnie połączyć z panem Karimem.

- Czy można wiedzieć, kto dzwoni?

- Aaron Stoddard. Pan Karim czeka na mój telefon.

- Chwileczkę.

Cavanaugh usłyszał trzask i zapadła cisza. Mocniej przycisnął słuchawkę do ucha, gdy pobliską autostradą przejechała z hukiem ciężarówka z naczepą.

- Cavanaugh? - usłyszał nagle głos Karima. - Gdzie jesteś? Martwiliśmy się o...

- Jaki jest numer twojej komórki? - Obawiał się, że telefony firmy są na podsłuchu.

Karim podał mu numer.

- Włącz kodowanie. Zaraz zadzwonię.

Uzasadniona mania na punkcie bezpieczeństwa skłoniła Duncana do wyposażenia wszystkich telefonów komórkowych GPS w możliwość kodowania, żeby ci, którzy podsłuchiwali rozmowy agentów za pomocą skanerów radiowych, słyszeli jedynie bezładnie pomieszane słowa. Tylko wtedy Cavanaugh czuł się swobodnie, korzystając z komórki.

Natychmiast uruchomił kodowanie w swoim aparacie i wybrał numer.

Karim odebrał po pierwszym sygnale.

- U ciebie wszystko w porządku?

- Mamy kolejną ofiarę. Eddie nie żyje.

- Co takiego?

- Igła ukryta w kierownicy. Była zatruta.

W słuchawce zapadła cisza, podczas gdy Karim przetrawiał tę informację.

- Ostry przedmiot - odezwał się w końcu. - Tak jak w przypadku pozostałych. Kiedy Eddie zaparkował i wszedł do biura, ktoś musiał się dostać do budynku i majstrować przy jego samochodzie.

- Być może - rzekł Cavanaugh.

- Jak inaczej...

- Czy kiedy Jamie, Eddie i ja zjechaliśmy windą, zostałeś razem z Kim i Brockmanem?

- Razem?

- Czekali na policję i strażaków. Czy stale byliście razem?

- Nie, nie przez cały czas. Wróciliśmy do twojego gabinetu, chcieliśmy uratować dane i ograniczyć szkody. Każde z nas miało co innego do roboty. Po przyjeździe policji i strażaków zapanowało jeszcze większe zamieszanie.

A dlaczego pytasz? Do czego zmierzasz?

- Czy któraś z was miało czas zejść do kancelarii Williama?

- Nie rozumiem. - Karim był coraz bardziej zdezorientowany. - Po co ktoś z nas

miałby tam schodzić?

- Bo jedno z was wiedziało, że właśnie tam się schowaliśmy.

Tylko skąd? - zastanawiał się Cavanaugh. Czy ktoś założył podsłuch w kancelarii Williama, chcąc sprawdzić, czy dowiedział się, kim jest Aaron Stoddard?

- Chwileczkę - rzucił Karim. - Sugerujesz, że to ktoś z nas próbował cię zabić?

- Gdzie jest Brockman?

- Nie mam zielonego pojęcia. Pewnie w domu. Nawet jeśli nie jest już szefem, ma do tego prawo. Pamiętaj, że całą noc spędziliśmy w biurze. - W głosie Karima wyczuwało się zdenerwowanie. - A może jest równie głupi jak ja, wziął następną zmianę i ma spotkanie z klientem albo co. Nie mów mi, że twoim zdaniem Brockman...

- Ja po prostu rozważam wszystkie możliwości.

- Za chwilę zapytasz mnie o Kim. Oszczędzę ci fatygi. Nie ma jej tu. Sądzisz, że ona miała z tym coś wspólnego? A co ze mną?

- Już mówiłem, rozważam wszystkie możliwości. Nie czas na kłótnie. Musimy coś zrobić z Eddiem. Jestem na parkingu galerii handlowej w Hoboken.

- Czyli że nie tylko ja mam ubaw po pachy.

- Zawiadam policję, że zostawiam Eddiego w jego samochodzie.

Cavanaugh podał Karimowi numer rejestracyjny i namiary na galerię handlową.

- Wszystko jest w takim stanie, jak w chwili kiedy go zabito, z wyjątkiem igły w plastikowej torebce na siedzeniu obok niego.

- Policja nie będzie zachwycona, że usunąłeś narzędzie zbrodni.

- Woleliby, żeby ktoś jeszcze się ukłął i zginął? Powiedz im, że w całym samochodzie znajdują nasze odciski palców. Ale może zabójca też zostawił jakieś ślady. Zadzwonimy do nich później i odpowiemy na pytania. Nie zaryzykujemy jednak wystawienia się na odstrzał, zgłaszając się na posterunek, to nie wchodzi w rachubę.

6.

Cavanaugh i Jamie stanęli w rogu galerii obok szklanych drzwi zasłonięci przez wchodzących i wychodzących klientów.

- Już niedługo - powiedziała Jamie. - Według rozkładu powinien przyjechać o czwartej.

Zasyczały pneumatyczne hamulce i przed szklanymi drzwiami zatrzymał się autobus. Tabliczka informowała: DOM EMERYTA WEATHERVIEW. Cavanaugh i Jamie wmieszali się w sznur starszych ludzi ustawiających się w kolejce do autobusu; byli jedynymi młodymi osobami w całej grupie. Cavanaugh zauważył, że kierowca nie pobiera opłaty za bilet. Najwyraźniej autobus służył do przewozu społeczności lokalnej.

- Udane zakupy? - zapytał siwowłosego mężczyznę przed sobą.

- Zakupy? Ja tu nie przyjeżdżam nic kupować. Chodzę. Ćwiczę. Rozumie pan?

- Oczywiście - wtrąciła się Jamie. - Ale dlaczego nie spaceruje pan w jakimś parku albo innym miłym miejscu?

- Żeby mnie kto zabił?

- Fakt, na ulicach nie jest już tak bezpiecznie jak kiedyś.

- No i ta dziura ozonowa. Rak skóry. Mówię o raku skóry. Wicie, co to takiego?

- No jasne. Nie wspominając już o tych świństwach w powietrzu. Smog. Wyziewy spalin.

- Właśnie o tym mówię.

Gdy Cavanaugh i Jamie wsiadali do autobusu, jej pogawędka ze staruszką świadczyła o tym, że są wszyscy razem. Kiedy starszy pan potknął się na stopniu, Cavanaugh podtrzymał go i pomógł mu wejść do autobusu. Spojrzał na kierowcę porozumiewawczo, jakby chciał mu powiedzieć: „Muszę pilnować tego gościa”, po czym zajął z mężczyzną i Jamie miejsca z tyłu.

Gdy autobus ruszył spod galerii, kierując się na ruchliwą ulicę, Jamie dotknęła ramienia Cavanaugha i ruchem głowy wskazała pustą część parkingu, gdzie zostawili Eddiego w jego taurusie.

Do samochodu pędziły trzy radiowozy na sygnale.

7.

- Dokąd? - zapytał taksówkarz.

- Na drugą stronę rzeki - odpowiedziała Jamie.

- Na Manhattan? Będzie was zdrowo kosztowało. - Kierowca nie zwracał uwagi na Cavanaugha, podziwiając figurę i zniewalające oczy Jamie. - Stamtąd nie wolno mi zabierać pasażerów z powrotem do Hoboken.

- Nie mam wyboru. Za wszelką cenę muszę zdążyć na spotkanie. Zapłacę podwójnie plus dwadzieścia procent napiwku.

8.

Wysiedli przy Times Square i weszli do sklepu z szyldem APARATY FOTOGRAFICZNE, w którym jednak sprzedawano mydło i powidło. Wyszli z dwiema torbami podróżnymi na ramię, zajrzeli do pobliskiej drogerii, kupili przybory toaletowe i schowali je do toreb. W sklepie z ubraniami wydali jeszcze nieco pieniędzy z torby ucieczkowej z gulfstreama i zaopatrzyli się w więcej ciuchów, włącznie z bielizną oraz skarpetkami.

Poszli na wschód Czterdziestą Drugą Ulicą.

- Dobrze się bawisz? - zapytał Cavanaugh.

- Jak nigdy. Boże, dopomóż! Jestem z tobą już tak długo, że nie potrafię odróżnić strachu od przyływu adrenaliny.

- Opowiadałem ci kiedyś o zasadzie pięciu misji?

- Nie. - Jamie przepychała się zatłoczonym chodnikiem. Dochodziła osiemnasta. Stojący w korku kierowcy trąbili klaksonami. - Ale skoro nie mamy nic lepszego do roboty, mów teraz.

- Na pewno?

- Nie mogę się doczekać.

- Podczas drugiej wojny światowej instruktorzy amerykańskich pilotów myśliwców zauważyli, jak wielu uczniów ginie w trakcie swoich pierwszych misji. Mimo że wychodzili ze skóry, żeby nauczyć pilotów wykrywania zasadzek i wydobywania się z opresji, znaczny procent każdego rocznika tracił życie w powietrzu. Sięgnęli więc do akt jeszcze z okresu pierwszej wojny światowej i odkryli matematyczną zależność. Większość świeżo upieczonych pilotów zestrzelono w trakcie jednej z pierwszych pięciu misji.

Jamie spojrzała na niego.

- Ta sama prawidłowość pojawiła się w wojnie koreańskiej i w Wietnamie. Piątka stała się liczbą magiczną. Później szanse przeżycia walki w powietrzu znacznie wzrastały. Napięcie towarzyszące walce podczas pierwszych pięciu misji było rekrutom tak nieznaną, że nie potrafili zastosować w praktyce tego, czego się nauczyli. Za bardzo pochłaniało ich

oswajanie się z nową sytuacją. Dopiero po piątej misji zaczęli odróżniać strach od przyływu adrenaliny. A kiedy już rozumieli, że adrenalina poprawia ich refleks, ułatwia śledzenie celu i w krytycznym ułamku sekundy pociągnięcie za spust, byli na dobrej drodze do pełnego profesjonalizmu. Ci, którzy przeżyli pierwsze pięć misji, zaliczali kolejne trzydzieści albo czterdzieści. Jeśli weźmiesz pod uwagę wszystko, co się nam przydarzyło... Nie mówię tu o treningu, jakiemu cię poddałem po ślubie. Trening to tylko połowa sukcesu. Tak naprawdę tą drugą połówką jest oswojenie się ze strachem. Zdałaś egzamin. Przeżyłaś swoje pierwsze pięć misji.

- Chcesz, żebym uwierzyła, że dzięki temu mam... mamy większe szanse przeżycia?

- Jak dotąd nam się udaje, przyznasz?

W gęstniejącym wieczornym mroku i chłodzie patrzyli na imponujące wejście na dworzec Grand Central.

9.

Mocno zbudowany Murzyn truchtem skręcił za róg i zwiększył szybkość na prostej prowadzącej przez zalesiony park na przedmieściu Waszyngtonu. Nie był sam. O szóstej trzydzieści rano cała armia truchtaczy szykowała formę na kolejny dzień walki w biurach stolicy kraju. Październikowy chłód skłonił Murzyna do włożenia dresu z długimi spodniami, używanego w marynarce wojennej.

Z jego ust ulatywała para.

Słyszac za sobą szybkie rytmiczne kroki, zaczekał, aż szybsi biegacze go miną.

Zrównali się z nim biały mężczyzna i biała kobieta w szarych dresach.

Utrzymywał umiarkowane tempo, czekając, aż go wyprzedzą, ale biegli równo z nim, po bokach, dokładnie w tym samym rytmie.

Gdy spojrział na nich po kolei, omal się nie zachwiał.

- A jednak wierzę - odezwał się baptysta z południa.

- Powiem ci, w co ja wierzę - odparł Cavanaugh.

- Nie jestem pewny, czy chcę to wiedzieć - odciął się Murzyn o nazwisku John Rutherford.

- Wierzę w smar do broni i zapas amunicji.

- Co za ulga. Przez chwilę obawiałem się, że powiesz coś, co mnie zaszokuje.

- Byki z Durham - rzuciła Jamie.

Rutherford skinął głową, mijając staw z kaczkami.

- Baseball to miły sposób spędzania czasu.

- Tak samo jak wolne pocałunki, w które wierzy bohater grany przez Kevina Costnera - dodała Jamie.

- Jeśli ci się zdaje, że zaszokujesz mnie czymś takim... - wysapał Rutherford, nie przerywając biegu - ...to przypominam, że kiedyś byłem żonaty. Moja żona... Panie, świeć nad jej duszą... także wierzyła w wolne całowanie. Jak się masz, Jamie? - Uśmiechnął się szczerze. - Ostatnim razem widziałem cię w szpitalnym łóżku. Cieszę się, że się wykaraskałaś po tej ranie.

- A jak się ma drań, który mnie postrzelił?

- Niestety, nieszczególnie. Więzienie mu nie służy. Zdaje się, że woli izolatkę niż kolegów spod celi, którzy próbują się z nim bratać.

- Szkoda. A co u ciebie, John? - zapytał Cavanaugh. - Jak sobie radzisz? Chyba należą ci się gratulacje.

- Masz na myśli mój awans?

- Dyrektor jednostki antyterrorystycznej FBI. Jestem z ciebie dumny.

- Nie wątpię.

Przebiegli obok śpiącego na ławce bezdomnego.

- Jak dotąd tak dobrze się bawimy, że niechętnie zadaję to pytanie - rzekł Rutherford. - A jak ty się miewasz?

- Potrzebuję pomocy, John.

- Kurczę, a już myślałem, że przypadkiem zaniósł cię w te strony. Więc postanowiłem zajrzeć do mnie o świcie, przywitać się i powspominać stare czasy podczas przebieżki.

- Dokładnie tak chciałem zrobić - przytaknął Cavanaugh.

- No ale skoro już tu jesteśmy...

- Pozwól, że sam zgadnę. Chcesz pogadać o agentach Global Protective Services, którzy zostali zabici.

- Wiesz o tym? - Cavanaugh spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Nie tylko oni zginęli. Zabito także ochroniarzy z niektórych agencji rządowych.

- Co takiego? - Cavanaugh zwolnił bieg i skręcił ze ścieżki pod krzaki.

Rutherford i Jamie dołączyli do niego.

- Z Secret Service. Z U.S. Marshals. Z Dyplomatycznej Służby Bezpieczeństwa. Trzy dni temu agenci z wszystkich tych służb nagle znaleźli się na celowniku. - Rutherford zdjął

ręcznik z szyi i starł pot z czoła. - Z początku wyglądało na to, że oberwali zamiast ludzi, których mieli ochraniać. Ale trupów przybywało, a większość ataków nastąpiła wtedy, kiedy agenci mieli wolne. Wkrótce musieliśmy uznać...

- Że celem byli ochroniarze.

- Nos nam podpowiedział, żeby sprawdzić też cywilne agencje ochrony. Te mniejsze nie miały pojęcia, o czym mówimy. Ale te duże, jak Global Protective Services.

- Nam też się oberwało - wpadł mu w słowo Cavanaugh.

- Nam? - Rutherford zmarszczył czoło. - Sądziłem, że wycofałeś się z branży.

- Jak to leciało w jednej z części *Ojca chrzestnego*? „I kiedy już myślałem, że wypisałem się z interesu, znów mnie do niego wciągnęli”. Nie dość, że wróciłem do branży, to w dodatku jestem właścicielem tej cholernej firmy.

Wyjaśnił, co się stało w biurze GPS na Manhattanie, a potem w samochodzie Eddiego.

- Eddie Macintosh?! - Rutherford był wstrząśnięty. - To jeden z najlepszych kierowców, z jakimi pracowałem.

- I tak też umarł. Za kierownicą.

Minęła ich grupka biegaczy. Rutherford podszedł bliżej krzaków, żeby ludzie na ścieżce nie mogli ich usłyszeć.

- Ostre przedmioty? - zapytał. - Z ostrzami?

- Ten sam schemat. Z bliska, intymnie. Z wyjątkiem ataków na Jamie i na mnie.

- Ale w czasie pierwszego ataku byłeś emerytem. Wypadłeś z gry. Po co miałiby napadać na ciebie?

- Może ktoś się dowiedział, kto został spadkobiercą Global Protective Services - podpowiedziała Jamie.

Cavanaugh rozejrzał się po parku.

- Nie boisz się biegać tu sam co rano?

- Zabijają ochroniarzy, nie agentów FBI. Ale teraz, skoro mnie tu odwiedziliście...

- Nikt nas nie śledził.

- Od ubiegłego maja dla nikogo nie jest tajemnicą, że się przyjaźnimy.

- Jak dotąd nie jest źle. Nikt nas nie ruszył, odkąd rozmawiamy - zauważyła Jamie.

- Marna pociecha.

- W pierwszej chwili myślałem, że to któryś z moich byłych klientów próbuje mnie załatwić, żebym nie zdradził czegoś, co go obciąża, a o czym przypadkiem wiem - rzekł Cavanaugh. - Potem, kiedy dowiedziałem się, ilu najlepszych agentów GPS zabito, uznałem, że to atak wymierzony w firmę... żeby ją wyeliminować z interesu albo z zemsty za to, że

zapobiegliśmy jakiemuś morderstwu czy porwaniu. Ale teraz... Atak na tak szeroką skalę... Zakładasz, że to...

- Kto ma pieniądze, organizację i jest aż tak zdeterminowany? - spytał Rutherford. - Biuro jest przekonane, że kluczowych ochroniarzy likwiduje siatka terrorystyczna próbująca zastraszyć pozostałych, żebyśmy nie byli przygotowani na kolejny duży atak. Agenci ochrony są szkoleni tak, że mają służyć za tarcze, a nie za cel. Prawdopodobnie te szwarccharaktery wykombinowały sobie, że służby bezpieczeństwa zmuszone do wiecznego oglądania się przez ramię nie będą w stanie wykonywać swoich obowiązków jak należy.

- Fakt, to rozprasza uwagę jak diabli - przyznał Cavanaugh.

- W tym przypadku „diabli” to chyba odpowiednie słowo - rzekł baptysta z południa.

- Masz jakieś tropy?

- Wszystkie grupy ekstremistyczne w dowolnym kraju, które nas nienawidzą. Wybieraj. Obecnie jest ich do wyboru, do koloru. A jeśli chodzi o potencjalne cele, to też ich nie brakuje. Na początek choćby prezydent.

- Lepiej się ruszmy. - Obawiając się mikrofonów kierunkowych, Cavanaugh wskazał biegnącą wzdłuż parku ulicę, na której panował coraz większy ruch. - Tam. Staniemy sobie w odświeżającym smrodzie spalin samochodów.

- I wśród warkotu silników? - domyśliła się Jamie.

- Trochę ostrożności nikomu nie zawadzi, no nie?

- Przez ciebie nie będę mógł więcej tu biegać - poskarżył się Rutherford.

Przyśpieszyli, kierując się w stronę ulicy.

- Jak zginęli agenci rządowi? - zapytał Cavanaugh.

- Karabiny snajperskie, zdalnie odpalane bomby, zasadzki na samochody.

- Nie od białej broni?

- W kilku przypadkach, ale nie ma wyraźnego wzoru. Nie tak jak w przypadku waszych agentów z GPS.

- Wobec tego dlaczego akurat GPS zaszczycono tego rodzaju bronią? - zainteresowała się Jamie.

- Kiedy wczoraj w nocy sprawdzałem wydruk moich byłych misji... - biegnąc, Cavanaugh oddychał szybko - ...nie znalazłem klienta, który chciałby mnie zabić ze względu na to, czego się o nim dowiedziałem. Ale te noże kogoś mi przypomniały.

- Kogo? - zapytał Rutherford.

- Byłego agenta GPS. Czy możesz zlecić w Biurze opracowanie profilu niejakiego Carla Durana? A przy okazji gruntownie sprawdzić Geralda Brockmana, Kim Lee i Alego

Karima?

- Przecież to są...

- Czołowi agenci GPS. W firmie coś nie gra. Może nie ma to nic wspólnego z tym, co się dzieje, a może wszystko. Tak czy owak, muszę to wiedzieć.

10.

- Kim jest ten Carl Duran? - spytała Jamie, leżąc obok Cavanaugha na łóżku w motelu.

- To chodzący kłopot. - Zaabsorbowany wysunął magazynek z pistoletu i odciągnął zamek, pokazując jej, że komora jest pusta.

- Pusty? - zapytał.

- Pusty.

Zwolnił zatrask i zamek przesunął się do przodu. Potem, jak wielu agentów miało w zwyczaju, uniósł pistolet, celując na sucho. Był to odpowiednik przesuwania koralików między palcami, żeby się uspokoić.

- Carl Duran i ja odbywaliśmy razem trening w Delta Force.

Jamie siedziała oparta o poduszki, tak samo jak Cavanaugh.

Też wysunęła magazynek z broni i odciągnęła zamek.

- Pusty? - zapytała.

- Pusty.

Ona również wycelowała na sucho. Jej pistolet miał szeroką szczerbinkę z białymi kropkami po bokach ułatwiającymi celowanie. Muszka także miała podobną, dobrze widoczną białą kropkę.

- Niektórzy mają błędne wyobrażenie na temat agentów służb specjalnych - powiedział Cavanaugh. - Uważają nas za opojów, którzy żłopia browar i naporzają się w barach. Nie rozumieją, że instruktorzy szukają w nas dyscypliny i opanowania, więc jeśli ktoś zachowuje się poza służbą jak oprych, nie nadaje się do tej roboty. Prawdę mówiąc, najlepsi agenci mają nienaganne maniery. Są nauczeni tego, żeby w razie potrzeby wyzwolić z siebie maksimum brutalności. Ale uczy się ich również tego, że mają w głowie włącznik, z którego wolno korzystać jedynie w uzasadnionych przypadkach. Kiedy nie pracują, za wszelką cenę mają zachowywać spokój.

- A Carl Duran nie był spokojny?

- Omal nie wyleciał z Delta Force.

- Na czym polegał jego problem?

- Agentów specjalnych ten zawód pociąga dlatego, że uwielbiają emocje związane z ryzykiem. Można powiedzieć, że są uzależnieni od ryzyka. Pragną satysfakcji wynikającej ze świadomości, że znalazłszy się w niebezpieczeństwie, wykrzesali z siebie siłę i determinację, żeby przeżyć.

Zamyślił się, wspominając Carla.

- Ten zawód pociąga agentów specjalnych również dlatego, że poprzez przynależność do elitarnej grupy czują się silniejsi - ciągnął po chwili. - W siłach specjalnych nie ma miejsca na indywidualne popisy. Jak to się mówi, w jednośc siła. Większość agentów czuje się bardziej związana ze swoją grupą niż z rodziną. Czerpią niesamowitą satysfakcję z tego, że z kolegami z jednostki przeżyli niewyobrażalne niebezpieczeństwa, że należą do najbardziej niezwykłych ludzi na świecie i że mogą liczyć na siebie nawzajem do tego stopnia, że jeden jest gotów umrzeć za drugiego.

- A Carl Duran się popisywał?

- Chciał pokazać, że jest najlepszy ze wszystkich. On potrafił wyłącznie konkurować... ale nie sam ze sobą, jak chce tego Delta, tylko z każdym w jednostce. We wszystkim musiał być górą. Najlepszy agent. Najlepszy strzelec. I robił, co mógł, żeby nikt tego nie przeoczył. Już jako dziecko był taki.

Jamie przestała celować z pistoletu i spojrzała na niego.

- Powiedziałeś to tak, jakby...

- Chodziłem z nim do szkoły w Iowa.

- Przecież mówiłeś, że wychowałeś się w Oklahomie.

- Do czasu, kiedy ojciec zlał mnie i matkę o jeden raz za dużo. Matka zabrała mnie i go zostawiła. W końcu wylądowaliśmy w Iowa City, gdzie poszła na kurs dla asystentek prawników, dostała pracę u adwokata, a potem wyszła za niego za mąż.

- Dlaczego musimy uciekać przed ludźmi, którzy dybią na nasze życie, żebyś mi opowiedział o sobie?

- A po co mam opowiadać o czymś, o czym chcę zapomnieć?

- Ojczym też cię źle traktował?

- Nie wiedział, jak reagować na dziecko. Był lepszym mężem niż ojcem. Ujmę to tak: nie pochwalał błędów, a jego zdaniem ja wciąż je popełniałem. Ale nie podnosił na mnie głosu. Nie bił mnie. Nie bił mojej matki ani córki, którą mu urodziła. W porównaniu z tym, przez co przeszliśmy, był niemal święty. Byłem mu wdzięczny za to, że zapewnił nam dom.

Wciąż jestem mu wdzięczny. A jednak starałem się schodzić mu z drogi. Natomiast jeśli chodzi o surowość, nikt się nie równał z ojcem Carla. To był chory z ambicji tyran. Za młodu grał w futbol w drużynie Uniwersytetu Stanu Iowa. W tym stanie mało co jest tak ważne jak sporty uczelniane. Ojciec Carla miał ambicję zostać zawodowym rozgrywającym. Mogło mu się udać. Z tego co opowiadał, był fantastycznym sportowcem. Ale w pierwszym roku w reprezentacji złamał nogę. Okulał i zgorzkniał do cna. Wtedy postanowił, że to Carl zostanie zawodowym rozgrywającym w tej rodzinie... też coś! Naciskał go i naciskał, aż w końcu Carl tak się uparł, żeby go zadowolić, że za wszelką cenę zaczął udowodniać, że jest najlepszy w całej drużynie West High. Musiał pokazać, że wie więcej niż trener. Musiał pokazać, że jest mądrzejszy i twardszy niż wszyscy, i robił to tak skutecznie, że trener wywalił go z drużyny. Wtedy ojciec sprzął go na kwaśne jabłko, pozwał szkołę do sądu i...

- Ładna historia - mruknęła Jamie.

- To jeszcze nic. Ojciec Carla był maklerem. A poza tym ukrytym alkoholikiem. W końcu rozpił się tak, że go wylali z firmy. Przez to jego picie rodzina musiała sprzedać dom. Przeprowadzili się do mieszkania. A potem wyjechali do innego stanu, próbując zacząć wszystko od nowa.

- I udało im się?

- W końcu dotarła do nas wiadomość, że ojciec Carla zmarł na marskość wątroby. Carl nie poszedł na studia. I z pewnością nigdy nie miał szansy zrobić kariery w zawodowym futbolu. Ale w czasach szkolnych byliśmy przyjaciółmi.

- Nie rozumiem, dlaczego pomyślałeś o nim z związku z całą tą historią - powiedziała Jamie.

- Miał fioła na punkcie noży.

11.

Jamie spojrzała na niego.

- Noży?

- To było w czasach, zanim jeszcze te dwa dzieciaki urządziły sobie strzelaninę w szkole w Kolorado i w rezultacie szkoły wprowadziły absolutny zakaz wnoszenia na ich teren wszystkiego, co można uznać za broń.

- I ty się z nim przyjaźniłeś?

- Trudno to wyjaśnić. Mieszkaliśmy przy tej samej ulicy. - Dla Cavanaugha były to bolesne wspomnienia. - Na Hafor Drive. Carl był pierwszym dzieciakiem, jakiego poznałem po przeprowadzce do ojczyzny. Na końcu ulicy znajdowało się boisko do piłki nożnej. Lasek. Rzeczka. Razem z Carlem często się bawiliśmy w tym lesie. Nie lubił wracać do domu. Ja też nie. Z przyjaźnią tak to już jest, że kiedy się zawiąże, zachowanie przyjaciela nam nie przeszkadza. Choćby był nie wiadomo jak dziwny, uważamy, że to normalne.

- Mówisz o nożach.

- Składanych. Z ostrzem stałym. Z ostrzem łamanym. O nożach taktycznych. O nożach do patroszenia ryb. Do obdzierania zwierząt ze skóry. Carl i ja rozwoziliśmy jedną z lokalnych gazet porannych - „Gazette”. Wtedy jeszcze prasa nie doszła do wniosku, że wypada bezpieczniej i taniej, jeśli to dorośli rozwożą gazety i rzucają je pod drzwi z samochodów. Mój ojczym nalegał, żebym zarobione pieniądze wpłacał do banku. Za to ojciec Carla pozwalał mu wydawać zarobki co do grosza... Wtedy mi się to podobało.

Natomiast nie podobały mi się noże. Tak szczerze, to ich widok mnie denerwował. Ale ojca Carla cieszyły, zupełnie jakby świadczyły o męskości jego syna i dawały mu szansę na karierę w zawodowym futbolu. No więc Carl bawił się nożami, a ja razem z nim, skoro byłem jego przyjacielem. Ścigaliśmy się, który szybciej wyciągnie nóż z kieszeni i otworzy. Uczyliśmy się nimi rzucać.

Wymyślaliśmy historyjki, w których dzięki nożowi ratujemy komuś życie. A potem Carl wyczytał w specjalistycznym magazynie, że jeden z najlepszych twórców noży mieszka tuż pod miastem, na farmie obok miejsciny West Liberty.

- Masz na myśli młot, kowadło i kuźnię? - spytała Jamie.

- Stare dobre rzemiosło. Pewnego dnia Carl zjawił się u mnie i oświadczył, że zadzwonił do tego twórcy noży i namówił go, żeby nauczył nas wykuwania ostrzy. W życiu nie widziałem Carla tak podnieconego, więc pomyślałem sobie: „A co mi tam, pojedę z nim i zobaczę, jak to jest”. Skończyło się na tym, że moja mama wozila nas tam w każdą niedzielę po południu. Okazało się, że ten stary twórca noży należy do American Bladesmith Society. Miał tytuł mistrza, a to nie byle co, jeśli wziąć pod uwagę, że na całym świecie mistrzów jest około dziewięćdziesięciu. Stary poświęcił tworzeniu noży całe życie. Nazywał się Lance Sawyer. Za pierwszym razem, kiedy to usłyszałem, pomyślałem, że to zabawne... ekspert od noży o imieniu Lance. Miał siedemdziesiąt pięć lat. Nosił ogrodniczkę.

Był zgarbiony, chuderlawy i łysy, po białej brodzie ściekał mu brązowy sok z tytoniu, ale u nikogo nie widziałem tak muskularnych, silnych ramion. Przez półtora roku, dopóki ojciec Carla nie wywiózł całej rodziny ze stanu, uczyliśmy się obaj, jak rozpalać palenisko,

jak za pomocą młota i kowadła nadawać kształt ostrzom, w jaki sposób studzić metal, a potem odwrotnie, hartować go na gorąco. Jako surowca Lance kazał nam używać wahaczy ze starych półciężarówek. To była twarda, ciężka harówka. Ramiona bolały mnie przez okrągły tydzień. Ale przyznam, że wyprodukowaliśmy kilka fantastycznie wyglądających noży.

- Czy po jego wyjeździe nadal się tego uczyłeś?

- Przez jakiś czas. Ale bez entuzjazmu, bez Carla to już nie było to samo, a potem stary Lance umarł. Nie było mnie przy tym, ale słyszałem, że zasnął podczas wykuwania ostrza. Umarł szczęśliwy, robiąc to, co lubił najbardziej. - Cavanaugh uśmiechnął się smutno.

- Potem wstąpiłem na Uniwersytet Iowa. Jestem przekonany, że ojczym chciał, żebym poszedł w jego ślady i również został adwokatem. Ale zaskoczyłem jego i mamę, rzuciłem studia przed końcem pierwszego roku i zaciągnąłem się do wojska. Wiesz, ta moja nienawiść do oprychów, o której ci już mówiłem. W końcu dostałem się do Delta Force. - Zamilkł na chwilę. - A krótko potem zjawił się tam Carl.

Jamie, która wróciła do celowania z pistoletu, znów przerwała i spojrzała na niego.

- Nie sądzisz, że to bardzo dziwny zbieg okoliczności?

- To wcale nie był zbieg okoliczności. Poskładałem strzępy tego, co mi powiedział, i w końcu zorientowałem się, co zaszło. Kiedy alkoholizm ojca się nasilił, a majątek rodziny rozpląnął się w powietrzu, Carl coraz częściej myślał o Iowa City, naszej przyjaźni oraz lekcjach ze starym twórcą noży jako o najlepszym okresie swojego życia. Nie poszedł na studia, jak to planował jego ojciec. Nie grał w futbol. Nie miał szansy na wielką karierę, jakiej chciał dla niego ojciec. Bez przerwy do mnie wydzwaniał. Zawsze odnosiłem wrażenie, że słyszę ducha. Staralem się rozmawiać krótko. Aż w końcu pewnego razu zadzwonił i moja matka poinformowała go, że wstąpiłem do wojska. Z tego co się zorientowałem, krótko potem on też się zaciągnął. Teraz zdaję sobie sprawę, że liczył na przydział do tej samej jednostki i podtrzymywanie naszej idealnej, jak mu się zdawało, przyjaźni. Śledził przebieg mojej kariery, przeszedł trening do operacji specjalnych i w końcu próbował się dostać do Delta Force, tak jak ja. I nagle pewnego dnia zjawił się w bazie Delty w Fort Bragg. Odwróciłem się po wykonanym ćwiczeniu i zobaczyłem, jak szczyrzy do mnie zęby. To był rzadki przypadek w moim życiu, kiedy ktoś mnie kompletnie zaskoczył.

- Trochę to upierne - zauważyła Jamie. - Zupełnie jakby cię prześladował.

- Tak. A co gorsza, pozostali komandosi z Delty kojarzyli go ze mną. Kiedy zaczął za bardzo rywalizować, czułem, że chcą, żebym mu kazał przystopować. Ale on bardziej konkurował ze mną niż z innymi. Ode mnie nie zamierzał wysłuchiwać rad. Umiał dość, żeby grać w naszym zespole, kiedy wyjeżdżaliśmy na misje. Raz, w Iraku, podczas pierwszej

wojny w Zatoce Perskiej, uratował mi życie.

Zrewanżowałem się, ratując mu życie w Bośni. Tylko te noże... Miał fioła na ich punkcie i nie mógł z tym skończyć. Żeby się wkupić w łaski zespołu, wykonał nawet dla każdego składany nóż bojowy. Aż tu nagle wszystko zaprzepaścił.

Naszą jednostkę wysłano z misją na Filipiny, mieliśmy uwolnić z rąk terrorystów porwanego amerykańskiego dyplomatę. Zadaniem Carla było zlikwidowanie wrogiego strażnika za pomocą pistoletu z tłumikiem. Ale podkraść się do faceta i zabił go nożem. Przez to cała akcja omal nie wzięła w łeb. Później, jak już wyciągnęliśmy tego dyplomatę, nasz dowódca wpadł w szał. Carl szedł w zaparte, że zaciął mu się pistolet. Powiedział, że nie miał wyboru, że musiał załatwić strażnika w walce wręcz. Dowódca na pozór przyjął to wyjaśnienie. Ale Carl już nigdy nie pojechał na żadną misję, a trzy miesiące później zwolniono go z jednostki.

- Jak to się stało, że znalazł zatrudnienie w Global Protective Services?

Cavanaugh zawahał się.

- Kiedy Duncan odszedł z Delta Force i założył własną firmę, Carl zwrócił się do mnie, żebym się za nim wstawił. Nasza przyjaźń, chociaż nieco nadwerężona, wciąż trwała. Nigdy nie zrobił niczego, co by biło we mnie. Przeciwnie, pilnował, żeby nie odesłali mnie do domu w worku. Może pistolet rzeczywiście mu się wtedy zaciął. W każdym razie jedno jest pewne: nikt nigdy nie kwestionował jego odwagi. Rozmawiałem o tym z Duncanem. Najpierw dał mu na próbę jakieś drobne zlecenia. Poszło gładko. Potem średniej trudności. I znów obyło się bez problemów. Później Carl i ja dostaliśmy zadanie ochrony nastoletniej gwiazdy rocka, której jakiś wielbiciel groził śmiercią. Małolata prowadziła się ze słynnym sportowcem i wielbiciel stał się zazdrosny.

- To nie przypadek, że nie mówisz mi, jak się nazywała.

Gdy Cavanaugh powiedział, o kogo chodziło, Jamie pokiwała głową.

- No, superlaska. Z tych, co to epatują golizną, ale podają się za dziewice.

- Rozumiesz więc, że ten szurnięty fan dostawał sprzeczne sygnały. Smarkulę stać było na pełny dziewięcioosobowy zespół, w tym dwie ucharakteryzowane na nią kobiety.

- Czyli w sumie na dwudziestu siedmiu agentów pracujących na trzy zmiany. - Jamie dokonała szybkich obliczeń. - To roczny budżet niektórych krajów Trzeciego Świata.

- A potem policja złapała człowieka, który ich zdaniem na pewno był tym prześladowcą. Facet nawet się przyznał.

- Żeby zyskać rozgłos - wtrąciła Jamie, uprzedzając to, do czego zmierzał. - Tymczasem prawdziwy sprawca...

- Dopadł ją, kiedy zmniejszyła obstawę do pięciu agentów. To się stało poza jej hotelem. Byłem szefem zespołu. Próbowałem namówić ją na hotel z podziemnym parkingiem, żeby mogła wsiadać do limuzyny z dala od tłumów.

- Bo normalny samochód byłby poniżej jej godności - zakpiła Jamie.

- Otóż to. Powiedziała mi, że musi oglądać swoich fanów, a oni muszą mieć okazję oglądania jej. Twierdziła, że to wspinała reklama. W Entertainment Tonight chcieli ją pokazać, jak dzielnie spotyka się z wielbicielami. Wobec tego wyszliśmy z hotelu, żeby utworzyć przejście w tłumie. Nigdy bym się na to nie zgodził, gdyby policja nie zapewniła mnie, że mają prześladowcę. Szliśmy w rutynowym szyku „pudełka”, dwóch agentów z tyłu i dwóch z przodu. Ona szła w środku, obok mnie. Układ był taki, że gdyby ktoś się na nią rzucił, miałem zasłonić ją własnym ciałem i wpakować do limuzyny albo do hotelu... tam, gdzie bliżej. Tymczasem reszta zespołu miała nas otoczyć, tworząc zaporę między nią a prześladowcą, i sprawdzić, czy nie działa sam. Chodziło o to, żeby w pierwszej kolejności ochronić klientkę, a dopiero w drugiej unieszkodliwić napastnika. Dlatego kiedy ten facet wyskoczył na nią z tłumu, wywijając nożem, ja zasłoniłem dziewczynę. Reszta zespołu utworzyła wokół nas pierścień i cofaliśmy się do hotelu. A ten sukinsyn Carl wyłamał się z szeregu i wdał się w walkę na noże z tym gościem.

- Co zrobił?

- Wyobraź sobie, jesteśmy przed wejściem do hotelu Plaza, kilka tysięcy fanów, tony kamer telewizyjnych, wszyscy się drą na całe gardło, ja z ekipą czym prędzej odstawiamy gwiazdę z powrotem do hotelu, a Carl daje facetowi lekcję posługiwania się majchrem. Chlast, ciach. Założę się, że przed śmiercią ten prześladowca zachodził w głowę, jakim cudem mógł stracić aż tyle krwi. Konał w drgawkach, a Carl stał nad jego trupem. Tymczasem w tłumie zapanowała panika, a kamery telewizyjne kręciły to wszystko, włącznie ze zbliżeniem twarzy Carla. W branży ochroniarskiej taka reklama nikomu nie służy. Ława przysięgłych uznała zabójstwo za usprawiedliwione. Carl twierdził, że facet rzucił się na niego, że chciał go załatwić, żeby się dorwać do naszej klientki. „Nie miałem wyboru”, powtarzał. Prywatnie wszyscy z zespołu mówili, że to gówno prawda.

Wiedzieliśmy, jak świetnie wyszkolony był Carl... mógł rozbroić i obezwładnić tego faceta, nie doprowadzając do rozlewu krwi. Ale go zabił, bo...

- Dążył do walki na noże - dokończyła za niego Jamie.

Cavanaugh przytaknęła ruchem głowy.

- Prawdę mówiąc, walka trwała krótko, ale owszem, nie wątpię, że to była połowa jego motywacji. A druga połowa? Szkolą nas, żeby nie patrzeć na klientów wtedy, kiedy ich

ochramiamy. Chodzi o to, że mamy obserwować otoczenie, wypatrywać zagrożenia. Ale zauważyłem, że Carl zerkał na tę dziewczynę, właściwie to pożerał ją wzrokiem. Tak sobie myślę, że sprowokował walkę na noże, bo chciał jej zaimponować i w nagrodę chronić ją już na wieki wieków.

- I uzyskał to, czego chciał?

- Uzyskał tyle, że wyleciał na zbity pysk. Tym razem, kiedy mnie błagał, żebym się za nim wstawił i przekonał Duncana, żeby zatrudnił go ponownie, odesłałem go do wszystkich diabłów. Nasza przyjaźń od dawna wisiała na włosku. Ta historia ją zakończyła. Nie chciałem mieć z nim nic wspólnego, nawet na płaszczyźnie zawodowej, bo w moim przekonaniu nie można już było na nim polegać. Inni agenci odnosili podobne wrażenie. Żadna z cenionych agencji ochroniarskich nie chciała go zatrudnić. Z tego, co o nim słyszałem ostatnio, pracował dla kolumbijskiego barona narkotykowego.

- A teraz sądzisz, że wrócił?

- Ten, kto zorganizował zabójstwa tych agentów przy użyciu ostrych narzędzi, musiał dysponować dogłębną znajomością zasad działania branży ochroniarskiej. Jeśli połączymy to z obsesją na punkcie noży...

- Otrzymamy Carla Durana - dopowiedziała Jamie. - Ale może to nie tej piosenkarce chciał zaimponować walką na noże.

- Nie jej? A komu...

- Tobie. Na pewno zakłada, że powiązałeś go z tymi atakami. Będzie cię ścigał do upadłego.

V.

ŻELAZNA DZIEWICA

1.

Mało brakowało, a Rutherford nie zauważyłby tego miejsca i pojechał dalej.

Była to obskurna część Alexandrii w stanie Wirginia, okolica tak zaskakująca, że kiedy podano mu adres, sądził, że się przesłyszał. Rozejrzał się jednak uważniej i zauważył motel kryjówka wciśnięty między salon masażu a sex-shop. Z nadzieją, że nie jest to dowcip, pokręcił głową i na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w lewo. Przejechał na chybił trafił kilkoma ulicami, sprawdzając w lusterku wstecznym, czy nikt go nie śledzi. W końcu wrócił do motelu, zajechał na parking, zatrzymał się obok śmietnika i zapukał do drzwi.

Drobne pijaczki, handlarze narkotyków i członkowie ulicznych gangów patrzyli, jak otwierają się drzwi i w progu staje uśmiechnięta Jamie.

Wchodząc do środka, Rutherford zlustrował wzrokiem brudną podłogę, popękane lustro i zapadnięty materac. Ściany nasiąkły przez lata smrodem dymu z papierosów. Skinął głową Cavanaughowi, który stał za drzwiami z pistoletem w garści, na wypadek gdyby Rutherford miał ze sobą wrogo nastawione towarzystwo.

- Przytulnie tu - ocenił Murzyn.

- Tutaj nikt się nie dziwi, że płacimy gotówką, a nie kartą kredytową - wyjaśniła Jamie, zamykając drzwi.

- Pewnie biorą cię za dziwkę.

- Dopóki nie zostawiamy śladów na papierze, mogą mnie brać nawet za lobbystkę. - Jamie wskazała grubą szarą kopertę w rękę Rutherforda. - Czego się dowiedziałeś?

- Gerald Brockman podjął kilka katastrofalnych decyzji finansowych. Pożyczał pieniądze na inwestycje, które miały przynieść zysk. Ale rynek się załamał, a on musiał spłacić długi. W gruncie rzeczy jest splukany.

- A więc kiedy zabito Duncana, Brockman mógł liczyć na to, że odziedziczy Global Protective Services - powiedział Cavanaugh. - Miał jednak powody przypuszczać, że spadkobiercą został jakiś Aaron Stoddard. Może uznał, że jeśli pozbędzie się Stoddarda, to wskoczy na szczyt listy.

- Kto to jest Aaron Stoddard?

- Ja - odparł Cavanaugh. - To moje prawdziwe nazwisko. Wieści rozchodzą się tak szybko, że i ciebie mogę dopuścić do tajemnicy.

- Twoje prawdziwe nazwisko?!

- Czasami opłaca się udawać kogoś innego.

- Mnie się to nie oplaca. Ja wciąż próbuję dojść do tego, jak być Johnem Rutherfordem.

- Czego się dowiedziałeś o Kim Lee? - zapytała Jamie.

- To lekomanka.

- Co takiego?

- Dwa lata temu podczas zawodów sztuk walki wypadł jej dysk. Od tej pory jest uzależniona od tak silnych środków przeciwbólowych jak OxyContin. Dziennie łyka tyle pigułek, że musi się zaopatrywać na czarnym rynku.

- Ale nigdy niczego po sobie nie pokazała.

- Niektórzy to potrafią. Wystarczy jednak, żeby skończył jej się zapas, a zobaczysz mnóstwo oznak, jak na głodzie będzie chodziła po ścianach. Uwolnić się od tego jest równie trudno, jak zerwać z heroiną. Ktoś, kto potrzebował informacji o Global Protective Services, mógł ją szantażować, że przerwie dostawy.

- A Ali Karim?

- Jak dotąd wydaje się czysty jak łyza.

- Nareszcie jakaś dobra wiadomość - rzekł Cavanaugh. - A co z Carlem Duranem?

- Tak jak mówiłeś, po wywaleniu go z GPS pracował jako szef ochrony kolumbijskiego barona narkotykowego. - Rutherford zrobił efektowną pauzę. - Ale przestał dwa lata temu.

- Co się stało?

- Zniknął.

Cavanaugh zmarszczył czoło.

- Chcesz powiedzieć, że pryncypał stracił do niego zaufanie i kazał go zabić?

- Nie. Nic na to nie wskazuje. Nasz informator twierdzi, że Carl uchodził za niezastąpionego. Z wściekłości za to, jak go potraktowały legalne agencje ochroniarskie, przeszedł na drugą stronę i załatwił temu baronowi narkotykowemu najlepszą ochronę na świecie. Zrobił nawet licencję pilota, żeby w razie kłopotów móc ewakuować szefa jego prywatnym odrzutowcem. I nagle pewnego dnia zniknął.

- Czy twój informator nie mówił o jakimś niezwykłym zdarzeniu przed zniknięciem Carla?

- Prawdę mówiąc, wspominał, że mieli gościa. Przybysz był na tyle ważny, że szef kartelu osobiście wyszedł na powitanie śmigłowca.

- Masz pojęcie, kto to był?

- Nazwiska nie znam. Ale nawet po dwóch latach informator pamięta, jak facet

wyglądał.

- Trudno w to uwierzyć - wtrąciła Jamie.

- Nie, jeśli usłyszysz rysopis. Gość był po czterdziestce. Miał wąsy. Mocno zbudowany. Przenikliwy wzrok. Śniada cera. Poważny wyraz twarzy.

- Nic nam to nie mówi.

- Przyleciał z Iraku - dodał Rutherford.

- Z Iraku - powtórzył zaskoczony Cavanaugh.

- Właśnie. Rzadko kiedy ktoś z tej części świata przylatuje do posiadłości południowoamerykańskiego kartelu narkotykowego - rzekł Rutherford.

- W każdym razie nie robili tego przed jedenastym września.

Jamie słuchała tego zdumiona.

- Po atakach na World Trade Center i Pentagon wszczęliśmy szczegółowe śledztwo, które powinniśmy byli prowadzić przez cały czas - wyjaśnił Murzyn. - Grupy terrorystyczne fanatycznych ekstremistów religijnych uznały, że takich skorumpowanych, zdeprawowanych niewiernych jak my najlepiej zaatakować poprzez korupcję. Znaczna część funduszy terrorystów pochodzi z prostytutki i narkotyków.

- Z narkotyków. Kolejny powód, żeby bliżej przyjrzeć się Kim - zauważyła Jamie.

- Ten nieznajomy bardzo długo rozmawiał z Carlem - ciągnął Rutherford. - A następnego dnia obaj zniknęli.

- A więc zwerbował Carla ze względu na jego dogłębną wiedzę o zasadach działania legalnych agencji ochroniarskich - powiedział Cavanaugh. - Ale niemożliwe, żeby Duran robił to sam. Zbyt wielu agentów poniosło śmierć. On nie może być wszędzie naraz. Musi mieć pomoc. Wyszkolonych pomocników. Takich jak ten zespół, który zaatakował nas w Jackson Hole.

- W Jackson Hole? Opowiedz mi o tym, żebym był na bieżąco.

Cavanaugh zrelacjonował Rutherfordowi przebieg wypadków.

- Okazało się, że ci, których zastrzeliłem, zostali zwolnieni z więzienia, wszyscy w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Każdy siedział w innym więzieniu i nic nie wskazuje na to, żeby się znali, zanim zostali skazani.

- A więc jak to się stało, że po wyjściu zaczęli pracować razem? - dociekał Rutherford.

- Myślę, że pytanie powinno brzmieć: kto ich zebrał do kupy - odrzekł Cavanaugh. - I w jaki sposób Carl w ciągu sześciu tygodni wyszkolił zwykłych oprychów na agentów?

2.

Nad bagnami niosło się echo wystrzałów. Przetaczał się grzmot wybuchów.

Nawet pomimo zatyczek w uszach Raoul słyszał te dźwięki, gdy Bowie potrząsnął nim i obrzucając obelgami, okręcił go trzy razy w jedną, a potem w drugą stronę. Raoul chciał go odepchnąć, zwymyślać i powalić na ziemię.

Powstrzymał się jednak, wiedząc, że to, co robi Bowie, ma go zdezorientować i zwiększyć napływ adrenaliny.

Bowie przysunął twarz do twarzy Raoula.

- Czterej napastnicy wdarli się do tego budynku! - wrzasnął. - Mają automaty! Wzięli zakładników! Nie ma czasu na negocjacje! Za trzydzieści sekund wybuchnie tam bomba! Zrówna z ziemią kawałek miasta! Masz tam wleźć, zabić drani, uratować zakładników i rozbroić bombę! Ruchy!

Pchnął Raoula w kierunku budynku tak silnie, że Latynosowi zadźwięczały zęby.

Właściwie był to tylko labirynt ścian bez dachu, ale Raoul tak się wczuł w rolę, że widział w tym prawdziwy budynek. Miał świadomość, że Bowie pędzi za nim, ale skupiał się tylko na pistolecie, który wyciągnął z kabury. Wyskoczył cel - uzbrojony mężczyzna. Raoul go zastrzelił, przykucnął, wyrzwał za róg, zobaczył kolejny cel, znowu faceta z bronią, a obok niego staruszkę. Tego też zastrzelił, obrócił się na pięcie i ujrzał następny cel, kobietę z dzieckiem na rękach. „Ona ma broń pod kocem! Zabij ją!” - wrzasnął Bowie, ale Raoul nie zwracał na niego uwagi, pędził dalej, zastrzelił trzeciego faceta, który wyskoczył z karabinem szturmowym, a teraz ten czwarty... Gdzie jest ten czwarty, gdzie jest bomba?

Wyrzwał za następny róg, wyskoczyło dziecko i ksiądz, więc odwrócił się szybko, szukając tego czwartego, uświadomił sobie, że ksiądz ma broń, zrobił unik, obrócił się i strzelił, kładąc go trupem, zobaczył na ziemi metalową skrzynkę, podbiegł do niej, pstryknął wyłącznik i nagle zdał sobie sprawę, że serce łomocze mu jak szalone, a ubranie jest mokre od potu.

Dygocząc nad skrzynką, zadarł głowę i zobaczył, że Bowie i paru adeptów uśmiechają się do niego szeroko.

- Trzy sekundy przed detonacją bomby - oświadczył Bowie. - Wszyscy dranie nie żyją. Żaden zakładnik nie ucierpiał. Zauważyłeś ten podstęp z księdzem. Bardzo dobrze, panie Ramirez.

- Dzięki - bąknął Raoul niepewnym głosem, ale nie zapomniał dodać „proszę pana”.

Nie mógł wyjść ze zdumienia, jakich emocji dostarcza ruchoma strzelnica w domu.

Na zewnątrz, w huku strzałów i grzmocie eksplozji znad bagien, patrzył, jak Bowie podchodzi do innych kursantów.

- Pańska kolej, panie Ferguson.

Wysoki, rudy dwudziestolatek nie wyglądał na zachwyconego.

- Do roboty, panie Ferguson. - Bowie popchnął go, zaczynając proces dezorientacji. Potrząsnął nim, zaklął, okręcił go w obie strony, wrzasnął rozkaz i pchnął w kierunku domu-strzelnicy tak silnie, że Ferguson omal nie upadł.

Raoul i ci, którzy zdali egzamin, ruszyli za Bowiem.

Ferguson zastrzelił pierwszego i drugiego wroga, zignorował staruszkę, zastrzelił trzeciego faceta z bronią, na widok kobiety z dzieckiem na rękach odwrócił się w poszukiwaniu kolejnego celu i usłyszał krzyk Bowiego: „Ona ma broń pod kocem!”. Wypalił trzy razy do celu. „Chybiłeś! - ryknął Bowie.

- Zastrzel ją! Zastrzel ją, do cholery!”. Ferguson wpakował pozostałe kule w cel.

Szybko zmienił magazynek i nie zwracając uwagi na księdza, podbiegł do metalowej skrzynki i pstryknął wyłącznik.

Spojrzał na nich triumfalnie i skrzywił się, nie widząc wyrazów uznania.

- Panie Ferguson, wychodzi na to, że stanowi pan zagrożenie dla społeczeństwa - oświadczył Bowie.

- O czym pan mówi? Przecież rozbroiłem bombę, tak czy nie?

- Byłby pan trupem, zanimby pan do niej dotarł. Załatwiłby pana ten gość w koloratce.

- Ksiądz? Daj pan spokój!

- To nie jest ksiądz.

- A pan niby skąd to wie?

- Stąd, że trzyma pistolet.

- Jaki pistolet?! - Ferguson przyjrzał się uważniej i jęknął.

- Ale nawet gdyby go pan zastrzelił i rozbroił bombę, nie byłaby to żadna pociecha dla kobiety z dzieckiem na ręku, którą pan zabił.

- To nie było dziecko! Miała pod kocykiem broń!

- Nie.

- Przecież sam mi pan powiedział...

- Pomyliłem się.

- Pan mnie okłamał.

- Sprawdzalem pana.

- To jakieś pierdoły.

- Nie, panie Ferguson. To ćwiczenie sprawdzające dyscyplinę i opanowanie, czyli cechy, których, jak widać, pan nie ma.

Ferguson uniósł nieco pistolet. Bowie wyciągnął z kieszeni nóż.

Ferguson popatrzył na nóż i opuścił broń.

- Nie przyjechałem tu po to, żeby mną pomiatać, jakbym dalej kiblował w mamrze.

- Nie, pan tu przyjechał w zamian za dwa tysiące zaliczki, trzy tysiące dolarów miesięcznie plus zakwaterowanie, wikt i szkolenie.

- Na co komu kasa, jeśli nie ma gdzie jej wydać?

- Czy chce pan nas opuścić, panie Ferguson?

- A co, nie widać? Te cholerne komary. Jeszcze trochę, a złapię malarię czy jakąś inną cholerę.

Bowie odwrócił się od niego do Raoula.

- Panie Ramirez - powiedział twardym głosem.

Raoul był zaskoczony.

- Tak, proszę pana?

- Po następnych zajęciach proszę się zgłosić do mojego biura.

3.

Idąc przez zatłoczony plac apelowy, Raoul starał się nie patrzeć z nieustającym podziwem na skąpany w słońcu obóz. Teren otaczały gęste krzaki i drzewa. Po lewej ręce miał koszary - dwa drewniane baraki na palach. Za nimi kursanci strzelali do jadących pojazdów albo ćwiczyli szturmowanie budynku. Inni trenowali walkę wręcz, a jeszcze inni poznawali tajniki obchodzenia się z nożem.

Raoul nie miał pojęcia, do czego to wszystko zmierza, wiedział tylko, że jest szczęśliwy jak nigdy. Broń, filmy, gry komputerowe. Brakowało jedynie gorzały i lasek. Prawie jak w niebie. I jeszcze mu za to płacili. Ciężar pistoletu u pasa, poczucie, że robi coś ważnego i robi to dobrze... wszystko to sprawiało, że chodził wyprostowany, z wypiętą pierśią.

Usłyszał, jak instruktor wykrzykuje:

- Jeśli złapiecie wroga od tyłu i odchylicie mu głowę, nie próbujecie podrzynać mu

gardła, bo możecie sobie skaleczyć rękę! Chwyćcie go za brodę i usta tak, żeby nie mógł krzyknąć. Szarpnijcie jego głowę do tyłu. I wbijcie nóż w nerki. To właśnie jest zabójczy cios. W nerki. Przesaną pracować niemal od razu.

Raoul przystanął przy komórce z blachy falistej i usłyszał brzęk młota uderzającego o metal. Nie miał pojęcia, po co Bowie chciał go widzieć.

Uniesienie, w jakie wprowadził go sukces na strzelnicy, ustąpiło konsternacji - nie wiedział, co ma z nim wspólnego sprzeczek między Bowiem a Fergusonem.

Wściekły szcęk młota był coraz szybszy i bardziej natarczywy. Gdy Raoul zebrał się w końcu na odwagę i zapukał, hałas od razu ucichł.

- Wejść.

4.

Według Biblii Kain miał wielu potomków, a jeden z nich jako pierwszy nauczył się kuć żelazo. Carlowi podobał się ten pomysł, tak samo jak pogląd, jakoby pierwszym kowalem był Hefajstos, syn Zeusa - twórca broni dla bogów. Duran uznał to za ciekawe porównanie, bo talent, z jakim Hefajstos posługiwał się młotem i kowadłem, wywarł równie straszne i długotrwałe skutki jak zabicie Abla przez Kaina. Najbardziej pomysłowym dziełem Greka była misternie zdobiona metalowa puszka zawierająca wszelkie zło i choroby. Puskę tę podarowano uwodzicielce Pandorze, a kiedy ta ją otworzyła, wypuściła z niej wojny, zarazy, głód oraz całą masę innych nieszczęść. Zanim zamknęła wieko, tylko jedno nieszczęście nie zdążyło uciec - okrutna, zwodnicza nadzieja.

Carl miał na sobie rękawice, brezentowy fartuch i ochronne okulary. Przez zaczernione szkła patrzył na koks w palenisku, na gruby pas metalu żarzący się wspaniałą pomarańczową barwą, kiedy dmuchał w miechy. Podgrzewszy metal dokładnie tak długo, jak trzeba, i do niezbędnej temperatury, wyciągnął go szczypcami z ognia i umieścił na kowadle. Trzymając młot w potężnej lewej ręce, walił w stal i zmuszając ją do posłuszeństwa, spłaszczając, nadawał kształt. Żar paleniska zmiękczył metal, uczynił go plastycznym, dzięki czemu mógł narzucić mu swoją wolę.

Brzdęk!

Aaron...

Brzdęk!

Aaron...

Naszły go dobre i złe wspomnienia. Rytmiczne, piskliwe walenie młotem w kowadło w jego uszach brzmiało jak rykoszety, jak wrzaski bólu. Zaczął grzmocić mocniej, lecz słysząc inny dźwięk, odwrócił się do drzwi. Ktoś do nich pukał.

- Wejść.

Drzwi otworzyły się powoli. Wystraszony Raoul wszedł w mrok rozpraszany blaskiem padającym z paleniska.

- Podejdź tu. Chcę ci coś pokazać - powiedział Carl.

Raoul wykonał polecenie.

- Nóż, nad którym pracuję, wziął nazwę od pierwszego takiego noża, którym posługiwał się Jim Bowie. Kojarzysz związek? Bowie? Nóż typu Bowie?

Raoul dowiedział, że zapamiętał lekcję, której udzielił mu Carl - żeby przyznawać się do tego, czego się nie wie.

- W życiu o nim nie słyszałem.

- To najsłynniejszy nóż wszech czasów. Bowie spekulował ziemią na terenach wzdłuż Missisipi. Był nożownikiem. Awanturnikiem. Zginął razem z Crockettem i Travisem w Alamo. W tysiąc osiemset dwudziestym siódmym roku zabił nożem jednego człowieka, a drugiego ranił w tak zwanym pojedynku w Sandbar. Na dobrą sprawę nikt nie wie, jak naprawdę wyglądał nóż Bowiego. Ten, który teraz robię, jest oparty na projekcie z filmu *Żelazna Dziewica*. Bowiego grał Alan Ladd.

Ale prawdziwą gwiazdą filmu był nóż. Później wystąpił w innych filmach, w *Davy Crockett* Walta Disneya i w *Alamo* z Johnem Wayne'em. Kiedy zobaczysz, jak piękne będzie ukończone dzieło, nie będziesz mógł oderwać od niego oczu. Całe pokolenie twórców zajęło się rzemiosłem pod wpływem inspiracji tym nożem.

Carl przypomniał sobie, jak po raz pierwszy oglądał *Żelazną Dziewicę*. Stary twórca noży Lance nagrał film z telewizji na wideo i pożyczył kasetę jemu i Aaronowi. Początek filmu ział nudą: Alan Ladd próbował rozkochać w sobie Virginie Mayo. Carl i Aaron gwizdali, siedząc przed telewizorem. Ale potem Ladd poszedł do kowala, pokazał mu drewniany model noża i zlecił wykucie takiego samego. Kowal zapalił się do pomysłu, powiedział, że ma kawałek meteorytu i że rozpuści go i doda do metalu. Obiecał, że nóż będzie miał w sobie coś z nieba i coś z piekła. W następnej scenie był gotowy. Śmignął w powietrzu i wbił się w słup. Długie, szerokie ostrze było tak elegancko zakrzywione, że na jego widok on i Aaron krzyknęli: „Ale odjazd!”. Rękojeść wykonana z czarnego drewna miała mosiężną nasadkę oraz wstawione nazwisko Bowiego, wyryte w kości słoniowej. Z tyłu

ostrza znajdowały się srebrny jelec i mosiężny pasek.

Carl i Aaron nie mieli pojęcia, do czego ten pasek służy, więc spytali starego twórcę noży, a ten wyjaśnił im, że chroni właściciela podczas walki. Ponieważ mosiądz nie jest tak twardy jak stal, zatrzymywał ostrze napastnika i nie pozwalał mu się ześliznąć w dół noża i skaleczyć tego, kto go trzymał.

Aaron i Carl oglądali najlepsze fragmenty tego filmu na okrągło. Były tam wszelkiego rodzaju walki na noże, a zwłaszcza ta w ciemnym pokoju podczas burzy, kiedy ostrza migwały w świetle błyskawic. Coś z nieba i coś z piekła. Ale potem cały film diabli wzięli, kiedy Alan Ladd, nękany wyrzutami sumienia z powodu tych wszystkich ludzi, których zabił, wyrzucił Żelazną Dziewicę do Missisipi.

Carl otrząsnął się ze wspomnień.

- Uważaj - zwrócił się do Raoula. - Ostrze trzeba starannie schłodzić.

Latynos w skupieniu patrzył, jak Bowie przenosi szczypcami długi, szeroki pas do metalowego pojemnika z oliwą. Wśród twórców noży krążył taki dowcip z brodą, że najpierw używają oliwy do chłodzenia metalu, a potem skrapiają nią sałatę.

Ale w przeciwieństwie do tego, jak to pokazują na filmach, Carl nie zanurzył rozżarzonego noża czubkiem w dół, lecz trzymał go na płask, w taki sposób, żeby oliwa nie zetknęła się z tylną częścią ostrza. Oliwa zasyczała.

Po dłuższej chwili uniósł nieco nóż, tak że oliwa studziła jedynie skraj ostrza.

Unosząca się para wodna pachniała jak rozgrzana patelnia tuż przed wrzuceniem na nią steku. Po pewnym czasie Carl wyciągnął nóż i przeniósł go na kowadło.

- Ci, którzy nie mają pojęcia o kowalstwie, sądzą, że należy zanurzać w płynie cały nóż - wyjaśnił. - To jednak zniszczyłoby ostrze, bo gwałtowne chłodzenie ma wyłącznie jeden cel... utwardzenie metalu. Ostrze zahartowane w stu procentach łamie się przy uderzeniu w coś twardego. Dlatego proces schładzania musi przebiegać etapami. Tutaj, na skraju ostrza, studziłem go najdłużej, bo musi być wystarczająco twarde, żeby zachować ostrość. Środek ostrza chłodziłem nieco krócej, bo musi być nie tylko twardy, ale i sprężysty. A tylnej części nie chłodziłem wcale, bo chcę, żeby była jeszcze bardziej sprężysta.

- Sprężysta?

- Taka, która ugina się pod naciskiem.

Carl zamilkł, licząc na to, że Raoul popisze się inteligencją, zadając właściwe pytanie.

I rzeczywiście, po chwili je usłyszał.

- Rozumiem, że ostrze musi być twarde, żeby było ostre, ale po co tylna część musi się zginać?

- Żeby uzyskać dyplom mistrzowski, twórca noży musi wykonać ostrze, które przejdzie cztery testy. Po pierwsze, ma być na tyle ostre, żeby za jednym zamachem przeciąć luźno wiszącą linę grubości dwóch i pół centymetra. Po drugie, musi być dostatecznie twarde i ostre, żeby jednym ciosem przecięło dwa kawałki tarcicy o przekroju pięć na dziesięć centymetrów. Po trzecie, wciąż musi być na tyle ostre, żeby zgolić włosy z przedramienia twórcy noża. I wreszcie ma być na tyle giętka, że po włożeniu w imadło nie pęknie, jeśli się je wygnie o dziewięćdziesiąt stopni. Jedyna metoda pozwalająca spełnić wszystkie te wymagania to chłodzenie różnych części ostrza dłużej bądź krócej. Twarda krawędź zapewnia ostrość. Sprężysta tylna część nadaje elastyczność. Inaczej nóż pęknie.

Raoul przemyślał to sobie i skinął głową.

- Potrafisz być taki jak ten nóż? - zapytał Carl.

- Będę taki, jak pan sobie zażyczy.

5.

Drzwi komórki otworzyły się z trzaskiem. Raoul wyleciał przez nie tyłem i gruchnął plecami na zbitą ziemię. Po chwili poturlał się, gdy Carl wyskoczył za nim i kopnął go w bok.

Rekruci na najbliższej strzelnicy, słysząc jakieś zamieszanie, odwrócili się i patrzyli, jak pod kolejnymi kopniakami Carla Raoul turla się po placu apelowym.

- Nikomu nie wolno tak się do mnie odzywać! Pakuj manatki! - ryknął Carl.

Raoul przykucnął, uchylił się przed następnym kopniakiem i czmychnął w kierunku koszar.

Carl pomaszerował do adeptów na strzelnicy.

- Ferguson! Ty też! Mam powyżej uszu takiej niedojdy jak ty! Pakuj graty!

Zabieram stąd i ciebie, i tego drugiego gnojka!

- Ale...

- Już! - Carl wyrwał Fergusonowi pistolet z ręki i popchnął go. - Mówiłeś, że chcesz się wypisać? No to już cię tu nie ma!

- Czy mogę zabrać ubrania, które od pana dostałem?

- I pieniądze! Taki był układ, zgadza się? Ja dotrzymuję słowa, nawet jeśli ty nie szanujesz swojego! Ruchy! Ty i ten drugi kutas macie pięć minut!

Kiedy Ferguson popędził do koszar, Carl odwrócił się wściekle do półcieżarówki

stojącej przed budynkiem administracyjnym. Wskoczył do niej, wyjął z kieszeni kluczyki, zapalił silnik, ruszył i zakręcił gwałtownie, wzbijając tuman ziemi. Szybko podjechał do koszar, znów zakręcił, wyhamował i czekał na Fergusona i Raoula.

Pierwszy wyszedł Raoul z plecakiem w ręku.

- Wskakuj na tył, do cholery! - ryknął Carl.

Podczas gdy Raoul gramolił się na niezakrytą pakę, zjawił się zasapany Ferguson z workiem marynarskim.

- Do środka! - rozkazał Carl.

Zanim Ferguson zdążył zatrzasnąć za sobą drzwi, Carl ruszył szybko, wzbijając kolejne chmury ziemi.

- Zabrałeś wszystkie swoje manele? - zapytał ostro Carl. - Chcę dotrzymać swojej części umowy!

- Niech pan mnie wreszcie nie traktuje jak zasranego mięczaka, który się poddał - rzekł Ferguson.

- Przecież właśnie nim jesteś.

- Kto chce mieszkać z robalami, w takim upale i w tej pieprzonej wilgotności?

- Na pewno nie ty.

- Do tego te cholerne węże, pająki, przeklęte popołudniowe deszcze... I jak tu spać, kiedy tamte świry nic, tylko grają w jakieś gry na komputerach? Pif! Paf! Odkąd tu jestem, stale dzwoni mi w uszach.

- Od początku wiedziałeś, że płacimy ci za naukę obchodzenia się z bronią.

- Potrafię się posługiwać bronią.

- Tak, jasne. Widziałem, jak strzelasz.

- I nie mówił pan, że po strzelaniu będę musiał czyścić te cholerne spluwy. Nie mówił pan o dźwiganiu ciężkich plecaków, o czołganiu się na bagnach i... Równie dobrze mogłem wstąpić do tego durnego wojska. Każdy mi mówił, co mam robić. Tu jest gorzej niż w pierdłu, w którym siedziałem.

- Pewnie tak. - Carl przyglądał się bliznom na swoich dłoniach.

- A w ogóle to gdzie my jesteśmy? Daleko stąd do najbliższego miasta? Chcę wrócić do Chicago. Wskoczyć gdzieś z chłopakami. Pójść w tango. Przelecieć panienkę. Chłopie, to inne życie.

- Właśnie dlatego wylądowałeś w więzieniu, że myślałeś wyłącznie o seksie - przypomniał mu Carl. - Może jednak powinieneś się trzymać broni.

- Niech pan odpowie na pytanie. Daleko stąd do najbliższego miasta? - zapytał ostro

Ferguson.

- Godzina drogi. Ale to nie miasto, tylko mała dziura.

- Że co? A dlaczego nie odlecieliśmy stąd samolotem? Tak samo, jak przywiózł mnie pan w ten bajzel.

- Nie jesteś wart kosztów paliwa lotniczego, kolego. Zdradzić ci tajemnicę? Byłeś częścią wielkiego eksperymentu.

- Mieszkanie na bagnach? Też mi eksperyment!

- Chodzi o wizualizację.

- Cokolwiek to znaczy.

- Najpierw pokazuję ci, w jaki sposób coś zrobić... strzelać, posługiwać się nożem, obojętne co. Potem każę ci zamknąć oczy i raz za razem wyobrażać sobie, że robisz to, co właśnie ci pokazałem. Dla większego efektu każę ci oglądać filmy, które dokładnie przedstawiają to, co ci zademonstrowałem, hollywoodzkich gwiazdorów robiących coś tak płynnie, że chcesz się w nich wcielić. A na koniec każę ci zrobić to, co wyobraziłeś sobie na filmie przewijającym się w twojej głowie.

Półciężarówka podskoczyła na wyboju. Carl usłyszał, jak Raoul także podskakuje na pace.

- Wojsko odkryło, że za pomocą wizualizacji można skrócić kurs trwający cztery tygodnie do trzech dni - rzekł Carl. - To coś w rodzaju autohipnozy wzmocnionej grammi komputerowymi.

- Tak? Ja tu siedziałem trzy tygodnie. Więc dlaczego na mnie się to nie sprawdziło?

- Nikt nie jest doskonały. Zdradzić ci kolejną tajemnicę? Dawno temu była tutaj plantacja.

- A co to ma do rzeczy? Jedź pan szybciej.

- Plantacja splajtowała, właściciele chcieli zatrzymać ziemię w rodzinie i w końcu teren wykupiła prywatna fundacja jako rezerwat przyrody.

- Zaraz się popłaczę, człowieku. Zanudzisz mnie na...

- A potem fundację i teren przejęła CIA.

- CIA?

- W końcu się zainteresowałeś, co? Ściśle mówiąc, nie CIA, tylko firma pracująca dla firmy, która pracowała na rzecz Firmy. Nazywają to „rozcłonkowywaniem” ryzyka. Żeby mogli wiarygodnie wszystkiego się wyprzeć.

- A ja to nazywam nudy na pudy.

- Chodziło o to, żeby zbudować lądowisko dla samolotów, o którym nikt nie wie.

Wiesz, żeby przerzucać tak zwanych szpiegów do punktów zapalnych na świecie... W tamtych czasach mnóstwo ich było w Ameryce Środkowej.

- Przynudzasz, człowieku.

Samochód wjechał na kolejny wybór.

- CIA nie mogła pakować swoich ludzi na pokład samolotu linii United i przewozić do Nikaragui czy Salwadoru. Zostałby tak zwany ślad na papierze.

- Wiesz pan, gdzie ja to mam? - Ferguson wykonał nieprzyzwoity gest.

- No więc ta firma pracująca dla Firmy założyła własne linie lotnicze i przerzucała jej ludzi stąd przez zatokę do tych miejsc, gdzie coś się działo.

- Zatokę?

- Zatokę Meksykańską.

Ferguson się zaciekawił.

- Jesteśmy w pobliżu Meksyku?

- Ale potem czasy się zmieniły, punkty zapalne przeniosły się w inne części świata i firma pracująca dla Firmy straciła zainteresowanie tym terenem. Poza tym zaczął zwracać na siebie uwagę, więc sprzedali go jakimś przemytnikom narkotyków, z którymi współpracowali.

- Przemytnikom narkotyków? - Teraz Ferguson słuchał już z uwagą.

- A co? W branży szpiegowskiej, jak w każdej innej, obowiązuje zasada „ręka rękę myje”. Szpiegzy współpracowali z przemytnikami narkotyków, zdobywali od nich taktyczne informacje, używali ich jako przykrywkę, dzięki której mieli pretekst do odwiedzania różnych krajów i wyjazdu poprzez tajne lądowiska. Przemytnikom narkotyków nikt się nie dziwi, że otaczają swoje poczynania tajemnicą. Ale gdyby kogoś uznali za szpiega, byłby w kłopotcie. Dlatego kiedy nadeszła pora, żeby się pozbyć lądowiska, najrozsądniej było sprzedać je przemytnikom, którzy i tak już z niego korzystali. Ale i oni w końcu też się przenieśli gdzie indziej i teren popadał w ruinę, dopóki my go nie kupiliśmy.

- No - bąknął Ferguson. - W ruinę. Dodaj pan gazu, co?

- Nie mogę.

Carl zwolnił.

- Co pan wyrabiasz?

- Staję, żeby się odlać.

- Człowieku, nie wytrzymasz, aż dojedziemy do miasta?

- Mam się męczyć przez godzinę? - Carl spojrzął na niego z politowaniem i zjechał na pobocze. Wsiadł i zszedł ze skarpy na skraj bagna. Pod zwodniczo pociągającymi nawisami

oplątwy brodaczkowatej - zawsze pełnymi insektów - rozpiął rozporek i wysikał się do pokrytej glonami wody.

Ferguson z trzaskiem otworzył drzwi półciężarówki, obrażony stanął na gąbczastej ziemi i gmerając przy rozporku, skierował się nad wodę.

Wysikawszy się, Carl strząsnął ostatnie krople z interesu i zasunął rozporek.

- Założysz się? - zapytał Fergusona.

Huknęły trzy strzały. Na koszuli Fergusona wykwitła czerwona plama. Z jego twarzy trysnęła krew. W drgawkach zwałił się na ziemię.

Odgłos wystrzałów niósł się echem po wodzie.

Carl odwrócił się do Raoula, który wystrzelił na hasło, siedząc na pace półciężarówki. Pod wypuszczoną ze spodni koszulą Carl miał kolta czterdziestkępiątkę, model Commander. Gdyby Raoul się spóźnił, Carl wyciągnąłby broń tym samym ruchem, którym zapinał rozporek, i zastrzelił ich obu.

Raoul był blady. Wytrzeszczał ciemne oczy. Najwyraźniej chociaż odstawił chojraka, dotychczas nikogo nie zabił.

Lepiej zając go czym innym, pomyślał Carl.

- Bardzo dobrze, panie Ramirez - pochwalił. - Dwa strzały w tułów i jeden w głowę. Dlaczego nauczono pana strzelać w ten sposób?

Raoul musiał przestawić myśli na inne tory.

- Eee... - Był wyraźnie dezorientowany. Ale chęć zasłużenia na pochwałę przeważała nad targającymi nim uczuciami. - Eee... Cel mógł nosić kamizelkę z kevlaru, dlatego strzeliłem mu także w głowę.

- Twój instruktor ci to wyjaśnił?

- Nie. - Raoul wciąż nie mógł pozbierać myśli. - Sam na to wpadłem.

- I słusznie. Ma pan znakomitą intuicję. Czy zrobił pan tak, jak kazałem, i siedział z głową opartą o tylną szybę?

- Tak.

- Słyszał pan, co mówiłem o CIA?

- Tak.

- Wobec tego rozumie pan, dlaczego musiałem wydać panu taki rozkaz. W grę wchodzi poważne sprawy, których nie mam prawa panu wyjawiać. Jeszcze nie. Ale tak niezdyscyplinowany cel z pewnością by się wygadał o naszym obozie. On by nas zniszczył.

Czubkiem buta Carl zepchnął zwłoki do pokrytej szumowiną wody. Natychmiast wynurzył się aligator, chwycił szczękami za głowę zabitego i wciągnął go pod powierzchnię.

Drugi aligator szarpał prawą nogę trupa. W zielonej szumowinie zawirowała krew.

- Kiedy założyłem obóz, przyjeżdżałem tu codziennie, sikałem do wody, a potem rzucałem do niej surowe steki - wyjaśnił Carl. - Po jakimś czasie aligatory nauczyły się, że dźwięk silnika półciężarówki, moje kroki i mocz w wodzie oznaczają wyzerkę. Teraz te sygnały ściągnęły je na kolację.

Kotłowanina w wodzie ustała. Po gorączkowym kłapaniu szczęk i machaniu ogonów ptaki wznowiły swój śpiew.

Żeby sprawić Carlowi przyjemność, Raoul pozbierał puste łuski.

- Pozbądź się tego worka marynarskiego! - polecił Carl.

Raoul wziął z paki łańcuch, obciążył nim worek i cisnął go do wody.

- Szybki. Bystry. Posłuszny - podsumował Carl.

Oczy Raoula rozbłysły.

- Zabieram cię z tej grupy - postanowił Carl.

- Nie! Zrobiłem coś nie tak?

- Wręcz przeciwnie. Ty i kilku wybranych pojedziecie ze mną.

- Po co?

- Zapolować na przyjaciela z dawnych czasów.

6.

Budząc się powoli, Cavanaugh czuł się równie wykończony jak wtedy, gdy się kładł do łóżka obok Jamie. Wyciągnął rękę, żeby ją objąć, stwierdził, że jej nie ma, otworzył oczy i zobaczył ją w kącie obskurnego pokoju w motelu, gdzie siedziała na upstrzonym śladami gaszenia papierosów stole. Miała na sobie T-shirt i bokserki, czarne włosy opadały jej na ramiona. Nie zauważyła, że się obudził, zatopiona w lekturze dokumentów, które dostali od Rutherforda.

- Mówiłeś przez sen - odezwała się.

A jednak się myliłem, pomyślał. Zauważyła, że już nie śpię.

- Tak? Co konkretnie?

- „Chrzaszcz brzmi w trzcinnie”.

- Co za ulga. Już się bałem, że opowiadałem o innej kobiecie.

- Mamrotałeś coś o jakiejś Ramonie.

- To moja nauczycielka matmy z trzeciej klasy. - Cavanaugh wskazał na dokumenty. - Dowiedziałaś się czegoś?

- Mówiłeś, zdaje się, że ojca Carla wykończył alkoholizm. Zmarł na marskość wątroby.

- Tak mi powiedział Carl przez telefon, kiedy jeszcze mieszkałem w domu.

- Zgodnie z raportem policyjnym jego ojciec upił się w środku nocy, potknął, upadł w kuchni na nóż i wykrwawił się na śmierć.

Odrętwiały Cavanaugh przez chwilę nie reagował. Wstał z łóżka i nie zwracając uwagi na zimne powietrze omiatające mu gołe nogi, podszedł do Jamie.

Wskazała mu dół strony.

Przeczytał stosowny akapit i zrobiło mu się jeszcze zimniej.

- Według policji to Carl znalazł zwłoki z samego rana. Skoro na pewno wiedział, jak zginął jego ojciec, dlaczego wmawiał mi, że umarł na marskość wątroby?

Jamie spojrzała na niego.

- Myślisz, że w końcu miał dość ojca, który się nad nim znęcał? Może powiedział ci, że przyczyną była marskość wątroby, bo to łatwe wyjaśnienie. Ale wykrwawić się na śmierć po ranie od noża... Znając obsesję Carla na punkcie noży, mógłbyś coś podejrzewać. Ile lat mieliście, kiedy zadzwonił do ciebie z tą wiadomością?

- Chodziłem jeszcze do szkoły. Byłem w ostatniej klasie.

- Wcześniej zaczął, jak na zabójcę.

- Zakładając, że jego ojciec był pierwszą ofiarą.

- Co masz na myśli?

- Myśląc o tamtych czasach, przypominam sobie nagle to i owo. Ale teraz widzę rzeczy w innym świetle.

- Jakie rzeczy?

- Nasz sąsiad miał setera irlandzkiego, wabił się Toby. Z mojego ojczyma był taki sztywniak, że nie zgadzał się na zwierzę w domu, ale nie miał nic przeciwko temu, żebym się bawił z Tobym, więc poniekąd tak jakbym miał psa. Latem, kiedy miałem pójść do ostatniej klasy, Toby zniknął. Sąsiad zadzwonił do schroniska. Nie było go tam. Nikt go nie znalazł. Tego lata w sąsiedztwie zniknęły też dwa koty.

- I nikt nie powiązał tego ze sobą?

- Jeśli nawet, to ja o tym nie słyszałem. Zresztą tego lata wiele się działo. Ojciec Carla wyleciał z pracy. W sierpniu musieli się przeprowadzić. A ja tymczasem cieszyłem się, że niedługo zaczynam ostatnią klasę, i szczerze mówiąc, Carl zmuszał mnie, żebym spędzał z

nim tyle czasu, że z ulgą przyjąłem jego wyjazd.

- Więc najpierw ćwiczył się w zabijaniu zwierząt, zanim zabił ojca?

- A może...

- O czym myślisz? - spytała Jamie.

- Nie sądzisz, że najpierw zabił innych ludzi, zanim zebrał się na odwagę, żeby załatwić swojego starego?

7.

- Nashville w Tennessee? - zapytał Rutherford.

- Właśnie tam ojciec Carla zabrał rodzinę po tym, jak stracił pracę maklera w Iowa City - wyjaśnił Cavanaugh. - Czy mógłbyś zlecić komuś zbadanie lawiny zaginięć zwierząt i przypadków ataków nożem w okresie, kiedy mieszkał tam Carl?

Siedzieli przy narożnym stoliku na parkingu dla ciężarówek pod Alexandrią w Wirginii. Cavanaugh i Rutherford pili kawę, a Jamie wcinała omlet z serem i szynką oraz placki ziemniaczane z cebulą.

- Ataki nożem? - zdziwił się Rutherford.

- Na bezdomnych. Włóczęgów. Pijaków w zaułkach. Na ofiary, których zniknięcia nikt nie zauważył i które nie potrafią się bronić.

- Ten facet jawi mi się coraz bardziej przerażający - powiedział Rutherford.

- Może powinniście również sprawdzić w Iowa City - podsunęła Jamie, odrywając się od omletu. - I we wszystkich innych miastach, w których mieszkał Carl.

- I gdzie stacjonował podczas służby wojskowej. - Rutherford podjął już decyzję.

- A co z Alim Karimem? - zapytał Cavanaugh. - Znalazłeś coś?

- Wciąż wydaje się czysty jak łąka. Ale w nocy Global Protective Services straciła kolejnego agenta.

Jamie odłożyła widelec.

- Franka Tamblyna - sprecyzował Rutherford.

- Znam go - powiedział Cavanaugh poważnym tonem. - Służył w Rangersach. W GPS od ośmiu lat. Żona. Dwoje dzieci. Solidny, zawsze gotów pierwszy wystawić głowę za drzwi, żeby sprawdzić, czy klient może opuścić budynek.

- Zdaje się, że uwielbiał kręgle.

- Czy to ważne?

- Wczoraj wieczorem wsiadł do samochodu i pojechał na turniej kręgli. Później, około północy, wrócił do swojego wozu. Przypuszczalnie sprawdził, czy nie ma ładunków wybuchowych. To nie ma znaczenia. Kiedy usiadł za kierownicą, spod deski rozdzielczej wyskoczył nóż sprężynowy i wbił mu się w krocze.

Nie wystawały żadne druty, więc nie mógł tego zauważyć. Nóż był podłączony do czujnika wibracji. Śmierć nastąpiła tak szybko, że ostrze musiało być powleczone jakąś trucizną.

8.

Greenwich w Nowym Jorku.

Kim Lee wyszła ze szkoły sztuk walki i skręciła w lewo w Bleecker Street. Po dwóch godzinach intensywnego treningu aikido była zarumieniona, jej oczy błyszczały. Miała na sobie dzinsy i niebieski sweter, a na ramieniu niosła sportową torbę. Za rogiem wstąpiła do kawiarni, która w ten względnie ciepły, jak na październik, wieczór wciąż wystawiała stoliki na dwór, mimo że większość klientów siedziała w środku. Zajęła miejsce, zamówiła herbatę, wyjęła z torby czasopismo, oparła się wygodnie i zabrała do lektury.

Bardziej jednak interesowało ją otoczenie niż pismo. Podano herbatę. Upiła kilka łyków, znów się rozejrzała, sięgnęła pod stół, odczepiła coś spod blatu i włożyła do torby, a potem schowała także czasopismo. Zapłaciła za herbatę i ruszyła dalej ulicą; skręcając za róg, obejrzała się. Nikt jej nie śledził, a gdy zwolniła kroku, rumieniec ustąpił z jej policzków.

W swojej kamienicy wjechała windą na trzecie piętro, otworzyła drzwi mieszkania, weszła do środka, zaryglowała za sobą drzwi i zapaliła światło.

Odwróciła się w stronę salonu i zamarła na widok Cavanaugha i Jamie.

- Jak się tu dostaliście?!

- Włamaliśmy się - odparł Cavanaugh. - Może jesteś jak ten lekarz, co to zapomina o dorocznych badaniach lekarskich, albo księgowy, który z braku czasu nie składa zeznania podatkowego.

- O czym ty mówisz?

- Jak na kogoś, kto pracuje w agencji ochrony, nie bardzo dbasz o własne bezpieczeństwo - wyjaśnił Cavanaugh.

- Powinnaś zadzwonić do GPS i zamówić technika do instalacji systemu wykrywającego intruzów.

- Jasne. Załatwię to, jak tylko zadzwonię na policję. - Kim podniosła słuchawkę.

- Dobry pomysł - powiedziała Jamie. - Na pewno ich zaciekawi to, co masz w tej sportowej torbie.

- W torbie?

- Leki na receptę kupione na czarnym rynku. Prawdopodobnie OxyContin.

Kim wybałuszyła oczy.

- Były przylepione do stolika w kawiarni, przy którym siedziałas.

- To wcale nie jest zabawne. - Kim podrapała się po rękach.

- Dookoła wciąż giną agenci, a ty nie boisz się chodzić sama po ulicach?

- Może bym się bała, gdybym była agentką. Ale na specjalistów komputerowych raczej nikt nie poluje. - Kim odłożyła słuchawkę. Wzięła sportową torbę i ruszyła do łazienki.

- Czas na kolejną pigułkę? - spytała Jamie.

Kim nie odpowiedziała.

- Słyszałem, że głód Oxy to prawdziwy koszmar - powiedział Cavanaugh. - Tak samo jak trwanie w nałogu, kiedy nie ma już lekarzy gotowych wypisać receptę i trzeba się zwracać do handlarzy.

Ruchem reki omiółt skąpo umeblowany salon wyposażony tylko w lampę, płócienne krzesło i mały telewizor; nie było nawet dywanu.

- Wyprzedawałaś graty, żeby mieć na prochy?

- Skoro już jesteśmy tacy szczerzy, to chyba przestanę udawać, że muszę skorzystać z łazienki, co? - Żrenice Kim przypominały łebki szpilek.

Otworzyła sportową torbę i wyjęła z niej plastikową torebkę zawierającą wielką garść białych pastylek. Z wyzywającą miną włożyła dwie do ust i zaczęła je gryźć.

Jamie zmarszczyła czoło.

- Po co je...

- Pigułki są pokryte osłonką, żeby organizm wchłaniał środek przeciwbólowy przez dwanaście godzin - wyjaśnił Cavanaugh.

- Jeśli je połkniesz, nie dostaniesz kopa. Trzeba je sproszkować i wciągnąć nosem.

- Albo pogryźć - dodała Kim. - Czego chcecie, do cholery?

- Wykazu misji prowadzonych przez GPS - odparł Cavanaugh.

Kim patrzyła na niego skonsternowana.

- Nie sprzedawałaś jeszcze komputera, który masz w sypialni - zauważył Cavanaugh. -

Więc odpal go i podaj mi potrzebne informacje.

- I to wszystko? Na miłość boską, mogłeś z tym przyjść do biura!

- Ostatnim razem, kiedy tam zajrzałem, tylko o włos uniknąłem śmierci.

- Mogłam ci podać te dane przez telefon.

- Jasne. Ale w ten sposób będę pewny, że nikt przy nich nie majstrował.

- Wciąż uważasz, że w GPS jest ktoś, komu nie można zaufać? Ja?

- Nie wierzyć narkomance? Niech Bóg broni! - rzuciła Jamie.

- Panienko - odparowała Kim. - Nie muszę wysłuchiwać takich bzdetów od żony szefa. - Odwróciła się do Cavanaugha. - Chcesz mnie wywalić? Nie krępuj się.

- Po prostu daj mi wykaz misji prowadzonych przez GPS - powiedział.

Policzki Kim odzyskały zdrowy kolor. Poszła do sypialni, zapaliła światło i ukazał się jedynie goły materac na podłodze oraz wypasiony komputer na biurku w rogu. Cavanaugh podszedł do okna i zaciągnął zasłony - na dworze szybko zapadały ciemności.

Kim dotknęła klawisza na klawiaturze i monitor ocknął się ze stanu uśpienia.

Jamie stanęła za Chinką, gdy ta siadała na krześle, krzywiąc się lekko.

- Jeżeli ból ci doskwiera tak bardzo, może powinnaś sobie dać spokój ze sztukami walki - podsunęła Jamie.

- Nie mogę z nich zrezygnować.

- Tak samo jak z Oxy - skwitowała Jamie.

- Co ty o tym wiesz? Próbowałam pójść na detoks. Na wiosnę. - Kim zerknęła na Cavanaugha. - Rzekomo wyjechałam na wakacje na Karaiby. Ale byłam tutaj. Rzygałam przez tydzień. Bolały mnie kości. Serce waliło mi jak szalone. Oblewały mnie zimne i gorące poty. Ledwo mogłam się utrzymać na nogach. Dygotałam. Ubaw był po pachy.

- Sama się zdecydowałaś?

- Musiałam. Kto w GPS miałby do mnie zaufanie, gdyby się rozeszło, że zapisałam się do kliniki odwykowej?

- Idź za ciosem i zapisz się jeszcze raz - poradził Cavanaugh. - Skorzystaj z naszej wspaniałej służby zdrowia.

Kim zmieniła temat i odwróciła się do Jamie.

- Znasz się na komputerach?

- Trochę - skłamała Jamie. - Wiem, czym się różni Big Mac od Maca Apple.

- Zawsze myślisz tylko o jedzeniu - mruknął Cavanaugh.

- Musisz się cofnąć, kiedy będę wstukiwala kody dostępu - poinformowała ją Kim.

- Nic z tego. Jestem współwłaścicielką firmy. Mam prawo widzieć wszystko.

Kim spojrzała pytająco na Cavanaugha.

- Właśnie mianowałem ją zastępcą dyrektora naczelnego - wyjaśnił.

- Obejrzyjmy sobie te kody dostępu - powiedziała Jamie.

Palce Kim śmigały po klawiaturze tak błyskawicznie i elegancko, że Jamie z uznaniem pokiwała głową, gdy na monitorze pojawiły się informacje.

- Genialne - pochwaliła, nachylając się i patrząc, jak wyskakują kolejne sekwencje kodów. - W życiu bym tego nie złamała.

- Mam nadzieję. - Palce Kim wciąż śmigały po klawiaturze.

- Skoro wciąż potrzebujesz nowych dostaw OxyContinu, czy aby jacyś ludzie nie proponowali ci nieograniczonych dostaw w zamian za te kody? - zapytał Cavanaugh.

- Nie.

- Przysięgasz?

- Gwarantuję.

- Trudno w to uwierzyć.

- Wcale nie.

- Jak to?

- Gdybym miała nieograniczony dostęp do Oxy w zamian za przekazanie jakimś draniom informacji... - Kim nadal przebierała palcami po klawiaturze.

- Tak?

- Czy musiałabym się zniżyć do płacenia jakiemuś dealerowi od siedmiu boleści, żeby przylepił torebkę prochów pod stołem? Nędzne sto pigułek?

Wystarczą mi raptem na tydzień.

- Co racja, to racja - przyznała Jamie.

- A może to tylko jej przykrywka?

- Weszłam w kartotekę. Mówcie, czego chcecie - powiedziała Kim.

- Wszystkie zlecenia GPS, przy których pracował Carl Duran - oznajmił Cavanaugh, przyglądając się Kim uważnie. Szukał oznak, że się zawahała, lekkiego zmrużenia oczu, czegoś, co by świadczyło, że to nazwisko nie jest jej obce. - Wyleciał trzy lata temu.

- Imię się pisze przez „C” czy przez „K”?

- Przez „C”.

Wciąż nie zauważył niczego, co by wskazywało, że to nazwisko ma dla niej znaczenie. Nie wyduła ust. Nie napięła mięśni policzków. Z doświadczenia wiedział, że większość ćpunów nie potrafi zachować kamiennej miny i w sytuacjach stresowych zawsze czymś się zdradza.

- Przykro mi - oznajmiła Chinka. - Nie ma żadnych akt Carla Durana.
- Nie ma...? Musiałaś się pomylić.
- Mając do czynienia z komputerami, nie popełniam błędów.
- Przecież GPS zawsze trzyma akta swoich byłych pracowników.
Kim znów postukała w klawisze.
- Nic z tego. Brak listy zleceń. Brak fotografii. Nic tu nie ma.
- Widocznie Duran wszystko wykasował - powiedziała Jamie.
- Nie mógł tego zrobić. Przynajmniej nie sam. Tylko trzy osoby znają kody umożliwiające tak głęboki dostęp do systemu. Gerald, Ali i...
- Ty - dokończył za nią Cavanaugh.
- Kolejna paskudna poszlaka przeciwko mnie, tak? Ale zanim znów zaczniesz mnie osądzać, popatrz na to. - Nacisnęła jeszcze kilka klawiszy. - Ktoś wyczyścił to tak starannie, że nie mogę odzyskać akt Durana. Ale mogę przejrzeć wszystkie zadania, nad którymi pracowała nasza firma, i kazać komputerowi wyodrębnić te, którymi zajmował się Duran. - Stuknęła w ostatni klawisz. - Proszę bardzo.
Ożyła drukarka i zaczęła wypluwać z siebie kolejne kartki.
- GPS ma sporo kłopotów - zauważyła Kim.
- Owszem - przyznał Cavanaugh. - Ostatnią ofiarą jest Frank Tamblyn.
- Mam na myśli nowe kłopoty.
Zadzwoił telefon.
- Obawiam się, że właśnie mamy kolejne - rzekła Chinka.

9.

Przed wyjściem z domu agent upewnił się, że jego broń jest na swoim miejscu: półautomatyczna czterdziestkapiątka na biodrze pod marynarką od garnituru, mały pistolet kaliber dziewięć milimetrów w kaburze u kostki, bojowy nóż składany przypięty do kieszeni zakrytej połą marynarki i jeszcze jeden nóż na łatwym do zerwania łańcuszku na szyi pod koszulą.

Niespokojnie zerknął przez ramię na ściskającą w ramionach ich małego syna żonę, w której oczach malował się ten sam niepokój.

- Meg, obiecuję, że będę ostrożny.

- A co z nami? Nie chcę, żeby zabrzmiało to, jakby ryzyko, które ponosisz, wcale się nie liczyło. Ale... - Dziecko zaczęło się wiercić pod lewą ręką Meg. Miało lekką gorączkę. - Jeżeli ci, którzy za tym stoją, zaczną napadać...

- Nie tylko agentów, ale ich rodziny?

- Gdyby coś się stało naszemu synowi, nie zniosłabym tego.

- Nie wychodź z domu. Pozamykaj drzwi na klucz.

- Muszę zawieźć Bobby'ego do lekarza.

- W szafie na górnej półce leży pistolet.

- Jasne. Z dzieckiem na rękach będę strzelała jak ten facet z filmu Johna Woo, który oglądałeś wczoraj wieczorem, wiesz, ten, co to w szpitalnym żłobku trzyma dzieciaka i ma spluwę w rękę. Jakoś tego nie widzę.

- Może pojedź do matki? Za tydzień kończę zlecenie. Kiedy wrócę z Nowego Orleanu, pojedziemy na wakacje, gdzieś, gdzie będziemy się czuć bezpiecznie.

- Ciekawe gdzie?

- Może powinienem zrezygnować z wysokich zarobków i przejść do jakiejś mniej niebezpiecznej pracy?

- Gdyby chodziło tylko o nas dwoje...

- Co za ironia losu! Jestem specjalistą od ochrony, a nie potrafię zapewnić bezpieczeństwa własnej żonie.

Na dworze rozległ się klakson samochodu.

- Taksówka. Słuchaj, na klienta czeka odrzutowiec. On ma fioła na punkcie punktualności. Zadzwoń, jadąc na lotnisko. Wymyślimy jakieś wyjście z sytuacji.

Meg bez przekonania kiwnęła głową.

- Kocham cię - powiedział.

- Ja też cię kocham.

Gdy taksówka odjeżdżała, agent obejrzał się na dom. Czuł się obładowany bronią, ale znał agentów, którzy w odpowiedzi na ostatnie ataki nosili nie dwa, lecz trzy pistolety.

Wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił do centrali po najświeższe dane.

Słuchając sygnału po drugiej stronie, wciąż patrzył przez tylną szybę taksówki na trzeci dom od rogu, ten ze skrzynkami jaskrawych kwiatów.

Z potwornym grzmotem wytrysnęła kula ognia, wypluwając z płonącego jądra kawałki ścian, podłóg, okien, mebli oraz ciała. Siła wybuchu rozerwała sąsiednie domy, ulicą fruwały palące się szczątki.

Taksówką zarzuciło i stanęła. Cegła wybiła szybę pojazdu, ale nie zważając na to,

agent szarpnął drzwi i wyskoczył na ulicę.

- Meg! - krzyknął w biegu. - Bobby! - Nie zwracając uwagi na żar, pędził w kierunku domu. - Nie! - Omal nie zerwał sobie strun głosowych. - Nieee!

10.

Od ściskania słuchawki Kim zbiełały knykcie. Gdy słuchała, na jej twarzy malował się taki szok, że Cavanaugh i Jamie znieruchomieli.

- Tak, Ali - bąknęła. - Tak, rozumiem. - Odetchnęła.

- Oczywiście jemu już nic nie pomoże, ale masz rację... musimy zrobić, co w naszej mocy.

Odłożyła słuchawkę.

- Zabili kolejnego agenta? - zapytał Cavanaugh.

- Jego rodzinę - odparła Kim.

- Rodzinę? - Jamie osłupiała.

- Jima Driscolla. Wieści o tym, co spotkało jego żonę i syna, szybko się rozeszły.

Teraz nasi agenci dzwonią do swoich dyżurnych i biorą chorobowe. Podobno tak samo jest w U. S. Marshals, w Secret Service i w Dyplomatycznej Służbie Bezpieczeństwa. Jak dotąd „zachorowało” tylko kilku, ale nietrudno przewidzieć ciąg dalszy. Niby dlaczego agenci mają chronić obcych, skoro teraz to na nich polują? I na tych, których kochają. Ci, którzy stawiają się na służbę, albo nie są żonaci, albo domagają się zapewnienia ochrony swoim rodzinom pod ich nieobecność. Poza tym chcą podwojenia liczby agentów do każdego zlecenia. System się wali.

Kim nerwowo podrapała się po rękach. Jej czoło błyszczało od potu. Przez otwarte drzwi sypialni widziała leżącą na podłodze salonu sportową torbę. Była w niej torebka z białymi proszkami.

Przez chwilę Cavanaugh podejrzewał, że Chinka po nią pójdzie. Sam ruszył po wydruk informacji z Global Protective Services.

- Myślisz, że ten Carl Duran ma coś wspólnego z tym, co się dzieje? - spytała Kim, nie spuszczać wzroku z torby z proszkami.

Wziął plik kartek z tacki drukarki. Starał się, żeby w jego głosie nie było słyhać rozpierających go emocji.

- W tej chwili to nasz jedyny trop.

- No cóż, jeśli chcesz skorzystać z pomocy ćpunka... - Kim przestała się gapić na pigułki - ...to wspólnymi siłami postaramy się coś wykryć.

Usiedli na podłodze w niemal pustym pokoju, plecami do ściany, i zaczęli czytać materiały - wszystkie zlecenia Carla Durana.

- Nic na temat klientów, których ochraniał, nie zwróciło mojej uwagi - rzekł Cavanaugh.

- A miejsca, w których pracował? - zapytała Jamie.

Przerzucili kartki.

- Waszyngton. Nowy Jork. Paryż. Te same miejsca, w których ja zwykle pracowałem - powiedział Cavanaugh. - Nic podejrzanego.

- A incydenty związane z jego zleceniami? - spytała Kim. - Jak widzę, jest tu coś o gwiazdce rocka. Zadźgał nożem jej stukniętego fana.

- Właśnie za to wyleciał.

- I tutaj. - Jamie wskazała palcem. - Podczas jednego zadania zginął jego klient. Rosyjski magnat naftowy.

- Słyszałem o tym, ale nie miałem pojęcia, że Carl pracował przy tej sprawie. - Cavanaugh zmarszczył czoło i wyjaśnił Jamie: - To było cztery lata temu. Rosjanin przebywał w Rzymie, negocjował leasing tankowców. Uważał, że jeden z rosyjskich konkurentów planował zamach na jego życie. Okazało się, że miał rację. Zastrzelił go snajper. - Rzucił okiem na następną kartkę. - Kto był dowódcą ekipy Carla?

- I kim byli pozostali agenci, z którymi pracował? - Chinka przejechała palcem w dół listy. - Cholera! - rzuciła nagle.

- Co masz?

- Ali - odparła. - Ali był dowódcą ekipy, kiedy zamordowano tego magnata naftowego. Jeszcze zanim awansował na szefa personelu.

- Nie tylko wtedy Ali pracował z Duranem - zauważyła Jamie. - Tu. - Wskazała palcem na środek kartki. - I tutaj.

- Pokazała górę kolejnej.

- I tu - dorzuciła Kim. - Duran i Ali pracowali razem przy kilku długich zleceniach.

- Tamtego Rosjanina trafiła kula z karabinu, która przebiła okno w jego apartamencie hotelowym - odczytała Jamie z kartki. - Ali był razem z nim w pokoju, a potem wbiegł Duran, który pilnował apartamentu od korytarza.

- Jeśli zadanie kończy się taką katastrofą, wysyłamy śledczego, żeby się uczyć na

błędach - powiedziała Kim. - Wnioski z raportu są takie, że nikt nie zawinił.

- Kto prowadził śledztwo?

Wszyscy troje przeczytali opis incydentu.

- Gerald Brockman - powiedzieli jednocześnie.

- Zaraz, spokojnie, nie wyciągajmy pochopnych wniosków. - Cavanaugh wpatrywał się w kartkę. - Wszystko to mogą być zbiegi okoliczności. To jeszcze nie dowód, że coś tu nie gra.

- Kto jeszcze należał do ekipy? - zapytała Kim. - Czy jest ktoś, kto mógłby nam potwierdzić, że Brockman napisał rzetelny raport albo że tylko tuszował fakty?

- Czterech. - Przeglądając listę nazwisk, Cavanaugh poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. - Większość nie żyje.

- Co takiego? - rzuciła Jamie.

- Z biegiem lat...

- Nie większość - przerwała mu Kim. - Poznaję te nazwiska. Poza Geraldem, Alim i Carlem Duranem wszyscy agenci z tej ekipy nie żyją.

Pobiegła do komputera, odłożyła kartkę, którą miała w ręku, i wstukała wypisane na niej nazwiska. Wpatrzyła się w monitor.

- Jeden dostał kulkę w trakcie zadania. Pozostali... kraksa samochodowa, wypadek podczas nurkowania, choroba wysokościowa, kiedy wspinał się na...

- Everest - wpadł jej w słowo Cavanaugh. - Zapraszali mnie na tę wyprawę. Praca nie pozwoliła mi wziąć w niej udziału. Ale Carl się tam wybrał.

- Wszędobyłski facet - skomentowała Jamie.

- Ale jeżeli był zamieszany w tuszowanie sprawy, w którym brali też udział Gerald i Ali, to nigdy by nie pozwolił, żeby go wywalili z GPS - rzekł Cavanaugh. - Przycisnęłoby ich obu i zmusił szantażem, żeby przekonali Duncana, że powinien go zostawić.

- To jest argument - przyznała Kim, drapiąc się po rękach.

- Dobrze się czujesz? - spytała Jamie.

- Znakomicie. - Na czoło Chinki wystąpiły kropelki potu.

- Jasne. Skoro musisz, pogryź jeszcze trochę Oxy. Nie czas na kolejny odwyk.

- Za chwilę - powiedziała Kim. - Kiedy Duran wylatywał, Gerald był zastępcą Duncana. Miał dość władzy, żeby odwołać zwolnienie Durana.

- Skoro nie interweniował, to znaczy, że Carl nie miał go czym szantażować - podsumowała Jamie. - Czyli zostaje Ali. Kiedy go awansowano na szefa personelu?

Palce Kim postukały w klawiaturę.

- Rok po wyrzuceniu Durana.
- Nie mógł nagle zażądać, żeby przywrócili Carla do pracy - rzekł Cavanaugh.
- Ściągnąłby na siebie podejrzenia.
- Ale skoro Ali nie mógł załatwić Carlowi powrotu do pracy, to do czego jeszcze mógł mu się przydać?
- Do informowania go o zleceniach GPS - odparł Cavanaugh. - My...
Urwał, słysząc jakiś dźwięk.
- Co się stało? - spytała Jamie.
Zerknął na drzwi frontowe.
Dźwięk się powtórzył.
- Padnij!

11.

Zamek i zawiasy rozleciały się prawdopodobnie po odpaleniu termitu. Drzwi frontowe wpadły do środka, a za nimi trzech ludzi strzelających z karabinów automatycznych z tłumikiem.

W sypialni Cavanaugh chwycił Jamie i pociągnął na podłogę. Posypały się kawałki ściany. Oboje wyciągnęli pistolety, ale zanim zdążyli wystrzelić, napastnicy rozpierzchli się i zniknęli z widoku. Ku zaskoczeniu Cavanaugha Kim podczołgała się do drzwi sypialni, zatrzęsła je i zamknęła na klucz.

- Kim, nie wstawaj! Będą strzelać przez drzwi!

- Są metalowe!

Kule z dudniącym echem zasypały drzwi, ale ich nie przebiły.

Strzelcy z powrotem wzięli na cel ścianę i podziurawili; odgłos serii z karabinów z tłumikami był cichy jak terkot maszyny do szycia. Gdyby mieli czas, mogliby wyburzyć część ściany i wejść do środka, żeby dokończyć dzieło. Ale nie mieli go aż tyle. Liczyli na przewagę wynikającą z zaskoczenia oraz zmasowanej siły ognia. Teraz musieli pokonać kolejną przeszkodę, a nawet pomimo tłumików hałas kul przebijających ścianę powinien zaalarmować sąsiadów. Cavanaugh modlił się, żeby ktoś wezwał policję, żeby przed budynek zjechały się samochody na sygnale.

Napastnicy muszą brać to pod uwagę. Wkrótce będą zmuszeni do ucieczki.

Nagła cisza w salonie potwierdzała jego rozumowanie. Tamci wychodzili.

Nie. Mylił się. Usłyszał jakiś hałas przy zawiasach i zamkach metalowych drzwi.

- Te drzwi też wywałą termitem!

Wystrzelił trzy razy w ścianę, nie licząc na to, że trafi zabójców, tylko chcąc narobić hałasu i spowodować, żeby wystraszeni sąsiedzi wezwali policję.

- Jazda! - Podbiegł do okna sypialni, otworzył je i spojrzął na schody przeciwpożarowe, które zauważył, zaciągając zasłony.

Ruchem ręki ponaglił Jamie i Kim, a potem sam też przecisnął się przez otwór.

Trzy kondygnacje niżej był ciemny, wąski zaułek. Ceglany mur na wprost mieszkania Kim uniemożliwił zabójcom wystawienie snajpera.

- Szybciej! - ryknął Cavanaugh, słysząc, jak obie kobiety gramolą się na schodach poniżej. W ślad za brzękiem, z jakim zeskoczyły na kolejny podest, rozległ się huk wysadzanych drzwi do sypialni.

Zdają sobie sprawę, że uciekliśmy, pomyślał Cavanaugh. Nie mają już czasu.

Muszą się wynosić, zanim się zjawi policja.

Żeby się upewnić, odwrócił się i zadarł głowę. Z przerażeniem stwierdził, że w otwartym oknie pojawiła się czyjaś głowa i lufa karabinu. Szczelble schodów przeciwpożarowych zmieniały tor lotu kul; odgłosy rykoszetów odbijały się głośnym echem w ciasnym zaułku.

- Ruchy, ruchy, ruchy! - wrzasnął.

Słyszał, jak Jamie, zbiegając przed nim, oddycha z trudem. Wyszkolona w sztukach walki Kim przesadziła barierkę, zawisała na schodku i zeskoczyła na niższy podest. Biegąc za nią, zobaczył, jak prostuje się ze ściągniętą z bólu twarzą.

Spojrzał w górę. Głowa w oknie zniknęła.

Jesteśmy dwa piętra pod nimi, pomyślał. Ale na ulicy może stać kolejny strzelec.

Nie mamy pojęcia, na co się natkniemy.

Zauważył, że okna obok niego są ciemne.

- Odwróćcie się! Zasłońcie oczy! - ostrzegł Jamie i Kim.

Kopnął w szybę, rozpryskując szkło.

Jamie sięgnęła do środka, odsunęła rygiel i otworzyła okno.

- Właź! - ponaglił ją Cavanaugh.

Wczołgał się za nią. Pod jego butami zachrząściło szkło. Kim chwyciła od wewnątrz framugę okna i też weszła do środka.

Gdy jego oczy przywykły do ciemności, Cavanaugh przeszedł szybko z kuchni do

salonu, przyłożył ucho do drzwi, usłyszał tupot kroków na schodach, przekręcił klucz w zamku, gwałtownym ruchem otworzył drzwi i zdzielił nimi faceta z karabinem, który właśnie chciał przebiec obok. Uderzenie pozbawiło mężczyznę tchu. Bariierka pękła w miejscu, w którym się z nią zderzył. Upuścił karabin, ale zanim zdążył pokoziołkować w dół schodów, Cavanaugh chwycił go, wciągnął do mieszkania i obezwładnił dźwignią. Siła nacisku wytrąciła mu pistolet z ręki.

Nagle, słysząc kolejny tupot kroków, odwrócił się szybko w górę schodów.

W polu widzenia pojawił się następny biegnący strzelec. W chwili gdy uniósł karabin, zatoczył się do tyłu, a jego oczy zaszyły mgłą: to Jamie wpakowała w niego trzy kule - dwie w klatkę piersiową i jedną w głowę.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi i jakaś staruszka wyjrzała na zewnątrz.

- Niech pani nie wychodzi! - krzyknął Cavanaugh, walcząc, żeby mężczyzna nie wyrwał mu się z obezwładniającego chwytu.

- Proszę wezwać policję! Gdzie ten trzeci?! - ryknął do Jamie i Kim.

- Tam! - odkrzyknęła Chinka, wskazując w dół.

Ostatni strzelec celował do nich u podnóża schodów.

Cavanaugh odskoczył do tyłu, gdy kule roztrzaskały resztki bariierki. Natychmiast rozległ się szczeł metalu świadczący o tym, że zabójca zmienia magazynek.

Jamie wychyliła się na schody i szybko wystrzeliła kilka razy. Facet jęknął i osunął się na podłogę.

- Może ich być więcej! Wracajcie do mieszkania! - wrzasnął Cavanaugh, wciąż przytrzymując pierwszego napastnika. Gdy Jamie i Kim wbiegły do ciemnej kuchni, wciągnął mężczyznę do pogrążonego w mroku salonu.

Skrzywił się, kiedy facet kopnął go butem na grubej podeszwie w prawą stopę.

Trzymając go od tyłu, zgiął rękę na jego szyi i zaczął go dusić; czuł, jak facet szamocze się i oddycha z wysiłkiem.

Napastnik próbował sięgnąć do tyłu i złapać Cavanaugha za jądra, lecz ten wzmocnił uścisk i przydeptał mu lewą stopę.

Facet jęknął, rzucił się do tyłu, grzmotnął nim o ścianę i wbił mu łokieć w żebra.

Cavanaugh zmniejszył uścisk, a wtedy tamten się wyrwał i w jego rękę nagle błysnął nóż. Cavanaugh zablokował wyjście z mieszkania, więc zabójca okręcił się w stronę kuchni, skąd Jamie celowała do niego z pistoletu.

- Nie! - rzucił Cavanaugh. - Potrzebujemy go żywego!

- Mam to gdzieś! - Jamie zwróciła się do napastnika: - Jeszcze jeden krok w moim

kierunku, a...

Facet okręcił się do Cavanaugha, dźgając nożem. Ten odskoczył i cisnął w niego lampą. A kiedy zabójca się uchylał, odpiął nóż od kieszeni. Haczyk z tyłu ostrza zaczepił o kieszeń i w chwili, gdy Cavanaugh wyszarpnął nóż, ostrze było już na wierzchu.

Kim pstryknęła włącznik światła. Cavanaugh widział to, ale jego przeciwnik nie.

Zaskoczony światłem i szybkością, z jaką Cavanaugh wy dobył nóż, wyprowadził kolejny cios. Cavanaugh odparował go, przy okazji przecinając grzbiet dłoni napastnika. Teraz wszystko zależało od tego, kto zadziała szybciej. Żadnego gapienia się na siebie. Żadnego oceniania przeciwnika. Ani obmyślania sprytnego ruchu. Większość walk na noże trwa mniej niż pięć sekund. Chlast, chlast, chlast! Teraz krwawisz. A teraz zdychasz. Wygrywa ten, kto pokona prymitywną siłę. Cavanaugh uważał, że określenie „sztuki walki” jest sprzeczne samo w sobie. Prawdziwa walka nie ma sobie nic artystycznego, jest pozbawiona płynności i wdzięku.

Napływ adrenaliny rozszerzył naczynia krwionośne Cavanaugha. Jego serce biło coraz szybciej. Adeptci sztuk walki twierdzą, że dzięki technikom zen potrafią kontrolować tętno podczas bójki. Wiedział z doświadczenia, że w jego przypadku adrenalina weźmie górę i serce zacznie szaleć, to było równie pewne jak śmierć po życiu. Misterność motoryki, wymagająca zręczności i koordynacji wzrokowo-ruchowej zapewniającej precyzję ruchów (na przykład przy strzelaniu do celu), zanika przy stu piętnastu uderzeniach serca na minutę.

Zdolności motoryczne pozwalające grupom mięśni na wykonywanie skomplikowanych serii błyskawicznych ruchów (choćby ciosów ręką i kopnięć) zanikają przy stu czterdziestu pięciu uderzeniach na minutę. Ale podczas walki wręcz serce przeważnie bije z prędkością dwustu uderzeń na minutę. W tym szale adrenaliny walka przypomina starcie dwóch wielkich, śmiertelnie groźnych zwierząt szarżujących na siebie.

Do swądu spalonego prochu strzelniczego w salonie doszedł zapach testosteronu. Piżma. Męski zapach dzikiej siły. Wypadki toczyły się błyskawicznie, a zarazem potwornie wolno. Dźwięki ucichły. Pole widzenia się zawężyło.

Wszystko to nastąpiło w ułamku sekundy, gdy Cavanaugh z krzykiem machnął nożem w przód i w tył, w górę i w dół, tak szybko, że oczy nie mogły nadążyć za ruchem jego ręki, po czym skoczył na przeciwnika, stosując technikę piły tarczowej, przed którą wróg mógł się obronić jedynie wtedy, gdyby posłużył się nożem w ten sam sposób. Wszystko jednak działo się za szybko, zdecydowany atak sprawił, że przeciwnik odskoczył z krzykiem - ale nie krzyczał tak jak Cavanaugh, z niesamowitą agresją, tylko ze strachem, w geście poddania.

Z jego rąk i klatki piersiowej trysnęła krew, facet zachwiał się i padł plecami na

podłogę, a Cavanaugh skoczył na niego, kopiąc wściekle.

- Nie! - zawołała Jamie.

Ale on nie mógł się powstrzymać.

- Zabijesz go! - krzyknęła Jamie. - Mówiłeś, że potrzebny nam żywy!

Furia go opuściła, dotarło do niego paniczne wołanie Jamie. Przestał kopać.

Stał nad nieprzytomnym mężczyzną, sapiąc z wysiłku. Ubranie miał mokre od potu.

Nagle usłyszał wyjące syreny.

- Kazałem ci rzucić nóż i podnieść ręce! - ryknął czyjś głos. - A ty, panienko, rzuć broń! Nie zmuszaj mnie, żebym cię zastrzelił! Ręce do góry, wszyscy!

12.

Dyszząc ciężko, Cavanaugh odwrócił się i zobaczył w salonie dwóch policjantów celujących z pistoletów w niego, Jamie i Kim. W otwartych drzwiach frontowych stał skupiony mężczyzna w garniturze, również z wycelowanym pistoletem. Do jazgotu na dworze dołączały kolejne syreny.

- Ostrzegam po raz ostatni, rzućcie broń! - wrzasnął facet w garniturze.

Cavanaugh wykonał polecenie; nóż z brzękiem spadł na podłogę.

- Mój pistolet może wypalić, jeżeli go rzucę - zwróciła się Jamie do mężczyzny.

- Odłóż go! - polecił, trzymając ją na muszce. - Byle powoli.

Zrobiła to, co kazał, a potem wyprostowała się ostrożnie z uniesionymi rękami.

Kim także podniosła ręce.

- Ściągnij tu ratowników medycznych! - polecił mężczyzna komuś za jego plecami. - A wy, odwróćcie się i stanąć pod tamtą ścianą! - zwrócił się do Cavanaugha, Jamie i Kim. - Pochylić się! Nogi szeroko! Dajcie mi tu jakąś policjantkę! - ryknął w dół schodów.

- My się tylko broniliśmy - oświadczył Cavanaugh, pochylając się i opierając ręce o ścianę.

- Już to widzę.

- Zaatakowali nas w moim mieszkaniu - wyjaśniła Kim.

- Na drugim piętrze.

- Sprawdź to! - rozkazał mężczyzna policjantowi i przyjrzał się Kim uważnie. - Skoro mieszka pani na górze, skąd pani się tu wzięła?

- Poruczniku - rzucił funkcjonariusz, zaglądając do kuchni. - Mamy wybite okno.

- Zdaje się, że trochę nam zejdzie, zanim wyjaśnimy co i jak - rzekł porucznik. - Żeby nie było potem kłopotów z ławą przysięgłych i sędzią, ma pan prawo zachować milczenie. Zna pan procedurę?

- Tak.

- Chce pan adwokata?

- Zdaje się, że nie mam wyboru.

- Dobrze się panu zdaje. - Porucznik przeszukał go od tyłu, zadarł mu marynarkę i zobaczył pustą kaburę. - Gdzie broń, która tu była?

Cavanaugh ruchem głowy wskazał miejsce, gdzie upadł pistolet.

- Obok drzwi.

- Obyś miał pan zezwolenie.

- Mam.

- Po co panu broń?

- Pracuję w branży ochroniarskiej. W Global Protective Services.

- Jasne, widziałem, jak pan ochraniał tego gościa na podłodze, zostawiając mu odciski butów na nerkach. Global Protective Services, hę? No, no, jestem pod wrażeniem.

Cavanaugh uznał, że rozmowa zmierza do końca.

- Jak mogę się skontaktować z adwokatem?

- Jeśli nie masz pan pod ręką gołębi pocztowych, proponuję to. - Porucznik wyciągnął z kieszeni Cavanaugha telefon komórkowy.

- Teraz?

- Jak skończę. - Obmacał jego pierś i znalazł nóż w kształcie szponu w plastikowej pochwie, zawieszony na łatwym do zerwania łańcuszku na szyi.

Tymczasem dotarła policjantka, zrewidowała Jamie i zabrała jej nóż, który miała na biodrze.

Porucznik zerknął na nóż Jamie, pistolet i noże leżące na podłodze.

- Z tym, co tu mamy, można by pokonać armię jakiejś wysepki na Karaibach.

- Poruczniku - odezwał się policjant od progu. - Mieszkanie na górze jest całe posiekane kulami.

- Typowy sobotni wieczór w Greenwich Village - skwitował porucznik. - Siadaj pan na podłodze - zwrócił się do Cavanaugha.

Ten wykonał polecenie.

- Po turecku.

Cavanaugh posłuchał.

- Ma pan swoją komórkę. Tylko niech ten adwokat się pośpieszy. Niech mu pan powie, że porucznik Russell nie może się doczekać rozmowy z nim.

Personel karetki pochylił się nad mężczyzną, którego Cavanaugh pozbawił przytomności.

- Przeżyje? - zapytał Russell.

- Będzie mógł odpowiadać na pańskie pytania. No proszę, pod marynarką ma pistolet.

- Znajdziecie też przy nim nóż - wtrącił się Cavanaugh.

- Tak - przyznał sanitariusz. - Na łańcuszku na szyi. - Wyciągnął go spod koszuli zabójcy. - Wygląda jak szpon.

- Pan miał na szyi taki sam - powiedział Russell do Cavanaugha. - Co to, jakaś nowa moda?

- A to co? Kolejny modny dodatek? - Sanitariusz wziął szczypce i wyjął z ucha mężczyzny jakiś przedmiot w kolorze ciała.

- Odbiornik radiowy do ucha - wyjaśnił Cavanaugh. - Skoro go ma, to ma również miniaturowy mikrofon. - Obejrzał zakrwawiony golf nieprzytomnego. - Prawdopodobnie przypięty z przodu przy szyi. Coś wielkości dziesięciocentówki.

- Cholera, jest! - przyznał sanitariusz.

- Czy tamten ranny ma mikrofon przy szyi?! - ryknął porucznik w dół schodów. - I coś w uchu?

- Chwileczkę, poruczniku, tylko... Tak!

- Ten tak samo! - krzyknął ktoś z piętra powyżej, gdzie leżał trup trzeciego zabójcy.

Russell przyjrzał się mikrofonowi i podważył tylną pokrywkę. Zanim wyciągnął małą baterię, zapytał:

- Kogoś pan tu załatwił? CIA?

13.

- CIA?

Leżąc na ciemnym dachu domu po drugiej stronie ulicy, Carl słuchał, jak transmisja radiowa zamiera z trzaskiem. Podobnie jak ci w apartamentowcu miał w uchu odbiornik radiowy oraz miniaturowy mikrofon przy kołnierzyku koszuli. W przeciwieństwie do tamtych

miał jednak także małe czarne pudełko wielkości paczki papierosów. Był to radiowy aparat nadawczo-odbiorczy z przełącznikiem, który pozwalał mu kontaktować się z każdym członkiem grupy niezależnie. Przez ostatni kwadrans, dopóki mikrofon nie przestał działać, mógł podsłuchiwać całą rozmowę.

Już od kilku lat nie słyszał głosu Aarona. Teraz poczuł natłok uczuć: gniew, żal, gorycz i głęboką potrzebę powrotu do tego odległego lata, kiedy udając żołnierzy uwięzionych za liniami wroga, kryli się w krzakach i podglądali mężczyzn i kobiety spacerujących pod rękę w lasku.

Schował się za kominem, uniósł AR-15, spojrzął w celownik holograficzny i czekał.

14.

Cavanaugh wystukał w komórce numer telefonu stacjonarnego do bezpiecznej kryjówki Williama. Słuchając sygnału po drugiej stronie, słyszał też coraz więcej syren na zewnątrz. Za oknem błyskały czerwono-niebieskie koguty.

- Halo.

- Tu Cavanaugh. Daj mi Williama.

- Może dla ciebie będzie bardziej uprzejmy niż dla nas.

W słuchawce rozległ się stuk, a potem głos prawnika:

- Mam nadzieję, że wszystko wróciło do normy i mogę się już stąd wynieść.

- Niestety, nie - odparł Cavanaugh. - Padły strzały i...

- Padły strzały? - zadrwił w tle porucznik. - Podczas pierwszej wojny irackiej służyłem w marines. Nie sądzę, żebyśmy wystrzelali tyle amunicji.

- Żeby nie powiedzieć czegoś, czego nie powinienem, dam ci porucznika Russella, on ci to wyjaśni.

- Nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny - ostrzegł William. - Nic więcej. Dawaj go do telefonu.

Cavanaugh podał komórkę porucznikowi, a następnie spojrzął na Jamie i Kim stojące pod ścianą. Jamie zaimponowała mu spokojem. Zachowywała się tak, jak gdyby przez całe życie była agentką.

W przeciwieństwie do Kim. Jej źrenice przypominały czubki ołówków. Czoło miała zroszone potem - objawy głodu szybko się nasilały.

Skinął głową, dodając jej otuchy.

- Na posterunku za pół godziny - powiedział Russell do telefonu i oddał aparat Cavanaughowi.

- Tak, Williamie?

- Nazwisko, stopień i numer identyfikacyjny. Bez wyjątków.

- Chcę, żebyś do kogoś zadzwonił. - Cavanaugh podyktował prawnikowi nazwisko i numer telefonu. - Powiedz mu, że potrzebuję pomocy.

Usłyszawszy, o kogo chodzi, William rzucił:

- Już on sobie z nimi poradzi.

- No dobra, tego możemy już wynosić - oznajmił sanitariusz.

Razem z kolegą przenieśli na wpół przytomnego mężczyznę na nosze na kółkach i wytoczyli go z mieszkania. Dolatujący z dołu brzęk sprzętów świadczył, że to samo robią z człowiekiem, którego zraniła Jamie.

- Ręce do tyłu! - polecił Russell Cavanaughowi i skuł go kajdankami.

Policjantka tak samo potraktowała Jamie i Kim.

- Czy furgonetka jest na miejscu? - zapytał Russell swojego podwładnego.

Cavanaugh dźwignął się na nogi.

Eskortowana z przodu i z tyłu przez policjantów trójka wyszła z mieszkania. Na schodach błyskał flesz aparatu fotograficznego - to lekarz sądowy ze swoją ekipą badał mężczyznę, którego zastrzeliła Jamie.

Cavanaugh zszedł po schodach. Śwąd spalonego prochu podrażnił mu błony śluzowe nosa. Przeszedł nad pustymi magazynkami po amunicji, wyszedł z budynku i wchłonął go chaos błyskających kogutów, radiowozów, karettek pogotowia i kilkuset gapiów.

15.

Gdy Aaron wyszedł z budynku w kalejdoskop świateł, Carl omal nie pociągnął za spust. Aaron miał ręce skute na plecach. Przed i za nim szli policjanci, a po bokach dwie kobiety. Jedna z nich, Chinka, była specem od komputerów w GPS, której mieszkanie Carl kazał obserwować. Drugą - żonę Aarona - widział w Jackson Hole.

Przyjrzał jej się uważnie. Wysoka, w spodniach, z nogami, które przyciągnęły jego wzrok od kostek po kuszące uda. Wysportowana, ze sterczącymi piersiami, na widok których

wyobraził sobie, że staje za nią i ściska je rękami. Lśniące czarne włosy, które chciałby pogłaskać. Oczy tak przenikliwe, że czuł ich moc nawet na dachu po drugiej stronie ulicy.

Aaron, ty i ja zawsze mieliśmy ten sam świetny gust.

Zrób to, powtarzał sobie Carl. Strzelaj. Ale chociaż strasznie go kusiło, to jednak wyrobił w sobie dyscyplinę, której brakowało mu, gdy obaj służyli w Delta Force, a także później, kiedy pracował dla Global Protective Services. W jedności siła?

Teraz już to rozumiem, pomyślał.

Brak opanowania? Nie wtedy. Nie wtedy, kiedy załatwiłem tego strażnika, zamiast zgodnie z rozkazem zastrzelić go z pistoletu z tłumikiem. Nie wtedy, kiedy zadźgałem tego stukniętego fana, który wyciągnął nóż i zaatakował tę cizję, gwiazdę rocka. Nie, Aaronie, ja się czegoś nauczyłem. Nauczyłem się tego od ciebie i Duncana. Ucząc się, spędziłem kupę czasu w gównianej robocie.

Zachowaj zimną krew. Miej na uwadze misję. Nie rozpraszaaj się. Nie pieprz akcji dla własnej przyjemności. Wbiłem sobie te nauki do głowy tak gruntownie, że sam mógłbym cię teraz uczyć. Jeżeli strzelę, nie uda mi się uciec z dachu i dotrzeć na miejsce, gdzie Raoul czeka w samochodzie. Teraz tylko jedno jest ważniejsze od zabicia ciebie, a jestem tak zimny, tak zdyscyplinowany, panuję nad sobą do tego stopnia, że postąpię, jak należy.

Wyciągnął z kieszeni nadajnik. Kiedy wcisnął przycisk, zapaliło się zielone światełko. A wtedy nacisnął drugi.

16.

Niespokojny Cavanaugh stał w wejściu do budynku. Częściowo oślepiiony błyskającymi światłami, patrzył, jak sanitariusze wiozą na noszach rannych zabójców do dwóch karetek. Mamy to, czego nam potrzeba, pomyślał. Kiedy się ockną, będziemy ich mogli przesłuchać. Dowiemy się, gdzie Carl szkoli swoich ludzi.

- W każdej karetce ma jechać policjant - zarządził porucznik Russell.

Dwaj funkcjonariusze ruszyli do karetek, sanitariusze zamknęli drzwi i nagle oba pojazdy uniosły się w powietrze; wybuch roztrzaskał ich szyby i wyrwał tylne drzwi. Fala uderzeniowa rzuciła sanitariuszy i policjantów na chodnik. Inni odskoczyli do tyłu. Gapie się rozpierzchli. Prawie wszyscy krzyczeli.

- Bomby? - Russell odwrócił się do Cavanaugha. - Co tu jest grane, do ciężkiej

cholery? Jakim cudem...

- Wyoming - odparł Cavanaugh, próbując otrząsnąć się z szoku. Czując, jak z napięcia swędzi go skóra, popchnął Jamie i schował się z nią w holu budynku.

Widząc to, Kim cofnęła się w ślad za nimi, a tymczasem Cavanaugh lustrował wzrokiem dachy domów po drugiej stronie ulicy. Spojrzał niżej, na okna i bramy kamienic, ale samochody ekip ratunkowych i błyskające światła nie pozwalały dojrzeć niczego na poziomie ulicy.

- Wyoming? O czym pana gada? - zapytał ostro Russell.

Ratownicy rzucili się w kierunku karetek. Z otwartych drzwi pojazdów buchał dym.

- Tam się wszystko zaczęło. - Cavanaugh cofnął się dalej w głąb budynku, a Jamie i Kim poszły za nim. - Tam również próbowała mnie załatwić ekipa zabójców.

Russell bez słowa mierzył go wzrokiem.

- Kiedy dwaj z nich prawie wpadli w nasze ręce, ich samochód też wyleciał w powietrze - wyjaśnił Cavanaugh.

Wzrok Russella stwardniał.

- Uważamy, że dowódca ekipy podłożył bombę pod samochód i zdalnie zdetonował ładunek... żeby nie mogli zeznawać. Wcześniej ktoś z zespołu zastrzelił snajpera, który dla nich pracował, prawdopodobnie z obawy, że nie utrzyma języka za zębami.

- Chce mi pan powiedzieć, że facet, który zorganizował ten atak, obserwował to z drugiej strony ulicy i wysadził w powietrze własnych ludzi, kiedy zobaczył, że wynoszą ich żywych? - zapytał przerażony Russell.

- Możliwe, że wciąż tam jest - odparł Cavanaugh, pokazując Russellowi, żeby odwrócił się i obserwował ulicę z taką samą uwagą jak on.

- W jaki sposób mógł podłożyć bomby tak, żeby tamci się nie zorientowali i żebyśmy ich nie znaleźli?

- Rozerwało ich na pół na wysokości talii! - krzyknął gorączkowo ktoś od strony karetek.

- Plastikowe pochwy - powiedział Cavanaugh.

- Pochwy? - powtórzył porucznik surowo.

- Na noże, które miał każdy z nich. Pańscy ludzie zabrali noże, ale zostawili pochwy.

W plastiku musiał być ładunek wybuchowy wraz z miniaturowym detonatorem.

Po raz pierwszy Russell zapomniał języka w gębie.

- Carl był tutaj, patrzył, jak wchodzimy do budynku. - Cavanaugha przeszedł zimny dreszcz. Z głębi holu spojrzął na tłum po drugiej stronie ulicy. - Może wciąż nas obserwuje.

Może dalej siedzi na dachu z karabinem. Poruczniku, ma pan jeszcze tę słuchawkę do ucha i mikrofon?

Russell wyjął je z kieszeni garnituru.

- Niech mi pan włoży odbiornik do ucha - poprosił Cavanaugh, bo ze skutymi na plecach rękami sam nie mógł tego zrobić.

Po chwili wahania porucznik spełnił jego prośbę.

- Proszę włożyć baterię do mikrofonu i podsunąć mi go do ust - rzekł Cavanaugh.

Tym razem Russell wahał się krócej.

- Carl? - powiedział Cavanaugh.

Odpowiedział mu elektroniczny szum.

- Carl, wiem, że tam jesteś. Pewnie obserwujesz wejście do tego budynku.

Nadal słyszał tylko szum.

- Carl, chyba wiem, jak szkolisz swoich rekrutów. Pamiętasz te kursy wizualizacji, które zorganizowali dla nas instruktorzy w siłach specjalnych? Nie mogliśmy się nadziwić, jak bardzo wizualizacja przyspiesza proces nauki. Skorzystałeś z tej techniki i wzmocniłeś ją filmami i grami komputerowymi, co? To skuteczny sposób, żeby kogoś zaprogramować.

Nic, tylko szum.

- Nie wiem, co chcesz osiągnąć. - Mówił dalej do mikrofonu, który Russell trzymał przed jego ustami. - Ale ja wiem, że to ty za tym stoisz, więc nie ma sensu, żebyś nadal próbował mnie zabić. To nic nie zmieni. Nic nie odwróci podejrzeń od ciebie. Więc nie ryzykuj bez potrzeby. Jako cel stałem się bezwartościowy.

Cavanaugh skupiał się na dźwięku w słuchawce w uchu, próbując nie zwracać uwagi na rozprasające go krzyki, trzask drzwi, warkot silników samochodów z przodu i tupot kroków na schodach za plecami.

Szum nieznacznie się zmienił.

- Powinieneś być lepszym przyjacielem. - Rozpoznał głos Carla, którego nie słyszał od tylu lat.

A potem szum znów się zmienił, jakby transmisja została przerwana.

- Może pan schować mikrofon - powiedział Cavanaugh.

- On się rozłączył.

- Carl? - zapytał porucznik.

- Carl Duran. Mamy sporo rzeczy do obgadania.

Russell odczepił od pasa krótkofalówkę.

- Randall, ściągnij tu jednostkę SWAT. Wyślij swoich ludzi, niech sprawdzą dachy.

- Czego szukamy? - zapytał czyjś głos.

- Księcia ciemności, jeśli mam wierzyć w to, co usłyszałem.

- Kogo?!

- Faceta, który nie zostawia świadków. Podam ci rysopis, jak tylko...

- Sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu - przerwał mu Cavanaugh. - Szczupły.

Podoba się kobietom, dopóki nie odkryją, że prawie nigdy się nie uśmiecha. Muskularne ręce, zwłaszcza przedramiona, od pracy z młotem i kowadłem.

- To kowal? - zdziwił się Russell.

- Mistrz w wytwarzaniu noży - odparł Cavanaugh. - Dużo czasu spędza, rozmyślając o nożach i pochwach. W końcu pewnie wymyślił, w jaki sposób pochwę również można przerobić na broń.

Russell spojrział na karetki pogotowia i krew na rozbitych szybach.

- O tak - wycedził. - Mamy sporo do obgadania, bez dwóch zdań.

VI.

NOŽE STAREGO SAN FRANCISCO

1.

Kim znów zwymiotowała.

Policjant pognął do drzwi w surowym korytarzu, lecz zablokował go porucznik Russell, który właśnie je otworzył. Towarzyszyli mu dwaj ponurzy mężczyźni, jeden biały, drugi czarny: William Faraday i John Rutherford.

- ...chora - wyjaśnił policjant Russellowi, wskazując na celę. - Ta Chinka wymiotuje.

- Moja klientka wymaga pomocy lekarskiej - oświadczył William.

- Dostanie ją, mecenasie, niech mi pan wierzy. Jeśli to pana ucieszy, ściągnę osobistego lekarza komendanta głównego policji.

- Mnie nic nie cieszy.

- Zauważyłem. - Russell odwrócił się do policjanta. - Wezwij lekarza.

Cała grupa przemaszerowała korytarzem do celi, a tam Russell ruchem ręki polecił funkcjonariuszowi otworzyć drzwi.

- Witaj, Williamie. Cześć, John - powiedział Cavanaugh, kiedy weszli do środka.

Kim znów zwymiotowała.

- Co jej jest? - zapytał porucznik.

- Kontuzja pleców - wyjaśniła Jamie. - Musi dostać środki przeciwbólowe.

- Na przykład takie jak ten OxyContin, który znaleźliśmy w jej mieszkaniu? - spytał Russell.

- Te proszki należały do napastników - oświadczył William.

- Już to widzę - burknął porucznik.

- W zamieszaniu pigułki wypadły z kieszeni jednego z zabójców - rzekł adwokat.

- Właśnie tacy ludzie są zdolni do tego rodzaju przemocy. Lekomani. Ćpuny.

- Skoro pan tak mówi - ustąpił Russell.

- Za to ty miałeś aż za dużo do powiedzenia. - William zwrócił się do Cavanaugha. - Ostrzegałem cię, żebyś podał im tylko nazwisko i podstawowe dane.

- Ciebie też miło widzieć, Williamie.

- A ja tu słyszę od porucznika, że w zasadzie opowiedziałeś mu całe swoje życie. Skoro sam chcesz być swoim adwokatem, to po coś mnie tu ściągał?

- Myślałem, że zrobię ci przysługę, wywabiając cię z tej twojej kryjówki - odparł Cavanaugh.

- Mnie w każdym razie pan się nie przysłużył... - Porucznik Russell wskazał stojącego

obok Murzyna. - ...ściągnąć tu FBI. Z początku myślałem, że wciska mi pan kit, żeby się jakoś wyłgać z tej strzelaniny. A tymczasem dyrektor jednostki antyterrorystycznej FBI powołuje się na bezpieczeństwo narodowe.

- Grunt, że idziesz ze mną - oznajmił Rutherford.

- Co nie powstrzyma mnie przed próbą wyjaśnienia, co to za pasztet - zapowiedział Russell. - Zanim ci dwaj zginęli w wybuchu, zdjęliśmy im odciski palców. Wkrótce dowiemy się, kim byli. Może ta informacja doprowadzi nas do pańskiego kumpla Carla Durana.

- To nic nie da - odparł Cavanaugh. - Dowie się pan tyle, że niedawno wyszli z więzienia. Prawdopodobnie w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Siedzieli za przestępstwa związane z przemocą, ale w różnych więzieniach i wcześniej się nie znali.

- Czy to kolejny kit? - zapytał porucznik Rutherforda.

- Niestety, nie.

- Więc proszę mnie oświecić - rzekł Russell. - Niech pan pokaże, jaki z pana mądrała.

W jaki sposób ci faceci się zetknęli?

- Kiedy wyszli z więzienia, Carl skontaktował się z każdym z nich i w krótkim czasie zmienił ich ze zwykłych oprychów w agentów.

- W jaki sposób?

- Według mnie rekrutuje ludzi na podstawie upodobania do przemocy, ich zdolności uczenia się i potrzeby bycia kimś ważnym. Ci faceci to niedoszli marines, rangersi, komandosi sił specjalnych albo SEAL, którym się marzy, żeby ludzie widzieli, jacy są twardzi. Chcą być podziwiani, ale nie mają siły charakteru ani dyscypliny, żeby się tam dostać. Wystarczy ich podejść, kiedy właśnie wyszli z mamra, nie mają pieniędzy ani perspektyw, za to kipią chęcią wyładowania tego gniewu, który w nich narastał przez lata. Zapłacić im. Schlebiać. Skorzystać z wizualizacji i innych technik przyśpieszonego szkolenia. Stworzyć im szansę do popisów z bronią. Po sześciu tygodniach ich ego będzie tak napompowane, że zrobią wszystko, byleby zyskać szacunek Carla. I co równie ważne, ci ludzie nikogo nie obchodzą, nikt nie będzie za nimi tęsknił. A kiedy Carl uznaje, że znaleźli się w sytuacji, w której grozi im pojmanie i przesłuchania, wysadza ich w powietrze. Jakby nigdy nie istnieli.

- Ładna teoria - skomentował porucznik.

- Niech pan mi pomoże ją udowodnić.

- Sugerowałeś, żebyś sprawdził miejsca, w których mieszkał Carl Duran - wtrącił się Rutherford. - Także te, gdzie stacjonował, będąc w wojsku. Szukaliśmy zaginionych kotów i psów. Chociaż może wcale nie zaginęły. Może znalazły się w jakichś zaułkach czy rowach z

wypatroszonymi bebechami i uciętymi łbami.

Policja i organizacje humanitarne zarejestrowały takie przypadki. W Iowa City, tuż przed wyjazdem Durana. W Nashville w Tennessee, zanim się stamtąd wyniósł. W Columbus w Georgii, niedaleko Fort Benning, gdzie zaczął szkolenie do rangersów. W Tacoma w stanie Waszyngton, obok Fort Lewis, gdzie odbył dalszy kurs rangersów. W Fayetteville w Karolinie Północnej, w pobliżu Fort Bragg, gdzie trenuje się rekrutów do Delta Force. Incydenty z okaleczonymi zwierzętami nasilały się zwłaszcza przed przeniesieniem Durana do innej bazy, a także po jego odejściu z Delty. - Rutherford przerwał. - A potem zaczęły się pojawiać zwłoki.

- Zwłoki? - powtórzył Russell.

- Drobnych pijaczków i bezdomnych. Wszyscy zadźgani nożem. Inni pijaczkowie i bezdomni opowiadali, że nocami napada na nich jakiś nożownik. Pod mostami. W kanałach burzowych. W parkach, zaułkach, w opuszczonych budynkach i melinach narkomanów. Jak mówili, ten gość budził pijaków kopniakami, a na bezdomnych zrzucał kartony, żeby wypełzli na zewnątrz.

Dawał im nóż i kazał walczyć. A potem sam brał się do roboty. Charakter ran świadczył o tym, że nie śpieszył się z zadaniem ostatecznego ciosu.

- Ano - mruknął Russell. - Księżę ciemności.

Kim znów zwymiotowała.

2.

Po wyjściu lekarza Cavanaugh i Jamie patrzyli na Kim leżącą na pryczy.

- Karetka już jedzie - zapewniła ją Jamie.

Pobladła Chinka zdołała kiwnąć głową.

- Według lekarza jesteś na głodzie i stąd ten stres.

- Która godzina?

- Druga w nocy.

- Od zeszłej wiosny nigdy nie byłam tak długo bez Oxy. I tak dobrze, że nie zesrałam się jeszcze w portki.

- Lekarz zabierze cię do kliniki odwykowej - oznajmił Cavanaugh.

Kim znów słabo kiwnęła głową.

- Twierdzi, że sama go o to prosiłaś - dodał.

- Hej! - Kim przesunęła językiem po wysuszonych ustach. - Jak już odstawiłam prochy na tak długo, to równie dobrze mogę pójść na całość.

Cavanaugh zauważył, że nie zostawiła sobie furtki do odwrotu i nie oświadczyła, że spróbuje pójść na całość, tylko że to zrobi.

- Nie martw się o pracę. Będzie na ciebie czekać, jak już wrócisz.

Splotła ręce pod biustem i zadrżała.

- Nie martwię się o siebie. Ale wy... - Zadygotała jeszcze bardziej i zapytała Jamie: - Pamiętasz te kody dostępu?

- Spokojna głowa - uspokoiła ją Jamie. - Twoje zabezpieczenia są tak genialne, że bez kodów bym ich nie obeszała.

- Przygwoźdź bydlaka, który za tym stoi.

3.

Porucznik Russell załatwił, żeby spod posterunku jednocześnie odjechało tak dużo wozów policyjnych, by ludzie Carla nie byli w stanie śledzić ich wszystkich.

A gdyby ktoś spróbował, to w małym ruchu o drugiej w nocy łatwo byłoby zauważyć ogon i go zatrzymać.

Na tylnym siedzeniu jednego z radiowozów ukryli się Cavanaugh i Jamie.

Wysiedli na West Drive w Central Parku, wskoczyli między drzewa i ruszyli na północ. Co jakiś czas przystawali między ciemnymi głazami i w krzakach, sprawdzając, czy nikt za nimi nie idzie. Śledzili ich jedynie tradycyjni bywalcy parku, ale oboje wysyłali tak silne sygnały „nie podskakujcie nam!”, że szczęścia spróbowali tylko czterej gówniarze, a to, co ich spotkało, nastąpiło błyskawicznie i tak zdecydowanie, że wkrótce wszyscy wiedzieli, że lepiej trzymać się od pary nieznajomych z daleka.

Przekonani, że wymknęli się Carlowi i jego ludziom, Cavanaugh i Jamie przecięli Ósmą Aleję i poszli Zachodnią Siedemdziesiątą Trzecią. Dotarli do skromnej kamienicy, przed którą jakiś facet z puszką piwa w ręku zasnął za kierownicą samochodu. Nieco dalej inny mężczyzna wyprowadzał psa. A jeszcze dalej stała furgonetka z małym otworem wentylacyjnym w dachu, który w rzeczywistości służył do wystawienia kamery obserwacyjnej.

Cavanaugh zatrzymał się przed drzwiami frontowymi i sprawdził listę lokatorów.

Nacisnął guzik obok nazwiska Zimbalist.

Po chwili usłyszał głos mężczyzny:

- Oby to było coś ważnego. Jest środek nocy.

- Przysłał nas Jimmy Lile. - Jamie powołała się na słynnego twórcę noży, którego nazwisko obrali za hasło.

Zabrzączał domofon. Cavanaugh otworzył drzwi i wszedł do ciepłego, przyjemnie oświetlonego holu. W połowie korytarza ujrzał otwarte drzwi. W rogu sterczała kamera monitoringu. Po krytych dywanem schodach weszli na piętro i już mieli zapukać do pokoju 2-C, gdy otworzyły się drzwi i w progu stanął uśmiechnięty Rutherford.

- Marnie wyglądacie.

- I dla pana to powód do wesołości? - odparła Jamie.

- Po prostu się cieszę, że nic wam się nie stało. - Rutherford zamknął za nimi drzwi.

- Co z Williamem? - zapytał Cavanaugh. - Dotarł bezpiecznie do swojej kryjówki?

- Za samochodem nikt nie jechał.

W salonie siedzieli dwaj mężczyźni w białych koszulach, z bronią w kaburach u pasów; marynarki powiesili na oparciu krzeseł. Patrzyli na rząd ekranów kamer monitoringu pokazujących ulicę, wejście do budynku, hol i prowadzące na górę schody.

- Powinniście się czuć zaszczytzeni - powiedział Rutherford. - Biuro utrzymuje ten lokal tylko dla najcenniejszych informatorów.

- Zimno w tym parku. - Cavanaugh zatarł dłonie.

- Jeśli chcesz wziąć prysznic, masz dwie łazienki do wyboru.

- Jestem głodna - oświadczyła Jamie.

- Pizza już jest - odparł Rutherford. - Z pepperoni, zgadza się?

- A do tego z anchois i czarnymi oliwkami.

- Jest też sałatka i pieczywo czosnkowe. Wszystko, co pani zamówiła.

4.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Cavanaugh w ciemności sypialni.

- Mam tylko kilka guzów i siniaków. Nic poważnego. - Jamie leżała obok niego. - Chodzi mi o to, co z tobą?

- A co ma być? Przecież to normalka. Strach i dygotki.
 - Strasznie szybko mówiłaś, tam w kuchni. Zupełnie jakbyś była na prochach.
 - To tylko adrenalina.
 - Do tej pory powinna ustąpić. - Zdawało mu się, że ciemność go przygniata.
 - Widocznie jestem odporna - powiedziała.
 - Chcę się po prostu upewnić, że wszystko w porządku. - Ciemność wciąż gęstniała.
- Jamie leżała obok niego bez ruchu. W końcu odezwała się:

- Chodzi ci o to, że kogoś zabiłam?

Odetchnął głośno.

- Skoro już o tym wspomniałaś.

- On próbował zabić nas.

- Najlepszy powód pod słońcem, żeby pociągnąć za spust - przyznał. - Nie wpadłaś w panikę. Nie dopuściłaś, żeby w ferworze walki zdrząły ci ręce. Działałaś precyzyjnie. Uratowałaś nam życie.

- Czy tak w wojsku wygląda raport z akcji?

- Rozmowa dobrze robi. Pozwala dojść do ładu z uczuciami.

- Innymi słowy, tania forma psychoterapii. - Jamie wciąż leżała obok niego bez ruchu.

- Wyobraź sobie, że nie wycelowałaś pistoletu dostatecznie szybko. Wyobraź sobie, że on zaczyna walić z karabinu, na pełnym automacie, dziurawią nas kule, krew, ciało i kości bryzgają dookoła, a ty, Kim i ja padamy trupem.

- Wypróbujesz na mnie jakiś program neurolingwistyczny?

- Nic takiego, czego bym nie stosował na sobie.

- Kiedy po raz pierwszy...

- Po raz pierwszy? - Za zasłoniętą kuloodporną szybą w oknie przejechał samochód; samotny warkot silnika niósł się echem w nocy. - Chodzi ci o to, kiedy po raz pierwszy kogoś zabiłem?

Nie odpowiedziała.

- Dwadzieścia lat temu - powiedział. - W Peru.

Jamie odwróciła się do niego.

- Czy to nie tam Duran wpadł w ręce rewolucjonistów?

- Oni się nazywają PCP. Partido Comunista del Peru. Byli tam amerykańscy żołnierze, wspieraliśmy siły rządowe. Carla, mnie i kilku innych komandosów z Delta Force wysłano po to, żebyśmy nauczyli peruwiańskich żołnierzy, jak stworzyć własny odpowiednik Delty. Bóg świadkiem, że przy tylu porwaniach ludzi władzy miejscowy rząd potrzebował ekspertów od

odbijania zakładników.

Towarzyszyliśmy peruwiańskim żołnierzom w akcji uwolnienia polityka wysokiego szczebla. PCP groziła, że go zabije, jeżeli władze nie wypuszczą kilku jej członków, których przesłuchiwało wojsko. Ktoś jednak zdradził szczegóły misji rewolucjonistom i wpadliśmy w zasadzkę. W wyniku eksplozji Carl stracił przytomność. Żołnierze, z którymi był, uciekli. Później dostaliśmy zdjęcia potwierdzające, że Carl żyje, wraz z listem dającym rządowi trzy dni na zwolnienie agitatorów PCP.

Cavanaugh zmusił się, żeby mówić dalej.

- Delta dba o swoich ludzi. W ciągu dwudziestu czterech godzin z Fort Bragg przyleciała ekipa do odbijania zakładników. Dwanaście godzin przed upływem ultimatum wreszcie nam się poszczęściło. Dostaliśmy doskonale dane wywiadowcze i zdjęcia lotnicze pokazujące obóz w górach, gdzie przetrzymywali Carla. W nocy zrzucili nas na spadochronach na oddaloną o pięć kilometrów polanę i otoczyliśmy obiekt. Obrazy satelitarne w podczerwieni, które przestudiowaliśmy, dały nam niezłe pojęcie o tym, gdzie trzymają ośmiu zakładników, w tym Carla. Obozu pilnowało około dwudziestu rewolucjonistów. Przez lornetki z noktowizorami potwierdziliśmy dane satelitarne.

Ja byłem w grupie, która miała dotrzeć do więźniów i chronić ich, kiedy zaczną się ataki. Taktyka z grubsza polegała na ostrzale snajperów skoordynowanym ze zmasowanym ogniem karabinów maszynowych i wrzuceniu granatów odłamkowych. Atak jak z podręcznika i wszystko poszło cacy. Nie było ofiar wśród więźniów ani grupy szturmowej. Rewolucjoniści zostali unieszkodliwieni.

- Zabiłeś kilku z nich? To był twój pierwszy raz? - spytała Jamie.

- Zapewniałem osłonę ogniową, trzy magazynki po trzydzieści nabojów, ale nie wiem, czy któraś kula trafiła. Zakładam, że musiałem wyrządzić szkody, ale to było jak niszczenie przedmiotów. Nie miałem poczucia, że tak naprawdę zabijam ludzi. Przede wszystkim czułem ulgę, że Carl jest bezpieczny, a ja przeżyłem misję.

- Wobec tego nic nie rozumiem. To nie brzmi jak twój pierwszy raz.

- Wezwaliśmy przez radio śmigłowce ewakuacyjne i pilnowaliśmy terenu, na wypadek gdyby inni rewolucjoniści usłyszeli strzały i chcieli sprawdzić, co się dzieje. Ukryłem się i czekałem, ale coś mi mówiło, że wszystko jest nie tak, miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, że zaraz wydarzy się coś strasznego. Wtedy już świtało. Zerknąłem w lewo i w krzakach zobaczyłem czyjąś twarz. Dzieciaka. Miał z szesnaście lat i właśnie unosił pistolet. Zanim zdążyłem pomyśleć, co robię, przesunąłem karabin i wpakowałem w niego cały magazynek. Czysty odruch. Trzydzieści kul. Prawie go rozerwały na strzępy. Nawet jeśli

już wcześniej kogoś zabiłem, to był mój pierwszy raz. Z bliska, twarzą w twarz.

Przeżycie było tak intensywne, że przez oczy tego dzieciaka mogłem zajrzeć w głąb niego, wejść za rozszerzone ze strachu źrenice, do jego mózgu. W głąb jego duszy. Pamiętam, jak myślałem: ty głupi szczeniaku, dlaczegoś się nie schował? Po jaką cholere odstawiałeś bohatera? To było tak bezsensowne, zupełnie zbędne.

- I co było potem?

- Porzygałem się - odparł Cavanaugh.

- Sama mam na to ochotę.

- Ten dzieciak ciągle nawiedzał mnie w koszmarach - ciągnął. - Miał brodawkę na podbródku. Potargane włosy i bliznę na czole. Brudne, obdarte łachmany.

Był tak chudy, że pewnie od tygodni nie jadł nic porządnego. To była rewolucja z gatunku „bogactwo dla mas”... Miliony biedaków przeciwko garstce właścicieli ziemskich i finansistów, którzy próbowali ich kontrolować. Jestem pewny, że ten dzieciak przez całe życie był wykorzystywany. Pewnie zżerała go nienawiść. Założę się, że zasypiając, codziennie marzył o przyzwoitej przyszłości. Z wielu powodów powinienem mu współczuć. Ale gdyby sytuacja się powtórzyła, znów bym go zastrzelił, tak jak za pierwszym razem. Inaczej nie mielibyśmy okazji teraz rozmawiać.

Jamie dotknęła jego ręki.

- A gdybym ja miała to powtórzyć, też bym zastrzeliła tamtego człowieka, żeby móc leżeć tu teraz obok ciebie.

- Jest to sposób na rozstrzygnięcie, czy coś było usprawiedliwione. To, czy zrobilibyśmy to ponownie - przyznał.

- Ale nie znoszę myśli, że musiało do tego dojść.

- Tak. Teraz dzielę swoje życie według tamtej chwili... na to, co było przed tym, jak go zabiłem, i potem.

- A zrobiłeś to, żeby uratować Carla Durana - rzekła Jamie.

5.

Cavanaugh spojrzał piekącymi oczami na rażące światło dzienne przebijające przez kotary. Z trudem zwłóknął się z łóżka. Uchylił drzwi o włos i w salonie ujrzał nową parę uzbrojonych agentów. Z taką samą uwagą jak poprzednicy obserwowali liczne monitory

ochrony budynku.

Skierował wzrok w inną część salonu i zobaczył, że Jamie siedzi przy stole i stuka w klawiaturę. Obok stał Rutherford i patrzył na to, co wyczarowują jej palce.

Świeże dzinsy i golf Jamie pochodziły z zapasów tej kryjówki.

Cavanaugh wziął najdłuższy, najbardziej gorący prysznic w życiu, ale napięcie nie ustępowało. Nie mógł przestać myśleć o tym, co się stało. Co ten Carl chce osiągnąć, do ciężkiej cholery?!

Na komodzie leżały spodnie khaki, brązowa koszula oraz świeża bielizna i skarpetki. Nagle coś przyszło mu do głowy. Ubrał się w takim pośpiechu, że wchodząc do salonu, dopinał jeszcze koszulę.

- Dzień dobry, śpiochu. - Jamie nie odrywała wzroku od ekranu komputera.

- Czy coś mnie ominęło?

- Śniadanie.

- Zostawiliśmy ci pączka - pocieszył go Rutherford.

- Nie słyszeliście o dziecie doktora Atkinsa? - Cavanaugh sięgnął po telefon i połączył się z biurem numerów. - Cincinnati w Ohio. F and W Publications - rzucił do nagranego na taśmie głosu.

Jamie i Rutherford spojrzeli na niego.

- F and W Publications - odezwał się pogodny głos.

- Poproszę Steve'a Shackelforda z magazynu „Blade”.

- Chwileczkę.

Cavanaugh modlił się w duchu, żeby Steve był w redakcji, a nie pracował w terenie. „Blade” to ulubione czasopismo entuzjastów noży, ale wizja czytającego je buraka z południa w butach motocyklowych, z mięśniem piwnym i łańcuchem sięgającym od wypchanego portfela do pasa byłaby z gruntu błędna. Z czterdziestu tysięcy prenumeratorów „Blade” większość stanowili adwokaci, lekarze, eksperci komputerowi i przedstawiciele innych szacownych zawodów, o sześciocyfrowych dochodach; takiej bazy stałych odbiorców zazdrościło pismu wiele innych czasopism. Najbardziej zagorzali czytelnicy mieli kolekcje noży, które gromadzili z pieczołowitością wyrafinowanych kolekcjonerów sztuki.

Wśród eksponatów znajdowały się wyjątkowo cenione zabytkowe produkty firmy Buck przywołujące miłe wspomnienia wiernych noży składanych ze szczęśliwego dzieciństwa. Albo scyzoryki wykonane tak misternie i z taką elegancją, na przykład te od Michaela Vagnino, że zbieracze, którym udało się je kupić za dwa tysiące dolarów od sztuki, zrobili znakomity interes, odkąd ich twórca znalazł się na samym szczycie.

Niektóre noże miały wielkie wzięcie dlatego, że przypominały doświadczenia życiowe. Kombatanci z Wietnamu upodabiali sobie ząbkowane noże bojowe Ka-Bar, które nierzadko wyznaczały granicę między życiem a śmiercią. Inne ceniono ze względu na ich obecną reputację, na przykład niezawodne noże taktyczne Ernesta Emersona, który w 1991 roku ręcznie wyrabiał je dla zaprzyjaźnionych żołnierzy udających się na wojnę w Zatoce Perskiej. Ci z kolei wychwalali ich jakość przed kolegami. Z czasem Emerson, zalany zamówieniami, przerzucił się z manufaktury na produkcję fabryczną, by udowodnić, że przy zachowaniu należytej staranności fabryczny nóż wcale nie ustępuje wykutemu ręcznie w kuźni. Poszedł za przykładem Ala Mara, byłego komandosa z Zielonych Beretów uznawanego za ojca noży specjalnych, który pod koniec lat siedemdziesiątych wprowadził na rynek taktyczny nóż składany. Oryginalne produkty takich twórców jak Al Mar albo Ernest Emerson osiągały na aukcjach ceny kilku tysięcy dolarów.

Jeszcze inne noże ceniono ze względu na ich miejsce w kulturze popularnej.

Rekwizyty z filmu *Żelazna Dziewica* skrupulatnie zebrał scenograf z Hollywoodu, Joseph Musso - wersję drewnianą, gumową, niedokończoną wersję stalową, wykorzystaną w scenie wykuwania, a także wspaniałą, w pełni gotowy nóż.

Unikatowa kolekcja Mussa była wystawiana w rozmaitych muzeach, w tym w San Antonio w Teksasie - siedzibie misji Alamo, gdzie zginął Jim Bowie.

Z miłości do *Żelaznej Dziewicy* Musso pozwalał najlepszym kowalom badać ten nóż oraz jego projekty studyjne. Kopie wykonane przez George'a Coopera, Joego Keeslara i Gila Hibbena okazały się nawet lepsze od oryginału i były w wyjątkowej cenie. Cavanaugh musiał przeniknąć do tego świata, a na razie słuchał sygnału telefonu po drugiej stronie.

- Steve Shackelford - odezwał się miły głos z teksaskim akcentem.

Bogu dzięki! - pomyślał Cavanaugh.

- Steve, tu Aaron Stoddard.

Jamie i John wyprostowali się i spojrzeli na siebie zdumieni - Cavanaugh przedstawiający się prawdziwym nazwiskiem to było coś niezwykłego.

- Aaron, co za niespodzianka! Nie rozmawialiśmy od... Będzie już ze trzy lata.

- Podczas mojej ostatniej wizyty na Blade Show w Atlancie - przypomniał mu Cavanaugh. Z rozlicznych zjazdów entuzjastów noży Blade Show był największy, przyciągał ponad dziesięć tysięcy uczestników.

- Już się bałem, że zniknąłeś z oblicza Ziemi - powiedział głos Steve'a.

- Niezupełnie. Miałem dużo roboty na ranczu. - Steve wiedział o nim, że jest jakoby hodowcą bydła, co tłumaczyło jego adres w Wyoming. - Ale kiedy ci się przedstawiłem jako

ranczer, miałem na myśli moje uboczne zajęcie. Przede wszystkim pracuję w branży ochroniarskiej.

- O? - A po chwili zastanowienia: - Domyślam się, że w tym fachu masz duże zapotrzebowanie na noże.

- Większe, niż sobie wyobrażasz. Chcę cię prosić o przysługę.

- Jaką? - W głosie Steve'a wyczuwało się ostrożność.

- O listę prenumeratorów twojego magazynu.

- Chyba żartujesz.

- Nazwiska, adresy i numery telefonów, jeśli je macie. Co się da.

- To informacje poufne, przyjacielu. Nie mogę ot tak... Mówiłeś, że co konkretnie ochraniasz?

- Dam ci dyrektora jednostki antyterrorystycznej FBI, on ci to wyjaśni. Jak znam życie, usłyszysz zwroty takie jak „rząd federalny” i „bezpieczeństwo narodowe”.

Cavanaugh podał słuchawkę Johnowi.

6.

Pięć minut później John oddał słuchawkę Cavanaughowi.

- To jak, teraz już możesz mi dać listę prenumeratorów? - spytał Cavanaugh.

- To naprawdę jest aż tak ważne? Podaj mi swój adres e-mailowy - rzekł Steve. -
Prześlę ci to za pięć minut. Szukasz kogoś konkretnego? Może popytam tu i tam?

- Carl Duran.

- Ten twój przyjaciel?

- Rozpłynął się w powietrzu. Za wszelką cenę próbuję go znaleźć.

- Nic dziwnego, że ci się nie udało - powiedział Steve.

- Nie rozumiem.

- Carl umarł trzy lata temu.

- Umarł?

- Dziwię się, że nie wiedziałeś.

- Posprzecaliśmy się. Straciliśmy kontakt.

- Nie warto się kłócić, zwłaszcza jeśli jest już za późno, żeby to naprawić. Carl przestał się pojawiać na Blade Show mniej więcej w tym samym czasie co ty.

Kiedy wyleciał z Global Protective Service, pomyślał Cavanaugh. Sam przestał wtedy odwiedzać Blade Show, żeby się nie nadziać na Carla.

- Byłem ciekaw, co się z nim dzieje, więc zasięgnąłem języka - ciągnął Steve. - Dowiedziałem się, że zginął.

- Jak? - Cavanaugh mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

- W wypadku samochodowym w Tajlandii. A może na Filipinach. Słyszałem dwie różne wersje. On był budowlańcem, zgadza się?

Taka była przykrywka Carla, bo w teorii opłacało się udawać byle robota - wtedy nikt nie narzucał się z pytaniami.

- Słyszałem, że odłożył na wakacje, no i zginął na wyjeździe - powiedział Steve. - Sprawdziłem listę naszych stałych klientów i faktycznie, nie odnowił prenumeraty. Przykro mi, że dowiadujesz się tego ode mnie. Nawet jeśli się posprzeczaliście, na pewno wciąż miałeś go za przyjaciela.

Cavanaugh nie odpowiedział.

- To pewnie już nie potrzebujesz tej listy? - rzekł Steve.

- Przyślij mi ją, mimo wszystko. Chcę sprawdzić jeszcze inne nazwiska.

7.

Rozłożyli wydruki na podłodze i zaczęli je przeglądać.

- Mam - rzuciła Jamie. - Nazwisko Durana.

- Sprzed trzech lat - zauważył Rutherford. - Później już się nie pojawia.

- Z reguły jeśli próbujemy zniknąć, rzucamy wszystko, co nas wiązało z poprzednim życiem - powiedział Cavanaugh. - Ale niektórzy nie potrafią się odciąć na dobre. Mają związki, których nie są w stanie zerwać.

- Takie jak zamiłowanie do noży - zauważyła Jamie.

Przytaknął ruchem głowy.

- Carl wyleciał z roboty, bo miał problem z dyscypliną - ciągnął. - Może ten problem przeniósł się na jego próbę zatarcia za sobą śladów. Stara się zachować ostrożność. Może korzysta z pośredników. Ale idę o zakład, że wciąż prenumeruje czasopisma poświęcone nożom pod fałszywym nazwiskiem. „Blade” kupował już jako dziecko.

- Po rezygnacji z prenumeraty mógł kupować to pismo w kioskach - podsunął

Rutherford.

- Pracując dla barona narkotykowego w Ameryce Południowej? - wtrąciła sceptycznie Jamie. - Tam nie znajdzie się angielskojęzycznych pism branżowych.

- A może miał kogoś w Stanach Zjednoczonych, kto mu kupował ten magazyn i wysyłał pocztą? - zastanawiał się Cavanaugh.

- Poleganie na kimś to jeden wielki kłopot - zauważyła Jamie. - Poza tym prawdopodobnie nie jest to jedyne czasopismo o nożach, które chciałby mieć. Najprościej byłoby załatwić prenumeratę, kazać wydawcy wysyłać pismo na adres skrzynki kontaktowej, a z niej zlecić wysyłkę na swój adres.

- John, czy Biuro jest w stanie sprawdzić wszystkich, którzy wykupili prenumeratę „Blade” po tym, jak Carl zniknął z listy? - spytał Cavanaugh.

- Nie - zaprotestowała Jamie. - Nie po tym, jak zniknął z listy, tylko wcześniej.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Przypuśćmy, że Duran przewidział, że ktoś może próbować go znaleźć w ten sposób - wyjaśniła. - Więc może wykupił nową prenumeratę pod fałszywym nazwiskiem, zanim jeszcze sfingował swoją śmierć? W ten sposób lepiej można zatrzeć za sobą ślady.

- Sprytne - pochwalił ją Rutherford.

- Właśnie dlatego się z nią ożeniłem - rzekł Cavanaugh.

- Oczywiście to tylko strzał w ciemno - zastrzegła się Jamie.

- Ale innego tropu nie mamy. - Rutherford sięgnął po słuchawkę.

8.

Atlanta w stanie Georgia.

Z rękami w kieszeniach wiatrówki, pieszcząc specjalny składany nóż własnej roboty, Carl siedział na ławce i obserwował pieszych w ogromnym parku Centennial Olympic. Latem dzieciaki mogły skakać tam i z powrotem przez tak zwaną tańczącą fontannę - szeroki pas wodnych biczów strzelających sześć metrów w górę. Teraz, nie przejmując się chłodnym październikowym wiatrem, Carl wyobrażał sobie bachory przebiegające przez wodną mgiełkę. Niemal słyszał ich śmiech.

Fajnie byłoby mieć coś takiego, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi, co, Aaron?

Przypomniał sobie, jak we dwóch jeździli na rowerach na basen w parku w Iowa City.

W dole otoczona drzewami rzeka wiła się ku niskim, migoczącym w letniej mgiele budynkom w centrum miasta. Przypomnił sobie, jak pewnego dnia po południu przywiązali rowery łańcuchami do słupka, a kiedy wrócili z basenu, zobaczyli czterech szczeniaków, którzy próbowali przeciąć łańcuchy i zwinąć ich rowery. Kiedy Aaron zawołał, żeby przestali, tamci rzucili się na nich, a wtedy Carl pokazał mu, że nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. Wyjął scyzoryk; gówniarzom opadły szczęki, kiedy go otworzył, a potem gonił ich między drzewami. Przypomnił sobie, jaki Aaron był zaskoczony. Przypomnił sobie...

Obok niego usiadł jakiś mężczyzna. Nijako ubrany. Chudy. Po czterdziestce.

Wąsaty. Śniady. Z Bliskiego Wschodu.

- Tutaj jesteśmy za bardzo na widoku.

- Co dowodzi, że nie mamy nic do ukrycia.

- Przez mikrofon kierunkowy łatwo można podsłuchać, o czym mówimy.

- Nie wtedy, kiedy mój wspólnik bawi się tym samochodzikiem na baterie. - Carl wskazał Raoula; oddalony o trzydzieści metrów młody Latynos za pomocą nadajnika zdalnie sterował malutkim jeepem, który kręcił się w kółko.

- Nadajnik zakłóca pracę mikrofonów kierunkowych? - upewnił się mężczyzna.

- Wystarczająco, żeby kogoś w słuchawkach na głowie pozbawić słuchu. Dobrze jest spotykać się na dworze. Świeże powietrze. Słońce. Ludzie zajmujący się swoimi sprawami. Dzięki temu mamy kontakt z prawdziwym życiem. Nawiasem mówiąc, to tutaj nastąpił ten wybuch podczas olimpiady w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym.

Mężczyzna spojrzał tam, gdzie wskazywał Carl.

- Trzy bomby rurowe powiązane do kupy - prychnął z pogardą.

- A i tak zabiły jedną kobietę i raniły sto jedenastu postronnych osób - przypomniał mu Carl.

- Armia Boga. Taka grupa przyznała się do tego na kartce, którą zostawił zamachowiec. Bliższa prawdy byłaby Armia Amatorów. - Śniady mężczyzna rozejrzał się po otwartej przestrzeni wokół nich. - Jak zamierzasz załatwić Cavanaugha?

- Aarona - poprawił go Carl. - Nijak. Nie ma potrzeby. Chciałem go usunąć, bo mógł mnie powiązać z atakami nożem. Niektórzy z tych agentów musieli zginąć od noża. Na tym opierał się cały plan. A skoro Aaron już wie, że jestem w to zamieszany, to wyłącznie ja ryzykuję. Nie odkrył niczego, co zagrażałoby misji.

- On nie przestanie cię ścigać.

- To osobiste porachunki wymierzone tylko we mnie. Spokojna głowa, zastawiłem pułapki. Od tej pory skupiam się wyłącznie na misji. Nie zamierzam tracić więcej ludzi,

uganiając się za nim. - Carl wyciągnął prawą rękę z kieszeni wiatrówki i pokazał nóż. - Pewnie już się nie zobaczymy, więc mam dla ciebie prezent.

Po chwili wahania mężczyzna wziął nóż i przyjrzał mu się ciekawie.

- Niezwykła rękojeść.

- Wyrzeźbiona ze skamieniałej kości. Konkretnie z kła mastodonta znalezionej na Alasce. Ten surowiec można dostać w niektórych sklepach zaopatrujących twórców noży.

- Po co zawracać sobie głowę i używać tak starych kości?

- To ukłon w stronę środowiska naturalnego. Dzięki temu wiesz, że kość nie pochodzi z zabitych słońi czy morsów.

Mężczyzna przyglądał się Carlowi, próbując dociec, czy sobie z niego żartuje.

Nie widząc żadnej reakcji, wrócił spojrzeniem do noża. Na bladożółtej rękojeści osadzono dwa rzeźbione okręgi, jeden nad drugim. Dolny przedstawiał zegar z cyframi rzymskimi i strzałką w charakterze wskazówki. Górny był utworzony z gwiazd. W środku widniał profil twarzy.

- To „człowiek z księżycy” - wyjaśnił Carl.

- Imponująca wierność szczegółów.

- Długo pracowałem nad tym nożem. Latami. Czekałem na rozpoczęcie misji.

- Czuję się zaszczycony. - Mężczyzna spróbował otworzyć ostrze, ale bez skutku.

Ponowił próbę. - Coś szwankuje. Chyba się zacięło.

- Nie i tak.

- Nie rozumiem.

- Nie, nic nie szwankuje. Tak, ostrze się zacięło.

- Nadal nie...

- Ten model to jeden z najrzadszych noży na świecie. Nazywa się tajemnym nożem.

- Tajemnym? - powtórzył zaciekawiony mężczyzna.

- Zaprojektowano go pod koniec siedemnastego wieku. We Francji. Na dworze królewskim znanym z sekretów. Krzykiem mody były wtedy tajemne schowki. Pierwotna wersja tego noża mogła służyć szpiegom do ukrywania sekretnych wiadomości.

Mężczyzna znów spróbował otworzyć ostrze.

- Ale jak pan...

- Znajdując właściwą kombinację - wpadł mu w słowo Carl. - Ta strzałka na zegarze. I profil twarzy pośród gwiazd. Należy je przekręcić, ustawić we właściwym położeniu i dopiero wtedy zwolni się zatrzask, który blokuje ostrze.

- Coś jak kombinacja szyfru do kasy pancernej - zauważył śniady mężczyzna.

- Otóż to. Ale w tym przypadku są dwa pokręta. Ostrze otworzy się wtedy, kiedy oba ustawisz we właściwym położeniu. Ubawią cię symbole astronomiczne wyryte na ostrzu. Nikt nie jest pewny, co właściwie znaczą. Ja podejrzewam, że mają coś wspólnego z alchemią. A może z masonami.

Mężczyzna przekręcił pokręta i bezskutecznie spróbował otworzyć nóż.

- Minie dużo czasu, zanim odkryjesz właściwą kombinację i poznasz tajemnicę noża - zapewnił go Carl.

- Będę miał się czym zająć, czekając na początek tygodnia - odparł mężczyzna. Spojrzał za park Centennial Olympic, na wysoki, imponujący szary budynek z wieloma oknami. Napis zamontowany na górnym piętrze informował, że jest to główna siedziba CNN. - Za dwa dni ich prezenterzy padną z wyczerpania, relacjonując przez okrągłą dobę to, czego dokonaliśmy.

9.

Mając jednego agenta przed sobą, drugiego z tyłu i dwóch po bokach, Cavanaugh i Jamie przeszli przez zimny podziemny parking. Obok nich szedł Rutherford - tworzyli klasyczną formację ochronną. Wylegitymowali się strażnikom, wsiedli do windy i w milczeniu pojechali na górę.

Teraz już wiem, jakie to uczucie być klientem, pomyślał Cavanaugh.

Gdy grupa ludzi o zaciętych twarzach dojechała na czterdzieste piętro, znów mignęli legitymacjami przed nosem kolejnych strażników. Ich ukryta broń uruchomiła alarm wykrywacza metali, kiedy wchodzili do siedziby Global Protective Services. Recepcjonistce opadła szczeka. Kilku ochroniarzy zamurowało. Przechodząc jasno oświetlonym holem, Cavanaugh ledwo zdążył zauważyć, że zniszczenia po wybuchu zostały usunięte, biura wyglądały nieskazitelnie, jakby nic tam się nie stało. Nie raczył zapukać, tylko od razu otworzył drzwi z napisem ALI KARIM i usłyszał, jak szef personelu mówi do dwóch agentów FBI, którzy stali po jego bokach:

- Jeżeli mnie aresztujecie, przedstawcie mi zarzuty. Nie możecie mnie tu trzymać bez powodu.

A kiedy nagle otworzyły się drzwi, wściekły Ali odwrócił się zza biurka.

- A, teraz rozumiem - rzucił na widok wchodzących.

- Czyżby? - zapytał Cavanaugh. - Rozumiesz wszystko?

- Wyjaśniałem już panu, że musimy dopilnować, żeby pozostał tu do czasu, aż będzie mógł współpracować i odpowiedzieć na pytania, kiedy wszyscy dotrą na miejsce - oznajmił jeden z agentów stojących obok Hindusa.

- Jeśli chodzi o współpracę, jestem w tym najlepszy. - Ali łypał wściekłym wzrokiem.

- Cavanaugh, obiecałeś być w kontakcie. Kiedy się nie odezwałeś, zaniepokoiłem się, że coś ci się stało.

- Dwa razy niewiele brakowało.

- Mogłeś sobie darować całe to przedstawienie. Gdybyś uprzedził mnie, że przyjeżdżasz, odwołałbym inne spotkania i zczekał na ciebie. Chyba że mi nie ufasz. - Ali wskazał dobrze zbudowanego Murzyna stojącego obok Cavanaugha. - A to kto?

Rutherford pokazał mu legitymację FBI.

- Czy to ma coś wspólnego z tym, że Kim poszła na odwyk? - spytał Ali.

- Wiesz już o tym?

- Zadzwoń z kliniki. Gdybym wiedział, że bierze, wywaliłbym ją dawno temu. Prawdę mówiąc, wylałem ją dziś z samego rana. Jej obecność tutaj jest zbyt ryzykowna. Bóg jeden wie, ile informacji taktycznych wypaplała, będąc na haju. Ale przynajmniej wiemy, gdzie nastąpił przeciek.

- Tak się składa, że obiecałem Kim powrót na dawne stanowisko po zakończeniu odwyku - poinformował go Cavanaugh.

- Co takiego?

- Nie jesteśmy przekonani, czy to ona była źródłem przecieku.

- A na wszelki wypadek, żebyśmy znowu nie dali się zrobić w konia, wprowadzamy nowy środek bezpieczeństwa: badania na obecność narkotyków - dodała Jamie.

- My?

- Jamie jest nowym zastępcą dyrektora naczelnego - wyjaśnił Cavanaugh.

- Miło, że poinformowaliście o tym szefa personelu, będę mógł przygotować ci gabinet, zawiadomić ludzi i wrócić do swojej roboty. A co do badań na obecność narkotyków, to świetny pomysł. Szkoda, że sam na to nie wpadłem. Chętnie jako pierwszy nasikam do próbówki, żeby udowodnić swoją lojalność. Ale powinniście wiedzieć, że w tej chwili moja lojalność jest wystawiona na ciężką próbę. Najwyraźniej nie jestem na liście waszych ulubieńców. O co wam chodzi?

- Cztery lata temu - rzekł Cavanaugh.

- Podpowiedz mi coś. Nie mam pojęcia, do czego pijesz.

- Byłeś w Rzymie. Jako szef ekipy ochraniającej rosyjskiego magnata naftowego.

Twarz Alego stężała.

- A, to. - Spojrzał na czterech agentów obok Rutherforda. Za nimi pracownicy GPS przysłuchiwali się rozmowie przez otwarte drzwi. - Chcecie to roztrząsać publicznie? Dbacie jeszcze o bezpieczeństwo, czy skupiacie się tylko na podejrzeniach wobec mnie?

Rutherford odprawił agentów ruchem dłoni.

Cavanaugh ruszył do drzwi, żeby je zamknąć, gdy naraz w progu stanął Gerald Brockman.

- To prywatna imprezka? - rzucił Afrykaner.

- Zapomniałem ci wysłać zaproszenie, ale możesz dołączyć do zabawy.

Brockman oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na ciemnej marynarce garnituru.

Cavanaugh domknął drzwi i odwrócił się do Alego.

- Ten rosyjski magnat naftowy został zastrzelony.

- Zgadza się.

- Byłeś wtedy w jego apartamencie hotelowym.

- To też się zgadza. Snajper strzelił przez okno. Prawdopodobnie zamach zlecił jeden z konkurentów Rosjanina.

- W twojej ekipie był Carl Duran.

- Duran? Ten bydlak nie pracuje już u nas od lat. Dlaczego się nim interesujesz?

- Rosjanin - rzekł Cavanaugh. - Opowiedz mi, co tam się stało. Dlaczego ochrona nawaliła?

- Należał do tych aroganckich klientów, którzy traktują swoich ochroniarzy jak lokajów i chłopców na posyłki. „Wnieście moje walizki. Zarezerwujcie mi stolik na kolację. Wypastujcie mi buty”. Mówiłem mu, że zajmujemy się tylko jednym, a nie jesteśmy w stanie tego robić z zajętymi rękami i kiedy zleca nam głupie zadania. Tłumaczyłem, że jeśli mu się to nie podoba i nie jest zadowolony z naszych usług, to powinien zatrudnić kogoś innego. Skonsultowałem się z Geraldem... - Ali wskazał opartego o ścianę Brockmana - ...który był wtedy moim przełożonym, a on powiedział, że postąpiłem dokładnie tak, jak trzeba.

Brockman skinął głową.

- Klient przepadał za wódką - ciągnął Ali. - Poza tym lubił stać nocą w oknie apartamentu i podziwiać światła Rzymu. Ja zasuwiałem zasłony, on je odsuwał. Stale wbijałem mu w głowę, że ma się trzymać z dala od tych cholernych okien. Któregoś wieczoru, kiedy urznął się bardziej niż zwykle, rozsunał zasłony, wyciągnął ręce ku światłom miasta i powiedział mi: „Widzisz, nikt tam się nie czai, żeby mnie zabić”. „To po kiego pan

nas wynajął?” zapytałem. „Dla szpanu”, odpowiedział. Zarechotał, golnął jeszcze więcej wódki i oświadczył:

„Skoro mam taką ochronę, to znaczy, że jestem ważniakiem, no nie?”. Znowu wybuchnął śmiechem i właśnie wtedy kula roztrzaskała szybę.

- Szyby nie były kuloodporne?

- To nie wchodziło w rachubę. On sam wybrał hotel. Zresztą w ilu hotelach mają takie szyby? Nie musiałyby być kuloodporne, gdyby ten dumny palant słuchał poleceń i nie odsłaniał okien. Kula trafiła go tutaj. - Ali dotknął środka czoła. - Pocisk grzybkowy. Prawie cały mózg wyleciał mu z tyłu głowy. Współpracując z policją, dowiedzieliśmy się, że strzał padł z dachu budynku oddalonego o dwieście metrów. Przez dwa ostatnie dni i noce padało. Zabójca musiał zrobić prowizoryczny namiot z poncho. Znaleźliśmy suchy ślad w miejscu, gdzie leżał, w środku mokrego żwiru na dachu.

- Cierpliwy facet.

- Albo kobieta - zauważyła Jamie.

Cavanaugh skinął głową.

- Tobie nikt nie dorównuje cierpliwością. - Zbliżył się do Alego. - Jak się do tego ma Carl Duran?

- Był w grupie ochraniającej apartament Rosjanina od zewnątrz. Pękająca szyba narobiła tyle hałasu, że usłyszał to i wpadł do środka.

- Drzwi nie były zamknięte na klucz?

- Oczywiście, że były - odparł Ali.

- To ty go wpuściłeś?

- Ja zajmowałem się Rosjaninem, próbowałem mu pomóc. Kiedy się zorientowałem, że nie dam rady, pobiegłem do telefonu i wezwałem karetkę.

- Wobec tego Carl nie mógł tam wejść, chyba że miał klucz.

- To było tak dawno temu. Ale tak, najwyraźniej miał swój klucz.

Brockman odepchnął się od ściany i wyprostował.

- Dowodziłem grupą badającą przebieg zajścia. Pojawiały się różne pytania, na przykład czy Ali nie powinien bardziej naciskać na Rosjanina, żeby się trzymał z dala od okien.

- Naciskać? Robiłem, co się dało, mogłem go jeszcze co najwyżej skuć kajdankami!

- W sumie uznaliśmy to za klasyczny przypadek, kiedy klient sam ściąga na siebie nieszczęście - ciągnął Brockman.

- Jeśli chodzi o Durana, kiedy kula roztrzaskała szybę, był z jednym z członków

swojej grupy na zewnątrz apartamentu. Rzecz jasna, strzał padł z innego budynku. Dokąd to wszystko prowadzi? Dlaczego tak się interesujesz Duranem?

Cavanaugh opowiedział, czego się dowiedzieli.

- On wie tak dużo o naszych agentach, że informacje musi mu przekazywać ktoś z GPS.

- Ktoś z kierownictwa - wyjaśniła Jamie Brockmanowi. - Według nas Duran wymusza te informacje szantażem. Wasze drogi, to znaczy twoje, Alego i Durana, skrzyżowały się tylko raz, przy okazji śmierci Rosjanina, więc bardzo prawdopodobne, że właśnie wtedy zaczęły się nasze obecne kłopoty.

- Uważacie, że jestem w to zamieszany? - prychnął wściekle Brockman.

- Nie. Kiedy Carl wyleciał z roboty, byłeś zastępcą szefa firmy. Gdyby miał czym cię szantażować, zmusiłby cię, żebyś go nie wyrzucił.

- Wobec tego obwiniać mnie? - spytał ostro Ali.

- Od czasu zabójstwa Rosjanina miałeś związek z Duranem - zwrócił mu uwagę Cavanaugh.

- Za to Kim, nasza firmowa ćpunka, jest czysta?

- Pomogła nam - powiedziała Jamie. - Właściwie to ryzykowała dla nas życie.

- Więc co mam zrobić, żeby udowodnić, że nie jestem źródłem przecieku? Wskoczyć z okna?

- Moim zdaniem nic nie możesz zrobić - uświadomił go Cavanaugh. - Dopóki nie uporamy się z kryzysem, idziesz na płatny urlop. Sprawdzimy wszystkie twoje rozmowy telefoniczne, zobaczymy, czy nie kontaktowałeś się z kimś podejrzanym. Jamie weźmie twardego dysk z twojego komputera i odzyska emaile, które usunąłeś.

- Przeważnie nigdy nie są całkiem wykasowane - wyjaśniła.

- To może jeszcze sprawdzicie moje wyciągi bankowe. Co?

- Właśnie w tej chwili ktoś się tym zajmuje.

Ali przeczesał ręką gęste ciemne włosy.

- Wiecie co? Wsadźcie sobie ten płatny urlop gdzieś. W dupie mam taką pracę.

- Przeszył Rutherforda wściekłym spojrzeniem. - Czy jestem aresztowany?

- Nie mam dostatecznych dowodów.

- No to odpierdolcie się ode mnie.

Gdy Ali jak burza wypadł z gabinetu, przez kilka sekund nikt się nie odzywał.

- Jeżeli grał, to zasługuje na Oscara - oświadczył w końcu Rutherford.

- Owszem, ale jeśli jest niewinny, już nigdy nie odzyskam jego zaufania - dodał Cavanaugh.

- Witaj w świecie szefów prowadzących firmy - rzucił Brockman.

- Zastanówmy się nad tobą i Duranem - powiedział Rutherford do Cavanaugha. - Nie kontaktowaliście się od trzech lat, aż tu nagle próbował cię zabić w Wyoming. Dlaczego?

- Mogłem powiązać sposób, w jaki zginęli nasi agenci, z jego obsesją na punkcie noży. Nie chciałem, żebym ściągnął na niego podejrzenia.

- Ale dlaczego zwlekał z tym tak długo? - zapytała Jamie. - Jeśli widział w tobie zagrożenie, to powinien cię wyeliminować na samym początku... jeszcze zanim agenci zaczęli ginąć od noży.

Cavanaugh przemyślał to sobie.

- Może nie widział we mnie zagrożenia, dopóki byłem poza branżą. Ale potem jego kontakt ostrzegł go, że niejaki Aaron Stoddard ma odziedziczyć Global Protective Services. Carl wiedział, kim jest Aaron Stoddard. Nie mógł dopuścić, żebym się w to wmieszał, za żadną cenę.

- Z powodu noży - rzekł Brockman. - Ale ten schemat wciąż nie jest całkiem jasny. Nie wszyscy nasi agenci zginęli od noża. A z agentów rządowych tylko kilku. Dlaczego akurat ci, a nie inni?

Jamie wstała raptownie i podeszła do komputera na biurku Alego.

- Gerald ma rację. Przeglądaliśmy wszelkie możliwe listy. Ale nie sprawdziliśmy tego, co łączy agentów zabitych białą bronią.

Wstukała kody podane przez Kim umożliwiające dostęp do bazy agentów GPS.

Nacisnęła jeszcze kilka klawiszy, spojrzała na ekran i postukała w klawiaturę.

Drukarka natychmiast zaczęła wyrzucać z siebie zapisane kartki.

Cavanaugh zgarnął je i rozłożył na biurku. Pozostali dołączyli do niego.

- W ich przeszłości nie widać żadnych podobieństw - ocenił Rutherford. - Urodzili się i wychowali w różnych stronach. Służyli w różnych formacjach wojskowych: Osiemdziesiątej Drugiej Powietrznej, w zwiadzie marines, w rangersach, w siłach specjalnych, w SEAL, w brytyjskiej SAS, w południowoafrykańskiej jednostce Reconnaissance Commando.

- I prawie nikt z nich nie służył w tym samym czasie i w tym samym miejscu co inni - dodała Jamie.

- A jako ochroniarze też nigdy nie pracowali razem przy jednym zadaniu - rzekł

Brockman. - Może podchodzimy do tego z niewłaściwej strony.

- Co masz na myśli?

- Jeśli istnieje wspólny mianownik, to może nie jest nim to, gdzie służyli ani gdzie wykonywali zadania. Może chodzi o to, dokąd się wybierali?

- Wybierali? - zdziwiła się Jamie.

- Na kolejne zlecenie. - Brockman przesunął palcem po kartkach. Zatrzymał się na jednej pozycji, a jego twarz stężała. - Rany boskie!

Cavanaugh spojrział na to, co wskazywał palec Brockmana, i poczuł, że ogarniają go mdłości. Chwycił telefon.

- Sprawdźmy to z Secret Service, U. S. Marshals i Dyplomatyczną Służbą Bezpieczeństwa. Ich agentów, których zabito za pomocą białej broni. Musimy się dowiedzieć, jaki mieli następny przydział.

- To samo miejsce? - spytała Jamie.

Wraz z innymi spojrziała na kartki.

- Nowy Orlean.

- Światowa Organizacja Handlu.

- Za dwa dni.

11.

W sali konferencyjnej GPS roilo się od agentów korzystających z telefonów komórkowych i komputerów. Gońcy biegali wte i wewte. W szumie drukarek ekipy Rutherforda i Cavanaugha pracowały razem, nie tracąc ani sekundy.

Podobne pokoje sztabowe działały w FBI, w Secret Service, U. S. Marshals oraz w Dyplomatycznej Służbie Bezpieczeństwa - wszystkie grupy kontaktowały się ze sobą, na bieżąco wymieniając informacje, koordynując akcję i starając się zapobiec katastrofie.

Hałas w pokoju zmusił Rutherforda do podniesienia głosu.

- Podczas konferencji Światowej Organizacji Handlu w Seattle z powodu zamieszek omal nie zamknięto centrum miasta.

Cavanaugh wiedział o tysiącach demonstrantów i milionowych szkodach.

Protesty przeciwko WTO sparaliżowały również Genewę. W zasadzie wszędzie, gdzie WTO zwoływała swoje kongresy, dochodziło do masowych, gwałtownych zamieszek

wymierzonych - jak to określali protestujący - w politykę wspierania działań szkodzących środowisku i gwałcących prawa pracownicze.

- Nie uwierzyłbyś, jakie były naciski polityczne, byleby ta konferencja doszła do skutku - powiedział Rutherford.

- I presja gospodarcza ze strony największych koncernów - dodał Brockman. - Liczą na to, że WTO zapewni im gładki wjazd do krajów Trzeciego Świata. Gra idzie o miliardy dolarów.

Cavanaugh stanął za Jamie wpatrzoną w ekran komputera, na którym widać było barykady i zasieki z drutu kolczastego w centrum Nowego Orleanu.

- Tam będą setki dyplomatów, polityków, prezesów koncernów i głów państw. Wszyscy są na celowniku. Na skutek obecnego kryzysu w branży nie dostaną pierwszorzędnej ochrony, do jakiej przywykli. Dlaczego Secret Service nas nie słucha?

- To wina ludzi, którzy wydają im rozkazy - wyjaśnił Rutherford. - Nie bez powodu te agencje mają w nazwie „służba”. Ochroniarze to w gruncie rzeczy służący. Muszą słuchać tych, którzy płacą rachunki. Czy politycy i dyplomaci mają pojęcie, czego wymaga zapewnienie im ochrony? Oni mają we łbach jedynie swoje machlojki, a ochroniarzom każą nosić walizki.

- Każdy wolny agent GPS został skierowany do Nowego Orleanu - powiedział Brockman. - Już my dopilnujemy, żeby na naszej zmianie nikt nie zginął.

- Tylko że niektórzy z nich wchodzą na miejsce zabitych agentów do zgranych zespołów, z którymi wcześniej nie pracowali - zauważył Cavanaugh. - Zanim się dograją, stracą trochę cennego czasu.

- Poza tym skoro ochroniarze już wiedzą, jak to jest samemu być celem, czy będą dbali bardziej o klientów, czy o siebie? - zadumał się Rutherford. - Jasne, wiem, to profesjonaliści. Dzień w dzień pokazują, że nie ma dzielniejszych od nich. Ale jak mają się skupić na ochronie obcych, kiedy się boją, że to ich ktoś zabije albo wysadzi w powietrze ich rodziny? System jest niebezpiecznie przeciążony.

Jamie wciąż stukiała w klawisze, ściągając obrazy zatłoczonych portów w rejonie Nowego Orleanu.

- Mam nadzieję, że podczas gdy my tu się martwimy, ktoś już sprawdza te statki. Nowy Orlean ma drugi z najbardziej ruchliwych portów w Stanach Zjednoczonych. Łatwo tam przemyścić brudną bombę.

- Najlepiej będzie, jeśli tam polecimy - powiedział Cavanaugh.

- Niekoniecznie. - Rutherford skrzywił się, czytając kartkę, którą mu doręczono. -

Może twoja pomoc przyda się gdzie indziej.

- Gdzie indziej...?

Murzyn pokazał mu kartkę.

- Zgodnie z twoją sugestią sprawdziliśmy wszystkich nowych prenumeratorów czasopism o nożach, zwłaszcza „Blade”. Zaczęliśmy rok wcześniej, nim nazwisko Durana znikło z listy „Blade”. Wszystkie nazwiska doprowadziły do prawdziwych osób, z wyjątkiem tych trzech. Nadal sprawdzamy. Pracowaliśmy tak szybko, że mogliśmy popełnić błędy. Ale czy któreś z tych nazwisk albo adresów coś ci mówi?

Cavanaugh przeczytał nazwiska.

- Ostatnie. Robert Loveless.

- Bo? - zapytał Brockman.

- Bob Loveless był słynnym twórcą noży. Podkreślam „był”. Już nie żyje.

- Może to zbieg okoliczności - powiedział Rutherford.

- Ale nie pod tym adresem. To numer wiejskiej drogi koło West Liberty w Iowa. Tam mieszkał Lance Sawyer. Staruszek, który nauczył Carla i mnie wykuwania noży.

12.

Kiedy gulfstream wystartował z lotniska Teterboro i skierował się do Iowa, Cavanaugh i Jamie rozpakowali następane dwie torby ucieczkowe.

Rutherford, siedzący na skórzanym fotelu obrotowym, przestał podziwiać luksusowe wnętrze odrzutowca i obejrzał zawartość toreb.

- Pistolety, noże, amunicja, miniaturowe latarki, taśma izolacyjna, pieniądze. W niektórych krajach Trzeciego Świata wojsko nie ma takiego wyposażenia. Nie sądzę, żebyście mieli pozwolenie na tę broń w stanie Iowa.

- Niestety, nie - przyznał Cavanaugh.

Rutherford westchnął.

- Czy ten telefon działa?

- Owszem, tylko trzeba zostawić na stoliku pięćdziesiąt centów.

Rutherford zmierzył Cavanaugha beznamiętnym spojrzeniem, z kieszeni marynarki wyciągnął notes, znalazł właściwy numer, sięgnął po telefon, zadzwonił i przedstawił się.

- Muszę rozmawiać z agentem dowodzącym... Spodziewamy się wylądować o

jedenastej w nocy waszego czasu. Chcę potwierdzić, czy załatwiono nam zakwaterowanie i czy pański zespół będzie gotowy na odprawę o szóstej rano... Dobrze. Poza tym potrzebuję dla dwojga cywili czasowe pozwolenie na noszenie ukrytej broni palnej. Numery seryjne podam panu, jak wylądujemy... Dziękuję. - Odłożył słuchawkę.

- Znajomość z panem jest bardzo przydatna - skwitowała Jamie.

- Oby wam to nie weszło w krew. Nie będę stale pociągał dla was za sznurki.

- Zaraz, my też parę razy ci pomogliśmy - zaprotestował Cavanaugh.

Rutherford znów westchnął.

13.

W coraz dłuższych cieniach Brockman gapił się na nieprzerwany sznur samochodów na ulicy. Kazał kierowcy zostawić wóz na parkingu Global Protective Services.

- Szybciej dojdę do domu pieszo. Zadzwonź za godzinę. Powiem ci, kiedy masz po mnie przyjechać.

Po stresującym dniu chętnie skorzystał z okazji do złapania trochę ruchu. Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, dziewięćdziesiąt pięć kilogramów twardych mięśni i codziennie przez półtorej godziny ćwiczył hantlami, na ruchomej bieżni i wielofunkcyjnym przyrządzie typu atlas do rzeźbienia różnych grup mięśni, który zainstalował w swoim mieszkaniu. Mimo że temperatura wynosiła zaledwie pięć stopni, a on był tylko w garniturze, chłód wydał mu się tak przyjemny, że maszerując wielkimi krokami Madison Avenue do Pięćdziesiątej Trzeciej, poluzował krawat.

Wyciągając nogi i omijając przechodniów, niemal puścił się biegiem, gdy dotarł do Piątej Alei i skręcił na północ. Wysilek fizyczny go rozgrzał. Ryk klaksonów, warkot silników i strzelające z rur opary spalin zatarły się tak, że prawie nie zdawał sobie z nich sprawy. Skupił się na przyjemności, jaką dawała mu praca mięśni i poczucie, że krew krąży w jego żyłach.

Pięćdziesiąta Ósma. Przed sobą, za sklepem jubilera i salonem projektanta mody, zobaczył rozpościerający się po lewej Central Park; w ostatnich promieniach słońca liście przybrały barwy czerwieni, żółceni i złota.

Sześćdziesiąta Trzecia. Teraz po lewej ręce miał tylko park - z krzakami, wielkimi głazami, drzewami i trawą, w środku betonowego miasta wyglądał surrealistycznie.

Brockman wyciągnął kodowany telefon komórkowy i wybrał numer.

- Case - powiedział, używając jako hasła nazwiska producenta noży. Czekał na odpowiedź. - Nowy Orlean - wyjaśnił słuchającemu po drugiej stronie. - Powiniennem dotrzeć tam dziś wieczorem. Cavanaugh wziął samolot firmowy, więc muszę pojechać na La Guardia i polecieć lotem rejsowym. - Zaczekał na odpowiedź, a potem dorzucił: - Poleciał do Iowa.

Schował komórkę i jeszcze bardziej wydłużył krok. Oczyszczył umysł z ruchu ulicznego, przechodniów, gońców na rowerach i dzieciaków na deskorolkach.

Wyobraził sobie, że wędruje w dziczy, z dala od ludzi i całego tego bajzla.

Pograżony w marzeniach słyszał tylko chrzęst liści pod swoimi stopami, czuł mrowienie skóry i wdychał górskie powietrze.

Skręcił w prawo w Siedemdziesiątą Pierwszą. Półtorej przecznicy dalej wszedł do swojej kamienicy. Wjechał windą na dziewiąte piętro. Czoło miał zroszone potem, gdy szedł korytarzem do mieszkania i przekręcał klucz w zamku. Kiedy otworzył drzwi, czujnik ruchu zapiszczał przenikliwie, dając mu dwadzieścia sekund na w bicie kodu na klawiaturze po prawej stronie futryny.

Mimo że pracował w branży ochroniarskiej od lat, Brockman popełnił błąd, który zdarza się w zasadzie wszystkim posiadaczom czujników ruchu. W obawie przed hałasem piszczącego alarmu zostawił otwarte drzwi, żeby jak najszybciej wprowadzić kod. Dopiero kiedy piszczenie ustało, odwrócił się i chciał zamknąć za sobą. Tyle że dźwięk alarmu zagłuszył odgłos zbliżających się kroków.

Znienacka Brockman poczuł ostry ból w prawym udzie. Sięgając pod marynarkę po pistolet, zobaczył w progu ciemną twarz Alego Karima, który mierzył go wściekłym wzrokiem. Jego nogę ogarnęło ciepło. W miarę jak toksyna z wbitej w nią strzałki zaczęła się rozchodzić po ciele, rozjuszona twarz Alego coraz bardziej się rozpływała.

Brockman zatoczył się do tyłu i osunął. Zamazane ręce Alego uderzyły go i wyrwały mu pistolet.

14.

Dzwonek telefonu. Stłumiony. Jakby aparat był zakryty kocem.

- Halo? - Głos przypominał szept w oddali. O dziwo, brzmiał jak głos Brockmana. - Przyjechać, żeby mnie zawieźć na lotnisko? Nie, zmieniłem plany. Wypadła mi pilna sprawa,

muszę się nią zająć. Do jutra nigdzie się nie ruszam. Sam zadzwonię.

Zapadła cisza. Brockman powoli uświadomił sobie, że siedzi prosto, oparty plecami o coś metalicznego. Przywiązany do czegoś z metalu. Nagle na jego twarz padło ostre światło. Wiele ostrych światel. Chciał je odtrącić na bok, ale nie mógł poruszyć rękami.

Kroki. Powietrze jakby zgęstniało, gdy ktoś zatrzymał się przed nim.

- Hej! - Klaps. - Ocknij się! - Klaps. - Wiem, że udajesz! - Klaps. - Otwieraj te cholerne gały albo przyklepię ci powieki taśmą do czoła!

Brockman z wysiłkiem otworzył oczy i zmrużył je porażony bolesnym blaskiem licznych lamp. Miały odchylone do tyłu abażury, gołe żarówki świeciły prosto na niego, niemal go oślepiając. Nie mogąc ruszyć głową, zaczął zerkać na boki, żeby ochronić oczy, ale nie był w stanie uciec od gorąca buchającego z żarówek. Jego prawa noga, w którą trafiła strzałka ze środkiem obezwładniającym, spuchła i dygotała.

Tuż przed nim stał Ali. Czarnowłosa, ciemnoskóry i w czarnym garniturze, do kompletu miał czarne skórzane rękawiczki.

Brockman zebrał siły i spróbował się poruszyć. Zerkając szybko na boki, zobaczył sztangi, ruchomą bieżnię... Był we własnej siłowni. Na stole leżał jego pistolet, telefon komórkowy, a także nóż w kształcie szponu, pochwa i łańcuszek, który Ali przy nim znalazł. Skierował wzrok w dół i uświadomił sobie, że jest przywiązany do przyrządu do ćwiczeń - nogi do dolnego bloku na zginanie nóg, ręce do górnego na ćwiczenie mięśni klatki piersiowej.

- Wiem, że nie ja jestem źródłem przecieku - odezwał się Ali. - Cavanaugh jest absolutnie pewny, że to nie Kim. Zresztą kto byłby na tyle głupi, żeby szantażować ćpunkę, licząc, że będzie przekazywała informacje precyzyjnie i na czas? Pozostajesz więc ty, przyjacielu, a chcesz wiedzieć, dlaczego jestem pewny, że jesteś tym sukinsynem, który powiedział Carlowi Duranowi, gdzie będą pracowali nasi agenci, przy jakich zleceniach i kiedy?

Brockman miał za sobą twardy wojskowy trening, spędził tygodnie na odludziach Republiki Południowej Afryki bez jedzenia i wody, wśród pożarów buszu, lwów i słoni. Zebrał do kupy całą swoją dyscyplinę, wszystko, czego się nauczył o tym, jak znieść przesłuchanie.

- Popelniasz błąd.

Klaps.

- Pytałem, czy chcesz się dowiedzieć, dlaczego jestem pewny, że to ty jesteś tym sukinsynem, który nas sypnął?

- Czyś ty na głowę u...

Klaps.

Twarz paliła Brockmana po zetknięciu z rękawiczką Alego.

- Bo gdziekolwiek spojrzeć, giną następni ochroniarze. Bo każdy z nas stale ogląda się za siebie, zastanawiając się, czy teraz jego kolej. Wszyscy, tylko nie ty, przyjacielu. Obserwuję cię od kilku dni. Na ulicy nie jesteś ani trochę nerwowy, nie czujesz się zagrożony tak jak reszta z nas. Nie zachowujesz się jak ktoś, kto się boi, że zarobi nożem, tak jak ja się boję. Ciekawe dlaczego? Czy aby nie dlatego, że bierzesz w tym udział, więc wiesz, że jesteś bezpieczny?

Brockman nie odpowiedział.

- No cóż, nigdzie nam się nie śpieszy - rzekł Ali. - Mamy przed sobą wiele godzin. Całą noc. Jutrzejszy ranek. Przez lata nasłuchiwałem się twojego akcentu i jeśli ktoś zadzwoni, świetnie potrafię cię udawać. Powiedziałem twojemu kierowcy, że nie będzie potrzebny. Spodziewasz się gości?

- Jednego.

- Kobiety czy mężczyzny?

- Kobiety. Jeśli nie odezwę się przez domofon, nabierze podejrzeń.

- Znowu zmienię głos - powiedział Ali.

- Za dobrze mnie zna. Pozna, że to nie ja. Także wtedy, jeśli ból zniekształci mój głos. Zacznie coś podejrzewać i zawiadomi policję.

- Więc powinienem się z tobą obchodzić łagodnie, tak? - Ali uśmiechnął się. - No ale przynajmniej odpowiedziałeś na kilka pytań z rzędu, nawet jeżeli łągałeś. Jak możesz być umówiony z dziewczyną, skoro kierowca miał cię odwieźć na lotnisko La Guardia? - Klaps. - Nie wolno kłamać, Geraldzie. Ale mamy pod dostatkiem czasu, żeby o tym podyskutować.

Myślę jednak, że na początek trochę ćwiczeń pomoże ci się rozluźnić. Te wielofunkcyjne przyrządy są wspaniałe. Nie masz mi chyba za złe, że pozwoliłem sobie zmienić co nieco ustawienia tego urządzenia?

Niemal oślepiony przez światło Brockman patrzył, jak Ali ciągnie za uchwyt.

Prowadząca od niego linka przywiązana była do kilku kół zwiększających obciążenie, które Ali dorzucił do sprzętu. Urządzenie to pozwalało Alemu podnosić kolosalne ciężary, prawie nie tracąc energii. Przerażony Brockman patrzył, jak podpórka do ćwiczenia nóg wędruje w górę, a wraz z nią, chcąc nie chcąc, jego nogi. Miał wrażenie, że mu pękną pod olbrzymim ciężarem sztang przywiązanych do kostek. Pot zalał mu twarz. Otworzył usta. Pomyślał, że za chwilę zacznie wrzeszczeć.

Ali wsadził mu szmatę do ust.

Natychmiast też pociągnął następny uchwyt, którego przewód prowadził do kolejnego zestawu obciążających kół. Blok do ćwiczenia mięśni klatki piersiowej przesunął się do przodu i do wewnątrz, pociągając za sobą rękę Afrykanera.

Obciążenie ramion Brockmana było kolosalne, ręce miał przymocowane do drążków odwrotnie niż zazwyczaj, wnętrzem dłoni na zewnątrz, a nie do środka.

Mięśnie naciągały się w nienaturalny sposób. Trzaskało mu w kręgosłupie. Przed oczami stanął mu okropny widok pieczonego kurczaka, któremu odrywają przypalone skrzydła. Po jego twarzy spływał pot. Narastający w nim krzyk groził, że lada chwila wypłuje szmatę z ust.

Nagle Ali puścił uchwyt. Drążki przyrządu wróciły na swoje miejsce, pociągając za sobą nogi i ramiona Brockmana. Jego ciało przeszła fala bólu, był nie do zniesienia. Żołądek podszedł mu do gardła. Ali wyciągnął szmatę w chwili, gdy usta Brockmana wypełniła gorąca żołąć.

- Prawda, że to usuwa skurcze? - zapytał Ali. - Nie ma to jak trochę ćwiczeń, człowiek odpręża się po ciężkim dniu i od razu nabiera ochoty na pogawędkę. Ale zanim sobie pogadamy, powtórzmy zasady przesłuchania. Absolutne pewniki, które obaj dobrze znamy. Nikt, choćby nie wiadomo jak silny i uparty, nie wytrzyma stałej tortury. Wiesz, że połączony efekt osłabienia, bólu, szoku, wstrząsu, strachu i dezorientacji uczyni z ciebie skamlące zwierzę, które zrobi wszystko, byleby przerwać ten ból. To jasne jak słońce. Mając tę świadomość, zaczniesz się targować ze sobą. Na razie myślisz: „Nie wyjawię żadnych informacji, dopóki się da. Może ktoś tu wpadnie i mnie uratuje. Albo ten, kogo nie chcę zdradzić, zacznie podejrzewać, że jestem poddany przesłuchaniu, i poczyni odpowiednie kroki w celu uchronienia siebie i misji. A wtedy jeśli w końcu się przyznam, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Nie myśl o tym, co będzie jutro, za godzinę czy nawet za minutę. Skup się na chwili bieżącej.

A z tym sobie poradzę. To zadanie jest wykonalne”. Czy nie taką postawę w razie przesłuchania wbijano ci do głowy, Geraldzie? Oczywiście, że tak.

A teraz posłuchaj, czego ja cię nauczę. Do rana wyśpiewasz mi wszystko, co chcę wiedzieć, albo zrobię z ciebie kalekę. Zostawię cię tak połamanego i z takim pomieszaniem zmysłów, że do końca swoich długich dni i nocy będziesz uwięziony we własnym świecie. Kiedy będę cię okaleczał, doświadczysz bólu tak strasznego, jaki do tej pory nie mieścił ci się w głowie. Bólu, który nie ustępuje ani na chwilę. I w końcu zaczniesz gadać. Wiesz o tym.

A skoro zdajesz sobie sprawę, że prędzej czy później wyjawisz mi informacje, musisz

zadać sobie pytanie, po co masz znosić ten ból. Jasne, powinieneś udowodnić, jaki to jesteś silny i dzielny. Rozumiem to, więc pozwolę ci się wykazać. Tyle że zazwyczaj ludzi powstrzymuje przed sypaniem lojalność albo strach. Nie potrafię sobie wyobrazić, żebyś wykazywał lojalność wobec kogoś, kto zabija twoich kolegów po fachu. A zatem muszę przyjąć, że boisz się tego kogoś bardziej niż mnie. Obiecuję ci coś, Geraldzie. Powiedz mi to, co chcesz wiedzieć, zdradź go, a gwarantuję, że osobiście zapewnię ci ochronę. Ale obiecuję ci coś jeszcze. Jeżeli nie wykonasz moich poleceń, sprawię, że będziesz się mnie bał o wiele bardziej niż człowieka, któremu składałeś sprawozdania.

Ali z powrotem wepchnął przesiąkniętą żółcią szmatę do ust Brockmana i jeszcze szybciej niż poprzednio pociągnął uchwyty przyrzędu, szarpiąc rękami i nogami przesłuchiwanego w górę i do przodu, z jeszcze większą siłą; ciężarki przymocowane do kończyn groziły zerwaniem ścięgien, więzadeł i wyrwaniem kości ze stawów.

Brockmanowi zrobiło się czarno przed oczami. Ali znów wyjął mu z ust szmatę, żeby mógł rzygnąć żółcią.

- Mów, Geraldzie. Opowiedz mi o Carlu Duranie.

15.

Nawet zza drzew na szczycie oddalonego o osiemset metrów wzgórza widać było, że dom, stodoła i budynki gospodarcze są w opłakanym stanie. Gdy wstało słońce, Cavanaugh, Jamie i Rutherford leżeli na zimnej ziemi w pokrytych czerwonym listowiem krzakach, spoglądając przez lornetki za ściernisko na polu kukurydzy. Nieco bliżej z prawej do lewej wiodł bity trakt. Dalej rozciągały się dzikie pastwiska należące do jednego z ulubionych miejsc, jakie Cavanaugh zapamiętał z dzieciństwa - farmy, na której spędził tyle cudownych niedziel.

W każdym razie wtedy te niedziele wydawały mu się cudowne. Nie z powodu tego, czego nauczył się o wyrabianiu noży. Noże nie były dla niego tak ważne jak czas spędzany z kimś, kogo uważał wówczas za najlepszego przyjaciela i z kim chciał się przyjaźnić do końca życia.

Mając słońce za plecami, nie musieli się obawiać, że światło odbije się od szkieł lornetek, zdradzając ich pozycję. Ale na wszelki wypadek Cavanaugh dopilnował, żeby byli dobrze zasłonięci.

- To miejsce wygląda na opuszczone - powiedziała Jamie. - Werandę trzeba odmalować. Dach pokryć nową dachówką. Stodoła się wali.

- Kiedy zaglądaliśmy tu z Carlem, starszek utrzymywał farmę w idealnym stanie. Nie pozwalał sobie gnuśnieć na starość.

- Mam wrażenie, że chętnie bym go poznała.

- John raczej niechętnie. Lance bez przerwy klął jak szewc.

Rutherford wyglądał na rozbawionego.

- No cóż, można przeklinać albo bluzgać.

- On bluzgał.

- Według miejscowej delegatury FBI po śmierci starego farmę kupił profesor literatury angielskiej z uniwersytetu w Iowa City - rzekł Rutherford. - Dżentelmen i farmer w jednej osobie. Część ziemi sprzedał sąsiadom. Resztę puścił w dzierżawę.

- Tak, pamiętam. Byłem jeszcze nastolatkiem. - Cavanaugh poczuł pustkę. Od tamtej pory tak wiele się wydarzyło. Pomijając Jamie, były to przeważnie bolesne rzeczy.

- Cztery lata temu profesor przeszedł na emeryturę i wyjechał do Arizony. - Leżąc na brzuchu, Rutherford wziął garść czarnej ziemi i przyjrzał jej się. - Wtedy posiadłość kupił Bob Loveless.

- Wygląda na to, że Duranowi cknęło się za dobrymi starymi czasami - zauważyła Jamie.

Rutherford wciąż oglądał garść ziemi.

- Niesamowicie żyzna gleba. Znakomita. Łatwo się kruszy.

- Odkąd to znasz się na glebie? - zapytał Cavanaugh.

- Ojciec miał farmę w Arkansas. Jako dziecko pomagałem mu orać i obsiewać pola.

Wszystko by oddał za taką glebę.

- Jesteś pełen tajemnic, John.

- Nie aż tak jak ty, Aaronie.

- Dziwnie się czuję, kiedy ktoś mnie tak nazywa.

- Czy ludzie z tutejszej delegatury FBI rozmawiali z sąsiadami? - spytała Jamie. - Czy cokolwiek świadczy o tym, że Duran w ogóle tu mieszkał?

- Ktoś odpowiadający jego rysopisowi pomieszkiwał tu od czasu do czasu cztery lata temu. Kilku sąsiadów wpadło się przywitać. Pamiętają, że był uprzejmy, ale nie udzielał się towarzysko. Jeśli już się uśmiechał, był jakby nieobecny duchem.

- Tak, to Carl - potwierdził Cavanaugh.

- Na ile się mogli zorientować... po śladach na śniegu i tak dalej... przebywał tu za

każdym razem nie dłużej niż tydzień albo dwa.

- A więc to tu się ukrywał między kolejnymi zleceniami - powiedziała Jamie do Cavanaugha. - Tak jak ty jeździłeś do Jackson Hole. To był jego dom.

- Blisko Iowa City i Hafor Drive, gdzie jako dziecko miał swój prawdziwy dom.

Trzy domy od mojego przy tej samej ulicy, pomyślał. Pamiętał tę ulicę z jednopiętrowymi domkami. Większość pomalowana była na nieskazitelną biel.

Wielkie okna od frontu. Gęste krzaki. Bujne klomby. Soczyste trawniki. I znów ogarnęło go poczucie pustki.

- Według sąsiadów przestał się pojawiać jakieś trzy lata temu - podjął Rutherford. - Od tej pory farma popada w ruinę.

- Trzy lata temu. - Cavanaugh skinął głową. - Po tym jak wyleciał z roboty i zaczął pracować dla tego barona narkotykowego w Kolumbii.

- Listonosz, który obsługuje ten rejon, twierdzi, że Bob Loveless nadal dostaje czasopisma i rachunki. Formularze o przedłużeniu prenumeraty. Reklamy. Takie tam rzeczy.

- I formularze podatkowe - dodał Cavanaugh. - Musi na bieżąco płacić podatki od nieruchomości, inaczej władze przejęłyby jego farmę. Należy zakładać, że ktoś przyjeżdża tu i odbiera pocztę, a potem mu ją przesyła na inny adres. Może ta sama osoba opłaca jego podatki.

- Chętnie byśmy sobie z tym kimś pogadali - podsumował Rutherford. - Pocztę dostarczają późnym popołudniem. Wczoraj, kiedy powiedziałeś, że to jest adres, którego szukamy, miejscowa delegatura FBI ledwo zdążyła złapać listonosza i namówić go, żeby zostawił w skrzynce jakieś reklamy. Od tej pory agenci obserwują posiadłość. Jak dotąd nie zauważyli w domu niczyjej obecności, nikt też nie odebrał poczty. Nie wejdziemy do środka, zanim ktoś nie zatrzyma się przy skrzynce na listy. Bo moglibyśmy spłoszyć kuriera. Nie pozostaje nam nic innego, jak leżeć tu i czekać.

- Może potrwa to krócej, niż sądzisz. - Jamie wskazała palcem.

Po prawej ujrzeni chmurę pyłu przesuwającą się równomiernie bitym traktem.

Cavanaugh zobaczył przez lornetkę, że do skrzynki na listy podjeżdża szary SUV.

- Wszyscy mają zostać na miejscu, dopóki się nie przekonamy, co jest grane - rzucił Rutherford to krótkofalówki.

SUV zbliżył się, jadąc od prawej do lewej. Tętno Cavanaugha przyspieszyło, chociaż nadal pomiędzy uderzeniami serca czuł pustkę.

- Spokojnie - powiedział Rutherford do krótkofalówki.

Podjeżdżając do skrzynki na listy, SUV nieco zwolnił. Pomimo kłębow pyłu

wzbijanego przez samochód od szyby po stronie kierowcy odbijały się promienie słońca. Cavanaugh, wsparty na łokciach, w skupieniu pochylił się, jakby chciał się znaleźć bliżej pojazdu.

SUV minął skrzynkę i dalej jechał bitą drogą.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Jeżeli to był kurier, może zorientował się, że coś jest nie tak, i dlatego się nie zatrzymał - zastanawiała się Jamie.

- Może - przyznał Rutherford. - Ale równie możliwe, że ktoś po prostu wybiera się do miasta.

Na drodze wykwitła kolejna chmura pyłu, tym razem wzbijana przez czerwoną półciązarówkę jadącą od lewej do prawej. Minęła pędem skrzynkę na listy, niemal zasłaniając ją kurzem. Cichy warkot silnika zamierał w oddali.

Po minucie z prawej nadjechał niebieski sedan.

Cavanaugh z każdą chwilą czuł się coraz bardziej uwięziony w czasie, podczas gdy świat zmierzał szybko ku zagładzie. Pomyślał, że Brockman powinien być już w Nowym Orleanie i organizować agentów Global Protective Services. W nocy kilkakrotnie próbował dodzwonić się do niego na komórkę. Bez skutku.

Zadzwoił więc na jego numer domowy. I znów nikt nie odebrał. Rutherford polecił oddziałowi FBI w Nowym Orleanie, żeby sprawdzili, czy Brockman się zameldował. Ale on zniknął bez śladu.

Cavanaugh znów wyjął telefon komórkowy, ale zamiast dzwonić do Brockmana, wybrał numer Global Protective Services, żeby wysłać jakiegoś agenta do mieszkania Brockmana, lecz przerwał połączenie, gdy rzucił okiem na drogę za polem i zobaczył, że przed skrzynką na listy zatrzymuje się niebieski samochód.

16.

Chmura pyłu wisiała w powietrzu. Cavanaugh widział tylko, że jakaś niewyraźna postać wychyla się przez okno z niewidocznej strony samochodu i otwiera skrzynkę.

- Spokojnie - powiedział Rutherford do krótkofalówki. - Może to ktoś, kto wkłada do skrzynki reklamy albo coś innego.

Z samochodu wysiadła młoda kobieta w dżinsach, skórzanej kurtce i z włosami

zebranych w koński ogon. Podeszła do bramy, odpięła łańcuch i pchnęła drzwi w głąb posesji. Potem wróciła do samochodu i podjechała alejką pod dom; odgłos silnika stopniowo ucichł.

- Jeszcze nie - rzucił Rutherford do krótkofalówki.

- Czekamy i patrzymy, co się stanie.

Samochód dojechał do domu. Cavanaugh patrzył przez lornetkę, jak kobieta wysiada. Weszła na werandę i spróbowała otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Zajrzała przez okna. Przeszła na tył domu i zniknęła z widoku.

Odbierając w słuchawce w uchu rozmowy prowadzone przez krótkofalówkę, Rutherford poinformował, co widzą inni obserwatorzy.

- Próbuje otworzyć tylne drzwi. Też są zamknięte na klucz.

Szczupła kobieta znów się pojawiła. Spróbowała dostać się do stodoły, do komórki, aż w końcu zrezygnowała, wróciła do samochodu i ruszyła z powrotem w kierunku drogi.

- Jazda! - krzyknął Rutherford do krótkofalówki.

Ni stąd, ni zowąd okolica zarośla się od ludzi. Z wysokich zarośli obok domu wstali mężczyźni w kominiarkach, z karabinami z rękach. Pojazdy ukryte na sąsiedniej farmie wyrwały na drogę i pognały, żeby zablokować alejkę. Lekki pomruk przeszedł w potężny grzmot, kiedy na horyzoncie ukazały się dwie coraz większe plamki - śmigłowce nadlatujące nad farmę.

Przez przednią szybę widać było zaskoczenie na twarzy kobiety. Wstrząśnięta nagłym widokiem zamaskowanych mężczyzn dodała gazu.

Wylot alejki zablokowali uzbrojeni ludzie. Kobieta skręciła na pole, za wszelką cenę próbując ich wyminąć. Nagle bramę zagrodziła ciemna furgonetka.

Mężczyźni z karabinami ruszyli na samochód ze wszystkich stron, a tymczasem pojazd ugrzązł na polu. Zabuksowały koła. Ziemia bryzgała w powietrze.

Cavanaugh zobaczył przez lornetkę, jak kobieta unosi ręce do skroni. Krzyczała.

- Kiepski początek dnia - mruknęła Jamie.

Wstali, otrzepując ubranie z ziemi. Od leżenia na zimnym podłożu Cavanaughowi zeszywniały kolana. Minęła kupa czasu, odkąd odszedłem z Delta Force, pomyślał.

- Weź samochód, John. - Wskazał na tył wzgórza, gdzie zostawili swój pojazd. - Ja muszę się przejść.

- Ja też - powiedziała Jamie.

Rutherford przyglądał im się przez chwilę, a potem skinął głową.

Schodząc po sztywnej brązowej trawie, Jamie zwróciła się do Cavanaugha:

- I pewnie potrzebujesz więcej czasu, żeby przywyknąć do myśli, że wracasz na tę farmę.

- To również.

Miał wrażenie, że chrzęst jego kroków dobiega z oddali, kiedy patrzył przed siebie, za pojazdy przy wjeździe na teren posiadłości, za niebieski samochód i ludzi rewidujących zrozpaczoną kobietę - na dom i stodołę, a zwłaszcza na budynek obok stodoły. Przypomniawsobie, jak siedział na przednim siedzeniu samochodu, kiedy matka przywoziła tą alejką jego i Carla na cotygodniowe lekcje. Wspomnienia przysły w grzmocie silników śmigłowców lądujących obok stodoły, w miejscu, gdzie zawsze parkowała jego matka. Zamiast dwóch chłopców wysiadających z samochodu ze śmigłowców wyskoczyli mężczyźni z karabinami i rozbiegli się między zabudowaniami.

Cavanaugh i Jamie w milczeniu dotarli do wylotu alejki w tej samej chwili, gdy nadjechał Rutherford. Odsunęli się na bok, przepuszczając furgonetkę pędzącą w kierunku domu. Mrużąc oczy w ostrym porannym świetle, Cavanaugh patrzył, jak auto staje obok bezlistnego dębu i wyskakują z niego mężczyźni z psami.

Wskazał ręką kobietę. Wsiadła już z samochodu i bezwładnie klapnęła na zderzak.

- Jamie...

W ekipie nie było kobiet.

- Jasne. Porozmawiam z nią - powiedziała.

Cavanaugh skorzystał z okazji i odwołując chwilę, kiedy będzie musiał wejść w alejkę, obserwował Jamie rozmawiającą z uzbrojonymi ludźmi. Zrobili jej przejście, a wtedy podeszła do samochodu i oparła się o zderzak, naśladując postawę oklapniętej kobiety, która ocierała łzy z oczu. Podchwyciła ten gest, zakładając za uszy kosmyki włosów - stosując podobną mowę ciała, chciała nawiązać z nią dobre stosunki.

W samym środku rozgardiaszu rozmawiały przez kilka minut. Z początku kobieta mówiła z wahaniem, ale wkrótce wylała z siebie potok żalu. Jamie słuchała jej ze współczuciem, zadając pytania naprowadzające i przytakując; w końcu objęła ją ramieniem.

Wróciła do Cavanaugha i Rutherforda.

- Nazywa się Debbie Collins. Jest pielęgniarką w prywatnym gabinecie lekarskim w Iowa City. Mieszka tutaj, w West Liberty, bo wypada taniej. Codziennie rano sprawdza, czy jest poczta do Boba Lovelessa... właściwie to mówi o nim „Robert”.

- A dlaczego próbowała otworzyć drzwi i zaglądała przez okna? - spytał Rutherford.

- Zawsze tak robi. Sprawdza, czy nikt się nie włamał do domu, czy wszystko jest w porządku. Zimą dostaje klucz, wchodzi do środka i pilnuje, żeby piec utrzymywał temperaturę

dwunastu stopni, a rury nie zamarzały.

- I robi to codziennie?

- Od trzech lat - odparła Jamie. - Chyba że akurat odwiedza rodziców w Des Moines albo jest na wakacjach. Ale nigdy nie wyjeżdża na długo i zawsze załatwia wtedy kogoś w zastępstwie.

- Na pewno są kochankami - orzekł Cavanaugh.

- Nie.

- Wobec tego jej płaci, tak?

- Powiedzmy. Sto dolarów miesięcznie.

- Co? Za robienie tego dzień w dzień od trzech lat? To o wiele za mało. Jesteś pewna, że nie są kochankami?

- Absolutnie. Nigdy nawet nie próbował jej dotknąć. Chodziło jej po głowie, że jest gejem.

- Wobec tego nic nie rozumiem.

- Nieco ponad trzy lata temu Debbie siedziała w barze w Iowa City. W sobotę wieczorem. Po wyjściu z kina wpadła na kilka piw z przyjaciółkami. Na początku grudnia. Siedziały tam razem do północy, a potem się rozeszły do domów. Padał śnieg. Debbie zaparkowała w bocznej uliczce. Pobiegła do samochodu, żeby dojechać do domu, zanim się całkiem rozpadła. Grzebała w torebce, szukając kluczyków do wozu, gdy nagle złapali ją dwaj faceci. Trzeci podjechał furgonetką. Szamotała się. Pobili ją, zawlekli do furgonetki i zanim pierwszy z nich zamknął boczne drzwi, drugi rozcinał już nożem jej ubranie. Kierowca ruszył, ale nagle przez boczne drzwi wskoczył jakiś inny facet. Wyrzwał pierwszego tak, że tamten stracił przytomność. A kiedy zaatakował go ten z nożem, wyciągnął własny nóż. Debbie mówi, że do tej pory słyszy wrzask po tym, jak nieznajomy rzucił się na jej porywacza, zrobił mu coś nożem i wyrzucił go na śnieg. Tymczasem kierowca zatrzymał furgonetkę, wyskoczył i uciekł, zanim jej wybawca zdążył go dopaść.

- Duran - rzekł Rutherford.

- Który według niej nazywa się Robert Loveless - ciągnęła Jamie. - Tamci trzej śmierdzieli whisky. Widząc, jakiego noża używali, Debbie pomyślała, że najpierw ją zgwałcą, a potem zabiją.

- I co było dalej? - zapytał Rutherford.

- Nieznajomy zdołał ją uspokoić na tyle, że powiedziała mu, gdzie zostawiła samochód. Płaszcz miała w strzępach, a ubranie pocięte, więc otulił ją własnym płaszczem i zaniósł do jej wozu. Kluczyki leżały tam, gdzie je upuściła.

Otworzył drzwi, posadził ją na siedzeniu z prawej strony, zapalił silnik, żeby się rozgrzała, i powiedział, że zawiezie ją do szpitala. „Nic mi nie jest”, protestowała.

Nie chciała trafić na pogotowie na wpół naga. „Wobec tego jedziemy na policję”, powiedział. Tego też nie chciała. Tam też by była na wpół naga i ludzie by się na nią gapili, gdyby ścisła płaszcz. Poza tym piła. Policjanci pewnie by uznali, że sama się o to prosiła. Nagle usłyszeli ryk silnika. Kiedy oni rozmawiali, jeden z napastników wrócił po furgonetkę i odjechał nią. Pozostali dwaj uciekli pieszo. Policja nie miałaby więc możliwości zbadania tego napadu.

„Ja chcę do domu”, powiedziała mu zapłakana. „Chcę tylko wrócić do domu”. Nieznajomy zaproponował, że ją odwiezie, ale nagle wystraszyła się i nie chciała z nim zostać sam na sam. Wykręciła się, że mieszka za daleko i nie chce go fatygować taki kawał drogi. Upierała się, że jest w stanie prowadzić, więc w końcu wysiadł, a ona pomimo zamieci zdołała dojechać do West Liberty.

Kiedy nazajutrz rano zobaczyła, jaka jest posiniaczona, uświadomiła sobie, że była o włos od śmierci. Poza tym stwierdziła, że wciąż ma płaszcz nieznajomego.

- I co było dalej? - zapytał Cavanaugh.

- Około południa przed jej dom zajechał samochód. Wysiadł z niego chudy jak tyczka mężczyzna i zapukał do drzwi. Temperatura oscylowała wokół zera, a on był bez płaszcza, tylko w swetrze. Debbie bała się otwierać, ale nie mogła patrzeć, jak facet tam marznie, więc otworzyła okno, żeby z nim pomówić, i wtedy zorientowała się, że to ten sam człowiek, który uratował ją w nocy.

Okazało się, że tak się o nią martwił, iż pojechał za nią swoim samochodem, bo chciał być pewny, że nie będzie miała wypadku ani nie wpadnie do rowu.

A teraz chętnie by odzyskał swój płaszcz, jeśli to nie kłopot. Zaprosiła go, oczywiście, i zaproponowała kawę. Z szacunkiem trzymał się na dystans i wyraźnie uważał, żeby nie wystraszyła się obecnością obcego w domu.

Podziękowała mu, że nadłożył drogi. Uśmiechnął się, a kiedy go spytała, co go tak rozbawiło, odparł, że z zaskoczeniem stwierdził, iż są niemal sąsiadami.

Mieszkał trzy kilometry dalej przy tej samej drodze.

- A to ci dopiero - rzucił Cavanaugh.

- Kiedy wyciągnął rękę po kubek kawy, Debbie zauważyła, że ma zabandażowany nadgarstek. Skaleczył go ten napastnik z nożem.

- A to ci dopiero! - rzekł Rutherford.

- No i się zaprzyjaźnili - ciągnęła Jamie. - On nadal traktował ją z szacunkiem i nigdy

nie próbował się zalecać, chociaż ona była nie od tego. W końcu powiedział jej, że na jakiś czas musi opuścić farmę. Był budowlańcem, z powodu zimna chwilowo nie miał pracy, a że jego ojciec mieszkający w Miami chorował na rozedmę płuc, postanowił polecieć na Florydę, tam znaleźć jakąś robotę i zająć się ojcem.

- I w związku z tym, czy byłaby tak miła i pilnowała farmy pod jego nieobecność, przesyłała mu pocztę i tak dalej? A on chętnie jej zapłaci - dopowiedział Cavanaugh.

- Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić - rzekł Rutherford.

- I jak to widzicie? - spytała Jamie.

- Klasyczna rekrutacja - ocenił Rutherford.

- Prawie jestem z niego dumny - rzekł Cavanaugh z goryczą. - Carl ma wrodzony talent.

- Czy ona ma świadomość, że to była podpucha? - zwrócił się Rutherford do Jamie. - Duran rozejrzał się w okolicy West Liberty, znalazł ją, sprawdził, że jest samotna, śledził ją, poznał jej nawyki, a potem opłacił tamtych trzech, żeby sfingowali napad.

- Nie ma o tym zielonego pojęcia.

- O naiwności! - burknął Cavanaugh.

- Zapisałam adres w Miami, na który przesyłała mu pocztę. - Jamie podała Rutherfordowi świstek papieru.

- Skąd kurier od narkotyków prawdopodobnie przesyłał ją dalej do Kolumbii - powiedział. - Pytanie, dokąd teraz przesyłają pocztę Durana. - Wyjął telefon komórkowy, wybrał numer i odczytał adres komuś po drugiej stronie.

- Debbie mówi, że Duran wrócił tu wczoraj - oświadczyła Jamie. - Powiedział jej, że musi zostawić coś dla przyjaciela.

Cavanaugh spojrzał wzdłuż alejki na budynek obok stodoły. Na chwilę przestał oddychać.

17.

Ręce i nogi Brockmana szarpał ból, czuł, że chyba ma zerwany mięsień lewej łydki, a mięśnie prawego barku zaraz trzasną. Z bólu, mdłości i żaru skierowanych na niego lamp pocił się tak, że koszula i marynarka były mokre.

Odnosił wrażenie, że taśma, która sklejała jego szyję z ramą przyrządu do ćwiczeń,

zaraz go udusi. Raził go blask świateł i choć bez przerwy mrugał, to nie mógł się pozbyć plamek, które tańczyły mu przed oczami.

Nagle plamki pociemniały.

Zakołysały się, zawirowały.

Ali uderzył go dłońmi w rękawiczkach w oba policzki.

- Pobudka, Geraldzie! Nie wypada mdleć w towarzystwie. Rozmowa, Geraldzie. Tego chce twój gość. Podniety. Czegóż bym nie dał za interesującą dyskusję o... no, powiedzmy o Rzymie cztery lata temu. Zamordowano rosyjskiego magnata naftowego. To dopiero jest temat co się zowie.

Brockman, choć chory i obolały, rozpaczliwie potrzebował wody, żeby zwilżyć wyschnięte usta i pozbyć się smaku żółci.

- Idę o zakład, że czytam w twoich myślach. Idę o zakład, że chce ci się pić.

Mam rację, Geraldzie?

Brockman zamknął oczy.

Ali uniósł mu powieki.

- Spragniony?

Bądź twardy, pomyślał Brockman. Rób wszystko krok po kroku. Nie trać nadziei, że ktoś się tu zjawi i cię uratuje. Przekonaj Alego, że prędzej umrzesz, niż cokolwiek mu zdradzisz.

Ale jeśli naprawdę do tego dojdzie? Jeśli rzeczywiście umrę?

Nie wolno ci myśleć w ten sposób!

Ali podniósł dzbanek wody z lodem. Zakręcił naczyniem, tak że kostki lodu zagrzechotały o dzbanek. Zewnętrzna ścianka naczynia zwilgotniała, krople wody spływały jak deszcz po szybie.

- Geraldzie, mam dość pytania cię, czy chce ci się pić.

Brockman chciał skinąć głową, ale taśma nie pozwalała mu na taki ruch.

- Tak. - Własny głos kojarzył mu się z chrzęstem zaschniętego błota pod butami.

- Nic więcej nie musisz mówić. - Ali nalał wody z kostkami lodu do szklanki, włożył do niej słomkę i podsunął Brockmanowi do ust. - Powoli. Małymi łyčzkami. Chyba nie chcesz się porzygać.

Brockman przyssał się do słomki, czując, jak wspaniała chłodna woda wypełnia mu usta. Gdy przełknął i oblizał mokrym językiem spękane usta, Ali odsunął szklankę. Brockman sądził, że skorupa na wargach to zaschnięta żółć. Teraz jednak poczuł miedziany smak krwi.

Ali zmoczył szmatę w misce wody. Wykręcił ją i położył na czole Brockmana.

Otarł nią jego policzki. Materiał był cudownie chłodny.

- Rosjanin, Geraldzie. Opowiedz mi o Rosjaninie. To nie powinno być trudne. Rosjanin to stara historia. Sprzed czterech lat. Nie chcę, żebyś mówił mi o tym, co dzieje się teraz. Cztery lata temu. O tym możesz mówić całkiem bezpiecznie. Rozmowa o Rosjaninie niczym ci nie grozi.

Przymulony, chory i obolały Brockman próbował podjąć decyzję, co robić.

Milczeć i cierpieć jeszcze bardziej? A może spróbować nabrać Alego? Udawać, że przekazuje mu informacje, zarazem niczego mu nie zdradzając. Powstrzymać go przed...

- Napij się jeszcze. - Ali uniósł szklankę i wysunął słomkę.

Brockman otworzył usta. Ali błyskawicznie zatkał mu je szmatą, a potem szarpnął uchwyty przyrządu, zadzierając jego nogi do góry, a ramiona ściskając do środka.

Brockmanowi pękły mięśnie barku. Słyszał, jak się zrywają z dźwiękiem przypominającym rozpinanie suwaka. Pomimo oślepiającego światła miał w głowie czarną dziurę. Gardło paliło go żywym ogniem. Z trudem spróbował zaczerpnąć powietrza.

Kaszel. Otwarte usta. Szmata zniknęła.

Woda leje się na jego głowę. Ścieka po twarzy. Chłodzi.

Cienie.

- Napij się jeszcze, Geraldzie.

Otworzył zapuchnięte oczy i zobaczył, że Ali zgasił większość lamp. Abażur jedynej, która wciąż pozostała zapalona, był porządnie opuszczony, chroniąc przed blaskiem gołej żarówki. Jego spękana, spieczoną skórę owiał rześki chłód.

Ali odsunął miskę z wodą, której część wylał Brockmanowi na głowę. I znowu podał mu szklankę ze słomką. Pomimo straszego pragnienia Brockman przyglądał jej się ze strachem, że kiedy otworzy usta, Ali wyrwie słomkę i znów zaknebluje go szmatą. Czuł, jak mokre włosy lepią mu się do głowy.

- Pij, Geraldzie.

Brockman otworzył usta i przyssał się do słomki. Zmył żółć z języka. Wypluł ją, ale splunął tak blisko, że część ochlapała mu spodnie. Wciągnął więcej wody, obracając ją w ustach, przetykając, oczyszczając gardło.

- Obiecuję, że obronię cię przed Carlem Duranem - rzekł Ali.

- Wygląda na to, że to on kontroluje sytuację, nie sądzisz? - wybełkotał Brockman. - Co z tymi ochroniarzami, którzy już zginęli? Ich jakoś nikt nie obronił.

Cienie w pokoju zapewniały poczucie komfortu. Miał ochotę zamknąć oczy i...

- Załatwię to tak, żebyś zniknął, Geraldzie. Nigdy cię nie znajdzie.

Zdezorientowany Brockman uświadomił sobie, że Alemu udało się wciągnąć go w rozmowę - podczas przesłuchania to grzech, którego należy unikać za wszelką cenę.

Za wszelką cenę? - pomyślał mętnie. Ile mnie to już kosztowało? Czy po ostatnich trzech latach w ogóle mnie to jeszcze obchodzi? Czy wciąż mam ochotę żyć w ten sposób?

Oblizwał smakujące miedzią usta.

- A jeżeli...

Ali czekał.

- A jeżeli to nie jego się boję? - zapytał Brockman.

- Więc kogo?

- Was wszystkich. Jeszcze wody.

Ali wysunął słomkę.

Brockman upił łyk.

- Boisz się nas wszystkich? - ponaglił go Ali.

- Ochroniarzy. Tego, co zrobicie, jeśli się dowiecie.

Ali odstawił szklankę i wziął przedłużacz z wieloma gniazdkami i przełącznikiem.

Kiedy go wcisnął, w pokoju znów rozbłyły światła. Do przedłużacza podłączone były wszystkie lampy, ich żarówki rozbłyły w tej samej chwili.

- Nie - jęknął Brockman. Zalała go fala gorąca.

- Boisz się, że czego konkretnie się dowiemy? - spytał Ali z cienia za lampami.

- Założmy, że coś zrobiłem.

- Coś?

- Spać. Chce mi się spać.

- Spokojna głowa, Geraldzie. Blask i żar tych lamp nie pozwolą ci zasnąć. Co takiego zrobiłeś?

- Jak możesz mnie obronić przed...

- Nie zasypiaj, Geraldzie, bo będę ci musiał zerwać mięśnie barku z drugiej strony. Obronić cię przed czym?

- Przed karą.

- Układ, Geraldzie? Czy prosisz, żebym dobił z tobą targu? Obiecał ci ochronę przed Carlem Duranem i kolegami po fachu?

- Jesteś w stanie to zrobić?

- Obiecuję. Powiesz mi to, co chcę wiedzieć, a ja zadbam o ciebie jak o najlepszego przyjaciela. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię wyciągnąć z kłopotów, bez względu na to, jakie to kłopoty.

- To by była...
- Co takiego, Geraldzie?
- Ulga. Ten drań zbyt długo trzymał mnie w szachu.
- Mów! - rozkazał Ali.

18.

Budynek zbudowano ze zniszczonych desek. Był to parterowy sześcian o boku długości sześciu metrów, z zakurzonymi oknami z dwóch stron i czarnym kominem wystającym z pochyłego dachu. Dwa psy na smyczach obwąchiwały drewniane drzwi.

- Nic ich tu nie zainteresowało - oznajmił jeden z treserów.

- Tak samo jak w pozostałych budynkach. Jak dotąd nic nie wskazuje na obecność materiałów wybuchowych - poinformował drugi treser.

Cavanaugh rozejrzał się - ludzie wchodzili i wychodzili z domu, którego drzwi wyważyli taranem; inni przeszukiwali stodołę, której kłódkę przecięli cęgami.

- Nie ma też śladu promieniowania - powiedział mężczyzna z licznikiem Geigera. - Żadnej brudnej bomby czy czegoś w tym stylu.

- Ani zarazków ospy czy wąglika - dorzucił następny. Trzymał małe urządzenie wykrywające DNA wybranych wirusów i bakterii. Był w lateksowych rękawiczkach.

- Badania na obecność zapasu narkotyków w domu również wypadły negatywnie - powiedział Rutherford, podchodząc do nich.

Mężczyzna z obcęgami do cięcia rygli wskazał zamknięte drzwi budynku.

- Mam pełnić honory domu? - zapytał.

Cavanaugh podszedł do okna, z którego widać było drzwi od wewnątrz. Przez zakurzoną szybę nie zauważył podłożonej bomby. Ale mimo że specjalnie tresowane psy nie wykryły obecności materiałów wybuchowych, musiał się upewnić.

Sięgnął do kieszeni wiatrówki i wyjął giętki plastikowy zacisk.

- Przetnij skobel! - polecił mężczyźnie z cęgami.

Gdy skobel spadł na ziemię, Cavanaugh uchylił drzwi na pół centymetra, uklęknął, wsunął zacisk przez szczelinę i powoli unosił giętki plastik od samej ziemi, sprawdzając, czy nie napotka oporu przewodu połączonego z detonatorem. Podczas gdy Jamie świeciła latarką, wypatrując odblasku drutu, przeciągnął paskiem od dołu do góry drzwi.

- Może lepiej się odsunąć - zwrócił się do całej grupy.

Przemyśleli to sobie.

- Nie zaszkodzi przykucnąć za samochodem - powiedział jeden z treserów psów.

- John, weź Jamie i schowaj się razem z nimi - zaproponował Cavanaugh.

Tymczasem ona ostrożnie otworzyła drzwi.

Światło słoneczne rozproszyło cienie. Na zalegającym podłogę kurzu odbiły się ślady stóp kogoś, kto niedawno tu wszedł i wyszedł. Duży rozmiar odcisków wskazywał na mężczyznę. Prowadziły obok metalowego pieca, który staruszek zimą opalał drewnem. Przeszli koło zakurzonego kowadła i stołu z równie zakurzonymi narzędziami kowalskimi. Cavanaugh posługiwał się nimi tak często, że nawet po tylu latach poznał, że należały do Lance'a Sawyera, zwłaszcza sfatygowane kowadło. Odciski stóp skręcały wokół wysokiego do pasa metalowego zbiornika z przyczepioną beczką propanu - była to kuźnia. Dalej prowadziły do kolejnego zakurzonego stołu, na którym leżała koperta oparta o małą drewnianą szkatułkę.

Dębowa szkatułka była tak wypolerowana, że odbijała światło latarki.

Wieczko było otwarte. W środku, na wyściółce z zielonego sukna, leżał najpiękniejszy nóż, jaki Cavanaugh widział w całym swoim życiu.

Hej, ostrożnie, ostrzegł się w duchu. Wraz z Jamie sprawdził, czy na pogrążonej w mroku podłodze nie ma rozpiętych drutów. Gdy podchodził do stołu, szedł obok śladów stóp, żeby nie zatrzeć dowodu rzeczowego. Z każdym krokiem coraz trudniej było mu oderwać wzrok od koperty i zawartości szkatułki.

W końcu zatrzymał się przed nimi.

Koperta była zaadresowana. Staranne, pewne pismo. Czarny atrament.

- Dla Aarona - Zdaje się, że masz korespondencyjnego przyjaciela - zauważył Rutherford.

- To charakter pisma Carla. - Nie zwracając uwagi na kuszący nóż, Cavanaugh sięgnął po kopertę. Nagle zawahał się. Odwrócił się do drzwi i zobaczył, że do środka zagląda jeden z techników. - Sprawdź to na wszelki wypadek.

Technik szedł po śladach zostawionych na zakurzonej podłodze przez Cavanaugha i Jamie. Przesunął wykrywaczem po kopercie i nożu.

- Brak patogenów. W każdym razie tych, które wykrywa to urządzenie.

- Masz więcej rękawiczek?

Technik sięgnął do kieszeni i dał mu zapasową parę.

Cavanaugh włożył je, wziął kopertę i zobaczył, że jest zaklejona. Rozerwał ją, wyjął

kartkę i rozłożył ostrożnie. Wiadomość napisano tym samym starannym, pewnym charakterem pisma. Była datowana poprzedniego dnia.

Aaronie, nie tęsknisz czasem za Lance'em? Kiedyś, leżąc w łóżku podczas bezsennych nocy, marzyłem, żeby ten stary skurczybyk był moim ojcem, a Ty moim bratem. O tych wszystkich przygodach, które razem przeżyliśmy. Trzeba Ci przypomnieć, stary przyjacielu, o cnotach żołnierza. Lojalność, odwaga, honor i poświęcenie. Właśnie dzięki nim potrafiliśmy się wykaraskać z najgorszych tarapatów, bo wiedzieliśmy, że możemy polegać na sobie nawzajem.

Lojalność. To największa z cnót. Aaronie, jak już Ci mówiłem przez radio, nie okazałeś się dostatecznie dobrym przyjacielem. Kiedy mnie wylali, powinieneś być się za mną wstawić.

Poczułem się, jakbyś mi przeciął linki spadochronu. Wiem, że według Ciebie zabiłem tego prześladowcę, żeby zaimponować tej śpiewającej cipie. A tak naprawdę chciałem zaimponować TOBIE. Liczyłem, że powiesz: „Świetnie się spisałeś, stary. Złatwiłeś tego gnojka na cacy”. A tymczasem pozwoliłeś, żeby mnie wylali. W porządku, popełniłem błąd. Ale przyjaciel z prawdziwego zdarzenia nie odwraca się od kumpla tylko z powodu jednego błędu.

Przyjaźń powinna być silniejsza. Rodziców się nie wybiera, ale przyjaciół i owszem. Wybierasz ich SAM.

Zaufanie. Na tym polega przyjaźń. Możesz liczyć na przyjaciela bez względu na wszystko.

Niestety, stary, przekonałem się, że na CIEBIE liczyć nie mogę. Inaczej by do tego nie doszło.

Mam nadzieję, że się cieszysz. Oczywiście powinieneś już leżeć w grobie w Wyoming i nie mieć pojęcia, co się teraz dzieje. Zawsze stawiałeś czoło każdemu wyzwaniu. Ale to już nie ma znaczenia - za dwa dni nawet Ty nie dasz rady mnie znaleźć. A tu masz prezent, dowód, że jestem dość wielki, żeby zdusić w sobie nienawiść do Ciebie. Myślę, że to najlepszy nóż, jaki udało mi się wykonać.

Carl Cavanaugh pokazał list pozostałym.

- A więc teraz usprawiedliwia to, co zrobił? - zapytał Rutherford. - To nie w porządku.

- Jakie znaczenie ma ten nóż? - zastanawiała się Jamie. - Jest piękny, przyznaję. Ta rękojeść. Jest pokryta...

- Złotym kwarcem - dopowiedział Cavanaugh.

- A te czerwone kropki. Wyglądają jak...

- Rubiny osadzone w złotych nitach - wyjaśnił.

Smukły nóż miał dwadzieścia osiem centymetrów długości, z czego dwanaście stanowiła zdumiewająca rękojeść.

Cavanaugh nie mógł oderwać od niego wzroku.

- Michael Price - powiedział w końcu.

- Nie rozumiem.

- Stare San Francisco. - Cavanaugh wciąż wpatrywał się w nóż. Nagle poczuł, że pozostali gapią się na niego. Otrząsnął się z transu i spojrzał na Jamie i Rutherforda, którzy obserwowali go zaskoczeni.

- Kim jest Michael Price? - spytała Jamie.

19.

Stare San Francisco. Rok tysiąc osiemset czterdziesty ósmy.

Wioska ta liczyła około czterystu mieszkańców, kiedy sto sześćdziesiąt kilometrów dalej, w Sutter's Mill, odkryto pokłady złota. W ciągu roku przez San Francisco przewinęło się dwieście tysięcy górników w drodze na pola złotonośne. Miasto było tak zacofane, że nawet artykuły pierwszej potrzeby sprowadzono statkami.

Do takich niezbędnych artykułów należały noże. Na wschodzie w większości osad mieszkali kowale, którzy potrafili wykuwać prymitywne ostrza, ale noże wysokiej jakości trzeba było sprowadzać z Anglii. W San Francisco wyrósł nagle popyt na tysiące niezawodnych noży, których ostrza nie pękają podczas wydłubywania samorodków ze strumieni i obronią te bryłki złota przed złodziejami.

Ładunek płynął z Anglii do San Francisco bity rok. Twórcy noży zwietrzyli więc okazję, zaczęli zakładać kuźnie i słono sobie liczyli za swoje produkty. Wkrótce prezentowali własny charakterystyczny styl i najwyższy stopień fachowości.

Jednym z nich był Michael Price, który przybył do San Francisco w połowie dziewiętnastego wieku i którego klientami zostali najbogatsi i najpotężniejsi przedstawiciele tamtejszej społeczności.

Sędziowie, bankierzy, kupcy i potentaci na rynku nieruchomości posiadali niewyobrażalne majątki. Podkreślali to ekstrawaganckimi ubraniami, a także nożami, które nosili dla obrony. Eleganckie wzory Michaela Price'a wyróżniały się rękojeściami

inkrutowanymi złotem, brylantami, macią perłową i innymi drogocennymi materiałami. Noże chowały się w misternie grawerowanych srebrnych pochwach, które przypinano do pasów w widocznym miejscu. Klienci rywalizowali ze sobą, kto zamówi najpiękniejszy, subtelny, a zarazem ostentacyjny nóż.

- Były to dowody świadczące, że nóż może być dziełem sztuki - opowiadał Cavanaugh. - Kolekcjonerzy zabijają się, żeby je zdobyć. Niedawno sztylet Michaela Price'a poszedł na aukcji za sto tysięcy dolarów. Jednym ze sposobów, w jaki mistrzowie pokazują swój talent, jest zrobienie kopii noża Michaela Price'a.

Wskazał ten w szkatułce.

- Carl wykonał go bezbłędnie. Widzicie tę śrubę z tyłu rękojeści? Po wykręceniu jej można rozłożyć rękojeść na niewielkie części: chwyt, opaski, które łączą go z trzpieniem, rozmaite elementy składające się na jelec. Każda z tych maleńkich części prezentuje szczyt sztuki.

Jamie sięgnęła po nóż jak zahipnotyzowana.

Cavanaugh powstrzymał ją.

- To nie jest dobry pomysł.

- Dlaczego?

- Ostrze powinno lśnić. Powinno mieć atlasowy połysk. A nie ma. Wykończenie jest matowe.

- Jasne - powiedziała Jamie, wciąż pragnąc dotknąć kuszącego noża. - Jest zakurzony.

- Po jednym dniu? Aż tak by się nie zakurzył - zaproponował Cavanaugh. - Nie, Carl pokrył czymś ostrze. Rękojeść pewnie też. Idę o zakład, że to jakaś tropikalna trucizna, coś takiego, czego nie znajdują wykrywacze patogenów. Nie trzeba się skaleczyć. Wystarczy kontakt ze skórą. Prawdopodobnie umarłabyś natychmiast.

Jamie szybko cofnęła rękę.

- On się z nami bawi. Pokazuje, jaki jest sprytny. Wkurzył się, że go wyrzucono, i odgrywa się na całym świecie.

Cavanaugh jeszcze raz przeczytał list.

- Twierdzi, że zniknie za dwa dni. List nosi wczorajszą datę. A więc jutro coś się wydarzy.

- Nowy Orlean. Światowa Organizacja Handlu - przypomniała Jamie.

Zadzwoił jego telefon. Cavanaugh, nie chcąc się rozpraszać, zerknął na ekran i skrzywił się, widząc napis: „Ali Karim”.

Wcisnął klawisz i powiedział do mikrofonu:

- Nie ma sensu namawiać mnie, żebym zmienił zdanie. Dopóki nie zakończymy śledztwa, nie ma mowy, żebym cię przywrócił do pracy.

- Hm, no cóż, a ja myślę, że przywrócisz mnie dużo szybciej - odezwał się Ali. - Właśnie pogadałem sobie od serca z Geraldem. On twierdzi, że domyśliłeś się, iż Carl Duran planuje atak w Nowym Orleanie. Na Światową Organizację Handlu.

- Jeśli przeciek wyszedł od ciebie, to wiedziałeś o tym od dawna - wpadł mu w słowo Cavanaugh.

- Wysyłacie tam wszystkich wolnych agentów, zgadza się? - zapytał Ali. - Tak samo jak Secret Service, Dyplomatyczna Służba Bezpieczeństwa i U. S. Marshals.

- Nie mogę rozmawiać na ten temat - odparł Cavanaugh.

- Więc pogadajmy o czym innym - rzekł Ali. - Prawdziwym celem są agenci.

Serce Cavanaugha zmroził strach.

- Trzymajcie się z dala od Nowego Orleanu. - Ali podniósł głos. - Właśnie tam Carl Duran chce wszystkich zwabić. To zasadzka!

VII.

NAJDROŻSZY NÓŻ NA ŚWIECIE

1.

- To, co mi zrobiłeś... - Twarz Brockmana wykrzywił ból. - Nie ma najmniejszego znaczenia. Ja zniosę wszystko.

- Nie wątpię - odparł Ali.

Mieli za sobą długą, bolesną noc.

- Jestem równie twardy jak ty. Jeśli postanowię mówić, to nie dlatego, że mnie pokonałeś.

- Oczywiście.

- Liczy się tylko Carl Duran.

- Wobec tego musimy przypilnować, żeby cię nie dorwał.

- Tylko zabicie go daje taką gwarancję - oświadczył Brockman.

- Powiedz mi, co wiesz. A ja zobaczę, co uda mi się załatwić.

- Myślisz, że ja sam nie zamierzałem go zabić? Tyle że najpierw trzeba tego sukinsyna znaleźć. - Przypięty do przyrządu do ćwiczeń Brockman zeszytniał z bólu. - A na wypadek, gdyby coś mu się stało, zostawił zaufanej osobie dokumenty, które ta ma ujawnić. Dotyczące mnie.

- Dopóki wszystkiego mi nie powiesz, nie będę w stanie ci pomóc.

Brockman odetchnął głęboko.

- Duran nie miał nic wspólnego z zamachem na Rosjanina.

Ali pochylił się, w skupieniu słuchając cichych słów Brockmana.

- To ja - oznajmił Brockman. - To ja zorganizowałem zabójstwo tego Ruskiego.

Nie takich rewelacji Ali się spodziewał.

- Ty? - zapytał, ukrywając zaskoczenie. - Dlaczego?

- Dla pieniędzy.

- Płacą nam od cholery.

- Ale za mało, żeby ryzykować życie dla obcych. Nie dla tego rodzaju ludzi. Nienawidziłeś ich czasem?

- Nienawidziłem?

- Dorastałem w Pretorii. - Gniew Brockmana okazał się większy od bólu. - W zaułkach. Walczyłem o kartonowe pudła, żeby mieć się gdzie przespać, o szmaty, żeby mieć co włożyć na grzbiet, o wszelkie żarcie, jakie mi wpadło w ręce. - Z twarzą zlaną potem gapił się przed siebie wściekłym wzrokiem. - Kiedy podrosłem, powiedziałem sobie: „Zaraz,

walczyłem przez całe życie. To równie dobrze mogę się zaciągnąć do wojska”. - Znowu odetchnął z udręką. - Wyszło na to, że miałem rację... Służba nie była ani trochę gorsza niż to, przez co przeszedłem. A pod wieloma względami nawet lepsza. Te główniane zadania, które musiałem zaliczyć, żeby się dostać do jednostek specjalnych. Noce w płonącym buszu. Wyschnięte wodopoje. Benzyna, którą instruktorzy polewali jedyne żarcie, jakie dostawałem... Nawet wtedy było mi lepiej. - Jego oczy pałały. - Bo udowodniłem, że jestem kimś wyjątkowym. Bo miałem coś, z czego mogłem być dumny. Dyscyplinę. Umiejętności.

Głos mu się załamał. Ali wetknął mu do ust słomkę, żeby się napił.

- A potem się zestarzałem - podjął Brockman. - Trzydziestka. Za stary. Dupa błada. Więc załapałem się do roboty w GPS - wysyczał tę nazwę z pogardą - gdzie przydzielano mnie do ochrony najbogatszych, najbardziej atrakcyjnych i najpotężniejszych ludzi na świecie. Czytałem o takich jak oni. Ale nic mnie nie przygotowało na spotkanie z nimi oko w oko. Oni mieli luksusowe apartamenty, wille, odrzutowce i jachty, wyspy... wszystko, co tylko im się zamarzyło. W świecie biedy, głodu i bólu byli wybrańcami. - Brockman wciągnął powietrze. - Bogactwo było dla nich czymś oczywistym. Byli próżni, arogancy, władczy, chciwi i odrażający. Nienawidziłem ich.

Ali chłodną ścierką otarł mu twarz z potu.

- Odchodząc z komandosów, miałem tylko blizny i dziury w kieszeni. Tamci ludzie mieli wszystko, chociaż na to nie zasłużyli, bo brakowało im charakteru. A najgorszą świnią w całym chlewie był ten Ruski.

Ali słuchał coraz uważniej.

- Przydzielono mnie do niego dwa lata wcześniej, jeszcze zanim awansowałem. Klął jak szewc. A jego manieri... - Brockmanowi załamał się głos. - Darł się, przechwalał, obrażał ludzi. Raz widziałem, jak się porzygał podczas kolacji z klientami. Puścił pawia na podłogę. „To przez czerwone wino do ryby”, powiedział i kazał kelnerowi podać więcej wódki. To był prymityw, który na siłę wepchnął się do branży naftowej i zbił majątek.

Przytwierdzony do urzędnika Brockman spróbował opuścić wzrok na spuchnięte kolana.

- Myślisz, że da się je zoperować, czy zostanę kaleką?

Ali nie odpowiedział.

- Trudno, i tak skoki ze spadochronem mam już raczej z głowy. - Brockman wpatrzył się w dal. - Chciałem mieć to samo co ci klienci. Apartamenty, jachty, wille, wyspy. Dzień w dzień słuchałem, jak dostają cynki giełdowe. Ci ludzie zbijali majątek dzięki nielegalnym informacjom. Więc kiedy usłyszałem, że konkurencja wykupi pewną firmę farmaceutyczną za

sumę dwukrotnie większą od jej wartości, zainwestowałem w nią cały swój majątek. A nawet się zapożyczyłem na potęgę. - Zaniósł się nienawistnym rechetem. - Tylko że ten cynk giełdowy okazał się plotką. Firma farmaceutyczna zbankrutowała. A ja straciłem wszystko.

- Jak pech, to pech - skwitował Ali.

- No nie? Następnym razem, kiedy Ruski wynajął ochroniarzy z GPS...

- Robota w Rzymie? Ta, w której brałem udział?

- Tak. - A kiedy Ali znów otarł mu twarz z potu, Brockman podjął: - Wrogowie Rosjanina byli ekspertami. Potrzebowali kogoś, kto zna szczegóły jego ochrony. - Znów zarechotał z nienawiścią. - Jakoś się zwiedzieli, że nienawidzę Ruskiego. I jakimś cudem zdobyli informację o tym, jak bardzo potrzebuję pieniędzy. Często się zastanawiałem, czy to nie oni specjalnie podrzucili mi ten cynk o firmie farmaceutycznej.

- Wrobili cię?

Brockman próbował wzruszyć ramionami, ale był zbyt mocno przywiązany do urzędnika.

- Obiecali spłacić moje długi. Obiecali przywrócić moją sytuację finansową do stanu pierwotnego. W zamian za to musiałem tylko zorganizować zabójstwo człowieka, którym gardziłem.

- Kiedy dowodziłem ekipą ochroniarzy w Rzymie, byłeś w Nowym Jorku - powiedział Ali. - Za każdym razem, gdy składałem ci raport, donosiłeś zamachowcom, co mówiłem.

- Ciągle powtarzałeś, że nie sposób go utrzymać z dala od okien w hotelu.

- Więc przekazałeś to dalej i doradziłeś im, gdzie mają umieścić snajpera?

- To była taka łatwizna - rzekł Brockman. - Sukinsyn zniknął z powierzchni ziemi, a razem z nim moje długi.

- Carl Duran nie był powiązany z tym zamachem?

- Nie. Nic na mnie wtedy nie miał. Kiedy posiekał tego świrusa przed wejściem do hotelu Plaza, nie było najmniejszego powodu, żebym go bronił przed zwolnieniem.

- Więc co to ma wspólnego z...

- Ten cholerny snajper. Kiedy Duran wyleciał z GPS i poszedł pracować dla barona narkotykowego w Kolumbii, natknął się tam na tego snajpera. - Głos mu ochrypl, brzmiał, jakby Brockman nałykał się piasku.

- Pij. - Ali podsunął mu więcej wody. - Prawie skończyliśmy. To już nie potrwa długo. Opowiedz mi o tym snajperze.

- Rozmawiając o poprzednich zleceniach, Duran porównał swoje notatki ze snajperem.

- A ten powiedział mu o twoim udziale w śmierci Rosjanina?

- Wypaplał wszystko. - Brockman skrzywił się w przejawie nienawiści do samego siebie. - Duran zagroził, że mnie wsypie. W najlepszym razie wylądowałbym w więzieniu. Ale najprawdopodobniej by mnie załatwili. Ruski miał dwóch braci, równie wrednych jak on. Oni by mnie... - Zawiesił głos.

- Nie widziałeś innego wyjścia. Dałeś się szantażować Duranowi i dostarczałeś mu informacje o naszych agentach i ich zleceniach.

- Teraz już wiesz wszystko - rzekł Brockman z jeszcze większym niesmakiem do siebie.

- Nie, wcale nie wiem wszystkiego. Dlaczego on to robi?

Brockman nie odpowiedział, więc Ali znów wepchnął mu szmatę do ust i pociągnął uchwyty przyrządu. Pięć minut później, kiedy już pękły mięśnie lewego barku Brockmana, a jego nieme krzyki ustały, Ali wyciągnął szmatę.

- Dlaczego on to robi?!

- Nie wiem.

Ali sięgnął do uchwytów.

- Ale mam poważne podejrzenia.

Kiedy Brockman wyznał, co podejrzewa, Alemu żołądek podszedł do gardła.

2.

Cavanaugh ścisnął telefon komórkowy, słuchając tego, co Ali ma mu do powiedzenia.

- Skąd mam wiedzieć, czy to prawda?

- Jeśli mi nie wierzysz, może uwierzysz Geraldowi - rzekł Ali.

Cavanaugh usłyszał stuk odkładanej słuchawki.

Teraz głos Alego był stłumiony, dobiegał z oddali.

- Powiedz mu, do cholery. Powiedz mu to, co właśnie od ciebie usłyszałem.

Kolejny stuk. A potem rozległ się zboląły głos Brockmana:

- Ja... To ja... Ja byłem źródłem przecieku.

- Opowiedz mu o Nowym Orleanie - rozkazał mu Ali.

Brockman wykonał polecenie. Ochryple. Oddychając z trudem.

Jego słowa brzmiały, jakby wykrztuszał je przez spuchnięte usta.

Cavanaugh odniósł wrażenie, że cienie dookoła pociemniały. Patrząc na znakomitą kopię noża Michaela Price'a, fachowo wykonaną przez Carla, i wdychając zapach kurzu i starego metalu, nie zauważył reakcji Jamie i Rutherforda na swoją napiętą twarz.

Znów usłyszał głos Alego:

- Czy teraz mi wierzysz?

- Zostań z nim. Nie opuszczaj mieszkania. Wyślę wam ekipę ochroniarzy.

- I lekarza dla Geralda.

Cavanaugh rozłączył się i szybko zorganizował obiecaną pomoc. Po drodze do wyjścia streścił Jamie i Rutherfordowi, czego dowiedział się Ali.

Wyszli z ciemnego wnętrza w oślepiający blask zimnego słońca. Gdy mijali członków ekipy, sadząc wielkimi krokami do samochodu Rutherforda, Cavanaugh powiedział:

- Na wczorajszym spotkaniu próbowaliśmy znaleźć coś, co łączy agentów zabitych za pomocą białej broni. To Brockman sterował naszą dyskusją. Próbowaliśmy znaleźć wspólny mianownik, opierając się na poprzednich zleceniach albo na jednostkach wojskowych, w których służyli. Dopiero Brockman zasugerował, że dawne zlecenia nie mają nic do rzeczy. Że ważne są te następne. Skierował na nie naszą uwagę. Wciąż słyszę, jak mówi: „Światowa Organizacja Handlu”. To było jego ostatnie zadanie. Na wypadek gdybyśmy przegapili znaczenie zabójstw nożem, Carl kazał mu dopilnować, żebyśmy na pewno skojarzyli jedno z drugim. Chciał, żebyśmy się skupili na Nowym Orleanie. List, który mi tu zostawił, miał na celu utwierdzić nas w tym przekonaniu.

- Ale po co miałby nas ostrzegać, gdzie i kiedy nastąpi atak? - zapytał Rutherford.

- Bo wysłano tam wszystkich agentów, jacy byli pod ręką. Duran chce zniszczyć tyle celów, ile się da, ale jego nie obchodzą ministrowie handlu ani szefowie koncernów biorący udział w konferencji. Oni są tylko dodatkową premią. To agenci są jego celem. Już mu się udało nadwerężyć system. A teraz chce go rzucić na kolana. Jeżeli okaleczy całą sieć ochroniarzy w Stanach Zjednoczonych, wyszkolenie nowych agentów zajmie wiele miesięcy. A tymczasem jego zleceniodawcy będą mogli dokonywać ataków na terenie naszego kraju, kiedy i gdzie im się spodoba.

3.

Magazyn stał nad brzegiem Missisipi. Pomimo bijącej z podłogi wilgoci urządzono tu

sympialnię - trzy rzędy łózek polowych ze śpiworami, po dwadzieścia w każdym rzędzie. Siedzący na nich mężczyźni czyścili broń. Inni, przy stołach, grali w komputerowe gry FPS albo oglądali filmy akcji wiernie pokazujące sztuk walki. Było tu pod dostatkiem dobrego żarcia. Większość z nich miała za sobą bicie w dzieciństwie i doświadczenia więzienne, więc teraz, przepelnieni dumą i zdyscyplinowani po treningu w obozie szkoleniowym, byli zadowoleni.

Gdy otworzyły się boczne drzwi, spojrzeli na postać mężczyzny odcinającą się na tle światła. Natychmiast poznali tego wysokiego chudzielca o nabitych mięśniami ramionach. Ubrany w turystyczne buty, spodnie z licznymi kieszeniami i przydużą koszulę wypuszczoną na wierzch tak, by zasłaniała ukrytą broń, zamknął drzwi, zostawiając na zewnątrz dwóch mężczyzn wyglądających na dokerów, chociaż tak naprawdę byli wartownikami.

Gdy szedł do podium, mężczyźni zebrali się za nim. Nie czekając na komendę, każdy stanął jak wojskowy, na rozstawionych nogach i z założonymi za plecy rękami.

- Dzień dobry, panowie. - Głos Carla odbił się echem od metalowych ścian.

Patrząc czujnie, skinęli głowami w odpowiedzi na tak uprzejme powitanie.

- Na początek sprawy najważniejsze. Czy jedzenia jest pod dostatkiem?

Zarechotali.

- To jak, wystarcza wam?

- Tak jest!

- Smaczne?

- Tak jest!

- Nie ma to jak kuchnia nowoorleańska. Ostrygi. Langusty. Krewetki w sosie kreolskim. Sum w orzechowej panierce. Czerwona fasola i ryż z wątróbką na ostro. Pudding migdałowy. Jezu, chyba sam zgłodniałem.

Parsknęli śmiechem.

- Jak już się uporamy z tym zadaniem, wyprawię wam ucztę u Antoine'a albo w jakiejś innej wytwornej tutejszej restauracji. A na razie pamiętajcie, jeśli macie pod ręką coś smacznego, należy z tego korzystać. Nigdy nie wiadomo, kiedy czeka nas głód. Tak brzmi żołnierskie prawo. Dostaliście niezbędny sprzęt?

Skinęli głowami.

- Jeżeli macie zastrzeżenia do broni, pobierzcie inną. Nie żałujcie sobie amunicji. W końcu nie wy za nią płacicie.

Znów parsknęli śmiechem.

- A skoro już mowa o zapłacie, ten elegancki pan - Carl wskazał Raoula - ma wasze

pobory za następny miesiąc. Możecie je odebrać po odprawie.

Broń, pieniądze i szacunek. Istne niebo.

- Wspomniałem o zadaniu. Jesteście gotowi do pracy?

- Tak jest!

- Na pewno?

- Tak jest!!

- A więc sprawa wygląda tak. Jutro zaczyna się konferencja. Nazywają to Światową Organizacją Handlu, ściągają do miasta tabuny ważnych ludzi. Polityków. Miliarderów. Grube ryby, które zarządzają międzynarodowymi koncernami. Ale przyciągają też tabuny ludzi, którzy uważają, że Światowa Organizacja Handlu chce wycinać zasoby leśne, a to, co zostanie, przeznaczyć pod kopalnie odkrywkowe. Ich zdaniem ta organizacja chce, żeby biedacy dalej siedzieli w szambie, a bogaci się bogacili, płacąc dwadzieścia centów za godzinę robotnikom w zagranicznych fabrykach i waląc potem słone ceny za swoje buty, koszule czy co tam jeszcze produkują. Ci demonstranci wzniecą zamieszki. Zawsze tak robią. To pewne jak dwa a dwa cztery. Narozrabiają. A wtedy my wkroczymy do akcji. Ludzie, dla których pracujemy, chcą, żebyśmy pomogli demonstrantom. Mamy zrobić tak, żeby te zamieszki były naprawdę imponujące. Takie, których Światowa Organizacja Handlu nigdy nie zapomni. Żeby zastanowili się dwa razy, zanim znowu zaczną wycinać lasy, otwierać kopalnie odkrywkowe i płacić głodowe pensje. Więc co zrobimy, żeby te rozruchy pobily wszystkie inne na głowę? Damy każdemu z was to.

Carl podniósł sfatygowany plecak, który wyglądał jak wleczony bitym traktem za ciężarówką przez kilkanaście kilometrów. Wszyscy wlepili w niego wzrok - po raz pierwszy zainteresowani czymś tak nijakim.

- W każdym z tych plecaków znajduje się pojemnik z dymem. Wmieszacie się w tłum. Protestujących będą tysiące, więc nikt nie zwróci na was uwagi. Plecaki są ponumerowane. Podejdźcie do mapy na ścianie i znajdźcie swój numer. Convention Center Boulevard. Fulton Street. Commerce Street. Pyres Street. Wzdłuż Riverwalk. Przed kasynem Harrah. I dalej za plac La Fayette'a. Duncan Plaza. City Hall. Na każdej ulicy jest któryś z waszych numerów. Właśnie tam się ustawicie.

A kiedy wybuchną rozruchy, demonstranci zaczną podpalać samochody, wybijać okna i rzucać koktajle Mołotowa, kiedy wkroczą policjanci, żeby powstrzymać zabawę, znajdziecie miejsca, gdzie ukryjecie plecaki. A gdy na tych drogach, zsynchronizowanych zegarkach dla komandosów z SEAL, które dostaliście, wybije jedenasta, pociągniecie za ten oto sznurek i uwolnicie dym z pojemników.

Poczekacie, aż dym odpowiednio zgęstnieje. Przy równomiernym rozmieszczeniu plecaków będzie go co niemiara. I kiedy policjanci nie będą już was widzieli, wyciągniecie broń i zaczniecie szybko strzelać nad głowami ludzi. Nie chcemy nikogo zabić. Tylko wystraszyć. Palba z sześćdziesięciu pistoletów naraz. To będzie wyglądało na wojnę. Ale nikt was nie zobaczy i nie dowie się, że to wy strzelacie. Demonstranci pomyślą, że to policja. Gliniarze będą podejrzewali demonstrantów. Ludzie zaczną krzyczeć, wrzeszczeć, pierzchać na wszystkie strony.

Wypstrykacie się z całej amunicji. Potem rzucicie gnaty. Nie zapomnijcie nakleić na palce tych lateksowych nalepek, żebyście nie zostawili odcisków, i pamiętajcie o ładowaniu naboju do magazynków w rękawiczkach, żeby nie było śladów na wystrzelonych łuskach. Potem się zmyjcie. Spotykamy się za dwa dni od teraz w obozie pod Galveston w Teksasie, o którym wam mówiłem. Oblejemy sukces i zaplanujemy następną misję.

Wasze zadanie nie powinno trwać dłużej niż minutę, ale wymaga stalowych nerwów. Dlatego przechodziliście szkolenie. Pozytywne nastawienie. Niezawodność. Determinacja. Opanowanie. Zimna krew. Oto tajemnica, dzięki której radzimy sobie w życiu, panowie. Już nie jesteście śmieciami. Udowodnijcie to. Pokażcie mi, jak się zachowują zawodowcy. Ale bycie zawodowcem oznacza, że znacie też swoje ograniczenia. Jeżeli wśród was jest ktoś, kto uważa, że nie jest jeszcze gotowy, kto potrzebuje więcej treningów, niech mi to powie teraz, a rozstaniemy się bez urazy.

Kilkunastu mężczyzn - najmniej socjopatycznych - zawahało się, ale nikt nie podniósł ręki.

- Świetnie - rzekł Bowie. - Wobec tego bierzcie pieniądze i plecaki. Znajdźcie swoje stanowiska na mapie. Sprawdźcie, czy wasza broń jest gotowa. Najedzcie się do syta i dobrze się wyspijcie. Pogadam z wami jutro rano.

Gdy Carl zszedł z podium, mężczyźni ustawili się w szeregu przed Raoulem, który rozdał im pieniądze.

- Panie Culloden - zwrócił się Carl do jednego z nich. - Kiedy pan do nas przybył, był pan sflaczały i blady po więziennej izolacji. Był pan wzdęty z powodu braku ćwiczeń fizycznych i nadmiaru tego mącznego gówna, które w więzieniu nazywają jedzeniem. Teraz jest pan twardy. Ma pan zdrowe rumieńce. To pan powinien mi płacić za pobyt w centrum odnowy biologicznej.

Culloden zarechotał.

- Święta racja, panie Bowie, ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zatrzymam tę forszę.

Carl nadal się przekomarzał, żeby jego uśmiechnięci ludzie poczuli się częścią cenionego zespołu. Czasami podawał komuś rękę albo przyjaźnie klepał go po plecach. Lustrując wzrokiem szereg i nie pokazując po sobie, jak wypada jego ocena, zauważył jednak, że kilku mężczyzn trzyma się na uboczu.

Czekali, podczas gdy większość chowała pieniądze do kieszeni i wracała do czyszczenia broni, gier komputerowych, filmów akcji albo wcinania najlepszej kuchni w Nowym Orleanie.

- Panie Bowie - odezwał się jeden z nich.

- Tak? - rzucił Carl, wiedząc, dokąd to zmierza.

- My, eee... Tak się zastanawiamy...

- Czy z tego, co pan mówił, wynika, że jeśli ktoś z nas nie czuje się na siłach, nie musi tego robić? - zapytał inny.

- Tu nie ma dyktatury, panie Todd. Uważam, że najlepsza ekipa powinna się składać wyłącznie z ochotników.

- Wobec tego... - odezwał się następny.

- Tak, panie Weaver?

- Sądzę, że wyczerpałem już swój limit pakowania się w kłopoty. Nie potrzeba mi kolejnych.

- Przecież nikogo nie będziecie zabijali - odparł Carl. - Macie tylko odpalić pojemniki z dymem i strzelać w powietrze.

- Bardziej mi chyba odpowiadało obrabianie stacji benzynowych, ale teraz już i na to nie mam ochoty.

- Wasz udział jest całkowicie dobrowolny - rzekł Carl. - Nie zamierzam udawać, że nie jestem rozczarowany. W szkolenie was włożyliśmy wiele trudu. Ale jeśli nie potraficie się podjąć tej misji, przyznając się do tego, wyświadczacie nam wszystkim przysługę. Na pewno nie zmienicie zdania?

Nie odpowiedzieli.

- No trudno. - Carl westchnął. - Oczywiście nie dostaniecie poborów za kolejny miesiąc. I, rzecz jasna, musicie opuścić ekipę. Ale nie mogę pozwolić wam zostać w Nowym Orleanie. Moglibyście się upić w jakimś barze w Dzielnicy Francuskiej i wygadać coś, czego nie wolno wam mówić.

- Niczego takiego byśmy nie zrobili, panie Bowie. Pan wie, że może na nas liczyć.

- Tak czy owak, panie Weaver, to właśnie przez pański problem z alkoholem trafił pan do więzienia. Pan również, panie Todd. Załatwię dla waszej szóstki pokój w motelu na dwa

dni. Za miastem. Zróbcie zapas trunków. Zamawiajcie jedzenie na wynos. Nie chcę, żebyście się pokazywali publicznie.

- Tak jest, proszę pana.

- Za dwa dni będziecie mogli opuścić motel, a potem możecie opowiadać wszystkim, co tam sobie chcecie.

Todd przyjął to z wyraźną ulgą.

- Dziękujemy, panie Bowie.

- Sprowadź furgonetkę - polecił Bowie Raoulowi.

Dziesięć minut później Raoul wiozł ich na zachód w gęstym ruchu na autostradzie międzystanowej 10. Zachodzące słońce raziło go w oczy. Gdy wyjechali z miasta, poinformował ich:

- Pan Bowie mówi, że motel nie może się rzucać w oczy. Żaden z tych, gdzie trzeba pokazać kartę kredytową, bo to zostawia ślad. Macie kupę forsy, której nie mieliście okazji wydać. Skorzystajcie z niej. Ten się nada. - Wskazał zajazd o nazwie Escort Inn.

- Byleby w pobliżu był monopolowy - rzucił Todd. - Nie wypilem ani szklaneczki, odkąd wyszedłem z pudła. Bowie od razu namówił mnie na przyjazd do tego cholernego obozu i było po zawodach.

- Hej! - zawołał Weaver. - Monopolowy jest po drugiej stronie ulicy.

Zaopatrzyli się w piwo, bourbona, szkocką whisky, wódkę, gin, napoje gazowane, chipsy ziemniaczane, sos cebulowy, suszoną wołowinę oraz talię kart, a potem zajęli parking z boku motelu.

- Zaczekam tu, a wy się zameldujcie - powiedział Raoul. - Gdyby misja wzięła w łeb, lepiej, żeby was ze mną nie widziano.

- Jasne. Dobry pomysł. Nie chcemy być powiązani z tym, co się wydarzy w mieście.

- Poproście pokoje od tyłu. Mniejsze ryzyko, że ktoś zobaczy, jak tam parkujecie, kiedy będziecie wyładowywali swoje manele.

- No, powiemy w recepcji, że chcemy być z dala od hałasu z autostrady.

Pięć minut później cała szóstka wróciła z holu motelu. Raoul podwiózł ich do pokoi na tyłach.

- Parter - oznajmił z dumą Todd. - Nie będziemy targać gratów po schodach.

Raoul patrzył, jak wnoszą alkohol i zakąski do jednego pokoju.

- Macie wszystko? - zapytał od progu. - Nic więcej wam nie trzeba?

- Przydałyby się ze dwie dziwki - odparł Todd, uśmiechając się znacząco.

- Pan Bowie chce, żebyście z nikim nie gadali - ostrzegł Raoul.

- Sie wie, człowieku, wyluzuj. Ja tylko żartowałem.

Jeden z mężczyzn otworzył butelkę Jima Beama. Inny zerwał kapsel z puszki Budweisera, a trzeci włączył telewizor.

- Zobacz, czy mają History Channel - powiedział Weaver.

- Może leci program o pistoletach maszynowych albo inne fajne kawałki.

- Muszę się odlać - oznajmił Raoul.

Wszedł do łazienki, zamknął drzwi, wysikał się i spuścił wodę. Z obszernej koszuli wyjął dwie beretty z magazynkami na piętnaście nabojów. Otwierając drzwi, usłyszał z telewizora spikera opisującego wynalezienie karabinu AK-47. Wszedł z łazienki i wystrzelił oba magazynki w sześciu mężczyzn. Dzięki tłumikom odgłos przypominał bitwę na poduszki. Pociski rozpryskowe kaliber dziewięć milimetrów rozpadały się po uderzeniu w cel, więc nie przechodziły na wylot i nie dziurawiły ścian, co mogłoby zaalarmować kogoś na zewnątrz albo w sąsiednim pokoju.

Raoul poszukał wystrzelonych łusek i pozbierał je wszystkie, choć znalezienie niektórych trwało dłużej, niż zamierzał. Ale nawet gdyby którąś przegapił, nie miałyby to katastrofalnych skutków - ładował broń w rękawiczkach, uważając, żeby nie zostawić odcisków palców na nabojach. Tyle że bez pustych łusek śledczy nie będą mieli materiału do porównań balistycznych, które mogłyby powiązać pistolety Raoula z miejscem zbrodni. Kule z pewnością były tak zniekształcone i niekompletne, że nie nadawały się na potrzeby balistyki. Poza tym Raoul zamierzał zetrzeć swoje odciski palców z pistoletów i wyrzucić je w dogodnym momencie. Pan Bowie nauczył go, że szanse przeżycia zależą od szczegółów.

Raoul zabrał zabitym pieniądze. Potem starł odciski z przycisku spłuczki w toalecie oraz z kilku innych przedmiotów, których dotykał. Zamykając za sobą drzwi, usłyszał, jak prezenter History Channel wyjaśnia, że człowiek, który w czasach komunizmu wymyślił AK-47, nigdy nie dostał tantiem od sprzedaży.

4.

Słyszac pyrkotanie silnika barki płynącej obok po Missisipi, Carl wcisnął klawisz telefonu komórkowego, lecz znów usłyszał nagranie z prośbą o zostawienie wiadomości. Wybrał inny numer i usłyszał taki sam przekaz. Przerwał połączenie i zamyślił się. Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd ostatnio kontaktował się z Brockmanem, który powinien

przylecieć do Nowego Orleanu poprzedniego dnia wieczorem. Rano miał się zgłosić w tutejszej bazie Global Protective Services, żeby dokonać oceny stanu przygotowań do ochrony konferencji Światowej Organizacji Handlu. Potem miał się porozumieć ze swoimi partnerami w różnych rządowych agencjach ochrony. Kiedy już pozna terminy i trasy, jakimi agenci będą eskortować swoich klientów do centrum konferencyjnego, zgodnie z rozkazem miał się skontaktować z Carlem i podać mu szczegóły.

Czyżby Brockman uznał, że nie zamierza dłużej brać w tym udziału? Czyżby uciekł? A może zatrzymano go i jest przesłuchiwany? Ponieważ ewentualność taka groziła poważnymi konsekwencjami, Carl musiał dobrze się nad nią zastanowić. W najgorszym wypadku jak długo Brockman jest w stanie opierać się przesłuchującym? Czy jest tak słaby, że przyzna się do udziału w śmierci aż tylu agentów? Czy powie władzom, że Carl manipulował nimi, żeby wysłały do Nowego Orleanu jak najwięcej ochroniarzy?

Największym grzechem jest nielojalność.

Po raz ostatni Carl ze złością wybrał numer Brockmana na swojej komórce.

5.

- Macie szczęście, że płacą mi, żebym była do dyspozycji Global Protective Services.
- Lekarka, pięćdziesięcioletnia okularka, kiedyś pracowała jako pielęgniarka w wojskowym szpitalu polowym. Ruchem głowy wskazała Brockmana, który leżał w swoim łóżku, otępiły od środków przeciwbólowych. - Będzie potrzebował fizjoterapii na kolana i zerwane mięśnie
- poinformowała Alego. - Sponiewierał go pan tak, że każdy inny lekarz zawiadomiłby policję.

- Proszę porozmawiać z Cavanaughem - odparł Ali. - Wyjaśni pani, dlaczego trzeba to było zrobić w ten sposób.

W siłowni po drugiej stronie korytarza zadzwonił telefon komórkowy Brockmana.

Nie po raz pierwszy. W trakcie przesłuchania kilkakrotnie próbowano się połączyć z tym numerem, lecz Ali nie odbierał. Dzwoniący przeważnie zostawiali wiadomości, zazwyczaj związane z pracą GPS, ciekawi, dlaczego Brockman nie zgłosił się do pracy w Nowym Orleanie.

Tylko jeden z nich się nie nagrał. Na ekranie wyświetlało się nazwisko William Scagel oraz numer telefonu.

Teraz, gdy ktoś znów zadzwonił, Ali wyszedł z sypialni i ruszył do siłowni.

Telefon umilkł po szóstym sygnale. Ali podszedł do stołu, na którym leżała komórka Brockmana, obok jego pistoletu i noża w kształcie szponu. Na wyświetlaczu znów pojawił się William Scagel.

Zaniepokojony Ali odczepił swoją komórkę od paska i wybrał numer.

Cavanaugh odebrał po drugim dzwonku.

- Liczę, że masz dla mnie dobre wiadomości.

- Tylko jedno pytanie. Czy mówi ci coś nazwisko William Scagel?

- Tak, psiakrew. Scagel był słynnym twórcą noży. Skąd masz to nazwisko?

- Wydzwania na komórkę i telefon domowy Brockmana. Ale nie zostawia wiadomości.

Na chwilę zapadła cisza.

- To Carl.

- Poczekaj. Może tym razem się nagrał. - Ali nacisnął klawisze na komórce Brockmana.

- Jaki jest numer na wyświetlaczu? - zapytał Cavanaugh.

Ali podyktował mu numer, a potem odsłuchiwał wiadomość w komórce Brockmana. Elektroniczny szum świadczył, że coś jednak nagrano. Ali oparł się o stół, odsunął na bok pistolet Brockmana i pełen nadziei czekał. Nagle szum przerwał elektroniczny pisk.

Eksplozja rozwalila siłownię w drobiazgi.

6.

Carl przypiął swoją komórkę do paska i schował mały nadajnik radiowy do torby na aparat fotograficzny. Idąc spacerkiem wzdłuż rzeki, pozdrawiał turystów skinieniem głowy i udawał, że podziwia statki na Missisipi, chociaż jego uwagę przykuwała większa niż zwykle liczba policjantów oraz barykady przygotowane na jutrzejszą demonstrację. Wyobraził sobie, jak Brockman - a raczej ten, kto go przesłuchiwał - przyciska jego komórkę do ucha z nadzieją, że usłyszy wiadomość. Ale jedyną wiadomością był sygnał wysłany z nadajnika radiowego Carla. Całkiem słusznie zakładał, że zagięty jak szpon nóż będzie gdzieś w pobliżu. Wyobraził sobie, jak sygnał radiowy dociera do detonatora w pochwie noża. Eksplozja ukrytego w niej potężnego materiału wybuchowego powinna zniszczyć wszystko

dookoła.

7.

W jednej chwili połączenie, którego słuchał Cavanaugh, działało, w następnej zapadła śmiertelna cisza. To słowo przyszło mu na myśl całkiem odruchowo.

Śmiertelna. Siedząc na pokładzie odrzutowca GPS lecącego do Nowego Orleanu, poczuł, że coś w nim pękło. Pamiętając, że połączenia telefoniczne z samolotów nie są bezpieczne, że można je zakłócić drogą elektroniczną, zdusił najgorsze przeczucia i oddzwonił do Alego, lecz nagrany na taśmie głos poinformował go, że wybrany numer jest nieosiągalny.

- Czy coś się stało? - spytała Jamie.

- Tego się obawiam. - Cavanaugh czym prędzej zadzwonił do centrali GPS na Manhattanie.

Oficer dyżurny wiedział już wszystko od dwóch agentów GPS pilnujących mieszkania Brockmana na zewnątrz.

- Wybuch? - Cavanaugha zatkało. Opuścił rękę z telefonem. - A żebyś zdechł, Carl!

8.

Kiedy gulfstream wylądował w Nowym Orleanie, czekały już na niego pojazdy służb ratunkowych rozświetlające ciemności błyskiem kogutów na dachach.

Ponurzy funkcjonariusze z pistoletami pod marynarkami utworzyli ochronny kwadrat, gdy Cavanaugh, Jamie i Rutherford wysiedli z odrzutowca w wilgotne powietrze Luizjany.

- Numer telefonu, który podał panu pański człowiek, zanim zginął, ma tutejszy prefiks - poinformował agent Secret Service.

- William Scagel kupił ten aparat wczoraj, w St. Charles. To trzydzieści kilometrów stąd.

- Carl raczej nie kupił go osobiście - rzekł Cavanaugh. - Wysłał jednego ze swoich ludzi, żeby sprzedawca nie mógł podać dokładnego rysopisu.

- Adres kupującego jest fałszywy.

- A to ci niespodzianka.

- Założę się, że w innych sklepach kupiono więcej telefonów. Zrobiła to ta sama osoba posługująca się następnymi fałszywymi nazwiskami i adresami - powiedział Rutherford.

Furgonetkę otoczyli policjanci. Cavanaugh, Jamie i Rutherford wsiedli w towarzystwie agentów FBI. Gdy tylko zamknięto boczne drzwi, kierowca ruszył do wyjazdu z lotniska, mając z przodu i z tyłu wozy policyjne.

- Nie wolno zakładać, że Carl wciąż ma ten telefon - powiedział Cavanaugh, kiedy pędzili autostradą. - Czy satelita jest na pozycji?

- Czeka na polecenia - odpowiedział jeden z agentów. - Oczy i uszy na niebie są wycelowane w Nowy Orlean.

- Więc do roboty.

- Piekarz do rzeźnika, słyszysz mnie? - rzucił agent do krótkofalówki.

- Słyszę.

- Zaczynjcie namierzanie.

- Namierzanie włączone.

Agent skinął głową na Cavanaugha. Ten wyciągnął swoją komórkę i wybrał numer, który Ali podyktował mu kilka sekund przed śmiercią.

Wszyscy patrzyli na niego z uwagą, ale on skupiał się tylko na przyciśniętym do ucha telefonie i dzwonku po drugiej stronie.

Jeden.

Drugi.

Trzeci.

- Wyrzucił telefon - powiedział Rutherford. - Jeśli ktoś odbierze, to pewnie jakiś ćpun. Serce Cavanaugha zabiło szybciej, bo nagle usłyszał głos Carla.

- Witaj, Aaronie.

Furgonetka zarzuciła, mijając reflektory samochodów na autostradzie.

- A więc się domyśliłeś, Carl.

- Niczego nie musiałem się domyślać. Znam cię, stary kumplu. Potrafię przewidzieć, co zrobisz.

- I nawzajem. - Cavanaugh zwrócił uwagę, że dźwięk brzmi jakoś nienaturalnie.

W tle słyszał muzykę i śmiechy. Głos Carla był stłumiony, jakby dobiegał z oddali. - Byłeś pewny, że zadzwonię?

- No, chyba że sam przesłuchiwałeś Geralda Brockmana, bo wtedy zdrapywaliby cię właśnie ze ściany.

Podszedł mu do gardła pałący kwas. Żałował, że nie może sięgnąć przez telefon i...

Z trudem zachował spokój.

- Wysadziłeś także Alego Karima, dwóch ochroniarzy i lekarkę.

- Karim. Dobrze się z nim pracowało. Znał się na swojej robocie. Szkoda, że już go nie ma.

- Spróbuj powtórzyć to szczerze.

- Kim byli ci inni... - Głos Carla zamierał, chociaż o dziwo muzyka i śmiechy wcale nie cichły.

- Ledwo cię słyszę - powiedział Cavanaugh.

- Kim byli ci inni ochroniarze? - Tym razem głos Carla dotarł wyraźnie.

Cavanaugh podał mu nazwiska.

- Nie znałem ich. Pewnie dostali robotę, jak ja wyleciałem - odparł Carl znaczącym tonem.

- Mówiłem ci, nie miałem nic wspólnego z tym, że cię zwolnili.

W blasku reflektorów furgonetka skręciła w zjazd z autostrady tak ostro, że Cavanaugh musiał się przytrzymać ściany.

- Ale nie zrobiłeś nic, żeby temu zapobiec, kolego. A w głębi serca wiedziałeś, że mogłeś mi pomóc.

- Stale łamałeś rozkazy. Nie panowałeś nad sobą. Wyrzucając cię, Duncan postąpił tak, jak należało.

- O, więc nareszcie dowiaduję się prawdy. Przyznajesz, że mogłeś się za mną wstawić, ale wolałeś, żeby mnie wylali.

- Nie panowałeś nad sobą nie tylko podczas tego incydentu przed hotelem Plaza. I ty masz pretensje do mnie? A dlaczego nie do siebie?

- Sugerujesz, że częściowo sam jestem sobie winny?

- Sugeruję, żebyś z tym skończył.

- Myślisz, że długo jeszcze przetrzymasz mnie przy telefonie? - zapytał Carl.

- Tak długo, aż cię przekonam, żebyś przestał to robić.

- Czyżbyście namierzali sygnał z mojej komórki, stary kumplu? Sprawdźcie, które stacje przekaźnikowe przesyłają mój głos?

- Tak trzeba w takiej sytuacji. Znasz procedury. Nie ma w tym nic osobistego.

- Dobrze sobie! Ty bez dwóch zdań udowodniłeś, że jeśli chodzi o ciebie, nic nie jest osobiste. Jesteś zimny, Aaronie. Nawet nie miałem pojęcia, jak bardzo.

- A ty nie? Posłuchaj mnie, Carl. Skończ z tym, co robisz.

Furgonetka skręciła za róg i zahamowała gwałtownie, tak że Cavanaugh znów musiał się przytrzymać ściany. Jeszcze zanim pojazd stanął na dobre, szef agentów szarpnięciem otworzył boczne drzwi i zobaczyli uzbrojonych w karabiny mężczyzn odcinających się na tle błyskających kogutów wozów specjalnych.

- A niby czemu miałbym teraz rezygnować z czegoś, czego zorganizowanie zajęło mi tyle czasu? - rozległ się głos Carla.

Przyciskając telefon do ucha, Cavanaugh wyskoczył na chodnik i ruszył za agentami w kierunku parterowego budynku z cegły. Uderzył go ostry zapach pobliskiej Missisipi.

- Carl, jeżeli to ze mną chcesz wyrównać rachunki, podaj tylko miejsce i czas. Zapewnię ci wszelką ochronę, jakiej zechcesz. Żadnych sztuczek. Jeden na jednego. Będiesz mógł mi pokazać, jak bardzo mnie nienawidzisz.

Jeden z agentów otworzył metalowe drzwi. Z budynku padło ostre światło.

Olbrzymie pomieszczenie było pełne sprzętu radiowego, komputerów, magnetofonów i magnetowidów oraz monitorów kamer przemysłowych. Ekran-y pokazywały podgląd setek miejsc na ulicach Nowego Orleanu wokół centrum konferencyjnego - przejazd jednostek policji w autobusach, ustawianie barykad.

Sprzęt obsługiwało kilkudziesięciu techników, którzy zamilkli jak na komendę w chwili, gdy Cavanaugh wszedł do budynku.

- Nienawidzę cię, Aaronie? - Głos Carla dobiegł z głośników obok monitora.

Technik ściszył dźwięk.

- Człowieku, jestem na ciebie tak wkurzony dlatego, że cię kocham. Nie żebym chciał cię przelecieć. Nie mówię o tego rodzaju miłości. Ale byłeś jedyną bliską mi osobą, a odwróciłeś się ode mnie, jakbym był zadżumiony. Wyrównać z tobą rachunki? Nic z tego. Tym, co robię, chcę coś udowodnić. Udowodnić, że już doskonale panuję nad sobą. A teraz, skoro wasi technicy od satelitów mieli szansę mnie namierzyć, adios.

- Carl, zaczekaj.

W tle słychać było jedynie muzykę i gwar głosów.

- Carl, jak mamy to zatrzymać? Powiedz mi, czego chcesz!

Nie było odpowiedzi.

- Carl! - Słyszając tylko muzykę i głosy w tle, Cavanaugh opuścił telefon. Nie mógł przerwać połączenia na wypadek, gdyby Carl jednak coś jeszcze powiedział.

Tyle że w ten sposób dawał mu okazję do podsłuchania tego, o czym mówi się w pomieszczeniu. - Sprytnie...

Zduślił przekleństwo, oddał telefon agentowi i kazał mu wyjść z nim na zewnątrz.

- Zlokalizowaliście go? - zapytał Rutherford technika.
- Jest w Dzielnicy Francuskiej. Chyba zostawił telefon i odszedł.
- Ale dlaczego jego głos brzmiał, jakby dobiegał z oddali?
- Może nie mówił bezpośrednio do mikrofonu.
- Sygnał dochodzi z rogu Bourbon i St. Peter - poinformował inny technik.
- Macie jakąś ekipę w pobliżu? - spytał Rutherford. - W dzielnicy barów policja na pewno ma od groma funkcjonariuszy.

Trzeci technik skończył mówić do mikrofonu.

- Podczas rozmowy zjechało się tam z różnych stron sześć ekip. Kolejne są w drodze. Blokujemy ulice.

- Jedno mnie tylko zastanawia. - Pierwszy technik wskazał na monitor pokazujący plan Dzielnicy Francuskiej, a na nim nieruchomą pulsującą kropkę.

- Tylko jedno? - rzucił Rutherford.

- W trakcie rozmowy wcale się nie ruszał - powiedział technik.

Jamie załapała pierwsza.

- W ogóle się nie ruszał? A po co miałby stać w miejscu, skoro wiedział, że poprzez satelity próbujemy ustalić jego pozycję?

9.

Furgonetka zatrzymała się na Chartres Street, między Jackson Square a katedrą Świętego Ludwika. Gdy Rutherford otworzył boczne drzwi, pojazd otoczyli ochroniarze.

Cavanaugh spojrział na blask latarni i tłumy spacerujących na dalszym planie turystów z plastikowymi kubkami piwa w rękach.

- Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? - upewnił się Rutherford. - Może on chce cię zwabić.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Więc dlaczego dajesz się wciągnąć w jego grę?

- Bo innej gry nie mamy. Ilu agentów wmieszało się w tłum?

- Wystarczająco wielu, teraz sami są tłumem.

Cavanaugh spojrział na Jamie.

- Chcesz tu zostać?

- I stracić cały ubaw? - odparła.

- Miejmy nadzieję, że ubaw nas ominie.

Otoczeni przez agentów wysiedli i ruszyli wąską St. Peter Street. Mijając majestatyczną katedrę i jej ogrody, Cavanaugh zwolnił przed blaskiem i rejwachem na Bourbon Street. Noc wypełniały dźwięki muzyki i zabawy.

Sąsiadujące ze sobą bary i restauracje, przeważnie z wystawionymi na ulicę stolikami, były pełne klientów.

- Nie zaskoczmy go, jeśli będziemy się tak trzymali w grupie - zwrócił się do agentów.

- Ale jeśli się oddalimy, nie damy rady pana chronić - odparł jeden z nich.

Wieczorem Bourbon Street była zamknięta dla ruchu kołowego. Agenci zlustrowali wzrokiem wrzaskliwe bary i hałaśliwy tłum snujący się środkiem jezdni.

Potem skupili się na balkonach z balustradami z kutego żelaza, na których również imprezowano na całego.

Spocony Cavanaugh podszedł do mężczyzny z owczarkiem niemieckim stojącego obok śmietnika. Właściciel psa na pozór napawał się muzyką i entuzjazmem tłumu, podobnie jak mężczyzna i kobieta po drugiej stronie śmietnika, a także inna para rozbawiona przez mężczyznę tańczącego na ulicy.

Wszyscy, łącznie z tancerzem, należeli do ekipy.

- Mój Arnold jest najlepszym psem w całej jednostce - zapewnił właściciel owczarka.

- Nie zdarzyło się, żeby nie wykrył materiałów wybuchowych. Jak dotąd cały teren wydaje się czysty. - Wskazał dwie pary i tancerza. - Oni mają wykrywacze promieniowania i patogenów. Odczyty negatywne.

- Niech pan pokaże, co znaleźliście - polecił Rutherford.

Mężczyzna i kobieta po drugiej stronie śmietnika odsunęli torby ze śmieciami, odsłaniając dwa telefony komórkowe, sczeplone ze sobą taśmą izolacyjną.

Obok leżał dosyć zaskakujący przedmiot.

Na razie jednak Cavanaugh skupił się na sklejonych taśmą komórkach.

- Skur...

- Rozumiem, że nie lubisz się wyrażać, ale w tym wypadku nie musisz się hamować - powiedział Rutherford.

Cavanaugh wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki i włożył je, choć nie znosił dotyku talku, którym były posypane w środku. Kucnął, wyciągnął zza paska miniaturową latarkę i uważnie przyjrzał się sklejonym telefonom. Stykały się w ten sposób, że mikrofony

przylegały do słuchawek.

Któryś z agentów opuścił swoją komórkę i poinformował:

- Jeden telefon jest włączony. W centrali słyszą z niego nasze głosy.

Cavanaugh spojrział na mężczyznę z owczarkiem niemieckim.

- Niech Arnold obwącha je jeszcze raz, czy nie ma materiałów wybuchowych.

- Z miłą chęcią.

Potem Cavanaugh zwrócił się do dwóch par obok niego:

- Możecie je zeskanować powtórnie waszymi wykrywaczami?

Wykonali polecenie, ale ekrany, które mieli w rękach, wciąż pokazywały negatywny odczyt, zarówno jeśli chodzi o promieniowanie, jak i patogeny.

Zrobili to tak dyskretnie, że setki przechodzących obok turystów niczego nie zauważyło.

Cavanaugh wziął telefony, trzymając je za sam dół, żeby nie zatrzeć ewentualnych odcisków palców. Odpiął nóż, przyjrzał się, w jaki sposób obie komórki są sklezione, i przeciął łączącą je taśmę.

- Drugi telefon też jest włączony. Odbiera jakiś sygnał - powiedział, wskazując oświetlony ekran.

- Do tego potrzeba trzech telefonów - powiedziała Jamie.

Cavanaugh skinął głową.

- Ten, na który zadzwoniłeś - ciągnęła Jamie. - Drugi, który jest z nim skleiony.

I trzecia komórka, z której Carl zadzwonił na tę drugą.

Cavanaugh znów przytaknął ruchem głowy.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział jeden z agentów. - O czym wy mówicie?

- Carl założył, że prędzej czy później zadzwonię na numer, z którego połączył się z Brockmanem. Wiedział, że Brockman ma w komórce identyfikację rozmówcy, ale nawet gdyby oba jego telefony zostały zniszczone w wyniku eksplozji, to i tak numer zachowałby się w firmie telekomunikacyjnej.

- Dobra, jak dotąd nadażam - rzekł agent.

- Carl i jego towarzysz zaczekali, aż zadzwonimy. - Jamie wskazała jeden z telefonów.

- Zanim Carl odebrał, włączył drugi telefon. Potem z trzeciego aparatu zadzwonił na ten drugi. Przyłożył pierwsze dwa do siebie i używał trzeciego, żeby za pośrednictwem drugiego przekazywać swój głos do pierwszego. Podczas gdy mówił, jego towarzysz skleił pierwsze dwa aparaty, żeby się nie rozdzieliły. A wtedy ukryli te telefony w śmieciach i odeszli.

Agent skinął głową.

- A ponieważ nie wiedzieliśmy o trzecim telefonie, mógł gadać do woli bez obawy, że namierzemy go przez satelity... Pewnie był już poza Dzielnicą Francuską.

- A w tej chwili nas słucha - rzekł Cavanaugh. Rutherford się wyprostował.

Cavanaugh z uznaniem zauważył, że agenci obserwowali to, co powinni - tłum na jezdni i gwarne budynki na całej ulicy.

- Mam rację, Carl? - rzucił Cavanaugh do drugiego telefonu. - Słuchasz nas w tej chwili, prawda?

Nie doczekał się odpowiedzi, ale cichy elektroniczny szum świadczył o tym, że połączenie nie zostało przerwane. Pokazał ekran komórki agentowi mającemu kontakt z centrum łączności.

Agent zanotował numer, z którego dokonano połączenia, i oddalił się od grupy, żeby nie było słyhać, jak podaje nowy numer telefonu do centrum łączności.

Już tamci namierzają sygnał.

- Carl, jesteś tam? - zapytał Cavanaugh.

I znów nie doczekał się odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że podsłuchując nas, dobrze się bawisz.

- A co z tą drugą rzeczą, którą zostawił? - spytał Rutherford.

- Z nożem? - Cavanaugh miał na myśli ów zaskakujący przedmiot.

- Ano. W życiu nie widziałem równie wrednego majchra. Cavanaugh wziął nóż.

Lateksowe rękawiczki chroniły jego skórę przed ewentualną trucizną, którą Carl mógł go pokryć.

- Nazywa się kukri.

Nóż miał imponującą rękojeść z kości słoniowej i groźne, wygięte jak sierp trzydziestocentymetrowe ostrze. Zaprojektowany jako broń sieczna, efektywnie ciął prawie całą długością krzywizny.

- Używają ich Gurkhowie - powiedział Cavanaugh.

Rutherford skinął głową.

Gurkhowie to wojownicze plemię z Nepalu. Zaciągali się jako najemnicy do armii różnych krajów, co było podstawowym źródłem ich utrzymania. Nigdy nie wyciągali noży, jeśli nie zamierzali przelać krwi, a gdyby nie zdołali ranić albo zabić wroga, rzekomo czuli się w obowiązku utoczyć własną krew.

- Słyszając zbliżających się Gurkhów, wrogowie oblewają się potem. - Cavanaugh wziął drugi telefon i powiedział: - Carl, ten nóż to fantastyczna robota. Grawerunek na rękojeści z kości jest rewelacyjny. Moim zdaniem ten sztylet Michaela Price'a na farmie był bajeczny,

ale ten to prawdziwe dzieło sztuki. Wyśmienita robota.

- Ze skamieniałej kości - dobiegł z telefonu głos Carla.

Cavanaugh skwitował zwycięstwo lekkim uśmiechem.

- Lance uczył nas, że niczego nie wolno zabijać tylko po to, żeby zrobić nóż - ciągnął głos Carla.

Agent porozumiewający się z centrum łączności zamachał rękami na znak, że namierzają sygnał z trzeciego telefonu.

- Kość mastodonta - rzekł Cavanaugh. - Z Alaski, mam rację? Podoba mi się, że nakładasz czarny epoksyd tylko na główną część ostrza, a krawędź zachowuje swój naturalny metaliczny blask. Pięknie kontrastuje z kością.

- W twoich ustach to najwyższa pochwała, Aaronie.

- Niczego nie wolno zabijać tylko po to, żeby zrobić nóż?

- Wiele razy słyszałeś, jak Lance to powtarzał.

- A zatem zabijanie jest dozwolone dopiero po wykonaniu noża?

- Nie wpadaj w moralizatorski ton, Aaronie. W Delta Force nieraz posługiwałeś się nożem. Domyśliłeś się, dlaczego zostawiłem ci kukri?

- To groźba?

- Powiedzmy, że ostrzeżenie - dobiegł nikły głos Carla. - Skąd wiesz, czy cię teraz nie obserwuję? Może celuję do ciebie z karabinu. Może właśnie w tej chwili mogę cię wyprawić do piekła.

- Wątpię, Carl. Jesteś wiele przecznic stąd. Sprawdziłeś, że ten telefon wyświetli numer, z którego dzwonisz. Chcesz, żebyśmy znowu namierzyli sygnał, tylko po to, żeby znaleźć kolejne sklezione ze sobą komórki. Dobrze się bawisz?

- Tak samo jak wtedy, kiedy jako dzieci udawaliśmy żołnierzy polujących na siebie w tym lasku na końcu naszej ulicy.

- Ale już nie jesteśmy dziećmi.

- Otóż to. Pamiętasz, kiedy ostatnio byliśmy w Nowym Orleanie? Jaki mieliśmy ubaw, pijąc i słuchając jazzu przez całą noc? Pomijając ten klub za twoimi plecami, teraz już prawie nigdzie nie grywają jazzu. Na miłość boską, tę knajpę obok przerobili na bar karaoke! Kiedy tam zajrzałem wcześniej, jakaś gówniara z kolczykiem w nosie katowała tekst do Love Shack. Kluby jazzowe polikwidowali i przerobili na budy z gołymi dupami albo sex-shopy. Żenada. To miasto zniszczy twoje wspomnienia, jeśli się stąd szybko nie wyniesiesz. Odpuść. Wracaj do Wyoming.

- Niewiele mi tam zostało. Spaliłeś mój dom, pamiętasz?

- Odbuduj go. Zajmij się czymś konstruktywnym. Nie wchodź mi w paradę. Aaronie, chcesz się założyć?

- A co dostanę, jeśli wygram?

- Przerwę to, czym się zajmuję, jeżeli mi powiesz, jaki jest najdroższy nóż na świecie.

- Wobec tego wygrałem, Carl. Najdroższym nożem na świecie jest szczerozłota kopia sztyletu Tutenchamona wykonana przez Bustera Warenskiego.

- Błąd.

- Nie żartuj - powiedział Cavanaugh. - Kiedy Buster zrobił ten nóż w latach osiemdziesiątych, wyceniano go na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dwa lata temu jego wartość szacowano już na pół miliona. Ale potem jego właściciel oświadczył, że nie sprzedaje go za żadną cenę.

- Owszem, Buster spisał się z tym sztyletem. Nie jest to jednak najdroższy nóż na świecie. Powiedzieć ci, który nim jest?

- Jasne, Carl. Wał śmiało.

- Nóż, który będzie cię kosztował życie.

Carl powiedział to w sposób tak nieodwołalny, że Cavanaugh odniósł wrażenie, że to już koniec rozmowy.

- Cokolwiek robisz, przerwij to - nalegał. - Szuka cię tylu ludzi, że nie uda ci się uciec. Negocjuj ze mną. Co możemy ci dać, żebyś z tym skończył?

Cichy elektroniczny szum w telefonie włókł się bez końca.

- Carl?

Nagle Cavanaugh usłyszał w telefonie głosy - przekleństwa wściekłych mężczyzn.

Agent kontaktujący się z centrum łączności odsunął telefon od ucha.

- Sygnał prowadził do Garden District - poinformował. - Ekipa znalazła dwa sklejone telefony ukryte w klombie kwiatów przed jedną z tych starych rezydencji.

- Czy oba są włączone?

- Tak.

- No jasne. Carl znowu to zrobił. Przekazywał swój głos z innego miejsca. Jeżeli tam pojedę, odezwie się do mnie z następnego telefonu. Przegoni mnie po całym mieście. Następnym będzie pewnie cmentarz albo miejsce nad rzeką.

- Zrobi wszystko, byleby cię zająć, żebyś nie mógł powstrzymać tego, co stanie się jutro - powiedziała Jamie.

- Powstrzymamy to, spokojna głowa.

10.

Siedząc z Jamie w radiowozie pędzącym w tętniącą życiem noc, Cavanaugh zauważał coraz więcej oznak nadciągających kłopotów. Więcej policjantów na ulicach. Więcej barykad. W kilku parkach zbierały się liczne grupy demonstrantów - jedni leżeli na śpiworach, inni gestykulowali, dyskutując zawzięcie. W oddali zawodziły syreny.

Jamie spojrzała na zegarek.

- Dochodzi pierwsza. Mamy niewiele czasu.

Dotarli do hotelu Delta Queen, jednego z kilku mieszczących się przy Canal Street. Położona w sąsiedztwie centrum konferencyjnego dzielnica była logicznym miejscem zakwaterowania licznych delegatów, ale Cavanaugh nie mógł znieść myśli, że tak wielu wpływowych ludzi umieszczono tak blisko siebie.

On i Jamie wylegitymowali się strażnikom i wbiegli za barykady do ozdobnego hotelowego holu. W recepcji skierowano ich do sali bankietowej na pierwszym piętrze. Popędzili schodami i wyłożonym puszystym dywanem korytarzem, znów wylegitymowali się kolejnym strażnikom i weszli do jasno oświetlonego centrum dowodzenia Global Protective Services.

W olbrzymim pomieszczeniu królowały stoły. Wszędzie pełno było komputerów i monitorów, dzwoniły telefony, mruczały drukarki, dziesiątki agentów usiłowały na bieżąco przetworzyć kolosalny zalew napływających informacji. Przed hotelem zawodziło coraz więcej syren.

Przez kilka tygodni poprzedzających konferencję GPS wysyłała na rekonesans do Nowego Orleanu swoje ekipy, żeby zbadały rozkład i zabezpieczenia tego i innych hoteli, w których mieli się zatrzymać klienci. Oceniały też możliwe trasy dojazdowe oraz rozmaite atrakcje turystyczne, które delegaci z pewnością będą chcieli zobaczyć. Agenci robili zdjęcia. Szkicowali plany ulic i rozkład pokoi i apartamentów na piętrach. Sporządzali tabele pokazujące, ile czasu zajmuje droga z jednego budynku do drugiego. Sprawdzali wypożyczalnie limuzyn i załatwiali dostateczną liczbę samochodów opancerzonych. Zatrudniali strażników, którzy mieli pilnować, żeby nikt nie majstrował przy limuzynach, i którzy regularnie badali każdy pojazd. Załatwiali, żeby personel medyczny był pod telefonem, i szczegółowo opisywali, jak się dostać do najbliższych szpitali. Te i wiele innych przygotowań stanowiły niewidoczną część pracy w tej branży - wszystkie środki bezpieczeństwa powinny wyglądać naturalnie, chociaż tak naprawdę były rezultatem

intensywnego planowania.

Pośród tego zorganizowanego chaosu wysoka kobieta oderwała się od wydruku. Ta była członkini marines i była agentka Defense Intelligence Agency nosiła ciemne spodnie i ciemną bluzkę, w których mogła wyglądać swobodnie albo oficjalnie, w zależności od tego, do jakiego klienta powinna się dopasować. Miała krótko obcięte rude włosy. Jej wyrazista twarz z zaledwie lekkim śladem makijażu była ściągnięta ze zmęczenia. Podeszła do Cavanaugha i Jamie, wyraźnie zadowolona, że może się oderwać od pracy.

- Słyszałam, że jesteś nowym szefem.

- Taki mój pech - odparł Cavanaugh. - Jamie, to jest Dawn Finch, najlepsza agentka zwiadu, jaką mamy.

- Pochlebca!

- Dawn, to moja żona Jamie.

- O niej też coś mi się obilo o uszy. Ty to potrafisz zaskakiwać.

- Miejmy nadzieję, że jutro nic nas nie zaskoczy.

- Zobaczcie, jak to wygląda. - Dawn zaprowadziła ich do różnych wykresów zawieszonych na ścianie.

Cavanaugh przyjrzał im się uważnie.

- Nie podoba mi się rozkład wąskich gardeł. - Miał na myśli miejsca potencjalnego ataku wspólne dla wszystkich tras, z których będą musieli korzystać uczestnicy obrad.

- Tak, centrum konferencyjne mieści się w Dzielnicy Francuskiej. Ta zabytkowa część miasta leży w obrębie kilku przecznic. Żebyśmy nie wiem jak zmieniali trasy, wszyscy muszą pokonać wąskie gardła tutaj i tutaj. Oczywiście największe zmartwienie to bomby i snajperzy. Połączyliśmy siły z policją i agencjami rządowymi, żeby wzmocnić ochronę w tych punktach, nie dopuścić demonstrantów, zając dachy, obserwować ruch za oknami, tego rodzaju rzeczy.

- Ilu jest agentów?

- Osiem tysięcy, a kolejni są w drodze.

Przez chwilę Cavanaugh sądził, że się przesłyszał.

- Osiem tysięcy?!

- Żeby uderzyć w tak wielu ludzi, trzeba zaatakować czymś, co się rozprzestrzenia, na przykład brudną bombą - ciągnęła Dawn. - Departament Bezpieczeństwa Krajowego ma wykrywacze patogenów i promieniowania na całym nadbrzeżu. Skanują wszystkie pojazdy wjeżdżające do centrum miasta.

- Daj mi listę najbardziej wpływowych delegatów.

- Co zamierzasz zrobić?

- Dopilnować, żeby jutro nic się nie stało.

11.

- Pamiętasz jedną z pierwszych rzeczy, jakie ci powiedziałem po przyjeździe na nasz obóz treningowy? - zapytał Carl Raoula.

Zatrzymali się przed wejściem do magazynu. Wokół lampy nad nimi wirowała chmara owadów. Z mroku Missisipi doleciała syrena holownika.

- Powiedziałem ci, że przyjacielem agenta jest sen, że należy korzystać z każdej okazji, żeby się wyspać. Napracował się pan dzisiaj, panie Ramirez.

Raoul wyprostował się w odpowiedzi na taki wyraz szacunku.

- Zrobiłeś to, co ci zlecono. Wykonałeś rozkazy co do joty. Czas na zasłużony sen. Nie będzie ci łatwo zasnąć. Dzieje się tyle pasjonujących rzeczy. Ale skoro czekamy do jutra, najważniejsze, co możesz teraz zrobić, to dobrze się wyciągnąć. Nawet jeżeli zdołasz tylko poleżeć z zamkniętymi oczami, i tak na tym skorzystasz. Jasne?

- Tak, panie Bowie.

- Świetnie. - Carl poklepał Latynosa po plecach i z uznaniem skinął głową strażnikom pilnującym wejścia. Potem otworzył drzwi i wepchnął Raoula do środka.

Magazyn był pogrążony w mroku, paliło się zaledwie kilka słabych lampek obok ubikacji. Unosił się tam samczy odór, piżmowy zapach mężczyzn szykujących się do akcji. Ludzie wiercili się na pryczach, od czasu do czasu pochrapując lub kaszląc.

Carl dla dodania otuchy jeszcze raz klepnął Raoula w plecy i patrzył, jak ten kładzie się na swoim łóżku polowym i posłusznie zamyka oczy. Przyjrzał się pozostałym, a potem skupił wzrok na plecach ustawionych pod ścianą po prawej. Było ich sześćdziesiąt.

- Gaz paralizujący - poinformował Carl śniadego mężczyznę w samo południe kilka tygodni wcześniej. Z nieba lał się żar. Byli w obozie treningowym, z dala od wystrzałów i wybuchów w głównej części ośrodka, gdzie adepci szlifowali formę.

Zlany potem w upalnym i wilgotnym powietrzu, w klejącym się do ciała garniturze, śniady mężczyzna zajrzał do konstrukcji z blachy falistej, na tyle dużej, że mieściła sto kurczaków. Drób gdakał, dziobał się nawzajem i grzebał po brudnej podłodze w poszukiwaniu jedzenia.

- Załatwiłem je w punkcie zaopatrzenia farmerów sto sześćdziesiąt kilometrów stąd -

wyjaśnił Carl. - Jako jeden z wielu klientów. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Kurczaki rozpierchły się hałaśliwie, gdy wszedł między nie i postawił na środku plecak.

- Jak pan wie z waszych doświadczeń w Iraku, detonatory tego rodzaju wymagają dwóch kroków. W pierwszym trzeba je uzbroić, w drugim odpalić. Taka dwustopniowa procedura gwarantuje, że urządzenia nie wybuchną przedwcześnie... na przykład w naszych rękach.

Mężczyzna spojrział na plecak i cofnął się o kilka kroków.

- Musimy się jednak upewnić, że eksplozje nastąpią w przewidzianym czasie i miejscu. A więc to jest pierwszy krok. - Carl pociągnął za sznurek z boku plecaka. Potem wycofał się z metalowej konstrukcji, roztrzając gładzący drób, i zamknął drzwi. Obszedł budynek dookoła i opuścił metalowe żaluzje na zakratowane okna.

Do ciężarówki mieli dziewięćdziesiąt metrów drogi przez paprocie i chwasty.

Teren był miejscami gąbczasty, więc śniady mężczyzna ze złością spojrział na oblepione nasionami spodnie i zabłocone wyjściowe buty.

Carl otworzył boczne drzwi furgonetki i pokazał telewizor, który odbierał sygnał z kamer w betonowym budynku. Ustawiona wysoko w rogu kamera wycelowana była w środek stada kurczaków.

- Pociągnięcie za sznurek plecaka aktywuje odbiornik radiowy połączony z detonatorem - wyjaśnił Carl. - W dniu akcji wszystkie odbiorniki, a jest ich sześćdziesiąt, będą nastawione na częstotliwość używaną powszechnie przez siły porządkowe. Bóg świadkiem, że będzie ich w okolicy całe mnóstwo, a wszystkie jednostki będą się kontaktowały z pozostałymi drogą radiową.

I jedna z nich niechcący odpali detonatory. Na wszelki wypadek sam też wysłę jednak sygnał. Na potrzeby tego pokazu wybrałem rzadko używaną częstotliwość, żeby nie zabił nas przypadkowy sygnał z przejeżdżającego w okolicy radiowozu. Gotów?

Mężczyzna skinął głową.

Carl wcisnął przycisk nadajnika i pokazał mężczyźnie, żeby patrzył na telewizor.

Z plecaka wystrzeliła czarna chmura. W złowróznej ciszy wypełniła konstrukcję tak gęstym dymem, że kurczaki zniknęły z widoku.

- Rzecz jasna, gaz paralizujący jest bezbarwny - rzekł Carl. - Dym ma tylko podkreślić dramatyzm sytuacji. Na potrzeby kamer telewizyjnych. Inaczej telewizzowie w domach zobaczyliby padających ludzi. To dość przerażające. Zatem kamery zarejestrują jedynie tajemnicze czarne chmury, rozpraszające się i zbierające z powrotem. Uwagę widzów

przykuje zanikanie chmur, a potem stopniowo zobaczą tysiące zwłok. Proszę pamiętać, że na miejscu nie zostanie ani jeden reporter na bieżąco zdający relację z tego, co się dzieje. Wszyscy w tej okolicy zginą.

Na ekranie wciąż było widać tylko czarną mgłę. W odległym budynku szczęknął metal. Otworzyły się pokrywy okien. Ze szczelin wydostała się ciemna chmura.

Na ekranie telewizora przez czerń powoli przebijało się światło.

- Ten gaz zabija tylko tych, którzy nim odetchną - wyjaśnił Carl. - W tym wypadku porcja została zmniejszona. Zanim dotrze do nas, rozproszy się i straci moc. Mimo wszystko lepiej, żeby pan to włożył.

Podał mężczyźnie maskę przeciwgazową. Sam włożył drugą.

Nad budynkiem przeleciał ptak. Okrążając skraj rozchodzącej się chmury, złożył skrzydła i runął na dach baraku.

Spadł następny ptak.

I jeszcze jeden.

- Jak pan widzi, to nadzwyczaj skuteczna metoda - powiedział Carl, wskazując ekran, na którym czarna chmura rozplynęła się na tyle, by widać było, że wszystkie kurczaki nie żyją.

Kolejny ptak spadł jak kamień.

W magazynie Carl oderwał wzrok od plecaków i po raz ostatni dokonał oceny leżących na pryczach mężczyzn. Spali niespokojnie, nastawieni na to, co będzie rano. Zadowolony postanowił skorzystać ze swojej rady i wyszedł z budynku.

Zamknął drzwi i przeszedł alejką na parking, gdzie wsiadł do furgonetki, którą Raoul wiozł tych sześciu mężczyzn, którzy odmówili udziału w akcji. Wczołgał się do śpiwora, powtarzając w pamięci wszystko, co należało zrobić nazajutrz.

Z nożem w jednej ręce i pistoletem w drugiej powoli zapadł w sen. W ostatnim przeblysku świadomości przypomniał sobie zakończenie tamtej rozmowy w obozie treningowym.

- W czasie akcji gaz będzie miał pełną moc rażenia? - zapytał śniady mężczyzna.

- Oczywiście.

- Jak duży obszar pokryje?

- Gdy ludzie rozstawią się na wyznaczonych im pozycjach? Całe centrum Nowego Orleanu.

12.

- Miałem zaszczyt poznać Franka Sinatrę, kiedy występował w moim kraju - powiedział japoński minister handlu. Był w białym szlafroku narzuconym na szarą piżamę. Miał rozczochrane rzadkie włosy. Zapuchniętymi z niewyspania oczami patrzył przez wąskie okulary.

Cavanaugh siedział naprzeciwko niego i czekał.

- Kilka miesięcy później, w Los Angeles, zaproszono mnie na przyjęcie w domu pana Sinatry, które wyprawił na prośbę jednego ze swoich przyjaciół republikanów - ciągnął minister.

- Obok bramofonu wisiała tabliczka z napisem: „Obyś miał cholernie ważny powód, jeśli chcesz nacisnąć ten dzwonek?”. Zakładam, że pan również ma ważny powód, skoro budzi mnie pan o tej porze.

- Przepraszam. - Cavanaugh skłonił się lekko.

Na ministrze przeprosiny najwyraźniej nie zrobiły wrażenia.

- Panie Yamato, proszę jeszcze przemyśleć możliwość odwołania konferencji. - Cavanaugh z nawyku dokładnie obejrzał apartament i z zadowoleniem stwierdził, że kotary są zasłonięte, a ochroniarze na posterunku. - Jest pan jednym z najbardziej wpływowych członków Światowej Organizacji Handlu. Usilnie zalecam, żeby namówił pan współpracowników do przeniesienia obrad w jakieś inne miejsce.

- Z powodu pańskiego przyjaciela.

- Byłego przyjaciela - sprostował Cavanaugh. - On jest zdolny do wszystkiego.

- A pan nie? Nie potrafi go pan powstrzymać?

- Nie ma sensu ryzykować...

- Pan sądzi, że to kwestia pieniędzy, prawda? - zapytał Yamato.

Cavanaugh nie odpowiedział.

- Że chodzi o międzynarodowe koncerty i władzę - ciągnął Japończyk. - Albo o dumę. Uważa pan, że to kwestia dumy? Skoro pół roku temu demonstranci zmusili nas do wcześniejszego zakończenia konferencji, to teraz nie damy się upokorzyć ponownie. Czy tak pan uważa?

- To jedna z teorii, jakie do mnie dotarły - przyznał Cavanaugh.

- To nie chodzi o bogactwo, władzę ani dumę. Gra idzie o przetrwanie.

Cavanaugh pochylił się, słuchając uważniej, a tymczasem w ciemności na dworze

zawodziło coraz więcej syren.

- Te demonstracje nie mają być przejawem głosu w dyskusji - powiedział Yamato. - Jeśli ma pan rację, pański były przyjaciel chce przekształcić rozruchy w coś o wiele bardziej drastycznego.

- Z mojego punktu widzenia jedyny motyw jest taki, że zapłacili mu terroryści.

- Którzy z założenia chcą zniszczyć podwaliny naszego systemu.

- Owszem.

- Jeżeli pozwolimy się zastraszyć, jeżeli zaczniemy się przed nimi chować, to ulegniemy ich groźbom. I z czasem przywykniemy do takiej zabawy w chowanego. Nigdy nie wygramy, jeśli nie będziemy stawiali oporu przy każdej okazji. Czy ja się boję? Tak. Czy wierzę, że jutro zginą ludzie? Tak. Być może ja również umrę. Ale jeśli dojdzie do jakichś okropności, być może oburzenie społeczeństwa powstrzyma terrorystów przed kolejnymi potwornymi czynami. Pan walczy na swój sposób, my walczymy inaczej. Nie mogę zalecić odwołania konferencji ani przeniesienia jej w inne miejsce.

- Podziwiam pańską odwagę - rzekł Cavanaugh. - Tylko że...

- To nie odwaga - zaprzeczył Yamato. - Ale nie zamierzam się zachowywać jak tchórz.

Nagle zawył alarm.

Przenikliwy. Świdrujący uszy. Za drzwiami apartamentu.

Cavanaugh i Yamato odwrócili się raptownie.

Ktoś załomotał do drzwi.

- Panie Yamato!

Cavanaugh wyciągnął pistolet.

- Panie Yamato! - darł się ktoś. - Cavanaugh!

Przez drzwi z obu stron apartamentu wpadli agenci ulokowani w sąsiednich pokojach. W rękach ściskali pistolety. Cavanaugh przyjął za pewnik, że podsłuchiwali rozmowę, więc wiedzieli, że on nie stanowi zagrożenia. Stanęli przed ministrem handlu, zasłaniając go, i z furią skupili się na drzwiach wejściowych, do których ktoś wciąż łomotał przy akompaniamencie wyjącego alarmu. Umieszczona obok kamera pokazywała korytarz na zewnątrz i agenta ochrony wykrzykującego japońskie nazwisko.

Cavanaugh podbiegł do drzwi, obejrzał się przez ramię na ochronę Yamata, a kiedy skinęli głowami na znak, że się zgadzają, odsunął zamek.

Uchylając powoli drzwi, z gotową do strzału bronią, zobaczył, że kolejni agenci bębnią w inne drzwi i wykrzykują nazwiska lokatorów.

- Dym w szybie windy! - poinformował go agent.

Zanim Cavanaugh zdążył odpowiedzieć, inny krzyknął:

- I na schodach od frontu!

- Pożar?

- Albo gaz trujący! Jeszcze nie wiemy!

Alarm wył dalej, a przed hotelem zawodziły syreny, zapewne wozów strażackich i innych służb ratowniczych.

- A jak ze schodami od tyłu? - zapytał Cavanaugh.

Zza drzwi w całym korytarzu wyglądali ochroniarze i ministrowie handlu, którym inni agenci gorączkowo coś tłumaczyli.

- Na razie są czyste.

- Może to podstęp, żeby nas zwabić w zasadzkę - powiedział Cavanaugh.

Za jego plecami zadzwonił telefon w apartamencie. Przez otwarte drzwi w korytarzu usłyszał, że w innych pokojach też dzwonią.

Raptowny ruch w końcu korytarza sprawił, że spojrzał na agenta, który przestał się gapić na windy i zerknął na sufit. Nad jego głową wirowały szare opary.

- Przewód klimatyzacji! Coś z niego...

- Gaz! Czuję gaz! - wrzasnął inny agent. Kaszłąc, odsunął się od wylotu klimatyzacji na suficie.

Cavanaugh okręcił się na pięcie do ochroniarza, który odłożył słuchawkę telefonu w apartamencie Yamata i podniósł głos, chcąc przekrzyczeć wycie alarmu przeciwpożarowego.

- Właśnie dostałem wiadomość, że w holu na dole jest pełno dymu.

- Czy możemy skorzystać z windy towarowej? - spytał Yamato.

- Nie. Nie możemy nią pojechać, nawet jeśli nie ma w niej dymu. Bo gdybyśmy tak utknęli między piętrami? Poza tym nie wiemy, na co byśmy się nadziali po wyjściu.

Yamato ruszył w stronę korytarza.

- A możemy zejść schodami od tyłu?

- To szóste piętro. Czy choruje pan na serce albo z jakiegoś innego powodu taki dystans jest ponad pańskie możliwości?

- Nie. - Yamato wybiegł na korytarz. - A co będzie, jeśli, jak pan zauważył, to tylko sposób, żeby nas zwabić w zasadzkę?

Cavanaugh poczuł gryzący zapach dolatujący z przewodów klimatyzacyjnych.

Biegający po korytarzu agenci zanosili się kaszlem. Zerknął za siebie i zobaczył czarny dym ulatujący spod drzwi windy.

- Na razie wiemy tylko tyle, że nie możemy tu zostać.

Nad drzwiami wychodzącymi na tylne schody widniał znak ewakuacyjny.

Z piekącymi oczami Cavanaugh odwrócił się do Yamata i innych oficjeli.

Machnął ręką na agentów obserwujących windy i schody.

- Tony, weź swój telefon. Zawiadom FBI, co się dzieje. Załatw, żeby na dole czekało na nas pod dostatkami samochodów. A reszta niech utoruje nam drogę.

Jeden z agentów znieacka wykopął drzwi na schody, próbując zaskoczyć ewentualnego wroga, a Cavanaugh wycelował pistolet.

Ale zobaczył jedynie ostre światło, betonowe schody i metalowe poręcze.

Schowany za metalowymi drzwiami wychylił się zza nich tylko na tyle, by móc wycelować w wyższe piętro. Nikt się tam nie czał.

- Czysto! - zawołał.

Minął go pędem jakiś agent, przeskakując po trzy stopnie naraz, zbiegł na niższy podest, przykucnął i wycelował w dół.

- Czysto!

Na betonie zaszurały kroki, gdy inny agent pognał na górę, żeby sprawdzić, czy teren nad nimi jest bezpieczny. Trudne zadanie, kiedy drzwi na siódmym, ósmym i dziewiątym piętrze zaczęły otwierać się z trzaskiem i inni mieszkańcy hotelu rzucali się do ucieczki. Mimo wycia alarmu przeciwpożarowego Cavanaugh słyszał echo ich kroków, do którego dołączył tupot jego i pozostałych agentów, kiedy pędzili w dół, metodycznie sprawdzając każde piętro.

- Czysto!

- Czysto!

Ktoś jęknął. Słyszac zamieszanie za sobą, Cavanaugh odwrócił się. Starszy mężczyzna w pizamie potknął się i spadł ze schodów, a dwaj agenci rzucili się, żeby go złapać.

- Nic mu się nie stało?

Twarz mężczyzny wykrzywiał ból.

- Złamał nogę! - krzyknął ktoś.

Cavanaugh popędził ochroniarzy Yamata, żeby zeszli z nim po schodach.

Otoczając swojego klienta, ruszyli przodem, a za nimi inni oficjele oraz ich ochrona. Do ogólnego zgiełku dołączyły dzwonki telefonów komórkowych.

Ludzie wrzeszczeli do komórek, usiłując przekrzyć harmider, więc jeszcze trudniej było im cokolwiek usłyszeć.

Trzasnęły drzwi od korytarza na czwartym piętrze. Agent GPS wycelował na schody,

zobaczył Cavanaugha i reagując na chmurę ludzi schodzących z wyższych pięter, popędził swoją grupkę delegatów oraz ich ochroniarzy w dół.

Drzwi na trzecim i drugim piętrze wciąż były zamknięte - mieściły się tam biura hotelowe, w których nocą nikt nie pracował.

Na pierwszym piętrze Dawn Finch i ekipa łącznościowców uciekli na schody ścigani przez dym.

Dawn zatrzasnęła drzwi i zwróciła się do Cavanaugha:

- Czekaliśmy do ostatniej chwili. Zabrałam to. - Pokazała mu kilka dyskietek z danymi dotyczącymi ochrony konferencji.

- Czy są jacyś ranni?

- Jeden z delegatów złamał nogę. - Cavanaugh zbiegł z nią na parter, cały czas wypatrując z przodu nowych zagrożeń.

- Zaczekaj! - rzuciła Dawn. - Nie widzę Jamie.

- Nie ma jej tu. Trzeba było przekonać tylu delegatów, że się rozdzieliliśmy. Ona rozmawia z ministrami handlu w Southern Belle.

- Ten hotel też ewakuują.

- Co takiego?

- Zaatakowano cztery hotele.

- Muszę ją odszukać.

Na parterze Cavanaugh odwrócił się do oficjeli i ich ochroniarzy, którzy się przeciskali do niego. Jego agenci natychmiast wiedzieli, co robić, nie trzeba im było tłumaczyć, że mają utworzyć barykadę przed wejściem i stanąć z rozpostartymi rękami.

- Spokój! - krzyknął. Jego głos z trudem przebijał się przez wycie alarmu i dudnienie kroków na schodach. - Dość! - ryknął.

Inne ekipy ochroniarzy przegrupowały się, uspokajając swoich klientów.

- Jesteście bezpieczni! - zawołał Cavanaugh.

Tupot kroków ucichł. Dudnienie ustało. Kilka sekund później słychać było już tylko wycie alarmu przeciwpożarowego.

- Drzwi za mną są metalowe. Ściany są z betonu. Jest zaporą przeciwpożarowa.

Tutaj nic wam nie grozi. Sprawdźę, co się dzieje na zewnątrz. Transport jest już w drodze. Ewakuujemy was najszybciej, jak to możliwe.

- A jeśli na dworze czeka snajper? - chciał wiedzieć włoski minister handlu.

- Za duże zamieszanie. Zbyt wiele celów - odparł Cavanaugh. Zauważył, że wielu delegatów ma na sobie piżamy, i zwrócił się do nich: - Znajdźcie agentów swojego wzrostu.

Włóżcie ich kurtki. W ten sposób trudniej was będzie odróżnić w grupie. Snajper nie zorientuje się, kto jest celem, a kto agentem. Zanim się w tym połapie, nas już tu nie będzie.

Podczas gdy ochroniarze ściągali kurtki i dawali je swoim klientom, Cavanaugh zauważył starszego mężczyznę, który upadł na podłogę. Dwaj agenci wzięli go na ręce.

- Ściągniemy karetkę, przyjedzie najszybciej, jak się da - obiecał mu.

Skinął głową na Tony'ego - agenta, z którym rozmawiał wcześniej. Także i tym razem nie musiał nic tłumaczyć, Tony sam wiedział, co należy zrobić.

- Hasło brzmi: „Kierat” - powiedział mu Cavanaugh.

Tony odsunął rygiel i otworzył drzwi. Z wycelowanym pistoletem Cavanaugh zlustrował chaos w uliczce na tyłach hotelu i wybiegł na zewnątrz.

13.

Pracujące silniki stojących pojazdów służb ratunkowych robiły tyle hałasu, że Cavanaugh ledwo usłyszał, jak Tony zamyka za nim drzwi. Nadjeżdżały wozy na sygnale. W duszących wyciewach z rur wydechowych mundurowi biegali w oszalałym ze strachu tłumie. Cavanaugh opuścił broń i zobaczył furgonetkę torującą sobie drogę wśród ludzi; za nią jechały inne pojazdy. Ratownicy ustawiali kolejne barykady, żeby przechodnie nie włązili im w drogę.

Furgonetka jeszcze nie zatrzymała się na dobre, gdy wyskoczył z niej Rutherford i podbiegł do Cavanaugha.

- Jesteś cały?!

- Cały, chociaż nie za bardzo wiem, co robić. Za tymi drzwiami mam co najmniej trzydziestu delegatów. Potrzebujemy samochodów do ewakuacji i karetki. Jeden z delegatów złamał nogę.

- Już tu jadą. - Rutherford wskazał zbliżające się reflektory.

- Słyszałem, że to samo zdarzyło się jeszcze w trzech hotelach - powiedział Cavanaugh.

- Dym, ale bez materiałów wybuchowych. Gaz nie był groźny dla życia - wyjaśnił Rutherford. Podobnie jak ochroniarze za jego plecami omiatał wzrokiem dachy domów.

- Śmierdział jak gaz łzawiący - rzekł Cavanaugh. Drapało go w gardle, piekły go oczy.

- Uważamy, że demonstranci nie mogli się doczekać jutra, więc zaczęli wcześniej.

Chcieli dać nam przedsmak tego, czego się możemy spodziewać.

- Ano, do tej pory mam ten smak w ustach.

- W innym hotelu ktoś dostał ataku serca. Ratownicy medyczni twierdzą, że przeżyje.

Ale gdyby to była robota Durana...

- To wszystkich nas wieziono by już do kostnicy - dokończył Cavanaugh.

Po drugiej stronie ulicy z ciemności wyszła uparta kobieta - wysoka, o figurze biegaczki i z długimi czarnymi włosami. W blasku migających kogutów przeciskała się przez tłum. Długonoga, sadziła wielkimi susami w butach na niskich obcasach i gumowych podeszwach i w ciemnych spodniach. Wyminęła nadjeżdżającą furgonetkę i podbiegła do Cavanaugha. Uściskał ją z uśmiechem.

- Nic ci się nie stało?!

Jamie przytuliła go mocno.

- Nic. A ty jak się czujesz?

Poczuł, że jej włosy pachną dymem. Szczęśliwy, że bezpiecznie dotarła do niego, wdychał ten dym, jakby to były perfumy.

- Świetnie, skoro już wiem, że jesteś cała i zdrowa.

Rutherford, wdowiec, wyglądał, jakby żałował, że jego nikt nie wita z takim entuzjazmem. Zabębnił w drzwi i krzyknął:

- Mówi John Rutherford! FBI! Zabezpieczyliśmy teren! Transport do ewakuacji już czeka!

- W porządku, Tony! - zawołał Cavanaugh i podał hasło.

- Możesz ogłosić „Kierat”!

Drzwi otworzyły się powoli. Czujni ochroniarze wyszli na ulicę, obstawiając swoich klientów ze wszystkich stron.

14.

Carl wiercił się w śpiworze - sen zakłócało mu wycie syren. Było ich dużo więcej niż zwykle nocą, choć miasto słyneło z hulanki. Więcej, niż potrzebowali policjanci usiłujący powstrzymać protestujących, którzy zbierali się już na poranną demonstrację. Carl natychmiast otrząsnął się ze snu i usiadł z pistoletem i nożem pod ręką.

Furgonetka nie miała okien po bokach ani z tyłu. Z jednej strony dawało mu to

poczucie, że jest osłonięty, a z drugiej, że jest narażony na podstępny atak.

Uklęknął i nad siedzeniami spojrzął przez przednią szybę na koniec ciemnej uliczki. Obok nich śmignął radiowóz z błyskającym kogutem i na sygnale.

Jakiś poważny wypadek, pomyślał Carl. Albo pożar. A może zderzenie statków na rzece. Co mnie to zresztą obchodzi.

Błąd. Mnie obchodzi wszystko.

Wyczołgał się ze śpiwora, wgramolił na przednie siedzenie i zajął miejsce za kierownicą. Wyjechał z uliczki i skręcił w kierunku świateł i syren. Uświadomił sobie, że prowadzą go do samego centrum miasta, więc zjechał w boczną uliczkę i zaparkował. Wysiadł, zamknął auto, poprawił pistolet i nóż pod wyrzuconą na wierzch koszulą i resztę drogi pokonał pieszo. Mijając barykady i coraz większe grupy demonstrantów, kierował się nie do centrum konferencyjnego, tylko do dzielnicy handlowej; natłok mundurowych i barykad przypomniał mu strefy okupacyjne w Bośni, które widział przed laty.

W końcu dotarł do celu - wozów strażackich i innych pojazdów ratunkowych otaczających hotel przy Canal Street; z parteru budynku wydobywał się dym.

Zorientował się, że nie, to nie dotyczy tylko jednego hotelu. Dalsze zamieszanie przy Canal Street doprowadziło go do następnego hotelu, następnych wozów strażackich i dymu. I do jeszcze jednego.

I kolejnego.

Noc amatorów, pomyślał.

Facet w podkoszulku z napisem WYDZIERŻAWIĆ BIAŁY DOM INDIOM z przodu i PRACA W AMERYCE DLA AMERYKANÓW z tyłu zwrócił się do kumpla:

- Stary, jak się zaczęło tak wcześnie, to co tu się będzie działo jutro!

- Dość wypalania lasów deszczowych! - skandował tłum.

Trzymając się z dala od demonstrantów, żeby nie wzięto go za jednego z nich, Carl odszedł w mrok. Już miał wrócić do furgonetki, lecz przystanął i jeszcze raz spojrzął na wydobywający się z hotelu dym.

Co tu się będzie działo jutro? - pomyślał. Nawet sobie tego nie wyobrażacie.

15.

- Witam panów.

Gdy Carl wszedł do magazynu, jego ludzie oderwali się od czyszczenia broni.

Podszedł do podium, z entuzjazmem zacierając ręce.

- Mam nadzieję, że się wypalicie.

Zebrał się przed nim.

- Czeka na was następne pyszne śniadanie. Pączki i kawa z dodatkiem cykorii. Jajka z sosem kreolskim i ostre kiełbaski. Placki ziemniaczane z cebulą. Steki. Bułeczki. Sos. W sam raz dla was, członków stowarzyszenia miłośników zdrowego serca i wrogów cholesterolu.

Zarechotali.

- Najedzcie się za wszystkie czasy, bo do wieczora nie będziecie mieli okazji nic zjeść. Nikt się na nic nie skarży? Wszyscy zadowoleni?

Skinęli głowami.

- Wyśmienicie. A więc jesteście gotowi zapracować na swoją pensję, zrobić to, do czego was szkolono, udowodnić, co potraficie, i pokazać mi, jak wygląda kawałek solidnej roboty?

- Tak - odpowiedzieli.

- Nie słyszę.

- Tak!

- Proste jak drut. Kawałek solidnej roboty. Kiedy już znajdziemy się w Teksasie, będziecie mogli się wyładować. Ale od tej chwili aż do południa zajmujemy się tylko zadaniem. Zjedzcie śniadanie. Zwińcie śpiwory. Złóżcie łóżka polowe. Ustawcie je obok drzwi. Zanieście tam też telewizory, odtwarzacze DVD, komputery i konsole do gier. Wkrótce przyjedzie ciężarówka, na którą wszystko załadujemy. Ci, którzy mają dyżur w kuchni, zbiorą resztki jedzenia i dostarczą je do schroniska dla bezdomnych, ale nie do tego samego, które zaopatrzyli kucharze z wczorajszej zmiany. Nie wolno marnować żywności. Dziel się z innymi. Sprzątaj po sobie, żeby nie zostawiać śladów swojej bytności. Takie są życiowe zasady, panowie. Kiedy już magazyn będzie wyglądał tak samo jak przed naszym przybyciem, włożcie plecaki i jeszcze raz sprawdźcie ich numery z lokalizacją numerów na mapie. Wbijecie sobie do głów, którędy dojść do przydzielonych wam miejsc. Nie chcę, żebyście się plątali i pytali o drogę krawężników.

Znów zarechotali.

- Opanowanie. Dyscyplina. Właśnie tego się uczyliście. Bez nich bylibyście takimi samymi menelami z ulicy jak wtedy, kiedy zrobiło mi się was żal i przywiozłem was na obóz treningowy. Nie zapomnijcie włożyć zegarków komandosów z SEAL. Są ustawione na identyczny czas. Po dotarciu z plecakami na przydzielone wam ulice wmieszacie się w tłum

demonstrantów. Konferencja zaczyna się o dziewiątej. Będzie opóźnienie, bo protestujący spróbują blokować ulice. Niektórzy ministrowie handlu przychodzą spóźnieni dla szpanu. Załóżmy więc, że o dziesiątej wszyscy uczestnicy znajdą się na miejscu, a ceremonia otwarcia będzie trwała w najlepsze. Dokładnie o dziesiątej na waszych zegarkach zdejmiecie plecaki i pociągniecie za sznurki. Czy wszyscy mnie zrozumieli?

Skinęli głowami.

- A jak już wyleci czarny dym, zmiesza się z czarnym dymem z innych plecaków i zakryje teren, wyciągniecie pistolety i zaczniecie strzelać w powietrze. Nie żałujcie sobie. Rozpędźcie demonstrantów. Tylko któregoś nie postrzelcie, na miłość boską! Wynajęto nas, żeby zakłócić konferencję, a nie zabijać ludzi. Czy to jasne?

Znowu skinęli głowami.

- No dobra, uprzątnijcie magazyn. Włóżcie plecaki. Upewnijcie się, że znacie drogę na stanowiska. Po wszystkim nie zbierajcie się do kupy. Każdy idzie swoją drogą, spotykamy się wszyscy za dwa dni w obozie pod Galveston. Panowie, który z was chce się założyć?

Patrzyli na niego, nie mogąc się doczekać dalszych słów.

- Założę się, że będę z was dumny. Założę się, że udowodnicie, że miałem rację, wybierając akurat was, i że jesteście warci szkolenia, jakie wam zapewniono. Nie jesteście już menelami. Teraz jesteście agentami. Agent. W moich ustach to największy komplement, na jaki można zasłużyć.

16.

Cavanaugh poczuł dotyk dłoni na ramieniu i obudził się gwałtownie. Chwilę trwało, zanim uświadomił sobie, że leży w pokoju hotelowym, przez zasłony wpada dzień światło, a Jamie pochyla się nad nim i go szturcha. Wyglądała na równie wykończoną jak on.

- Przyszedł William - powiedziała.

Cavanaugh zerknął na prawnika, który stał u stóp łóżka, z teczką w ręku.

Pomimo wielu godzin spędzonych w samolocie jego świetnie skrojony prążkowany garnitur był nienagannie wyprasowany, a śnieżnobiała koszula doskonale wykrochmalona. Krawat w paski przydawał mu autorytetu.

Z utrefioną siwą fryzurą i dumnie wypiętą piersią wyglądał jak uosobienie przebojowego adwokata.

- Przyniósł nam pączki. - Jamie właśnie się zajadała.

- Kawy! - wymamrotał Cavanaugh.

- Też jest. - Podała mu papierowy kubek.

Otumaniony Cavanaugh siorbnął gorący, gorzki płyn.

- Williamie, nikt nigdy nie miał równie dobrego prawnika jak ty.

- Może powinienem się przerzucić na catering.

- Która godzina?

- Szósta trzydzieści.

Cavanaugh odwrócił się do Jamie.

- Dlaczego nie obudziłaś mnie wcześniej?

- Padałeś z nóg.

- Niefortunny dobór słów. Ty też byłaś wykończona, a jednak wstałaś przede mną.

- Miałam o czym myśleć. Nie mówiąc już o koszmarach.

- O koszmarach wiem wszystko. - Usiadł powoli. Miał wrażenie, że w głowie obracają mu się łożyska kulkowe.

- Kiedy zadzwoniłeś w nocy, kazałeś mi tu przylecieć jak najszybciej - powiedział William.

- No i udało ci się, jak pragnę zdrowia! Dzięki, Williamie.

- Wynikł jakiś kryzys prawny?

- Dopiero wyniknie - odparł Cavanaugh. - Ale to nie jedyny kryzys, jaki nas czeka.

- Kiedy podstawiono mi gulfstreama na Teterboro, ochrona zapewniła mnie, że więcej nie będę jej potrzebował.

- To prawda - przytaknęła Jamie. - Teraz nic ci już nie grozi. A raczej powinnam powiedzieć, że nie ty konkretnie jesteś na celowniku.

- Mam rozumieć, że jestem na celowniku tak w ogóle? - zakpił prawnik.

- Będzie mi potrzebna twoja pomoc - powiedział Cavanaugh. - Ale nie mogę cię okłamywać. Pomagając mi, prawdopodobnie będziesz ryzykował życie. Jesteś na to gotowy?

- Jeśli dobrze pamiętam, na ranczu to ty ocaliłeś mi życie... nie mówiąc o tym, że kilkakrotnie nie pozwoliłeś moim przeciwnikom procesowym mnie udusić.

- A więc się zgadzasz?

- Kiedy zaczynamy?

- To rozumiem - rzucił Cavanaugh. Wstał z łóżka i spojrzał na swoje pogniecione spodnie i koszulę. - Nie mam ubrania na zmianę.

- Nie ma czasu się przebierać - odparła Jamie, patrząc na swoje wymięte spodnie i

bluzkę.

- Ani na golenie. - Cavanaugh przeciągnął ręką po szczecinie na brodzie.

- I tak się wybieramy do piekła - rzekła Jamie.

- Nie, tam idzie Carl. - Cavanaugh wszedł do łazienki, zamknął drzwi i się wysikał.

Włożył głowę pod kran, puścił zimną wodę i zmoczył włosy. Wytarł je, przeczesał grzebieniem, a kiedy wyszedł, zjadł resztkę pączka Jamie. Przypiął kaburę na pistolet do pasa i włożył sportową marynarkę wciąż śmierdzącą gazem łzawiącym i dymem.

- Noże. Dwa zapasowe magazynki. Zdaje się, że mam wszystko z wyjątkiem wygranego losu na loterię.

Jamie przypięła pistolet i nóż do pasa i zasłoniła je żakiem.

- Gotowy?

17.

Siódma rano.

W centrum łączności panował jeszcze większy tłok i rozgardiasz niż poprzedniego wieczoru - trzask radiodbiorników, stukot klawiszy. Ale w przeciwieństwie do chaosu z ubiegłego dnia, tym razem wszyscy byli jak sparaliżowani. Agenci stali bez ruchu przed rzędem ekranów kamer monitoringu pokazujących tłumy gromadzące się na ulicach wokół centrum konferencyjnego. Policjanci w kaskach i rezerwiści, z tarczami i pałkami, utworzyli szpaler wzdłuż barykad gotowi odeprzeć demonstrantów, gdyby przedarli się za punkty kontroli.

Ponury Rutherford, wyczuwając za sobą jakiś ruch, obejrzał się i skrzywił na widok Cavanaugha i Jamie. Nieco dłużej zatrzymał wzrok na Williamie.

- Dzieje się coś nowego? - zapytał Cavanaugh.

Do Rutherforda przysunął się jakiś nieznajomy wąsacz. Po pięćdziesiątce, siwowłosy, z włosami obciętymi tak krótko, że nad uszami świeciły półkola wygolonej skóry, miał sztywno zawiązany krawat, starannie wyprasowany garnitur i pedantycznie wypastowane buty. Średniego wzrostu i wagi, o bladej cerze świadczącej, że pracuje za biurkiem, nosił białą koszulę z zapinanym na guziki kołnierzykiem, idealnie pasującą do sztywniaka, na jakiego wyglądał.

- Demonstranci szykują się do blokady ulic, żeby ministrowie handlu nie mogli

dotrzeć na konferencję - poinformował Rutherford.

- Zaczyna się o dziewiątej? - upewniła się Jamie.

- Tak planowano - odparł nieznajomy z marsową miną.

Cavanaugh przyglądał mu się ze zdziwieniem.

- My się chyba nie znamy.

- To jest zastępca dyrektora Mosley. - Rutherford delikatnie zaakcentował stanowisko służbowe nieznajomego, jakby chciał ostrzec nowo przybyłych.

- Miło mi pana poznać. - Cavanaugh wyciągnął rękę. - To moja żona Jamie, a ja się nazywam...

- Słyszałem, że ma pan wiele nazwisk. - Mosley udał, że nie widzi wyciągniętej ręki. - Dziwię się, że się pan w tym nie gubi.

Cavanaugh spojrział na Rutherforda, a potem znów na Mosleya.

- O co tu chodzi?

- Dopiął pan swego - warknął Mosley.

Dwaj agenci FBI podeszli bliżej nich.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział Cavanaugh.

- Trzeba było ewakuować cztery hotele - ciągnął Mosley. - Te, w których zatrzymała się większość delegatów na konferencję. Nie dało się zakwaterować ich w innych hotelach w tej okolicy. Wszędzie mieli komplet gości. Właściwie to nie było dostatecznej liczby wolnych pokoi w promieniu trzydziestu kilometrów. Musieliśmy ich przewieźć do najbliższego miasta, czyli St. Charles. W związku z całym tym zamieszaniem WTO odwołała dzisiejsze obrady.

- Co zrobiła? - zdziwiła się Jamie.

- Niech pani nie udaje, że to panią zaskoczyło - burknął Mosley.

W pobliżu pojawiło się więcej agentów.

- Zaraz, to chyba dobrze, że przenieśli obrady? - powiedział Cavanaugh. - Dzięki temu wszyscy mamy więcej czasu na znalezienie i powstrzymanie Carla.

- Jasne, że dobrze. A jakże! - przytaknął Mosley z sarkazmem.

Cavanaugh, jeszcze bardziej zdziwiony, skrzywił się i odwrócił do Rutherforda.

- John, lecąc tu, rozmawialiśmy o tym, jak ważne jest odwołanie tej imprezy, o tym, że w WTO upadli na głowę, jeśli sądzą, że wyszłoby na to, że się ugięli przed demonstrantami. A jednak zrobili to, na co liczyliśmy. Prawdopodobnie uratowano życie wielu ludzi.

- Z całego serca popieram ratowanie życia. - Mosley przyjął jeszcze bardziej sztywną postawę. - Ale uważa pan, że skoro nie udało wam się namówić WTO do zmiany zdania, to

mieliście prawo podjąć decyzję za nich?

- Bredzi pan od rzeczy - zachnęła się Jamie.

- Kim jest ten człowiek? - Mosley wskazał Williama.

- Mój adwokat - wyjaśnił Cavanaugh.

- Podejrzał pan, że będzie panu potrzebny?

- William to jeden z najbystrzejszych, najbardziej logicznych umysłów, z jakimi się zetknąłem. Uznałem, że warto go włączyć do tej sprawy. Może zwróci uwagę na coś, o czym sami nie pomyśleliśmy.

- W każdym razie z całą pewnością się przyda - powiedział Mosley znacząco.

Na licznych ekranach monitoringu zbierały się coraz większe tłumy.

- Poczekajcie, aż się dowiedzą, że z dzisiejszych obrad nici - rzucił ktoś.

Mosley wskazał na drzwi.

- Musimy pogadać - zwrócił się do Cavanaugha. - Z panią też - dodał do Jamie i spojrzał na Williama. - Ma się rozumieć, pana też zapraszamy, mecenasie.

18.

Drzwi prowadziły do pokoju, w którym stał tylko metalowy stół i jedno krzesło. Do grupy dołączyli dwaj agenci FBI. W tej ciasnocie nikt nie siadał.

Mimo że Rutherford zamknął drzwi, Mosley i tak musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć hałas na zewnątrz.

- Widziano was, jak wchodzicie do wszystkich czterech hoteli.

- Oczywiście - przyznała Jamie. - Rozmawialiśmy w nich z ministrami handlu, próbując ich przekonać do odwołania konferencji. Wylegitymowaliśmy się ochronie hoteli.

- Ktoś zszedł do szybów wind i umieścił tam bomby dymne - poinformował ją Mosley. - Ktoś wszedł na dachy, otworzył przewody klimatyzacji i wrzucił do nich granaty z gazem łzawiącym. Spryskał też farbą obiektywy kamer monitoringu w tych okolicach, odcinając obraz.

- To ma sens - skwitowała Jamie. - Sama zrobiłabym to w ten sposób.

- Nasuwa się więc pytanie... - rzekł Mosley.

- Chwileczkę. Czy pan sugeruje, że to moja robota? - W głosie Jamie brzmiało oburzenie.

Cavanaugh spojrział na Rutherforda.

- John, co tu jest grane?

- Przykro mi. Niestety, nie mam na to wpływu.

William wysunął się do przodu.

- Zanim się pan zagalopuje, czy aresztuje pan moich klientów za to, do czego doszło w tych hotelach?

- Mecenasiu - Mosley wymówił to słowo z wyraźną niechęcią - zaprosiłem pana w charakterze słuchacza. O ile wiem, nie ma pan zezwolenia na praktykowanie prawa w Luizjanie.

- Co nie znaczy, że nie mogę występować w roli doradcy swoich przyjaciół. - Prawnik wyjął telefon komórkowy. - Ale skoro jest pan aż takim legalistą, zadzwonię do mojego przyjaciela Lestera Beauchampa. Studiowaliśmy razem w Harvardzie. Poza tym jest moim szwagrem i byłym zastępcą prokuratora generalnego stanu Luizjana, nie mówiąc już o tym, że to najbardziej wzięty obrońca w Nowym Orleanie. Nie wątpię, że z przyjemnością zechce reprezentować moich klientów.

- Wyjaśnijmy sobie coś, mecenasiu. Czy radzi pan swoim „przyjaciołom”, żeby nie odpowiadali na moje pytania?

- Jeśli chce pan ich aresztować, radzę panu, żeby odczytał im pan ich prawa.

- Nie mamy nic do ukrycia - oświadczyła Jamie.

- Mężczyznę i kobietę odpowiadających waszym rysopisom widziano w pobliżu szybów wind i dachów tuż przed tymi incydentami - oznajmił Mosley. - Byli waszego wzrostu i budowy ciała, tak samo ubrani.

- Gdzie są pańscy świadkowie? - zaatakował go William.

- Pracowali w tych hotelach na nocnej zmianie.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Gdzie są świadkowie? Moi przyjaciele chętnie staną w szeregu i pozwolą się zidentyfikować... a raczej nie zidentyfikować, bo tak to się skończy.

Mosley omal nie spuścił wzroku.

- Dziś rano nie udało nam się z nimi skontaktować.

- Zapewne dlatego, że to narkomani, którzy leżą gdzieś teraz półprzytomni po zażyciu nielegalnych substancji - ciągnął William. - Dopóki nie znajdzie pan tych tak zwanych świadków i nie udowodni pan, że są wiarygodni, pańskie oskarżenia to tylko plotki, a być może nawet pomówienie.

- Rozmawiałem z japońskim ministrem handlu, kiedy w jego hotelu pojawił się dym i

gaz łzawiący - powiedział Cavanaugh. - Jak mogłem się znajdować w dwóch miejscach jednocześnie?

- Czyżbym zapomniał wspomnieć, że użyto zapalników czasowych? - rzekł Mosley.

- A niby gdzie zdobyliśmy cały ten sprzęt?

- Pańskie akta dowodzą, że jest pan szalenie pomysłowy. Obsesyjnie nie rozstaje się pan z tak zwanymi torbami ucieczkowymi, które zawierają rozmaity ekwipunek. Pańska żona nosi specjalistyczny nóż z wieloma narzędziami w rękojeści. Bez trudu mogła otworzyć przewody klimatyzacyjne. O ile wiem, wasz samolot firmowy pełen jest innego potrzebnego wam sprzętu.

- A więc go przeszukajcie - rzekł Cavanaugh.

- Ale dopiero kiedy zdobędziecie nakaz - uprzedził William.

W oczach Mosleya błysnęła wściekłość.

- Przedstawiacie się jako wcielenie moralności, ludzie, których obchodzi tylko ochrona swoich klientów. Twierdzicie, że wytyczacie granicę między dobrem a złem. A potem popisujecie się całkowitą nieodpowiedzialnością, narażając uczestników konferencji na niebezpieczeństwo. Wywinęliście numer, w wyniku którego jeden z nich złamał nogę. Inny dostał ataku serca. Dwa samochody zderzyły się z pojazdami ratowników pędzącymi do hoteli.

- Czy ktoś zginął?

- Nie, ale to nie usprawiedliwia tego, co zrobiliście!

Cavanaugh spojrział na Rutherforda.

- John, przemów mu do rozsądku. Ten, kto to zrobił, ocalił życie wielu ludziom. Skoro przełożono obrady, Carl musi teraz zmienić swoje plany. A my zyskaliśmy czas, żeby go złapać.

Błądą cerę Mosleya pokryła ognista czerwień.

- Pan uważa, że należy się panu za to medal? A moim zdaniem nadużył pan specjalnej pozycji, jaką przyznało panu Biuro. Jest pan tu gościem! Cywilem. Nie ma pan żadnej władzy, ale uznał pan, że to pan prowadzi tę operację, przy okazji Bóg wie ile razy łamiąc prawo. Gdyby to zależało ode mnie, wylądowałby pan za kratkami.

- Więc Bogu dzięki, że to nie zależy od pana - odparował adwokat. - Po rozmowie z Lesterem Beauchampem zadzwonię do prokuratora okręgowego i...

Otworzyły się drzwi. Wszyscy odwrócili się do stojącego w progu agenta.

- Okoliczności się zmieniły - poinformował wyraźnie nieswój mężczyzna.

- Nie mów mi, że już wybuchły zamieszki - rzucił Mosley.

- Piętnaście minut temu złapano mężczyznę i kobietę, którzy próbowali wrzucić gaz łzawiący do przewodów klimatyzacyjnych w centrum konferencyjnym.

- Że co?!

- I bomby dymne do szybów wind.

Mosley jęknął.

- Czy podejrzani wyglądali jak ci dwoje? - spytał William agenta, który wciąż stał w progu.

- Tak, poniekąd. W pewnym sensie. Są biali i mniej więcej w tym samym wieku.

- Mnie nie oszukacie - Mosley zwrócił się do Cavanaugha i Jamie. - To byli wasi naśladowcy.

- Jeszcze pan nie przesłuchał podejrzanych, a już pan jest taki pewny? - zadrwił William.

- Owszem, bo w przeciwieństwie do pańskich przyjaciół tamci nie mieli wystarczających umiejętności, żeby to przeprowadzić, skoro ich złapano.

- Ciekawy pogląd, tyle że w sensie prawnym bez znaczenia. Jeśli nie zamierza pan aresztować moich przyjaciół, ufam, że nie ma pan nic przeciwko temu, że zajmą się teraz swoimi sprawami.

- Nie tutaj. Oni nie mają żadnych spraw w tej okolicy.

- Uhm, panie dyrektorze - wtrącił się Rutherford.

Mosley zmierzył go wzrokiem.

- Tak, asystencie dyrektora? - Z naciskiem podkreślił słowo „asystent”, przypominając Rutherfordowi, kto tu ma większą władzę.

- Można coś zasugerować?

- Niech pan się nie krępuje. - Mosley wyraźnie wolałby, żeby Rutherford się nie odzywał. - Wszystkim wiadomo, że zawsze jestem otwarty na konstruktywne propozycje.

- Moim zdaniem należałoby pozwolić im zostać. Cavanaugh zna osobowość Durana lepiej niż ktokolwiek. W miarę rozwoju sytuacji on najlepiej może przewidzieć jego kolejne posunięcia. No i jest tu jedyną osobą, która może go zidentyfikować.

Mosley nadal mierzył go wzrokiem.

- Wygląda na to, że musimy korzystać z wszelkich dostępnych środków - ciągnął Rutherford. - Bo inaczej jeżeli dojdzie do śledztwa, pojawią się pytania.

Mosley zmrużył oczy, spojrzał na Cavanaugha i Jamie, po czym zwrócił się do Rutherforda:

- Tym razem niech pan ich lepiej pilnuje.

Szarpnął drzwi i wyszedł do centrum łączności; agenci ruszyli za nim.

Wszyscy poza Rutherfordem.

- Dzięki, John - rzucił Cavanaugh, kiedy mały pokój wypełnił gwar z sąsiedniego pomieszczenia.

- Czuję, że moje stanowisko wisi na włosku.

- Jestem twoim dłużnikiem. Wiem, że niełatwo było mu się postawić.

- Pamiętajcie, proszę, przed czym was ostrzegał - powiedział Rutherford ze zboląłą miną. - Jesteście cywilami. Obym nie musiał żałować, że wam zaufałem.

Cavanaugh z poważną miną wyszedł za nim do centrum łączności.

19.

Tłum na ekranach telewizyjnych zgęstniał.

Na jednym z monitorów kobieta dźwigała dużą, ciężką torbę. Ukryła w ręku jakiś przedmiot i co chwila na niego spoglądała.

- Należy do ekipy z wykrywaczami promieniowania - wyjaśnił ktoś w centrum łączności.

Na innym ekranie mężczyzna trzymał coś, co wyglądało na telefon komórkowy - wykrywacz patogenów.

- Departament Bezpieczeństwa Krajowego ma na ulicach ekipę dwustu agentów, którzy wmieszali się w tłum i skanują ludzi. Ale na ile chorób mogli zaprogramować detektory? Wszystkiego i tak pewnie nie są w stanie wykryć - powiedział ktoś.

- Duże to zbiegowisko?

- Piętnaście tysięcy.

- I wciąż ich przybywa - dodał inny agent. - Co za różnica, czy przełożyli obrady? Tamci nie przestaną protestować, dopóki będą mieć nadzieję, że konferencja się odbędzie.

- Może być coraz gorzej - mruknął Rutherford.

Stojący obok niego Cavanaugh polecił:

- Ktoś musi natychmiast wysłać agentów w tłum. Niech się zachowują jak demonstranci. Mają rozpuścić plotkę, że są wkurzeni, bo konferencja została odwołana.

Mosley odwrócił się do niego i przeszył go lodowatym wzrokiem.

- Założę się, że pan sam chce się tam wypuścić i pokazać nam, jak to się robi.

20.

Siódma trzydzieści.

Stojąc na podium, Carl spojrzął na swoich ludzi.

- Przyznam szczerze, że wam zazdroszczę. Czeka was taki ubaw, że postanowiłem pójść z wami. Zostało sześć wolnych plecaków po tych, którzy się wypisali. Wezmę jeden i też zrobię sobie frajdę. Pan Ramirez również włoży plecak i dołączy do zabawy.

Raoul spojrzął na niego - nie spodziewał się takiej wiadomości. Ale ku zadowoleniu Carla ukrył zdziwienie i zdecydowanie skinął głową.

- Czy każdy ma zegarek? - zapytał Carl.

Mieli.

- Plecaki włożone? Znacie drogę na swoje stanowiska?

Znali i byli wyraźnie zadowoleni, że Carl pójdzie z nimi.

- Wychodźcie w sześciuosobowych grupach. Rozdzielcie się jak najszybciej. Nowy Orlean ma znakomite połączenia autobusowe, więc bez problemu dotrzecie na swoje miejsca. Ale w autobusach są kamery monitoringu, więc siadajcie osobno i nie patrzcie w obiektywy, tylko wyglądajcie przez okna. Pamiętajcie, z wybiciem dziesiątej zdejmujecie plecaki i pociągacie za sznurki. Nie zapomnijcie o nalepkach na palce, żeby nie zostawić odcisków na broni, którą wyrzucicie. Wszystko jasne? Świetnie. Panowie, pokażcie mi, że jesteście zdyscyplinowani.

21.

Ósma.

Stojąc w tłumie naprzeciwko centrum konferencyjnego, Jamie wciąż była popychana i szturchana. Żar tyłu ciała zwiększał wilgotność powietrza, więc oblewała się potem. Ktoś nadepnął jej na buty. I choć miały pod skórą stalowe skuwki - standardowe wyposażenie agentów ochrony - to jednak zabolalo. Tym się nie przejmowała, martwiła się o to, że odbiwszy się od broni, którą miała pod żakietem, ktoś może się zorientować, co tam trzyma, i spróbuje jej to odebrać.

Przyciskała więc łokcie do boków, osłaniając pistolet i nóż.

Mimo że konferencja miała się rozpocząć dopiero za godzinę, już teraz demonstranci wznosili okrzyki przeciw wyzyskowi robotników w Trzecim Świecie, skażeniu środowiska, zmianom klimatycznym, wycinaniu lasów deszczowych, nadmiernym połowom w oceanach i dodawaniu chemikaliów do żywności.

- Poczekajcie, aż przyjedzie kawalkada - zapowiedział ktoś. - Zatrzymamy tych chciwych sukinsynów, nie dostaną się do budynku.

- W razie czego przewrócimy ich limuzyny - zaproponował ktoś inny.

Jamie udawała, że słucha rozmówcy przez komórkę. Pośpiesznie opuściła telefon i krzyknęła do ludzi obok niej:

- Mój przyjaciel słyszał w telewizji, że limuzyny nie przyjadą!

- Że co? - zapytał ktoś, kto ją usłyszał.

- Właśnie ogłosili, że przełożyli termin konferencji.

- E tam, gadanie.

- Nie, to prawda - powiedziała potrącana przez napierający tłum. - Naczelnik policji właśnie wydał oświadczenie. W nocy coś się stało w czterech hotelach. Dym i gaz łzawiący. Uczestnicy konferencji wynieśli się z miasta.

- ...uczestnicy konferencji wynieśli się z miasta - powiedział Cavanaugh.

- Harry, posłuchaj tego gościa. Odwołali konferencję.

- Takiego wała.

Cavanaugh pokazał mu telefon komórkowy.

- Właśnie się dowiedziałem od przyjaciela. Widział to w telewizji.

- Podstęp. Chcą, żebyśmy odpuścili i się rozeszli. Idę o zakład, że tuż przed dziewiątą te świnię zjadą się swoimi limuzynami.

22.

Ósma trzydzieści.

Rozszerzający się chaos zmusił Carla do zostawienia samochodu osiemset metrów dalej. Nawet z tej odległości słyszał wznoszone okrzyki.

- Wygląda na to, że impreza już się zaczęła. - Uśmiechnął się szeroko do Raoula.

- I o to chodzi. Cała reszta to tylko czekanie.

Wysiadł z Raoulem z furgonetki i sprawdził, czy wyrzucone na wierzch koszule

zakrywają ich broń.

- A to drobny upominek, miłej zabawy - powiedział, wręczając Raoulowi plecak, po czym włożył swój.

Ruszyli Magazine Street na północ, w kierunku położonego sześć przecznic dalej centrum konferencyjnego. Zbliżając się do źródła zgiefku, zobaczyli zatrzymujący się na przystanku autobus. W tłumie wysiadających pasażerów znajdowało się sześciu członków ich grupy. Zgodnie z poleceniem trzymali się osobno. Jak przystało na dobrych agentów, rozeszli się w różne strony, nawet nie rzuciwszy na siebie okiem.

- Uwielbiam, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem, a ty? - zwrócił się do Raoula.

Wędrówka była coraz trudniejsza. W połowie przecznicy Carl minął jednego ze swoich ludzi - stał dokładnie tam, gdzie powinien. Nie okazali po sobie, że się znają, ale kiedy ich spojrzenia przelotnie się spotkały, Carl zrozumiał, jak bardzo jego obecność podniosła rekruta na duchu.

Dalej było podobnie. Przeciskając się przez tłum i mijając kolejnych członków swojej grupy, upewnił się, że wszyscy postąpili zgodnie z instrukcjami. Miał więc podstawy, by wierzyć, że nadal będą posłuszni.

O dziewiątej dotarł z Raulem do centrum konferencyjnego, gdzie zbity tłum rozjuszonych demonstrantów niemal całkiem już zablokował czteropasmowy bulwar. Policjanci za barykadami szykowali się do odparcia protestujących.

- Gdzie te samochody?! - dopytywał się gniewnie swojego kumpla jeden z demonstrantów. - Powinny już tu być!

Oczekiwanie dodawało Carlowi energii. Brnął więc dalej przez ciżbę, swoją obecnością podnosząc na duchu rekrutów i sprawdzając, czy są rozstawieni tak jak trzeba, w odpowiednio dużej odległości od siebie.

23.

Dziewiąta trzydzieści.

Cavanaugh i Jamie precyzyjnie się przez tłum, dotarli do wielkiej ciężarówki dostawczej i unieśli swoje legitymacje do kamery nad tylnymi drzwiami. Po chwili otworzyło się jedno skrzydło drzwi i ktoś pomógł im wejść do środka.

Pod ścianą stali mężczyźni z wycelowaną bronią, na wypadek gdyby Cavanaugh i

Jamie okazali się kimś innym albo gdyby ktoś wdarł się za nimi.

Wnętrze ciężarówki przypominało miniaturę centrum łączności. Wszędzie stały komputery, radiowe aparaty nadawczo-odbiorcze, ekrany kamer monitoringu.

Na podglądzie demonstranci przepychali się z policją przed centrum konferencyjnym - bardziej skuteczni byli policjanci uzbrojeni w kamizelki kuloodporne, kaski, tarcze, pałki i paralizatory. Cisza tych obrazków kontrastowała ze zgiełkiem na zewnątrz.

- Poinformowałam, kogo się dało, że w radiu ogłosili przełożenie konferencji na inny termin - powiedziała Jamie.

- Inni agenci rozpowszechnia ją tę samą wieść - odparł agent FBI.

- Jak na razie niewiele to dało. - Cavanaugh ruchem głowy wskazał rozróby na monitorach.

- Czekajcie. - Agent pokazał coś palcem.

Na jednym z ekranów Cavanaugh zobaczył, że demonstranci odstępują od policjantów. Na innym pojawiły się krzaki rozdzielające kierunki ruchu na Convention Center Boulevard. Protestujący patrzyli w lewo i prawo, zaskoczeni, że kawalkada limuzyn nie przyjechała.

Agent obsługujący radio poinformował:

- Mam raporty, że niektórzy w tłumie uświadomili sobie, że nie dojdzie do obrad.

- Patrzcie - rzuciła Jamie. - Na końcu bulwaru. Koło kasyna. Na Poydras Street. Część z nich już się rozchodzi.

24.

Dziewięta czterdzieści pięć.

Chmura przesłoniła słońce, rzucając chłodny cień. Potem słońce znów wyszło, skwar był niemal tak namacalny jak wilgotność. Carl i Raoul szli dalej w śmierzącym spoconymi ciałami tłumie. Minawszy strefę uderzeniową, skręcili w Girod Street, oddalając się od centrum konferencyjnego. Carl zdążył się upewnić, że ostatni z jego ludzi jest na swoim miejscu.

Przy skrzyżowaniu z Tchoupitoulas Street, gdzie Raoul miał czekać do dziesiątej, Carl zauważył, że idzie się znacznie łatwiej, że już nie musi się przeciskać przez tłum. Nagle uświadomił sobie, że fala zmieniła kierunek - zamiast zmierzać do centrum konferencyjnego,

demonstranci szli w przeciwną stronę, unosząc go ze sobą.

Zatrzymał jakiegoś wkurzonego mężczyznę i kobietę.

- Co się dzieje? Dlaczego wracacie?

- Odwołali to gównu.

- Nie - wykrztusił Carl potrącony przez mijających go ludzi.

Kobieta podniosła iPhone'a.

- W Internecie aż o tym huczy. W nocy do czterech hoteli ktoś wrzucił bomby dymne i gaz łzawiący. Uczestników konferencji ewakuowano.

- To niemożliwe! - upierał się Carl.

- Przecież panu mówię, te dranie wyjechały z miasta.

- Nie będzie kawalkady? Ani ceremonii otwarcia?!

- Nic nie będzie. Ci przed centrum konferencyjnym dają się pałować bez sensu.

Podczas gdy zniesmaczona para ruszyła w drogę, oddalając się od bezcelowej walki, Carl gapił się na Girod Street. Oprócz ciężarówki zaparkowanej dwie przecznice dalej widział tylko idących w jego stronę demonstrantów - zbita ciżba zajmowała i jezdnię, i chodnik.

Cztery hotele? Carl z wściekłością przypomniał sobie syreny w nocy i jazdę ku błyskającym kogutom karetek i radiowozów stojących wokół hoteli, z których wydobywał się dym.

Czyżby to twoja sprawka, Aaronie? - pomyślał.

- Czy to już koniec? - zapytał Raoul.

Dopiero po chwili jego słowa dotarły do Carla.

- Koniec?

- Skoro nie dojdzie do konferencji, czy jest sens wypuszczać dym?

- Cicho. - Carl zaciągnął go pod ścianę. - Ktoś cię może usłyszeć.

- Mamy mało czasu. Musimy się rozdzielić i szybko zawiadomić ludzi, żeby nie czekali na dziesiątą.

- Żeby nie czekali na dziesiątą? Nie ma mowy!

Zleceniodawcy Carla budzili niewyobrażalny postrach. Rany boskie, tylko tego brakowało, żeby zaczęli go ścigać, bo wziął zapłatę i nie wywiązał się z obietnicy!

- Ale jaki jest powód? - zapytał ostro Raoul. - Mówił pan, że wynajęto nas, żebyśmy nie dopuścili do konferencji. Mierda, niech pan się rozejrzy! Nie będzie żadnych obrad.

Powód? Carl nie mógł mu powiedzieć, że powodem są Secret Service, U. S. Marshals, Dyplomatyczna Służba Bezpieczeństwa, Zespół Szybkiego Reagowania Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego oraz agenci Global Protective Service i innych wielkich

prywatnych firm ochroniarskich. To ich ściągnięto do Nowego Orleanu dla ochrony Światowej Organizacji Handlu. Za jedenaście minut...

- Zrobimy to, co obiecaliśmy - oświadczył Carl.

- Ale...

- Nie jesteśmy gnojkami z byle ulicznego gangu. Nie działamy pod wpływem chwili.

Wykonujemy rozkazy.

- A jeśli rozkazy są nieaktualne?

- Jeżeli ktoś mi płaci za konkretną robotę, to ją wykonuję. Może nie zdradzili mi wszystkich powodów. Myślenie to nie moja działka. Ja mam tylko wypełnić warunki zlecenia. A co, strach cię obleciał?

- Oczywiście, że nie - odparł Raoul, czerwieniąc się. - Wie pan, że zawsze robiłem wszystko, co mi pan kazał.

- Podobno jesteś agentem.

- Bo jestem - potwierdził Raoul, teraz już czerwony jak burak.

- Więc udowodnij mi to! - Carl przeciągnął go wzdłuż ściany. - Tu. W połowie przecznicy. To tutaj miałaś czekać!

Ulicą nadchodziło coraz więcej rozczarowanych demonstrantów.

Carl spojrział na zegarek.

- Za dziesięć minut rób tak, jak ustaliliśmy!

- Dobra! - warknął wściekły Raoul. - Zgoda!

Przystopuj, powiedział sobie Carl. Co ty wyprawiasz? Opanuj się.

Położył rękę na ramieniu Raoula w udawanym geście sympatii.

- Nie bierz tego do siebie. Przez to pilnowanie każdego szczegółu żyję w stresie. Na żadnym z moich agentów nie mogę polegać tak jak na tobie. Chyba w to nie wątpisz?

Raoul nie odpowiedział, ale komplement wyraźnie go ułagodził.

- Gdy będziesz na moim miejscu, zrozumiesz, na czym polega ciężar odpowiedzialności. Przepraszam. - Carl mocniej złapał Raoula za ramiona. - Wiem, że mnie nie zawiedziesz.

Latynos nie odpowiedział.

- To jak, bez urazy? - zapytał Carl.

- Bez urazy.

- Więc daj mi powód do dumy. - Carl się cofnął.

- Gdzie...

- Muszę pędzić na swoje stanowisko - rzucił Carl przez ramię. Próbował nie okazywać

irytacji wywołanej tym, że stracił panowanie nad sobą.

Co się ze mną dzieje, do cholery? Już prawie po wszystkim. Wrzuć luz. Nie spieprz tego.

Tłum poniósł go ze sobą na skraj strefy śmierci. Już tylko pół przecznicy dzieliło go od miejsca, gdzie za dziewięć minut miał pociągnąć za sznurek.

Przesunął się pod ścianę. Wyrwawszy się z tłumu, zdjął plecak i wepchnął go do śmietnika. Wrócił do demonstrantów, pozwalając im się unieść w bezpieczne miejsce. Miał mnóstwo czasu na dotarcie do furgonetki i wyniesienie się z tej okolicy. Kilka sekund po dziesiątej naciśnie przycisk nadajnika, który miał w kieszeni marynarki. Jeżeli wcześniej nie odpałą detonatorów częstotliwości policyjne, sygnał, który wyśle, załatwi sprawę.

Przecucie kazało mu się obejrzeć za siebie.

Przy śmietniku stał Raoul i gapił się na porzucony plecak.

25.

Pytając: „Gdzie”, Raoul zamierzał się dowiedzieć, dokąd wybiera się Bowie.

Chodziło mu o to, czy ma się z nim spotkać przy furgonetce, czy też ma dotrzeć do Galveston na własną rękę. Z powodu sprzeczki nie ustalili wszystkiego do końca.

W aktualnym stanie ducha Raoul nie miał ochoty spotykać się z Bowiem w furgonetce. Gadał do mnie jak do jakiegoś chingado wykidajły w spelunie!

Ale z każdą sekundą gniew go opuszczał. Nie chciał, żeby ich stosunki się popsuły. Bo tak naprawdę Raoul czuł do niego to, co powinien czuć w stosunku do ojca.

Dziewięć minut. Dostatecznie dużo czasu, żeby go zapytać i wrócić na miejsce.

Raoul wmieszał się w tłum, zmierzając do miejsca za następną przecznicą, gdzie Bowie miał czekać na wybicie dziesiątej. Jest. Tam z przodu. Zobaczył chudego jak patyk mężczyznę, nieco wyższego od ludzi dookoła, który płynął z prądem demonstrantów.

Bowie skręcił pod ścianę. Dokładnie tutaj miał być, pomyślał Raoul, przedzierając się do niego. Nagle zmarszczył czoło, widząc, że jego dowódca zdejmuje plecak. Mars na jego twarzy pogłębił się, gdy zobaczył, że Bowie wrzuca plecak do śmietnika, po czym wraca w środek tłumu.

Zaskoczony Raoul podszedł do śmietnika i wybałuszył oczy na porzucony plecak. Zadarł głowę, przeszukując wzrokiem tłum. Bowie mierzył go wściekłym wzrokiem.

Siła tego spojrzenia sprawiła, że Raoulowi zakręciło się w głowie. Czuł się tak, jakby nieopisana furia w oczach Bowiego pchnęła go w pierś. Cofnął się o krok, zawrót głowy się nasilał. Świat, jaki znał, zawirował. Rzeczywistość, na której polegał, rozpadła mu się pod nogami, pozbawiając go oparcia.

Jej miejsce natychmiast zajął inny świat. Zupełnie jakby z twarzy Bowiego spadła maska. Człowiek, o którym Raoul myślał jak o ojcu, nagle stał się obcym.

Furia i nienawiść malujące się na jego twarzy pokonały dzielącą ich odległość i zmusiły Raoula do kolejnego kroku w tył.

Bowie w mgnieniu oka roztrącił tłum i pędził na niego. Mięśnie Raoula ogarnął potworny żar. Paniczny strach, jakiego w życiu jeszcze nie zaznał, uruchomił jego instynkt obronny - rzucił się do ucieczki.

26.

Nie! - pomyślał Carl. Roztrącając demonstrantów, szarżował na Raoula. To jego spojrzenie! Domyślił się! Jeżeli ostrzeże innych...

Nieprzerwany strumień protestujących zwalniał pościg. Bowie odwracał się bokiem, walił barkiem wszystkich, którzy stawali mu na drodze, jednocześnie wspominając czasy, gdy występował w szkolnej drużynie futbolowej, a pijany ojciec darł się bełkotliwie na trybunach.

- Hej! Uważaj, jak leziesz! - upomniał go ktoś.

- Zejdź mi z drogi!

- Nie popychaj mnie, złamasie!

Mężczyzna dostał cios w brzuch, jęknął i ze zdumieniem patrzył na tryskającą z niego krew.

Trzymając nóż w opuszczonej ręce, Carl mocniej naparł na idący pod prąd tłum. Przed nim Raoul, trzymając się blisko ściany, zyskiwał przewagę, dotarł już do następnej przecznicy.

Zobaczył ich młody człowiek z plecakiem.

Raoul ostrzegł go krzykiem.

Członek grupy nie mógł się połapać, o co chodzi.

Raoul znów krzyknął.

Tamten zorientował się, że Carl ściga Raoula. Z wykrzywioną ze strachu twarzą

odwrócił się i rzucił do ucieczki.

27.

- A tam co się dzieje?!

W furgonetce agent FBI wskazał na jeden z monitorów.

- Gdzie?

- Tutaj. O, proszę.

Cavanaugh i Jamie podeszli bliżej.

- Jakiemuś facetowi bardzo się śpieszy pod prąd - powiedział agent.

- Nie facetowi, tylko trzem ludziom - sprostowała Jamie.

Kamera wycelowana była z krawędzi dachu w dół. Na ekranie widzieli tłum wypełniający ulicę, niezliczone rzesze demonstrantów oddalających się od centrum konferencyjnego. A pośrodku trzech mężczyzn pędziło w przeciwnym kierunku, torując sobie drogę w ciżbie.

- Wygląda na to, że ten z tyłu ściga tamtych - zauważył agent. - Patrzcie, jacy są przerażeni. Wciąż się oglądają, sprawdzając, czy ich dogania.

- A co powiecie na to? - Kolejny agent wskazał zamieszanie na drugim monitorze. Ludzie zebrali się wokół skulonego mężczyzny leżącego bokiem na chodniku. Trzymał się za brzuch, z którego wypływała ciemna ciecz. Jakaś kobieta zadarła głowę i bezdźwięcznie zaczęła krzyczeć. - Wygląda na to, że ktoś go postrzelił.

Cavanaugh skupił się na trzech mężczyznach przeciskających się na południe, podczas gdy wszyscy inni zmiierzali na północ.

- Możecie dać zbliżenie faceta z tyłu, tego, który chyba goni tamtych?

- Jasne.

Agent przekręcił pokrętkę. Kamera natychmiast powiększyła obraz człowieka na końcu pościgu.

W miarę jak twarz rosła na ekranie, Cavanaugh czuł chłód przenikający jego nerwy.

- Nie został postrzelony, tylko dźgnięty nożem.

- Skąd wiesz?

- Bo ten, który ściga tamtych dwóch, to Carl.

28.

Za osiem minut dziesiąta.

Przepychając się przez tłum, Carl zobaczył następnego młodego człowieka z plecakiem. Raoul ostrzegł go krzykiem. Kiedy tamten, i tak już podenerwowany, obejrzał się na pędzących ku niemu kolegów z ekipy i zobaczył furię na twarzy Carla, również puścił się biegiem. Carl roztrącał kolejnych demonstrantów.

- Patrz, gdzie leziesz, palancie - zaprotestował jakiś mężczyzna i z jękiem zgiął się wpół, gdy Carl minął go pędem.

Z przodu Raoul brnął przed siebie, natomiast dwaj ludzie z ekipy, których ostrzegł, rzucili plecaki, rozdzielili się i skręcili w boczne uliczki po prawej i lewej.

Ostrzegą resztę grupy, pomyślał Carl z wściekłością. Wbiłem im do łbów, że należą do zgranego zespołu. Więc teraz będą się ostrzegać nawzajem.

A wszystko przez Raoula. Poświęciłem mu tyle czasu, ale i tak został menelem.

Przebijając się przez tłum, nadrabiając dystans, Carl gniewnie ocenił, że ma dość czasu, żeby pokazać mu, jakie są konsekwencje nielojalności.

Tymczasem z przodu ten sukinsyn wyrzucił plecak, krzycząc do kolejnego członka ekipy czekającego przy tej ulicy.

29.

- Co oni wyrzucają? Plecaki?

- Wygląda to, jakby krzyczeli do ludzi trzymających się z boku tłumy. - Cavanaugh wpatrywał się w ekrany.

- Do mężczyzn stojących pod ścianami. Każdy z nich ma plecak - zauważyła Jamie. - Tu, tu, tu i... Rany boskie, oni są wszędzie.

- Wolę sobie nie wyobrazać, co w nich mają. - Agent sięgnął po mikrofon. - Nadzór jeden do wszystkich jednostek.

Podczas gdy opisywał im, co widać na ekranach, Cavanaugh znów wskazał monitor pokazujący Carla.

- Co to za ulica? - spytał innego agenta.

- Girod koło Fulton.

Cavanaugh chwycił wpinany w klapę mikrofon i słuchawkę do ucha.

- Informujcie mnie, w jakim kierunku on zmierza.

Otworzył drzwi i wyskoczył na ulicę, zanim Jamie zdążyła się połapać.

- Wyłuskajcie facetów z plecakami! - rzucił agent do mikrofonu. - Tylko ostrożnie, na miłość boską. Nie wiemy, co w nich jest.

Zanim Jamie wyskoczyła na ulicę, Cavanaugh rozpląnął się w tłumie.

30.

Za siedem minut dziesiąta.

Nie oglądając się za siebie, Raoul czuł przez skórę, że Bowie jest coraz bliżej.

Palilo go w żołądku. W klatce piersiowej bolało. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Mimo że trzymał się ściany, wciąż miał przed sobą zbyt wielu ludzi. Roztrącając ich, rozpychając, wrzasnął do kolejnego członka ekipy:

- Bowie nas okłamał! Coś nie gra! Wyrzuć plecak!

I tak już podenerwowany członek ekipy z ulgą skorzystał z okazji do ucieczki.

Raoul przeskoczył nad porzuconym plecakiem i skręcił w lewo w Fulton Street.

Na bocznej uliczce demonstrantów było o wiele mniej, dzięki czemu mógł pobiec szybciej.

A jednak nadal czuł przez skórę, że Bowie się zbliża. Zauważył następnego członka ekipy i również ostrzegł go krzykiem. Facetowi wystarczył przerażony rzut oka na Raoula, którego doganiał Bowie. Nie potrzebował więcej dowodów - rzucił swój plecak i popędził za róg najbliższej przecznicy.

A może Raoul tylko sobie wyobrażał tupot kroków za plecami? W każdym razie coraz krótszy oddech i uginające się nogi nie były wytworem jego wyobraźni.

Latynos nigdy nie został sprawdzony w praktyce, nie miał za sobą pięciu misji - rządził nim strach, a nie dodająca siły adrenalina.

Muszę oddychać. Dopóki biegnę, on ma przewagę. Muszę się zatrzymać.

Po drugiej stronie ulicy zauważył kuszący sklepiony pasaż.

Muszę walczyć.

Raoul przebił się przez wracających demonstrantów, obalając jakiegoś mężczyznę na

chodnik. Usłyszał za sobą przekleństwo, ale obchodziło go tylko to, żeby jak najszybciej schronić się w pasażu. Wbiegł tam, lecz nie zauważył drzwi, które mógłby za sobą zatrzaskać. Mroczny metalowy korytarz prowadził do krętych metalowych schodów. Popędził do nich w kuszącym cieniu. Z tyłu dobiegł go tupot kroków. Wyciągnął pistolet, okręcił się na pięcie, zobaczył zamazaną postać i usłyszał krzyk:

- Chcesz się założyć?!

Słowa odbiły się echem od ceglanych ścian. Ten ryk jeszcze bardziej przeraził Raoula i tak już wystraszonego widokiem szybko nacierającego Bowiego.

Kolana się pod nim ugięły. Zgarbił się. Uniósł rękę, zasłaniając klatkę piersiową.

Kiedy gmerał przy spuście, poczuł, że Bowie wyrzucił go z impetem, który całkiem pozbawił go tchu. Wylądował ciężko na schodach. Ich krawędzie boleśnie wbijały mu się w plecy, podczas gdy Bowie przyciskał go i tłukł raz za razem, tyle że to nie były ciosy pięścią, on go dźgał nożem. Zamiast powietrza z Raoula uszła teraz krew.

31.

- Ty ośle, niczego się nie nauczyłeś? Nie mieszaj pistoletu do walki na noże!

Carl wbijał ostrze głęboko w pierś Raoula, w jego brzuch, gardło, raz za razem, a każdy cios wstrząsał ciałem Latynosa. Zasyczały gazy. Tryskała krew. Carl chlastał tak długo, aż posiekana masa, na której leżał, była nie do rozpoznania.

Z każdym szaleńczym dźgnięciem miał wrażenie, jakby oderwał się od własnego ciała i z góry z uśmiechem patrzył na karę, jaką mu wymierzył.

Odwaga. Honor. Poświęcenie. Ale największą cnotą żołnierza jest lojalność. Oto, co cię czeka, jeżeli ją złamiesz...

Nagle wrócił do swojej cielesnej postaci i zobaczył krwawą jatkę pod sobą, krew ściekającą z jego rąk, koszuli, twarzy. Zadarł głowę i wygiął się do tyłu, gdy przeszedł go dreszcz, orgiastyczny spazm. Pociemniało mu przed oczami.

W końcu zobaczył wszystko wyraźnie - wykrzywione w śmiertelnym skurczu ciało Raoula, czarne metalowe schody ochlapane czerwonymi plamami, jasnoczerwony nóż w swoim ręku.

Jak długo byłem...? Rany boskie, która godzina?

Musiał wytrzeć krew z zegarka o koszulę, zanim mógł sprawdzić czas. Za cztery

dziesiąta. Ostatnie, co zapamiętał, to że wpadł do tego przejścia za sześć dziesiąta. Kilka szybkich cięć nożem. Taki miał plan. Trzydzieści sekund, żeby dać Raoulowi nauczkę. Wpaść, wypaść. Pięć minut na ucieczkę. Nie wszyscy ludzie z ekipy zostali ostrzeżeni, że coś jest nie tak. Niektórzy pociągną za sznurki i odpalą detonatory, uwalniając gaz z plecaków. Nie wystarczy to, żeby uratować miśję, ale strefa zagrożenia wciąż będzie znaczna. Musiał uciekać.

W takim stanie? Wstając, czuł ciężar krwi na koszuli. Każdy ochroniarz w tłumie rzuci się na mnie. Niech cię szlag, Raoul! Kopnął zwłoki, przeklinając Latynosa, że przez niego przestał panować nad sobą.

Myśl! Musi być jakiś sposób na...

Zdarł z siebie koszulę. W parnym Nowym Orleanie mężczyzna bez koszuli nie zwraca niczyjej uwagi, ale w koszuli przesiąkniętej krwią to już inna sprawa.

Podbiegł do kranu przy schodach i zmył krew z twarzy i rąk. Rzucił się pędem w stronę ulicy, lecz widząc zamieszanie przy wylocie pasażu, domyślił się, że ktoś biegnie w jego kierunku.

Szarpnął klamkę drzwi po prawej - były zamknięte. Sprawdził drzwi po lewej - to samo. Świadomy upływającego czasu popędził w górę schodami, jednocześnie składając nóż i chowając go do obszernej kieszeni spodni, obok pistoletu.

Stukając butami na schodach, wbiegł na samą górę, przekręcił klamkę i jęknął - te drzwi też były zamknięte na klucz.

Zza zamkniętego okna obok nich usłyszał rozmowę dwóch kobiet. Umilkły, gdy zabębnił w drzwi.

- Wpuście mnie! To sprawa życia i śmierci!

W pasażu na dole zadudniły kroki. Spojrzał tam, czując, jak zamiera mu serce.

32.

- Na środku ulicy! Południowa strona!

Zgodnie z instrukcjami, które otrzymywał przez słuchawkę w uchu, Cavanaugh lawirował w tłumie na Fulton Street. Gdy dotarł do pasażu, usłyszał:

- Właśnie tam weszli! Wsparcie jest w drodze!

- Nie mam czasu!

Trzymając się pod ścianą, wyciągnął pistolet i nastawił uszu. Mimo hałaśliwych demonstrantów za plecami odniósł wrażenie, że z metalowych schodów dobiega echo kroków.

Próbując zwolnić łomotanie serca, zaczerpnął powietrza do płuc, nie wypuszczając go odliczył - jeden, dwa, trzy - wypuścił je ustami - jeden, dwa, trzy - wciągnął powietrze nosem - jeden, dwa, trzy. Wskoczył w światło bramy, celując wzdłuż długiego ceglaneanego pasażu, i ujrzał nogi mężczyzny wchodzącego po schodach. Przy najniższym stopniu leżały zalane krwią zwłoki.

Ze schodów sfrunęła zakrwawiona koszula.

Cały czas celując z pistoletu, posuwał się wolno pasażem, krok za krokiem, pewnie stawiając nogi, żeby nie stracić równowagi. Był już przy schodach, gdy z góry doleciało stukanie do drzwi. Nie zwracając uwagi na zwłoki u swoich stóp, wycelował w górę.

Carl.

Zaskoczenie na jego twarzy szybko minęło, zastąpił je uśmiech.

- No, no. - Uśmiech był coraz szerszy. - Jak leci, Aaronie?

- Bywało lepiej. - Cavanaugh mocniej położył palec na spuście.

- Właśnie, ja też mam kiepski dzień. - Pod mięśniami na chudej klatce piersiowej Carla rysowały się zebra. Jego twarz ociekała wodą. Uniósł mokre, muskularne ramiona, jakby się poddawał. - Kopę lat, Aaronie. Albo łykasz tony witamin, albo małżeństwo ci służy. Nic a nic się nie postarzałeś.

- Ty też wcale się nie zmieniłeś, to akurat nie ulega wątpliwości. Opanowanie wciąż sprawia ci problemy.

- No cóż, on wystąpił przeciwko mnie. Wiem, że ciebie akurat nielojalność nie martwi, ale mnie doprowadza do szewskiej pasji.

- Podobnie jak wiele innych rzeczy.

- Tylko ludzie, którzy podstępnie udawali moich przyjaciół, choć tak naprawdę byli wrogami.

- Zejdź ze schodów, Carl.

- Nic z tego.

- Powoli. Ostrożnie.

- A co zrobisz, jeżeli ci powiem: „Wal się”. Zastrzelisz mnie?

- Tak.

Cavanaugh zmarszczył czoło, gdy na szczycie schodów rozległy się czyjeś głosy.

- Nie dzisiaj, stary kumplu.

Otworzyły się drzwi. Zanim Cavanaugh zdążył wystrzelić, Carl zniknął w budynku.

Cavanaugh popędził po schodach, lecz metalowe drzwi już się zatrzasnęły.

Szarpnął za klamkę. Zamknięte na klucz. Załomotał. Za drzwiami padły strzały.

Carl wiedział, że z pistoletu ich nie przestrzeli, a zatem kule przeznaczone były dla kogoś innego - tego, kto mu otworzył. Cavanaugh odniósł wrażenie, że słyszy tupot kroków w korytarzu.

- Jest w budynku, na pierwszym piętrze! - rzucił do mikrofonu pod szyją. Usłyszał zapewnienie:

- Zamkniemy Fulton i sąsiednią ulicę!

Słyszac głośny hałas, Cavanaugh odwrócił się i spojrzał w dół.

Pasażem biegło sześciu agentów. Ale on widział tylko Jamie.

- Uciekł tamtędy! - krzyknął do nich. Na szczycie schodów ujrzał donice z kwiatami, chwycił jedną i cisnął nią w okno obok drzwi. Pewny, że Carl nie został na miejscu, sięgnął przez zbitą szybę, otworzył zamek i podniósł okno. Na dłoni poczuł chłód klimatyzacji.

Podczas gdy Jamie i agenci wbiegali na schody, zajrzał przez okno, zlustrował wzrokiem biuro, uznał, że musi zaryzykować i wczołgał się do środka. Na podłodze leżały dwie zakrwawione kobiety.

- Potrzebna karetka! - krzyknął do mikrofonu w kłapie. Szybko otworzył drzwi.

Jamie i agenci wpadli do środka i stanęli w miejscu na widok postrzelonych kobiet. Jeden z agentów ukląkł, próbując udzielić im pomocy, a Cavanaugh i pozostali pobiegli korytarzem.

W biurze zza biurka wyjrzał chowający się tam mężczyzna. W innym pokoju drugi mężczyzna leżał na podłodze. Krwawił.

Przy biurku w rogu poczekalni Cavanaugh zastał roztrzęsioną recepcjonistkę.

Szklane drzwi prowadziły stamtąd do wind i na schody.

- Nasi ludzie czekają na ulicy pod domem! Nie wywinie się! - zawołał jeden z agentów. Z wyciągniętym pistoletem przebiegł obok Cavanaugha i popędził schodami w dół; jego koledzy zbiegli za nim.

Cavanaugh i Jamie zostali na miejscu.

- Co jest nad nami? - zapytał Cavanaugh rozedrganą recepcjonistkę.

Otworzyła usta, ale nie wydobyła głosu.

- Nic już pani nie grozi - zapewniła ją Jamie. - Co jest nad nami?

- Inne biura.

- I?

- Ogród na dachu.

33.

Za trzy minuty dziesiąta.

Jeden z rekrutów Carla stał pod ścianą, patrząc na mijających go ludzi.

Niecierpliwie sprawdził godzinę na zegarku, podniósł głowę i zobaczył przed sobą dwóch mężczyzn z wycelowanymi w niego pistoletami.

- Ręce do góry!

- Odwróć się! Pod ścianę! - krzyknął inny agent na kolejnego z ludzi Carla ustawionego przecznicę dalej. - Jay, ściągnij mu plecak!

- Chyba można bezpiecznie zdjąć mu plecak! - krzyknął agent do swojego partnera trzy przecznice dalej. - Jeśli to bomba, nie ma ręcznego detonatora. Inaczej już sam by się wysadził.

Ktoś w tłumie usłyszał jego słowa.

- Bomba?!

- Gdzie?

- Bomba!

- Spadamy!

- Ręce z daleka od plecaka! - krzyknął agent.

A kiedy człowiek Carla wyciągnął pistolet, agent wpakował mu kulkę w łeb.

Umierając, mężczyzna wystrzelił w chodnik; rozpryski płyt poleciały w tłum.

Wybuchła panika. Jakaś kobieta przewróciła się, a na nią runęło trzech rozpędzonych mężczyzn. Ulicę wypełniły wrzaski.

34.

Cavanaugh i Jamie popędzili schodami w górę. Zza otwartych drzwi jednego z biur wyzierały przerażone twarze.

- Zamknijcie drzwi! - polecił Cavanaugh.

- Pochowajcie się - ostrzegła Jamie.

Wyżej dotarli do otwartych drzwi, za którymi widać było niebo.

- Zostań tu - powiedział Cavanaugh. - Nie musisz tego robić.

- Skarbie, nie puszczę cię samego.

Wyszedł pierwszy, celując w prawo, podczas gdy Jamie wycelowała w lewo.

W upalnym słońcu otaczały ich drzewa i krzewy w donicach. Ogrodowe stoły, krzesła i parasole tworzyły patio, na którym podawano lunch. Cavanaugh i Jamie przebiegli między nimi, szukając celu.

- Tam - powiedziała.

Pięćdziesiąt metrów dalej stało coś w rodzaju komórki z otwartymi drzwiami.

Stanęli przy niej, mając po prawej Missisipi.

- Pobiegnij dachami na wschód! Do następnej przecznicy! - rzucił Cavanaugh do mikrofonu w kłapie. - Za róg!

Dopadli schodów w samą porę, by usłyszeć dudnienie kroków na dole.

- Jest już prawie na ulicy! - zawołał Cavanaugh.

- Czekamy! - odkrzyknął ktoś do słuchawki.

Huk strzałów sprawił, że Cavanaugh zatrzymał się. Nawet na schodach usłyszał wrzaski dobiegające z ulicy.

35.

Za dwie minuty dziesiąta.

Carl zbiegł już prawie na parter, gdy na ulicy huknęły strzały. W tłumie za oknem zapanowała gorączka, ludzie pierzchali byle dalej. Carl skręcił do jakiegoś biura, w którym przerażeni pracownicy gapili się na chaos na zewnątrz.

Odwracając się do niego, zareagowali jeszcze większym przerażeniem na widok gołego torsu, ociekającej wodą twarzy i pistoletu w jego ręku.

- Wynocha! - ryknął. A ponieważ nie ruszyli się z miejsca, wybrał spośród nich jakiegoś rudzielca i go zastrzelił. - Jazda stąd!

Ci, którzy pozostali przy życiu, wpadali na siebie, próbując uciec z biura jednocześnie. Strzelając nad ich głowami, patrzył, jak wylewają się na dwór i dołączają do rozgardiaszu na ulicy. Wobec takiego naporu czekający tam agenci nie mieli szans.

Chwycił z krzesła marynarkę, włożył ją, a potem wybił krzesłem podwójne okno,

wyskoczył na zewnątrz i wmieszał się we wrzeszczący, rozpędzony tłum.

36.

Cavanaugh dotarł na parter. Zobaczył ludzi wybiegających przez otwarte drzwi. Zaskoczony chaosem usłyszał trzask wybijanej szyby w biurze po lewej.

- Idź tam! - polecił Jamie, wskazując otwarte drzwi. - Ja pójdę z boku!

Wbiegł do biura w chwili, gdy Carl wyskakiwał na zewnątrz, w środek rozpędzonego tłumu. Natychmiast ruszył za nim, roztrącając wszystkich pod drodze; starał się nie zgubić go z oczu. Następny strzał w oddali wzmógł ogólną panikę. Cavanaugh usłyszał, jak ktoś woła: „Bomba!”. Histeryczne pragnienie, by wynieść się stamtąd jak najdalej, spowodowało, że ciżba na chwilę uniosła go w górę. Niczym porwany prądem rzeki, która wylała, usiłował uwolnić się z jej nurtu, jednocześnie nie tracąc kierunku.

Przed sobą widział Carla, który bokiem torował sobie drogę w tłumie. Ale to nie miało sensu, kierunek, jaki obrał - w prawo - to był ślepy zaułek. Stamtąd nie było jak uciec. Nagle Cavanaugh zdał sobie sprawę, że się myli. To, co uważał za ślepy zaułek, tak naprawdę było rzeką Missisipi. Rzeka! To nią Carl zamierzał uciec.

37.

Za minutę dziesiąta.

Wszelkie próby wyrwania się z tłumu były bezowocne, ciżba niosła Carla uwięzionego w środku. W panującym ścisku z trudem mógł oddychać.

Rozpychając się łokciami, waląc barkiem, zdołał wywalczyć nieco przestrzeni i zbliżyć się do rzeki.

W tej ciasnocie nie mógł spojrzeć na zegarek. Czuł jednak, że dziesiąta jest tuż-tuż. Lada chwila pozostali członkowie grupy pociągną za sznurki swoich plecaków, policyjne częstotliwości radiowe uruchomią detonator i na resztki demonstrantów spadnie czarna chmura gazu paralizującego.

Po prawej mignął mu jakiś budynek. Rozpychając się łokciami jeszcze mocniej, uzyskał tyle swobody, by sięgnąć po pistolet i strzelić w powietrze. Ogłuszający huk

wystrzałów wzniecił nowe wrzaski, ale tłum zaczął biec szybciej. Jedni padali, inni przewracali się na nich. Carl wygramolił się nad nimi.

Ci na samym przedzie przebiegli właśnie przez tory tramwajowe i po kilku schodkach wpadli do tunelu. Carl strzelił jeszcze kilka razy, a ludzie przyśpieszyli i razem z nim wbiegli w mroczny tunel. Po drugiej stronie czekało na nich słońce i pas szerokiego betonu kończący się nad samą wodą. Po Missisipi, pyrkocząc z kominów, płynęły barki i holowniki. Carl przeskoczył przez sięgające pasa ogrodzenie, dał nura obok napędzanego kołem łopatkowym statku przycumowanego do brzegu i wpadł pod wodę.

38.

Cavanaugh zobaczył, jak Carl pędzi w kierunku rzeki.

Przyśpieszył i biegnąc co sił w nogach, nieco nadrobił dystans, ale stanowczo za mało. Był za daleko, nie zdąży go dogonić. Kiedy Carl przeskakiwał ogrodzenie, Cavanaugh nie miał czasu się zatrzymać i na tyle opanować drżenie całego ciała, by wycelować. Carl mignął mu przed oczami i wpadł do rzeki obok statku. Trzy sekundy później Cavanaugh również przeskoczył ogrodzenie.

Obawiając się zbyt dużego obciążenia, wyrzucił pistolet i nóż, który miał przy pasku. Ściągnął marynarkę, wyjął z pochwy na szyi nóż w kształcie szponu i ściskając go mocno, skoczył do rzeki.

Woda była zimna. Zapiaszczona. Tłusta. Zanurzony w błotnistej rzece słyszał stłumione wibracje silników. Była tak mętna, że kiedy otworzył oczy, niczego nie widział. Mógł tylko wierzgać nogami w ciężkich buciorach i wymachiwać na oślep rękami, podążając kursem, który obrał Carl. Ściskając nóż, siekł nim na prawo i lewo, z nadzieją, że zrani Carla w nogę. I tak już zdyszany po biegu poczuł ucisk w piersi - to płuca domagały się powietrza. Wciąż jednak machał rękami, a mokre ubranie ciągnęło go w dół.

Niesiony z prądem stracił nadzieję, że Carl płynie tym samym kursem, lecz znów zaczął na oślep wywijać nożem. Wibracje silnika były coraz głośniejsze. Nagle uświadomił sobie, że to tylko łomotanie jego serca. Obawiając się, że lada chwila pękną mu płuca, wierzgając rękami i nogami, zaczął odbijać się w górę, wyskoczył nad powierzchnię i wybałuszył oczy na płynący wprost na niego holownik. Był tak blisko, że Cavanaugh musiał się odepchnąć nogami od kadłuba, żeby go nie zmiażdżył. Ale prąd zasysał go z powrotem w

kierunku statku.

Śruba napędowa, pomyślał.

Za burtą holownika wisiał rząd opon - zapora przed zderzeniem z nabrzeżem.

Cavanaugh wyciągnął się, zaczepił rękę o jedną z nich i mimo rozdzierającego bólu w barku, dał się ciągnąć za holownikiem. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że na brzegu rzeki Jamie bezradnie obserwuje jego zmagania.

W oddali pojawiła się czarna chmura.

Jeszcze dalej wzbiła się kolejna.

Cavanaugh nagle zrozumiał plan Carla i modlił się, żeby Jamie wpadła na to, co musi zrobić. Gdy pojawiła się trzecia czarna chmura, uniósł wolną rękę, tę z nożem, machając gwałtownie na znak, że nic mu się nie stało, a jednocześnie popędzając Jamie do działania. Ona też pomachała do niego ręką, z przerażeniem obejrzała się przez ramię na czarne chmury i puściła się biegiem.

VIII.
BRACTWO NOŻA

1.

- Jak dotąd mam doniesienia o blisko tysiącu ofiar śmiertelnych - poinformowała go Dawn Finch. - Wliczając czterdziestu agentów federalnych i piętnastu pracujących dla GPS.

Cavanaugh nie miał siły odpowiedzieć. Siedział w biurze Straży Przybrzeżnej, dokąd zawiozła go łódź patrolowa, która odebrała go z holownika. Ścisnął koc, którym był opatulony, a mimo to dygotał - ale tylko częściowo z powodu mokrego ubrania.

Jamie przyniosła mu kubek parującej kawy.

- Co najmniej dwa tysiące wymaga opieki lekarskiej, zwożą ich na ostry dyżur do wszystkich szpitali w okolicy.

- Ale i tak mogło być o wiele gorzej - zauważył agent FBI. - Pojemniki były zabezpieczone tak starannie, że detektory toksyn w tłumie nie wykryły, co się w nich znajduje. Gdyby nie odwołano obrad, gdyby demonstranci zostali na miejscu, a wszystkie plecaki zdetonowano i gaz by się rozprzestrzenił...

- Według wstępnych szacunków zginęłoby nie mniej niż piętnaście tysięcy demonstrantów, a do tego tysiące turystów i biznesmenów w centrum miasta - wpadł mu w słowo inny agent. - Bóg wie, ilu wymagałoby hospitalizacji. Niewiele brakowało, a byłby to najgorszy...

Na zewnątrz zadudniły silniki statków. Otworzyły się drzwi. Wszyscy odwrócili się do funkcjonariusza Straży Przybrzeżnej, za którym weszli Rutherford i Mosley. Mieli markotne miny.

- Nie udało nam się go znaleźć - powiadomił człowiek ze Straży Przybrzeżnej. - Podejrzewamy, że mógł wpaść pod którąś z jednostek pływających po rzece. Może stracił przytomność i utonął.

- On się nie utopił - oświadczył Cavanaugh.

- Jeden z naszych ludzi widział, jak go pan gonił - powiedział agent FBI. - Był za daleko, więc nie mógł pomóc, ale zauważył, że skacze do wody. Tylko pan się wynurzył nad powierzchnię.

- Może uderzył w coś głową pod wodą. Albo w coś się zaplątał - spekulował z nadzieją facet ze Straży Przybrzeżnej.

- Przeszukujemy rzekę. Kazaliśmy ściągnąć nurków.

- I sprawdzacie brzegi w górę i w dół rzeki? - spytał Cavanaugh. - Z łodzi i ze śmigłowców?

- Oczywiście.

- Panu wciąż się wydaje, że tu dowodzi?! - warknął Mosley.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni tak wrogim podejściem.

- Tylko biorę udział w rozmowie - odparł Cavanaugh.

- Jasne.

W pomieszczeniu zapadła cisza, słychać było jedynie dudnienie silników statków.

- Mną niech pan się nie przejmuję - dorzucił Mosley.

- Carl jest wyśmienitym pływakiem - poinformował Cavanaugh funkcjonariusza Straży Przybrzeżnej. - W liceum został mistrzem stanu. Pływanie było jedną z jego specjalności w naszej drużynie Delta Force. Raz widziałem, jak pruł pod wodą przez minutę czterdzieści pięć sekund. Z prądem mógł się oddalić na niezłą odległość, zanim się wynurzył na powierzchnię, a i wtedy pewnie pod osłoną statku. Teraz już jest daleko stąd.

- Zbadamy wszelkie możliwości.

- No proszę, jak się szarogęsi! - rzucił Mosley.

I znowu zapadła cisza. Stojący obok Mosleya czarnoskóry Rutherford zadumał się.

- Ma pan jakiś problem? - spytał Cavanaugh.

- Owszem. Ale pan ma większy. - Mosley odwrócił się do faceta ze Straży Przybrzeżnej. - Czy macie tu odtwarzacz DVD?

- W komputerze.

- Więc obejrzymy sobie to. - Mosley podał mu płytę bez nalepki.

Funkcjonariusz włożył ją do komputera i postukał w klawiaturę.

Wszyscy podeszli bliżej.

Przez chwilę na ekranie nic się nie pojawiało. Potem ukazał się korytarz. Na końcu widać było drzwi do windy.

- To nagranie z monitoringu w hotelu Delta Queen - wyjaśnił Mosley. - Najnowocześniejsza technologia. Ostry obraz, bez ziarna.

Film wciąż pokazywał korytarz i drzwi do windy na końcu.

- Jak dotąd niezbyt to ciekawe - zauważył William. - Czy długo będziemy musieli...

- Na razie przygotowuję grunt, mecenasie. Buduję napięcie. Obraz pochodzi z poziomu konserwatora. Druga kamera umieszczona jest na końcu korytarza, obok drzwi do windy, a trzecia na schodach prowadzących w dół. Obiektywy tamtych kamer spryskano sprejem z farbą, ale domyślam się, że o tej pan nie wiedział. - Mosley skierował te słowa do Cavanaugha.

- W żaden sposób nie udowodni pan, że moi klienci mieli coś wspólnego z

zamalowaniem obiektywów kamer - zaproponował William.

- Niech pan ogląda dalej, mecenasie.

Na końcu korytarza pojawił się jakiś mężczyzna. Skulony minął drzwi windy, wycelował puszkę farby i psiknął na coś nad głową.

- To wciąż niczego nie dowodzi - oświadczył William. - Ten ktoś jest tak daleko, że nie sposób go zidentyfikować. To może być ktokolwiek.

- Wiedziałem, że pan to powie, mecenasie, dlatego żeby pana oświecić, kazałem powiększyć obraz.

Mężczyzna na końcu korytarza wypełnił cały ekran.

- Zdumiewające podobieństwo, przyzna pan? - rzekł Mosley.

Człowiekiem na ekranie był bez wątpienia Cavanaugh. Skończył pryskać farbą na coś nad głową, a potem za pomocą wytrychów zdjął płytę obok windy.

Nacisnął przycisk od wewnątrz płyty i drzwi windy się otworzyły. Szyb był pusty, winda znajdowała się na wyższym piętrze. Mężczyzna położył się na brzuchu, wyciągnął rękę, ustawił przełącznik na jakimś pudełku i postawił je na dnie szybu. Na koniec zamknął drzwi i zniknął z pola widzenia.

- To niczego nie dowodzi. Obraz mógł zostać spreparowany - upierał się William. - Za pięćdziesiąt dolarów w pierwszym lepszym sklepie komputerowym dostanę oprogramowanie, dzięki któremu wyjdzie na to, że to pan otwierał te drzwi do windy.

- Owszem, tyle że ten obraz powiększył technik komputerowy FBI, który zezna pod przysięgą, że twarz nie została zmieniona.

- Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł go wziąć w krzyżowy ogień pytań.

- Nie w tym stanie, mecenasie. Tu nie ma pan uprawnień. Poza tym popytałem o pańskiego słynnego szwagra. Wielki obrońca Lester Beauchamp przebywa na wakacjach w Europie.

Na ekranie pojawił się zielonkawy obraz płaskiego dachu.

- Ta zieleń to rezultat trybu nocnego kamery - wyjaśnił Mosley. - W Southern Belle. Ten hotel również posiada system monitoringu najwyższej klasy. Dyrekcja kazała zamontować kamerę nawet na dachu. Tam w tle widzicie klimatyzatory. A oto nasza druga gwiazda, która zamalowała farbą kamery na schodach prowadzących na dach, ale nie wiedziała o tej dodatkowej kamerze.

Na ekranie ukazała się postać kobiety odcinająca się w dali na tle świateł miasta. Kobieta uklękła, odczepiła nóż od paska i odkręciła zakrętkę na końcu rękojeści. Nagle obraz się powiększył. Kobietą bez dwóch zdań była Jamie.

- Teraz już chyba nie ma pan zastrzeżeń, mecenasie? - zapytał Mosley.

- Zachowam je na salę sądową.

- Pańska sprawa.

Wszyscy patrzyli, jak Jamie wyciąga z rękojeści noża narzędzie i odkręca klapę do przewodów klimatyzacyjnych. Następnie pstryknęła przełącznik na jakimś przedmiocie, który włożyła do środka. Na koniec przyśrubowała klapę z powrotem.

- Ten przełącznik uruchomił zegar bomby z gazem łzawiącym - oznajmił Mosley.

- Cavanaugh nastawił wybuch bomby dymnej. Rzecz jasna, i on, i jego żona pracowali w lateksowych rękawiczkach. Nie ma odcisków palców. Ale oczy nas nie mylą, prawda?

- Zna pan już moje zdanie na ten temat - odparł William.

- No to posłuchajcie mojego zdania. Cavanaugh, Stoddard czy jak tam pan się nazywa, miał pan szczęście. Temu ministrowi, który złamał nogę, musieli wstawić śruby. Ten, który dostał ataku serca, wciąż leży na intensywnej terapii. Kierowcy samochodów, którzy się zderzyli z karetkami, również nadal przebywają w szpitalu. Wyłączył pan z użytku cztery hotele na wiele dni, bo tyle zajmie naprawa szkód. Straty sięgają milionów dolarów.

- Teraz pan gada jak przedstawiciel Izby Handlowej - zauważył William.

- Niech pan się przymknie, mecenasie. Tutaj nie ma pan żadnej władzy. - Mosley wlepił wzrok w Cavanaugha. - Jest pan aresztowany.

- Niech pan tego nie robi - powiedział Cavanaugh.

- Ma pan prawo zachować milczenie. Ma pan prawo do adwokata. Jeśli pana nie stać, dostanie pan obrońcę z...

Cavanaugh odwrócił się do Rutherforda.

- John, nie możesz temu jakoś zapobiec?

- Mógł temu zapobiec wczoraj wieczorem - wtrącił się Mosley. - Nigdy nie ufaj cywilom, to jedna z pierwszych rzeczy, jakich uczymy agentów.

2.

- Bankructwo?

W surowym pokoju przesłuchań nowoorleańskiego aresztu Cavanaugh i Jamie z niedowierzaniem słuchali tego, co mówił im William.

- Wiedziałeś, że Global Protective Services jest w krytycznej sytuacji finansowej.

- Dlatego odwołałem planowane otwarcie filii w Tokio i kazałem ciąć koszty w pozostałych - odparł Cavanaugh.

- Obniżka kosztów, redukcja personelu i skali działania to świetne pomysły, tyle że spóźnione. To nie twoja wina. Duncan za bardzo rozbuchał korporację i oto mamy konsekwencje. W normalnych okolicznościach wpływy i wydatki można by zbilansować na tyle, żeby Global Protective Services odbudowała swoją siłę.

Jednak atak na biuro nowojorskie oraz olbrzymie środki, jakie wyłożyłeś na ochronę konferencji, zachwiały tę równowagę. To tylko kwestia tygodni, zanim GPS upadnie.

- Nie mogłeś trochę poczekać z kolejnymi złymi wieściami? - spytała Jamie.

- Niestety, nie mogłem. Sędzia ustalił kaucję w wysokości pół miliona dolarów za każde z was. Próbowałem przekonać poręczyciela, żeby wziął GPS pod zastaw kaucji. Ale nawet pobieżne sprawdzenie finansów korporacji pokazało, że bilans wygląda fatalnie. Jeżeli chcecie wyjść za kaucją, musicie dać jako zabezpieczenie własne aktywa.

- Własne aktywa? - Cavanaugh najwidoczniej nie rozumiał.

- Twoją posiadłość w Jackson Hole - wyjaśnił William.

- Dolina w większości należy do rządu, jedynie cztery procent mają prywatni właściciele, dlatego ceny ziemi na tym terenie rosną niebotycznie. Nawet bez zabudowań twoje ranczo jest warte kilka milionów dolarów.

Cavanaugh odetchnął tak, że zabrzmiało to niemal jak jęk, ale nie na wieść o wartości swojego terenu - nagle uświadomił sobie, co mu grozi.

- Carl próbował nas zabić. Spalił nasz dom. Zniszczył moją firmę. Przez niego prawdopodobnie wylądujemy w więzieniu, a w konsekwencji stracę licencję ochroniarza.

- Więzieniem się nie przejmuj - odparł William. - Mosley was aresztował, bo ma szansę zostać dyrektorem Biura. Reagując na to, że złamaliście prawo, pokazuje, że jest odporny na naciski, nie kieruje się osobistymi sympatiami i nie czyni wyjątków. Ale wielu ludzi jest po twojej stronie. Tu masz wszystkie gazety ogólnokrajowe, jakie udało mi się dostać. „USA Today”, „The Washington Post”, „The New York Times”. Jesteś na pierwszej stronie, a co ważniejsze, w komentarzach redakcyjnych piszą o was z uznaniem jako o tych, którzy zapobiegli dużo większej katastrofie. Jesteś tematem wszystkich programów typu talk-show, a każda stacja telewizyjna wydzwania z prośbą o wywiad.

- Trudno udzielać wywiadów z aresztu - powiedział Cavanaugh. - Nie mówiąc już o tym, że ochroniarze nie powinni pokazywać swoich twarzy w programach telewizyjnych transmitowanych na cały kraj. To zabija naszą skuteczność, nie sądzisz? Zakładając, że w ogóle uda nam się wrócić do tego zawodu.

- Istota rzeczy sprowadza się do tego, że mnóstwo ludzi rozumie, jak trudnego wyboru musiałeś dokonać.

- Ważne jest to, co uważa sąd - wtrąciła Jamie.

- Co uważa ława przysięgłych - sprostował William. - Lester Beauchamp właśnie wraca z Europy. On ma wyjątkowe zdolności perswazji. Moim zdaniem najprawdopodobniej zostaniecie oczyszczeni z zarzutów.

- Kiedy? Do procesu może dojść za rok.

Zadzwoił telefon komórkowy Williama.

- Chwileczkę. - Prawnik wyjął komórkę z kieszeni i przycisnął do ucha. - William Faraday. - Słuchał. - Tak. - Słuchał dalej. - Tak. - Skupił się. - To bardzo szlachetnie z pańskiej strony... Zgadzam się, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, nie miałby pan okazji do okazania swojej szlachetności. Załatwi pan, co trzeba?... Dziękuję.

Schował telefon.

- Mówiąc językiem potocznym, wygląda na to, że macie fart.

- Co się stało?

- Znasz niejakiego pana Yamato?

- To jeden z liderów Światowej Organizacji Handlu. Próbowałem go namówić, żeby odwołał konferencję. Byłem w jego apartamencie hotelowym, kiedy wybuchł ten gaz łzawiący i bomby dymne.

- On twierdzi, że uratowałeś życie jemu i innym delegatom, bo gdyby doszło do konferencji, wszyscy by zginęli. - William błysnął w uśmiechu doskonałymi koronkami na zębach. - Mam nadzieję, że skoro namówił Światową Organizację Handlu do wpłacenia kaucji za was, jest to dobry prognostyk końca waszych problemów z prawem.

Cavanaugh pewnie by zaniemówił, ale musiał zapytać o coś, co nie przestawało go dręczyć.

- Czy ktokolwiek ma pojęcie, gdzie, do cholery, podziewa się Carl?

3.

Woda była zimna. Zapiaszczona. Tłusta. Zanurzony w błotnistej rzece Carl słyszał stłumione wibracje silników. Przebierał nogami w ciężkich buciorach, jak najszybciej starając się wytracić pęd, rozwiązać sznurówki i zrzucić buty. Nie wątpił, że Aaron jest tuż-tuż,

zapewne w wodzie, i ściga go nadal. Pracuj nogami! - przykazał sobie. - Machaj rękami! Płyń mocniej! Szybciej! Pościg za Raoulem, zabicie go, a potem ucieczka przed Aaronem wyczerpały Carla, czuł, że płuca odmawiają mu posłuszeństwa. Ból w klatce piersiowej świadczył o tym, że czym prędzej musi zaczerpnąć powietrza.

Nie! Nie poddam się! Nie pozwolę, żeby Aaron wygrał!

Jeszcze bardziej zażarcie zamachał rękami, przedzierając się w mętnej wodzie i czując, jak prąd działa na jego korzyść. Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt jeden, pięćdziesiąt dwa, odliczał w duchu. Musiał odpłynąć jak najdalej i jak najszybciej. Sześćdziesiąt, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dwa. Kręciło mu się w głowie. Mimo zamkniętych oczu widział wirujące plamy. Siedemdziesiąt jeden. Kiedyś płynąłem pod wodą przez minutę czterdzieści pięć sekund, przypomniał sobie. Aaron to widział. Wie, jaki jestem silny, jak daleko potrafię...

Jego umysł nie był w stanie dłużej zapanować nad ciałem. Mimo że ze wszystkich sił zmuszał płuca do posłuszeństwa, one domagały się powietrza.

Gorączkowo, słysząc coraz głośniejsze wibracje, odbił się w górę, nałykał wody i zaniósł się kaszlem, gdy wyskoczył nad powierzchnię. Tuż obok przepłynęła barka, omal się z nią nie zderzył. Błyskawicznie zaczerpnął powietrza i zanurkował; wierzgając nogami, kierował się na drugi brzeg. Jeszcze raz musiał się wynurzyć, odetchnąć i znów zejść pod wodę. Nagle jego dłonie utknęły w mule. Nieznacznie wystawił głowę nad powierzchnię, zamrugał, strząsając z oczu brudną wodę, i omal nie krzyknął z radości na widok przycumowanych statków. Nabrzeże.

Widzisz, Aaronie, wciąż jeszcze stać mnie na taki wyczyn!

Na brzegu kręciło się jednak zbyt wielu ludzi, za duże ryzyko, że ktoś go zauważy.

Wieści o ataku w centrum miasta musiały się rozejść błyskawicznie. Człowiek gramolący się z rzeki wzbudziłby powszechną ciekawość, ktoś zawiadomiłby policję. Mogliby go osaczyć, zanim znajdzie jakąś kryjówkę. Lepiej zostać na miejscu, ukryć się pod mołem, za słupami przy samym brzegu, gdzie nikt go nie zobaczy. Nad głową Carla z warkotem leciał śmigłowiec. Obok przepłynęła łódź Straży Przybrzeżnej. Wstrzymał oddech i zanurzył się pod wodę.

4.

Po zapadnięciu ciemności, kiedy głosy i tupot kroków oddaliły się od nabrzeża,

przesunął się między palami, wsłuchał w odgłosy, obejrzał nieliczne szczegóły, jakie mógł dojrzeć nad sobą, wdrapał się na ubity wał i ukrył w cieniu krzaków.

Nie widząc nic niepokojącego, przemknął chyłkiem obok magazynu. Martwił się, że zostawia za sobą mokry ślad, ale ten był coraz mniejszy w miarę, jak wieczorna bryza suszyła jego ubranie. Dygocząc, zabijał ręce. Nagle usłyszał czyjeś głosy i dał nura za śmietnik. Kiedy się oddaliły, okrążył jaskrawe światła, gdzie tylko się da, wpełzając w mrok i marząc o ciemności.

O pierwszej w nocy jego ubranie wyszło na tyle, że mógł wyjść na ulicę bez obawy, że będzie się rzucał w oczy. Krótko obcięte włosy wyglądały już tak samo jak przed zanurkowaniem do wody. Nie da się ukryć, że był brudny i roztaczał zapach błota z rzeki, ale nie różnił się od wielu bezdomnych, których mijał po drodze. W całodobowym sklepie z alkoholem kupił brandy o smaku miętowym. Wszedł w zaułek, gdzie pod ścianą leżało kilku obdartusów. Kiedy się przysiadł, pogrozili mu pięścią.

- To nasze miejsce!

- Masz. Jestem chory, nie mogę już pić.

Podał brandy najbardziej agresywnemu z nich. Kiedy przywódca gołnął sobie jak należy, pozostali zaczęli się przepychać, sięgając po flaszkę.

Tymczasem Carl znalazł sobie miejsce przy końcu zaułka, obok śmietników.

Oślonięty z boku i z tyłu ścisnął nóż pod koszulą; pistolet stracił w wodzie. Ze znużeniem patrzył, jak jego kompani wychylają butelkę do dna i zlegają pod ścianą. W końcu się zdrzemnął, chociaż kilkakrotnie budziły go jakieś hałasy.

Miał dużo czasu na przemyślenia. Podczas tej misji otrzymał już dwa przelewy po pięćset tysięcy dolarów każdy, a kolejny milion miał dostać po wykonaniu zadania. Do tego dochodziły znaczne wydatki na założenie obozu i przeloty po całym kraju w poszukiwaniu rekrutów, a także sprowadzenie ich do Nowego Orleanu - pracodawcy wypłacili mu pieniądze na pokrycie tych kosztów.

Przedstawił im szczegółowe, precyzyjne rozliczenie. Był przecież pryncypialny, chociaż kusilo go, żeby ich naciąć; ale ci ludzie budzili taki postrach, że nie warto było ryzykować. W zaokrągleniu koszty dwuletniego planowania i realizacji wyniosły trzy miliony dolarów plus jego dwumilionowe honorarium.

Niebagatelna suma, nawet dla ludzi czerpiących większość dochodów z handlu narkotykami. Pracodawcy kilkakrotnie przypominali mu, że ich inwestycja musi się opłacić. Za każdym razem zapewniał, że pójdzie jak z płatka, na dowód wyliczając postępy, jakie poczynił.

Nie będą zachwyceni, pomyślał.

Nie wpakowałbym się w to, gdybym nie wierzył, że ci ludzie pozwolą mi wydać zarobione pieniądze, myślał dalej. Byłem pewny, że nadal zechcą mnie zatrudniać. Byłem też pewny, że uda mi się wymknąć z Nowego Orleanu i używać życia na południu Francji. Przecież miałem być anonimowy. Ale przez ciebie, Aaronie, wszystko wzięło w łeb. Teraz wszędzie będą mnie ścigać.

Słońce już wstało, lecz Carl nie ruszał się z miejsca. Odszedł dopiero o dziewiątej rano, gdy jego spragnieni alkoholu kumple wytoczyli się z zaułka. Musiał dokładnie przemyśleć każdy ruch, rozważyć każdą decyzję ze wszystkich stron.

Nigdy nie ruszał się bez tysiąca dolarów w dwudziestkach ukrytych w pasie, chwilowo nie musiał więc martwić się o pieniądze. W dyskoncie sprawił sobie nierzucające się w oczy ubranie. Kupił buty do biegania. Zjadł dwie kanapki.

Kiedy kupował je na wynos, zobaczył w automacie z gazetami „Times Picayune”. Całą pierwszą stronę poświęcono atakowi. Siedząc na ławce w ustronnym miejscu, przejrzał gazetę i znalazł swój dokładny rysopis. Nie mieli jeszcze zdjęcia, ale to tylko kwestia czasu. Brockman usunął jego akta z bazy danych GPS, więc fotografia mogła pochodzić jedynie ze źródeł wojskowych.

A skoro informacje o Delta Force są niejawne, minie sporo czasu, zanim biurokracja w Pentagonie je odtajni. Zdjęcie będzie go przedstawiało w mundurze, młodszego i chudszego - różnic wystarczy, żeby nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Gazeta rozpisywała się na temat Aarona i jego żony. Gorzką satysfakcję sprawił Carlowi fakt, że dziennikarz użył prawdziwego nazwiska Aarona i ujawnił, że tajemniczy „Cavanaugh” to pseudonim, pod którym występował w branży ochroniarskiej.

Jednak największej satysfakcji dostarczyła Carlowi informacja, że Aaron i jego żona zostali aresztowani. W artykule podano zarzuty.

A więc te hotele to była twoja robota, pomyślał z zaprawionym złością podziwem. Sprytne zagranie, Aaronie. Tylko że teraz ty siedzisz za kratkami, a ja jestem na ulicy. Założę się, że według ciebie to jest postawione na głowie. Ale to dopiero początek. Tobą zajmę się później, stary kumplu. Na razie muszę rozwiązać kilka innych problemów.

Torba ucieczkowa. Zawsze miej w zanadrzu torbę ucieczkową. Carl miał jedną w furgonetce, którą porzucił, ale jeżeli schwymano i przesłuchano członków jego grupy, to władze już o niej wiedziały. A nawet jeśli nie, to do tej pory na pewno sprawdzono wszystkie pojazdy zostawione na noc w okolicy centrum konferencyjnego. Nie odważyłyby się tam wrócić.

Zawsze miej plan awaryjny. Nie mógł skorzystać z porzuconego w obozie samolotu. Drugą torbę uciezkową miał w miejscu, które w tej chwili było dla niego niedostępne - na dworcu autobusowym w Nowym Orleanie. Teoretycznie powinno to działać bezbłędnie. Bierz torbę. Kup bilet. Wynoś się z miasta. Teraz jednak przyjął za pewnik, że władze obserwują dworce autobusowe, lotnisko, dworzec kolejowy oraz wypożyczalnie samochodów, szukając ludzi odpowiadających jego rysopisowi.

- Hej - zagadnął muzyka grającego na ulicy przed dworcem. - Chcesz zarobić pięćdziesiąt dolców?

Facet - chudy gitarzysta z otwartym futerałem przed sobą, w którym leżało kilka dolarów - przestał zawodzić nosowo *The City of New Orleans*.

- A niby co miałbym ci zrobić? Laskę? - zapytał. - Wypad, człowieku.

- Bardzo zabawne. Nie, ja ci proponuję uczciwy interes. Chcę, żebyś mi coś załatwił. Na dworcu autobusowym. Zajmie ci to góra pięć minut.

- A dlaczego sam nie możesz sobie tego załatwić?

- Powiedzmy, że sto dolarów. - Carl wyciągnął pieniądze.

- A jeśli wpakuję się tam w kłopoty?

- Widzę, że nie potrzebujesz gotówki. - Carl się odwrócił.

- Moment - rzucił niechlujny grajek. - Co miałbym ci załatwić?

- To. - Carl pokazał mu klucz do skrytki. - Powiem ci, gdzie jest ta skrytka, żebyś nie musiał łązić i jej szukać. Pięć minut. Wchodzisz, wychodzisz. I przynosisz mi to, co jest w skrytce.

- Za stówkę, zgadza się?

- Powiedziałem sto dolarów? Pomyliłem się.

- Drań. Cholera, wiedziałem, że to za dobre, żeby było...

- Myślałem o dwustu dolarach.

- Żarty se pan robisz?

- Sto teraz. A drugie sto, kiedy przyniesiesz mi to, co znajdziesz w skrytce.

- A co to jest...

- Teczka.

W oczach faceta pojawił się błysk.

- Chcesz się założyć? - zapytał Carl.

- Założyć? O co?

- Że wiem, co sobie myślisz. Kombinujesz, że skoro jestem gotów zapłacić za tę teczkę dwieście dolarów, to jest w niej coś cennego. I masz rację. Zawiera wiele cennych

rzeczy. Wobec tego zamierzasz wziąć tę stówkę, a potem ukraść teczkę. W końcu skoro sam nie chcesz się pokazywać na dworcu, to znaczy, że nie pójdziesz z tym na policję. Mam rację?

Z twarzy grajka biła podejrzliwość.

- Z grubsza tak.

Carl chwycił go za rękę, w której nie trzymał gitary. A kiedy facet był unieruchomiony, wyciągnął mu portfel z tylnej kieszeni spodni.

- Co jest! - warknął muzyk, szamocząc się.

- Stul pysk, bo ci złamię gitarę. - Carl obejrzał prawo jazdy. - No proszę, Kenny Barrington. - Odczytał na głos adres, a potem wyjął zdjęcie młodej kobiety. - Ładna. To twoja dziewczyna?

Grajek milczał.

- Czteryście dolarów, Kenny. Połowa teraz, połowa kiedy wrócisz z teczką. Jeżeli nie zobaczę cię tu z powrotem za pięć minut, następne nasze spotkanie to będzie najbardziej bolesna noc w twoim życiu. I w życiu twojej dziewczyny. Układ stoi?

- Eee...

- Trzymaj, Kenny. Tu masz dwieście dolarów i klucz. Popilnuję ci gitary. Spokojnie, przyjacielu. To łatwy szmal.

Kilka minut później, kiedy muzyk wrócił z teczką w ręku, Carl obserwował go z oddali. Grajek rozejrzał się zaskoczony, a potem zerknął na czarnego chłopca siedzącego obok jego gitary.

Carl wyobrażał sobie, co mu powiedział dzieciak.

„Ktoś mi dał dziesięć dolców, mam przekazać, żeby pan poszedł tam do Starbucksa i zamówił kawę”.

Jeżeli muzyk zawiadomił policję, że jakiś facet mu zapłacił czterysta dolarów za przyniesienie teczki ze skrytki, Carl zorientuje się, że ktoś go śledzi.

Ale nikt za nim nie szedł. Gdy grajek wszedł z gitarą i teczką do Starbucksa od frontu, Carl dostał się tam bocznym wejściem, wziął teczkę, dał mu pozostałe dwie stówki i rzucił na pożegnanie:

- Miło spotkać uczciwego człowieka.

W jednym z pięknych nowoorleańskich parków Carl popatrzył na przejeżdżającego rowerzystę, skinął głową kobiecie z wózkiem spacerowym i uśmiechnął się do dzieci na huśtawkach, jednocześnie otwierając zamek teczki. Ciemnobrązowa, nie rzucała się w oczy. Wsunął rękę do środka.

Namacał pięć tysięcy dolarów, pistolet z zapasowym magazynkiem, pięćdziesiąt sztuk amunicji, nóż, małe rolki taśmy izolacyjnej, fałszywy dowód tożsamości i inne niezbędne rzeczy. Dotknął telefonu komórkowego. Jego stary aparat uległ zniszczeniu w rzece. Wyciągnął nową komórkę, zamknął teczkę i napawał się miłym porankiem.

Nie mógł jednak odkładać swoich spraw w nieskończoność. Wybrał numer na telefonie z funkcją kodowania rozmów i czekał. Po drugim sygnale ktoś odebrał, ale nie odezwał się, prawdopodobnie nie wiedząc, jakim językiem się posłużyć.

- Tu Bowie - powiedział Carl.

- Rozczarowałeś nas.

Carl poczuł ucisk w piersi.

- Nastąpiły nieprzewidziane komplikacje. Nic nie mogłem na to poradzić.

- Przyjąłeś od nas pieniądze, ale nie uzyskałeś rezultatów.

- Są pewne rezultaty. Misja nie skończyła się całkowitą porażką.

- Tłumaczysz się jak dziecko.

Mięśnie Carla stwardniały z gniewu.

- Sytuacja była wyjątkowa. Następnym razem osoby, która spowodowała te kłopoty, nie będzie już wśród nas.

- Twojego przyjaciela? Gdybyśmy to jego mogli wynająć, misja by się powiodła.

Carl ugryzł się w policzek.

- Zwrócisz honorarium, które już ci wypłaciliśmy - usłyszał. - Milion dolarów.

Przelewem. Do jutra w południe.

- Oczywiście.

- Zwrócisz również koszty, które ponieśliśmy na przygotowania i wydatki.

- Pan wie, że wydałem te pieniądze. Skąd mam wziąć trzy miliony dolarów?

- Może od pańskiego przyjaciela - podsunął cierpko rozmówca. - Musimy się spotkać.

Żeby omówić to, co się stało.

Nie wyszedłbym żywy z tego spotkania, pomyślał Carl.

- Hm, w tej chwili to dość skomplikowane. Władze mnie ścigają. Próbuję się wydostać z Nowego Orleanu.

- Nie mówiłem, że dzisiaj. To niemożliwe. Właśnie lecę na Filipiny.

- I uważa pan, że bezpiecznie można rozmawiać o tym z samolotu?

- To prywatny odrzutowiec. Ląduję za godzinę. Kiedy znajdzie pan sobie bezpieczne miejsce, niech pan się znowu odezwie. Powiem, gdzie się spotkamy.

Carl odniósł wrażenie, że spada, jakby pod jego stopami otworzyła się zapadnia.

Kiedy tylko dokonam przelewu pieniędzy, zaprosi mnie na spotkanie i zabije.

Prawdopodobnie własnoręcznie.

- Jest pan w samolocie? Czy dla zabicia czasu próbuje pan się domyślić, jak otworzyć tajemny nóż, który panu dałem?

- To kolejne z rozczarowań, jakich mi pan przysporzył. Pański śmieszny nóż nie działa. Sprawdziłem wszystkie możliwe kombinacje.

- Ależ oczywiście, że działa. Ma pan go przy sobie?

- W kieszeni.

- Na górnej tarczy proszę przekręcić człowieka na księżycu na godzinę drugą. Na dolnej proszę ustawić strzałkę na rzymską cyfrę „X”.

- Już tego próbowałem! Nie zadziałało!

- Proszę spróbować jeszcze raz.

- To samo! - rzucił zniecierpliwiony rozmówca. - Nic!

- A czy zwolnił pan zatrzask?

- Jaki zatrzask?!

- Schowany z tyłu rękojeści. Widzi pan taki mały haczyk?

- Nic pan o nim nie wspominał. Ledwo go widać - poskarżył się człowiek po drugiej stronie.

- Proszę go pociągnąć.

- Oby tym razem...

Połączenie zostało przerwane.

6.

U wybrzeży Filipin młoda para spacerowała na pokładzie statku wycieczkowego. Trzymając się za ręce, podziwiali wspaniały blask gwiazd.

- W Filadelfii czegoś takiego nie zobaczysz - powiedział mężczyzna. - Zanieczyszczenie powietrza w mieście ogranicza...

- A to co? - przerwała mu kobieta, wskazując palcem.

- Rany boskie! - rzucił mężczyzna.

Jedna z gwiazd eksplodowała. Rozkwitła jak sztuczne ognie na obchodach czwartego lipca. Płonące szczątki spadały do wody.

Kilka sekund później przetoczył się nad nimi grzmot wybuchu.

7.

- Nie waż się mówić, że nóż, który wykonałem, jest śmieszny - powiedział Carl.

Zamknął klapkę telefonu, poczekał, aż jego serce przestanie tak łomotać, po czym obrzucił melancholijnym spojrzeniem dzieci bawiące się na huśtawkach.

Zdetonowanie ładunku wybuchowego ukrytego w nożu niczego nie załatwiało.

Miejsce śniadego mężczyzny zajmą inni i oni również będą się domagać zwrotu pieniędzy. Skąd miałby wziąć tyle milionów dolarów? A kiedy nie dostaną przelewu, zaczną naciskać na spotkanie. Tego musi się wystrzegać za wszelką cenę. Od tej pory już przez całe życie będzie musiał się ukrywać i uciekać.

Nie, wysadzenie tego samolotu zdecydowanie nic nie załatwiło, pomyślał. Ale niewątpliwie dostarczyło mi nieziemskiej satysfakcji. Może Aaron miał rację.

Może potrzebuję się jeszcze podszkolić w kwestii opanowania.

Dzieci. Nie mógł oderwać od nich wzroku.

I jak, Aaronie, wspaniale byłoby znów być dziećmi, co? Życie znowu byłoby takie proste.

Gra. Teraz liczyła się wyłącznie gra. Wziął gazetę, którą wcześniej położył obok siebie. Jeszcze raz przeczytał artykuł o Aaronie i jego żonce, po czym zajrzał do działu ogłoszeń drobnych. Okoliczne lotniska, dworce kolejowe, autobusowe i wypożyczalnie samochodów były już pod nadzorem. Ale istniały inne sposoby na wydostanie się z miasta.

8.

- Silnik pracuje trochę nierówno - zauważył Carl.

- Hej, a czy ja mówię, że nie wymaga regulacji? Uwzględniłem to w cenie.

- A co ze zmianą oleju, przeglądami technicznymi i tak dalej?

- Ostatni był robiony cztery miesiące temu. A potem urodziły się bliźniaki. Haruję na dwa etaty, żeby starczyło na rachunki, i jestem tak wykończony, że od tej pory nim nie jeździłem. A tak po prawdzie nie jeździłem już kilka miesięcy przed przyjściem bliźniaków na świat. Chyba się robię za stary na taką dziecinadę.

- E tam, człowiek nigdy nie jest za stary, zawsze jest wiecznym chłopcem.

- Powiedz pan to mojej starej.

- No cóż, jeżeli naprawdę chce pan go sprzedać...

- Muszę. Już nie mam tej drugiej roboty. Dlatego zastał mnie pan w domu. Fabryka, w której pracowałem na dziennej zmianie, zwinęła interes i przeniosła się do Meksyku. Naprawdę potrzebuję forsy. Ale jak już mówiłem przez telefon, czeków nie przyjmuję.

- Trudno się dziwić. Ostrożności nigdy nie za wiele. Proszę, trzy tysiące dolarów w gotówce. Pan tylko musi podpisać umowę kupna-sprzedaży, a ja sam się zajmę przerejestrowaniem.

- Trudno mi się z nim rozstać.

- Może pan być pewny, że będę o niego dbał.

- Dzięki.

- A ma pan przypadkiem kask?

- Leży gdzieś w garażu. Żona mi go kupiła, ale nigdy go nie wkładałem. Czuję się w nim jak w klatce.

- Szkoda zdrowia. Wie pan, grunt to bezpieczeństwo.

- Przyzwyczajony z pana gość. Wiesz pan co, dorzucę panu ten kask i okulary za friko.

- Nie, tak nie można. Oho, chyba bliźniaki się obudziły. Sam pan mówił, że pieniądze się przydadzą. Nie chcę pana wykorzystywać. Proszę, jeszcze pięćdziesiąt dolarów.

- Wielkie dzięki.

Po chwili, uzbrojony w kask i okulary, Carl odpalił starą yamahę i odjechał z tej ubogiej dzielnicy.

Było piętnaście po dwunastej. Słońce grzało przyjemnie. Podczas jazdy motocyklem owiewał go kojący wiatr. Od lat nie jeździł na motocyklu, a teraz zastanawiał się, dlaczego przestał... Ta swoboda ruchu, wolność, ta niezależność. Poza tym na motocyklistów nikt nie zwraca uwagi, o czym świadczy stale rosnąca liczba wypadków, w których giną pod kołami samochodów. No chyba że ktoś nosi skóry i łypie spode łba jak Anioły Piekieł.

Czując przyjemne wibracje silnika między nogami, Carl minął wóz policyjny.

Patrzył na wprost, skupiony na ruchu, i nie przekraczał dozwolonej prędkości, więc

był pewien, że nie zainteresuje gliniarzy. Okulary i kask świadczyły o tym, że dba o bezpieczeństwo i przestrzega prawa.

Znalazł wjazd na autostradę międzystanową 10 i skręcił na zachód, omijając jezioro Pontchartrain. Przewód wody wywarł na nim należyte wrażenie.

Dojechał do międzystanowej 55, skręcił na północ i wkrótce minął jezioro Maurepas - kutry, fale, działający na wyobraźnię zapach wody, poczucie wolności. Jadąc w sznurze samochodów, napawał się każdą chwilą i ani się obejrzał, a pokonał sto trzydzieści kilometrów. Nagle znalazł się w małej miejscinie Hammond w Luizjanie, która z jego punktu widzenia miała jedną wielką zaletę - stację kolejową. Wiedział o tym, bo jego plan awaryjny wymagał znajomości połączeń kolejowych z Nowego Orleanu, podobnie zresztą jak autobusowych.

Zapytał o drogę na stację, lecz potem uznał, że jeśli obserwują dworce w Nowym Orleanie, to prawdopodobnie stacje w najbliższych miastach również mogą być obstawione przez policję. A poza tym te sto trzydzieści kilometrów minęło jak z bicza strzelił. Zajrzał więc do restauracji dla zmotoryzowanych na hamburgera, frytki i coca-colę. Smakowały równie wspaniale jak wtedy, gdy jeszcze był dzieckiem. Potem wrócił na autostradę 55 i pojechał dalej na północ.

Godzinę później, po przekroczeniu granicy stanu Missisipi, poczuł się mniej zagrożony, chociaż nie łudził się, że pilne i szeroko zakrojone polowanie na niego się skończyło. Następna stacja kolejowa znajdowała się trzydzieści kilometrów dalej, w kolejnej małej miejscinie o nazwie McComb. Ale i tutaj instynkt wysłał mu znaki ostrzegawcze. Za mała stacja. Zbyt łatwo można wpaść komuś w oko. Była czwarta po południu. Zmęczenie robiło swoje, lecz nie mógł odpocząć, dopóki nie znajdzie bezpiecznego azylu. I jedzenia. Apetyt dopisywał mu nagle jak nigdy. Ale nie miał czasu.

Kolejne dziewięćdziesiąt minut zajęła mu jazda do wielkiej stacji kolejowej w Jackson w stanie Missisipi. Dokładnie starł z motocykla odciski palców i zostawił go w bocznej uliczce kilka przecznic od stacji. Do północy motocykl zniknie bez śladu i nikt go z nim nie powiąże.

Bez pośpiechu, żeby nie zwracać na siebie uwagi, wszedł do sklepu samoobsługowego. Starając się trzymać tyłem do kamery monitoringu, kupił szampon, pastę i szczoteczkę do zębów, maszynkę i piankę do golenia oraz paczkę chusteczek higienicznych. Z trudem hamując niecierpliwość, ogolił się w łazience na stacji kolejowej, żeby wyglądać na tyle schludnie, na ile to możliwe. Wszedł do ubikacji, zamknął za sobą drzwi, a potem wepchał sobie chusteczki pod górną wargę i policzki, zmieniając profil twarzy - teraz

wydawała się wręcz nabrzmiała, a nie zapadnięta, jak go opisywano w gazetach.

Przy kasie biletowej nachylił się, na pozór zmniejszając swój wzrost.

- Na wieczorny do Chicago - powiedział.

- Ledwo pan zdążył. Na miejscu będzie pan jutro o dziewiątej rano.

- Znajdzie się może coś w sypialnym?

- Zobaczymy. Ehe. Został mi jeden przedział.

- Zdaje się, że to mój szczęśliwy dzień.

9.

- Wysoki Sądzie, moi klienci proszą o złagodzenie warunków zwolnienia za kaucją w ten sposób, żeby mogli opuścić Luizjanę i polecieć do Nowego Jorku. Muszą się bezwzględnie stawić w swojej korporacji, Global Protective Services, i dopilnować ważnych kwestii finansowych, które mogą postawić pod znakiem zapytania dalsze istnienie firmy. Uniemożliwienie moim klientom wypełnienia obowiązków służbowych spowoduje katastrofalne skutki, doprowadzi do ruiny zarówno ich, jak i setki pracowników. Pomimo wniesionych przeciwko niemu zarzutów pan Stoddard jest wzorowym agentem ochrony, który uratował życie wielu światowym osobistościom z najwyższych kręgów władzy, finansów i rozrywki. Wcześniej bronił Stanów Zjednoczonych jako członek elitarniej jednostki wojskowej Delta Force. Wysoki Sąd już wysłuchał, jakim szacunkiem darzą pana Stoddarda i jego żonę pan Yamato i inni członkowie Światowej Organizacji Handlu, którzy wpłacili kaucję. Moi klienci proponują oddanie paszportów do czasu rozprawy.

10.

Rytmiczny stukot kół na torach kolejowych stopniowo go ukoił. Tadam-tadam.

Tadam-tadam. Przez pół godziny Carl siedział przy małym stoliku w swoim przedziale. Nie wypuszczał pistoletu z ręki, spodziewając się, że w każdej chwili jacyś mężczyźni wyważą drzwi i wrzucą granaty hukowo-błyskowe. Opuścił żaluzję w oknie, potem jednak zaniepokoił się, że może nie zobaczyć czegoś ważnego. Podniósł ją więc, ale widział jedynie mijany krajobraz i coraz dłuższe cienie. Gdy serce przestało mu łomotać,

podszedł do umywalki w przedziale, wyjął chusteczki higieniczne z ust i wyszorował zęby (podczas misji choćby był nie wiadomo jak brudny, zawsze czuł się czysty, jeśli tylko miał okazję do umycia zębów). Potem umył włosy w umywalce i mokrym ręcznikiem starł z siebie ziemię i zapach rzeki, przez cały czas mając pod ręką pistolet i nie spuszczać oka z zaryglowanych drzwi.

Głód domagał się, żeby go zaspokoić. W sklepie kupił coca-colę, dwie kanapki z szynką i torbę chipsów ziemniaczanych. Chętnie by wziął więcej, lecz bał się, że ktoś go zapamięta, jeżeli do pozostałych zakupów doda za dużo jedzenia.

Tadam-tadam. Tadam-tadam.

Kanapki były czerstwe i bez smaku. Popił je ciepłą już coca-colą i zagryzł równie wyschniętymi chipsami. Tadam-tadam. Tadam-tadam.

Za oknem przesuwiał się krajobraz - niewyraźne w ciemności drzewa i wzgórze, jasne okna domów na farmach, a wreszcie blask oświetlonych miast. Zgasił światło, położył się na kuszetce z pistoletem i nożem pod ręką i wpatrzył się w sufit. Migały na nim mijane cienie. Na szczęście w końcu zasnął.

Nagle jednak tadam-tadam zwolniło. Zmiana rytmu go obudziła. Słyszając pisk hamulców, złapał pistolet i wyrzwał przez okno, lecz była to tylko mała stacja.

Jedyną osobą w zasięgu wzroku był pasażer, który właśnie zniknął w ciemnościach. Nie miał powodów do niepokoju.

Już miał się położyć z powrotem, gdy naraz zobaczył tablicę na ścianie dworca:

NEWBERN-DYERSBURG, TENNESSEE.

Odniosł wrażenie, że czyjaś ręka sięgnęła do jego niemal pustego żołądka i wykręciła mu bebechy. Wiedział, że biegnąca na północ trasa linii Amtrak prowadzi zachodnim skrajem Tennessee. Sto sześćdziesiąt kilometrów dalej na wschód leżało Nashville, gdzie ojciec Carla wywiózł rodzinę po tym, jak przez pijaństwo stracił pracę maklera w Iowa City.

W Nashville kłótnie i bicie były jeszcze gorsze. Pewnej nocy Carl zastał ojca nieprzytomnego przy kuchennym stole o trzeciej nad ranem. Światła się paliły.

Obok stała na wpół pusta butelka miętowej brandy. Mięta łagodziła skutki zapalenia żołądka wywołanego latami nadużywania alkoholu.

Carl wyjął chleb, musztardę, majonez, sałatę, szynkę i ogórki konserwowe, by wyglądało to tak, jakby ojciec chciał sobie zrobić kanapkę. Stary był tak zbetonowany, że ciche dźwięki go nie zbudziły. Carl posmarował jedną kromkę chleba majonezem i musztardą. Wziął ostry nóż i pokroił szynkę. Ścierką starł swoje odciski. A potem podniósł przez nią rękę ojca i odcisnął jego palce na butelkach, talerzach i folii, w którą był opakowany

chleb.

- Uch! - stęknął ojciec.

- Ciii! - szepnął Carl.

Dźwignął go i zataszczył od stołu do blatu z częściowo naszykowaną kanapką.

Włożył mu ostry nóż do prawej ręki i podciął nogi tak, żeby upadając na podłogę, ojciec musiał się nadziać na nóż brzuchem. A kiedy stary próbował jęczeć, zatkał mu usta rękami. Ojciec dygotał w coraz większej kałuży krwi, a potem znieruchomiał. Omijając krew na podłodze i uważając, żeby się nią nie poplamzić, Carl wrócił do łóżka. Tej nocy wyspał się jak nigdy.

Teraz też marzył o równie spokojnym śnie. Obserwując cienie falujące na suficie przedziału kolejowego, próbował wrócić pamięcią do czasów, gdy - jeśli kiedykolwiek tak było - życie układało się po jego myśli. Uznał, że był taki czas.

11.

Zrobiło się jasno. Mijali stacje kolejowe w Illinois. Champaign-Urbana. Kankakee. Homewood. Nazwy te przepelniały go goryczą. Następny przystanek: Chicago.

Zadzwoił ze swojej komórki.

- Bank Grand Cayman - usłyszał przyjemny damski głos.

- Chcę przelać dziewięć tysięcy dolarów na mój rachunek w Chicago.

Przezornie założył to konto dwa lata wcześniej na fałszywe nazwisko. Dziewięć tysięcy, a nie dziesięć, żeby nie przekraczać kwoty transakcji, które banki mają obowiązek zgłaszać władzom federalnym.

- Oczywiście. Poproszę o numer konta i hasło.

Carl wyrecytował numer z pamięci.

- Hasło brzmi: „sztylet”.

- Dziękuję panu. - Cisza się przedłużała. - Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć numer rachunku?

- Czy jest jakiś problem?

- Być może źle wstukałam.

Powtórzył numer.

- Przykro mi, według naszych danych na tym rachunku nie ma żadnych środków.

- Przecież powinien być milion dolarów!

- Niestety, konto jest puste.

- Proszę jeszcze raz sprawdzić ten numer. - Carl powoli podał dane.

- Tak, proszę pana, numer się zgadza, ale saldo tego konta jest zerowe.

Poczuł w żołądku kwas niestrawionych kanapek z ubiegłej nocy.

- A czy wcześniej były tam jakieś pieniądze?

- Owszem, tak jak pan wspomniał, milion dolarów. Przelano je do innego banku wczoraj po południu.

Carl przełknął gorycz w ustach.

- Dziękuję.

- Zawsze do usług.

12.

Cavanaugh po raz ostatni podziwiał wnętrze gulfstreama, więcej miał go już nie zobaczyć.

- Samolot i tak musi wrócić do bazy w New Jersey - powiedział William. - Koszt przelotu jest taki sam bez względu na to, czy jesteśmy na pokładzie, czy nie, więc dlaczego nie skorzystać z okazji?

- Nigdy nie przyszło mi do głowy zapytać, ile kosztuje latanie czymś takim.

- Cztery tysiące dolarów za godzinę.

- A my już kilka razy przelecieliśmy na drugi koniec kraju. Nic dziwnego, że firma idzie z torbami.

- Kiedy ochraniasz saudyjskiego księcia, wydatki zwracają się z nawiązką - rzekł William.

- Ale kiedy próbuję ratować własną skórę, wypada za drogo.

Potężne silniki zaszeptały, gdy odrzutowiec, przebijając się przez chmury, osiągnął wysokość przelotową.

- Niecały tydzień temu nie chciałeś mieć nic wspólnego z Global Protective Services - zauważyła Jamie. - A teraz nie możesz znieść myśli, że stracisz firmę.

- Owszem - przyznał Cavanaugh z goryczą. - Z powodu Carla.

13.

Pociąg przyjechał do Chicago spóźniony o dziesięć minut. Carl zgarbił się i wmieszał w tłum wysiadających pasażerów w wilgotnej, mrocznej hali. W lewej ręce niósł teczkę, a prawą miał w pogotowiu, żeby w każdej chwili móc sięgnąć po broń. Usta i policzki wypchał kawałkami ręcznika, żeby zmienić rysy twarzy.

Uszy starannie zatkał strzępkami chusteczek higienicznych.

Trzymając się w gęstym tłoku, wszedł do jasno oświetlonego terminalu; zatyczki w uszach tłumiły panujący tam gwar. Spiął się na widok dwóch policjantów uważnie przyglądających się pasażerom. Zatrzymali wysokiego, chudego mężczyznę nieco podobnego do Carla i zaczęli go wypytywać.

Carl niczego nie dał po sobie poznać. Zgarbiony, z obojętną miną i wzrokiem utkwionym w dal szedł przed siebie w tym samym rytmie - ot, kolejny zombie.

Spokojnie, pomyślał. Nic ci nie grozi.

Specjalnie zwracał się do siebie w drugiej osobie, żeby oderwać się od bieżących kłopotów i opanować emocje.

Gdyby sądzili, że naprawdę przyjechałeś tym pociągiem, witałaby cię tu mała armia, a nie garstka gliniarzy, zapewniał sam siebie.

Podchodząc do wyjścia, zerknął na kiosk z gazetami, ale zaraz znów spojrzął przed siebie, jakby prasa go nie interesowała, mimo że jego zdjęcie było z czołówek „Chicago Tribune”, „Chicago Sun-Times” i „USA Today”.

Nie była to fotografia z wojska. Nie był młody ani w mundurze. Zdjęcie, wykonane niedawno, przedstawiało go w tłumie ludzi na ulicy. W Nowym Orleanie. Kamera monitoringu złapała go w chwili, kiedy kogoś gonił. Raoula.

Cyfrowo powiększone i oczyszczone, zatrważająco wyraźne zdjęcie pokazywało go z profilu. Nie, nie tylko z profilu. Widać było trzy czwarte jego twarzy.

Klnąc w duchu, zobaczył następnego policjanta obserwującego tłum.

Spokojnie, powtórzył sobie. Po tym zdjęciu nikt cię nie rozpozna. Nie widać całej twarzy, a poza tym kamera patrzy z góry. Wszystko będzie dobrze.

No, jasne. Nie mógł już dłużej mówić o sobie w drugiej osobie. „Ty” zmieniło się nagle w „ja”. Ścigają mnie sukinsyny, które mnie wynajęły, i wszystkie służby policyjne w kraju. Wywiadowcze zresztą też. Mam pięćdziesiąt sztuk amunicji i dwa tysiące dolarów. I co ja mam robić, do ciężkiej cholery?

Grać dalej.

Do końca życia.

W wyjściu przed nim pojawił się policjant. Carl szedł dalej, za plecami jakiegoś biznesmena. Na jego widok policjant się wyprostował. Carl natychmiast sięgnął do kieszeni spodni i wyjął przedmiot, który wcześniej wziął z teczki. Mały pojemnik. W chwili gdy policjant rzucił coś do przypiętego na ramieniu mikrofonu, Carl wyciągnął zawleczkę z pojemnika i upuścił go za sobą. Słyszając metaliczny stukot, kilka osób się odwróciło.

Policjant wyciągnął broń, ruszył w stronę Carla i unióś rękę na znak, że ma się zatrzymać. Carl udawał, że go nie widzi.

- Stój! - krzyknął policjant. - Ani kroku dalej!

Jak na zawołanie pojemnik - granat hukowo-błyskowy - eksplodował. Carl odliczał sekundy do wybuchu, wiedział więc, kiedy zamknąć oczy. A mimo to i mimo że błysnęło za jego plecami, pałący blask przedarł się przez jego powieki. Wszystkich patrzących w tamtą stronę, w tym gliniarza, na pewno oślepiło. A huk ogłuszył wszystkich z wyjątkiem Carla, który zatkał uszy chusteczkami, chroniąc bębenki.

Ten podwójny atak zaskoczył policjanta, tak że zatoczył się do tyłu. Ludzie podnieśli wrzask, tratowali się nawzajem.

- Terrorysty! - ryknął Carl. - Bomba!

Panika narastała, wszyscy pędzili do wyjścia, a on razem z nimi. Nie walczył z naporem tłumu, przeciwnie - poddał mu się. W mgnieniu oka znalazł się na zewnątrz, pośród pędzących na złamanie karku ludzi.

14.

W centrali Global Protective Services na Manhattanie praca szła wartko jak zwykle, ale Cavanaugh wiedział, że to tylko pozory. Wraz z Jamie i Williamem wszedł do swojego gabinetu. Nikt obcy by się nie domyślił, że niecały tydzień temu było tu pobojuwisko po wybuchu bomby. Teraz, przy bliższym spojrzeniu, Cavanaugh zorientował się jednak, że pośpieszny remont był jedynie kosmetyczny - szkody ukryto, nie zlikwidowano ich. Dokładnie jak w całej korporacji, pomyślał.

- Nawet sobie nie wyobrażam, ile wynosi nasz czynsz.

- Pół miliona dolarów rocznie - odparł William.

- Nie do wiary, że firma tak długo utrzymała się na rynku.
- Dwie osoby z kierownictwa nie żyją, a trzecia jest na detoksie. - Jamie klapnęła na krzesło.
- Nie będzie łatwo rozmontować różne operacje - powiedział Cavanaugh. - Jamie, ty masz wykształcenie menedżerskie. Jak się do tego zabierzemy?
- Na początek zawiadomimy szefów filii zagranicznych i każemy im odwołać wszystkie przyszłe zlecenia. Potem będziemy negocjować wymówienie umów najmu biur i załatwimy, żeby inne agencje ochrony przejęły operacje w toku. Następnie...

15.

Nieprzyjemny październikowy wiatr zapowiadał nadejście zimy. Carlem wstrząsały dreszcze, zwłaszcza że dopiero co wrócił z ciepłego Nowego Orleanu. A jednak, idąc wzdłuż rzeki Chicago w spokojnym, niebudzącym podejrzeń tempie i udając, że podziwia widoki, za nic nie chciał ryzykować wyprawy do sklepu w celu kupna kurtki. Skoro jego zdjęcie trafiło do gazet, prawdopodobnie pokazują je także w telewizji. Szybko by się rozeszło, że widziano go w Chicago. Ludzie zaczęliby się baczniej przyglądać nieznanym.

Ta niefortunna sytuacja dała mu pojęcie o tym, jak się rysuje jego przyszłość - coraz mniej możliwości, coraz więcej nędzy.

Co mam robić, skoro przepadły moje pieniądze? Otworzyć sklep z alkoholem?

Cholera, i tak nie miałbym jak wydawać forsy, skoro nie mogę się nigdzie pokazać. Gdzie będę dziś spał? Nie zaryzykuję hotelu, nawet jakiejś obskurnej speluny. Lada chwila władze wyznaczą nagrodę. Mam się kryć w tym samym zaułku co dwa dni temu? Albo zadekować się w lesie?

Wejść do gry.

Zabaw się w chowanego.

Minął śmietnik, do którego ktoś wyrzucił gazetę. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, wyciągnął ją i przyjrzał się twarzy na pierwszej stronie.

Aaron, ty draniu, właśnie powinienem posuwać panienki na francuskiej Riwierze.

Z wściekłością przeczytał, że Aaron i jego żona wpłacili kaucję i zostali zwolnieni.

Z dziką przyjemnością dowiedział się, że Global Protective Services jest na skraju upadku. To tylko ułamek tego, na co zasłużyłeś, łajdaku! Aaronowi i jego żonie udzielono

zgody na wyjazd z Luizjany do Nowego Jorku, gdzie mieli rozpocząć proces likwidacji firmy.

„Gdybyśmy to jego mogli wynająć, misja by się powiodła”, powiedział śniady mężczyzna, zanim Carl wysadził go w powietrze.

A to się jeszcze okaże, pomyślał.

Mam się ukrywać do końca życia?

Aaronie, udowodnię ci, jaki jestem dobry.

Przed nim spał na ławce mężczyzna, obok stał rower. Facet miał niechlujną szczecinę na brodzie i potargane tłuste włosy. Ubrany był w podartą kurtkę i brudne dżinsy. W niedużym koszu z tyłu roweru w plastikowych torbach miał jeszcze więcej łachmanów. Od roweru do nadgarstka mężczyzny prowadził sznurek - system alarmowy.

Carl sprawdził, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Wyciągnął nóż z kieszeni, kciukiem otworzył ostrze i przeciął sznurek. Odprowadził rower poza zasięg słuchu śpiącego (rower nie miał przerzutki, więc nie terkotał tak jak te sportowe). Zatrzymał się na chwilę, by wyjąć z torby złachaną niebieską koszulę, a potem włożył ją na tę brązową, kupioną w Nowym Orleanie. Wsiadł na rower i odjechał. Podobnie jak motocyklista w okularach i kasku bezdomny obdartus na rowerze z całym nędznym dobytkiem w koszyku jest w zasadzie niewidoczny.

Wciąż miał przy sobie wyjętą z kosza na śmieci gazetę. Gdy uzna, że może się bezpiecznie zatrzymać, przejrzy ogłoszenia drobne i kupi sobie następny używany motocykl. Zawsze istniało ryzyko, że ktoś go rozpozna, ale na pewno w porę wyczuje niebezpieczeństwo i załatwi, żeby sprzedawca motocykla nikogo nie mógł zawiadomić. Nie miał już tyle gotówki, żeby sprawić sobie tak dobrą maszynę jak ta yamaha, którą porzucił w Missisipi, ale w końcu ten drugi motocykl też nie jest mu potrzebny na długo. Od celu dzieliło go zaledwie pięć godzin jazdy.

16.

Cavanaugh odwołał kolejne zlecenie, odłożył słuchawkę i czując, że w progu stanęła recepcjonistka, rzucił:

- Tak?

- Było do pana jeszcze kilkanaście telefonów.

Zmordowany spojrzął na zegarek. Minęła już piąta po południu, a musiał jeszcze

obdzwonić kilku klientów.

- Coś pilnego?

- Wszystkie wyglądają na pilne.

Jamie wstukiwała przy biurku kody do komputera, a William załatwiał przez telefon aukcję na gulfstreama.

- Jeden z dzwoniących jest szczególnie natarczywy - powiedziała recepcjonistka, trzymając listę. - Kontaktował się już osiem razy.

- Pewnie jakiś wkurzony wierzyciel. Jak się nazywa?

- Lance Sawyer.

Cavanaugh wyprostował się.

Jamie, która przysłuchiwała się tej wymianie zdań, zmarszczyła czoło.

- Czy nie tak nazywał się staruszek, który nauczył ciebie i Carla wykuwania noży?

Cavanaugh wyrwał listę recepcjonistce i wybrał zapisany numer.

- Co się dzieje? - zapytał zdumiony William.

Cavanaugh przełączył telefon na głośnik. Po drugiej stronie rozległ się tylko jeden sygnał, jego cichy dźwięk wypełnił pokój.

Natychmiast wszyscy troje usłyszeli głos mężczyzny:

- Witaj, Aaronie, jak leci?

Cavanaugh zacisnął pięści, pochylając się nad stołem konferencyjnym.

- Wyśmienicie.

- Oj, chyba nie. Czytałem w gazecie, że wczorajszą noc spędziłeś w pierdlu. Przykro mi słyszeć, że masz kłopoty.

- Powtórz to szczerze. - Cavanaugh patrzył, jak Jamie i William podchodzą do telefonu i słuchają łagodnego głosu płynącego z głośnika.

- Czy FBI próbuje namierzyć tę rozmowę, czy już nie jesteś w tak bliskich stosunkach z władzami?

- Prawdę mówiąc, Carl, tak bardzo chciałem z tobą pogadać, że zapomniałem ich zawiadomić.

- Prawda zawsze jest miła, chociaż w twoich ustach to rzadkość. Ale i tak połowę roboty mają już z głowy. Wiedzą, że jestem w Chicago.

- W Chicago?

- Nie oglądasz telewizji? Widziałeś Carl Duran show?

Jamie natychmiast podeszła do szafki i włączyła telewizor.

- Niestety, przegapiłem - odparł Cavanaugh.

- Szkoda, ma wielką oglądalność. Kupa akcji, dreszczyk emocji i tajemnice.

Telewizor nastawiony był na CNN. Reporter stał na dworcu kolejowym, wśród mijających go zdenerwowanych pasażerów. Na dole ekranu widniał napis: NA ŻYWO Z CHICAGO. Na ekranie pojawił się obraz z kamery monitoringu umieszczonej w rogu hali. Pasażerowie szli przez terminal. Powiększenie skupiło się na człowieku podobnym do Carla (choć miał pełniejsze policzki), który zmierzał do wyjścia. Nagle rzucił się na niego policjant. Ekran wypełnił błysk.

Nawet mimo przyciszonego dźwięku Cavanaugh usłyszał potężny wybuch. Tłum z krzykiem rzucił się do drzwi.

- Już oglądam - powiedział Cavanaugh. - Zgrabna robota.

- To wyjątkowa pochwała, Aaronie, skoro uważasz, że nikt ci nie dorównuje.

- Zawsze przyznawałem, że robisz lepsze noże i bez wątpienia pływasz lepiej ode mnie.

- Rany, ten nadmiar komplementów uderzy mi do głowy.

- Oddaj się w ręce władz, Carl.

- Akurat.

- Nie możesz się ukrywać w nieskończoność.

- Warto spróbować. Facet, który podkładał bomby pod kliniki aborcyjne, przeżył w lesie pięć lat.

- Zimą odmrażał sobie tyłek, a latem żywił się żołądziami i jaszczurkami.

- Owszem, stary kumplu, ale jego nie wyszkolono tak jak ciebie i mnie.

- Ja nie żartuję, Carl. Oddaj się w ręce władz. Mogę załatwić, żeby nic ci się przy tym nie stało.

- Fantastycznie! Doceniam, że tak się o mnie troszczysz.

- Możesz się z nimi targować. Daj im informacje o sukinsynu, który cię wynajął. Negocjuj taką odsiadkę, żeby była do przyjęcia.

- Chciałbym. Tylko że widzisz, ja nie mam nic do ujawnienia. Kontaktowałem się wyłącznie z jednym facetem. Nie zdradził mi niczego o swojej organizacji. Nie wiem nawet, jak się naprawdę nazywał.

- Nazywał?

- Już nie żyje. Jego samolot pechowo eksplodował. Aaronie, nie wciskaj mi kitu.

Obaj wiemy, że jeśli się poddam, władze wystąpią o karę śmierci. Na miłość boską, zginęło tysiąc ludzi. Wykończą mnie tak jak tego gościa, co wysadził budynek federalny w Oklahoma City. A taka perspektywa zupełnie mi się nie uśmiecha. Moja jedyna szansa to grać

dalej.

- Grać?

17.

Carl skłamał. Był już daleko od Chicago. Nowym motocyklem przejechał czterysta kilometrów na zachód i teraz siedział na ławce nad rzeką, patrząc, jak płytki strumień wije się między drzewami w kolorach jesieni, i rozmawiając przez telefon.

- Gra, Aaronie. To wszystko, co mi zostało. Zresztą zawsze tylko o to chodziło. - Smagnął go zimny wiatr. - Układ jest taki. Daję ci ostatnią szansę, żebyś mógł ze mną zagrać. Jutro w nocy. Tam gdzie zwykle. Ale jeżeli się nie zjawisz albo ściągniesz wsparcie, wkurzę się na ciebie jeszcze bardziej niż dotychczas. Jeżeli znowu mnie zdradzisz, to ja przyjdę po ciebie, ale tym razem bez ostrzeżenia. Miło będzie się spotkać z twoją śliczną żonką.

Carl usłyszał w słuchawce taki odgłos, jakby ktoś walnął pięścią w stół.

- Więc teraz grozisz mojej żonie?! - ryknął Aaron. - Ty kutasie złamany!

- Tak trzymaj, Aaronie.

Carl się rozłączył.

18.

Kiedy zapadła cisza, Cavanaugh odłożył słuchawkę i wyłączył głośnik. Serce łomotało mu z wściekłości. Po jakimś czasie uświadomił sobie, że Jamie i William gapią się na niego.

- Ostatnia szansa, żebyś mógł z nim zagrać. Jutro w nocy. Tam gdzie zwykle - powiedziała Jamie. - On cię wyzywa na pojedynek.

- Na to wygląda.

- Jeden na jednego.

- Chyba o to mu chodzi.

- Wiesz, o jakim miejscu mówił? - zapytał William.

Cavanaugh zastanowił się.

- Tak, sądzę, że wiem.

- Gdzie to jest?

Cavanaugh nie odpowiedział.

- Chyba nie myślisz poważnie o przyjęciu tego wyzwania? - naciskała Jamie.

- Tak bardzo go nienawidzę. Za to wszystko, co nam zrobił. Nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciał.

- Ale tego nie zrobisz - powiedziała.

- Słyszałaś go. Daje mi szansę, żeby go dorwać. Jeśli z niej nie skorzystam, to ciebie weźmie na celownik.

- Nie, jeżeli zadzwonisz do Mosleya i Rutherforda i wszystko im opowiesz - rzekł William. - Sprawić, żeby FBI znowu stanęło po twojej stronie, nie będzie łatwo. Każą otoczyć to miejsce, gdziekolwiek jest. I wszystkim zajmą się antyterrorysty.

- A jeśli nie dadzą rady? Miejsce, które moim zdaniem Carl ma na myśli, jest takie, że na wiele sposobów będzie mógł sprawdzić, czy go zdradziłem i ściągnąłem pomoc. Stamtąd jest zbyt wiele możliwości ucieczki. Mogę grać o swoje życie, ale nie o życie Jamie.

- A ja już nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie? Co będzie, jeśli on wygra?

- Zostawi cię w spokoju. Ale nie wygra.

- Czy kiedyś już cię pokonał?

- Byliśmy wtedy dziećmi.

- Teraz już nie jesteście dziećmi! Jeżeli FBI go nie złapie, razem będziemy ponosić konsekwencje. Ale nie pozwolę, żebyś używał mnie jako pretekstu dla zaspokojenia swojej nienawiści, zwłaszcza że przy okazji pewnie zginiesz.

Cavanaugh przyglądał jej się. W końcu powiedział:

- Williamie, zakładam, że łatwiej ci będzie negocjować osobiście niż przez telefon.

- Słuszna uwaga.

- Wobec tego jak najszybciej zorganizuj spotkanie z Mosleyem i Johnem. - Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer. A kiedy uzyskał połączenie, polecił: - Za godzinę gulfstream ma być gotowy do lotu... Sprzedaję? Nie, jeszcze nie.

19.

- Nie mogę wyjść ze zdumienia - oświadczył Mosley. Za oknami jego gabinetu błyszczały światła waszyngtońskiego Kapitolu. - Jestem wręcz w szoku. Zamiast pokazać

całemu światu, jaki z pana pistolet, postępuje pan zgodnie z procedurą.

- Zawsze starałem się robić to, co należy - odparł Cavanaugh.

- Jasne. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby uprzedził nas pan, zanim pan do niego zadzwonił, spróbowalibyśmy namierzyć rozmowę. Ale chyba zbyt wiele od pana wymagam. Powiedział, że „tam, gdzie zwykle”. Domyślałem się, że chodzi o farmę, na której stary uczył was wykuwania noży.

- Nie.

- Więc gdzie to jest?

Cavanaugh spojrzał na Williama.

- Czy jesteśmy umówieni? - upewnił się adwokat.

- Mecenasiu, ja nie wchodzę w układy.

- Nie prosimy o układ. Mój klient jest gotów współpracować w pełnym zakresie. Ale chce, żeby podczas procesu wzięto to pod uwagę.

- Pod uwagę? Pod uwagę co najwyżej weźmiemy fakt, że odmówił współpracy, jeżeli tak zrobi.

Obok Mosleya przy stole konferencyjnym siedział Rutherford. Nachylił się przyjacielsko do Cavanaugha.

- Co to za miejsce, Aaronie?

- Park w Iowa City. Na końcu ulicy, przy której mieszkaliśmy.

- Park?

- Willow Creek. Jako dzieci często bawiliśmy się tam z Carlem. Udawaliśmy żołnierzy z sił specjalnych unieruchomionych za liniami wroga. Chowaliśmy się w krzakach i pilnowaliśmy, żeby wrogowie... przechodnie w parku... nas nie zauważyli.

- Mów dalej, Aaronie.

- Potem zmieniliśmy zasady gry i udawaliśmy, że jesteśmy po przeciwnych stronach. Polowaliśmy na siebie z gumowymi nożami. Tak się wyrobiliśmy w ukrywaniu się, że czasami gra toczyła się przez cały dzień.

- Kto wygrywał? - zapytał Rutherford.

- Czasami ja, czasami Carl.

- Czyli zakłada pan, że zaprasza pana na ostatni pojedynek? - spytał Mosley.

- Tak.

- Zamiast uciekać?

- Może uznał, że nie da rady uciec. I doszedł do wniosku, że na koniec warto się zabawić.

- To pewne, że nie zdoła uciec - oświadczył Mosley. - Jest pan pewien na sto procent, że przecucie pana nie myli?

- Przecucie nie ma tu nic do rzeczy. Gdyby on nie był pewny, że to jedyne miejsce, jakie mi przyjdzie na myśl, podałby konkretną lokalizację. Miejsce, gdzie zwykle toczyliśmy rozgrywki między sobą.

- Oby pan miał rację - rzekł Mosley z naciskiem. - Jeżeli jego strategia jest taka, żeby posługując się panem, przegonić nas tam i z powrotem, a pan dał się na to nabrać, to sprawi mi tylko kłopot, a wtedy ja narobię kłopotów panu. Powiedział, że jutro w nocy, tak?

Cavanaugh skinął głową.

- Efekty uboczne tego, co wydarzyło się w Nowym Orleanie, są tak skomplikowane, że prawdopodobnie nie uda mi się wyrwać. W tej chwili oczekują mnie właśnie na kolejnym spotkaniu. - Mosley wstał i spojrzał na Rutherforda. - To pan jest szefem antyterrorystów. Niech pan dopilnuje, żebyście złapali tego gościa. Zakładając, że sobie z nas nie zakpił.

Wziął teczkę i wyszedł z pokoju.

Wrabia Johna na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, pomyślał Cavanaugh.

- John, twoja przyjaźń wiele dla mnie znaczy - powiedział. - Ja naprawdę uważałem, że robię to, co trzeba. Wciąż jestem tego zdania. Nigdy nie chciałem cię narazić na utratę stanowiska. Nie sądziłem, że wyjdzie na to, że nadużyłem twojego zaufania.

- Nie zawsze wszystko idzie po naszej myśli - odparł Rutherford.

- Przepraszam.

Miał wrażenie, że w gabinecie jest zimno.

- Jutro w nocy? - zapytał Rutherford.

- Tak, ale on będzie tam znacznie wcześniej.

- Czy w tym twoim szpanerskim samolocie znajdzie się miejsce dla jednostki antyterrorystycznej FBI? Ale tym razem nie będziesz miał broni. Tym razem będziesz prawdziwym cywilem.

20.

Cavanaugh nie był przygotowany na zmiany. Jadąc z lotniska do Iowa City, poprosił kierownicę z FBI, żeby zahaczył o park.

- Ryzykowna sprawa - rzekł Rutherford. - Jeżeli Duran zobaczy cię w furgonetcie

pełnej ludzi...

- O ósmej rano jesteśmy tylko jednym z mnóstwa pojazdów ludzi jadących do pracy. O tej porze nie będzie obserwował ruchu na ulicy. Będzie wypatrywał obserwatorów w stojącym samochodzie.

- Dopilnowałem, żeby takich tu nie było - powiedział Rutherford. - Nie chcę go wystraszyć. Wieczorem, kiedy on już się tam ulokuje, otoczmy park i będziemy zaciskać pętlę. Pod warunkiem że się nie mylisz.

- Gwarantuję, że on tam jest w tej chwili.

Gdy kierowca skręcił w West Benton, jedną z ulic otaczających park, Cavanaugh nie mógł się nadziwić, że panuje tu tak duży ruch. W czasach jego dzieciństwa była to senna dzielnica sąsiadująca z polami uprawnymi. Teraz, pomijając park, cała okolica została zabudowana domami jednorodzinnymi i blokami.

Cavanaugh spojrział w prawo i z jeszcze większym zdumieniem zobaczył, że park również wygląda inaczej. Gęsty lasek wycięto, drzewa zostały jedynie wzdłuż Willow Creek. Dzięki temu zrobiono miejsce na kolejne boiska piłkarskie. Z drugiej strony, tam gdzie kiedyś ciągnęły się pola kukurydzy, ustawiono drabinki dla dzieci.

- Siedzi tam teraz? - zdziwił się Rutherford. - Na moje oko nie ma tu się gdzie ukryć.

21.

- Mam złe przeczucia - mruknął Cavanaugh do Jamie i Williama, gdy wchodzili za Rutherfordem i jego ludźmi na skromny posterunek policji w Iowa City.

W gwarnym holu tłoczyli się funkcjonariusze służb porządkowych, którzy wyszli z nabitej po brzegi sali konferencyjnej. Dwaj mundurowi - policjant i wojskowy - przecisnęli się przez tłum do Rutherforda i zamienili z nim kilka słów.

- Nie mają dla nas miejsca na odprawę - zawiadomił Rutherford po powrocie. - Przenosimy się do arsenału Gwardii Narodowej.

Czas, pomyślał Cavanaugh. Jest wprawdzie dopiero piętnaście po ósmej rano, ale wkrótce zabraknie nam czasu.

- Nawiasem mówiąc, dowiedziałem się, że arsenał też może się okazać za mały - ciągnął Rutherford, pośpiesznie opuszczając z nimi posterunek. - Według obecnych szacunków do odizolowania całego parku potrzebujemy co najmniej tysiąca ludzi. Zjeżdżają

się policjanci i ludzie z biur szeryfa z całego stanu. Agenci FBI i z U. S. Marshals przylatują z tak odległych miast jak St. Louis, Denver, Minneapolis i Chicago. Za pośrednictwem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego uzyskaliśmy zgodę na użycie lokalnego oddziału Gwardii Narodowej.

- Kolejny alarm - zauważył William. - Jeszcze jeden stres dla i tak już przeciążonego systemu.

- Przypomina mi się Nowy Orlean - zauważyła Jamie. - Miejmy nadzieję, że tym razem skończy się pomyślnie.

- Jasny gwint! - Policjant wskazał palcem. - Idzie jakiś reporter.

22.

Arsenał szybko się zapełniał. Pod wysokim sklepieniem odbijało się ostre echo, gdy setki wojskowych i policjantów gromadziły się przed podium, za którym na przenośnej tablicy wisiała wielka mapa parku Willow Creek.

Jamie trzymała się na uboczu.

- Nie wyobrażam sobie, żeby się zdążyli zorganizować na czas - powiedziała.

- John ma zadziwiające zdolności - zapewnił ją Cavanaugh. Wskazał Rutherforda, który przemawiał do kilku skupionych cywilów z notesami i dyktafonami w rękach.

- ...możecie przysłuchiwać się odprawie - usłyszał słowa Johna. - ...możecie robić notatki i...

- A zdjęcia? Co ze zdjęciami? - zapytał ostro jeden z reporterów.

- Dopiero na sam koniec. Ale nie możecie niczego wydrukować, dopóki nie wyrażę zgody.

- Tego nie możemy obiecać.

- To kwestia bezpieczeństwa narodowego.

- O czym pan mówi? Po co ta mobilizacja?

- W zamian za pełny dostęp do informacji musicie przyrzec, że nie będzie żadnego przecieku. Jeżeli społeczeństwo dowie się, o co chodzi, w parku pojawi się tylu gapiów, że nasz obiekt może zdoła się wymknąć.

- Park? Obiekt?

- Patrzcie, słuchajcie i ucztujcie się - rzucił Rutherford i wszedł na podium.

Rzeczywiście, wśród wielu jego zaskakujących talentów poczesne miejsce zajmował przejrzysty i zdecydowany sposób, w jaki prowadził odprawę.

Słuchając go, ludzie w tej niejednorodnej grupie prostowali się, przyjmując taką samą postawę, wskazującą, że łączą się w jeden zespół. Informacja, że obiekt ma związek z atakiem terrorystycznym w Nowym Orleanie i że to on jest przedmiotem ogólnokrajowej obławy, z pewnością przykuła ich uwagę.

- O trzeciej zero zero nad ranem zabezpieczymy cztery wejścia na teren parku. - Czerwonym promieniem latarki Rutherford wskazał odpowiednie miejsca na mapie. - Kiedy już będziemy pewni, że nam nie ucieknie, zaczekamy do świtu. Nie ma sensu działać na oślep. Północna flanka zacznie przeczesywać teren poszukiwań, sprawdzając wszelkie możliwe miejsca, gdzie można się ukryć. Pozostałe flanki będą na swoich pozycjach, pilnując, żeby obiekt nie wymknął się z pułapki. Niektórzy z was być może zastanawiają się, dlaczego wszystkie flanki nie ruszą, spychając go na środek parku. Otóż dlatego, że wówczas wy wszyscy bralibyście udział w akcji. A nie chcemy, żebyście wystrzelali się nawzajem, jeżeli obiekt rozpocznie walkę.

Grupa była tak pewna swoich umiejętności, że przyjęła słowa Rutherforda za żart. Zarechotali, jeszcze bardziej wzmacniając więź.

- Mamy do wykonania zadanie, na które zostało nam bardzo mało czasu. Sprzęt. Broń. Transport. Zgranie w czasie. Będą dwa punkty tranzytowe, tutaj i w szkole oddalonej o osiemset metrów od parku. - Rutherford spojrzał na stojącego obok urzędnika. - West High, mam rację?

Urzędnik przytaknął ruchem głowy.

- Kiedy uczniowie rozejdą się do domów, rozpoczniemy ćwiczenia na bieżni za szkołą. Zanim wkroczymy na teren poszukiwań, musimy odciąć ulice w pobliżu parku. Musimy też ewakuować mieszkańców domów sąsiadujących z parkiem. To jest agentka specjalna Murphy z delegatury FBI w Des Moines. Podzieli was na grupy północną, południową, wschodnią i zachodnią, a także wyznaczy trasy objazdów i ekipy ewakuacyjne. Następnie...

Godzinę później, gdy odprawa dobiegała już końca, Rutherford powiedział:

- I wreszcie chcę wam przedstawić człowieka, który osobiście zna nasz obiekt. Obaj tu dorastali. Tak często bawili się w tym parku, że był dla nich jak własne podwórko. Razem służyli w wojsku. Razem pracowali jako agenci ochrony.

Cavanaugh wszedł na podium pod obstrzałem wzroku setek ludzi. Przez tylne drzwi wpełznął się nowy personel. Cavanaugh wziął mikrofon od Rutherforda.

Urządzenie zapiszczało i zaraz ucichło.

- Nie zajmę wam dużo czasu. Nasłuchaliście się już za wszystkie czasy. Pewnie chcecie ruszyć do akcji.

Pokiwali głowami; ich oczy błyszczały żądzą polowania.

- Na widok parku pewnie uznacie, że jest tam niewiele kryjówek, więc łatwo będzie go znaleźć. Poczujecie się pewni, bo jest was tak wielu, a przeciwko sobie macie tylko jednego człowieka. Przez taką postawę możecie zginąć. Ani na chwilę nie zapominajcie, że waszym przeciwnikiem jest były komandos z Delta Force. Jest światowej klasy specjalistą od kamuflażu i ukrywania się. Jedną z jego specjalności jest walka w nieoczekiwany sposób. Jego domena to śmierć. Gdy w nocy wejdziecie do tego parku, wkroczycie w jego świat.

Wszędzie spodziewajcie się pułapki.

Jeden z agentów FBI podniósł rękę.

- Ale on z pewnością zdaje sobie sprawę, że najprawdopodobniej dziś w nocy nie zjawi się pan sam. Dlaczego ryzykuje, że przez pana wpadnie?

- Szczerze mówiąc, moim zdaniem on liczy na to, że go zdradzę i ściągnę posiłki - odparł Cavanaugh.

Słuchacze byli wyraźnie zaskoczeni.

- Chce udowodnić swoją wyższość - wyjaśnił. - Dla niego wszystko sprowadza się do rywalizacji. Nie obchodzi go, że mogę sprowadzić małą armię. Pokazuje mi, że potrafi przechrzyć was wszystkich razem wziętych.

23.

- Trzy metry jeden od drugiego! Ani o krok więcej! - krzyknął Rutherford. - W tyralierze nie może być najmniejszych luk. Na rozkaz ruszycie do przodu w powolnym tempie, tak jak to ćwiczyliśmy. Za wami będą szli kontrolerzy sprawdzający, czy każda linia jest prosta. Większość z was będzie patrzyła pod nogi. Co ósmy człowiek będzie obserwował drzewa na wypadek, gdyby obiekt spróbował się tam schować. Każde zagłębienie. Każdą stertę liści. Każdy leżący na ziemi konar. Zakładajcie, że wszędzie tam może ukrywać się obiekt. Część z was będzie szła łożyskiem strumienia. Wypatrujcie śladów. Szukajcie dowodów, że ktoś się wdrapał na skarpę. Ci z was, którzy uznają, że coś zauważyli, niech dmuchną w gwizdki, które wam rozdaliśmy. Wtedy ta linia się zatrzyma, a ekipa idąca z tyłu

sprawdzi dany obszar. Kontrolerzy powiedzą wam, kiedy macie ruszyć dalej.

Każdy z was ma broń palną. Pamiętajcie, żeby celować w ziemię przed sobą, a co ósmy człowiek ma celować w drzewa. Znacie zasady. Nie celujcie do czegoś, czego nie macie zamiaru zniszczyć. Nie kładźcie palca na spuście, chyba że chcecie za niego pociągnąć. Nie strzelajcie, dopóki nie jesteście pewni, co się znajduje za waszym celem. Innymi słowy, panie i panowie, nie powystrzelajcie się nawzajem. Zasady tej walki są takie: zatrzymać, jeśli to możliwe. Pamiętajcie jednak, że obiekt jest bezlitosny i skrajnie niebezpieczny. Chcemy go wprawdzie przesłuchać, ale nie za cenę czyjegoś życia.

24.

- Personel z arsenału zostanie przewieziony do szkoły przed zapadnięciem zmroku - usłyszał Cavanaugh od Rutherforda po odprawie. - Użyjemy autobusów szkolnych. Nikt się nie zdziwi, że jadą do szkoły. Dokładnie o drugiej każda grupa przejdzie pieszo osiemset metrów ze szkoły do parku. Nie chcę, żeby warkot silników autobusów ostrzegł obiekt, że się zbliżamy. Mógłby się wymknąć, zanim wszyscy znajdą się na miejscu. Po drodze będzie ich obowiązywał zakaz rozmawiania. Masz jeszcze jakieś pomysły?

- Wstaw do samolotu kamerę na podczerwień - zaproponował Cavanaugh. - Wieczorem niech pilot przeleci się nad parkiem, a ktoś niech robi zdjęcia. Może uda się na nich wykryć ciepłość ciała Carla. I dowiedcie się, gdzie się schował.

- Tylko niech pan pamięta, proszę, o współpracy mojego klienta, kiedy dojdzie do procesu - wtrącił się William.

25.

W szkolnej stołówce ludzie z obławy pochłonęli setki pizzy i butelek napojów chłodzących. Potem położyli się w korytarzach i w sali gimnastycznej. Wiedząc, że wkrótce przystępują do akcji, chcieli się jak najlepiej wyspać. Obudzono ich o pierwszej trzydzieści. Skorzystali z toalet, bez względu na to, czy chciało im się sikać, czy nie. O drugiej opuścili budynek. W ciemności, na zimnym wietrze, zapięli kurtki pod szyję i przytupywali nogami. Ustawiając się zgodnie z przydziałem do odpowiednich grup, usłyszeli przelatujący nad nimi

samolot.

W milczeniu, jak im przykazano, ruszyli pieszo do parku.

O trzeciej znaleźli się na wyznaczonych miejscach, tworząc tyraliery wokół parku, i czekali. W domach za ich plecami zapalały się światła. Zaniepokojeni nakazem ewakuacji mieszkańcy wkrótce odjechali samochodami. Potem zapadła cisza.

Tuż przed piątą rano się rozpadło.

26.

- Deszcz! - zagrział Rutherford w furgonetce. - Prognozy pogody mówiły, że zacznie padać dopiero pod wieczór!

- Nauka nieścisła - skomentował Cavanaugh.

- Do tej pory już byśmy złapali Durana! Dawno by nas tu nie było!

Deszcz bębnił w szybę furgonetki. O szóstej trzydzieści zamiast zapowiadanego pięknego świtu niebo było przygnębiająco szare.

- Skąd o tej porze wytrzaśniemy ekwipunek na deszcz?! - utyskiwał Rutherford. - Ludzie są przemoczeni! Grozi im hipotermia!

Do furgonetki podjechał samochód osobowy i wyhamował poślizgiem na śliskiej jezdni.

- Nareszcie - burknął Rutherford.

Z samochodu wybiegł jakiś człowiek. Ociekając wodą, wgramolił się do furgonetki i podał Rutherfordowi dużą kopertę.

- Proszę, pańskie zdjęcia.

Rutherford przejrzał je niecierpliwie, zmarszczył czoło i podał je Cavanaughowi.

- Widzisz coś?

- Kilka rozgrzanych miejsc. Tu jest takie małe, że to pewnie wiewiórka. To drugie wygląda mi na psa.

- Ale nie ma śladu ciepła wydzielanego przez człowieka?

Cavanaugh po raz ostatni obejrzał zdjęcia.

- Nie.

- Wobec tego albo cię okłamał, albo źle go zrozumiałeś. Tutaj go nie ma.

- Mylisz się - odparł Cavanaugh. - Na sto procent jesteśmy we właściwym miejscu, a

to tylko część jego gry.

- Ale człowiek wydziela ciepło. Obraz w podczerwieni pokazałby, czy on jest w parku.

- Chyba że osłonił się tak, że kamera nie jest w stanie wykryć źródła ciepła.

- Zakopał się pod ziemię?

- To jedna z możliwości.

- W takim razie nie mamy się czym martwić, bo do tej pory już się utopił!

- Pewnie się nawet nie zmoczył. W końcu wyszkolono go, żeby zawsze był przygotowany na najgorsze. A nawet jeśli jest przemoczony do suchej nitki, i tak ma to gdzieś. W porównaniu z tym, przez co przeszliśmy w Delta Force, tutaj ma wręcz luksusowe warunki.

- Wiesz co, mam już powyżej uszu słuchania o starych dobrych czasach w Delcie - burknął Rutherford.

- Przecież sam mnie pytałeś o zdanie.

- A co twoim zdaniem powinniśmy zrobić teraz?

- Zaczynać.

27.

- ...ostatnią szansę na poddanie się i zakończenie tego bez rozlewu krwi! - Wzmocnione przez megafon słowa Rutherforda niosły się po parku. Głośniki urządzenia nagłaśniającego były przymocowane do dachu furgonetki.

Czekał. Z dwóch minut zrobiło się pięć. Odwrócił się od deszczu na szybie.

- Mecenasiu, zwracałem się do niego trzykrotnie. Starłem się, żeby zabrzmiało to szczerze. Czy pańskim zdaniem to wystarczające ostrzeżenie? - I nie czekając na odpowiedź, uniósł mikrofon. - Jazda! - rzucił.

Po prawej północna flanka ruszyła do parku, a te od południa, wschodu i zachodu utworzyły barykady.

Cavanaugh otworzył boczne drzwi furgonetki.

- A ty dokąd? - spytał Rutherford.

- Rozprostować kości.

Furgonetka stała na Teg Drive - ulicy graniczącej od wschodu z parkiem.

Czuając, jak zimny deszcz pada mu na głowę, Cavanaugh minął tyralierę ustawioną z tej strony i ruszył za północną flanką do parku.

Na początku nie napotkali żadnych przeszkód, jedynie strumień płynący przez trawiaste pole. Potem ekipa dotarła do drzew rosnących nad brzegiem wody i zwolniła tempo. Leżące wzdłuż strumienia mokre zwiędłe liście straciły już jesienne barwy.

Cavanaugh wyczuł czyjąś obecność, odwrócił się i zobaczył Jamie.

Uśmiechnął się.

- Przemokniesz - powiedziała.

- Ty też - odparł.

- Owszem, ale spacer w deszczu to takie romantyczne. Podczas gdy część ekipy przeszukiwała teren między drzewami, inni podeszli do placu zabaw - huśtawki, zjeżdżalnie, drabinki. Minęli metalowe stoły piknikowe. Sprawdzili ubicacje włącznie z krokiewkami. Zajrzeli pod mostek nad strumieniem. Próbowali podnieść klapę od kanału burzowego, ale była za ciężka. Zajrzeli do licznych koszy na śmieci osadzonych w drewnianych stojakach. Więcej drzew. Kolejny most. I jeszcze jeden. Dotarli do nowego placu zabaw, który - jeśli wierzyć tablicy - nosił nazwę Kiwanis Park. Tutaj drabinki mieściły się w grocie otoczonej kamiennymi ścianami i jodłami. Pod wiatą stały stoły piknikowe. Odkryte krokiewki nie pozwalały się tam ukryć.

I to by było na tyle. Dotarli do południowej flanki, za którą stały domy. Koniec parku.

Rutherford podeszedł do Cavanaugha i Jamie po mokrej trawie.

- Nic! - oświadczył, strząsając krople deszczu z twarzy. - Mosley miał rację! Duran z nami pogrywa! Nie ma go tu!

- To dopiero pierwsze podejście. - Mokre ubranie Cavanaugha lepilo mu się do ciała. - Sprawdzili oczywiste miejsca. Teraz powinni przeczesać park jeszcze raz, zwracając uwagę na szczegóły.

- A co z tymi domami tu obok? Może się chowa w garażu albo w komórce?

- Nie. Domy stoją poza obrębem parku. Kiedy się tu bawiliśmy, nigdy nie łamaliśmy zasad i nie wychodziliśmy poza teren.

Rutherford markotnie pokręcił głową i podeszedł do ludzi, którzy przeszukiwali park. Pogadał z dowódcą, który marzył, żeby zejść z tego deszczu, ale pokiwał głową i krzykiem wydał tyralierze rozkaz powrotu tą samą drogą.

Rutherford wrócił do Cavanaugha i Jamie.

- Pokaż mi, na jakie szczegóły zwracać uwagę.

- Trzeba sprawdzić ziemię pod każdym stołem piknikowym - powiedział Cavanaugh,

ruszając.

Rutherford przemyślał to sobie.

- Jasne. Pod niektórymi trawa jest wytarta, została tylko ziemia. Gdyby wykopał dziurę, łatwiej byłoby ją zamaskować, niż gdyby kopał w trawie. Sęk w tym, że musiałby się czymś przykryć, czymś twardym, na co można nasypać ziemię i zasunąć tym dziurę, jak już tam wlezie.

- Kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, zauważyłem kilka placów budowy - powiedział Cavanaugh. - Przedwczoraj w nocy mógł wziąć stamtąd kawał sklejki i coś do kopania.

- A gdzie by wyrzucił ziemię po wykopaniu dziury?

- Rozrzuciłby ją nad brzegiem strumienia. I zakrył liśćmi.

- W czym by to tutaj przyniósł?

- W torbie zabranej z placu budowy. Pusta torba po cemencie spokojnie wytrzyma obciążenie dwudziestu kilogramów.

- Ale ziemia na sklejkę wyglądałaby na świeżo skopaną.

- Nie, gdyby Carl ją udeptał tak, żeby przypominała ziemię pod wszystkimi innymi stołami. Liście na pokrywie zakryłyby szczeliny na brzegach.

- A wentylacja?

- Rurka wychodząca obok nogi stołu.

- No, jeżeli w ten sposób się schował, to tkwi w wodzie, której poziom stale się podnosi - skwitował Rutherford. - Wkrótce będzie musiał wyjść.

- Zdziwiłbyś się, jak przytulną i suchą dziurę w ziemi można wykopać, mając trochę plastikowej folii.

- Znowu stare dobre czasy w Delcie?

- Tak szczerze, to stare dobre czasy, kiedy Carl i ja byliśmy dziećmi. To jedna ze sztuczek, którą zastosował przeciwko mnie.

28.

Tyraliera przeszukała w deszczu park bardziej szczegółowo, przesuwając stoły piknikowe, zaglądając pod sprzęty na placu zabaw, badając krawędzie wiat w poszukiwaniu śladów, że ktoś kopał pod betonowymi płytami. Niczego nie znaleziono.

- Muszą to powtórzyć - powiedział Cavanaugh. - Te kosze na śmieci w drewnianych

stojakach. Odsuńmy je i zobaczymy, czy Carl nie kryje się pod jednym z nich.

Nie krył się tam.

- Trzeba podnieść ten właz do kanału burzowego. I sprawdzić tunel.

Ale tunel był pełen wody.

- Szukajcie śladów kopania pod wybetonowanymi ścieżkami.

Cztery godziny i pięć kursów przez park później Rutherford oświadczył stanowczo:

- Tracimy tylko czas. Tutaj go nie ma.

- Ale...

- Albo cię nabrał, albo pomyliłeś się i to nie jest to miejsce.

- To jest tu. Innego miejsca nie ma.

Rutherford spojrzał na trzęsących się, mokrych, wyczerpanych ludzi. Wielu kaszłało.

Szalał wiatr, na niebie gęstniały ciemne chmury.

- Odwołuję poszukiwania.

- Nie. Proszę.

- Oni tu są od trzeciej w nocy - tłumaczył Rutherford. - Ktoś w końcu wylądował w szpitalu.

- Jeszcze tylko jeden raz.

- Żeby udowodnić, że się mylisz? Z punktu widzenia Mosleya to by była jedyna korzyść z tego wszystkiego. W porządku, Aaronie. Robię to wyłącznie dla ciebie. Ostatni raz.

Sprawdzili piasek pod przyrządami na placu zabaw. Nieco dalej zrobili to samo z wiórami wokół ścianki do wspinania.

I po raz kolejny nic nie znaleźli.

Rutherford, z twarzą ociekającą wodą, wskazał kamery ekipy wiadomości telewizyjnych czekającej obok parku.

- Powinni to puścić dzisiaj zaraz po Głupim i głupszym. Mam tylko nadzieję, że wszystkie ujęcia ze mną w tym deszczu wypadły niewyraźnie. - Odwrócił się do poszukiwaczy. - Hej tam, kończymy! Autobusy niedługo tu będą! Zawieziemy was gdzieś, gdzie jest ciepło i sucho!

- I kawa - powiedział ktoś.

- Parująca i w dowolnej ilości - obiecał Rutherford. Spojrzał na kałużę w trawie.

- Tysiąc ludzi. Niektórzy przylecieli z drugiego końca kraju. Jedzenie. Zakwaterowanie. Autobusy. Furgonetki. Broń. Sprzęt. - Zerknął na Cavanaugha. - I wszystko na darmo. Mosley czeka na mój raport. Wyobrażam sobie, jak zareaguje, kiedy przedstawię mu koszty. Jutro o tej porze pewnie będę się rozglądał za nową pracą.

Zgarbiony odszedł w kierunku Teg Drive i furgonetki. Ludzie rozeszli się, przemoczeni, zmierzając do najbliższych ulic.

Zniechęcony Cavanaugh został sam na placu boju. Obok niego w zacinającym deszczu stała Jamie. Pustka powodowała, że było mu jeszcze zimniej.

- Pospacerujemy? - zaproponował.

- Jak dotąd była to wspaniała zabawa. Oby trwała jak najdłużej.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Kocham cię.

- To oczywiste. Nie chcę brylantów ani markowych ciuchów. Chcę tylko się pławić w blasku twojego życia.

29.

Poszli na wschód od parku i dotarli na stromą ulicę Hafor Drive. W coraz większej ulewie Cavanaugh wziął Jamie za rękę, przeszedł pół przecznicy i zatrzymał się przed szarym jednopiętrowym domem w stylu kolonialnym. Od frontu były starannie przystrzyżone wiecznie zielone krzewy, bogaty ogród kwiatowy (o tej porze roku przywiędły) oraz dobrze utrzymany trawnik.

- To tutaj mieszkałem. W mojej pamięci wszystkie domy na tej ulicy są białe jak śnieg. Ale jak widzisz, tak naprawdę każdy jest inny. Są szare. Brązowe. Niebieskie. Może zawsze tak było. Chyba tylko sobie wyobrażałem, że tak lśnią.

- Wskazał na piętro. - Tam, po lewej, była moja sypialnia. A w domu z tej strony mieszkał ten pies, z którym się bawiłem.

- Ten, który zniknął?

- Tak. A w tym następnym domu po lewej mieszkał Carl. Teraz, kiedy o tym myślę, ten jeden zdecydowanie nie błyszczał. Zbyt dużo wiedziałem o ojcu Carla i o tym, co się działo w tym domu. To już tyle lat. - Odwrócił się i spojrzał na koniec ulicy i park za zasłoną deszczu. - Widzę, jak idziemy z Carlem chodnikiem do tego strumienia i drzew.

Umilkł.

Porywisty wicher zawodził.

- Wiem, że on tam jest.

30.

Leżeli pod kocami w pokoju motelowym, ale nawet po długim, gorącym prysznicu nie mogli się rozgrzać. Za zaciągniętymi zasłonami deszcz bębnił coraz słabiej. Popołudnie przeszło w wieczór. Cienie się wydłużały. Obejmowali się.

Ktoś zapukał do drzwi.

Cavanaugh, owinięty kocem, przeszedł przez pokój. Stanął obok drzwi, unikając judasza, przez który łatwo można by go zastrzelić.

- Kto tam? - zapytał. Usłyszawszy odpowiedź, otworzył drzwi i wpuścił do środka Williama.

- Witaj, Jamie - rzucił prawnik wesoło, jakby widywał ją w łóżku na co dzień.

- Cześć, Williamie - odparła z poduszki, jakby przyjmowanie gości w tej pozycji było najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem.

Cavanaugh zamknął drzwi na klucz.

William miał na ramieniu dwie torby z ubraniami.

- Prosiłście, żebym wam przyniósł te ciuchy z gulfstreama. Dżinsy. Swetry. Kurtki.

Skarpetki. Buty. Bielizna. Jeszcze trochę, a będę najdroższym chłopcem na posyłki wśród prawników.

- Tyle że nas już nie stać na twoje honoraria - zauważył Cavanaugh.

- Wystarczającą zapłatą jest rozrywka, jakiej mi dostarczacie. Rutherford twierdzi, że ma tu jeszcze jakieś sprawy do załatwienia, więc wylatujemy dopiero jutro rano.

- Czy to koliduje z twoimi planami?

- Bynajmniej. Studiowałem w Harvardzie z dziekanem wydziału prawa na Uniwersytecie Stanu Iowa. Wieczorem jesteśmy umówieni na kolację.

- Masz kontakty w każdym mieście, do którego cię zaniecie.

- Zdobywam przyjaciół i wywieram wpływ na ludzi.

- Raczej przerażasz ich i zmuszasz do kapitulacji.

- A właśnie, byłbym zapomniiał. Zanim zapukałem, musiałem coś odłożyć na podłogę.

- William otworzył drzwi i wrócił z wielką papierową torbą z logo Kentucky Fried Chicken.

- Jak można zapomnieć o jedzeniu? - Jamie westchnęła z zachwytem.

31.

Obudziła się w nocy, wyciągnęła rękę, żeby objąć Cavanaugha, ale go nie było. Na dworze panowała cisza, deszcz ustał. Zerknęła w kierunku łazienki.

Drzwi były otwarte, światło zgaszone. Zapaliła nocną lampkę, podeszła do szafy i stwierdziła, że jego ubranie też zniknęło.

32.

Cavanaugh kazał taksówkarzowi wysadzić się przy sklepie samoobsługowym na końcu West Benton Street. Zapłacił i poczekał, aż taksówka odjedzie. Potem wyszedł z ostrego światła padającego ze sklepu i ruszył ulicą w kierunku parku po prawej. Cieszył się, że mgła zasłania pola i strumień, dzięki czemu mógł tam podejść niepostrzeżenie, bez uciekania się do wymyślnych sztuczek.

W miejscu, gdzie strumień wpadał do parku, zszedł z chodnika. Natychmiast odpiął nóż w kieszeni spodni i wyciągnął go, zaczepiając haczykiem o kieszeń, tak że ostrze od razu się otworzyło. Strumień miał po lewej ręce. Kierował się nim jak drogowskazem, ale trzymał się na tyle daleko od brzegu, by zdążyć zareagować na dźwięk napastnika wyskakującego z wody. Zamglony blask latarni za jego plecami stopniowo przygasał, aż w końcu całkiem zniknął. Szedł po mokrej trawie, w oparach mgły i zimnej wilgoci wdzierającej mu się pod kurtkę.

Nie skupiał wzroku na niczym, starając się powiększyć kąt widzenia. Był to wysiłek podobny do tego, z jakim usiłuje się zezować. Mimo niewygody, próbując patrzeć na boki i przed siebie jednocześnie, uruchomił pręciki siatkówki ułatwiające widzenie w ciemności. Ta technika pozwalała mu rozróżniać odcienie szarości i czerni pośród cieni.

Po tym jak w ciągu dnia wielokrotnie przemierzył park wzdłuż i wszerz, wyczuwał, w jakiej odległości od siebie są rozmaite przedmioty. Silne wspomnienia z dzieciństwa wzmacniały te szacunki. Gąbczasta trawa tłumiała jego kroki. Kiedy uznał, że od pierwszych drzew dzieli go nie więcej niż trzydzieści kroków, przykucnął, oceniając, co ma przed sobą. Przez dłuższy czas nasłuchiwał.

Z krzewów i drzew spadały krople rosy. W łożysku strumienia płynęła woda.

Gałęzie szeleściły na wietrze.

Podkrał się dziesięć kroków do przodu i znów nasłuchiwał. Nic go nie zaniepokoiło, więc zrobił kolejne dziesięć kroków, a potem skręcił w lewo, w stronę zamglonych pól,

jednocześnie kątem lewego oka obserwując niewyraźne cienie drzew. Z wyostrzonym w ciemności wzrokiem wypatrywał ruchu, którego nie można by przypisać gałęzi, albo kształtu nie pasującego do zarysu drzew. Deszcz strącił dużo liści z krzewów, tworząc luki, przez które mógł dojrzeć, czy nie stoi za nimi jakaś postać.

Podkładał się dalej. Z doświadczenia wiedział, że nie ma nic bardziej stresującego i męczącego niż śledzenie kogoś w ciemności. Cierpliwość przede wszystkim. Dyscyplina. Opanowanie. Jego uwagi nie uszła ironia faktu, że to przez niezdyscyplinowanie Carla doszło do tylu nieszczęść. Teraz Carl będzie wychodził ze skóry, żeby udowodnić, że jest bardziej opanowany niż on.

Z nożem w garści wszedł między drzewa. Zwiędłe liście były po deszczu tak mokre, że wcale nie szeleściły pod jego butami. Za czasów jego młodości ten fragment lasu tworzył kwadrat o boku długości niemal pięćdziesięciu metrów, ale teraz miał ledwie dziesięć metrów szerokości i trzydzieści długości.

W pełzających obłokach mgły przykucnął plecami do pnia drzewa i powoli odwrócił głowę w jedną, a potem w drugą stronę, kątem oka lustrując niewyraźne gałęzie i krzaki.

Jedna minuta.

Dwie minuty.

Trzy minuty.

Tak to sobie zaplanowałeś, Carl. Wiedziałeś, że będę musiał postąpić odpowiedzialnie i cię zdradzić. Wiedziałeś, że nawet mała armia cię tu nie znajdzie. I wiedziałeś, że kiedy poszukiwania zawiodą, zjawię się tu sam.

No to jestem. Do dyspozycji, kiedy tylko zechcesz. Gdziekolwiek się chowasz, wyjdź. Przecież sam tego chciałeś, więc do roboty. Ale nie śpiesz się. Nie chcę cię popędzać. Mam całą noc.

Osiem minut.

Dziewięć minut.

Dziesięć minut.

Nie mógł dłużej ryzykować i tkwić w tej samej pozycji. Gdyby dalej kuczał bez ruchu, ogarniający go chłód mógłby spowodować skurcz mięśni. Ale to samo dotyczyło Carla. On również będzie musiał zmienić pozycję. Przesuwając się powolutku do przodu, Cavanaugh spodziewał się, że w każdej chwili spod liści może wystrzelić na niego postać z nożem w ręku. Pomimo zimna czuł, jak nerwowy pot spływa mu po twarzy.

Wzdrygnął się, słysząc jakiś dźwięk. Po prawej. Coś przedzierało się przez krzaki.

Nisko. Olbrzymi pies, dysząc ciężko, pędził wprost na niego. Czarny. Zwierzę nagle

go zauważyło, ostro skręciło między drzewa i równie nagle zawyło z bólu.

A potem zaczęło skowyczeć, miotać się groteskowo, gryźć gałęzie krzaków, skręcać się, objąć o pień drzewa. Szalało coraz słabiej, skamlało coraz ciszej.

I w końcu znieruchomiało.

W oddali psy w domach odpowiedziały wyciem. Stopniowo noc ucichła, słychać było tylko krople spadające z liści, szelest gałęzi na wietrze i szum wody w strumieniu. Cavanaugh podczołgał się do psa - uznał, że to chyba labrador - i znalazł zaostrowany pal, który wystrzelił jak z procy i wbił się w pierś zwierzęcia, gdy zaczepiło łapą o drut.

Pułapka, Carl? Po zapadnięciu ciemności wypelzłeś z kryjówki i przygotowałeś mi niespodziankę? Rozczarowałeś mnie. Od kiedy to w tej grze stosujemy pułapki?

Rozgrzany z gniewu wyrwał pal z ciała psa. Pomacał drut. Taki jak te, które zwykle leżą porzucone na placach budowy. Zwinął go, włożył do kieszeni i z ostrym palem w rękę powoli posuwał się naprzód.

33.

Stojąc w otwartych drzwiach swojego pokoju, w pośpiechu ubrany byle jak, Rutherford zerknął na zegarek; wyrwany ze snu miał podkrążone oczy.

- Może poszedł się przejść?

- O pierwszej w nocy? - odparła sceptycznie Jamie.

- Ma za sobą ciężką noc i dzień. I mnóstwo rzeczy na głowie, miał o czym myśleć.

- On poszedł do parku.

- Nie wiesz tego na pewno.

- Znam go. Nie mógł pójść nigdzie indziej.

- I czego ode mnie oczekujesz, że każę tysiącu ludzi wracać zaraz do parku? Nawet gdybym chciał, nie zdołałbym ich zorganizować przed świtem. Oglądałaś wieczorne wiadomości? Widziałaś, na jakich durniów wyszliśmy? Gdybym powtórzył dzisiaj tę farsę, Mosley jak nic kazałby mi złożyć rezygnację.

- Nie - odparła Jamie. - Nie chcę, żeby pan kazał tysiącu ludzi wracać do parku.

- Bogu dzięki!

- Liczę, że pójdzie pan tam razem ze mną.

- Jasny gwint! - powiedział baptysta z południa.

34.

Po twarzy Cavanaugha spływał pot zmieszany z kroplami mgły. Leżał na brzuchu w mokrej trawie, przebijając wzrokiem mrok następnej grupy drzew. Był pewny, że tam również czeka na niego pułapka. Próbował sobie wyobrazić reakcję Carla na przedśmiertny skowyt psa.

Carl na pewno zakłada, że wiem, w jaki sposób zginęło zwierzę. Musi też założyć, że teraz będę unikał drzew i innych miejsc, gdzie łatwo można zastawić pułapkę. Uzna, że wyjdę na otwartą przestrzeń. Skoncentruje się na polowaniu w tamtych rejonach.

A zatem Cavanaugh musiał postąpić odwrotnie, niż przewidywał Carl, i wejść między drzewa. Najpierw jednak przeturlał się w stronę najbliższego stołu piknikowego. Wczołgał się pod spód. Takie miejsce kusi każdego, kto chce się ukryć, podchodząc zdobycz. Cavanaugh wziął drut i przywiązał zaostrowany pal do metalowej nogi tak, że czubek sterczał na zewnątrz, na wysokości głowy.

Następnie, z nożem w ręku, wyczółgał się spod stołu i wpatrzył w bliższy teraz mrok drzew. Macając nożem na prawo i lewo, w górę i w dół, na czworakach okrążył krzak. I czekał. Nasłuchiwał. Kącikami oczu obserwował mgłę i cienie.

Z oddali usłyszał stłumiony szum silnika samochodu jadącego West Benton Street. Nerwy miał napięte jak postronki, odprężył się dopiero wtedy, gdy odgłos z ulicy ucichł i znów mógł się wsłuchać w ciche dźwięki dookoła.

Przesunął się dalej w głąb lasu. Nagle zamarł w bezruchu, gdy jego nóż napotkał opór. Coś cienkiego, naprężonego. Drut. Odstąpił na bok i zobaczył niską gałąź wygiętą w bok i do dołu. Macając drut po omacku, stwierdził, że prowadzi do kamienia, który przyginał gałąź. Na jej końcu tkwił przywiązany ostry pal. Gdyby poruszył drutem, kamień by spadł z gałęzi, a ta wystrzeliła w górę i...

Wstrzymał oddech - jeden, dwa, trzy. Bezdźwięcznie odetchnął przez usta - jeden, dwa, trzy. Po cichu wciągnął powietrze nosem - jeden, dwa, trzy. Ta technika zwalniała bicie serca i pracę płuc. Potem zepchnął kamień z gałęzi, która śmignęła ze świstem tuż obok niego. Jednocześnie jęknął, jakby został trafiony, i runął na krzak. Jęczał coraz ciszej - pamiętał, jak cichły jęki jego rannych towarzyszy, kiedy zabierała ich śmierć.

Znów wstrzymał oddech (jeden, dwa, trzy), wypuścił powietrze (jeden, dwa, trzy) i po cichu podczołgał się na skraj drzew, starając się, żeby jego sylwetka nie odróżniała się od pniaków.

Jedna minuta.

Dwie minuty.

Trzy minuty.

Dziesięć minut.

Serce podeszło mu do gardła, gdy z prawej dobiegł go szept:

- Masz już dość czekania, Aaronie?

Słowa padły z bezpiecznej odległości, gdzieś tak z dziewięciu metrów, stłumione przez mgłę.

- Dołączyłbym do ciebie wcześniej - ciągnął Carl. - Ale musiałem sprawdzić resztę parku, upewnić się, że nie sprowadziłeś towarzystwa tak jak ubiegłej nocy.

Tętno Cavanaugha szalało, czuł, że puchną mu żyły.

Coś trzasnęło między drzewami. Cavanaugh w mgnieniu oka popełnił w tamtą stronę. Wiedział, że to jedyne miejsce, gdzie Carla na pewno nie ma.

Tym hałasem chciał go tylko zdezorientować. W tym momencie pewnie pędził dookoła drzew, żeby go zająć od tyłu, skoro on teoretycznie powinien tkwić bez ruchu i skupiać uwagę na miejscu, skąd dobiegł hałas.

Cavanaugh przez cały czas pełził do przodu, sprawdzając nożem teren przed sobą. Nagle poczuł opór kolejnego drutu. W tej samej chwili doleciał go z tyłu cichy dźwięk - to Carl wszedł między drzewa.

Przeturlał się na bok, cisnął gałąź na drut i usłyszał świst. Z nadzieją, że teraz to on odwrócił uwagę Carla, podkradł się na skraj zagajnika i wyszedł na trawę.

Bezszelestnie przebiegł na boisko piłkarskie i z nożem w ręku odwrócił się na pięcie, czekając, aż Carl wypadnie na niego z mgły.

- I jak ci się podobają moje pułapki? - zapytał Carl z mroku wśród drzew. - Dzięki nim gra jest bardziej interesująca, nie sądzisz?

Cavanaugh nie odpowiedział, nie nabrał się na podstęp i nie zdradził swojej pozycji.

- Uznałem, że skoro tobie wolno łamać zasady, to i ja mogę. Przyznaj szczerze, nie jest ci wstyd, że ściągnąłeś tu tych wszystkich facetów, żeby mnie szukali? Nie potrafisz sam walczyć o swoje?

Cavanaugh wciąż milczał.

- Tyle luda, a nie potrafili mnie znaleźć. Chcesz wiedzieć, gdzie się schowałem? Pewnie umierasz z ciekawości?

Wśród drzew rozległ się trzask. Cavanaugh wzdrygnął się. Natychmiast wziął się w garść i mocniej ścisnął nóż, wiedząc, że Carl spowodował ten hałas, żeby zagłuszyć cichsze

dźwięki, kiedy biegł od zagajnika.

Teraz obaj byli na otwartym terenie. We mgle.

- Prawdę mówiąc, liczyłem na to, że mnie zdradzisz. - Głos Carla dobiegał z miejsca na wprost Cavanaugha. - W końcu zdradę masz przecież we krwi.

Cavanaugh przykucnął, żeby stanowić mniejszy cel, a zarazem napiął mięśnie ramienia, szykując się do zadania ciosu nożem.

- Chciałem, żebyś sprowadził pomoc, całe mnóstwo pomagierów. - Tym razem głos Carla doleciał z ciemności po prawej.

Cavanaugh ruszył w przeciwną stronę.

- Tylu pomagierów, że kiedy mnie nie znajdą, dojdą do wniosku, że to ostatnie miejsce, gdzie powinni mnie szukać. - Głos był jeszcze dalej z prawej.

Chce mnie skłonić do ataku, pomyślał Cavanaugh.

- Plan miał tylko jedną wadę, taką, że ze wstydu mogłeś się dziś nie pojawić. - Teraz głos Carla dobiegł z lewej!

Cavanaugh zmienił kierunek i ruszył w prawo.

- I chociaż nigdy nie znajdą twoich zwłok, będą musieli przyjąć, że tu byłem. - Głos był bliżej, teraz po prawej.

Cavanaugh znieruchomiał.

- Kiedy znikniesz, zajmą się tym terenem.

Dostrzegł we mgle jakiś cień.

- Ale oczywiście będzie już za późno. Ja będę wtedy daleko stąd.

Korzystając z tego, że Carl się rozprasza, Cavanaugh rzucił się na niego.

Wiedział z doświadczenia, że niespodziewany atak uruchomi instynkt obronny Carla, co jemu da sekundę potrzebną na zadanie śmiertelnego ciosu, ale gdy dobiegł do cienia, wbił nóż w ciało i poczuł krew na ręku, z przyprawiającym o mdłości przerażeniem zdał sobie sprawę, że zadźgał psa.

Carl trzymał ciało zwierzęcia przed sobą. I zanim Cavanaugh zdążył wyciągnąć nóż ze zwłok, wyrwał mu go z ręki, przekręcając martwego psa w bok. A potem cisnął w niego padliną.

Cavanaugh zatoczył się do tyłu. Ciężar cielska obalił go na ziemię, a uderzenie pozbawiło tchu. Świszcząc, przeturlał się, a jednocześnie poczuł ostry ból w prawym boku, gdy od strony Carla doleciał trzask i błysk.

Jezu, on ma pistolet! Postrzelił mnie!

Turlając się dalej i rżąc, Cavanaugh uświadomił sobie, że kula najpierw przeszła

przez psa, a dopiero potem trafiła w niego. I chociaż przebiła ciało, to nie weszła aż tak głęboko, żeby uszkodzić narządy wewnętrzne. Zerwał się więc na nogi i puścił co sił w nogach. Ale biegnąc w tym tempie, nawet na mokrej trawie wyraźnie tupał. Usłyszał, że Carl rzucił się w pościg. Zderzenie z psem tak zdezorientowało Cavanaugha, że stracił orientację we mgle. Być może biegł w kierunku West Benton Street, a może do strumienia albo...

Uderzył twarzą w gałąź. Drzewa! Wrócił do nich! Słyszając coraz bliższy tupot kroków, czym prędzej czmychnął w zagajnik. Przez mgłę próbował się przebić nagły błysk - światło latarki w ręku Carla. Cavanaugh jak w gorączce zagłębił się między drzewa.

- W pewnym sensie grałem uczciwie - oznajmił Carl. - Pistolet jest częścią noża. Pamiętasz te modele łączone, które pokazywał nam Lance? - Miał na myśli staroświeckie modele, w których lufa stanowiła część grzbietu ostrza. Kurek był u szczytu jelca, a spust u jego dołu. - Rzecz jasna, nie jest zbyt celny i nie ma wielkiej siły rażenia. Dostałeś z trzydziestkidwójki. Mam nadzieję, że nie to cię zabije.

Czując, że krwawi mu bok, Cavanaugh odsunął się z dala od szperającego światła latarki i wpadł na coś, co ukłuło go w nogę. Zerknął w dół i zobaczył zaostroszony pał na końcu gałęzi - była to jedna z pułapek, które uruchomił wcześniej.

Słabe światełko przedarło się przez ciemność i mgłę, kierowało się w jego stronę. Cofnął się dalej, jeszcze bardziej zginając gałąź.

Padł na niego promień latarki.

- Nie wyglądasz na ciężko rannego. - Carl brnął ku niemu przez krzaki. - Nie martw się, nie zarobisz drugiej kulki. To jednostrzałowy pistolet. Nie mam drugiego naboju. Zawsze miałem do niego słabość. Dwa rodzaje broni w jednym. Zajmuje mniej miejsca w mojej torbie ucieczkowej.

Cavanaugh wciąż się cofał. Wpadł plecami na pień drzewa.

Ściskając nóż o dziwnym kształcie, z lufą wzdłuż grzbietu ostrza, Carl podchodził do niego.

- Robię to z obrzydzeniem. Iść z nożem na nieuzbrojonego człowieka.

Chciałbym tylko, żebyś w chwili śmierci pamiętał, że potem zajmę się twoją żoną.

Carl skoczył do przodu.

Cavanaugh puścił gałąź.

Wystrzeliła jak z procy.

Carl wrzasnął, gdy zaostroszony pał wbił mu się w udo.

35.

Jamie i Rutherford przejechali obok parku. Minęli dwa wyjścia na West Benton Street, dwukrotnie skręcili w prawo i znaleźli się na ulicy, przy której kiedyś mieszkał Cavanaugh. We mgle reflektory furgonetki nie sięgały parku.

Wysiadając, w nikłym świetle latarni Jamie zorientowała się, że Rutherford zaparkował przed dawnym domem jej męża.

Zapięli kurtki i ruszyli w kierunku niewidocznego parku. Nagle stanęli, gdy dobiegł ich wyraźny trzask.

Czekali. Dźwięk się nie powtórzył.

- Co to było? - szepnęła Jamie.

- Brzmiało jak...

- Wystrzał? - Twarz Jamie wykrzywił dreszcz tylko częściowo spowodowany zimnem i mgłą.

- Moim zdaniem mały kaliber.

Czekali jeszcze chwilę. Nagle Rutherford przykucnął, jakby chciał zawiązać sznurówkę. Wyprostował się i podał coś Jamie.

- Pistolet?

- Mój zapasowy. Noszę go w kaburze na nodze.

- Masz do mnie tyle zaufania?

Nie wdając się w dyskusję na ten temat, Rutherford ruszył we mgle. Gdy Jamie się z nim zrównała, z parku dobiegły ją stłumione głosy, zbyt ciche i niewyraźne, żeby je mogła rozpoznać. Przyspieszyli kroku, a kiedy usłyszeli wrzask, puścili się biegiem.

36.

- Ty w mordę jebany! - Wyjąc z bólu, Carl upuścił latarkę, zatoczył się do tyłu i rozdzierając ciało, wyrwał zaostrozony pal z uda.

Cavanaugh skoczył na niego, lecz uchylił się, widząc, jak światło leżącej na ziemi latarki odbija się od noża, którym Carl się zamachnął.

Chwycił z ziemi gruby konar wielkości kija baseballowego. Stanął, szykując się do

uderzenia, a tymczasem Carl kuśtykał ku niemu, wymachując nożem w górę i w dół, z boku na bok, tak szybko, że jego ręka rozmazywała się w niewyraźną plamę.

Cavanaugh machnął kijem. Carl zrobił unik. Cavanaugh znów się zamachnął; bólu w boku aż się skrzywił. Carl odskoczył do tyłu. Oddychając ciężko, krążyli wokół siebie twarzą w twarz, wypatrując okazji, gotowi do zadania ciosu; świetle latarki ich cienie zachodziły na siebie.

Cavanaugh natychmiast zorientował się, że Carl ustawił się w ten sposób, by lewą ręką przygiąć gałąź z przywiązany ostrym bolcem na końcu. Odkakując w chwili, kiedy Carl ją puścił, potknął się o zwalony konar i poleciał na plecy; pał świsnął mu nad głową. Carl, rycząc, rzucił się na niego. Cavanaugh nie mógł zrobić nic więcej, niż odturlać się poza zasięg światła. Wciąż trzymał kij, ale w tej pozycji nie mógł się nim posłużyć, więc zerwał się na nogi i wybiegł spomiędzy drzew.

Stół piknikowy, pomyślał. Jego ciemny kształt nagle wyrósł mu przed oczami.

Omiał się z nim nie zderzył, wyhamował w samą porę, padł na kolana i wczołgał się pod spód, uważając na zaostrzony pał, który tam wcześniej przymocował.

Jęknął, gdy ostrze Carla chlasnęło go przez plecy, ale zmusił się, by czołgać się dalej. Czuł, że Carl schyla się i wściekle dźga nożem, próbując go dosięgnąć.

Nagle rozległ się groteskowy, mokry dźwięk jakby wyjmowanego korka od szampana. Wrzask Carla świadczył o straszliwej udręce, o bólu, od którego można było postradać zmysły. Cavanaugh mocniej ścisnął kij. Wstał po drugiej stronie stołu i zamachnął się na przeciwnika, który zwijał się jak szaleniec, lewą ręką trzymając się za lewe oko.

Kij świsnął obok Carla, a wtedy ten zrobił rzecz niebywałą - jedyny błąd, jakiego doświadczony nożownik nigdy nie popełnia. Nie rzuca się nożem w przeciwnika.

Można nie trafić, a wtedy zostaje się bez broni. Ale w tym wypadku to nie był błąd. Będąc tak blisko, że mógł celować na podstawie odgłosów wydawanych przez przeciwnika, postawił na element zaskoczenia i rzucił. Cisnął nożem z całej siły. Cavanaugh ryknął z bólu, gdy nóż trafił go w żebro, odłupując kawałek kości. Uratowało go tylko to, że ostrze skierowane było w górę, więc nie zsunęło się między żebra i nie przebiło serca ani płuc.

Tak czy owak, upływ krwi przyprawił go o zawrót głowy. Dysząc ciężko, zawahał się. Macał na oślep, próbując znaleźć miejsce, gdzie spadł nóż, lecz Carl skoczył na niego, przewrócił na piasek, chwycił za szyję i zacisnął na niej palce.

Na twarz Cavanaugha skapała krew z pustego oczodołu Carla.

- Chcesz się założyć, Aaronie?

Rzężąc, Cavanaugh złapał garść ziemi spod stołu i sypnął nią w krwawiący oczodół.

Carl syknął, jakby to były rozpalone węgle, a nie ziemia. Ale nie puszczał szyi swojego wroga.

Cavanaugh czuł, jak rozwiera mu się rana na pociętych plecach, gdy nie zważając na ból, wyciągnął rękę, żeby wbić kciuk w pusty oczodół Carla. Trafił - poczuł, jak krew spływa mu po kciuku. Nie zdążył jednak wbić go do końca - jego ręka opadła, zawirowało mu w głowie, a tymczasem przeciwnik ścisnął coraz mocniej.

Carl zadarł głowę, jedynym okiem próbując dojrzeć coś we mgle. Na niewidocznym boisku piłkarskim w oddali zadudniły czyjeś kroki.

- A jednak wciąż nie dajesz sobie rady bez pomagierów, co? - Nachylił się nisko, szepcząc Cavanaughowi do lewego ucha. - Założę się, że twoi przyjaciele nie znajdą żadnego z nas.

Cavanaughowi zawirowało w głowie jeszcze szybciej; ostatnie słowa Carla odbiły się echem i ucichły.

37.

Biegając w kierunku parku, Jamie i Rutherford usłyszeli krzyk. Gdy wpadli na trawę, doleciał ich wrzask. Pędząc przez zasnutą mgłą pole, usłyszeli kolejny.

Odruchowo uświadomili sobie, że są na tyle blisko, że muszą zwolnić ten szaleńczy bieg, inaczej zdradzą swoją pozycję i zarobią kulkę.

Z wycelowanymi pistoletami ostrożnie ruszyli w kierunku, z którego dobiegł ostatni krzyk.

38.

Cavanaugh ocknął się w ciemności. Nie w ciemności nocy i we mgle, których czerń stopniowo nabierała różnych odcieni. To była ciemność absolutna, tym gorsza, że coś potwornie śmierdziało, a Carl przyciskał się do niego. Cavanaugh miał opuchniętą szyję, obolałe po duszeniu gardło paliło go żywym ogniem.

Pochlastane plecy piekły jak diabli, wciąż krwawiły, co znów przyprawiło go o zawrót głowy. Rana w boku pulsowała. Omal nie zwymiotował. Dopiero po dłuższej chwili pokonał

paniczny strach na tyle, by uświadomić sobie, że obaj z Carlem leżą na lewym boku; Carl przyciskał się piersią do jego pleców.

Cavanaugh czuł na karku jego ciężki oddech.

- Obudziłeś się, Aaronie? - szepnął Carl.

Cavanaugh poczuł jego oddech na uchu. Nie odpowiedział.

- Jasne, że tak - ciągnął Carl. - Czuję, że serce bije ci szybciej.

Cavanaugh uznał, że nie ma sensu dłużej udawać.

- Gdzie jesteśmy? - Podrażnione gardło zapiekło go jeszcze bardziej.

- Nie ma to jak w domu. Podziwiał mistrzowskie wykonanie. Dotknij tego wspaniałego drewna.

Cavanaugh miał ręce przyciśnięte po bokach. Ciasnota przestrzeni, która coraz bardziej kojarzyła mu się z trumną, uniemożliwiała dotknięcie tego, z czym się stykał policzkiem (podłogi) i czołem (ściany).

Carl miał wolną prawą rękę. W absolutnej ciemności sięgnął nad Cavanaughem i postukał w drewno; odpowiedziało mu stłumione echo.

- Najlepsza sklepka z wysypiska na placu budowy. Plastikowa folia nad dachem, żeby woda nie sączyła się do środka. Milutko, co? W sam raz na spędzenie kilku dni i nocy. Oczywiście nie planowałem tu towarzystwa. Kiedy mieszkałem tu sam, miałem dość miejsca, żeby się napić wody z butelki i zjeść suszoną wołowinę. Rzecz jasna, niewiele, bo nie chciałem obsrać i obszczać mojego wysnionego domku bardziej niż to konieczne.

Cavanaugh omal nie zwymiotował.

- Dlatego odpręż się. Zobaczymy, czy wygram zakład. Ale z przykrością muszę powiedzieć, że od tej pory rozmowa będzie tylko jednostronna. Mógłbyś zacząć krzyczeć i zwrócić uwagę przyjaciół. Nad moją głową jest otwór do oddychania. Nie stać mnie na ryzyko, że cię usłyszą. Otwórz usta.

Cavanaugh nie zareagował. W ciemności poczuł, jak coś kłuje go w kark.

Czubek ostrza noża.

- Zanim cię tu przytargałem, znalazłem swój nóż. Otwórz oczy albo poderżnę ci tętnicę szyjną.

Cavanaugh usłuchał. Poczuł, że usta zapycha mu zapiaszczona, zatęchła szmata.

- Mam nadzieję, że nie chorujesz na astmę - szepnął Carl. - Nie chciałbym, żebyś się udusił. I co, nie jest nam tu jak u Pana Boga za piecem? Co proponujesz dla zabicia czasu?

Głos Carla dobiegał z tyłu tak cicho, że Cavanaugh ledwo go słyszał. Jego słaby oddech omiatał mu ucho.

- Może cię czegoś nauczę? Znasz to powiedzenie, że rodziny się nie wybiera, ale przyjaciół owszem? Szczerza prawda. Gdyby to Lance był moim ojcem, czyż nie byłoby wspaniale? Ja i stary wyrabialibyśmy noże. A co do przyjaciół, większość ludzi szafuje tym słowem. Tak naprawdę mają na myśli znajomych. Ludzi, z którymi spędzają dużo czasu, bo przypadkiem mieszkają w sąsiedztwie, razem pracują, razem uprawiają sport, należą do tego samego klubu i tak dalej. Ludzi, którzy nie przysparzają im kłopotów. Ludzi, którzy nie proszą o wiele i się nie narzucają.

Ale prawdziwy przyjaciel to coś rzadkiego, wyjątkowego. To ktoś, kto akceptuje twoje wady, kto wspiera cię bezwarunkowo, nawet kiedy nie jesteś w najlepszej formie, to ktoś, kto zrobi dla ciebie wszystko, na kim możesz polegać w każdej sytuacji, tak samo jak on może polegać na tobie. To najsilniejszy ze wszystkich możliwych związków. Nawet większość małżeństw nie jest ze sobą tak blisko, bo partnerzy przeważnie nie są prawdziwymi przyjaciółmi.

Wybrałem cię na przyjaciela, Aaronie. Jedyne przyjaciela. Z nikim innym nie byłem tak zżyty. Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił. Wyobraź sobie, jak się poczułem, kiedy uświadomiłem sobie, że wcale nie jesteś moim przyjacielem, że jesteś kolejnym zapatrzonym w siebie gnojkiem, który się zmył, gdy sprawy przybrały zły obrót.

W ciemności choć oko wykol szmata wchłonęła całą wilgoć z ust Cavanaugha.

Zaschło mu w gardle. Cuchnące wyziewy podrażniały mu oskrzela. Obawiał się, że zanieśie się kaszlem. A wtedy się udusi.

- Jak się nad tym dobrze zastanowić, nigdy nie byliśmy ze sobą tak blisko jak teraz - powiedział Carl. - Nie jest to najgorszy sposób na śmierć. Umrzeć przytulonym do człowieka, którego się kocha.

Usiłując opanować panikę, Cavanaugh wstrzymał oddech w nadziei, że zwalczy odruch wymiotny. Nie udało mu się. Żołądek podszedł mu do gardła, poczuł w ustach smak żółci.

39.

Gdzie? - krzyczała Jamie w duchu, bojąc się odezwać, żeby się nie wystawić na cel. Gdzie oni są?

Rutherford szedł obok niej, celując w prawo, podczas gdy ona celowała w lewo.

Powoli, ostrożnie zagłębiali się we mgłę. Na ile mogła się zorientować w panujących ciemnościach, krzyki dobiegły z miejsca dokładnie na wprost nich. Skupiona szła przed siebie, gdy nagle ziemia pod jej stopami się zarwała.

Upadła, ześliznęła się i wleciała do rzeki. Obok niej wylądował z pluskiem Rutherford. Woda przelewała się nad nimi.

Gramoląc się na nogi, stracili element zaskoczenia, więc wysuwając głowę nad skraj skarpy na drugim brzegu, Jamie czuła, jakby w żołądku miała ciężkie ostre kamienie. Tam czekała na nich jeszcze gęstsza ciemność i mgła. Jamie kierowała się w lewo, w skupieniu nasłuchując odgłosów, które mogły zdradzić, gdzie jest Cavanaugh. Ale tym, co przykuło jej uwagę, nie był dźwięk.

Zobaczyła poświatę, tak słabą, że mógł to być blask unoszący się znad moczarów. Wygramoliła się ze strumienia i z wycelowaną bronią podkradła się do białego światła. Obok szedł Rutherford.

Dotarli do drzew. Blask był coraz silniejszy. Na ziemi. Wśród krzaków. Latarka.

Jamie podniosła ją tak, jak ją nauczył Cavanaugh - trzymając w wyciągniętej na bok ręce, żeby kula wystrzelona w źródło światła nie trafiła jej w pierś.

Zlustrowała wzrokiem drzewa i krzewy. Rutherford wskazał coś palcem i ujrzała czerwień - krew na ostrym palu przywiązany do gałęzi. Czując cierpki smak w ustach, skierowała latarkę na ziemię i zobaczyła jeszcze więcej krwi. Idąc jej śladem, wyszli spomiędzy drzew. Krew rozdzieliła się w dwóch kierunkach. Jeden ślad prowadził w lewo, gdzie w świetle latarki ujrzeli martwego labradora z wbitym w ciało nożem.

- Co tu się wydarzyło, do diabła? - mruknęła.

- Diabeł. To słowo jest bardzo na miejscu - przytaknął Rutherford.

Ślad krwi po prawej prowadził do stołu piknikowego. Tutaj Jamie znalazła dużo więcej krwi, która zbryzgała wszystko dookoła. Ostre kamienie w jej żołądku zamieniły się w drut kolczasty, który wiercił się we wnętrzościach. Rutherford znów wskazał palcem. Krew prowadziła do strumienia. Zerknęli do wody, ale tam krwawy ślad się urywał.

40.

- Spokojnie - szepnął Carl, wyciągając szmatę z ust Cavanaugha, któremu zółć napływała do gardła. - Żaden z nas nie chce, żebyś się udusił. Zwłaszcza mając w

perspektywie spokojny sen, kiedy będziesz się wykrwawiał na śmierć.

Cavanaugh wypluł kwas i gwałtownie zaczerpnął powietrza. Zrozumiał. Carl mówił o plastikowej folii nad sufitem - barierze, która nie dopuszczała do zalania ich wodą. Ale teraz na podłodze było mokro, poziom płynu się podnosił i można to było wyjaśnić tylko w jeden sposób - to krew Cavanaugha z rany na boku, z przebitej piersi oraz rozciętych pleców, a także z uda i krwawiącego oczodołu Carla.

- Prawda, że tworzymy ładną parę? - ciągnął Carl. - Zupełnie jakbyśmy byli w łonie. Od kołyski aż po grób. Odpływamy. Jesteśmy w drodze do krainy snów. Kiedy spędziliśmy ze sobą najwspanialsze chwile? Nie. Nie odpowiadaj. Zamiast szeptać, mógłbyś narobić wrzasku. Niestety, znów muszę cię zakneblować.

Wepchnął szmatę do ust Cavanaugha, a potem wtulił się w niego.

- To prawda, że krew pachnie jak miedź.

Ale Cavanaugh nie czuł już zapachów. Nawet nie bardzo sobie zdawał sprawę, że leży na mokrym i śliskim drewnie. Znów zawirowało mu w głowie.

- Najwspanialsze chwile spędziliśmy razem na obozie w Kolorado i...

41.

Krzycząc w duchu, Jamie posuwała się wzdłuż strumienia, obserwując oba brzegi, a Rutherford celował w szczyt skarpy, na wypadek gdyby ktoś zaatakował ich z góry. Gdzie? - zapytywała się bez ustanku. Gdzie jest krew?

Omali nie wrzasnęła, gdy przyszło jej na myśl, że może idą w złym kierunku. Może nie powinni zagłębiać się dalej w park, tylko pójść w przeciwną stronę. Latarką, którą trzymała w drżącej ręce, bezładnie omiatała teren. Czas jakby stanął, a jednak czuła, że ostatnie dziesięć minut minęło w jednej chwili. Krew! Gdzie jest ta cholerna...

Tam! Zobaczyła ją - szkarłatny ślad wychodzący ze strumienia i mieszający się ze śladami stóp kogoś, kto wgramolił się na skarpę po prawej. Wbiegła na nią wraz z Rutherfordem i poczuła, że kolczasty drut w jej żołądku rozplątał się, że zaraz przepali jej brzuch. Krew przed nią utworzyła kałużę na trawie.

Ale nigdzie dalej jej nie było.

42.

- Wygląda na to, że wygrałem zakład - szepnął Carl. - Gdyby mieli nas znaleźć, już by to zrobili. Odciąłem kawałek kurtki i przewiązałem nim nogę, żeby krew nie kapła na ziemię. Wróciłem tu po plastikową folię, którą ukradłem z placu budowy. Owinąłem cię nią, żebyś nie krwawił, kiedy cię tu niosłem. Ci tam na górze będą przekonani, że zniknęliśmy. Czy to nie wspaniałe? Nasza ostatnia zabawa w chowanego.

Cavanaugh zdołał kiwnąć głową. Jego myśli przeskakiwały z tematu na temat, wspominał wszystko to, czego żałował - że zbyt rzadko całował Jamie, że zbyt rzadko powtarzał jej, jak bardzo ją kocha. Żałował, że Carl zbierał cięgi od ojca.

Żałował, że nie spędzał z nim więcej czasu w okresie, zanim jego zhańbiony ojciec zmusił całą rodzinę do przeprowadzki do Nashville. Żałował, że listy i telefony od Carla traktował jak dopust boży. Żałował, że kiedy Carla wyrzucono z Global Protective Services, zerwał z nim kontakt.

Może wyskoczylibyśmy na jednego, Carl? A potem do kina i na hamburgera?

Co ty na to, żeby wpaść do mnie na ranczo w Wyoming? Spodoba ci się mój dom. Zachód słońca nad Tetonami. Przyjaźń. To wszystko, śmierć tylu ludzi, wydarzyło się tylko dlatego, że przyjaźń się skończyła.

Otępiały umysł nie potrafił dobrać właściwych słów.

I kto tu jest zapatrzonym w siebie gnojkiem, Carl? Myślisz, że cię zawiodłem? To ty zawiodłeś mnie, stary kumplu.

Wiedział, że powinien być zły. Wściekły. I był. Gdyby miał siły, znalazłby sposób, żeby chwycić Carla za głowę i walić nią dopóty, dopóki...

Ale kiedy łzy płynęły mu po twarzy, kiedy krew i życie z niego uchodziły, poczuł coś jeszcze, więc chciał to powiedzieć, chciał wypluć knebel i powiedzieć Carlowi, że...

- Znowu się dusisz, stary kumplu?

Ręka Carla usunęła obrzydliwą szmatę. Cavanaugh miał tak wysuszone usta, że nie mógł wykrztusić słowa.

- Chcesz coś powiedzieć? - zapytał Carl.

Cavanaugh słabo kiwnął głową.

- Posłuchajmy.

- Ja...

- Tak? Próbuj dalej. Wyrzuć to z siebie. Ostatnie słowa i tak dalej.

- Żałuję.

- O?

Umysł Cavanaugha wywinął koziołka.

- Żałujesz? Wiesz co, przyjacielu? Ja też - odparł Carl. - Trzy lata temu powinienem cię skopać jak psa. Może się bałem, że nie dam rady. Ale patrz, teraz nareszcie skopałem ci dupsko.

Czuł łyzy na twarzy. Próbował powiedzieć mu, że pomijając związek z Jamie, żałuje, że on i Carl w ogóle dorosli. Jak ja bym chciał, żebyśmy wciąż byli dziećmi, pomyślał. Uderzył głową w mokre od krwi drewno.

43.

- John, pomóż mi myśleć - poprosiła Jamie. - Dokąd oni poszli? - Skierowała latarkę we mgłę i potykając się, gwałtownie ruszyła w ciemność.

- Co to jest, o tam? - zapytał Rutherford.

- Gdzie?

- Tam! - Ujął jej rękę z latarką i skierował promień na niewyraźny zarys placu zabaw: pręty, drabinki i rury w skalnej grocie, której boki pokrywały krzaki i wiecznie zielone zarośla.

Jamie weszła do groty i zadrżała, jakby znalazła się w innym wymiarze. Omiotła wszystko słabym światłem, wióry na ziemi, mostek nad kanałem, do którego dzieci mogły się wczougać, belki tworzące obramowanie piaskownicy, stoły piknikowe.

- Nie ma krwi. - Z jej gardła wyrwał się szloch. - Nie wiem, co robić.

Weszła dalej w głąb groty. Celowała latarką we wszystko, bez pośpiechu przypatrując się szczegółom. W końcu odwróciła się, chcąc jak najszybciej przejść do poszukiwań gdzie indziej. Promień latarki coś omiótł.

- Zaczekaj.

Wycelowala latarkę.

- Powiedz mi, że wzrok mnie nie myli.

- Gdzie?

- Tam!

Podeszła z Rutherfordem do dziecięcego mostka przerzuconego nad betonowym

kanalem, przez który dzieciaki chętnie się czołgały. Po prawej znajdował się drugi kanał, mniejszy i jeszcze ciekawszy. Oddzielała je skalna ściana, olbrzymie głazy osadzone w piaszczystym stoku.

- Ten głaz - powiedziała Jamie. - Ten pośrodku.

- Dlaczego są na nim...

- Wióry? - podsunął Rutherford.

- Na pozostałych ich nie ma. Pomóż mi - poprosiła.

Podbiegli do kamienia. Rutherford chwycił go od góry.

- Cofnij się i świeć! - polecił Jamie.

Wykonała polecenie. Poza tym wycelowała pistolet. Barczysty Rutherford pociągnął głaz ze wszystkich sił, ale nie był przygotowany na to, że kamulec bez trudu spadnie, a pod nim ukaże się prawdziwy koszmar - dwóch utyłanych krwią mężczyzn leżących w smrodzie ekskrementów, który buchnął spod głazu.

Obok nich leżał pasek, którym Carl obwiązał kamień, wciągnął go na swoje miejsce, a potem wyciągnął pasek przez szczeliny po bokach.

Obaj byli tak zbryzgani krwią, że w pierwszej chwili trudno ich było odróżnić.

Jeden się nie ruszał. Ale drugi uniósł głowę i wyjrzał na zewnątrz. Nie miał lewego oka. Jego usta pokrywała skorupa krwi.

- Wychodzi na to, że jednak przegrałem zakład. - Głos Carla brzmiał, jakby miał w gardle sam piasek. - Nieważne. Ale nie pozwolę, żebyś to ty wygrał, Aaronie.

Opuścił nóż, chcąc poderznąć gardło Cavanaugha.

Jamie przestrelała mu drugie oko.

44.

Cavanaugh zobaczył w swojej trumnie światło. Oślepiający blask. W panice poderwał rękę, żeby zasłonić oczy.

Z zaskoczeniem poczuł, że czyjeś palce łapią go za ramię, opuszczają je.

- Wyrwiesz sobie kroplówkę - powiedziała Jamie.

Miał wrażenie, że ktoś mu zszyl powieki. Powoli zdołał zerwać nieistniejące szwy i otworzyć oczy.

Obok niego siedziała Jamie. Była wymizerowana i skonana, jej oczy zmętniały, czarne

włosy z napięcia straciły blask, a jednak nigdy nie wydawała mu się równie piękna.

Leżał w szpitalnym łóżku. Czuł pulsowanie w boku i w plecach. Uciskały go szwy i bandaże. Miał zgrubiałe wargi, a język wysuszony i obrzmiały.

Jamie wetknęła mu słomkę do ust.

Z wdzięcznością upił łyżeczek. Przez chwilę woda była bez smaku. A potem przepyszna. Był jednak tak słaby, że nie miał siły przełknąć. Pocięło mu z ust.

Jamie wytarła go chusteczką.

- Chyba nie jestem w szczytowej formie - wychrypiał.

- Bzdura. Jesteś w pełni sił.

Ogarnęło go znużenie.

Gdy znów się ocknął, Jamie wciąż siedziała przy łóżku.

Uścisnęła jego dłoń.

- We śnie wyglądasz jak mały chłopczyk.

Cavanaugh zebrał siły i zdołał zapytać:

- Carl?

- Nie żyje.

- Jak?

Opowiedziała mu. Musiał się skupić, żeby przyswoić wszystkie szczegóły.

- Te głązy i wióry były mokre po deszczu - wyjaśniała. - Kiedy Carl zakrył was kamieniem, kawałki drewna przylepiły się do niego. Bo były pod głazem. Wciągając go na miejsce, nie mógł ich zauważyć. Zresztą pewnie i tak mający ból i nie zdawał sobie z tego sprawy.

- To drugi człowiek, którego zabiłaś.

- Nie mówmy o tym.

- Rozumiem. Byłem tam.

- Nie - powiedziała Jamie. - Nie rozumiesz.

Zdrętwiały mu usta.

- Nawet w usprawiedliwionych okolicznościach to zawsze jest...

- Dla ciebie zrobiłabym wszystko. Ale nie o to mi chodziło. Nie możesz o tym mówić, bo nikt nie ma prawa się dowiedzieć, że to ja go zastrzeliłam.

Rozejrzała się. Zniżyła głos tak, że ledwo ją słyszał.

- John dał mi swój pistolet - szepnęła Jamie z naciskiem. - Gdyby to wyszło na jaw, straciłby pracę. Kiedy zabiłam Carla, wziął ode mnie pistolet i strzelił jeszcze raz, w kamień koło tej dziury, tak jakby za pierwszym razem chybił. Dzięki temu ma ślady prochu na ręku.

Śledczy uwierzyli mu na słowo. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby mnie również zbadać.

- John zrobił coś takiego? - Rozważając wynikające z tego faktu konsekwencje, Cavanaugh znów zapadł w sen.

Gdy następnym razem otrząsnął się z ciemności, usłyszał ściszone głosy.

Rozglądając się za Jamie, zobaczył, że cicho rozmawia w rogu z Rutherfordem.

Rutherford obejrzał się przez ramię.

- Oho, śpiąca królewna się obudziła. Jak się czujesz?

- W sam raz, żeby ruszyć w tany.

Roześmiali się z tego kiepskiego żartu.

- Zamawiasz pierwszego walca? - zapytał Rutherforda.

- Dzięki za propozycję, ale ten przesiedzę pod ścianą.

- Dałeś mi kosza. Mam cię gdzieś.

Znowu się uśmiechnęli.

- Carl tego chciał - oświadczył Cavanaugh.

- Czego? - zdziwił się Rutherford.

- Żeby go ktoś zastrzelił.

- Nic na to nie wskazywało! Próbował ci poderznąć gardło! - oburzyła się Jamie.

- Żeby zmusić Johna do strzału - powiedział Cavanaugh, widząc, że obok drzwi przechodzi pielęgniarka.

Jamie spojrzała na niego z uznaniem. Był czujniejszy, niż jej się zdawało.

Mimo to musiał się skupiać nad doborem słów.

- Wiedział, że prawdopodobnie jedyne, co go czeka, to wyrok śmierci. Odsiadka w ciasnej celi, odliczanie sekund w oczekiwaniu na kogoś, kto przyjdzie i wbije mu igłę. Przyspieszył bieg spraw. John, ty mu wyświadczyłeś przysługę - zakończył, spoglądając na Jamie.

- Drań nie zasługiwał na żadne przysługi - powiedziała.

- Kiedy obaj byliśmy dziećmi, przeżyliśmy wspaniałe chwile - rzekł Cavanaugh.

Melancholia sprawiła, że znów poczuł na szyi dłoń Carla. Z trudem wydobył głos, zmieniając temat. - I co teraz?

- Straciłeś mnóstwo krwi. Lekarze mówią, że potrzymają cię tu jeszcze przez kilka dni, żebyś nabrał sił.

- A potem lecimy do Nowego Orleanu i szykujemy się do procesu - powiedział.

Rutherford i Jamie porozumieli się wzrokiem.

- Dlaczego nic nie mówicie? - zaniepokoił się Cavanaugh.

- Mosley wycofał zarzuty - wyjaśnił Rutherford.

Cavanaugh potrzebował dłuższej chwili, żeby to przyswoić.

- Media poświęcają wydarzeniom w parku wiele uwagi - ciągnął Rutherford. - Masz mnóstwo wyrazów sympatii. Bóg raczy wiedzieć dlaczego, w każdym razie wielu ludzi uważa cię za swojego bohatera. - Uśmiechnął się półgębkiem. - Właściciele hoteli nie chcą wyjść na bezdusznych dusigroszów. Nacisnęli na Mosleya. Tak samo jak przedstawiciele Światowej Organizacji Handlu. Wygląda na to, że mój szef nie jest tak niezłomny, jak utrzymuje.

- A jak potraktował cię? - spytał Cavanaugh.

- Najwyraźniej ja również zostałem bohaterem - przyznał Rutherford. - W tej chwili jesteśmy najlepszymi kumplami.

- Puk, puk - powiedział ktoś.

Cavanaugh obrócił głowę i zobaczył w progu Williama. Z utrefionymi włosami, w nieskazitelnie białej koszuli, w przydającym mu władzy garniturze w prążki i z dumnie wypiętą piersią jak nigdy wyglądał na sławę palestry.

- Masz siły, żeby znieść kolejnych gości?

- Zawsze miło cię widzieć - odparł Cavanaugh.

- Myślałem, żeby przynieść kwiaty, ale ostatecznie postanowiłem dać ci to. - Podał mu kopertę.

- Co w niej jest?

- Akredytywy od twoich najbogatszych klientów. Zdaje się, że nasi miliarderzy zatrzęśli portkami, kiedy uświadomili sobie, że Global Protective Services, a zwłaszcza ty osobiście, już nie będziecie chronić ich cennego życia.

- Wyglądasz jak kot, który się opił śmietanki - zauważyła Jamie. - Wnoszę z tego, że postarałeś się wbić im to do głów.

- Zadzwoń tu i tam, owszem. Skoro już stać was na moje usługi, prześlę wam szczegółowy rachunek. Oczywiście będziecie musieli poczynić w firmie znaczne oszczędności, ale mam wrażenie, że właśnie to wam odpowiada.

- Bylebym tylko mógł chronić ludzi, którzy na to zasługują, ale ich na mnie nie stać. - Cavanaugh poczuł, że Jamie ściska go za rękę.

- Jak sobie życzysz. To twoja firma - odparł William.

- Moja i Jamie.

- Tak - wtrącił się Rutherford. - Na własne oczy przekonałem się, że jest z niej wyśmienity ochroniarz.

Cavanaugh przyjrzał mu się.

- Z ciebie też, John. Pomogłeś uratować mi życie. Dziękuję.

Po chwili namysłu Rutherford wzruszył ramionami.

- A od czego są przyjaciele?

Noże z Nagiego ostrza

Jak wspomina na kartach tej powieści Carl Duran, wielu współczesnych twórców noży zainspirowała *Żelazna Dziewica* - film z 1952 roku, w którym Alan Ladd odtwarza postać legendarnego pioniera Jima Bowiego. Nikt dokładnie nie wie, jak wyglądał nóż Bowiego, ale noże „typu Bowie” wyrabia się do dziś od dziewiętnastego wieku, a jeden z nich posłużył za wzór do modelu użytego w filmie. Imponujący i zarazem elegancki, ze srebrnym jelcem i mosiężnym grzbietem, pierścieniem i skuwką, jest tak fotogeniczny, że wybrano go również do innych hollywoodzkich produkcji: *The Last Command*, do scen z *Alamo* w Davy Crockett Walta Disneya, do serialu telewizyjnego *The Adventures of Jim Bowie* oraz *Alamo* z Johnem Wayne'em. Scenograf Joseph Musso posiada wszystkie rekwizyty użyte w *Żelaznej Dziewicy* i udostępnia je twórcom noży, którzy czasami kopiują wzór, dodając coś od siebie. Fotografie noży wraz z opisami znajdują się po tym rozdziale.

Nagie ostrze wspomina również o słynnej epoce twórców noży w San Francisco w okresie od lat pięćdziesiątych do osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Noże Hugh McConnella i firmy Will & Finck opisywano jako „najbardziej egzotyczne, najdroższe i najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek powstały w Stanach Zjednoczonych”. Za najlepsze uchodzą jednak te od Michaela Price'a. W roku 2003 jeden z jego noży osiągnął na aukcji cenę blisko stu tysięcy dolarów.

Fotografie dzieł Price'a można obejrzeć w fascynującej książce Bernarda R. Levine'a *Knifemakers of Old San Francisco*, a współczesne kopie na stronie www.sanfranciscoknives.com. Ja najbardziej lubię stworzone przez Stevena Rappa, Bustera Warenskiego i Gilla Hibbena (zaprojektował on noże do filmów *Rambo III* i *John Rambo*). Zobaczycie tam także najdroższy nóż na świecie wyceniany na ponad pół miliona dolarów - wykonaną przez Warenskiego szczerozłotą replikę sztyletu Tutenchamona, którego zdjęcia znajdują się po tym rozdziale.

Powieść tę należało doprawić nazwiskami tak słynnych twórców noży, jak:

William Scagel, „Bo” Randall, Bill Moran, Bob Loveless, Jimmy Lile i inni. Fotografie ich dzieł można obejrzeć w książce Gerarda Pacelli *100 Legendary Knives*. Lile zaprojektował noże do filmów *Rambo. Pierwsza krew* oraz *Rambo II*, wywołując tak wielkie zainteresowanie nożami, że stojąca na skraju bankructwa branża odżyła. Książka Pacelli

zawiera również zdjęcia noża bojowego Fairbairn-Sykes, tajemnego noża oraz kukri Gurkhów.

Wiele przykładów wzorów kukri i enigmatycznych nacięć u podstawy ostrza można zobaczyć na stronie www.nepalesekhukuri.com. Wersje artystyczne są na www.jayfisher.com.

La Griffe Cavanaugha oraz taktyczny nóż składany CQC-7 są pokazane na stronie www.emersonknives.com.

Dziękuję Nanci Kalancie, Philowi Lobredowi, Bernardowi R. Levine'owi, Lindzie Hibben, Jayowi Fisherowi, Mike'owi Carterowi (cartercrafts.com), a także Ericowi i Beth Eggly za pomoc w zebraniu tych fascynujących fotografii, które za chwilę zobaczycie.

Podziękowania

Mam dług wdzięczności wobec wielu agentów znających od podszewki opisane tu ryzykowne operacje, którzy byli na tyle mili, że zgodzili się mnie uczyć.

O ile wiem, wiele szczegółów dotyczących ich rzemiosła (na przykład torby ucieczkowe czy sprawdzanie samochodu za pomocą plastikowego zacisku) dotychczas nie zostało opisanych w innych powieściach. Oto ci, którym dziękuję szczególnie:

Linton Jordahl, były agent U. S. Marshals. Formacja ta na równi z Secret Service oraz Dyplomatyczną Służbą Bezpieczeństwa należy do głównych służb ochrony rządu Stanów Zjednoczonych.

Don Rosche i Bruce Reichel ze szkoły Bill Scott Raceway's Executive Training.

Różne amerykańskie agendy rządowe, w tym także Dyplomatyczna Służba Bezpieczeństwa, wysyłają swoich pracowników do BSR na kursy ofensywnych i defensywnych technik jazdy.

Porucznik Dave Spaulding z Ohio Montgomery County Sheriff's Department.

Jego jednostka brała udział w ochronie podpisania układu pokojowego w Dayton w 1995 roku (dotyczącego Bośni). Jest jednym z najlepszych instruktorów strzelania w Ameryce. Poza tym że udzielił mi bezcennych lekcji, załatwił mi zgodę na udział w obradach International Association of Law Enforcement Firearms Instructors. Polecam jego książki *Handgun Combatives* oraz *Defensive Living* (współautorem tej drugiej pozycji jest emerytowany agent CIA Ed Lovette).

Marcus Wynne, były spadochroniarz w Osiemdziesiątej Drugiej Powietrznej i jeden z niewielu autorów powieści sensacyjnych, który wie, o czym pisze.

Polecam jego *Bez wyboru*, *Wojownik w mroku* oraz *Towarzysze broni*. Kiedy wykładałem literaturę na Uniwersytecie Stanu Iowa, Marcus był moim studentem. Po latach odwdziaczył się, objaśniając mi różne aspekty pracy najlepszych agentów na świecie.

Dan „Rock” Myers, były pracownik sił specjalnych wywiadu wojskowego Stanów Zjednoczonych i oficer łącznikowy Dyplomatycznej Służby Bezpieczeństwa.

Dennis Martin z CQB Services. Wykłada metody ochrony VIP-ów w najbardziej niebezpiecznych rejonach świata i zapoznał mnie z teorią walki wręcz W. E. Fairbairna.

Scott Reitz, główny instruktor strzelania elitarnej Metropolitan Division w policji Los

Angeles. Polecam www.internationaltactical.com.

Tom Evans z Sotheby's International Realty w Jackson w Wyoming. Tylko cztery procent doliny Teton znajduje się w rękach prywatnych. Potrzebowałem eksperta, który znajdzie mi dom dla Cavanaugha, i w końcu wyszukał taki na północno-wschodnim skraju Jackson Hole, niedaleko Turpin Meadow.

Barbara i Richard Montrossowie, za odświeżenie moich miłych wspomnień Iowa City i parku Willow Creek.

Jack Eagle, praktyk i trener programów neurolingwistycznych. Teoria „wizualizacji” przedstawiona w *Nagim ostrzu* i stosowana przez niektóre elitarne jednostki jest znakomitym przykładem tego programu, tak samo jak metoda manipulowania formami czasowników przez głównego bohatera w celu zmniejszenia stresu. Kiedy przed laty dowiedziałem się, że program ten wchodzi w zakres szkolenia agentów CIA i innych służb wywiadowczych, sam ukończyłem kurs i uzyskałem dyplom.

Steve Shackelford, wydawca magazynu „Blade”.

Twórcy noży: Gil Hibben, Joe Keeslar, Jimmy Lile, Al Mar, Chris Reeve oraz Michael Vagnino.

Ernest Emerson. Nie tylko jest jednym z najlepszych producentów noży taktycznych (o niektórych wspominam w tej powieści), lecz również czołowym instruktorem walki na noże, który pracuje z wieloma elitarnymi jednostkami wojska i policji. Dowiodłem swojej nieudolności, kiedy zapisawszy się na jeden z jego kursów (bo chciałem się pobawić z dużymi chłopcami), zламаłem obojczyk.

Larry Haight i Paul Dwyer ze szkoły pilotażu Sierra Aviation w Santa Fe. Zbieranie materiałów z tego zakresu skłoniło mnie w końcu do zrobienia licencji pilota.

Szczegóły zgodne z rzeczywistością są zasługą moich nauczycieli, a ewentualne błędy to wyłącznie moja wina.

David Morrell Santa Fe, Nowy Meksyk